

J. Fenimore Cooper

SZPIEG

Powieść historyczna z końca XVIII wieku
w tłumaczeniu
Hajoty
z przedmową
Andrzeja Tretiaka

PRZEDMOWA.

Któż z nas nie czytał w młodości z zapartym oddechem opowieści o „Mieszkańcu puszczy”?! Któż z nas nie marzył po jej skończeniu o walkach z Indianami, o wyprawie w dziewicze lasy Ameryki? Wobec tej, jak na książki dla młodzieży, wcale grubej i tym miłszej powieści, wszystkie inne naśladownictwa bladły - musiał mu ustąpić placu nawet „Duch puszczy” i sentymentalny „Młody wygnaniec”, choć opłakiwany gorącymi łzami współczucia. Nawet wielka wojna nie potrafiła zerwać tej tradycji i młodzież powróciła do swojej ulubionej lektury, ulubionej z dwóch powodów: daje ona jej fantazji pełnię tego, co Anglicy nazywają „romance”, roztaczając obrazy, w których elementy nierealne i prawdopodobne mieszają się w

nierozerwalną całość, stwarzając w ten sposób nastrój identyczny z tym, w jakim stale żyje młodzież - a oprócz tego pozwala ta lektura, w której groźne problemy wojny i eksterminacji Indian są przedstawione jako epizody o wartości tylko fabuły powieściopisarskiej, bez kryjącej się pod nimi głębi społecznych zagadnień, na wprowadzanie w życie treści opowieści w postaci „indiańskich” zabaw. Nie ma bowiem w tych 5 powieściach, które złożyły się na krótki względnie wyciąg w postaci „Mieszkańca puszczy”, żadnego wybitnego momentu moralizatorskiego, żadnego zanadto wyraźnie zaznaczonego stanowiska wobec problemów społecznych, żadnego uczucia nienawiści rasowej czy niechęci narodowej, tak że nic nie mąci pogody duszy chłopca, pragnącej instynktownie wszystkie nieświadome mu źródła życiowego tragizmu tamować. Jest w tych powieściach tylko i wyłącznie „przygoda”, której nigdy nie może być za dużo dla cywilizowanego człowieka, skrępowanego aż do zupełnego braku wrażeń „przygody” przez moralne i społeczne przepisy - cóż dopiero dla młodzieży, dla której jedynym wykładnikiem życia jest czyn, przygoda, źródło zamięłowania do skautyzmu, wszelkich sportów, nawet kolekcjonerstwa przeróżnego, dającego sposobność do małych, ale jakże ważnych w oczach dokonującego ich, posunięć ku wytyczonemu idealnemu celowi. Ale z pomiędzy tych wszystkich, którzy tyle zawdzięczają miłych wzruszeń i rzetelnie daleko w świat siny biegnących marzeń „Mieszkańcowi puszczy”, niewielu jest takich, którzy znają nazwisko autora a jeszcze mniej takich, którzy rozumieją znaczenie tego nazwiska dla literatury.

Bo nazwisko Jakóba Fenimore Cooper’a to świetna gwiazda nie tylko na horyzoncie powieści amerykańskiej, ale pełna znaczenia także i dla angielskiej i stąd dla ogólnoeuropejskiej powieści.

Jest bowiem Cooper nie tylko ojcem powieści amerykańskiej w dosłownym znaczeniu, jako pierwszy oryginalny powieściopisarz Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, ale także jest on przecież twórcą romansu egzotycznego, romansu morskiego, na którego obszarze ostatnimi latoroślami byli genialny Konrad Korzeniowski i - naturalnie o całą przepaść kultury duchowej niższy, ale przez; dzisiejszą modę uprawniony do wzmianki w tym zakresie literatury, Jack London. Nie można bowiem „Robinsona Crusoe” Defoe’go, który w literaturze młodocianej rywalizuje zwycięsko z „Mieszkańcem puszczy”, uważać za prototyp romansu morskiego, gdyż jest to par excellence utwór dydaktyczny, i walory jego leżą raczej w tym, co w skrótach dla młodzieży opuszczono, w refleksjach moralnych i kulturalno-społecznych. Nawet „Rozbójnik morski” (The Pirate) Waltera Scotta, poprzedzający o kilka lat pierwszą morską powieść Cooper’a, „The Pilot”, więcej podkreśla charakter historyczny romansu, niż kładzie nacisk na środowisko „morza”, w którym się treść romansu ma odgrywać.

O życiu Cooper’a stosunkowo niewiele wiemy. - Przeciwnie do zwyczajowego stanowiska poważnych autorów anglosaskich, którzy „autoryzują” jakąś biografię, pisaną przez długoletniego przyjaciela-krytyka jeszcze za życia pisarza, aby uniknąć pewnych niedokładności

w biografii, na co bardzo jest czułą czytająca publiczność angielska - otóż przeciwnie do tego stanowiska Cooper nie chciał „autoryzować” żadnej takiej biografii, choć życie jego długie (1789 - 1851) mogło dostarczyć dużo ciekawego materiału, bo nie płynęło równo i spokojnie, ale miało wiele zakrętów i niespodziewanych epizodów. Krok wielkiego pisarza wypłynął z jego stosunku do społeczeństwa, a raczej do prasy amerykańskiej, z ostatnich 20 lat życia. Cooper, który po kilkoletnim pobycie w Europie powróciwszy do Stanów Zjednoczonych spojrzał na układ społeczny swej ojczyzny nieco innym okiem, niż patrzył przedtem, zapragnął, w przesadnym nieco pojęciu swojej wielkości, jako pisarza narodowego, udzielić swym rodakom napomnień i wskazówek i wykonał ten zamiar w szeregu satyr lub utworów o zacięciu satyrycznym, jak „List do rodaków” („A Letter to his countrymen”, 1834), „The Monikins” (1835) i o wiele wyższych artystycznie: „Homeward Bound” (1838 „W drodze do domu”) i dalszym ciągu tej na pół prawdziwej opowieści: „Home as Found” („Jak wygląda ojczyzna po powrocie”) wydanym w tym samym roku. Ostra, nieusprawiedliwiona żadnymi zaczepkami ze strony społeczeństwa satyra wywołała też w krewkiej od samych początków istnienia prasie amerykańskiej niechętnie pisarzowi odpowiedzi - i jako następstwo tego szereg procesów wytoczonych przez Cooper'a różnym czasopismom o oszczerstwo. Wzajemna niechęć pogłębiała się coraz więcej, i wynikiem tego było właśnie owo lekceważenie publiczności przez żyjącego w ostatnich latach w zupełnej samotności, w osadzie założonej przez jego ojca, w Cooperstown, pisarza.

Ta osada nad brzegiem jeziora Otsego, w stanie nowojorskim, odegrała decydującą rolę w twórczości Cooper'a jako pisarza. Nie urodził się tam wprawdzie, ale jako rocznego chłopca zabrał go tam z sobą ojciec jego, sędzia William Cooper *, kiedy porzuciwszy zawód miejski, poświęcił się wyłącznie pracy osadniczej. Cooperstown było już kresową osadą - i w owych czasach (1790) stosunki życiowe tamtejsze wyglądały tak, jak opisywane przez niego w „The Pioneers” („Osadnicy”). Jeżeli nie widział całego życia wielkiej puszczy, na której skraj budowała się coraz żywiej osada, to wiedzy o nim dopełniały mu opowiadania, które utkwily mocno w głowce nastrojonego na ton romantycznej przygody chłopca. Codzienne życie nie wystarczało mu, widać to z jego stosunku do szkoły. Kilka lat w szkole parafialnej przy kościele św. Piotra w Albany wyrobiło w nim przede wszystkim nienawiść do purytańskiego wyznania i jego przedstawicieli, a pobyt w uniwersytecie Yale, najstarszym, bardzo szanownym uniwersytecie Ameryki Północnej, skończył się po trzech latach przymusowym usunięciem 17-letniego chłopca z zakładu. W tym wieku trzeba jednak było dokończyć jakoś edukacji, i dalszy jej ciąg znalazł Cooper czy na swoje życzenie, czy też wskutek przemyślanego systemu ze strony ojca - w służbie na statku. (Jakże to wszystko dziwnie przypomina karierę Josepha Conrada, który młodość spędził też w egzotycznych stronach, na wygnaniu w Wołogdzie i potem w tym samym wieku popłynął na morze!) Przez pięć lat trwała ta służba morska, najpierw na statku kupieckim, potem już na wojennych statkach amerykańskich, w ciągu której dosłużył się stopnia

kapitana, zwiedził dwa razy Anglię i dużą część wód Ameryki Północnej. Ale druga i ostatnia wojna Ameryki z Anglią z r. 1812 - 4 nie zastała go już na pokładzie wojennego statku, którym dowodził jeszcze w 1811, bo w tym roku ożeniwszy się z miss De Lancey, wystąpił ze służby we flocie, tak że do jego wspomnień morskich nie należała regularna bitwa z nieprzyjacielem, lecz jedynie walki z korsarzami, których w tych czasach snuło się bez końca po Atlantyku, i różne przygody z okrętami wojujących państw, Francji i Anglii, szukających kontrabandy na kupieckich statkach.

Prawie dziesięć lat przeszło późniejszemu pisarzowi na spokojnej i mało denerwującej wtedy pracy obywatela wiejskiego, przeważnie w majątku żony, w okolicy West-Chester, w stanie nowojorskim, która to okolica jest tłem „Szpiega”. Aż zupełnie niespodziewany przypadek sprowadził Cooper’a na właściwą drogę jego istotnego powołania. Czytał swojej żonie jakąś powieść angielską i w krytycznej jej ocenie wyraził się, że potrafiłby napisać lepszą. I żona, uchwyciwszy go za słowo, zaczęła się domagać, aby wykonał swoją przechwałkę. Tak powstała pierwsza powieść Cooper’a: „Precaution” („Ostrzeżenie”, 1820), która naturalnie nie mogła być arcydziełem, jako pierwsza rzecz pisana przez człowieka, który nigdy przedtem nie przemyślał nad podobną pracą, ale która otworzyła Cooper’owi oczy na własny talent. Lekkie, jak wspominałem, obowiązki właściciela dużej farmy nie przeszkadzały mu w oddaniu się twórczości literackiej, w spełnianiu marzenia, które postawiła sobie od razu rozbudzona ambicja, - stworzenia oryginalnej powieści amerykańskiej.

Ambicja była wielka, ale miała wszelkie szansę urzeczywistnienia wobec zupełnego braku dobrej literatury powieściowej rodzimej. Osadnicy amerykańscy byli przecież w ogromnym procencie wychodźcami z Anglii dla pobudek religijnych. Byli to przeważnie purytanie, dla których nie tylko ciężkie warunki życia, ale przede wszystkim ich głębokie przekonanie o nieprawości wszystkiego, co miało swe źródło w fantazji, nie w religijności, czyniło literaturę piękną czymś wprost niedostępnym. Kiedy po wojnie o niepodległość stosunki dobrobytu poprawiły się, kiedy zaczęła się wytwarzać warstwa inteligencji miejskiej par excellence, powieść wkroczyła i do Ameryki, ale nawet wtedy najpocziwszy, najmoralniejszy Richardson, dla którego nie było żadnej wątpliwości co do ustalonych zasad etycznych, winy i kary, nawet jego „Pamela” i „Clarissa Harlowe”, wywołały zgorszenie u purytańskich kaznodziejów, że „pomagają do prowadzenia rozwiązłych i nieprzyzwoitych rozmów”. Za szerszym czytelnictwem wkroczyło i naśladownictwo w tworzeniu - prócz Richardsona, który najwięcej zaważył na szali, także wielcy jego rówieśnicy, Fielding i Smollet, byli wzorami dla niezbyt licznego zastępu pierwszych powieściopisarzy, a właściwie powieściopisarek, które przeważały w tym czasie (podobnie zresztą jak i w Anglii) w zakresie powieści „z życia codziennego”. Nieco inne wzory naśladował najpoważniejszy poprzednik Cooper’a, Karol Brockden Brown. Na tym autorze zrobiła większe wrażenie „powieść grozy” („romance of terror”) rodzaj powieści bardzo modny z

końcem XVIII wieku w Anglii, reprezentowany głównie przez Annę Radcliffe, i bliska tej powieści twórczość bojownika praw skrajnie demokratycznych, Williama Godwina, który w zagmatwanych, zatrącających o nasze pojęcie „kryminalnych romansów” powieściach propagował także swoje idee. Ale wzór jeden i drugi były same przez się bez wielkiej literackiej wartości, i mimo niezaprzeczonego talentu Brockden Brown wypisał się szybko (1797 - 1801), oparłszy się o takie wzory, i przeszedł bez wielkiego wrażenia, stanowiąc może tylko przedsiónek do późniejszej o jedno pokolenie twórczości Edgara Allan Poe.

Nie znaczy to, aby twórczość Fenimore Cooper'a była zupełnie oryginalna i nie wpatrywała się w żaden wzór. Szczęśliwym jednak zbiegiem okoliczności dla niego było, że odpowiedni dla jego talentu wzór ukazał się na kilka lat, zanim zabrał się w ogóle do twórczości literackiej, w postaci powieści historycznej Waltera Scotta. Scott zaczął już od dawna swoją działalność na polu literatury, ale pierwszych kilkanaście lat od 1800 r. począwszy, od wydania „Pieśni kresowych” („The Border Minstrelsy”) poświęcał poezji, stworzywszy w nowym zupełnie rodzaju literackim, powieści poetyckiej, kilka bardzo dobrych nowelek historycznych wierszem. Współzawodnictwo Byrona w „Powieściach wschodnich” z okresu 1812 - 1814 kazało Scottowi zrozumieć, że nie osiągnie już swego dawniejszego rozgłosu po utworach swego wielkiego współzawodnika i przyjaciela zarazem, i dawszy za wygraną na polu powieści poetyckiej, zabrał się do romansu historycznego, którego jest bezwzględnie pierwszym twórcą. W r. 1814 w jesieni ukazał się „Waverley czyli 60 lat temu”, pierwszy bezimiennie wydany romans, i od tej chwili przez 17 lat do śmierci Scotta wychodziły corocznie jedna lub dwie powieści historyczne jego pióra, rozchwytywane przez publiczność angielską, kontynentu europejskiego i amerykańską, stwarzając całe zastępy mniej lub więcej zdolnych naśladowców. Miał przy tym stworzony przez Scotta rodzaj literatury tę właściwość, że w naśladownictwie pozwalał na zachowanie oryginalności pisarza w wielkiej bardzo mierze. Wzór jego bowiem polegał przede wszystkim na metodzie pracy, nie na dostarczaniu motywów, sytuacji, charakterów. Materiał bowiem, który brali naśladowcy Scotta do swoich powieści, czerpali oni z zupełnie innego źródła niż Scott, bo z historii własnego kraju, która ma zawsze swoją odrębną indywidualność - to, co się nazywa oryginalnością. Poza tym ten materiał, który wskazał Scott naśladowcom, był nieprzebranym bogactwem, gdzie różnorodność szczegółów sytuacyjnych, odmian charakterów i motywów ornamentacyjnych była o wiele większa niż w zakresie powieści obyczajowej współczesnej, i autorom o mniejszych nawet talentach dawał możliwość wyboru kongenialnego sobie tematu. Zostało tylko naśladowcom Scotta zastosować jego sposoby zainteresowania czytelnika, utrzymywać równowagę między tłem, a samą akcją, umiejętnie wprowadzać epizodyczne figury w ciąg powieści, a przede wszystkim umieć malować prawdziwe tło historyczne, t. j. o tyle prawdziwe, o ile ówczesny stan wiedzy historycznej o kulturze i obyczajach dawnych wieków pozwalał. Ten ostatni szczegół techniki Scotta był do naśladowania najtrudniejszy, i tylko ci,

którzy go pokonali szczęśliwie, zasłużyli sobie na imię wielkich pisarzy. Do nich należał także i Cooper.

Pierwsza powieść W. Scotta nosiła podtytuł „70 lat temu”, miała bowiem za temat ostatnie powstanie Szkotów przeciw angielskiemu rządowi z r. 1745, kiedy to w obronie praw do tronu ostatniego Stuarta, wnuka wygnanego Jakuba II (r. 1688) a zarazem prawnuka naszego króla Jana III przez matkę swoją, ks. Karola Edwarda, stanęła poważna część klanów przeciw niechętnie nawet w Anglii widzianemu Jerzemu II, z linii hanowerskiej, Scott był lojalnym zwolennikiem linii hanowerskiej, - niemniej jednak „romantyczność” powstania ostatniego „błędnego księcia” przemówiła do jego fantazji, i stara Szkocja w „Waverley’u” mieni się wszystkimi barwami tęczy uroku poetycznego, tęczy opartej o kamienne fundamenty sympatii dla powstańców, łączącej się jednak ze zrozumieniem i przeciwnej strony. Dla amerykańskiego naśladowcy cóż było bliższego od tematu powstania amerykańskich koloni, tym świetniejszego, że uwiecznionego wspinałym zwycięstwem uzyskania niepodległości przez kolonie, co było pierwszym nieznanym przedtem wypadkiem historycznym. Wziął zatem z niego Fenimore Cooper jeden epizod „romantyczny”, historię tajemnego szpiega Washingtona, Harveya Birch’a i dorobiwszy do niej akcję taką, aby działalność „szpiega” miała sposobność się rozwinąć, stworzył swoją pierwszą powieść historyczną: „The Spy” w 1821 r. i tym dziełem i tą datą rozpoczął epokę oryginalnej powieści amerykańskiej w wielkim stylu.

Powodzenie bezimiennie wydanej powieści było ogromne, zresztą zupełnie słusznie - i zachęcony nim Cooper nie wypuszczał odtąd, na wzór swego szkockiego mistrza, pióra z ręki aż do samej śmierci, twórczość na polu czystego romansu przegradzając od czasu do czasu wspomnianymi wyżej satyrycznymi dziełami i zupełnie już pozbawioną elementu powieściowego polemiką. Ale różnice wartości pomiędzy tymi przeszło 30-ma romansami są większe niż u Scotta. Słabe są zupełnie powieści obyczajowe, które się jeszcze mimo niezbyt udanej próby z pierwszą „The Precaution” czasem, choć rzadko, trafiają; zupełnie przeciętne są trzy powieści zaczerpnięte z tematów „europejskich” („The Bravo” 1831, „The Heidenmauer” 1832, i „The Headsman” 1833), będące owocem 7-letniego pobytu Cooper’a we Francji, gdzie w latach 1826 - 1833 zajmował stanowisko konsula w Lyonie, co było tylko nominalną funkcją urzędową i pozwalało pisarzowi na zupełnie swobodne podróżowanie i zajmowanie się literaturą.

Twórczość oparta o motywy amerykańskie dzieli się według swoich tematów na trzy odrębne grupy. Jedną z nich, stosunkowo najslabszą, to próby, w stylu kresowej szkocko-angielskiej legendy Scotta, stworzenia legendy trzynastu pierwszych stanów, założycieli późniejszych wielkich Stanów. Zaczął ten szereg, oparty o gruntowne studia „Pułkownik Lincoln” (1825), ale niezbyt gorące przyjęcie sprawiło, że plan ten wykonał tylko częściowo po kilku latach przerwy. Poszczególnymi ogniwami tej serii są tylko: „The Wept of Wish-to-Wish” (1829), „The Water Witch” (1830). Drugą grupę stanowią powieści morskie; zaczynają się wspomnianym „Pilotem”

(1824), z byroniczną postacią bohatera (wpływ Byrona był w Ameryce wtedy tak samo silny jak na kontynencie europejskim), wkrótce potem osiągnął szczyt powodzenia w „Czerwonym Korsarzu” (1828), niezapomnianym dla nikogo, kto go czytał w dzieciennych latach przez rys „gentlemaństwa” w wykonywaniu zawodu i swoje zamiłowanie do muzyki operowej, - i po dłuższej przerwie wypełniają razem z dziełami trzeciej grupy drugi okres wzmożonej działalności literackiej ostatnich dziesięciu lat przed śmiercią; „Dwaj Admirałowie” (1842) „Wing-and-Wing” (1842), a przede wszystkim pisany w formie autobiografii Milesa Wallingforda „Afloat and Ashore” (1844) odznaczają się przepysznymi scenami z życia morskiego, znakomitymi opisami bitew morskich. Ta ostatnia powieść porusza także bolesny dla kultury anglosaskiej temat t. zw. „impressment”, porywania ludzi z nadbrzeżnych osad przemocą do służby we flocie wojennej. I tu jest kilka słabych powieści, jak: „Mercedes of Castile” (1848) z historii wyprawy Kolumba lub „The Crater” (1847), naśladownictwo Robinsona.

Największą chwałę Cooper’a jednak stanowi trzecia grupa - utwory oparte o temat walki osadników amerykańskich z nowymi, nieznanymi im warunkami życia, walki z borem, z potężną, zupełnie nieokiełznaną przyrodą, walki z mieszkańcami kolonizowanej ziemi. Jeśli szczęśliwym był chwyt Cooper’a za tematy morskie, w których opracowaniu pomagało mu własne doświadczenie, to jest, jeżeli szczęśliwym było oparcie się o autobiograficzne przeżycia, to jeszcze szczęśliwszym było krokiem zwrócenie się po tematy z historii osadnictwa, którą znał tak dobrze z legendarnej strony i na którą patrzył poprzez romantyczną mgłę wspomnień dziecięcych. Można niemal powiedzieć, że zajęcie się Cooper’a tym tematem było nieuniknioną konsekwencją, z chwilą gdy za swój wzór obrał Scotta. Jak Scott po „Waverley’u” cofnął się śmiało w czasy wcześniejszej historii Szkocji i Anglii, tak i Cooper zapragnął po „Szpiegu” uczynić to samo. Dodajmy przy tym, że zwycięska amerykańska wojna, jak każda zwycięska wojna, nie stwarza wielkiej powieści historycznej o sobie w krótkim odstępie czasu. Jest coś jak gdyby wstydlivego w zwycięstwie z powodu przelanej krwi, choćby w najszlachetniejszym celu, jest jak gdyby za mało elementu sympatii, mogącej powstać w duszy czytelników dla bohaterów zwycięskich, aby móc zupełnie stłumić budzące się uczucie sympatii dla pokonanych. W „Szpiegu” widać dobrze walkę tych dwu elementów uczucia, jednorodnych a przecież odmiennych, co i sam Cooper musiał odczuwać. Wszystko to złożyło się na to, że do następnej swej po „Szpiegu” powieści (pomijam „Imagination and Heart” z r. 1822) cofnął się po temat do przeszłości osadników amerykańskich. Prawda, że akcja „Osadników” (1823) („The Pioneers”, co ma zupełnie specjalne znaczenie w amerykańskim społeczeństwie i pochodzenie z rodzin „pionierów” stanowi pewien tytuł do sui generis arystokracji w tym demokratycznym społeczeństwie) - otóż prawda, że akcja tej powieści rozgrywa się w 1793 roku, zatem po wypadkach opisanych w „Szpiegu”, ale istotą jej jest sposób życia „kresowców”, który oni wiedli od całych pokoleń, tych „kresowców”, którzy nawet w wojnie o niepodległość nie brali udziału,

nie mogąc sobie w walkach codziennego życia na ten polityczny „zbytek” pozwolić. Jak dalece to życie było odmienne od życia współczesnego zachodnich stanów, które wywalczyły niepodległość, świadczy fakt, że Cooper, kiedy w szeregu dalszych ciągów i uzupełnień swojej pierwszej powieści „kresowej” planował pierwotnie udział jej bohatera w wojnie o niepodległość, przecież nie umiał nieistniejącego historycznie faktu ubrać w formę powieściową - i zamiar pozostał niewykonany. W chwili gdy pisał „Pionierów”, nie myślał Cooper jeszcze o niej jako jednej tylko części pentalogji, ale postać Natty Bumppo, skombinowana z całego szeregu opowiadań i znajomości Cooper’a z Cooperstown, zawierała w sobie, jako typ, tyle możliwości, że wystarczyło ich później na dalsze cztery powieści. Ujęcie tematu w „Osadnikach” świadczy o tendencji krytycznej umysłu powieściopisarza, która, jak wspomniałem, rozwinęła się później w silną satyrę nowego społeczeństwa. Natty Bumppo, przedstawiciel warstwy, żyjącej według prawdziwych zasad chrześcijańskich, naturalnych – można by nazwać, bo przez współżycie z naturą wzmocnionych i utwierdzonych silnie w duszy - żyjącej według praw natury surowych, ale dobroczynnych zarazem, musi ustąpić w walce z zepsutą „nową” cywilizacją, wpierającą się w osiedla kresowe w ślad za twardą pionierską pracą w postaci ludzi, chcących korzystać ze znoju poprzedników, i udaje się w stepy, opuszczając ukochany bór, którego wszystkie posiadał tajemnice. Te dwa elementy społeczeństwa amerykańskiego: idealistyczny, bliżej związany z przebogatą naturą Ameryki i pracą ceniący jako świętość, i ten drugi, nie w pracy, ale w pieniądzu widzący swój cel, materialistyczny element „business’u”, których mieszanina, zawarta już w anglosaskim macierzystym pokoleniu, nabrała jeszcze dziwniejszych odcieni w egzotycznym życiu koloni, a która tak przeraża swoją niezrozumiałością obserwatora z kontynentu europejskiego, zawarta jest już w śmiałej syntezie w „Osadnikach”. Stąd ta czwarta powieść z cyklu ma największe znaczenie, ale dodajmy zaraz, że właśnie z powodu tej swojej ideowości najmniej jest przez młodzież lubiana. Zachęcony prośbami przyjaciół, Cooper zaczął rozsnawać historię życia Natty Bumppo, owej „Długiej Rusznicy”, „Sokolego Oka”, „Skórzanej Pończochy”, czy jak się on we wszystkich częściach tej powieści nazywa. Jako sukces powieściowy przewyższyła pierwszą powieść druga z rzędu: „Ostatni z Mohikanów” (1826), która przedstawia nam Nataniela w kwiecie wieku jako trzydziestoletniego mężczyznę i na tle bardzo zajmującym bo wojny francusko-angielskiej o Kanadę z 1757 r., stanowiącej epizod wojny 7-letniej, a zakończonej zdobyciem Kanady przez Anglię. Problem szlachetnego dzikiego, w stylu Rousseau’a w postaci młodego Unkasa miał stanowić myśl przewodnią powieści, ale na szczęście ustąpił miejsca świetnemu dramatycznemu opowiadaniu, które stanowiło jedną z najulubieńszych książek przez całe pokolenie od 1826 r. do połowy XIX wieku. Następny rok (1827) ujrzał ostatnią część pentalogji: „Stepy”. Stepów Cooper jeszcze nie znał wtedy, gdyż zwiedzał je dopiero później, ale słyszało nich wiele, o tych rozciągających się po za borem preriach, żyjących swoistym życiem. Tam na stepach na początku XIX wieku (bo akcja odbywa

się w 1803) umieścił też Cooper rodzinę amerykańskich osadników, ale nie takich, którzy się „nie nadawali do nowej cywilizacji z powodu swoich cnót, jak Natty Bumppo, ale z powodu swoich występków”. Dla niego, który rozumiał bór i ciężką z nim walkę, będącą zarazem przecież wyrazem wielkiej ku niemu miłości, były stepy raczej miejscem wygnania, jakimś elementem niespokojnym, nieustalonym, chaosem, kryjącym w sobie przyszłość, ale na razie ciemnym, niepewnym. „Stepy” są raczej znowu jedną z pieśni eposu o osadnictwie, więcej zbliżoną do „Pionierów” i cenniejszą pod tym względem od „Ostatniego z Mohikanów”, choć artystycznie mają mniej pięknych ustępów; dodać jednak trzeba, że do najlepszych kart w całym cyklu należy śmierć Nataniela w tej powieści. - Po długiej przerwie trzynastu lat powrócił Cooper jeszcze raz do swojej ulubionej postaci i z życia jej wybrał najwcześniejszą młodość. W 1840 powstał „The Pathfinder” („Dostrzegacz” - „Jezioro Ontario”), w rok potem ostatnia już powieść, dzisiaj stanowiąca pierwszą część cyklu: „The Deerslayer” („Pogromca Zwierza”). W obu tych powieściach element „problematów” znikł zupełnie - Natty Bumppo jest w pełnej młodości, to też powieści wypełnia czysta „przygoda”, miłość i wojna, ale miłość z „Jeziora Ontario” daje Natanielowi tylko sposobność do czynu poświęcenia, a miłość w „Pogromcy Zwierza” jest tylko lekko naszkicowana. W tej ostatniej powieści jednym z najważniejszych momentów jest zabicie po raz pierwszy człowieka przez Nataniela, wychowanego wśród szlachetnego plemienia Delawarów. Odtąd zacznie się kariera, pełna poświęcenia dla drugich, która z Nataniela zrobiła coś na kształt błędnego rycerza. I choć ostatnie części cyklu dają inny nieco rysunek duchowy „Pogromcy Zwierza”, przecież przy kolejnym czytaniu nie dostrzega się tej różnicy wobec entuzjazmu, jaki wywołuje w nas rycerskość Nataniela z wczesnych lat. Dla nas zwłaszcza, którzy kresowość rozumiemy lepiej niż inne narody, i kresowość nieodmiennie łączymy z pojęciem rycerstwa, postać Nataniela jest czymś bardzo naturalnym i bardzo bliskim. Zapominamy o tym, że stanowisko autora względem Indian nie jest zupełnie sprawiedliwe, że światło i cień rozdzielone są za ostro, że za dużo jest Indian okrutników i zbrodniarzy, za mało „szlachetnych dzikich”, - zapominamy o tym w powieści owej „rycerskości kresowej”, w której romantycznym blasku żaden wróg nie jest zanadto nędzny, żaden przeciwnik zanadto godny pogardy.

Z innych „kresowych” powieści żadna nie dorasta już poziomu owego cyklu, który w przeróbce kontynentalnej europejskiej uzyskał nazwę „Mieszkańca puszczy”; nie dorasta ani „Wyandotts” (1843), zbliżona tematem do „Pionierów”, ani „The Oak-Openings” (1848), ostatnia posiadająca większą wartość powieść, mająca za temat ciekawe życie najnowszej wtedy warstwy osadniczej nad jeziorem Michigan, które poprzedniego roku Cooper zwiedzał. Jedyne tylko pierwsza część trylogii noszącej tytuł zbiorowy: „The Littlepage Manuscripts”, składającej się z „Satanstoe” (1824), „The Chainbearer” (1846) i „The Redskins” (1846), zbliża się do wielkiego dzieła Cooper’a, stojąc może nieco wyżej pod względem artystycznej formy przez

bardzo szczęśliwy pomysł specjalnego stylu pamiętnikarskiego, charakteryzującego wprost samego bohatera powieści. „The Littlepage Manuscripts” to historia trzech pokoleń w stanie nowojorskim, spisana przez nich samych pamiętnikowo - to próba wcale udała epopei kolonii amerykańskiej jako zbiorowiska w drugiej połowie XVIII i pierwszej XIX wieku.

Kilka słów objaśnienia należy się jeszcze powieści, którą ten wstęp poprzedza. Ponieważ cały jej interes polega na zawikłaniu intrygi, nie mogę go tu rozbijać przez zaznaczenie pewnych błędów fabuły i wadliwej charakterystyki głównych osób, co wymagałoby zdradzenia wiązań powieści przed czasem. Pozostawiając zatem tę kwestię na boku, chciałbym tylko przypomnieć czytelnikowi, że powieść ta ukazała się przed stu laty, że zatem nie może być poczytywany za błąd uderzający brak psychologicznego rysunku; że wszystkie procesy duchowe odbywają się niejako na „powierzchni”, że mamy do czynienia jedynie z „markowaniem” za pomocą słów i gestów zewnętrznych - przeżyć psychicznych, to nie wina autora, ale owej epoki, błąd to zresztą wszystkich późniejszych pisarzy angielskich, który późno, bo dopiero pod koniec XIX wieku wypełnił w literaturze anglosaskiej Amerykanin, żyjący jednak stale w Londynie, Henry James, twórca powieści psychologicznej angielskiej. Chciałbym też uprzedzić czytelnika, że to, co się może wydawać nieprawdziwymi szczegółami w przedstawieniu wojennego tła, jest jednak bardzo małym odchyleniem od rzeczywistości. Pewnego rodzaju brak grozy w przedstawieniu walki o niepodległość odpowiada rzeczywistemu charakterowi walki, która toczyła się przecież między rodami. „Insurgenci” byli stosunkowo niewielką z początku grupą; poważną większość stanowili lojalni zwolennicy rządów angielskich, którzy między sobą różnili się wprawdzie odcieniami lojalności, ale w ogóle byli przeciwni oderwaniu się od macierzy. Okolice West Chester, w której się akcja odgrywa była jedną z największych ostoji zwolenników ancien régime’u, z niej pochodził jeden z najwybitniejszych pisarzy po stronie rojalistów, pastor Seabury, podpisujący się na swoich gwałtownie zwalczających Kongres pismach jako „Westchester Farmer”. Sam przebieg działań wojennych przy niedaleko nośnej broni palnej, ręcznej i armatniej, przy małych ilościach żołnierzy, miał też zupełnie odmienny charakter od wojen drugiej połowy XIX wieku i naszej „wielkiej wojny”. Mała skala bitew, właściwie utarczek, pozwalała na stwarzanie z nich jak gdyby widowiska, na które przyjeżdżano się przyglądać, jak świadczą współczesne pamiętniki, np. pamiętniki rodziny Edgeworthe’ów o powstaniu irlandzkim w 1798 r. To też całe zachowanie się rodziny Wharton’ów wobec działań wojennych nie ma w sobie nic nienaturalnego, taki np. obiad, w którym biorą udział wojskowi angielscy jako więźniowie i oficerowie amerykańscy, z pewnością był autentycznym szczegółem. Nawet niejasność, z jaką są rzucane pewne szczegóły tej wojny, świadczy, że Cooper daje wierny jej obraz; widać, że nie układał tych szczegółów dokładnie w wyobraźni, lecz zaznaczał je tylko, jako rzeczy dobrze znane swojemu pokoleniu. I dlatego „Szpieg” Cooper’a, pominiawszy już jego wartość jako dobrze zbudowanej powieści, ma jeszcze wartość dokumentu historycznego;

mimoходом, wbrew zamiarom autora, któremu chodziło przede wszystkim i jedynie o fabułę, zarysowuje się przed nami obraz powstania z bronią w ręku, z jego jasnymi i ciemnymi stronami. Tych ciemnych stron jest może nawet więcej niż jasnych. I z takiego przedstawienia rzeczy bije świeże źródło zdrowego optymizmu. Widząc, jak pięknie i wspaniale rozrosły się wolne, demokratyczne Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, z ciężkich, ciemnych, przykrych epizodów walki domowej o niepodległość, nabieramy otuchy, że z dni chaosu i zamętu wyłoni się przecież zawsze piękny nowy świat, że wcieleniu się w życie wielkiej idei towarzyszą zawsze zjawiska brudne, nawet wstrętne, ale że te zjawiska w swojej negatywnej formie są krótkotrwałe, a po ich koniecznym upadku pozostaje na zawsze wielka, szlachetna idea.

Andrzej Tretiak.

WSTĘP

*„Jestże gdzie człowiek z duszą tak umarłą,
Któryby nigdy nie rzekł sam do siebie:
To jest mój własny, mój rodzinny kraj. „*

Cnota na szczęście jest równie pociągającą, jak zaraźliwym jest występki. Gdyby nie ten pocieszający wpływ, to przy wrodzonej ludziom skłonności do złego, nadzieje mądrych i szlachetnych umysłów na stopniowe zwycięstwa sprawiedliwości, rozwój filantropii, nigdy by się zapewne nie ziściły.

Ze wszystkich wzniosłych uczuć miłość ojczyzny jest najpowszechniejszym. Wszyscy jednoznacznie podziwiamy człowieka, poświęcającego się dla dobra społeczeństwa, do którego należy; i wszyscy bezwzględnie potępiamy tego, który z jakichkolwiek pobudek podniesie ramię lub obróci swe zdolności przeciwko krajowi ojczystemu. Najdumniejsze imiona i najpiękniejsze nadzieje padły pod obuchem oskarżenia o zdradę. Uwielbiamy Rzymianina, który umiał poświęcić najbliższe związki krwi na ołtarzu ojczyzny, ale męstwo i powodzenie Korjolana gasną w obliczu jego przemiany.

W prawdziwym patriotyzmie jest coś, co podnosi jednostkę ponad wszystkie samolubne względy, które z natury rzeczy muszą tkwić zawsze w uczuciach rodzinnych i osobistych. Ma on w sobie piękno samo poświęcenia bez najmniejszej domieszki osobistego interesu.

Przed wielu laty autor tej książki przebywał w gościnie u znakomitego męża, który odznaczył się tą właśnie cnotą podczas najciemniejszych dni rewolucji amerykańskiej, jak również wysokim stanowiskiem, jakie zajmował w owych pamiętnych czasach. Pewnego razu rozmowa zesłała na temat wpływów, jakie polityka wywiera na charaktery, i na uszlachetniające działanie miłości ojczyzny, skoro uczucie to obudzi się w narodzie.

Ten, którego wiek, zasługi i znajomość ludzi czyniły najodpowiedniejszym do zabierania głosu w podobnej rozmowie, głównie ją też podtrzymał. Zaznaczywszy znamienity wpływ, jaki wielka walka narodu podczas wojny 1776 r. wywarła na pojęcia i postępy tłumów, które przedtem pochłaniała wyłącznie pozioma troska o potrzeby życia, opowiedział nam jako przykład historię, której prawdziwość mógł poręczyć jako jeden z biorących w niej udział.

Zatarg pomiędzy Anglią a Zjednoczonymi Stanami Ameryki, aczkolwiek nie będący ściśle rodzinnym, miał wiele pozorów wojny domowej. Chociaż naród amerykański nie podlegał nigdy konstytucyjnie i właściwie narodowi angielskiemu, mieszkańcy obu tych krajów byli poddanymi wspólnego króla, a ponieważ Amerykanie jako naród nie chcieli uznać tego poddaństwa, Anglicy zaś uznali za słuszną poprzec swego monarchę w usiłowaniach odzyskania władzy, większość charakterystycznych cech wewnętrznej wojny znalazła zastosowanie w tym zatargu. Znaczna ilość emigrantów europejskich osiedlonych w koloniach oświadczyła się za koronę, i było wiele miejscowości, w których wpływy ich w połączeniu z wpływami Amerykanów nie chcących wyrzec się przynależności do Anglii, przeważały stanowczo szalę na stronę królewską. Ameryka była wówczas państwem zbyt młodym i zbyt potrzebującym każdego serca i każdej ręki, by obojętnie odnosić się do tych odszczepieńczych, aczkolwiek w gruncie rzeczy nielicznych objawów. Zło powiększała gorliwość Anglików w korzystaniu z tych wewnętrznych nieporozumień, i stało się ono podwójnie ważnym, gdy przekonano się, że przedsięwzięte były kroki celem uruchomienia wojsk prowincjonalnych, by te w połączeniu z armią europejską zgmiotły w zarodku młodą republikę. Kongres wówczas powołał specjalną tajną komisję dla przeciwdziałania tym właśnie zakusom. Przewodniczącym owej komisji był pan X., ten, który nam opowiedział poniższą historię.

Przy pełnieniu tych ważnych obowiązków pan X. posługiwał się agentem, którego czynności niewiele różniły się od czynności pospolitego szpiega. Człowiek ten, jak łatwo odgadnąć, należał do sfery ludzi, którzy mniej niż inni wzdragać się mogli podjęcia tak dwuznacznych obowiązków. Był biedny, niewykształcony, ale przebiegły, sprytny i nieustraszony z natury. Zadaniem jego było dowiadywać się, w jakich okolicach kraju agenci koronni starali się potajemnie zaciągać mężczyzn do wojska królewskiego, a zjawiwszy się tam, udawać gorliwego stronnika korony i tą drogą dowiadywać się możliwie najdokładniej o nieprzyjacielskich planach. Te, oczywiście, komunikował swoim zwierzchnikom, ci zaś przedsięwzięli środki unicestwiania tych knoń, częstokroć z wielkim powodzeniem.

Łatwo zrozumieć, że tego rodzaju służba połączona była z wielkim osobistym niebezpieczeństwem; niezależnie od możliwości wykrycia prawdy, groziła tu co chwila obawa popadnięcia w ręce Amerykanów, którzy nieodmiennie karali tego rodzaju przestępstwa, popełniane przez miejscowych mieszkańców, o wiele surowiej, niż gdy chodziło o europejskiego szpiega.

Jakoż w istocie władza miejscowa niejednokrotnie aresztowała agenta pana X. a raz nawet rozgoryczeni rodacy skazali go na szubienicę. Jedynie szybkie i tajemne rozkazy, przesłane samemu nadzorcy więzienia, ocaliły biedaka od haniebnej śmierci. Pozwolono mu umknąć, a to pozorne i w istocie rzeczywiste niebezpieczeństwo było mu wielką pomocą w podtrzymaniu następnie przybranego charakteru wobec Anglików.

W najbliższym otoczeniu uchodził za śmiałego i zatwardziałego torysa. W ten sposób służył potajemnie ojczyźnie podczas pierwszych lat wojny, żyjąc w niezasłużonej wzdardzie i wśród grożących mu co chwila niebezpieczeństw.

W roku... pan X. otrzymał wysokie i zaszczytne stanowisko przy jednym z europejskich dworów. Przed opuszczeniem miejsca w Kongresie opowiedział swoim kolegom powyższe okoliczności, zataiwszy nazwisko swego agenta. Zażądał odpowiedniego wynagrodzenia dla człowieka, który oddał tyle cennych usług z tak wielkim narażeniem własnego życia. Uchwalono dosyć poważną sumę i powierzono ją przewodniczącemu dla doręczenia.

Pan X. przedsięwziął należyte środki ostrożności, by porozumieć się osobiście ze swoim agentem. Spotkali się w lesie o północy. Tu pan X., pochwaliwszy towarzysza za jego wierność i zręczność, wyjaśnił mu powody, dla których musi wyrzec się dalszych jego usług, i wreszcie wręczył mu pieniądze. Tamten cofnął się i nie chciał ich wziąć. „Kraj potrzebuje tego złota”, rzekł, „ja zaś mogę pracować i zarobić na życie w różny sposób”. Nic nie pomogły nalegania; patriotyzm górował ponad wszystkimi innymi uczuciami tego niepospolitego człowieka. Pan X. odszedł, zabierając złoto i unosząc w duszy głęboki szacunek dla tego, który bezinteresownie narażał życie, służąc wspólnej sprawie.

Piszący te słowa ma pewne dane mniemać, że agent pana X. zgodził się ostatecznie na przyjęcie zapłaty, ale było to dopiero wtedy, gdy kraj był w możności uiścić ją.

Zbytecznym byłoby dodawać, że tego rodzaju fakt, po prostu lecz dosadnie opowiedziany przez jednego z głównych w nim aktorów, wywarł głębokie wrażenie na wszystkich słuchaczach. W wiele lat potem, okoliczności zgoła przypadkowej natury, i które byłoby rzeczą zbyteczną przytaczać tutaj, skłoniły autora do napisania powieści, ta zaś, stała się - czego wówczas nie przewidywał - pierwszą z dość długiego szeregu następnych. Te same przypadkowe okoliczności, które wpłynęły na pojawienie się książki, rozstrzygnęły o jej tle i ogólnym charakterze. Akcja przeniesiona została na grunt cudzoziemski i autor starał się skreślić w niej cudzoziemskie obyczaje. Po wydrukowaniu powieści przyjaciele autora zaczęli czynić mu zarzuty, że on, Amerykanin z urodzenia i z przekonania, dał światu dzieło, które może w pewnym stopniu podziałało na młode i niedoświadczone wyobraźnie jego rodaków, budząc w nich zajęcie obrazami zaczerpniętymi z obcych im zupełnie stosunków. Autor, który wiedział, jak dalece to co uczynił było czysto przypadkowe, wziął jednak do serca ten zarzut i jako jedyne zadośćuczynienie w jego mocy, postanowił napisać drugą książkę, której treść nie nastęczałaby już pola do żadnych tego rodzaju uwag. Obrał tedy uczucie patriotyzmu za temat, i ci wszyscy, którzy czytają ten wstęp i książkę, odgadną wnet, że wziął bohatera powyżej przytoczonej opowieści jako najwymowniejszy przykład tej szczytnej cnoty.

Po ukazaniu się „Szpiega” poczęto domniemywać się różnych osób, które jakoby autor miał na myśli, pisząc tę powieść. Ponieważ pan X. nie wymienił nazwiska swego agenta, autor

pozostał na zawsze w zupełnej nieświadomości pod tym względem. Zarówno Washington jak sir Henryk Clinton mieli znaczną liczbę tajnych emisariuszy, gdyż w wojnie, posiadającej tyle cech domowego zatargu, w której w obu walczących stronach byli ludzie jednej krwi i języka, nie mogło być inaczej.

Autor przejrzał starannie styl powieści w niniejszym wydaniu. Pod tym względem starał się uczynić ją godniejszą łaskawego przyjęcia, jakiego doznała; aczkolwiek zmuszony jest wyznać, że pozostało tu jeszcze dużo do życzenia, szczególnie na punkcie budowy samej powieści; lecz zachodziła tu też sama trudność, co z wielu zrujnowanymi gmachami, które łatwiej byłoby przebudować na nowo niż je reparować. Dziesięć lat to ogromny przeciąg czasu, jeżeli się zważy na wielkie zmiany, jakie w trakcie tego zaszły w Ameryce, a wśród ogólnego postępu i literatura nie pozostała w tyle. Kiedy jednak powieść niniejsza była pisana, wydanie oryginalnego utworu tego pokroju tak mało mogło liczyć na powodzenie, że kilka miesięcy od wydrukowania pierwszego tomu „Szpiega” minęło, nim autor zdecydował się przystąpić do napisania drugiego. Wiadomo bowiem, że trudy poniesione bez odpowiedniej wewnętrznej podniety rzadko kiedy godne są tego, który je ponosi, jakkolwiek skromnymi mogłyby być jego ogólne zasługi.

Jaśniejsza przyszłość świta teraz nad republiką i dąży ona szybkim krokiem do zajęcia wśród narodów tego miejsca, do którego przeznaczyła ją natura i do którego nieuchronnie zmiernają jej instytucje. Jeżeli za dwadzieścia lat wstępne te słowa dostaną się w ręce jakiego Amerykanina, uśmiechnie on się z pewnością na myśl, że rodak jego wahał się z ukończeniem tak już daleko posuniętej pracy po prostu dlatego, że nie dowierzał, czy książka, opisująca rzeczy ściśle ze sprawami jego kraju związane, obudzi dostateczne w tymże kraju zainteresowanie.

Paryż, 4-go kwietnia 1831r.

ROZDZIAŁ I.

*„A choć wśród zupełnego spokoju
myśli, wyniosłe rysy mogą zdradzić
czasem duszę ongi porywczą –
ziemski to ogień, który niknie
w promieniach umysłowości, jak blednie
ogień Etny w blaskach
powstającego dnia”.*

Gertruda z Wyoming.

Na schyłku 1780 roku samotny podróżny jechał konno doliną West - Chester'u *. Wschodni wilgotny wiatr, dmący ze wzrastającą siłą, był niewątpliwą zapowiedzią zbliżającej się burzy, która jak zwykle mogła potrwać dni kilka, a doświadczone oko podróżnego na próżno usiłowało dojrzeć w wieczornym mroku przyzwoite schronienie przed deszczem, poczynającym już drobno padać poprzez gęstą mgłę, która jak płaszczem okryła całą okolicę. Nic jednak widać nie było prócz lichych klitek uboższych warstw ludności, z którymi w tym bezpośrednim sąsiedztwie nie wydawało się podróżnemu rozsądnym i bezpiecznym wchodzić w zetknięcie.

Hrabstwo West - Chester po opanowaniu wysepki New-Yorku * przez Anglików stało się polem, na którym obie strony walczyły do końca rewolucyjnej wojny.

Znaczna część mieszkańców, czy to krępowana związkami rodzinnymi, czy też powodowana obawą, udawała neutralność, której nie czuła. Niżej położone miasta były oczywiście bardziej pod władzą korony, kiedy wyższe, czując się bezpieczniejsze w sąsiedztwie wojsk lądowych, śmiało objawiały swe rewolucyjne przekonania i swe prawa do własnego rządu. Wielu jednak mieszkańców nosiło maski, których nie zrzucili po dziś dzień, a niejeden osobnik legł w grobie z piętnem wroga praw swoich rodaków, kiedy potajemnie był użytecznym działaczem na korzyść przywódców rewolucji, i nawzajem, gdyby światło dzienne mogło być przeniknąć do miejsc spoczynku wielu zagorzałych patriotów, wyszłyby tam na jaw niedwuznaczne koronne sympatie, ukryte pod stosami angielskiego złota.

Tu i ówdzie na odgłos tętentu szlachetnego rumaka, jakiego dosiadał podróżny, uchylały się ostrożnie drzwi dworków, koło których przejeżdżał, gospodyni przypatrywała się bacznie obcemu wędrowcowi, poczym odwracając twarz, udzielała spostrzeżeń swych mężowi, ten zaś, przyczajony w głębi domostwa, trzymał się w pogotowiu do szukania w razie potrzeby zwykłej kryjówki w sąsiednich laskach.

Dolinka znajdowała się pośrodku hrabstwa, dość blisko obu walczących armii, wskutek czego zwrot skradzionych rzeczy bywał tam na porządku dziennym. Co prawda, nie zawsze odzyskiwano te same przedmioty, zawsze jednak właściciel otrzymywał jakieś odszkodowanie, częstokroć z okazałym naddatkiem, za czasowe użytkowanie z jego własności. Krótko mówiąc, prawo w owej okolicy było czasowo zawieszane, a wymiar sprawiedliwości podlegał osobistym interesom i namiętnościom silniejszego.

Pojawienie się obcego jeźdźca o wątpliwym wyglądzie i dosiadającego rumaka, który acz bez wojennego rynsztunku miał coś ze śmiałej i stanowczej postawy charakteryzującej jego pana, wzbudziło pewien popłoch wśród mieszkańców tych różnych domostw, a tu i ówdzie, gdzie sumienie zdradzało niezwykłą czujność, popłoch ten mocno był podszyty strachem.

Wszelako jeździec, znużony całodzienną podróżą i pragnący co prędzej schronić się przed deszczem, który teraz rozpadał się na dobre, uznał za konieczne zażądać wstępu do pierwszej siedziby ludzkiej, jaką napotka.

Sposobność nie dała długo czekać na siebie; wjechawszy przeto w zaniedbaną zagrodę zastukał głośno do wchodowych drzwi lichego domostwa, nie zsiadając z siodła.

W odpowiedzi na to wezwanie ukazała się w progu niewiasta w średnim wieku o wyglądzie nie o wiele więcej zachęcającym niż jej mieszkanie. Ujrawszy przy świetle płonącego wewnątrz ogniska jeźdźca tuż pod swoim progiem, przymknęła drzwi szybko i z wyrazem przerażenia, połączonego z ciekawością, na twarzy zapytała, czego sobie życzy.

Pomimo prawie natychmiastowego zamknięcia drzwi podróżny zdążył zajrzeć do środka i to co tam zobaczył, zgoła ponętym nie było; nie miał jednak wyboru wobec coraz gwałtowniejszej ulewy i zgęszczających się ciemności, więc ze źle ukrytą niechęcią wyłuszczył swe żądanie. Ale nim skończył mówić, przerwała mu jeszcze niechętniejsza odpowiedź:

- Nie mam wcale ochoty dawać schronienia nieznanym w dzisiejszych, niebezpiecznych czasach - rzekła ostrym, zręcznym głosem niewiasta. - Jestem sama lub tak dobrze jak sama, bo prócz starego nie ma nikogo w domu, ale o pół mili dalej jest dom, gdzie pan znajdzie przytułek i to za darmo. Łatwiej to im przyjdzie, a i mnie to będzie bardziej na rękę, bo jak już powiedziałam Harveya nie ma, chociaż czemu się ten chłopak włóczy po świecie zamiast ustatkować się i prowadzić porządne życie jak inni mężczyźni w jego wieku i położeniu, to radabym wiedzieć! Ale Harvey Birch musi zawsze postawić na swoim, i już umrze, jak jest, włóczęgą.

Jeździec, otrzymawszy udzieloną mu wskazówkę, nie czekał dłużej i zawrócił zwolna konia

ku furtce, otulając się fałdami obszernego płaszcza, gdy coś w gadaniu niewiasty zwróciło jego uwagę.

- Więc to jest mieszkanie Harveya Bircha? - zapytał jakby mimowoli, i wstrzymał się, by nie powiedzieć nic więcej.

- Mieszkanie jak mieszkanie - odrzekła tamta, szybko nabierając oddechu w piersi, jak ktoś co się kwapi z odpowiedzią, - bo jego tu prawie nigdy niema, że zaledwie mogę go sobie przypomnieć, gdy czasem przyjdzie mu do głowy pokazać się biednemu, staremu ojcu i mnie. Ja tam o to nie dbam - skreć pan w pierwszą furtkę w lewo - nie, wcale o to nie dbam, czy Harvey pokaże się tu, czy nie, jeszcze czego!

I z tymi słowy zatrzasnęła drzwi przed jeźdźcem, który chętnie przedłużył swą podróż o pół mili, by pozyskać wygodniejsze i bezpieczniejsze schronienie.

Dość jeszcze było widno, by podróżny rozróżnić mógł ulepszenia * w uprawie i w ogólnym wyglądzie pól otaczających domostwo, do którego się teraz zbliżał. Był to kamienny budynek, długi, niski, po obu końcach opatrzony niewielkimi skrzydłami. Taras frontowy z obrobionymi starannie drewnianymi słupami oraz doskonały stan ogrodzenia i przybudówek wyróżniał dodatkowo tę posiadłość z pomiędzy okolicznych siedzib.

Podprowadziwszy konia za węgier domu, by go do pewnego stopnia zabezpieczyć od wiatru i deszczu, podróżny zarzucił na ramię walizkę i zastukał głośno do drzwi frontowych.

Ukazał się wnet murzyn w podeszłym wieku, i widocznie nie uważając za potrzebne w danych okolicznościach odnosić się do swoich państwa, obrzucił bacznym spojrzeniem podróżnego przy blasku trzymanej w ręku świecy i spełnił jego prośbę o schronienie. Następnie wprowadził go do czystutkiego saloniku, gdzie z racji burzy i chłodu październikowego wieczora płonął suty ogień. Oddawszy walizkę murzynowi i grzecznie powtórzywszy swą prośbę starszemu mężczyźnie, który wstał na jego widok, podróżny skłonił się z uszanowaniem trzem siedzącym przy stole z igłą w ręku damom, i zaczął rozbierać się ze zwierzchniej odzieży.

Gdy zdjął szal z szyi i płaszcz, przyglądająca mu się pilnie rodzina ujrzała wysokiego i nadzwyczaj kształtnego mężczyznę, mogącego liczyć lat około pięćdziesięciu. Twarz jego nacechowana była spokojem i godnością, prosty nos miał greckie linie, szare oczy miały wyraz zamyślenia i melancholii, usta i dolna część twarzy znamionowały silny i stanowczy charakter. Podróżny jego ubiór prosty był i niewyszukany, lecz taki, jaki zwykle noszą ludzie z wyższej sfery, nie miał peruki, a uczesanie włosów wraz z wyprostowaną i nieco dumną postawą nadawały mu wygląd wojskowy. Cała jego powierzchowność była tak uderzająca i pańska, że gdy skończył zdejmować podróżne szaty, trzy damy wstały i wraz z panem domu powitały go na nowo, a on odwzajemnił się w odpowiedni sposób.

Pan domu był o kilka lat starszym od podróżnego, a jego obejście, ubiór i otoczenie świadczyły, że był człowiekiem, który znał życie i obracał się w najlepszych towarzystwach.

Jedna z pań mogła liczyć czterdzieści lat, dwie inne znacznie młodsze, nie wyglądały nawet na dwadzieścia. Świeżość wiosny znikła już była z oblicza starszej damy, ale piękne oczy i obfite włosy nadawały bardzo miły wyraz jej twarzy, a w obejściu jej była wielka słodycz i miękkość stanowiące urok, jakiego wiele młodziutkich twarzyczek nie posiada. Obie siostry, bo uderzające pomiędzy nimi podobieństwo świadczyło o tym pokrewieństwie, były w całym rozkwicie młodości, a róże, z których tak słyną piękne dziewczęta West-Chester'u kwitły na ich policzkach, dodając ich błękitnym oczom tego szczególnego blasku, tak miłego dla wzroku widza i świadczącego o wewnętrznym spokoju i niewinności. Powierzchność wszystkich trzech odznaczała się tą czysto kobiecą delikatnością, która również charakteryzuje płęć słabszą tych okolic, i podobnie jak starszy mężczyzna i one zdawały się należeć do wyższej sfery towarzyskiej.

Pan Wharton, tak się bowiem nazywał właściciel tej ustronnej posiadłości, podał gościowi szklanę doskonałej madery i napełniwszy sobie drugą, zasiadł na poprzednim miejscu przy ognisku. Przez chwilę zdawał się wahać, jakby walcząc z wrodzoną grzecnością, wreszcie obrzucił gościa pytającym spojrzeniem i zagadnął:

- Za czyje zdrowie mam zaszczyt pić? Podróżny usiadł także i zapatrzył się w ogień, usłyszawszy jednak zapytanie pana Whartona, zwrócił z wolna oczy ku niemu i odpowiedział z rodzajem lekkiego jakby zapłonięcia w twarzy:

- Nazywam się Harper.

- Panie Harper - ponowił gospodarz domu z wyszukaną uprzejmością tamtych czasów - mam zaszczyt wypić pańskie zdrowie i wyrazić nadzieję, że deszcz, na jaki byłeś pan wystawiony, nie przyniesie panu szkody.

Pan Harper skłonił się w milczeniu i wnet popadł znów w zadumę, której długa droga i niesprzyjające warunki atmosferyczne, w jakich ją odbywał, łącznie mogły służyć za wymówkę.

Panienci zasiadły znów do krosienek, zaś ciotka ich, panna Joanna Peyton, odeszła wydać rozporządzenia ku zaspokojeniu głodu nieoczekiwanego gościa. Nastąpiło krótkie milczenie, podczas którego pan Harper rozkoszował się widocznie obecnym błogim nastrojem. Pan Wharton przerwał je znowu, pytając, czy dym jest może nieprzyjemny gościowi, a otrzymawszy przeczącą odpowiedź, powrócił wnet do fajki, którą przy wejściu podróżnego był odłożył.

Widoczne było, że pragnął zawiązać rozmowę, ale czy to z obawy wstąpienia na jakiś grunt niebezpieczny, czy przez poszanowanie milczącego usposobienia gościa zawahał się kilkakrotnie, aż wreszcie pan Harper podniósł oczy i spojrzał na otaczających w sposób, który dodał zachęty jego uprzejmemu gospodarzowi.

- Bardzo to trudno - rzekł pan Wharton, ostrożnie unikając naprzód tematów, które właśnie pragnął poruszyć - bardzo to trudno dostać teraz tytoniu w tym gatunku, do którego jestem od dawna przyzwyczajony.

- Sądziłem, że sklepy w New-Yorku zaopatrzone są dostatecznie w najlepsze gatunki - odpowiedział spokojnie tamten.

- No tak - odrzekł z pewnym wahaniem pan domu, podnosząc oczy na Harpera i spuszczać je natychmiast pod jego przenikliwym spokojnym wzrokiem - w mieście musi go być pod dostatkiem; ale wojna uczyniła najniewinniejsze nawet stosunki ze stolicą tak niebezpiecznym, iż nie sposób narażać się na to dla takiej drobnostki jak tytoń.

Pudełko, z którego pan Wharton naładował był sobie właśnie fajkę, stało otwarte tuż pod łokciem Harpera. Ten wziął szczyptę tytoniu i położył go sobie na języku w sposób zupełnie naturalny, który jednak przejął strachem jego towarzysza, po czym, nie czyniąc żadnej uwagi co do gatunku, wybornego w istocie, pogrążył się znów w zadumie. Ale pan Wharton, nie chcąc utracić pozyskanej sposobności, ciągnął dalej:

- Z głębi serca pragnę, aby ta dzika walka raz się skończyła, byśmy nareszcie mogli zażywać w spokoju dawnych stosunków rodzinnych i przyjacielskich.

- Tak, to byłoby bardzo pożądane - rzekł Harper z naciskiem, podnosząc znów oczy na pana domu.

- Nie słyszałem o żadnych ważniejszych potyczkach, od czasu przybycia naszych nowych sprzymierzeńców - rzekł pan Wharton, strząsając popiół z fajki i obracając się plecami do gościa pod pozorem wzięcia węgielka od młodszej córki.

- Dotychczas nic o tym nie słychać, o ile wiem.

- Czy zanosi się na jakieś ważniejsze kroki? - zapytał pan Wharton, wciąż obrócony ku córce, lecz bezwiednie zapominając o fajce, w oczekiwaniu odpowiedzi.

- Alboż można się tego spodziewać?

- O! nic pewnego nie ma, ale oczywiście można się spodziewać jakichś nowych planów po tak potężnej sile jaką rozporządza Rochambeau.

Harper zamiast odpowiedzi skinął potakująco głową, a pan Wharton, zapaliwszy wreszcie fajkę, ponowił:

- Podobno się tam na południu ruszają. Gates i Cornwallis chcą tam jakoby doprowadzić wojnę do jakiegoś rozstrzygającego momentu.

Brwi Harpera ściągnęły się, głębszy cień melancholii powlókł jego rysy, a w oczach zapłonął przelotny blask zdradzający tajemne źródło wielkiego cierpienia. Ale zaledwie pełen zachwyty wzrok młodszej siostry zdołał pochwycić ten wyraz, zwykły spokój powrócił na twarz gościa i ta osobliwsza godność tak dobitnie świadcząca o przewadze rozumu nad uczuciem.

Starsza siostra poruszyła się na krześle parę razy, po czym, głosem, w którym przebijał się odcień niepośledniego triumfu, rzekła:

- Generałowi Gates nie powiodło się tak z Hrabią jak z generałem Burgoyne.

- Ależ generał Gates jest Anglikiem, Saro - zawołała z żywością młodsza siostra, po czym

zaczerwieniwszy się po białka oczu, jakby zawstydzona własną śmiałością, spuściła nisko głowę nad koszykiem do roboty, w nadziei, że jej uwaga przejdzie niepostrzeżenie.

Podróżny przenosił wzrok z jednej siostry na drugą, w miarę jak mówiły; niedostrzegalnie prawie drzenie przebiegło mu usta, świadcząc o jakimś nowym wzruszeniu, po czym zwrócił się do młodszej i rzekł żartobliwie:

- Czy wolno zapytać, jaki wniosek wyciąga pani z tej okoliczności?

Fanny zaczerwieniła się jeszcze bardziej na to tak bezpośrednie odwołanie się do jej poglądów na sprawę, którą nierozważnie poruszyła w obecności nieznanego, ale widząc, że coś odpowiedzieć musi, rzekła wahająco i z niemałym pomieszaniami:

- Tylko... tylko to, panie, że moja siostra i ja różnimy się często w zapatrywaniach na dzielność Anglików.

Wielce znaczący uśmiezek, który zaigrał na jej dziecięcej niewinnej twarzyczce, dokończył myśl niedomówioną.

- A na jakim punkcie ich dzielności różnicie się panie? - pytał w dalszym ciągu Harper, spoglądając na nią z uśmiechem ojcowskiej niemal tkiwości.

- Sara uważa, że Anglicy nie mogą być nigdy pobici, ja zaś nie przywiązuję takiej wiary do ich niezwyciężoności.

Podróżny słuchał z tą rozweseloną pobłażliwością, z jaką cnotliwa dojrzałość lubi oglądać na zapęły młodzieńcze, nic jednak nie odpowiedział, tylko zwrócił się do ognia i patrzył znów na dogasającą głównie w milczeniu.

Pan Wharton na próżno usiłował przeniknąć polityczne przekonania gościa, który przy całej poprawności swego obejścia był wprost zastanawiająco wstrzemięźliwym w mowie, i gdy wreszcie oznajmiono wieczerzę, zacny gospodarz wstał równie nieświadomy jak w pierwszej chwili tego, co w owych czasach było najważniejszą stroną charakteru każdego osobnika, i poszedł przodem, wskazując drogę do jadalni.

Pan Harper podał ramię Sarze Wharton, a Fanny szła za nimi mocno zatroskana, czy przypadkiem nie uraziła w czym uczuć gościa swego ojca.

Nawałnica rozpętała się z nową gwałtownością; potoki deszczu, spływające po ścianach domu, wzbudziły w biesiadnikach to rozkoszne poczucie ciepła i spokoju, jakiego na taką niepogodę doznaje się w zacisznym, dobrze ogrzanym i oświetlonym pokoju, gdy nowe stukanie do drzwi wchodowych odwołało czarnego sługę z jadalni. W chwilę potem murzyn powrócił z wiadomością, że drugi podróżny, którego zaskoczyła burza, prosi o nocleg.

W pierwszej chwili, gdy niecierpliwie dobijania się nowego przybysza doszły uszu pana Whartona, ten uniósł się z krzesła widocznie zaniepokojony, i rzucając szybkie spojrzenia to na gościa to na drzwi, wyglądał tak, jakby oczekiwał, że z tego powtórnego wtargnięcia wyniknie coś, co będzie miało związek i to niepożądany z panem Harperem.

Zaledwie zdążył powiedzieć słabym głosem murzynowi, by wpuścić nowoprzybyłego, gdy drzwi otwarły się prędko i on sam ukazał się na progu. Spostrzegłszy pana Harpera, przystanął chwilę, po czym w sposób dość grzeczny powtórzył prośbę o nocleg. Panu Whartonowi i jego rodzinie w najwyższym stopniu nie podobał się wygląd tego nowego gościa, ale fatalna niepogoda i niepewność, jakie skutki mogłaby pociągnąć odmowa, skłoniły pana domu, że acz niechętnie udzielił pozwolenia.

Na rozkaz panny Peyton postawiono znów na stole parę półmisek i zaproszono przemoczonego do nitki natręta, by się posilił resztkami wieczerzy, od której tylko co wstało towarzystwo. Gość zrzuciwszy gruby płaszcz zasiadł na podanym krześle i bez ceremonii dał folgę apetytowi. Ale za każdym kąsem zerkał niespokojnie na Harpera, który przyglądał mu się bacznie, tak bacznie, że było to aż kłopotliwe dla przedmiotu jego obserwacji. Wreszcie nalawszy sobie szklanek wina, przybysz, zanim podniósł ją do ust, skinął znacząco głową panu Harperowi i z pewną goryczą rzekł:

- Piję na cześć naszej lepszej znajomości, łaskawy panie. Zdaje mi się, że spotykamy się po raz pierwszy, chociaż pan patrzy na mnie tak, jak gdyby chciał mnie sobie przypomnieć.

Wino zasmakowało mu widocznie, mlasnął bowiem językiem, aż się po całym pokoju rozległo, i wzięwszy butelkę trzymał ją chwilę pod światło, przypatrując się w milczeniu jasnej i pięknej barwie płynu.

- Nie sądzę, żebyśmy się kiedykolwiek dotąd spotkali - odpowiedział Harper z lekkim uśmiechem, śledząc oczyma poruszenia tamtego, po czym jakby zadowolony z wyniku swych badań zwrócił się do siedzącej przy nim Sary Wharton i zauważył niedbale:

- Pani musi zapewne nudzić się w tym ustroniu, będąc przyzwyczajoną do miejskich rozrywek.

- O! niezmiernie! - odpowiedziała Sara z żywością - to też oboje z ojcem pragniemy, aby ta okrutna wojna skończyła się jak najprędzej i abyśmy mogli wrócić znów do dawnego trybu życia.

- A pani, panno Frances, czy i pani tak gorąco pragnie pokoju jak siostra pani?

- Z wielu względów tak - odrzekła tamta, rzucając nieśmiało spojrzenie na pytającego, a spotkawszy ten sam dobrotliwy wyraz na jego twarzy, ciągnęła dalej z uśmiechem, który dziwnie rozpromienił jej drobne rysy: - Pragnę pokoju, ale nie kosztem praw rodaków.

- Praw! - powtórzyła jej siostra niecierpliwie. - Jakież prawa mogą być silniejsze ponad prawa władzy, i jakiż prostszy obowiązek nad posłuszeństwo względem tych, którzy mają prawo rozkazywać?

- Żaden, zapewne - odpowiedziała Frances, śmiejąc się żartobliwie, po czym ujęła rękę siostry w obie dłonie i z uśmiechem, zwróconym ku Harperowi, dodała: - Dałam panu do zrozumienia, że moja siostra i ja różnimy się w politycznych przekonaniach, ale mamy bezstronnego rozjemcę w naszym ojcu, który kocha swoich rodaków i kocha również Anglików i

nie trzyma ani za tymi, ani za tamtymi.

- Tak - rzekł pan Wharton, z pewnym przestachem spoglądając na pierwszego a potem na drugiego gościa - mam bliskich sercu memu w obu armiach, dlatego lękam się zwycięstwa tych lub tamtych, jako źródła osobistych nieszczęść.

- Rozumiem, ale nie masz pan powodu obawiać się czegoś podobnego ze strony Jankesów - przerwał gość przy stole, i z zimną krwią nalał znów sobie szklankę wina z butelki, którą się tak przed chwilą zachwycał.

- Jego Królewska Mość może mieć bardziej doświadczone wojska niż lądowcy - odpowiedział pan domu trwożliwie - ale Amerykanie odnieśli parę zwycięstw poważnych.

Harper nie zwrócił uwagi na tą wymianę zdań, i wstawszy poprosił, by mógł się udać na spoczynek. Przywołano tedy małego chłopaczka, by go zaprowadził do przeznaczonego dlań pokoju, i podróżny z grzecznym życzeniem dobrej nocy opuścił towarzystwo. Nóż i widelec wypadły z rąk tamtego niepożądanego natręta, skoro tylko drzwi zamknęły się za Harperem; powstał z wolna z krzesła i bacznie nad słuchując, postąpił ku owym drzwiom, otworzył je, wyjrzał ostrożnie i wśród ogólnego zdumienia i przerażenia obecnych zamknął je na powrót. W jednej chwili ruda peruka, kryjąca jego czarne kędziory, spadła na ziemię, jak również czarny plaster zasłaniający mu pół twarzy; pochylona sztucznie jakby pod ciężarem wieku gibka postać wyprostowała się nagle.

- Ojcze! drogi ojcze! - wykrzyknął piękny młodzieniec - i wy, moje najdroższe siostry i ciotko! nareszcie widzę was znowu!

- Wielkie nieba! to Henryk! mój syn! - zawołał zdumiony i uradowany rodzic, kiedy obie siostry padły z płaczem w objęcia brata.

Stary murzyn, wychowany w domu pana swego, jakby na urągowisko swego upośledzonego położenia noszący imię Cezara, był jedynym świadkiem nieoczekiwanego przybycia syna pana Whartona. Ucałowawszy gorąco podaną mu rękę młodego pana, Cezar wyszedł. Wrócił jednak po pewnym czasie, właśnie w chwili gdy młody angielski kapitan zawołał:

- Ale kto jest ten pan Harper? Czy on mnie nie zdradzi?

- Nie-nie-nie, massa Harry! - wykrzyknął murzyn wstrząsając głową. - Ja był widzieć... massa Harper na kolanach modlić się; a żaden taki co się modlić, nie wydać dobry syn, co przybyć do stary ojciec, skinner to zrobić, nie chrześcijanin.

To słabe wyobrażenie, jakie pan Cezar Thompson - jak murzyn sam siebie pompatycznie nazywał - miał o skinnerach, nie było jego wyłącznym udziałem.

Dowódcy wojsk amerykańskich zmuszeni byli ze strategicznych względów posługiwać się pomocnikami wielce niesfornych obyczajów, przy przeprowadzaniu pewnych planów, mających na celu niepokojenie przeciwnika. Nie była to pora na dochodzenie wszelkiego rodzaju nadużyć, więc ucisk i swawola były nieuniknionymi skutkami posiadania wojskowej władzy, nie

podlegającej ograniczeniom cywilnych zarządzeń.

Z czasem wytworzyła się pewna kategoria rzekomych wychowawców sprawiedliwości, których jedynym zajęciem było uwalnianie współobywateli od nadmiaru doczesnych dóbr, będących w ich posiadaniu, a to pod egidą patriotyzmu i umiłowania swobody.

Przygodnie wtrącały się w to władze wojskowe, dopomagając temu samowolnemu podziałowi darów fortuny, a jakiś podrzędny komisarzyna miejskiej milicji udzielał zezwolenia uprawniającego nie tylko czyny, będące prostym rabunkiem, lecz częstokroć z rozlewem krwi połączone.

Ze strony Anglików gorliwość patriotyczna nie zasypiała również gruszek w popiele, tam gdzie przedstawiało się tak owocne pole dla jej działania. Tutaj jednak ujęte to było w pewne karby; długie doświadczenie bowiem nauczyło przywódców wierzyć w skuteczność zjednoczonych sił, i o ile tradycja nie kłamie, pomyslnie wyniki uwieńczyły ich przezorność. Wolontariusze ci otrzymali osobliwą nazwę „cow-boyów” zapewne na skutek ich znanego zamiłowania w hodowaniu bydła.

Cezar jednakże był zbyt prawomyślnym, by zestawiać ludzi, służących królowi Jerzemu Trzeciemu, z niepowołanymi wojownikami, których wybryków był często świadkiem i od których łupieskiej chciwości nie osłoniło go nawet ubóstwo i niewola. Nie miał przeto na myśli „cowboyów” gdy mówił, że tylko „skinner” mógłby zdradzić przywiązane go syna, który z narażeniem życia śpieszył odwiedzić dom rodzicielski.

ROZDZIAŁ II.

*„I wiele spokojnych, cichych dni
przeżył bez przerwy, aż straszny
cios pozbawił go ukochanego serca
- ona umarła - a Gertruda
wdrapywała się na kolana owdowiałego
ojca”.*

Gertruda z Wyoming.

Ojciec pana Whartona urodził się w Anglii; pochodził z rodziny, która dzięki parlamentarnym stosunkom wyrobiła młodszemu synowi stanowisko w kolonii New-Yorku. Młodzieniec, jak setki innych w jego położeniu, osiadł na wsi, ożenił się i wysłał jedynaka swego do Anglii, by się w tamtejszych kształcił szkołach. Otrzymał stopień naukowy w uniwersytecie, młodzian ów pozostał nadal w Europie i nabierał znajomości życia w tym środowisku. Ale śmierć ojca odwołała go, po dwóch latach spędzonych na tych praktycznych studiach, do Ameryki, gdzie czekało go dziedzictwo szanowanego nazwiska i bardzo okazałej majątności.

W owych czasach przyjęte było powszechnie, że synowie wielu rodzin wstępowali do armii lub marynarki angielskiej, co się uważało za punkt wyjścia dla dalszej kariery. Większość wyższych urzędów w koloniach sprawowali wojskowi, i nierzadko wysłużony weteran odkładał miecz, by przywdziać gronostaje najwyższej władzy sądowej. Zgodnie z tym obyczajem starszy pan Wharton zamierzał oddać syna do wojska, ale wrodzona lękliwość chłopca sprzeciwiła się jego życzeniom.

Przez cały rok ów młodzieniec wahał się w wyborze tej lub innej służby pod wezwaniem Marsa, gdy zaskoczyła go śmierć ojca. Znaczny majątek i zabiegi, których celem stał się młody właściciel jednej z największych posiadłości w koloniach, ochłodziły znacznie jego ambitne marzenia. Miłość wdała się rozstrzygająco w tę sprawę, pan Wharton ożenił się i poniechał wojowniczych zapędów. Długie lata żył szczęśliwie na łonie rodziny, poważany przez współobywateli jako człowiek prawy i bogaty, gdy nagle cała jego szczęśliwość przysła jak bańka mydlana. Jego jedyny syn, ten właśnie z którym zaznajomiliśmy się w poprzednim rozdziale, wstąpił do wojska i na krótko przed rozpoczęciem kroków nieprzyjacielskich wrócił do rodzinnego kraju z posiłkami, które przezorne ministerjum wojny uznało za właściwe rozrzucić wśród wzburzonych koloni Ameryki Północnej. Córki pana Whartona dorastały i wykształcenie ich potrzebowało tych uzupełnień, jakich tylko miasto może dostarczyć. Żona jego, już od pewnego czasu zapadająca na zdrowiu, zaledwie zdążyła przycisnąć ukochanego syna do łona i ucieszyć się połączeniem rodzinnego kółka, gdy nagle wybuchła rewolucja, objąwszy jak płomień cały kraj od Georgii do Massachusetts. Był to zbyt silny cios dla matki, której jedyny syn musiał pośpieszyć na pole walki przeciw członkom jej własnej rodziny, i nie przeżyła go.

W żadnym punkcie amerykańskiego ładu obyczaje Anglii i jej arystokratyczne pojęcia o rodowości i związkach nie przeniknęły tak głęboko jak w New-Yorku i jego najbliższych okolicach. Tradycje dawniejszych holenderskich mieszkańców mieszały się do pewnego stopnia

z angielskimi, ale te ostatnie brały górę. To przywiązanie do Wielkiej Brytanii wzmocniało się jeszcze przez częste małżeństwa angielskich oficerów z powabnymi córami miejscowych zamożnych rodzin, tak że po wybuchu rewolucji sympatie koloni przechylały się niedwuznacznie na stronę korony.

Parę jednak przodujących rodzin stanęło po stronie ludu i z pomocą skonfederowanych wojsk udało im się wbrew zabiegom ministerjalnej partii utworzyć i utrzymać niezależny rząd republikański.

Jedynie miasto New-York i jego okolice uchyliły się z pod tej nowej formy rządu, co się zaś tyczy władzy królewskiej, to ta sięgała jedynie tak daleko, jak obecność armii mogła podtrzymać jej powagę. W takim stanie rzeczy lojaliści wpływowi zajęli stanowiska rozmaite, stosownie do ich charakterów i położenia. Wielu chwyciło za oręż w obronie korony, starając się własnym męstwem i czynami poprzeć to co nazywali prawami swego króla, inni opuszczali kraj, szukając w Anglii, którą pompatycznie nazywali ojczyzną, krótkotrwałego, jak im się zdawało, schronienia przed niebezpieczeństwami i zamętem wojny. Inni wreszcie, ostrożniejsi, pozostali na miejscu, po części przez wzgląd na swe znaczne posiadłości, które zostawiać na cudzej opiece nie wydawało im się rzeczą rozsądną w tak niespokojnych czasach, a po części powodowani przywiązaniem do miejsc rodzinnych. Pan Wharton należał do tych ostatnich. Zabezpieczywszy się na wszelki wypadek przez tajemne wysłanie całej gotówki do banków angielskich, postanowił pozostać u siebie, zachowując tak ścisłą neutralność, by w razie zwycięstwa tej czy innej strony dobra jego nie ucierpiały na tym. Mieszkał więc w dalszym ciągu w New-Yorku, pochłonięty na pozór całkowicie wychowaniem córek, gdy jeden z jego krewnych, zajmujący wysokie stanowisko w nowym rządzie, dał mu do zrozumienia, że pobyt w mieście, które w danej chwili było angielskim obozem, mało się różnił w oczach rodaków od pobytu w samej stolicy Wielkiej Brytanii. Pan Wharton nie omieszkał przekonać się rychło, że w obecnym stanie rzeczy było to wykroczeniem nie do darowania, i natychmiast przeniósł się na wieś. Miał on w hrabstwie West-Chsster posiadłość, w której od wielu lat zwykł był spędzać z rodziną letnie miesiące, i która z tego względu była zawsze zdalna do zamieszkania i gotowa na jego przyjęcie. Jego starsza córka Sara bywała już w świecie, ale młodsza Frances potrzebowała jeszcze parę lat przygotowania do wystąpienia z należytym blaskiem, tak przynajmniej twierdziła panna Joanna Peyton, a ponieważ panna Joanna po śmierci swej starszej siostry a żony pana Whartona opuściła dom rodzicielski w Wirginji, by z właściwym swej płci poświęceniem zastąpić matkę osieroconym siostrzenicom, pan Wharton liczył się bardzo z jej zdaniem i w danym wypadku podporządkował swe ojcowskie uczucia dobru dzieci.

Wyjechał tedy na wieś, z ciężkim sercem rozstając się z tym wszystkim co mu pozostało po ubóstwianej żonie, ale wrodzony rozsądek nakazywał mu to z wielu względów. Córki jego pozostały w mieście pod opieką ciotki. Pułk, w którym służył kapitan Wharton, stanowił część

stałej załogi New-Yorku, i ta świadomość była niejako pociechą osamotnionemu ojcu w ciągłych rozmyślaniach o nieobecnych córkach. Ale kapitan Wharton był człowiekiem młodym i żołnierzem, jego sąd o charakterach ludzkich nie zawsze bywał trafnym, a sam wysoko czcząc honor armii nie wyobrażał sobie, aby pod czerwoną kurtką mogło bić jakie nieszlachetne serce.

Dom pana Whartona stał się modnym miejscem zebrań dla oficerów królewskiej armii, jak zresztą inna podobne mu domy, które ci synowie Marsa uznali za godne zaszczytania swą obecnością. Wyniki tych odwiedzin bywały dla niektórych z odwiedzanych pomyślne; dla wielu szkodliwe, jako budzące nadzieje, które nigdy urzeczywistnione być nie miały, a w dodatku często na nieszczęście zgubne. Dobrze znana zamożność ojca, a może być i obecność zapalczego brata ochroniły obie panienki od tego ostatniego niebezpieczeństwa, jednakże niepodobieństwem było, aby wszystkie hołdy, jakie składano u stóp pięknej Sary, spęzły na niczym. Wdzięki jej, wcześniej rozwinięte pod wpływem klimatu i umiejętnie pielęgnowane, uczyniły z niej pierwszą piękność New-Yorku. I nie zanosilo się na to, by która z dorastających panien mogła współzawodniczyć z nią o palmę tego pierwszeństwa, chyba jej młodsza siostra. Ale Frances nie miała jeszcze skończonych lat szesnastu, i myśl o jakiejś rywalizacji nie powstała nawet w główkach kochających się dziewcząt. Przeciwnie, poza rozmową z pułkownikiem Wellmere'm nic nie sprawiało takiej przyjemności Sarze jak patrzeć na rozkwitające z pączka powaby małej Hebe, która bawiła się u jej boku z całą niewinnością podlotka, z całym zapałem swej ognistej natury i sporą dozą wrodzonego dowcipu i sprytu. Czy to z powodu że Fanny nie była przedmiotem tych hołdów, jakie składano starszej siostrze, czy dla jakiej innej przyczyny, faktem było, że rozmowy, prowadzone często pomiędzy młodymi oficerami na temat toczącej się wojny, wywierały wręcz przeciwne wrażenie na obu panienkach. Angielscy wojskowi z zasady wyrażali się lekceważąco o swoich przeciwnikach, a Sara przyjmowała wszelkie czcze przechwałki swych wielbicieli za dobrą monetę.

Pierwsze polityczne przekonania, jakie obiły się o uszy Fanny, połączone były z drwinami z jej rodaków. Zrazu wierzyła im, ale przypadkowo znalazł się tam jakiś generał, który musiał oddać sprawiedliwość wrogom, by też sprawiedliwość dla siebie pozyskać, i Fanny zaczęła zapatrywać się mniej sceptycznie na niedołęstwo swych współziomków. Pułkownik Wellmere należał do tych, którzy najnielitościwiej dworowali sobie z nieszczęsnych Amerykanów, Frances zaś stopniowo słuchała jego konceptów z coraz większym niedowierzaniem, a poniekąd i z urazą.

Pewnego gorącego letniego dnia trójka ta znajdowała się w salonie pięknej miejskiej rezydencji pana Whartona. Pułkownik i Sara siedzieli na sofie zajęci wymianą spojrzeń przy towarzyszącej im pogadance, zaś Frances w drugim końcu pokoju haftowała na tamborku, gdy pułkownik zawołał nagle.

- To dopiero będzie wesoło w mieście, gdy przybędzie armia generała Burgoyne, nieprawdaż, panno Wharton?

- O! tak! - odrzekła lekkomyślna Sara. - Słyszałam, że dużo uroczych kobiet towarzyszy mężom, ożywi się więc nasze towarzystwo.

Frances odrzuciła w tył złociste loki, okrywające jej kształną główkę, i podnosząc oczy, błyszczące zapalem narodowych uczuć, roześmiała się z ukrytą ironią i zagadnęła:

- Czy to tylko rzecz pewna, że generałowi Burgoyne pozwolą wejść do miasta?

- Pozwola! - powtórzył pułkownik - a któżby mu mógł przeszkodzić w tym, moja śliczna panno Fanny?

Frances była właśnie w wieku, w którym dorastające panienki są najdrażliwsze na punkcie swego światowego położenia. Owo „śliczna panno Fanny” zabrzmiało w jej uszkach zbyt poufale; pochyliła się znów nad robotą, zaczerwieniona jak wisienka.

- Generał Stark wziął Niemców do niewoli - rzekła sznurując usteczka - może i generał Gates nie ulęknie się zbytnio Anglików.

- O! to byli Niemcy, jak pani sama powiada - zawołał pułkownik mocno niezadowolony, że musi wdawać się w jakieś wyjaśnienia - proste, najemne wojsko; ale gdy prawdziwe angielskie pułki staną na placu, wtedy inaczej będzie.

- O! niewątpliwie! - zawołała Sara, nie dzielając bynajmniej urazy pułkownika do siostry, ale ciesząc się już w duchu z triumfu Anglików.

- Proszę mi powiedzieć pułkownikowi Wellmere - rzekła Frances, odzyskawszy dobry humor i podnosząc znów swe śliczne roześmiane oczęta - czy lord Percy Lexington był krewnym tego, który walczył pod Chevy Chase?

- Ależ, panno Fanny, pani staje się buntowniczką! - rzekł pułkownik usiłując pokryć śmiechem podnoszący się w nim gniew - to o czym pani tak dowcipnie napomykasz, było tylko rozumnym odwrotem, rodzajem, jakby to powiedzieć, rodzajem...

- Ucieczki - przerwała panienka figlarnie.

- Doprawdy - zaczął pułkownik, lecz nagły wybuch śmiechu, pochodzący od osoby trzeciej, dotąd niezauważonej, nie pozwolił mu dokończyć.

Przy salonie znajdował się mały gabinetek, do którego prowadziły drzwi na wpół uchylone. Silniejszy prąd powietrza roztworzył teraz te drzwi na roścież, ukazując oczom rozmawiającej w salonie trójki piękną postać siedzącego w pobliżu, wejścia młodzieńca, którego uśmiechnięta twarz zdradzała, że powyższą rozmowę wysłuchać musiał. Wstał on niezwłocznie i wszedłszy do salonu z kapeluszem w rękę, smukły, rosły, z błyszczącymi czarnymi oczyma i smagłą cerą, skłonił się obu panienkom.

- Pan Dunwoodie! - zawołała Sara ze zdziwieniem - nie wiedziałam, że pan tu jest; siadaj proszę, tu znacznie chłodniej.

- Dziękuję pani - odpowiedział młodzieniec - muszę iść na poszukiwanie brata pani, który umieścił mnie tu, jak mówił, w zasadzce, obiecując wrócić za godzinę.

I nie tłumacząc się dalej, młody człowiek skłonił się znów grzecznie panienkom, a z daleka i wyniośle pułkownikowi, i wyszedł. Frances wybiegła za nim do sieni i czerwieniąc się jak mak, spytała z pośpiechem:

- Ale dlaczego... dlaczego odchodzisz pan, panie Dunwoodie? - Henryk wróci niezadługo.

Młodzieniec pochwycił jej rączkę, i surowy wyraz jego twarzy znikł, ustępując miejsca pełnemu zachwytu spojrzeniu, z jakim odpowiedział:

- Doskonale obeszłaś się z nim, moja droga rodaczko. Nigdy, nigdy nie zapominaj o rodzinnym kraju.

Pamiętaj, że jeżeli jesteś wnuczką Anglika, jesteś także wnuczką Peytona!

- O! - odparło śmiejąc się dziewczę - trudno byłoby mi o tym zapomnieć, bo ciocia Joasia ciągle nam wszelkie genealogiczne zawilości wyklada. Ale dlaczego pan odchodzi?

- Jestem na wylocie do Wirginii i mam mnóstwo do roboty.

Mówiąc to uściśnął jej rączkę i już we drzwiach powtórzył:

- Bądź wierną twojej ojczyźnie, bądź Amerykanką!

Ognista dziewczyna przesłała mu ręką pocałunek, po czym obu dłońmi przyciskając płonące policzki, pobiegła do swego pokoju, by tam ukryć nagłe pomieszanie, jakie ją ogarnęło.

Tymczasem pułkownik Wellmere, stropiony wyraźnymi drwinami Fanny i pogardliwym zachowaniem się młodzieńca, nie chcąc dać poznać wobec pani swych myśli, że go podobne drobnostki obejść mogły, nadrabiał miną i gdy Dunwoodie wyszedł z pokoju, zauważył od niechcienia:

- Dostyc zuchwale poczynął sobie ten młokos, zapewne jakiś chłopak ze sklepu ze sprawunkiem.

Sara tak daleka była od zestawienia wdzięcznej postaci Peytona Dunwoodie z chłopcem sklepowym, że rozejrzała się ze zdziwieniem po salonie, zaś pułkownik mówił dalej:

- Ten tam pan Dun - Dun - Dunwoodie! Ależ to krewny cioci - zawołała Sara - i serdeczny przyjaciel mego brata. Byli razem w szkołach i rozstali się dopiero w Anglii, gdy brat wstąpił do wojska, a tamten do wojskowej akademii francuskiej.

- Zdaje mi się, że się tam niewiele nauczył - zauważył pułkownik, nie mogąc ukryć nurtującego w nim rozdrażnienia.

- Miejmy nadzieję - rzekła Sara z uśmiechem - bo ma zamiar wstąpić do buntowniczej armii. Przybył tu na francuskim okręcie i możesz go pan niezadługo spotkać na placu boju.

- Wolna droga, życzę Washingtonowi więcej takich bohaterów - odparł pułkownik i skierował rozmowę na przyjemniejsze, bo osobiste tory.

W parę tygodni potem armia Burgoyne'a złożyła broń. Pan Wharton, zaczynając powątpiewać o pomyślnym dla Anglii wyniku wojny, postanowił zjednać sobie rodaków, a jednocześnie zadośćuczynić własnym pragnieniom, i zavezwał córki do siebie. Panna Peyton

zdecydowała się towarzyszyć im, i od owej chwili aż do czasu, kiedy rozpoczyna się nasze opowiadanie, cała rodzina mieszkała na wsi.

Kapitan Wharton oczywiście pozostał w armii, ale parokrotnie pod opieką silnych oddziałów, operujących w sąsiedztwie „Akacji” (tak się nazywała wiejska posiadłość pana Whartona) udało mu się wpaść do domu ojca i zabawić tam czas krótki. Teraz jednak rok już minął bez zobaczenia się z ukochanymi i zniecierpliwiony Henryk w przebraniu przybył właśnie tego samego wieczora, kiedy jakiś nieznany i dosyć podejrzany gość znajdował się w domu, w którym prócz zwykłych jego mieszkańców nikt prawie z obcych nie bywał.

- Ale, jak myślicie, czy on mnie podejrzewa? - zapytał kapitan z pewnym niepokojem, wysłuchawszy opinii Cezara o skinnerach.

- Skąd żeby! - zawołała Sara - skoro własne siostry i ojciec nie mogli cię poznać w tym przebraniu.

- Jest coś tajemniczego w jego obejściu, i wzrok ma zbyt badawczy jak na obojętnego obserwatora - ciągnął dalej młody Wharton w zamyśleniu - a przy tym twarz jego wydaje mi się jakby znajomą. Los, jaki niedawno spotkał majora Andre, wywołał wielkie, obustronne podrażnienie. Sir Henryk grozi odwetem za jego śmierć, a Washington jest tak pewny siebie, jak gdyby połowę świata miał pod swymi rozkazami. Buntownicy mieliby we mnie doskonały materiał dla swoich planów, gdybym, nieszczęściem, wpadł w ich ręce.

- Ależ, mój synu - zawołał przestraszony ojciec - nie jesteś przecież szpiegiem i nie znajdujesz się w obrębie buntowniczych, to jest amerykańskich linii, tu niema czego szpiegować.

- To rzecz względna - odpowiedział młodzieniec w zamyśleniu - pikiety ich sięgają aż Białych Równin, przechodziłem koło nich w przebraniu. To prawda, że zamiary moje są niewinne, ale jak tego dowieść? Moja bytność tutaj mogłaby być pokrywką innych planów. Przypomnij sobie, ojczu, co cię spotkało przed rokiem jedynie za to, że posłałeś mi zapas owoców na zimę.

- To mam do zawdzięczenia czułym sąsiadom - rzekł pan Wharton. - Spodziewali się, że gdy mi skonfiskują dobra, będą mogli tanio nabyć dobre grunta. Peyton Dunwoodie wszelako postarał się o nasze uwolnienie, trzymano nas tylko miesiąc.

- Jak to „nas”! - zawołał młodzieniec ze zdumieniem - czyżby i siostry uwięzili? Nic mi o tym nie pisałaś, Fanny!

- Owszem - odpowiedziała Fanny, rumieniąc się - donosiłam ci, że major Dunwoodie, twój dawny przyjaciel, bardzo uprzejmie obchodził się z nami, że wyjednał uwolnienie ojca.

- To prawda, więc i ty byłaś w obozie zbuntowanych?

- Tak - rzekł ojciec serdecznie - Fanny nie chciała mnie puścić samego - Joasia i Sara pozostały w Akacji, a to dziewczątka było towarzyszką mojej niewoli.

- I Fanny wróciła stamtąd jeszcze większą buntownicą niż przedtem - zawołała Sara z

oburzeniem - a zdawałoby się, że to co ojciec wycierpiał, powinno ją było wyleczyć z jej zaślepienia.

- Cóż mówisz na to oskarżenie, siostrzyczko? - zawołał kapitan wesoło. - Czy Peytonowi udało się natchnąć cię jeszcze większą nienawiścią do twego króla niż on ją sam żywi?

- Peyton Dunwoodie nie nienawidzi nikogo - odrzekła Fanny żywo, po czym zarumieniwszy się gwałtownie, dodała: - On cię kocha, Henryku, wiem o tym, mówił mi to niejednokrotnie.

Młody Wharton poklepał siostrę po twarzy z uśmiechem, i zapytał udając szept:

- A czy powiedział ci także, iż kocha moją siostrzyczkę Fanny?

- Pleciesz, Henryku - odrzekła Fanny i wyszła prędko, pod pozorem że idzie schować resztki wieczerzy.

ROZDZIAŁ III.

*„Było to, gdy na polach sprzątnięto
już jesienne plony, i wiatr
tylko igrał ze zwiędleli liśćmi.
Krótkotrwałe światło zasuwawało się
zwolna poza wzgórze Lowmonu
i następowała noc, gdy z gwarnego
miasta lichy kramarz o smutnym
wejrzeniu puścił się w samotną drogę”.*

Wilson.

Burza u podnóża Hudsonskich wzgórz, gdy jej towarzyszy wiatr wschodni, rzadko kiedy trwa krócej niż dni parę. To też, gdy mieszkańcy Akacji zgromadzili się nazajutrz przy wczesnym śniadaniu, strugi deszczu, spływające bez ustanku po szybach jadalni, wykluczały

wszelką myśl o wychyleniu się z pod dachu.

Harper ukazał się ostatni i spojrzawszy na stan pogody, zwrócił się do pana Whartona z przeproszeniem, że konieczność zmusza go do nadużywania jego gościnności. Na pozór odpowiedź była równie grzeczną jak słowa, które ją wywołały; ale zrezygnowany spokój Harpera tworzył rażące przeciwieństwo z widocznym pomieszczeniem pana domu.

Henryk Wharton, ulegając życzeniu ojca, z wielką niechęcią, prawie ze wstrętem przywdział wczorajsze przebranie. Ukłon, jakim Harper powitał na dzień dobry całą rodzinę dostał się i jemu, nie zamienili jednak pomiędzy sobą ani dwóch słów. Wprawdzie Fanny wydało się, że coś na kształt uśmiechu przemknęło po twarzy Harpera, gdy wszedłszy do jadalni spojrzął na jej brata, znikł on jednak natychmiast, ustępując miejsca zwykłej dobrotliwej powadze, charakteryzującej całą jego powierzchowność.

Oczy kochającej siostry z niepokojeni zwróciły się na chwilę na brata, lecz gdy spojrzała znów na nieznanego gościa, gdy z wyróżniającą grzecznością oddał jej jakąś drobną przysługę przy śniadaniu, było coś takiego w jego wzroku, co sprawiło, że serce dziewczyny, które już zaczęło bić gwałtownie, odzyskało swe zwykłe, równe tętno młodości i zdrowia.

Wszyscy jeszcze siedzieli przy stole, gdy wszedł Cezar i położywszy w milczeniu mały pakiecik obok talerza pana Whartona, cofnął się za jego krzesło i z ręką na poręczy stanął w postawie pełnej uszanowania i pewnej poufałości zarazem.

- Co to takiego, Cezarze? - zapytał pan Wharton, oglądając z pewną podejrzliwością pakiecik.

- Tytoń, panie, Harvey Birch wrócić do domu i przynieść panu trochę dobry tytoń z Yorku.

- Harvey Birch - powtórzył pan Wharton z wolna, rzuciwszy ukradkowe spojrzenie na gościa.

- Nie przypominam sobie, żebym mu polecił kupować dla mnie tytoń, ale skoro go przyniósł, trzeba mu zapłacić za jego trud.

Na króciutką chwilę, kiedy murzyn mówił, Harper zaprzestał jeść, wzrok jego przeniósł się z wolna z pana na sługę, po czym wszystko wróciło do zwykłego, nieprzeniknionego spokoju.

Wiadomość o przybyciu Harveya Bircha wielce ucieszyła Sarę; wstała szybko z krzesła i poleciała murzynowi, by wprowadził go do jadalni, lecz nagle, jakby sobie coś przypomniałszy, zwróciła się do gościa dodając:

- Jeżeli pan Harper nie będzie miał nic przeciwko obecności kramarza.

Nieznajomy skłonił się w milczeniu, lecz z tak wymowną dobrotliwością, że Sara powtórzyła rozkaz jeszcze skwapliwiej.

W zagłębieniach okien jadalni znajdowały się drewniane, rzeźbione ławeczki, a bogate, adamszkowe firanki, które zdobiły salon na ulicy Królowej *, przeniesione obecnie do Akacji nadawały jadalni nieokreślony, zaciszny wygląd, tak wdzięcznie zapowiadający zbliżanie się zimy.

W jednym z tych zagłębień umieścił się teraz kapitan Wharton, jakby od niechcienia zapuszczając przed sobą firankę, podczas gdy jego młodsza siostra, tracąc swą zwykłą swobodę, w milczeniu usiadła w drugim.

Harvey Birch był od młodości kramarzem wędrownym, tak przynajmniej sam często zapewniał, a jego wielka umiejętność i zręczność w tym zawodzie potwierdzały prawdę tych słów. Pochodził on ze wschodnich koloni, a wyższa inteligencja, jaką odznaczał się jego ojciec, dawała do myślenia, że rodzina ta znała kiedyś lepsze czasy w swych ojczystych stronach. Harvey jednakże nie różnił się niczym od ludzi swojej sfery, poza bystrością i pewną tajemniczością, otaczającą jego życie. Przed dziesięcioma laty przybyli tu i nabywszy ów nędzny dworek, do którego Harper tak niefortunnie zapukał, zamieszkali w nim, mało znani i uważani przez sąsiadów. Ojciec, dopóki wiek i kalectwo nie stanęły mu na przeszkodzie, zajmował się uprawą małego kawałka ziemi, należącego do kupna, kiedy syn gorliwie zajmował się swym skromnym procederem. Ich rządność i spokój zjednały im wkrótce tyle uznania w sąsiedztwie, że pewna trzydziestopięcioletnia dziewczyna zdecydowała się, zapominając o drażliwości swej płci, objąć u nich obowiązki gospodyni. Róże młodości znikły z dawna z policzków Katy Haynes, wszyscy jej znajomi pożenili się już a znajome powychodziły za mąż, ona zaś wciąż była do wzięcia, gdy z pewnym, powziętym z góry planem weszła do domu Birchów. W braku lepszej towarzyszkii ojciec i syn zmuszeni byli przyjąć jej usługi. Katy jednak posiadała pewne zalety, które czyniły z niej wcale znośną gospodynię. Była pracowitą, uczciwą, rządną i schludną, co nie przeszkadzało jej być gadatliwą, samolubną, przesadną i ciekawą. Ta ostatnia właściwość charakteru sprawiła, że po pięcioletnim pobycie pod dachem Birchów mogła z triumfem opowiadać, że słyszała, a raczej podsłuchiwała dość, by wiedzieć, jakimi były dawniejsze losy jej chlebowodawców. Gdyby Kąty mogła była odgadnąć jeszcze, jaką będzie ich przyszłość, zadanie jej byłoby spełnione. Otóż z rozmów pomiędzy ojcem a synem dowiedziała się, że pożar zniszczył całkowicie ich mienie, a jednocześnie zmniejszył liczbę członków ich rodziny do dwóch. Głos ojca drżał, gdy czasem z lekka potracił o tę strunę, tak że nawet serce Katy napełniało się wzruszeniem; pospolita ciekawość jednak nie zna granic dla swego natręctwa. Więc i Katy próbowała wciąż dowiedzieć się czegoś więcej, aż wreszcie Harvey zagroził jej wręcz, że przyjmie na jej miejsce niewiastę o pięć lat od niej młodszą, i to poskutkowało. Od tej pory gospodyni trzymała ciekawość swoją na wodzy, a choć nie pominęła nigdy sposobności podsłuchiwania, niewiele więcej ponad to co już spenetrowała, dowiedzieć się mogła. Udało jej się jednak wyszpiegować rzecz niemałej dla niej wagi i od tej chwili wszystkie swe usiłowania, poparte podwójną podniętą chciwością i miłością, skierowała ku jednemu celowi.

Harvey miał zwyczaj zaglądać często w nocy do komina w izbie, która służyła im za kuchnię i bawialnię. Tu wysłedziła go Kąty, po czym skorzystawszy z jego nieobecności i zajęć ojca, wyjęła parę cegieł i odkryła żelazny garnek napełniony tym błyszczącym metalem, który ma

własność zmiękczenia serc najtwardszych. Kąty pokładła cegły na dawne miejsce i nie odważyła się już nigdy więcej ponowić swych oględzin, ale od tej chwili dziewicze jej serce straciło wszelką odporność, i nic już nie stało pomiędzy Harveyem a szczęściem, prócz jego własnej niedomyślności.

Wojna wędrownemu kramarzowi nie przeszkodziła handlować, owszem korzystał z każdej złotej sposobności, jakie przerwy w systematycznych dostawach towarów przedstawiały, i był jakby pochłonięty wyłącznie namiętnością zbierania pieniędzy. Trwało to przez dwa lata mniej więcej; zamożność jego wzrastała, lecz wreszcie ruchliwość jego wzbudziła podejrzania, i władza cywilna uznała za konieczne rozpatrzeć się z bliska w trybie jego życia. Więziono go raz po raz, ale nie na długo, zawsze umiał jakoś wywinąć się z rąk sprawiedliwości, natomiast doznawał ciągłych prześladowań ze strony wojska. Mimo to żył i prowadził dalej swój handel, tylko z wielką ostrożnością, zwłaszcza gdy krążył w pobliżu północnych granic hrabstwa, czyli innymi słowy w sąsiedztwie amerykańskiego frontu. W Akacji bywał rzadko, a jeszcze rzadziej w domu, co spowodowało, że rozgoryczona Katy ulżyła zawiedzionemu sercu w owej przytoczonej poprzednio odpowiedzi, danej Harperowi. Nic jednak nie było w stanie powstrzymać niezmordowanego kramarza, i teraz ze względu na pewne towary, które mógł sprzedać tylko w najzamożniejszych domach, odważył się pomimo gwałtownej ulewy przebyć owe pół mili, dzielące jego domek od siedziby pana Whartona.

W parę minut po otrzymaniu zlecenia swej młodej pani Cezar ukazał się z powrotem, wiodąc za sobą kramarza. Był to mężczyzna trochę więcej niż średniego wzrostu, chudy, ale kościsty i muskularny. Na pierwszy rzut oka zdawać się mogło, że nie potrafiłby udźwignąć ciężkiego toboła, jakim był obciążony, zdjął go jednak z pleców z łatwością i obracał nim tak swobodnie, jak gdyby same pióra stanowiły jego zawartość. Oczy kramarza były szare, zapadłe i niespokojne, a gdy w stosownej chwili spoczęły na twarzach tych, z którymi rozmawiał, zdawały się sięgać do głębi duszy. Wyraz ich posiadał wybitną dwoistość, charakteryzującą w znacznym stopniu całego człowieka. Gdy zajęty był handlem, twarz jego zdradzała niezwykle ożywienie, giętkość i przebiegłość, z chwilą jednak, gdy rozmowa schodziła na inne tory stawał się roztargnionym i niespokojnym, chyba, że przypadkowo ktoś poruszył sprawę rewolucji i kraju. Wówczas powierzchowność jego ulegała przemianie. Wszystkie jego władze zdawały się jakby naprężone, słuchał długo milcząc, po czym rzucał jakąś żartobliwą uwagę, tak dalece sprzeczną z jego poprzednim zachowaniem się, że sztuczność jej stawała się widoczną. O wojnie i o ojcu sam mówił rzadko i tylko w nieuniknionych wypadkach.

Dla powierzchownego badacza chciwość zdawała się być przewodnią jego namiętnością. Zważywszy wszystko, kramarz nie wyglądał na człowieka podatnego dla planów Katy Haynes. Wszedłszy do jadalni, zdjął z pleców toboł, który, gdy go na ziemi postawił, sięgał mu prawie do ramion, po czym pozdrowił rodzinę Whartonów grzecznie i skromnie. Harperowi skłonił się w

milczeniu, co się zaś tyczy młodego kapitana, to firanka nie pozwoliła mu zauważyć jego obecności. Zresztą Sara zajęła się natychmiast przeglądaniem zawartości tobołu i przez jakiś czas oboje pochłonięci byli wydobywaniem przeróżnych towarów. Wnet jedwabie, krepy, muśliny, rękawiczki zasłały wszystkie stoły, krzesła i posadzkę. Cezar trzymał wieko tobołu i raz, po raz zwracał uwagę swej młodej pani na jaki szczegół elegancji, który jaskrawością barw wzbudzał jego zachwyty. Nareszcie Sara, wybrawszy kilka przedmiotów i ugodziwszy się o cenę, rzekła wesoło:

- Ale Harveyu, nie mówicie nam żadnych nowin? Czy lord Cornwallis pobił znów buntowników?

Kramarz mógł nie słyszeć zapytania, bo zgięty nad tobołem, wydobywał właśnie sporą ilość koronki najlepszego gatunku, i rozpostarłszy ją w rękach, zwracał na nią uwagę Sary.

Panna Peyton upuściła filiżankę, którą zmywała, a Fanny, dotychczas jednym tylko oczkiem przypatrująca się z poza firanki porozkładanym towarom, wysunęła całą twarzyczkę rozpromieniona nagłym zachwytem.

Ciotka porzuciła gospodarskie zajęcie, i Birch po krótkim targu sprzedał znaczną ilość kosztownej koronki. Wykrzykniki obu pań wywabiły młodszą siostrę z jej kryjówki, właśnie podnosiła się zwolna z ławeczki, gdy Sara, rozradowanym głosem, które to rozradowanie przypisać należało bardziej zadowoleniu z kupna niż politycznym uczuciom, powtórzyła swe pytanie. Fanny usiadła z powrotem w oknie i zapatrzyła się na chmury, a kramarz, widząc że nie wywinie się od odpowiedzi, rzekł zwolna:

- Powiadają tam w dolinie, że Tarleton pobił generała Sumptera nad rzeką, Tygrysią.

Kapitan mimo woli wsunął głowę pomiędzy firanki, a Fanny, odwróciwszy się szybko od okna z zapartym oddechem, zauważyła, że spokojne oczy Harpera spoglądały na kramarza z ponad książki, którą zdawał się czytać, z wyrazem zdradzającym niezwykle zajęcie.

- Doprawdy! - wykrzyknęła uradowana Sara - Sumpter - Sumpter - któż to jest? Nie kupię więcej ani szpilki, dopóki nie powiecie wszystkiego, Harveyu - dodała śmiejąc się i rzucając sztukę muślinu, którą oglądała.

Kramarz zawahał się chwilę, zerknął na Harpera, który patrzył wciąż na niego spokojnie i znacząco, po czym całe obejście się Bircha uległo zmianie. Podeszedłszy do kominka, wyjął z ust spory zwitek tytoniu ociekający śliną i rzuciwszy go w ogień, wrócił do swoich towarów.

- Mieszka tam gdzieś na południu pomiędzy murzynami - odpowiedział krótko.

- Taki sam murzyn jak pan, panie Birch - przerwał Cezar, mocno niezadowolony, upuszczając jednocześnie wieko tobołu.

- No, no, Cezarze, daj pokój - rzekła Sara łagodząco, pragnąc usłyszeć coś więcej.

- Czarny człowiek tak samo dobry jak biały, miss Sally - ciągnął dalej obrażony murzyn - póki się dobrze sprawiać.

- A często bywa lepszym - odparła jego pani. - Więc, Harveyu, któż to jest ten pan Sumpter? Lekki błysk żartobliwości mignął na twarzy kramarza i znikł natychmiast, on zaś, jak gdyby drażliwość murzyna nie spowodowała żadnej przerwy w rozmowie, ciągnął dalej:

- Jak powiedziałem, mieszka pomiędzy kolorowymi na południu (Cezar znów podniósł wieko) i ostatnimi czasy potykał się z owym pułkownikiem Tarletonem...

- Który go oczywiście pobił - zawołała Sara.

- Tak mówią wojska w Morrisanji.

- Ale co ty mówisz, Harveyu? - odważył się zapytać z cicha pan Wharton.

- Ja powtarzam to tylko, co słyszałem - rzekł Birch, podając sztukę materiału Sarze, która odrzuciła ją w milczeniu, z widocznym postanowieniem poniechania zakupów, dopóki czegoś więcej nie usłyszy.

- Powiadają jednakże na Równiach - mówił dalej kramarz, obejrzawszy się wprzód dokoła, przy czym wzrok jego chwilowo spoczął na Harperze - że tylko Sumpter i paru innych odniosło rany, a regularni zostali pobici na głowę, bo milicja ukryła się bezpiecznie w stodole z bierwion.

- To nieprawdopodobne - rzekła Sara pogardliwie - chociaż nie wątpię, że buntownicy pochowali się za kłody.

- Ja tam myślę - rzekł kramarz chłodno, podając znów sztukę jedwabiu - że mądrzej jest mieć kłodę pomiędzy sobą a strzelbą, niż znaleźć się pomiędzy strzelbą a kłodą.

Oczy Harpera opadły spokojnie na stronicę książki, którą trzymał w ręku, a Frances, wyszedłszy z kryjówki, zbliżyła się do kramarza uśmiechnięta i rzekła z uprzejmością, której tenże nigdy dotąd nie był doznawał od młodszej siostry.

- Masz pan więcej tej koronki, panie Birch?

Kramarz wnet podał jej żądany towar i Fanny zajęła się kupnem. Z jej rozkazu poczęstowano szklanką wina Bircha, który przyjął ją z podziękowaniem i wypił duszkiem za zdrowie pana domu.

- Więc powiadasz Harveyu, że pułkownik Tarleton zadał klęskę generałowi Sumpterowi? - rzekł pan Wharton, majstrując coś koło filiżanki, którą stłukła siostra jego żony.

- Tak mówią w Morrisanji - odparł Birch sucho.

- A masz jeszcze jakie inne nowiny, przyjacielu? - zagadnął kapitan Wharton, wychylając się znów z poza firanek.

- Pan słyszał, że powieszono majora André? Kapitan Wharton drgnął i podczas gdy znaczące jego spojrzenie skrzyżowało się ze wzrokiem kramarza, zauważył z udaną obojętnością:

- To już zaszło jakoby przed kilku tygodniami.

- Czy ta egzekucja narobiła wiele hałasu? - zapytał pan Wharton, wciąż zajęty spajaniem skorupek filiżanki.

- Ludzie zawsze mają coś do powiedzenia, proszę pana.

- Jak sądzisz, przyjacielu, czy podróż w tamtą stronę mogłaby być obecnie niebezpieczną? - zapytał Harper, patrząc bystro na kramarza w oczekiwaniu odpowiedzi.

Kilka sztuczek wstążki wypadło z rąk Bircha, wyraz jego twarzy zmienił się natychmiast, tracąc zwykłą przebiegłość, on zaś odpowiedział z wolna:

- Już dość dawno regularna jazda ruszyła w pole, widziałem ludzi de Lancey' a czyszczących broń, gdy koło ich koszar przechodził; nic by nie było dziwnego żeby coś przewąchali, bo kawaleria Wirgińczyków już się znajduje w obrębie hrabstwa.

- A w jakiej sile? - zapytał pan Wharton z widocznym niepokojem, zaprzestając rzekomej naprawy filizanki.

Jedna Fanny zauważyła zmianę w zachowaniu się Bircha. Harper znowu pograżył się w czytaniu. Fanny wzięła parę sztuczek wstążki do ręki, położyła je znowu i pochylając się nad towarami tak, że obfite loki przysłoniły jej twarzyczkę, zauważyła z tak silnym rumieńcem, iż zaróżowił się i jej biały karczek:

- Zdawało mi się, że południowa kawaleria pomaszerowała w stronę Delaware'u.

- Być to może - rzekł Birch - widziałem wojska z daleka.

Tymczasem Cezar wybrał sztukę perkaliku, na którego białym tle żółty kolor walczył z czerwonym o palmę zwycięstwa, i popatrzawszy nań z zachwytem przez parę minut, odłożył go z westchnieniem, mówiąc:

- Bardzo piękny perkalik.

- Tak - rzekła Sara - jak stworzony na suknię dla twojej żony, Cezarze.

- O! tak, miss Sally! - zawołał uradowany murzyn - to się stara Dina ucieszy... Taki piękny!

- Tak - dodał kramarz z filuternym uśmiechem - tego tylko brakuje Dinie, żeby wyglądała jak tęczą.

Cezar patrzył pilnie w twarz swojej młodej pani, czym zagnona Sara zapytała o cenę.

- Jak dla mojej przyjaciółki Diny odstąpię go po cztery szylingi - odrzekł kramarz.

- To za drogo - rzekła Sara, wybierając znów towary dla siebie.

- Straszna cena za ordynarny perkal, mister Birch - mruknął Cezar, upuszczając znów wieko toboła.

- Więc niech będzie po trzy - dorzucił kramarz - jeżeli to wolisz.

- Pewno, że wolisz - rzekł Cezar, uśmiechając się z zadowoleniem i podnosząc wieko toboła - miss Sally woli trzy szylingi, gdy daje, a cztery, gdy bierze.

Dobito wnet targu, ale gdy przyszło do mierzenia, pokazało się, że brakuje trochę materiału do dziesięciu jardów, jakich wymagały obfite kształty Diny. Przy odpowiednim jednak dociągnięciu brak ten zniknął, a kramarz dołożył jeszcze kawałek odpowiednio jaskrawej wstążki, po czym Cezar wyszedł szybko, by udzielić radosnej nowiny swej sędziwej połowicy.

W trakcie tego kapitan Wharton odsunął zupełnie przysłaniającą go dotąd firankę i zapytał

kramarza, który zaczął zbierać porozrzucane towary, o jakiej porze wyszedł z miasta.

- O wczesnym zmierzchu - brzmiała odpowiedź.

- Tak późno! - wykrzyknął tamten zdziwiony, po czym miarkując się dodał:

- Że was to puściły straże o tak późnej godzinie?

- Puściły - odpowiedział lakonicznie kramarz.

- Oficerowie angielskiej armii muszą was już dobrze znać, Harveyu - rzekła Sara, uśmiechając się porozumiewawczo.

- Znam niektórych z widzenia - rzekł Birch i znowu potoczył wzrokiem dokoła, zatrzymując go przez chwilę na Harperze.

Pan Wharton słuchał z natężoną uwagą tej rozmowy, i tak dalece zapomniał o przybranej obojętności, że zgniótł w dłoni szczątki filiżanki, którą tak pracowicie próbował skleić, po czym widząc, że kramarz zawiązuje ostatni supeł toboła, zapytał nagle:

- Czy znowu nieprzyjacieł będzie nas niepokoił?

- Kogo pan nazywa nieprzyjacielem, proszę pana? - rzekł kramarz, prostując się i patrząc na pana Whartona w taki sposób, że ten spuścił wzrok z pomieszaniem.

- Każdy jest nieprzyjacielem, kto nam zamąca spokój - rzekła panna Peyton, widząc że szwagier nie może się zdobyć na odpowiedź - ale czy królewskie wojska już tu idą?

- Być może, iż niezadługo nadejdą - odparł Birch, podnosząc tobół z ziemi i gotując się do wyjścia.

- A ładowcy - ciągnęła dalej panna Peyton łagodnie - czy ładowcy znajdują się w obrębie hrabstwa?

Harvey chciał coś odpowiedzieć, gdy drzwi otworzyły się i wszedł Cezar wraz ze swoją rozpromienioną małżonką.

Ta rasa czarnych, której Cezar był dodatnim okazem, staje się bardzo rzadka. Stary wierny sługa, który urodzony i wychowany w domu pana zespalał się z nim niejako i dobro jego uważał za swoje własne, ustępuje w każdym kierunku miejsca tej włóczęgowskiej klasie, co pojawiła się w ciągu ostatnich lat trzydziestu i której członkowie wałęsają się po kraju pozbawieni zasad i uczuć. Bo jest to jedna z plag niewolnictwa, że ofiary jego zatracają cechy człowieka wolnego.

Wiek przyprószył siwizną krótkie, kędzierzawe włosy Cezara, uszlachetniając przez to całą jego powierzchowność. Długie niezmordowane użycie grzebienia wyprostowało mu czuprynę nad czołem, tak że stała sztywna jak szczotka, dodając mu ze dwa cale wzrostu. Czarność skóry straciła połysk młodości, przybierając odcień brunatny. Oczy rozstawione niesłychanie szeroko, były małe, dobrodusze, a w danej chwili błyszczały wewnętrznym rozradowaniem. Nos posiadał rozwinięte w wysokim stopniu przyrządy do wachania, nie wysuwając się naprzód, jak przystało na prawowity nos murzyński, a otchłanność grubych warg łagodziły dwa rzędy zawartych w nich pereł. Cezar był wzrostu niskiego, budowy, jeżeli tak można powiedzieć,

kwadratowej, ręce miał długie, muskularne, o kościstych dłoniach i palcach, z wierzchu czarnawo szare, a ze spodu spłowiałą różowością zabarwione. Najkapryśniejszą jednak okazała się natura w budowie nóg jego. Była tu obfitość materiału zgoła nie stosownie zużytego. Łydki umieszczone były ani z przodu ani z tyłu, ale gdzieś po bokach, na zewnątrz, i tak blisko kolan, że zginanie ich przedstawiało pewne trudności. Na stopy, jako na podstawę na której spoczywa ciało, nie miał prawa Cezar narzekać, tylko kość łydkowa znajdowała się tak jakoś pośrodku, że nie można było wiedzieć, czy chodzi naprzód czy w tył. Ale cokolwiek bądź dałoby się zarzucić jego kształtom z punktu widzenia rzeźbiarskiego, to było tylko pewnikiem, że serce Cezara Thompsona znajdowało się na właściwym miejscu i posiadało należyte rozmiary.

Wiodąc swą sędziwą towarzyszkę, przystąpił teraz Cezar do Sary i złożył jej powinne dziękczynienia, ona zaś przyjęła je uprzejmie z dodatkiem paru pochlebnych słów o guście męża i przypuszczalnym wyglądzie żony. Fanny z wyrazem równego prawie rozradowania jakim jaśniały twarze murzyńskiej pary ofiarowała usługi swojej igielki gwoli przystosowania zachwycającego perkaliku do jego przyszłego użytku. Ofiara ta została przyjęta z pokorną wdzięcznością.

Gdy Cezar wychodził wraz z żoną i kramarzem z jadalni, ulżył sercu dziękczynnym monologiem, mówiąc głośno przy zamykaniu drzwi:

- Dobra panienska - miss Fanny - opiekować się starym ojcem - i lubić szyć suknię dla starej Diny także.

Co więcej jeszcze mówił w przypiływie wdzięczności, niewiadomo, ale słychać było głos jego jeszcze wtedy, gdy już odległość nie pozwalała słów rozróżnić.

Harper upuścił książkę i spoglądał w milczeniu na tę scenę, a Fanny ucieszyła się podwójnie, gdy dostrzegła pełen uznania uśmiech na tej twarzy, z której ślady głębokich myśli i trosk nie starły wyrazu dobrośliwości, znamionującej najpiękniejsze uczucia ludzkiego serca.

ROZDZIAŁ IV.

*„... Kształty, oko, mowa, obejście
tego obcego lorda, jego postawa
śmiała i wyniosła, niby mury zbrojnego
zamku a jednak tak w miarę*

*utrafiona, że jego siła olbrzymia
zdaje się być niedbałą swobodą.
Powietrze i wojna wyłobily swoje
ślady na tej majestatycznej twarzy.
Lecz nic nie dorówna godności jego
spojrzenia! Tam chroniłbym się
w potrzebie pewny, że wśród
niebezpieczeństw, krzywd i bólu
doznam obrony, współczucia i ulgi.
Ale gdybym był winny, lękałbym
się tego wzroku bardziej niż
wyroku śmierci. - Dosyć! Dosyć,
zawołała księżniczka, to nadzieja
Szkocji, jej radość i duma. „*

Walter Scott.

Po wyjściu kramarza towarzystwo siedziało czas jakiś w milczeniu. Pan Wharton usłyszał dosyć, by zatroskać się o siebie, nie dowiedziawszy się niczego, co by mogło zmniejszyć jego niepokój ze względu na syna. Kapitan niecierpliwie spoglądał na Harpera, nie mogąc się doczekać, żeby ten niepożądany gość poszedł sobie nareszcie, choćby do drugiego pokoju, zaś panna Peyton kończyła sprzątać od śniadania z właściwym sobie łagodnym spokojem, a także i wewnętrznym zadowoleniem z nabycia tak znacznej ilości pięknej koronki. Sara zajęła się porządkowaniem swoich sprawunków, w czym pocziwie dopomagała jej Fanny, zapominając o własnych zakupach, gdy pan Harper przerwał nagle milczenie mówiąc:

- Jeżeli kapitan Wharton pozostaje w przebraniu ze względu na mnie, niech się zbędzie wszelkiej obawy; gdybym miał nawet jakie powody do wydania go, w obecnych okolicznościach musiałbym ich poniechać.

Młodsza siostra usunęła się na krzesło bledziutka i zdumiona, panna Peyton upuściła tacę z herbacianą zastawą, a Sara siedziała bez ruchu pośród swoich sprawunków. Pan Wharton zdrętwiał, lecz kapitan wyskoczył na środek pokoju i zrzucając perukę i plaster zawołał:

- Wierzę panu z głębi duszy i rad jestem, że ta męcząca komedia może się skończyć. Chociaż

doprawdy nie pojmuję, jakim sposobem mogłeś mnie pan poznać.

- Wyglądasz pan o tyle lepiej we własnej osobie, kapitanie Wharton - rzekł Harper z uśmiechem - że na przyszłość radzę panu jej nie ukrywać. Tu zresztą jest źródło mogące pana zdradzić w braku innych poszlak - i z tymi słowy wskazał portret na kominku przedstawiający młodego oficera w mundurze.

- Pochlebiałem sobie - zawołał Henryk Wharton, śmiejąc się - że wyglądam lepiej na płótnie niż w przebraniu. Pan musisz mieć wielki dar spostrzegawczości.

- Wyrobiła go we mnie konieczność - rzekł Harper wstając.

Fanny zbliżyła się do niego, i ująwszy jego rękę w obie dłonie, rzekła z przejęciem, płonąć najcudniejszym karminem.

- Pan nie może - pan nie wyda mego brata.

Przez chwilę Harper spoglądał z milczącym zachwytem na śliczną rzeczniczkę, po czym, przykładając sobie obie jej rączki do piersi, rzekł uroczyście:

- Nie mogę i nie wydam.

Puścił jej ręce i kładąc własną dłoń na główce dziewczęcia, ciągnął dalej:

- Jeżeli błogosławieństwo nieznajomego może ci się na coś przydać, przyjmij je.

Z tymi słowy odwrócił się, złożył rodzinie głęboki ukłon i poszedł do swego pokoju z delikatnością, którą pozostali ocenili należycie.

Szlachetne i uroczyste zachowanie się nieznajomego wywarło wielkie wrażenie na całym towarzystwie, i wszyscy prócz ojca odetchnęli z ulgą. Przyniesiono zabraną z miasta wraz z innymi rzeczami garderobę kapitana, i młody Wharton, wyzwolony nareszcie z nieznośnego przebrania, zaczął w całej pełni używać rozkoszy pobytu pod rodzicielskim dachem, rozkoszy, dla której na tak wielkie osobiste narażał się niebezpieczeństwo. Pan Wharton odszedł do swego pokoju, gdzie go odwołały codzienne zajęcia, a panie, pozostawszy z kapitanem, gawędziły wesoło o najmilszych im przedmiotach. Nawet panna Peyton ożywiła się, i cała czwórka spędziła parę godzin, nie pomyślawszy nawet, że jakieś niebezpieczeństwo mogłoby im grozić. Oczywiście nie pominięto w rozmowie miasta i dawnych znajomych, a panna Peyton pomna na miłe chwile, jakie tam spędziła, zapytała między innymi o pułkownika Wellmere'a.

- O! - zawołał kapitan wesoło - jest wciąż w New-Yorku piękny i nadskakujący damom jak zawsze.

Kobieta, choćby nie była zakochaną, rumieni się zawsze na wzmiankę o mężczyźnie, w którym mogłaby się zakochać i z którym ją ploteczki znajomych łączyły. Tak się stało i z Sarą; spuściła oczy na dywan, zapłoniona i uśmiechnięta, co dodało nowego uroku jej wdziękowi.

Kapitan Wharton, nie zważając na to, ciągnął dalej:

- Czasami napada go melancholia, mówimy mu wtedy, że jest zakochany.

Sara podniosła oczy na brata, i z pewnym pomieszaniem odwróciwszy je natychmiast,

spotkała figlarne spojrzenie siostry, która zaczęła się śmiać wołając:

- Biedaczek! tak bardzo rozpacza?

- No, nie! I nie ma chyba powodów po temu, najstarszy syn bogatego ojca, taki piękny, i w dodatku pułkownik.

- Istotnie ważne powody, żeby był pewnym siebie - rzekła Sara, śmiejąc się z przymusem - zwłaszcza ostatni.

- Pozwól sobie powiedzieć - rzekł kapitan z powagą - że ranga pułkownika w Gwardii to rzecz piękna.

- A pułkownik Wellmere jest pięknym mężczyzną - dodała Frances.

- O! Fanny - odrzekła starsza siostra - pułkownik Wellmere nie był nigdy w twoich łaskach; jest zbyt wiernym sługą swego króla, żeby ci mógł przypaść do gustu.

- A czy Henryk nie jest wiernym sługą króla? - zarzuciła prędko Frances.

- No, no, tylko nie sprzecajcie się o pułkownika - rzekła panna Peyton - to mój ulubieniec.

- Fanny woli majorów - zawołał brat, sadzając ją sobie na kolanach.

- Henryku! nie pleć - rzekło zarumienione dziewczę, usiłując uwolnić się z objęć rozweselonego brata.

- Dziwi mnie jednak - ciągnął dalej kapitan - że Peyton, postarawszy się o uwolnienie ojca, nie próbował zatrzymać mojej siostrzyczki w buntowniczym obozie.

- To byłoby mogło stać się niebezpiecznym dla jego wolności - rzekła Fanny z uśmiechem, siadając znów na krześle - a przecież wiesz, że major Dunwoodie walczy za wolność.

- Wolność! - zawołała Sara - piękna wolność, która zmienia jednego władcę na pięćdziesięciu innych.

- Przywilej zmieniania władców w ogóle jest właśnie wolnością.

- I z tego przywileju pleć piękna rada by czasem korzystać - zawołał kapitan.

- My przede wszystkim chcemy mieć wolność wyboru, kto ma być owym władcą - rzekła śmiejąc się Fanny. - Nieprawdaż, ciociu?

- Co? - zawołała panna Peyton - alboż ja się znam na tych rzeczach, moje dziecko! Zapytaj kogo innego, jeżeli się chcesz dowiedzieć czego w tym względzie.

- O! ciocia chciałyby w nas wmówić, że nigdy młodą nie była, ale ja słyszałam niejedno o pięknej panie Joannie Peyton.

- Co za niedorzeczność! - rzekła ciotka, usiłując powściągnąć uśmiech. - Nie trzeba wierzyć wszystkiemu co się słyszy.

- Ciocia to nazywa niedorzecznością! - zawołał kapitan wesoło - a generał Montrose po dziś dzień spełnia kielichy na cześć panny Peyton; sam byłem tego świadkiem w ubiegłym tygodniu przy stole sir Henryka.

- Henryku! stajesz się tak niemożliwym jak twoja siostra, więc aby temu położyć koniec,

zabieram cię abyś obejrzał moje domowe tkaniny, które, śmiem sobie pochlebiać, wytrzymują porównanie z najpiękniejszymi towarami Bircha.

Młodzi powstali i poszli za ciotką w jak najlepszych humorach, śmiejąc się i żartując. Panna Peyton skorzystała jednak ze sposobności, gdy wstępowali na schody, by zapytać siostrzeńca, czy generał Montrose, wciąż tak cierpiał na podagrę jak w owych czasach, kiedy go znała.

W miarę jak posuwamy się w życie, musimy z przykrością powiedzieć sobie, że nawet ci, których najbardziej kochamy, nie są wolni od jego ułomności. Gdy serce jest świeże, a przyszłość ukazuje się w barwach promiennych, których posępne doświadczenia przeszłości nie zdążyły jeszcze przyćmić, uczucia nasze są najszczytniejsze. Lubimy wówczas przyoblekać najbliższe nam istoty w te wszystkie zalety, do których wdychamy sami, i we wszystkie cnoty, które nas czcąc nauczyły. Ta ufność, z jaką się do nich odnosimy, jest jakby częścią naszej natury, a przywiązanie rodzinne otacza pewną aureolą czystości, która w późniejszym życiu, rzadko kiedy nie ulega skażeniu.

Przez resztę dnia rodzina pana Whartona zażywała niczym niezamąconego szczęścia, jakie od dawna już nie było jej udziałem, szczęścia, którego źródłem jest wzajemne bezgraniczne zaufanie i wymiana najbezinteresowniejszych pieszczot.

Harper ukazał się dopiero przy obiedzie i odszedł, skoro tylko zdjęto obrus, pod pozorem jakiegoś zajęcia w swoim pokoju. Wszyscy byli temu radzi, bo aczkolwiek postępowanie jego budziło zupełną ufność i szacunek, jednakże obecność obcego człowieka była im nie na rękę, zwłaszcza że odwiedziny kapitana Whartona musiały się ograniczyć do paru dni zaledwie, zarówno ze względu na krótkość udzielonego mu urlopu, jak i niebezpieczeństwa odkrycia.

Starano się jednak nie myśleć o tym. Parę razy w ciągu dnia pan Wharton wyraził pewne wątpliwości o charakterze nieznanego gościa i obawę, że pomimo wręcz przeciwnych zapewnień mógł on jednak wydać jego syna, ale młodzi odrzucili z oburzeniem to posądzenie, nawet Sara przyłączyła się do zdania siostry i brata, obstając gorąco za szczerością i szlachetnością Harpera.

- Moje dzieci - odpowiedział zatroskany ojciec - pozory często mylą. Jeżeli taki człowiek jak major Andre nie wahał się używać podstępu, to cóż tu wnioskować o czymś charakterze na podstawie powierzchownych zalet.

- Podstępny! - zawołał kapitan z żywością - zapominasz, ojcze, że major Andre służył królowi, i że zwyczaje wojenne usprawiedliwiają podobne środki.

- A czy zwyczaje wojenne nie usprawiedliwiają jego śmierci? - zapytała Fanny cichym głosem, niezdolna powstrzymać się od wystąpienia w obronie tego co uważała za sprawę swego kraju, pomimo współczucia, jakie budził w niej tragiczny los straconego człowieka.

- Nigdy! - wykrzyknął młodzieniec, zrywając się z krzesła i chodząc szybko po pokoju. - Zdumiewasz mnie, Fanny! Przypuśćmy, że mnie by coś podobnego spotkało, gdybym wpadł w

ręce buntowników, może być także usprawiedliwiła śmierć moją i zachwycała się okrucieństwem Washingtona.

- Henryku! - rzekła Frances uroczyście, cała drżąca ze wzruszenia i blada jak śmierć - nie znasz mego serca!

- Przebac mi, siostrzyczko! przebac, Fanny najdroższa! - zawołał ze skrucłą młodzieniec, tuląc ją do piersi i scałowując łzy, które pomimo wszelkich jej wysiłków napełniły modre oczęta.

- Bardzo to niemądrze z mojej strony, że sobie coś robię z twoich słów nierozważnych - rzekła Fanny, wysuwając się z objęć brata i podnosząc na niego z uśmiechem wilgotne jeszcze oczy - ale wymówka z ust kochanych osób musi boleć, zwłaszcza, Henryku, gdy... gdy... nam się zdaje... gdy wiemy...

Bladość jej policzków ustępowała stopniowo barwie różanej, gdy z utkwionymi w dywanie oczyma dokończyła cichym głosem:

- ... gdy na nią nie zasługujemy.

Panna Peyton przesiadła się ze swego krzesła obok Fanny, i ujmując jej rękę, zauważyła łagodnie:

- Nie bierz tak do serca gwałtowności brata; chłopcy, jak wiesz, są przysłowioowo nieokiełznani.

- I okrutni, może cioteczka dodać - rzekł kapitan, siadając po drugiej stronie siostry - ale na punkcie śmierci Andre'go jesteśmy wszyscy niesłychanie drażliwi. Nie znałaś go, Fanny, było to upostaciowanie męstwa, szlachetności, rozumu...

Fanny uśmiechnęła się z lekka i wstrząsnęła głową, ale nic nie odrzekła. Brat, zauważywszy te oznaki niedowierzania, ciągnął dalej:

- Wątpisz o tym i usprawiedliwiasz śmierć jego?

- Nie wątpię o jego wartości - odrzekła panienka miękko - ani o tym, że zasługiwał na los lepszy, ale nie mogę potępić postępku Washingtona. Bardzo mało znam się na zwyczajach wojennych i wołałabym znać się jeszcze mniej, lecz jakież nadzieje powodzenia mogliby mieć Amerykanie, gdyby wszystkie, z dawna ustalone zasady były wyłącznym przywilejem Anglików?

- Ale co im po powodzeniu! - rzekła niecierpliwie Sara - zresztą to są buntownicy i wszystkie ich postęпки są nielegalne.

- Kobiety to są zwierciadła, w których odbijają się obrazy, jakie mają przed sobą - rzekł kapitan wesoło. - W Fanny widzę obraz majora Dunwoodie a w Sarze...

- Pułkownika Wellmere'a - przerwała młodsza siostra, śmiejąc się i rumieniąc. - Tak, muszę wyznać, że moje rozumowania zawdzięczam poniekąd majorowi, nieprawdaż ciociu?

- Zdaje mi się, że tak jest, moje dziecko.

- A więc moja wina, a ty, Saro, czy nie zapomniałaś uczonych wywodów pułkownika

Wellmere'a?

- Nie zapominam nigdy tego, co jest słuszne - odrzekła Sara, rumieniąc się nie gorzej niż jej siostra i wstając pod pozorem, że jej za gorąco przy kominku.

Dzień minął spokojnie, ale wieczorem Cezar przyszedł z wiadomością, że słyszał cichą rozmowę w pokoju Harpera. Pokój ten znajdował się w skrzydle na końcu domu, naprzeciwko saloniku, w którym zgromadzała się rodzina, i Cezar musiał widocznie być wciąż na przespiegach, ze względu na bezpieczeństwo swego młodego pana. Wiadomość ta zaniepokoiła wszystkich, ale wejście Harpera i ten wyraz dobroci i szczerości, jakim tchnęła jego postać, rozwiął wnet posądzenia rodziny, wyjąwszy pana Whartona. Siostra jego i dzieci były pewne, że Cezar musiał się omylić, i wieczór minął spokojnie.

Nazajutrz po południu całe towarzystwo siedziało przy herbacie, gdy nastąpiła zmiana pogody. Całun mgły, spowijający szczyty wzgórz, zaczął posuwać się z zachodu na wschód ze zdumiewającą szybkością. Deszcz jednak nie przestawał siec gwałtownie wschodnich okien domu, i od tej strony niebo było ciemne i posępne. Fanny patrzyła na to z utęsknieniem młodości do wyrwania się z przymusowego zamknięcia w czterech ścianach, gdy jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszystko się zmieniło. Wiatr ustał, burza ucichła i wspaniały promień słońca oświecił przeciwległy las. Liście błyszczały, grając najbogatszymi barwami amerykańskiej jesieni. W mgnieniu oka mieszkańcy domu wysypali się na wychodzący na południe taras. Powietrze było wonne i orzeźwiające; na wschodzie, chmury podobne do cofających się szeregów pobitej armii otaczały horyzont groźnym i posępnym półkolem. W pewnej wysokości ponad domem leciuchny welon mgły sunął ku wschodowi ze zdumiewającą chyżością, kiedy na zachodzie cały krajobraz stał w glorii zachodzącego słońca, przejrzystej atmosfery, i połyskującej wilgocią zieleni. Takie chwile są wyłączną właściwością amerykańskiego klimatu, i czar ich leży w nagłości przeciwieństwa i tej rozkoszy, jakiej doznajemy przechodząc z rozpętania żywiołów w słodką ciszę wieczoru tak ciepłego jak czerwcowy poranek.

- Cóż to za wspaniały widok! - rzekł Harper cichym głosem - jaki wzniosły! jak wielki! oby podobny spokój wprędce położył kres walkom, jakie szarpia moim krajem, i oby tak pogodny wieczór nastąpił dlań po dniu nawałnicy.

Jedynie Fanny, stojąca przy nim, słyszała te słowa. Odwróciwszy się zdumiona zobaczyła go stojącego z odkrytą głową, wyprostowanego i z oczyma utkwionymi w niebo. Oczy te nie były już jak zwykle spokojne, płonął w nich ogień zapału i lekki rumieniec zabarwił policzki.

- Nie - pomyślała Fanny - po takim człowieku niczego złego obawiać się nie można; tylko piękna dusza może doznawać uczuć podobnych!

Nagle ukazanie się kramarza wyrwało całe towarzystwo z zadumy. Skorzystał z pierwszych promieni słońca i pośpieszył do Akacji. Z głową nieco ku przodowi pochyloną i z rozmachanymi

rękoma Harvey Birch zbliżył się do tarasu właściwym mu krokiem. Był to szybki wydłużony krok wędrownego kramarza.

- Piękny wieczór - rzekł Harvey, kłaniając się towarzystwu ze spuszczonej oczyma - i ciepły jak na tę porę roku.

Pan Wharton przytaknął mu i zapytał uprzejmie o zdrowie ojca. Harvey usłyszał go, lecz stał czas jakiś w milczącym zamyśleniu, dopiero gdy pan Wharton ponowił pytanie, odrzekł z lekkim drżeniem w głosie:

- Podupada bardzo, wiek i trudy zrobiły swoje.

Mówiąc to, odwrócił z lekka twarz, ale Fanny spostrzegła, że usta mu drżą i oczy zwilgotniały, i po raz drugi Harvey urósł w jej mniemaniu.

Dolina, w której znajdowała się posiadłość pana Whartona, biegła w kierunku z północno-zachodu na południo-wschód, a dom stał na zboczu wzgórza wydłużającego się w tymże kierunku. Przez niewielki otwór, spowodowany zniżaniem się przeciwległego wzgórza i spadek gruntu do poziomu morza, widać było Sound * ponad wierzchołkami dalekich lasów na brzegu. Powierzchnia morza, które z taką wściekłością smagało przed niedawnym czasem brzegi, falowała równo i łagodnie, a lekki południowo-zachodni wietrzyk muskał ją kojąco. Raz po raz ukazywały się jakieś ciemne plamy i nikły poza wydłużoną linią wód. Nikt ich nie zauważył prócz kramarza, który usiadł - nieopodal tarasu i jakby zapomniał o celu swoich odwiedzin. Spostrzegłszy jednak owe rzekome punkty, zerwał się żywo i z natężeniem jął patrzeć w stronę wody. Po czym zerknął niespokojnie na Harpera i rzekł z naciskiem.

- Regularni musieli nadejść z dołu.

- Po czym to wnosisz? - zapytał kapitan z żywością. - Dałby Bóg, żeby było prawdą, bo mi ich eskorta potrzebna.

- Te tam dziesięć wielorybich statków nie płynęłoby tak szybko, gdyby nie miały lepszej obsługi niż zwyczajną.

- A może - zawołał pan Wharton przestraszony - może to... może to łodowcy wracają z wyspy.

- Wyglądają na regularnych * - rzekł kramarz znacząco.

- Wyglądają! - powtórzył kapitan - przecież nic nie widać prócz jakichś ciemnych punktów.

Harvey nie podjął tej uwagi, lecz rzekł półgłosem, jakby sam do siebie:

- Przyszli przed burzą - siedzieli na wyspie przez te dwa dni - jazda jest na gościńcu - niezadługo będą się bili w pobliżu nas.

Mówiąc to Birch spojrzął z niepokojem na Harpera, ten jednak jakby nie zwracał na to uwagi. Stał milcząc, zapatrzony w krajobraz, napawając się pięknym widokiem. Gdy jednak Birch skończył mówić, Harper zwrócił się do pana domu i rzekł, że ponieważ interesy jego nie pozwalają na dalszą zwłokę, skorzysta z pięknego wieczora, aby jeszcze kilka mil przed nocą

ujechać. Pan Wharton wyraził żal z utraty tak miłego gościa, nie nalegał jednak i wnet wydał odpowiednie rozkazy.

Niepokój kramarza wzrastał widocznie, choć na pozór nic go nie usprawiedliwiało; patrzył ciągle ku - niższemu końcowi doliny, jak gdyby czegoś się stamtąd spodziewał. Nareszcie ukazał się Cezar, wiodąc szlachetnego rumaka, który miał ponieść ciężar podróżnego. Kramarz skwapliwie jął pomagać w przyciąganiu popręg i przymocowaniu błękitnego płaszcza i walizki do siodła.

Tymczasem Harper zaczął się żegnać. Powiedział kilka uprzejmych słów ciotce i Sarze, ale gdy zbliżył się do Fanny, umilkł na chwilę, a twarz jego przybrała wyraz większej jeszcze niż zazwyczaj dobroć. Oczyma powtórzył błogosławieństwo, które przedtem wypadło z ust jego, a Fanny uczuła, że policzki jej płoną, a serce bije szybciej pod wrażeniem tego pożegnania. Następnie Harper zamienił parę zdawkowych grzeczności z panem domu i wyciągając rękę do kapitana, rzekł z wielką powagą:

- Krok, na który się pan ważyłeś, jest bardzo niebezpieczny i może pociągnąć za sobą przykre dla pana skutki; w takim razie będzie może w mojej mocy wywdzięczyć się za gościnność, jakiej tu doznałem.

- Ach panie! - zawołał pan Wharton, tracąc poczucie delikatności w obawie o syna - utrzymaj pan w tajemnicy odkrycie, które zrobiłeś dzięki pobytowi w moim domu.

Harper zwrócił się żywo ku niemu ze ściągniętym surowo czołem, po czym rozpogodziwszy się znowu, odpowiedział łagodnie:

- Pobyt w pańskim domu nie odłonił mi niczego, czego bym przedtem nie wiedział, lecz dla bezpieczeństwa pańskiego syna lepiej jest, iż wiem o jego bytności tutaj.

Skłonił się całemu towarzystwu, i nie zwracając uwagi na kramarza poza podzięką za jego usłużność, dosiadł konia, i powodując nim z pełną wdzięku zręcznością, wyjechał za furtkę i wnet zniknął za wzgórzem, osłaniającym dolinę od północy.

Kramarz śledził go wzrokiem, dopóki go z oczu nie stracił, po czym odetchnął głęboko, jak gdyby mu ciężar jakiś spadł z piersi. Whartonowie stali w milczeniu, dumając nad charakterem nieznanego gościa, wreszcie ojciec zbliżył się do Bircha i rzekł:

- Jestem dotąd twoim dłużnikiem, Harveyu, za tytoń, który mi tak uprzejmie przyniosłeś z miasta.

- Jeżeli nie okaże się tak dobrym jak poprzedni - odparł kramarz, posyłając ostatnie, przeciągłe spojrzenie w kierunku, w którym zniknął Harper - to wina w tym, że go teraz trudno dostać.

- Owszem, smakuje mi bardzo - ponowił tamten - ale zapomniałeś powiedzieć mi jego ceny.

Wyraz twarzy kramarza zmienił się nagle, głęboka troska ustąpiła miejsca zwykłej mu przebiegłości, z jaką odpowiedział:

- Trudno oznaczyć cenę, muszę pozostawić to pańskiemu uznaniu i hojności.

Pan Wharton wyjął z kieszeni rękę, napełnioną portretami Karola Trzeciego, i wyciągnął ją do Bircha, trzymając trzy sztuki w palcach. Oczy Harveya zaświeciły pożądliwością i przeżuwszy w ustach sporą ilość tytoniu, nadstawił dłoń, na którą dolary spadły z melodyjnym dźwiękiem, on jednak nie poprzestając na tym, wypróbował każdą z kolei sztukę o stopień tarasu, aż wreszcie dobywszy dużą skórzaną sakiewkę, schował ją tak zręcznie, że nikt z obecnych nie byłby mógł powiedzieć, jaka część jego osoby posłużyła za kryjówkę tego skarbu.

Załatwiwszy tak pomyślnie najważniejszą sprawę swych handlowych obrotów, kramarz powstał z kamiennej posadzki tarasu i zbliżył się do kapitana, który trzymając obie siostry wpół, prowadził z nimi ożywioną rozmowę.

- Czy pan jedzie dzisiaj, kapitanie Wharton? - zapytał nagle.

- Nie - odrzekł kapitan lakonicznie, wciąż obejmując siostry - czy chciałbyś, panie Birch, bym porzucił tak prędko towarzystwo, którym nigdy już może cieszyć się nie będę?

- Bracie! - rzekła Fanny - to okrutnie żartować z takich rzeczy.

- Widzi mi się - rzekł kramarz chłodno - że teraz gdy burza minęła, skinnerzy mogliby się ruszyć, lepiej więc będzie skrócić odwiedzin, kapitanie Wharton.

- O! - zawołał oficer angielski - parę gwinei uwolni mnie od tych łotrów, gdybym ich spotkał. - Nie, nie, panie Birch, zostanę tu do jutra.

- Pieniądze nie zdołały uwolnić majora Andre - rzekł kramarz sucho.

Obie siostry popatrzyły na brata z przestachem, a starsza zauważyła:

- Posłuchaj lepiej rady Harveya, bądź pewny, Henryku, że w takich sprawach z jego zdaniem trzeba się liczyć.

- Tak - dodała młodsza - jeżeli, jak podejrzewam, pan Birch dopomógł ci w przyjeździe tutaj, to twoje bezpieczeństwo, nasze szczęście, drogi Henryku, wymaga, abyś go teraz usłuchał.

- Sam tu przyszedłem i sam stąd odejdę - rzekł kapitan stanowczo. - Pomoc Harveya polegała na tym, że mi dostarczył przebrania i donióśł, kiedy brzeg będzie wolny, a w tym ostatnim względzie omyliłeś się, panie Birch.

- Tak - odrzekł kramarz z pewną troską - i to jeden powód więcej, abyś pan wracał niezwłocznie; paszport, który panu dałem, służy tylko na raz.

- A nie możesz mi pan sfabrykować drugiego? Blade policzki kramarza powlokły się niezwykłym rumieńcem, stał jednak milcząc z oczyma utkwionymi w ziemię; młodzieniec zaś dodał z wielką stanowczością:

- Niech się dzieje co chce, zostaję na noc.

- Kapitanie Wharton - rzekł kramarz zwolna i z naciskiem - strzeż się pan wysokiego Wirginijczyka z dużymi wąsami, o ile wiem, śledzi pana, a sam diabeł go nie oszuka. Mnie się to raz tylko udało.

- Niech się mnie strzeże - rzekł Wharton wyniośle - ale panie Birch, na wszelki wypadek zwalniam cię od dalszej odpowiedzialności.

- Dasz mi to pan na piśmie? - zapytał przezorny Birch.

- O! z ochotą - zawołał kapitan, śmiejąc się. - Cezarze! pióra, papieru i atramentu, abym napisał świadectwo dla zaufanego powiernika Harveya Bircha, kramarza i t. d., i t. d.

Przyniesiono przybory do pisania i kapitan z wielką wesołością wystylizował po swojemu żądane zaświadczenie, które kramarz, schowawszy starannie obok portretów Jego Katolickiej Mości, skłonił się zamasyście całemu towarzystwu i oddalił się tym samym szybkim, wydłużonym krokiem, jakim przyszedł. Wkrótce ujrzano go z daleka, jak wsuwał się do wnętrza swej lichej sadyby.

Ojciec i siostry kapitana byli tak uszczęśliwieni z przedłużenia jego odwiedzin, że najlżejsza obawa, mogąca tę radość zamącić, nie przyszła im nawet do głowy, on jednak zastanowiwszy się, zmienił zdanie, i zaraz po wieczery wyprawił Cezara po Harveya, nie chcąc bez jego pomocy puszczać się w drogę. Murzyn wrócił wprędce z niepożądaną wiadomością, że było już za późno. Katy powiedziała mu, że Harvey wyszedł z toborem o zmierzchu i musi już być daleko od domu. Nie pozostawało więc nic innego kapitanowi jak czekać cierpliwie do rana i wtedy postanowić, co mu uczynić wypada.

- Ten Harvey Birch swymi ostrzeżeniami i tajemniczą miną napędził mi większego niepokoju, niż sam się do tego chcę przyznać - rzekł kapitan, ocknąwszy się z zadumy, w której niebezpieczeństwo jego położenia odgrywało niemałą rolę.

- Jak on może tak swobodnie krążyć po okolicy w tych niebezpiecznych czasach? - zagadnęła panna Peyton.

- Czemu buntownicy tak przez szpary patrzą, na jego wędrówki, tego istotnie nie pojmuję - odpowiedział kapitan - ale to pewna, że sir Henryk nie pozwoliłby, aby mu jeden włos spadł z głowy.

- Doprawdy? - zawołała Fanny z zajęciem - więc sir Henryk Clinton zna go?

- Przynajmniej powinien go znać!

- Jak sądzisz, mój synu, - zapytał pan Wharton - czy jest niebezpieczeństwo, że mógłby cię zdradzić?

- No, nie, zastanawiałem się nad tym długo, nim mu zawierzyłem - odparł kapitan w zamyśleniu. - Zdaje się jest uczciwym w interesach - zresztą własne niebezpieczeństwo, jakie mu grozi, gdyby chciał wrócić do miasta, wstrzymałoby go od popełnienia takiej podłości.

- I mnie się zdaje - rzekła Fanny, zamyślając się również - że Harvey Birch nie jest pozbawiony szlachetniejszych uczuć, przynajmniej wygląda na to czasami.

- O! - zawołała Sara z zapalem - jest lojalny, a to według mnie stanowi kardynalną cnotę.

- Ja zaś myślę - rzekł brat śmiejąc się - że bardziej kocha on pieniądze niż króla.

- Jeżeli tak - zauważył ojciec - nie możesz mu ufać, bo żadna miłość nie oprze się pokusie pieniężnej, tam gdzie w grę wchodzi chciwość.

- Ależ, ojczy - zawołał młodzieniec, odzyskując wesołość - musi być przecież jakaś miłość, która potrafi oprzeć się wszystkiemu, nieprawdą, Fanny?

- Masz tu świecę i idź spać; ojciec już zwykł być w łóżku o tej porze.

ROZDZIAŁ V.

*„Przez piaski Solwayu, przez
mchy Tarossu idąc na oślep, odnajdywał
właściwe drożyny. Sprytnemi
zakręty, rozpaczniemi skoki zmylił
czujność najlepszych gończych Percy’ego.
Brodu nie było w rzekach
Eske i Liddel, lecz przeprowił się
pomimo to przez jedną i drugą.
Niczem mu był czas ni prąd,
grudniowy śnieg, czy czerwcowe słońce.
Niczem mu był czas czy prąd,
bezksiężycowa północ lub wczesny
świt. „*

*Walter Scott
Pieśń ostatniego Minstrela.*

Wszyscy członkowie rodziny Whartonów udali się tej nocy na spoczynek z uczuciem jakiegoś trwożnego oczekiwania. Niepokój nie pozwolił zmrużyć oka obu siostram i wstały

nazajutrz zmęczone bezsennością i obawą.

Ale gdy z okien sypialni wyjrzały w dolinę, nic na pozór nie mąciło jej pogodnego wyglądu. Stała ona cała w blaskach słodkiego czarownego dnia, który zdarza się tu tak często w okresie listopadowym, która to częstość stawia amerykańską jesień na równi z najpiękniejszymi porami roku innych krajów. Nie znamy wiosny, roślinność budzi się do życia jakby w pełni swego rozkwitu, zamiast rozwijać się stopniowo, jak pod tymi samymi stopniami szerokości starego świata; natomiast z jakimż wdziękiem odchodzi! Wrzesień, październik, a nawet listopad i grudzień są porą roku sprzyjającą przebywaniu na świeżym powietrzu; zdarzają się wprawdzie burze i niepogody, ale są krótkotrwałe i zostawiają po sobie przedziwną przejrzystość atmosfery i bezchmurne niebo.

Ponieważ nic nie zapowiadało jakiegś niepożądanego przeszkody w rozkoszowaniu się tym cudnym dniem, siostry zeszyły na dół, nabrawszy znów zaufania w bezpieczeństwo brata i własną szczęśliwość.

Rodzina zgromadziła się wcześniej przy śniadaniu, i panna Peyton z tą drobiazgową systematycznością, którą życie samotne wyradza, zdecydowała, że obecność siostrzeńca nie powinna wpłynąć na zmianę w przyjętych godzinach posiłku; towarzystwo więc siedziało już przy stole, gdy kapitan ukazał się nareszcie, aczkolwiek kawa stygnąca w filiżankach świadczyła, że mimo woli czekano na niego.

- Doszedłem do przekonania - rzekł, siadając na krześle pomiędzy siostrami i witając się z nimi serdecznie - że zrobiłem daleko lepiej, wypawszy się w wygodnym łóżku i zapewniwszy sobie doskonałe śniadanie, zamiast liczyć na gościnność tych świeżo zorganizowanych oddziałów cow-boyów.

- Jeżeli mogłeś spać - rzekła Sara - to byłeś szczęśliwszy niż Fanny i ja; każdy szmer nocny wydawał nam się zapowiedzią zbliżania się buntowniczej armii.

- No - rzekł kapitan ze śmiechem - wyznaję, że i ja byłem trochę zaniepokojony, ale jakże to było z tobą? - dodał zwracając się do młodszej siostry, która widocznie była jego ulubienicą, i klepiąc z lekka jej różowy policzek. - Czy widziałaś sztandary w chmurach, a dźwięki harfy ciotczynej wydawały ci się muzyką zbuntowanych?

- Nie, Henryku - odpowiedziało dziewczę, patrząc na niego z przywiązaniem - aczkolwiek kocham kraj, nadejście jego wojsk sprawiłoby mi teraz wielką boleść.

Brat nic nie odpowiedział, tylko tkliwie uściśnął jej rękę, gdy Cezar, który brał znaczny udział w obawach rodziny i od świtu był już na czatach, a teraz stał przy oknie, dając pilne baczenie na okolicę, wykrzyknął, z twarzą poszarzałą nagle z przerażenia:

- Uciekać - massa Harry - uciekać! - jeżeli kochać stary Cezar uciekać - widać jazda buntownicy.

- Uciekać - powtórzył angielski oficer, prostując się dumnie - nie, mój Cezarze, ucieczka nie

jest moim rzemiosłem.

I mówiąc to przystąpił do okna, gdzie już cała rodzina skupiła się w największym przerażeniu.

W więcej niż milowej odległości ukazało się około pięćdziesięciu dragonów, wysuwających się z jednej z bocznych drózek doliny. Na przedzie obok oficera postępował człowiek w wieśniaczej odzieży i wskazywał w stronę Akacji. Po chwili mała gromadka jeźdźców odłączyła się od reszty oddziału i zaczęła dążyć szybko we wskazywanym kierunku..

Wyjechawszy na środek doliny, zwrócili konie ku północy. Rodzina Whartonów jak przykuta do miejsca śledziła wszystkie ich poruszenia z zapartym oddechem, gdy jeźdźcy, dosięgnąwszy siedziby Bircha, otoczyli ją szybko, i w mgnieniu oka dwunastu dragonów stanęło na straży.

Pozostali zsiadli z koni i weszli do środka, lecz po paru minutach ukazali się znów na podwórku w towarzystwie Katy, z której gwałtownych ruchów wywnioskować było można, że chodziło o rzeczy niepośledniej wagi.

Tymczasem nadjechał pozostały w tyle oddział, tamci zaś, po krótkiej rozmowie z gadatliwą gospodynią, dosiedli znów koni i popędzili w stronę Akacji.

Dotychczas nikt z rodziny nie zdobył się na tyle przytomności umysłu, by przedsięwziąć jakieś środki zabezpieczenia kapitana; dalsza zwłoka jednak stawała się niemożliwą. Jedni przez drugich jęli pośpiesznie wymieniać różne kryjówki, lecz młodzieniec odrzucił wszystkie wyniośle, jako uwłaczające jego wojskowej godności. Na ucieczkę do lasu, znajdującego się na tyłach domu, było za późno; dojrzano by go bowiem niewątpliwie i ujęto niebawem..

Nareszcie siostry drżącymi rękoma nałożyły na niego przebranie, które Cezar przezornie miał pod ręką na wszelki wypadek.

Zaledwie skuteczniono tę czynność pośpiesznie i niedokładnie, gdy dragoni, pędzący jak wichry, wpadli na dziedziniec i z kolei otoczyli dom.

Nie pozostawało nic innego jak przybrać możliwie najobojętniejszą postawę w oczekiwaniu nieuchronnego badania. Dowódca zsiadł z konia i w towarzystwie paru swoich ludzi przystąpił do drzwi wchodowych, które Cezar z wolna i niechętnie otworzył. Ciężkie kroki kawalerzysty coraz to bliższe i bliższe złowrogim echem obity się o uszy kobiet, ścinając im krew w żyłach i pogrążając je w stan, graniczący z odrętwieniem.

Mężczyzna olbrzymiego wzrostu i budowy, znamionującej niepoślednią siłę, wszedł do pokoju i zdjąwszy czapkę skłonił się obecnym z uprzejmością, która, wnosząc z jego wyglądu, nie musiała mu być wrodzoną. Obfite, ciemne włosy, mocno spudrowane wedle ówczesnego zwyczaju, wicherzyły mu się nad czołem, a twarz tonęła prawie w szpecących ją niepomiernie bujnych wąsach. Pomimo to wyraz jego przenikliwych oczu nie był zły, a głos głęboki i potężny miał przyjemne brzmienie.

Fanny, podniósłszy na niego trwożny wzrok, poznała od razu człowieka, którego wedle

ostrzeżeń Harveya tak bardzo należało się obawiać.

- Nie lękajcie się, panie - rzekł oficer, przystanąwszy na chwilę i spoglądając na blade twarze obecnych - moja bytność ograniczy się do paru pytań, a jeżeli otrzymam na nie szczerą odpowiedź, uwolnię państwo natychmiast od naszej obecności.

- I jakież to są te zapytania? - wybełkotał pan Wharton, wstając i z niepokojem czekając na dalsze słowa oficera.

- Czy podczas burzy schronił się tu jaki obcy podróżny? - spytał dragon, mówiąc z pewnym przejęciem i do pewnego stopnia dzielając widoczny niepokój pana domu.

- Ten pan... zaszczycił nas swoją obecnością... w istocie... i... jeszcze nie odjechał.

- Ten. pan - powtórzył oficer, zwracając się do kapitana i przyglądając mu się przez chwilę, po czym chytry uśmieszek zaigrał mu na ustach.

Z uśmiezkiem przystąpił do młodzieńca i kłaniając mu się nisko z żartobliwą powagą, rzekł:

- Jak widzę, musisz pan cierpieć na srogie zawianie w głowie.

- Ja? - wykrzyknął kapitan zdziwiony - ja na żadne zawianie nie cierpię.

- Tak mi się zdawało, wnosząc z tego, że przykryłeś pan tak piękne czarne kędziory tą brzydką, starą peruką; racz mi pan wybaczyć tę pomyłkę.

Pan Wharton jęknął głucho, lecz panie, nie wiedząc jak daleko sięgają informacje niepożądanego gościa, zachowały kamienne milczenie. Kapitan mimo woli podniósł rękę do głowy i przekonał się, że siostry w pośpiechu tak krzywo nałożyły mu perukę, że część jego własnych włosów była z pod niej widoczną. Dragon nie przestając uśmiechać się, śledził jego ruchy, po czym, jakby sobie coś przypomniał, zwrócił się do ojca i rzekł:

- Zatem, to ma znaczyć, że nie było tu niejakiego pana Harpera w tym tygodniu?

- Pana Harpera - powtórzył tamten, czując, że ciężar spada mu z piersi - a tak; zapomniałem, ale już odjechał, jeżeli było coś podejrzanego w jego osobie, nie wiedzieliśmy o tem... był nam całkowicie nieznanym.

- Nie potrzebujesz pan obawiać się niczego od jego osoby - odpowiedział dragon sucho. - Odjechał tedy - jak - kiedy - i gdzie?

- Odjechał, jak przyjechał - rzekł pan Wharton nabierając coraz większej otuchy - konno wczoraj przed wieczorem drogą na północ.

Oficer słuchał z napięciem, twarz jego rozpromieniała się stopniowo i gdy pan Wharton skończył mówić, zakręcił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Whartonowie, sądząc, z jego zachowania się, wywnioskowali, że uda się na dalsze poszukiwanie owego pana Harpera. Jakoż dragon, wyszedłszy na dziedziniec, zaczął rozmawiać z widocznym przejęciem i zadowoleniem z paru podwładnymi. W chwilę potem wydano rozkazy, i jeźdźcy pędem rozbiegli się po różnych drózkach doliny.

Niepewność pozostałych w pokoju, którzy z łatwo zrozumiały ciekawością przypatrywali się

całej tej scenie, nie trwała długo, gdyż ciężkie kroki kawalerzysty rozległy się znowu i on sam wszedłszy do pokoju skłonił się powtórnie, po czym przystąpił do kapitana Whartona i rzekł z komiczną powagą:

- A teraz, gdy główne moje zadanie tutaj skończone, czy mogę przypatrzeć się bliżej tej peruce?

Angielski oficer, wpadając w ton tamtego, zdjął perukę i podał ją kawalerzyscie ze słowami:

- Mam nadzieję, że przypadnie panu do gustu.

- Nie mogę tego powiedzieć bez rozminięcia się z prawdą - odparł dragon - i stokroć wolę pańskie hebanowe włosy, z których tak pracowicie wycesałeś pan puder. Ale musiałeś pan odnieść jakieś srogie uszkodzenie pod tym olbrzymim, czarnym plastrem.

- Jesteś pan tak byстрыm obserwatorem, że radbym zasięgnąć pańskiego zdania w tym względzie - rzekł Henryk, zdejmując jedwabny plaster i ukazując mu nietknięty policzek.

- Na honor, powierzchowność pańska zyskuje z każdą chwilą - ciągnął dalej dragon wciąż z niewzruszoną powagą - gdybym jeszcze mógł nakłonić pana, byś zmienił tę starą kapotę na ten piękny szafirowy surdut, który tu leży, sądzę, iż nie byłbym świadkiem przyjemniejszej metamorfozy, od czasu gdy z porucznika przedzierzgałem się w kapitana.

Młody Wharton z wielkim spokojem uczynił, jak mu wskazano, i oczom dragona ukazał się wnet wyjątkowo piękny i wytwornie ubrany młodzieniec. Kawalerzysta popatrzył na niego przez chwilę z charakteryzującą go dotychczas żartobliwością i rzekł:

- Otóż mamy i nowego przybysza na scenie; jak panu wiadomo, przyjętym jest, by nieznajomi przedstawiali się sobie nawzajem. Jestem kapitan Lawton z kawalerii wirgińskiej.

- A ja, panie, jestem kapitanem Whartonem z sześćdziesiątego pułku piechoty jego królewskiej mości - rzekł Henryk, kłaniając się sztywno i odzyskując swe zwykłe obejście.

Twarz Lawtona zmieniła się nagle, przybrana żartobliwość znikła bez śladu. Przez chwilę patrzył na kapitana Whartona, który stał przed nim z podniesioną dumnie głową, gardząc dalszym udawaniem, i wykrzyknął ze szczerym przejęciem:

- Kapitanie Wharton! żałuję cię z całego serca!

- O! - zawołał zrozpaczony ojciec - jeżeli pan go żałujesz, to zostaw go w spokoju. On nie jest szpiegiem. Jedynie chęć zobaczenia rodziny skłoniła go do przybycia tutaj w przebraniu. Ach! zostaw go pan, a niema takiej nagrody, takiej sumy, której bym z ochotą nie zapłacił.

- Panie - rzekł Lawton wyniośle - trwoga o syna usprawiedliwia pańskie słowa. Ale zapominasz pan, że jestem Wirgińczykiem i człowiekiem honorowym.

Po czym, zwracając się do młodzieńca, mówił dalej:

- Czy nie wiedziałeś pan, że nasze przednie strażę znajdują się w tych stronach już od dni kilku?

- Dowiedziałem się o tym, gdy było już za późno cofać się - odparł Wharton ponuro. -

Przybyłem tu, jak wspomniał mój ojciec, by odwiedzić rodzinę, rozumiejąc, że wasze oddziały znajdują się w Peekskill w pobliżu Highlandu, inaczej nie byłbym się zapuścił tak daleko.

- Wszystko to być może, ale sprawa Andre'go wzbudziła naszą czujność. Gdy zdrada sięga nawet rangi wyższych oficerów, kapitanie Wharton, przyjaciele swobody muszą się mieć na baczności.

Henryk skłonił się w milczeniu, lecz Sara odważyła się powiedzieć coś w obronie brata. Dragon wysłuchał ją grzecznie i z pewnym współczuciem, lecz pragnąc uniknąć daremnych i kłopotliwych prośb rzekł łagodnie:

- Nie jestem komendantem oddziału; major Dunwoodie postanowi o losie brata pani; w każdym razie może on liczyć na jak najlepsze obchodzenie się z nim z naszej strony.

- Dunwoodie! - wykrzyknęła Fanny, a róże zakwitły nagle na jej bledziutkiej twarzyczce. - Dzięki Bogu! w takim razie Henryk jest ocalony!

Lawton popatrzył na nią z mieszaniną litości i zachwytu, po czym wstrząsnąwszy powątpiewająco głową, ciągnął dalej:

- Miejmy nadzieję i pozwól pani, że zostawimy tę sprawę jego uznaniu.

Fanny zarumieniła się ponownie. Obawa jej o brata zmniejszyła się znacznie, mimo to panienska zaczęła drżeć na całym ciele; oddech stał się krótki i urywany, a cała powierzchowność zdradzała niezwykle wzburzenie. Podniosła oczy na dragona, i spuściła je znowu; widocznym było, że chce coś powiedzieć i nie może. Panna Peyton, zauważywszy pomieszenie siostrzenicy, zbliżyła się z godnością i zapytała:

- Zatem, panie, możemy mieć nadzieję ujrzenia wkrótce majora Dunwoodie?

- Niezwłocznie, panie - odpowiedział dragon, który do tej chwili z zachwytem wpatrywał się w Fanny - wysłańcy są już w drodze z wiadomością o naszym położeniu; przyjedzie tu natychmiast, chyba że jakieś osobiste względy wpłynęłyby na uniemożliwienie jego odwiedzin.

- Będzie nam zawsze bardzo przyjemnie powitać majora Dunwoodie.

- Och! nie wątpię. Jest on ogólnym ulubieńcem. Ale czy mogę prosić o pozwolenie dla moich ludzi, którzy tworzą część jego szwadronu, by mogli zsiąść z koni i pokrzepić się trochę?

Było coś w obejściu kawalerzysty, co sprawiło, że pan Wharton byłby mu łatwo wybaczył pominięcie tej prośby, zresztą biednemu ojcu chodziło tak bardzo o pozyskanie sobie względów kapitana Lawtona, że skwapliwie wydał stosowne rozporządzenia, zapraszając oficerów, by zechcieli pożywić się śniadaniem, co przyjęto ochotnie.

Zresztą przezorni partyzanci nie pominęli żadnego środka ostrożności, tak koniecznej w ich położeniu. Na dalekich wzgórzach widać było gęsto porozstawiane patrole, podczas gdy ich koledzy zażywali wśród niebezpieczeństw swobody, jaką rodzi wyłącznie karność obojętność przyzwyczajenia.

Do stołu zasiadło tylko trzech oficerów, wszystko ludzie, którzy pod pozorami szorstkości,

wywołanej gorliwą i męczącą służbą, zdradzali wykwintne obejście. To też to wtargnięcie w domowe zacisze Whartonów nosiło cechy jak najściślejszej przyzwoitości. Panie pozostawiły stół do wyłącznego użytku kawalerzystów, ci zaś bez zbytnich ceremonii jęli korzystać z gościnności pana Whartona.

Wreszcie kapitan Lawton zawiesił chwilowo gwałtowny szturm, jaki przypuszczał do ciastek gryczanych, aby zapytać pana domu, czy zna wędrownego kramarza nazwiskiem Birch, zamieszkującego czasowo w dolinie.

- W istocie czasowo - odpowiedział pan Wharton ostrożnie - bywa tu bardzo rzadko; mogę powiedzieć, że go prawie nie widuję.

- To dziwne - rzekł kawalerzysta, patrząc bystro na pomieszanego gospodarza - zważywszy, że jest najbliższym sąsiadem pana; a i dla pań byłoby to pożądanym. Jestem pewny, że ten muślin na przykład kosztuje dwa razy tyle, niż on byłby zażądał.

Pan Wharton obejrzał się, coraz bardziej zmieszany, i zobaczył porzrzucone po sprzętach sprawunki.

Obaj niżsi oficerowie z trudem powstrzymali się od uśmiechu. Kapitan zaś zabrał się do śniadania tak żarliwie, jak gdyby to miał być jego ostatni w życiu posiłek. Okazała się też wnet potrzeba nowego transportu z zapasów kucharki Diny, i Lawton skorzystał z tej przerwy.

- Zamierzałem oduczyć tego pana Bircha jego nietowarzystości - rzekł - i odwiedzałem go dzisiaj. Gdybym go był zastał w domu, umieściłbym go tam, gdzie mógłby używać życia w licznym otoczeniu, przynajmniej na czas krótki.

- A to byłoby gdzie? - zapytał pan Wharton, czując, że musi coś powiedzieć.

- Na odwachu - odparł dragon sucho.

- Cóż zawinił biedny Birch? - zapytała panna Peyton, podając Lawtonowi czwartą ważkę kawy.

- Biedny! - zawołał kapitan. - Jeżeli on biedny to król Jerzy jest lichym płatnikiem.

- W istocie - wtrącił jeden z oficerów - jego królewska mość winna mu bodaj księstwo.

- A zjednoczeni szubienicę - ciągnął dalej kapitan, rzucając się na nową porcję ciastek.

- Bardzo mi przykro - rzekł pan Wharton - że ktoś z moich sąsiadów ściągnął na siebie niezadowolenie władz naszych.

- Niech on się tylko dostanie w moje ręce - zawołał dragon, smarując masłem rogalik - nauczę go, jak się tańczy, nie dotykając ziemi.

- Przyozdobiłby niezgorzej własne drzwi, zawisłszy na której z tych akacji - dodał porucznik.

- Mniejsza z tym - rzekł kapitan. - Już ja się z nim rozprawię, zanim zostanę majorem.

Ponieważ rozmowa oficerów tchnęła szczerością doznanego zawodu, pan Wharton uznał za właściwe nie poruszać więcej tego drażliwego przedmiotu. Było to zresztą zupełną nowiną dla całej rodziny usłyszeć, że amerykańskie wojska podejrzewają i poszukują Harveya Bircha.

Łatwość, z jaką wymykał się z ich rąk po każdym uwięzieniu i to w wypadkach otoczonych pewną tajemniczością, bywała przedmiotem częstych rozmów w okolicy.

Istotnie zawziętość kapitana przeciw kramarzowi miała swe źródło w niepojętym zniknięciu tego ostatniego z pod straży dwóch najwierniejszych dragonów.

Przed niespełna rokiem zauważono, iż Birch kręci się w pobliżu głównej kwatery naczelnego wodza i to w czasie, kiedy oczekiwano lada chwila ważnych wypadków. Skoro tylko doniesiono o tym oficerowi, którego obowiązkiem było czuwać nad bezpieczeństwem amerykańskiego obozu, wyprawił on niezwłocznie kapitana Lawtona na poszukiwanie kramarza.

Niez mordowany kawalerzysta doskonale przy tym obznajomiony ze wszystkimi drózkami i ścieżynami okolicznych wzgórz, z wielkim trudem i mozolem dopiął zamierzonego celu. Oddział zatrzymał się dla wypoczynku na jakimś folwarku, więźnia zamknięto w oddzielnej izbie pod strażą dwóch wyżej wspomnianych dragonów, przy tym jakaś kobieta kręciła się wciąż, gospodarskimi czynnościami zajęta w pobliżu straży, i z niezwykłą gorliwością obsługiwała kapitana, znosząc mu różne smaczne kąski na kolację.

Następnie kobieta i kramarz zniknęli. Znalezione tylko toból, otwarty i prawie pusty, a drzwiczki, prowadzące do sąsiedniej izby były na roścież otwarte.

Kapitan Lawton nie mógł nigdy zapomnieć o tej zniewadze, wyrządzonej jego przenikliwością, i gorycz upokorzenia dodawała podniety jego i tak zgoła nieumiarkowanej nienawiści ku wrogom. Teraz też stanął mu w pamięci figiel, jakiego mu wypłatał więzień, i kapitan siedział zachmurzony, z tym większą zawziętością unieczystwiając zawartość różnych półmisek i salatek, aż odgłos trąbki rozległ się w dolinie, napełniając ją przenikliwymi dźwiękami wojskowej melodii. Kawalerzysta zerwał się natychmiast od stołu wołając:

- Żywo na koń, panowie, jedzie Dunwoodie!

I wybiegł z pokoju, a za nim obaj oficerowie.

Wyjąwszy porozstawianych straży, wszyscy dragoni dosiedli wierzchowców i podążyli na spotkanie towarzyszy.

Przezorny dowódca nie zaniedbał żadnej ostrożności koniecznej w wojnie, w której podobieństwo języka, wyglądu i zwyczajów mogło na każdym kroku dać pole do fatalnych pomyłek i wymagało zdwojonej czujności. Podjechawszy jednak tak blisko, że można już było rozróżnić twarze jeźdźców tworzących dwa razy większy oddział niż dragoni Lawtona, kawalerzysta dał ostrogę swemu rumakowi i w jednej chwili znalazł się przy boku dowódcy.

Dziedziniec napełnił się znów wojskiem, a nowoprzybyli, z zachowaniem poprzednich ostrożności, pośpieszyli wziąć udział w zastawionej dla ich towarzyszy uczcie.

ROZDZIAŁ VI.

.....” i niech zdobywcy
przechwalają się odniesionemi na polu
chwały zwycięstw; ten, który
powabom piękności potrafi przeciwstawić
niezłomność swej młodej,
gorącej duszy, który czuje jej urok,
a jednak nie poddaie się mu w niewolę,
ten jest najmężniejszym,
największym zwycięzcą ze wszystkich.”

Moore.

Panny Wharton i ich ciotka, stojąc przy oknie, z głębokim zajęciem śledziły rozgrywającą się przed ich oczyma scenę.

Sara spoglądała na zbliżających się rodaków z uśmiechem pogardliwej obojętności, lekceważyła bowiem nawet powierzchowność ludzi służących niegodnej, według niej, sprawie buntu. Panna Peyton natomiast patrzyła na nich z dumą, były to bowiem wyborowe wojska jej rodzinnej kolonii, zaś wszystkie władze Fanny pochłaniała wyłącznie jedna myśl i jeden cel.

Oba oddziały nie zetknęły się jeszcze, gdy bystre oczka dziewczęcia spostrzegły jednego jeźdźca i wydało jej się, że nawet koń pod nim rozumiał, iż niesie nieprzeciętny ciężar, tak lekko kopyta jego dotykały ziemi i tyle było wdzięku i dumy w poruszeniach szlachetnego rumaka.

Młody dragon siedział na siodle ze śmiałością i swobodą znamionującą, że czuje się panem siebie i swego rumaka; wyniosła, kształtna i muskularna jego postać łączyła w sobie harmonijne rozmiary siły i sprężystości. Temu to oficerowi zdał raport Lawton, gdy jechali obok siebie w stronę domu.

Serce Fanny biło gwałtownie, gdy kawalerzysta wstrzymał konia i obrzucił budynek oczyma, których blask widocznym był z daleka; a gdy zeskoczył z siodła, dziewczeczka zbladła i zaczęła drżeć tak silnie na całym ciele, że na chwilę musiała osunąć się na krzesło.

Dowódca wydał parę szybkich rozkazów swemu podkomendnemu i przeszedłszy żwawym krokiem dziedziniec, zbliżał się do domu. Wówczas Fanny powstała i zniknęła z pokoju. Dragon zdążył zaledwie wejść na stopnie tarasu, gdy drzwi wchodowe otwały się na jego przyjęcie.

Fanny była jeszcze tak młodziutką, opuszczając miasto, że to ochroniło ją od poświęcenia jej wrodzonych powabów na ołtarzu mody. Jej złociste włosy, nie wytorturowane pracowitą fryzurą, spadały w naturalnych lokach, ocieniając twarzyczkę jaśniejącą urokiem zdrowia i młodości, oczy patrzyły wymownie, lecz usta milczały, ręce trzymała splecione przed sobą, a w jej wiotkiej, nieco ku przodowi pochylonej postaci było tyle nieopisanego wdzięku, że rozkochany w niej wojak stanął przez chwilę jak wryty.

Fanny wprowadziła go do pustego gabinetu, na wprost jadalni, w której cała rodzina była zgromadzona, po czym obu dłońmi ujmując jego rękę, wykrzyknęła:

- Och! Dunwoodie, jakże szczęśliwą jestem z wielu względów, że cię widzę; przyprowadziłam cię tu z umysłu, aby cię przygotować do nieoczekiwanego spotkania z drogim ci przyjacielem.

- Bez względu na to, czemu to zawdzięczam - zawołał młodzieniec przyciskając do ust jej ręce - ja również jestem szczęśliwy, że mogę ujrzeć się z tobą sam na sam, ukochana moja. O! Fanny, okrutną jest ta próba, na jaką mnie wystawiłaś; wojna i przestrzeń mogą wkrótce rozdzielić nas na zawsze.

- Musimy poddać się rządzącej nami konieczności. Ale nie wyznań miłosnych chcę słuchać teraz; o ważniejszych rzeczach mam z tobą do pomówienia.

- Cóż może być ważniejszego ponad nierozzerwalny węzeł, któryby nas połączył na zawsze! Fanny chłodną jest dla mnie, dla mnie, który wśród dziennych trudów i nocnych popłochów ani na jedną chwilą nie straciłem z myśli twego lubego obrazu.

- Drogi Dunwoodie! - rzekła Fanny, wzruszona prawie do łez, wyciągając do niego rękę, podczas gdy twarzyczka jej odyskiwała stopniowo zwykły różany koloryt - znasz moje uczucia; po skończeniu wojny ta ręka jest twoją na zawsze, ale nie mogę przystać na ściślejszy związek pomiędzy nami, dopóki walczysz przeciwko memu jedynemu bratu. W tej chwili nawet brat ten czeka twego postanowienia, abyś powrócił mu wolność lub poprowadził na niechybną śmierć.

- Twój brat! - wykrzyknął Dunwoodie, blednąc - twój brat! wytłumacz się; jakież straszliwe znaczenie kryją twoje słowa?

- Czyż kapitan Lawton nie powiedział ci, że zaarrestował dziś Henryka? - rzekła Fanny ledwo dosłyszalnym głosem, utkwivszy w ukochanym wzrok pełen najgłębszego bólu.

- Powiedział mi tylko o zaarrestowaniu przebranego kapitana 60-go pułku, nie mówiąc gdzie i kogo - odpowiedział major takim że samym tonem i zasłoniwszy twarz rękoma, starał się ukryć miotające nim uczucia przed wzrokiem ukochanej.

- Dunwoodie! Dunwoodie! - wykrzyknęła Fanny, czując że dotychczasowa ufność opuszcza

ją, ustępując miejsca najstraszliwszej obawie. - Co znaczy twoje wzruszenie?

A gdy major podniósł z wolna twarz, na której wypiętnowała się głęboka boleść, ciągnęła dalej:

- Przecież nie wydasz twego przyjaciela - mego brata - twego brata - na haniebną śmierć!

- O! Frances! - wykrzyknął młodzieniec z rozpaczą - cóż ja mam uczynić?!

- Uczynić! - powtórzyła, patrząc na niego błędnymi oczyma. - Czyżby major Dunwoodie wydał w ręce wrogów swego przyjaciela - brata swej przyszłej żony!

- Och! nie mów do mnie tak srogo, Fanny najdroższa! gotów jestem każdej chwili umrzeć za ciebie - za Henryka, ale nie mogę zapomnieć o mojej powinności, nie mogę splamić swego honoru. Ty pierwsza pogardziłaś mną!

- Peytonie Dunwoodie! - rzekła Frances uroczyście, z twarzą śmiertelnie bladą - wszak mówiłeś mi - przysięgałeś, że mnie kochasz...

- I kocham - przerwał młodzieniec z zapalem, lecz ona, ruchem ręki nakazawszy mu milczenie, ciągnęła dalej drżącym głosem:

- Czy sądzisz, że mogłabym rzucić się w objęcia człowieka, którego ręce splamiłaby krew mego brata?

- Frances, rozdierasz mi serce! - wykrzyknął major.

Pomilczał chwilę, sam ze sobą walcząc, po czym zmuszając się do uśmiechu, rzekł:

- Zresztą, kto wie, czy nie dręczymy się próżnymi obawami. Może po zbadaniu sprawy Henryk okaże się po prostu jeńcem wojennym, a wtedy mogę wypuścić go na słowo.

Niema nic bardziej łudzającego niż nadzieja, a karmienie się jej obietnicami jest szczęśliwym przywilejem młodości. Gdy sami zasługujemy na zaufanie, wówczas najmniej podejrzewamy drugich i wierzymy chętnie, że jest tak, jak nam się zdaje, że być powinno.

To też nieokreślone przypuszczenia majora udzieliły się błyskawicznie zrozpaczonej siostrze i z powracającym na lica rumieńcem wykrzyknęła:

- O! co do tego nie może być żadnych wątpliwości! Wiedziałam... wiedziałam, Dunwoodie, że nie opuścisz nas w potrzebie.

I wyczerpana doznanymi wzruszeniami biedna dziewczeczka wybuchnęła płaczem.

Pocieszanie ukochanych jest jednym z najśłodszych przywilejów miłości; więc też major Dunwoodie, choć sam niezbyt wielką czerpiąc otuchę ze swego przypuszczenia, nie mógł odbierać jej temu uroczemu dziewczęciu, które łkało, tuląc się do jego piersi, odzyskawszy wiarę w ocalenie brata i opiekę ukochanego człowieka.

Uspokoiwszy się trochę Fanny pośpieszyła do jadalni, by udzielić rodzinie tej pożądanej nowiny, którą już uważała za pewnik.

Dunwoodie szedł za nią niechętnie, z sercem ściśniętym niedobrymi przeczuciami i zbierając siły, by mężnie stawić czoło czekającej go próbie.

Powitanie obu młodzieńców było bardzo serdeczne i szczere, a ze strony Henryka Whartona tak spokojne, jak gdyby nic nie zaszło, co by mu ten spokój zamącić mogło.

Natomiast cała ohyda tego mimowolnego współdziału w uwięzieniu przyjaciela, grożące mu niebezpieczeństwo i poprzednia rozmowa z Fanny, wszystko to wstrząsnęło majorem Dunwoodie do głębi i pomimo wszelkich wysiłków, jakie czynił, przebijało się w jego obejściu. Reszta rodziny powitała go również serdecznie i szczerze, zarówno przez pamięć dawnych stosunków i uprzednich zobowiązań, jak w przewidywaniu nowych powodów do wdzięczności, co łatwo im przyszło wyczytać w wymownych oczach towarzyszącej mu dziewczynki.

Po skończonych powitaniach major kazał wyjść z pokoju dragonowi, którego przezorny Lawton postawił przy drzwiach na straży, i zwracając się do więźnia, zapytał łagodnie.

- Opowiedz mi, Henryku, powody tego przebrania, w jakim znalazł cię kapitan Lawton, i pamiętaj - pamiętaj - kapitanie Wharton, że odpowiedzi twoje są całkowicie dobrowolne.

- Użyłem przebrania, majorze Dunwoodie - odpowiedział oficer z powagą - by móc odwiedzić rodzinę bez narażenia się na niebezpieczeństwo zostania więźniem wojennym.

- Ale przebrałeś się dopiero wtedy, gdyś zobaczył zbliżający się oddział Lawtona?

- O! tak - przerwała Fanny z żywością, zapominając o wszystkim co zdarzyło się przedtem w swej wielkiej trwodze o brata - Sara i ja przebrałyśmy go same, za ukazaniem się dragonów i nasza niezręczność zdradziła go.

Twarz Dunwoodie'go rozpromieniła się, gdy spoglądając tkliwie na mówiącą, słuchał jej wyjaśnień.

- Zapewne we własne suknie? - zapytał - w coś co było na razie pod ręką.

- Nie - rzekł Wharton z godnością - miałem na sobie to przebranie, wyszedłszy z miasta; dostarczono mi go w tym celu, i dziś jeszcze miałem go znów użyć z powrotem.

Przerażona Fanny, stojąca dotąd pomiędzy bratem a narzeczonym, cofnęła się, zrozumiała całą prawdę, i bezsilnie opadła na krzesło, patrząc błędnym wzrokiem na obu młodzieńców.

- A pikiety nasze... a oddziały w Równiach - rzekł Dunwoodie, blednąc.

- Przeszedłem koło nich w przebraniu. Pokazałem im ten paszport który kupiłem, a ponieważ nosi on podpis Washingtona, więc przypuszczam, że musi być podrobiony.

Dunwoodie chwycił żywo papier, jaki mu Wharton podawał, i czas jakiś spoglądał na podpis w milczeniu, wreszcie żołnierz wziął w nim górę nad człowiekiem, zwrócił się do więźnia i badawczo patrząc na niego, zapytał:

- Kapitanie Wharton, skąd dostałeś ten papier?

- Jest to pytanie, którego, jak mniemam, major Dunwoodie nie ma prawa mi zadawać.

- Przepraszam, w istocie uczucia moje uniosły mnie za daleko.

Pan Wharton, przysłuchujący się dotąd z natężeniem rozmowie obu młodzieńców, zdobył się na odwagę i rzekł:

- Oczywiście, majorze Dunwoodie, papier ten nie może być prawdziwym; takie podrobienia praktykują się codziennie podczas wojny.

- Podpis nie jest podrobiony - rzekł dragon cichym głosem, wciąż pilno wpatrując się w trzymany w rękę dokument. - Czyżby zdrada kryła się bezpiecznie pośród nas? Ktoś nadużył zaufania Washingtona, gdyż zmyślone nazwisko wypisane jest odmiennym charakterem niż cały paszport. Kapitanie Wharton, mój obowiązek nie pozwala zwolnić cię na słowo, musisz towarzyszyć mi w góry.

- Byłem na to przygotowany, majorze Dunwoodie!

Dunwoodie zwrócił się zwolna ku siostrze i wzrok jego spoczął ponownie na postaci Fanny. Dzieweczka podniosła się z krzesła i stała przed nimi ze złożonymi błagalnie rękoma. Nieszczęsny młodzieniec, nie mogąc panować dłużej nad wstrząsającymi nim uczuciami, wyszedł śpiesznie z pokoju, lecz ona podążyła za nim i oczyma wskazała mu drzwi pokoju, w którym poprzednio rozmawiali. Nie pozostało mu nic innego jak wejść.

- Majorze Dunwoodie - rzekła Fanny zaledwie dosłyszalnym głosem, dając mu znak aby usiadł.

Przez chwilę nie mogła dodać nic więcej, lecz opanowawszy się ciągnęła dalej:

- Znane ci są moje uczucia dla ciebie; nawet w tej chwili, gdy tak dotkliwie ranisz serce moje, nie chcę ich kryć przed tobą. Wierz mi, Henryk zgrzeszył jedynie nierozważą. Naszemu krajowi nie stanie się stąd żadna szkoda.

Umilkła znowu i siedziała tak chwilę jakąś, blednąc i rumieniąc się na przemiany, wreszcie fale karminu załaty jej twarzą, i rozchyłonymi ustami kilkakrotnie zaczerpnęła oddechu i rzekła śpiesznie i cicho:

- Przyrzekłam, Dunwoodie, zostać twoją żoną po skończeniu wojny; wrócę memu bratu wolność na słowo, a dziś jeszcze pójdę z tobą do ołtarza i towarzyszyć ci będę do obozu, a zostawszy żoną żołnierza, nauczę się znosić trudy żołnierskiego życia.

Dunwoodie chwycił drobną rączkę, którą w zapale wyciągała ku niemu, przycisnął ją sobie do piersi, po czym wstawszy, zaczął chodzić po pokoju z oznakami najwyższego wzburzenia.

- Frances! zaklinam cię, przestań, bo serce mi pęknie!

- Więc odrzucasz moją rękę? - rzekła wstając z godnością, choć jej blade lica i drżące usta świadczyły wymownie o miotających ją sprzecznych uczuciach.

- Czy ja ją odrzucam? - Alboż nie błagałem o nią gorąco - ze łzami! Alboż nie była ona celem wszystkich moich ziemskich pragnień! Ale przyjąć ją pod takimi warunkami byłoby hańbą dla nas obojga. Nie traćmy nadziei, Fanny moja, Henryk musi być uniewinniony; może go nawet wcale sądzić nie będą. Bądź pewną, że nie omieszkam wstawić się za nim jak najzarliwiej, a wierz mi, droga, że szczerę się względami Washingtona.

- Ależ ten papier właśnie, to nadużycie zaufania Washingtona, o jakim wspominałeś,

usposobi go wrogo względem mego brata. Czyż major André poniósłby śmierć, gdyby groźby lub błagania zdolne były zmiękczyć żelazne poczucie sprawiedliwości tego człowieka?

I Frances powiedziawszy to wybiegła zrozpaczona z pokoju.

Dunwoodie stał chwilę jak oszołomiony, po czym wyszedł, chcąc iść za nią usprawiedliwić się, ukoić jej obawy. W sieni, dzielącej oba pokoje, przystąpił do niego jakiś chłopak w łachmanach, który popatrzawszy na jego mundur, wcisnął mu do ręki kartkę i wybiegł natychmiast frontowymi drzwiami. Stało się to tak szybko, a major tak był przejęty rozmową z Fanny, że zaledwie zdążył zauważyć, że posłańcem był wiejski, lichy odziany chłopczyna i że trzymał w ręku jakąś zabawkę, jedną z tych, jakie się sprzedaje na miejskich straganach, której przyglądał się z lubością, zapewne jako świeżo otrzymanej zapłaty za odniesienie kartki. Major spozjrzał na trzymany w ręku świstek. Na kawałku brudnego, pomiętego papieru, skreślone były, a raczej nabazgrane ledwo czytelne następujące słowa:

„Regularni w pobliżu, jazda i piechota” *.

Dunwoodie drgnął i zapominając o wszystkim innym poza służbą, szybko wybiegł z domu. Idąc śpiesznie ku żołnierzom, zauważył na dalekim wzgórzu, pędzącą co koń wyskoczy widetę. Dało się słyszeć kilka wystrzałów, i w chwilę potem trąbki zagrały na dziarską nutę: „Do broni!” Zanim dobiegł biwakującego szwadronu, wszyscy byli już na nogach. Lawton siedział już na koniu, i patrząc na przeciwny koniec doliny z niecierpliwym oczekiwaniem, wołał na muzykantów, usiłując ich przekrzyczeć:

- Głośniej, chłopcy! niech ci Anglicy wiedzą, że jazda Wirginii jest pomiędzy nimi a celem ich wyprawy.

Tymczasem nadbiegły pędem widety i patrole; każdy z jakimś pośpiesznym raportem do komendanta; ten zaś wydał odpowiednie rozkazy szybko i z zimną krwią, co jest najlepszą rękojmnią posłuszeństwa podwładnych. Raz tylko, skręcając konia, by wyjechać z dziedzińca, Dunwoodie pozwolił sobie rzucić okiem na dom, i serce zabiło mu gwałtownie, gdy ujrzał postać kobietę z załamanymi rękoma, stojącą w oknie pokoju, w którym rozmawiał z Fanny. Odległość nie pozwalała mu rozróżnić jej rysów, ale major nie wątpił ani na chwilę, że to była ona. Pobladł, i oczy zasnuły mu się mgłą, ale trwało to chwilę.

Gdy jechał ku domniemanemu polu walki, smagłe jego lica powlókł rumieniec zapału, a jego dragoni, wpatrzeni w twarz swego dowódcy jako w najlepszą wskazówkę ich własnego losu, dostrzegli w jego ciemnych oczach ten sam blask męstwa i ożywienia, jaki, zwykli byli tak często widywać w nich przed bitwą. Z dodatkiem pikiet i podjazdów, które połączyły się teraz, oddział cały wynosił około dwustu koni. Była tam również garść ludzi, pełniących zazwyczaj obowiązki przewodników, ale którzy w nagłych razach brali udział w walkach, ci byli spieszeni i z polecenia Dunwoodie'go rozbierali płoty mogące stawać na przeszkodzie zamierzonej akcji kawalerii. Ogólne zaniedbanie gospodarstwa, jakie spowodowała wojna, ułatwiało tę czynność.

Owe długie szeregi grubych i trwałych parkanów, przerywające obecnie kraj we wszystkich kierunkach, nie istniały przed czterdziestu laty. Cienkie i krzywe kamienne ogrodzenia bywały budowane naprędce i wymagały ciągłego starania gospodarza gwoli zabezpieczenia ich od burz i mrozów. Posiadłość pana Whartona wyróżniała się pod tym względem, ale inne parkany w dolinie poniżej były kupą gruzów, ponad którymi konie Wirgińczyków przelatowały jak wicher. Tu i ówdzie widać było krótką linię ocalałego muru, ale ponieważ wyjątki te znajdowały się poza polem, na którym Dunwoodie zamierzał stawić czoło nieprzyjacielowi, pozostawało więc rozrzucić kilka lżejszych płotów, co gdy pośpiesznie lecz skutecznie dokonano, przewodnicy cofnęli się na wyznaczone im podczas zbliżającej się bitwy stanowiska.

Wiadomości, jakie Dunwoodie otrzymał od swoich wywiadowców, dozwoliły mu poczynić stosowne przygotowania. Dno doliny, spadając z lekkim nachyleniem z obu stron wzgórz, tworzyło pośrodku równinę porośniętą trawą i wijącą się wskroś okolicy po obu brzegach niewielkiego strumyka, który ją często zalewał i użyźniał. Potok ten na ogół łatwym był do przebycia w bród w całym swym biegu, a jedyna zaporą, jaką mógł stawić ruchom kawalerii, znajdowała się w miejscu, gdzie zmieniał łożysko, skręcając z zachodu na wschód doliny, i gdzie brzegi jego były bardziej spadziste i mniej dostępne. Tutaj też przerzucony był drewniany most z głównego gościńca, a drugi podobny znajdował się o pół mili dalej ponad Akacją.

Wschodnie wzgórze doliny były strome i miejscami wrzynały się w nią skalnymi zrębami, zwężając znacznie jej szerokość. Jeden z takich zrębów osłaniał w pewnej odległości tyły szwadronu, i Dunwoodie polecił kapitanowi Lawtonowi stanąć tam w odwodzie z częścią wojska. Oficer spełnił rozkaz dość niechętnie, pocieszał się jednak myślą o wrażeniu, jakie jego nagłe ukazanie się sprawi na nieprzyjacielu. Dunwoodie znał swoich ludzi i wyznaczył to stanowisko kapitanowi dlatego, iż obawiał się jego zbytnej krewkości w początkowej akcji, a wiedział, że na pomoc jego w stosownej chwili zawsze może liczyć. Kapitan bowiem na widok nieprzyjaciela stawał się nieobliczalnym, w każdej innej chwili odznaczał się wyjątkową roztropnością i zimną krwią.

Z lewej strony pola, na którym Dunwoodie zamierzał spotkać przeciwnika, rósł gęsty las i ciągnął się na przestrzeni mili. Do tego lasu weszli przewodnicy i rozstawili się wzdłuż jego skraju w taki sposób, aby z rzadka lecz skutecznie razić ogniem nadciągające nieprzyjacielskie kolumny.

Nie można przypuścić, aby wszystkie te przygotowania uszły niepostrzeżenie dla oczu mieszkańców Akacji; przeciwnie, wszystkie uczucia, jakie mogą miotać ludzką pierś, na podobny widok drgały w nich, podniecone do najwyższego stopnia. Jeden pan Wharton nie spodziewał się niczego po tym czy innym zakończeniu walki. Jeżeli Anglicy zwyciężą, syn jego odzyska wolność, ale jakimże wówczas będzie jego los własny? Dotychczas wśród całego tego zamętu pozostawał on neutralnym. Okoliczność, że syn jego służył w królewskim, czyli jak je

inaczej nazywano, regularnym wojsku, omal nie stała się przyczyną skonfiskowania jego dóbr, uratowały go od tego jedynie wpływy krewnych i jego własna czujna roztropność. W duszy był on zagorzałym rojalistą i gdy na wiosnę po powrocie z amerykańskiego obozu Fanny uwiadomiła go o oświadczeniach majora Dunwoodie, zgodził się na ten związek z buntownikiem, zarówno przez wzgląd na wzrastającą konieczność republikańskiego poparcia, jak z uwagi na szczęście córki. Gdyby syn jego ocalał teraz, opinia ogółu pomawiałaby go o udział w spisku przeciw wolności Stanów, a gdyby pozostał więźniem i gdyby go stawiono przed sądem, skutki mogłyby być o wiele jeszcze straszniejsze.

Pan Wharton cenił swe mienie, ale bardzo kochał dzieci; siedział teraz, śledząc oczyma rozgrywającą się na zewnątrz scenę, z jakimś tępym wyrazem twarzy zdradzającym bezbarwność jego charakteru.

Zgoła odmienne były uczucia jego syna. Pozostawiono kapitana Whartona pod strażą dwóch dragonów, z których jeden przechadzał się odmierzonym krokiem po tarasie, a drugi stał przy drzwiach pokoju, w którym znajdował się więzień. Młodzieniec spoglądał na przygotowania Dunwoodie'go z zachwytem, połączonym z trwożnym przewidywaniem ich skutków dla swojej rodziny. Zwłaszcza nie podobała mu się zasadzka oddziału pod wodzą Lawtona, którego było widać doskonale z okien domu, jak nie mogąc z niecierpliwości usiedzieć na koniu, chodził tam i na powrót przed swymi ludźmi. Henryk Wharton rozejrzał się szybko i pytająco dokoła, przemyślując, czy nie udałoby mu się uciec w jaki sposób, ale oczy wartownika szły za nim wszędzie z czujnością Argusa. Młody oficer z całym zapałem młodości pragnął wziąć udział w gotującej się rozprawie, a tymczasem musiał pozostać bezczynnym i rozgorączkowanym widzem. Panna Peyton i Sara spoglądały na przygotowania, miotane różnymi uczuciami, w których główną rolę grała troska o los kapitana Whartona, lecz gdy chwila rozlewu krwi nadeszła, z właściwą ich płci trwożliwością schroniły się w głąb domu. Fanny, przeciwnie, wróciła do pokoju, w którym rozmawiała z Dunwoodie'm, i stojąc przy oknie z zapartym oddechem, rozgorączkowanymi oczyma śledziła będące w toku przygotowania. Właściwie patrzyła tylko w jeden punkt, tam gdzie znajdował się jej ukochany, a zachwyty i trwoga miotały nią na przemiany. W pewnej chwili wszystka krew zbiegła jej do serca, gdy ujrzała młodego wojaka przejeżdżającego wśród szeregów i dodającego zapału i męstwa żołnierzom; lecz wnet biedaczka ścierpła na myśl, że ta właśnie dzielność i odwaga, którą w nim tak bardzo ceniła, może otworzyć grób pomiędzy nią a tym umiłowanym człowiekiem. I zamknęła oczy, nie mogąc patrzeć dłużej.

Na lewo od domu, w niewielkiej odległości od tyłów oddziału krzątała się mała garstka ludzi, zajętych jakimiś zgoła odmiennymi przygotowaniami. Było ich trzech, dwóch mężczyzn i mały mulacik. Jeden z tych mężczyzn był tak chudy, że wskutek tego wydawał się jeszcze wyższym, niż był w istocie. Był bez broni, spieszony, w okularach i uwagę swą dzielił pomiędzy cygarem, książką i rozgrywającymi się na polu wypadkami. Temu człowiekowi Fanny postanowiła posłać

kartkę przeznaczoną dla Dunwoodie'go. Nie zwlekając napisała ołówkiem: „Przyjdź do mnie, Peytonie, choćby na chwilkę” i wyprawiła z nią Cezara, który wymknął się ostrożnie tylnym wyjściem przez kuchnię umieszczoną w suterrenach, bacząc, by go chodzący po tarasie dragon nie dostrzegł, ten bowiem zapowiedział wręcz, by nikt nie ważył się wychodzić z domu. Murzyn doręczył kartkę chudemu mężczyźnie, którym był chirurg wojskowy, i zęby Cezara szczękały ze strachu, gdy prosił o przesłanie jej majorowi i patrzył na porozkładane na ziemi narzędzia, mające służyć do przewidywanych operacji. Doktor natomiast spoglądał na nie z wielkim zadowoleniem, a wskazawszy chłopcu, by doręczył kartkę dowódcy, krzątał się w dalszym ciągu około swych zajęć. Cezar powracał z wolna ku domowi, gdy tamten drugi, wyglądający na pomocnika chirurga, zapytał chłodno murzyna, „czy chce, aby mu nogę ucięto?” To pytanie przypomniało Cezarowi istnienie tych użytecznych członków, i wprawił je w ruch tak szybko, że dopadł tarasu w tej samej chwili, kiedy major Dunwoodie podjeżdżał kłusem przed dom. Szyldwach wyprostował się i sprezentował broń przechodzącemu dowódcy, lecz gdy tylko drzwi zamknęły się za nim, zwrócił się do Cezara i rzekł ostro:

- Słuchaj ty, murzyńska mordo, wyjdź mi tylko jeszcze raz z domu bez mojej wiedzy, a zgołę ci to czarne ucho tą tu brzytwą.

Biedny Cezar, zagrożony utratą drugiego członka, zemknął co tchu do kuchni, mrucząc coś pod nosem o „skinnerze i przeklętym buntowniku”.

- Majorze Dunwoodie - rzekła Frances do wchodzącego oficera - byłam może niesprawiedliwą, jeżeli wyrządziłam panu przykrość...

Tu wzruszenie wzięło nad nią górę i wybuchnęła płaczem.

- Fanny! - zawołał młody oficer z zapalem - nie jesteś nigdy niesprawiedliwą, nigdy przykrą, chyba wtedy, kiedy wątpisz o mojej miłości.

- Ach! Dunwoodie! - rzekła łkając - za chwilę narażać będziesz życie w bitwie; pamiętaj, że jest serce, którego szczęście polega na twym bezpieczeństwie; wiem, że jesteś odważny, bądź rozważnym...

- Dla ciebie? - zapytał uszczęśliwiony młodzieniec.

- Dla mnie - odpowiedziała ledwo dosłyszalnym głosem, osuwając się w jego objęcia.

Dunwoodie przytulił ją do serca i chciał coś powiedzieć, gdy odgłos trąbki dał się słyszeć na południowym końcu doliny. Wycisnąwszy pocałunek na nie broniących się ustach dziewczyny, wojak wydarł się z jej objęć i pośpieszył na pole walki.

Fanny rzuciła się na sofę, kryjąc głowę w jej poduszkach, i z twarzą wtuloną w fałdy szala, by stłumić dochodzące z zewnątrz odgłosy, pozostała tak, aż tętent koni i wystrzały umilkły.

ROZDZIAŁ VII.

*„masz cel przed sobą,
idź za głosem ducha.”*

Szekspir.

Zdziczała i nierówna powierzchnia kraju, w połączeniu z wielkim oddaleniem od własnej ojczyzny i łatwością szybkiego przenoszenia się w różne punkty wojny, jaką przedstawiał ocean, wszystko to sprawiło, iż Anglicy w początkowych działaniach przeciw zbuntowanym koloniom nie posługiwali się ciężką kawalerią.

Podczas całej wojny wyprawiono jeden tylko pułk konnicy z Wielkiej Brytanii. Lecz legiony i niezależne oddziały tworzyły się w miejscowościach najlepiej odpowiadających planom królewskich dowódców, lub stosownie do wymagań. Często składały się one z ludzi zwerbowanych w samych koloniach lub z liniowych pułków, i żołnierz odkładał muszkiet i bagnet, i uczył się władać pałaszem i karabinem. Metodę tę zastosowano do jednego z posiłkowych pułków i hescy jegrzy przekształcili się w oddział ciężkiej i beczynnej konnicy.

Mieli oni przeciwko sobie najdzielniejszych synów Ameryki. Obywatele z południa dowodzili i służyli jako oficerowie w kawalerii lądowej armii. Nieustraszona odwaga dowódców udzielała się ludziom cywilnym, których wybierano z wielką oględnością do tych usług.

Podczas gdy Anglicy zamknęli się w paru większych zdobytych przez siebie miastach, lub maszerowali przez okolice całkowicie ogołoczone z wszelkich zapasów żywności, lekkie oddziały ich wrogów rozporządzały całym wnętrzem kraju.

Trudy, jakie ponosiła amerykańska armia, były wprost bezprzykładne, mając wszelako władzę i czując ważność sprawy, usprawiedliwiająca wszelkie środki surowości, oficerowie kawalerii dbali o zaspokojenie potrzeb swych żołnierzy i ich koni; więc też sprawność tych oddziałów, dobrze żywionych i doskonale uzbrojonych, nie miała wprost równej sobie w całym świecie.

Ludzie Dunwoodie'go niejednokrotnie już składali dowody swego męstwa w utarczkach z

nieprzyjacielem, i teraz też dyszeli chęcią nowego z nim spotkania. Życzenia ich spełniły się wprędce, gdyż zaledwie dowódca ich zdążył znów dosiąść konia, oddział nieprzyjacielski wynurzył się z poza wzgórza, zasłaniającego widok na południe. Jeden rzut oka wystarczył majorowi, by rozpoznać, jakie to było wojsko. W jednym oddziale zobaczył zielone mundury cow-boyów, w drugim skórzane hełmy i drewniane siodła jegrów. Liczba ich dorównywała mniej więcej sile szwadrona, zostającego pod jego rozkazami.

Wydstawszy się na otwartą przestrzeń w pobliżu domku Harveya Bircha, nieprzyjaciel przystanął i sformował szeregi, widocznie gotując się do ataku. W tej samej chwili ukazał się w dolinie oddział piechoty i podążał ku brzegowi już wspomnianego strumienia.

Major Dunwoodie łączył zimną krew i roztropność z zuchwałą niemal odwagą. W obecnej chwili poznał natychmiast wyższość swego położenia i postanowił z niej skorzystać. Kolumna, którą dowodził, zaczęła zwolna wycofywać się z pola, podczas gdy młodzietki niemiecki oficer, dowodzący nieprzyjacielską konnicą, w obawie utraty łatwego zwycięstwa dał znak do ataku. Rzadko które wojsko odznaczało się takim zuchwalstwem jak cow-boye; poskoczyli też żwawo naprzód, zachęceni cofaniem się nieprzyjaciela i ufni w osłaniającą ich tyły kolumnę; jegrzy postępowali wolniej, ale w lepszym szyku. Trąbki Wirgińczyków zagrały teraz przeciągle a rażno; odpowiedziały im dźwięki z ukrytego za skałą oddziału, co oczywiście stropiło niepoślednio następujących. Kolumna Dunwoodie'go, zawróciwszy w doskonałym ordynku, rozwarła się, i za danym znakiem oddział Lawtona wypadł z kryjówki z dowódcą na czele, który wymachując szablą nad głową, leciał jak szalony, a głos jego brzmiał donośnie pomimo ogłuszającego klangoru wojskowej muzyki.

Cow-boye nie wytrzymali ataku i rozbiegli się na wszystkie strony, a zmykali z szybkością, na jaką tylko stać było ich rumaki wybrane z pomiędzy najlepszych koni West-Chesteru. Kilku tylko odniosło rany, ale żaden z tych, których dosięgła mściwa dłoń rodaków, nie przeżył ciosu, by mógł powiedzieć, czyja ręka go zadała. Furja ataku spadła na biednych słuźalców niemieckiego tyrana. Wdrożeni do najściślej dyscypliny, nieszczęśni ci żołnierze mężnie przyjęli szarżę, ale gwałtowny napór koni i szable przeciwników zmiotły ich w mgnieniu oka, tak że Dunwoodie ujrzał wnet przed sobą puste pole. Bliskość piechoty wstrzymała jednakże pościg, a garstka ocalałych jegrów szukała schronienia za jej kolumnami.

Przebieglejsi cow-boye rozbiegli się małymi partiami w różnych kierunkach, dążąc do swego dawnego obozowiska na wprost Harlemu. Cała okolica ucierpiała na tej ucieczce, bo cow-boye w rozsypce byli stokroć gorsi niż w szeregach, każdy bowiem rabował i mordował na własną rękę.

Mieszkańcy Akacji nie pozostali oczywiście obojętnymi widzami tej sceny. Wszystkie serca były przyśpieszonym tętnem, od kuchni do saloniku. Kobiety, choć skryły się w głąb domu, myślą brały udział w potyczce; Fanny zwłaszcza, leżąc wciąż na sofie z twarzą wtuloną w poduszki, zanosila gorące modły do Boga za swymi rodakami, nawet nie zdając sobie sprawy z

tego, że naród cały ześrodkował się dla niej w osobie Peytona Dunwoodie. Ciotka jej i siostra mniej były wyłączone w zanoszonych do Stwórcy błaganiach, a Sara w tak bliskim zetknięciu z okropnościami wojny nie radowała się już tak bardzo na myśl o przewidywanych triumfach Anglików.

W kuchni pana Whartona znajdowały się cztery osoby, mianowicie Cezar i jego małżonka, ich wnuczka, czarna jak węgiel dwudziestoletnia osóbką, i już wspomniany chłopak. Ta murzyńska trójka była pozostałością całej czeredy negrów, odziedziczonych wraz z posiadłością jeszcze po macierzystych przodkach pana Whartona, którzy pochodzili od holenderskich kolonistów. Czas, zepsucie i śmierć doprowadziły ich do tej szczupłej liczby, zaś panna Peyton przydała jeszcze tej gromadce domowników owego chłopaka, który był białym i pełnił obowiązki lokajczyka.

Cezar, umieściwszy się przezornie w takim kącie, gdzie żadna zabłąkana kula nie mogła go dosięgnąć, począł z zajęciem przypatrywać się utarczce. Kilka kroków zaledwie dzieliło go od szyldwacha na tarasie. Ten zauważył przezorną pozycję murzyna i spoglądał na nią pogardliwie, sam wystawiając nieosłoniętą pierś na grożące od strony nieprzyjaciela pociski.

- Jak widzę dbasz wielce o swoją piękną osobę, panie Czarnoskóry - rzekł po chwili.

- Kula ranić czarny człowiek tak samo jak biały - odpowiedział Cezar cierpko.

- A gdybym tak spróbował - rzekł dragon i z tymi słowy wyciągnął pistolet z za pasa i zmierzył do murzyna.

Zjeżone włosy Cezara bardziej mu jeszcze dęba stały; począł kłapać zębami ze strachu, aczkolwiek nie brał na serio krwiożerczych zamiarów szyldwacha. W tejże chwili kolumna Dunwoodie'go poczęła się cofać, a królewska kawaleria poszła do ataku.

- Aha! panie lekki jeździec - rzekł Cezar, któremu wydało się, że Amerykanie cofają się naprawdę - czemu to wasi buntownicy nie walczyć? Patrz, jak major Dunwoodie zmykać przed ludzie króla Jerzy. Major Dunwoodie dobry pan, ale nie lubi walczyć z regularni.

- Niech diabli porwą twoich regularnych - zawołał tamten gniewnie - poczekaj chwilę czarnuchu, a zobaczysz jak kapitan Jack Lawton wypadnie z poza tego tam wzgórza i przepłoszy cow-boyów jak dzikie gęsi, gdy stracą gąsiora.

Cezar przypuszczał, że oddział pod dowództwem Lawtona skrył się za skałą z tych samych powodów, z jakich on umieścił się za ścianą, ale rzeczywistość stwierdziła wprędce prorocstwo kawalerzysty, i murzyn spoglądał z osłupieniem na rozsypkę kawalerii królewskiej.

Uradowany szyldwach jął objawiać swój zachwyty nad powodzeniem towarzyszy głośnymi okrzykami, które wnet zwabiły do otwartego okna saloniku kawalerzystę pozostawionego bezpośrednio na straży Henryka Whartona.

- Patrz, panie, patrz - wołał rozentuzjasmowany dragon - jak te skórzane heskie czapki zmykają przed kapitanem Lawtonem. O! a teraz major Dunwoodie zabił konia pod oficerem; do

licha, lepiej było zabić Holendra, a oszczędzić konia.

Sypnęły się strzały za uciekającymi cow-boyami, i zabłąkana kula strzaskała szybę o parę kroków od Cezara. Murzyn padł plackiem na ziemię, poczym na czworakach poczołgał się do wnętrza domu, zdążając wprost do saloniku.

Gęsta ściana krzaków osłaniała dziedziniec Akacji od strony gościńca, i konie obu dragonów przywiązane razem do słupka oczekiwały tam na swoich panów.

W tejże chwili dwaj cow-boye odcięci od swoich towarzyszy wpadli galopem przez furtkę z zamiarem dostania się do rosnącego w tyle domu lasu.

Zwycięscy Amerykanie ścigali uciekających Niemców, dopóki nie zapędzili ich pod osłonę ognia piechoty, a tymczasem dwaj cow-boye, znalazłszy się na dziedzińcu w chwilowym bezpieczeństwie, ulegli pokusie, jakiej rzadko który żołnierz oprzeć się zdoła, i z zuchwalstwem i przytomnością umysłu, jaką tylko długa praktyka wyrobić może, poskoczyli razem ku dragońskim koniom i zaczęli je błyskawicznie odwiązywać. Widząc to, kawalerzysta na tarasie strzelił do nich z pistoletów i ze szablą w ręku biegł na pomoc rumakom.

W tej samej chwili Cezar wszedł do saloniku, co zwróciło uwagę baczego dragona na więźnia, lecz powstały na dziedzińcu tumult zwałił go znów do okna. Wychyliwszy się połową ciała, starał się krzykiem i groźbami odstraszyć maruderów od ich łupu. Chwila była kusząca. Trzystu jego kolegów znajdowało się o milę od domu, konie bez jeźdźców biegły w różnych kierunkach, to też Henryk Wharton, niewiele myśląc, chwycił dragona za nogi i wyrzucił go z rozmachem na dziedziniec, co widząc Cezar pobiegł co prędzej zaryglować drzwi frontowe. Żołnierz podniósł się natychmiast i z wściekłością zwrócił się w stronę więźnia; dostać się jednak przez okno do wewnątrz wobec takiego przeciwnika było niepodobieństwem, a drzwi były zatarasowane.

Tymczasem kolega głośno przyzywał go na pomoc i stropiony dragon, zapominając o wszystkim innym, pośpieszył ku niemu. Jeden koń był już przytroczony do siodła cow-boya i wszyscy czterej, bijąc się wściekle na pałasze i miotając straszliwe przekleństwa, zniknęli za węglem domu. Cezar otworzył szybko drzwi i wskazując na pozostałego konia, który najspokojniej szczypał zwiędłą murawę dziedzińca, wykrzyknął:

- Uciekać - teraz - massa Harry - uciekać!

- Tak - zawołał młodzieniec, wskakując na siodło - teraz istotnie, mój pocziwce, jest czas uciekać.

Ręką skinął na pożegnanie ojcu, który stał w oknie, wyciągając ku niemu ręce błogosławiącym ruchem, i dodał:

- Bóg z tobą, Cezarze. Pozdrów dziewczęta.

I z tymi słowy wypadł błyskawicznie za furtkę.

Afrykanin spoglądał za nim z niepokojem, widział jak pędził gościńcem, po czym skręcił na

prawo i wkrótce zniknął za występującymi z tej strony skałami.

Uszczęśliwiony Cezar zaryglował drzwi znowu i kręcił kluczem w zamku dopóki tylko mógł, monologując w trakcie tego półgłosem:

- Dzielny jeździec - ja go sam dużo uczyć, pozdrowić dziewczęta - miss Fanny nie pozwolić, żeby ją kolorowy człowiek pocałować!

Gdy po skończonej bitwie przyszło do grzebania trupów, znaleziono poza domem obu cow-boyów i jednego Wirgińczyka bez życia.

Na szczęście dla Henryka Whartona kapitan Lawton przypatrywał się w owej chwili przez lornetkę kolumnie piechoty, wciąż stojącej nad brzegiem strumienia i chroniącą się pod jej opieką niedobitkom jegrów.

Koń, na którym uciekał oficer angielski, był to wyborny rumak z Wirginji i niósł go z szybkością strzały przez dolinę. Serce młodzieńca poczynało już bić rozkoszną pewnością ocalenia, gdy dobrze znany głos oblił się o jego uszy:

- Brawo, kapitanie! nie szcędź szpicruty i skręć na lewo, nim przejedziesz strumień.

Wharton odwrócił głowę zdumiony i ujrzał siedzącego na szczycie wystającej skały, skąd całą dolinę widać było jak na dłoni, swego byłego przewodnika Harveya Bircha. Tobół, o znacznie zmniejszonej objętości, leżał u stóp kramarza, ten zaś zdjął kapelusz i powiewał nim z zapałem, gdy młody oficer przelatywał koło niego. Angielski kapitan usłuchał wskazówki tego tajemniczego doradcy i znalazłszy leśną dróżkę, wiodącą na główny trakt doliny, skręcił w nią i wkrótce znalazł się na wprost swoich. W chwilę potem minął most i osadził rumaka przed swym dawnym znajomym pułkownikiem Wellmere'm.

- Kapitan Wharton! - wykrzyknął zdumiony dowódca wojsk angielskich - po cywilnemu i na koniu zbuntowanych dragonów! Czy spadasz pan z nieba w takim stroju i w taki sposób?

- Dzięki Bogu, jestem ocalony! - zawołał zdyszany głosem młodzieniec. - Udało mi się szczęśliwie wyrwać z rąk wroga, ale przed pięciu minutami byłem jeńcem, i groziła mi szubienica.

- Szubienica! kapitanie Wharton? Chyba ci zdrajcy nie ośmieliliby się popełnić nowego morderstwa! Czy im nie dosyć, że powiesili André'go! Za cóż grozili ci podobnym losem?

- Pod pozorem podobnego przestępstwa - odparł kapitan i pokrótce opowiedział najbliższym słuchaczom, w jaki sposób dostał się do niewoli, na czym gruntował swoje obawy i dzięki czemu potrafił uciec. Podczas jego opowiadania uciekający Niemcy skupili się na tyłach piechoty, a pułkownik Wellmere zawołał:

- Z całej duszy wieszczę ci, mój dzielny przyjacielu; ci zdrajcy nie znają litości, jesteś podwójnie szczęśliwy, że cało wyszedłeś z ich rąk. Gotuj mi się z pomocą, a wnet pomszczę cię sowicie.

- Co się tyczy osobistych zniewag, to nie grożą one nikomu od tych, którymi dowodzi major

Dunwoodie - odpowiedział Wharton z lekkim błyskiem w oczach - jest to człowiek niezdolny do czegoś podobnego; nie sądzę również, aby było rzeczą rozsądną przebyć teraz most i znaleźć się w otwartym polu naprzeciwko tej wirgińskiej jazdy, rozgrzanej świeżym powodzeniem.

- O! jest się czego chlubić z ucieczki tej zbieraniny i tych niemrawych Niemców - rzekł tamten z pogardliwym uśmiechem. - Mówisz o tym, kapitanie, takim tonem, jak gdyby twój wychwalany pan Dunwoodie - bo nie jest on żadnym majorem - pobił gwardię królewską.

- Niech mi będzie wolno powiedzieć, pułkowniku Wellmere, że gdyby gwardia królewska była tam w polu, znalazłaby przeciwnika, którego niebezpiecznie byłoby lekceważyć. Mój wychwalany Dunwoodie jest chlubą armii Washingtona jako oficer kawalerii - zawołał Henryk z zapalem.

- Dunwoodie, Dunwoodie - powtórzył pułkownik z wolna - musiałem gdzieś spotkać tego jegomościa, - Mówiono mi, że widziałeś go pan na chwilę u moich sióstr w mieście - odpowiedział Wharton z uśmiechem. - A! Przypominam sobie tego młokosa. I takiemu to rycerzowi sławetny kongres zbuntowanych koloni powierza dowództwo swoich żołnierzy!

- Spytaj pan komendanta jegrów, czy sądzi, że major Dunwoodie zasłużył na zaufanie.

Pułkownikowi Wellmere'owi nie zbywało na dumie, która każe stawić mężnie czoło wrogom. Służył on już od dawna w Ameryce i zawsze dotąd miał do czynienia albo ze świeżo zorganizowanymi partiami, lub z krajową milicją. Ci walczyli czasem odważnie, ale również często uciekali, nie ruszywszy cyngla. Sądził powierzchownie i wydawało mu się niepodobieństwem, aby żołnierze w tak czystych getrach, maszerujący tak regularnie i manewrujący z taką akuracnością, mogli być pobici. A w dodatku byli to Anglicy, więc któż mógł wątpić o ich powodzeniu! Gdyby pułkownik Wellmere częściej brał udział w bitwach, pojęcia te, które wyniósł z Anglii i którym garnizonowe przechwałki dodawały wagi, byłyby się wprędce rozwiały. Wysłuchał gorącej odpowiedzi Whartona z drwiącym uśmiechem, po czym zapytał:

- Więc według pana powinniśmy się cofnąć przed tą wychwalaną jazdą, nie uczyniwszy nic, co by ich mogło pozbawić części tej sławy, którą jakoby zyskali?

- Ostrzegłem pana jedynie, pułkowniku Wellmere, przed niebezpieczeństwem, na jakie się narażasz.

- Wyraz niebezpieczeństwo nie przystoi ustom żołnierza - mówił dalej szyderczo angielski dowódca.

- A wyrazu tego sześćdziesiąty pułk tak samo się nie lęka, jak każdy inny, noszący królewski uniform - zawołał Henryk Wharton gniewnie. - Daj pan znak do ataku, pułkowniku, i czyni niech za nas mówią.

- Teraz poznaję mego młodego przyjaciela - rzekł pułkownik pojednawczo - ale jeżeli masz nam coś do powiedzenia, co mogłoby nam dopomóc w szarży, posłuchamy. Znasz pan siły

zbuntowanych. Czy jest ich więcej gdzie w ukryciu?

- Tak - odpowiedział młodzieniec, wciąż jeszcze rozdrażniony drwinami tamtego - w tym lesie na prawo stoi u skraju mały oddział piechoty, jazda cała znajduje się przed nami.

- Ale niedługo tu pozostanie - zawołał Wellmere, zwracając się do kilku otaczających go oficerów. - Panowie, przejdziemy ten most kolumną i rozwiniemy się na równinie; inaczej nie skłonilibyśmy tych walecznych Jankesów, by nam podeszli na strzał. Kapitanie Wharton, żądam pańskiej pomocy w charakterze adiutanta.

Młodzieniec wstrząsnął głową z niezadowoleniem, uważając krok pułkownika za wysoce nierozważny, z gotowością jednak pośpieszył spełnić wskazane mu obowiązki.

Podczas tej rozmowy, która toczyła się nieco na przedzie angielskiej kolumny i w oczach Amerykanów, Dunwoodie zbierał rozproszone wojsko, oddając pod straż niewielu jeńców i cofając się na początkowe pozycje. Zadowolony z odniesionego zwycięstwa i w mniemaniu, że Anglicy nie odważą się na ponowny atak, chciał już odwołać piechotę z lasu i pozostawiwszy silny oddział na miejscu, by miał oko na przeciwnika, cofnąć się o parę mil i poszukać odpowiedniego noclegu. Kapitan Lawton niechętnie słuchał wywodów swego komendanta, patrząc przez lornetkę, by dojrzeć, czy nie nadarza się gdzie sposobność do pomyślnego ataku, gdy nagle wykrzyknął:

- Co to? błękitny surdut wśród tych czerwonych kurtek! Jak pragnę zobaczyć jeszcze starą Wirginję, to jest mój przebrany przyjaciel z sześćdziesiątego pułku, piękny kapitan Wharton, który uciekł moim dwom najlepszym ludziom.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy jeden z tych bohaterów nadjechał, przyprowadzając oprócz własnego konia, wierzchowce obu cow-boyów i zdał raport o śmierci towarzysza i ucieczce więźnia. Ponieważ tamten właśnie miał bezpośrednią straż nad młodym Whartonem, drugi nie mógł ściągnąć na siebie nagany za to, że bronił koni, które pozostały pod jego pieczęcią, kapitan wysłuchał go z niezadowoleniem, ale bez gniewu.

Wiadomość ta spowodowała zmianę w zamiarach majora Dunwoodie. Ucieczka więźnia narażała jego wojskowy honor, i zrozumiał to natychmiast. Odwołał rozkaz, wycofujący przewodników z lasu, i z równą niecierpliwością jak zapalczywy Lawton upatrywał teraz sposobności ponowienia ataku na nieprzyjaciela.

Jeszcze przed paru godzinami Dunwoodie mniemał, iż los nigdy go tak nie skrzywdził, jak kiedy uczynił Henryka Whartona jego jeńcem. Teraz, z narażeniem własnego życia, byłby leciał na schwytanie zbiegłego przyjaciela. Wszystkie inne względy ustąpiły wobec zranionej ambicji żołnierskiej; byłby współzawodniczył z Lawtonem w bezwzględności, lecz w tejże chwili wojsko pułkownika Wellmere'a przeszło most i wstąpiło na równinę.

- Patrz pan - zawołał uradowany kapitan, wskazując palcem na postępujące szeregi - otóż i John Bull włązi w pułapkę z otwartymi oczyma.

- Ależ - rzekł żywo Dunwoodie - oni z pewnością nie rozwiną się na tej płaszczyźnie. Wharton musiał im powiedzieć o zasadzce. Ale jeżeli to zrobią...

- Podziurawimy im skóry jak rzeszoto - odparł tamten, wskakując na siodło.

Prawda objawiła się wkrótce; angielska kolumna bowiem, przemaszerowawszy niewielką przestrzeń, rozwinęła się ze sprawnością, która byłaby przyniosła jej zaszczyt na paradzie w Hyde Parku.

- Na koń! na koń! - zawołał Dunwoodie, a rozkaz ten powtórzył Lawton głosem, który zadźwięczał w uszach Cezara stojącego w otwartym oknie domu. Murzyn cofnął się przerażony, stracił już bowiem zaufanie w tchórzliwość kapitana Lawtona; dotąd widział go w duszy wypadającego z zasadzki z szablą nad głową.

Gdy Anglicy postępowali tak zwolna i w doskonałym ordynku, ukryci w lesie przewodnicy otworzyli morderczy ogień, rażąc dotkliwie tę część piechoty, która znajdowała się najbliżej lasu. Wellmere idąc za radą jednego z przybocznych weteranów rozkazał dwom kompaniom, by wypłoszyły Amerykanów z ich kryjówek. Ruch ten spowodował lekki zamęt, z czego korzystając Dunwoodie przypuścił atak. Trudno wyobrazić sobie dla szarzy kawalerii odpowiedniejszy grunt nad tę równinę; atak Amerykanów był straszny. Dunwoodie skierował go głównie ku brzegowi naprzeciw lasu, by osłonić jazdę od ognia ukrytej w zaroślach ich piechoty, i to mu się w zupełności powiodło. Gwałtowny impet przeciwników zrzucił z konia pułkownika Wellmere'a, znajdującego się po lewicy frontu. Dunwoodie nadbiegł w porę, by ocalić go od cięcia jednego ze swych ludzi, podniósł go z ziemi, kazał go wsadzić na siodło i powierzył opiece swego ordynansa. Oficer, który doradził atak na przewodników, miał sobie powierzone wykonanie go, lecz sama groźba wystarczyła. Ludzie ci zresztą spełnili swą powinność i cofnęli się w głąb lasu z zamiarem powrócenia do swoich koni, które pozostały, strzeżone pilnie w górnej części doliny.

Lewe skrzydło Anglików załamało się pod naporem amerykańskiej jazdy, która przedarła się na tyły i spowodowała zupełny popłoch. Ale podkomendant, spostrzegłszy na co się zanosi, szybko zmienił część frontu i otworzył silny ogień na przelatujących koło niego dragonów. W tym oddziale znajdował się Henryk Wharton, który na ochotnika pomagał w rozproszeniu przewodników. Kula jednego z nich raniła go w ramię, zmuszony był przerzucić cugle w drugą rękę. Gdy dragoni pędzili koło tego oddziału, napełniając powietrze okrzykami i odgłosem trąbek, grających pobudkę, rumak na którym siedział Wharton zaczął się niepokoić, wspinać, a ponieważ jeździec nie mógł nim powodować należycie, mając przestreloną rękę, skutek był taki, że Henryk Wharton znalazł się w mgnieniu oka przy boku kapitana Lawtona. Ten pojął natychmiast śmieszne położenie swego towarzysza, lecz zdążył zaledwie krzyknąć:

- Ten koń lepiej się rozumie na słusznej sprawie niż jego jeździec, kapitanie Wharton! witam pana w szeregach wolności...

I wpadł pomiędzy angielskich piechurów.

Nie tracił jednak czasu i niezwłocznie po ataku zagarnął znów swego jeńca, a widząc, że jest ranny, kazał go odesłać na tyły.

Wojska wirgińskie używały teraz w pełni na tej części piechoty królewskiej, która w znacznej mierze była na ich łasce. Dunwoodie spostrzegłszy, że niedobitki Niemców ukazały się znów na równinie, puścił się za nimi w pogoń, a doścignawszy z łatwością ich słabe i źle odżywione konie, rozbił i te resztki doszczętnie.

Tymczasem znaczna liczba Anglików, korzystając z dymu i zamieszania, schroniła się na tyły swych rodaków, którzy wciąż stali w linii wzdłuż lasu, lecz musieli zawiesić ogień z obawy, iż równie dobrze mogliby ranić swoich jak wrogów. Polecono zbiegom sformować drugą linię w samym lesie pod osłoną drzew. Jeszcze się to nie stało, gdy kapitan Lawton wezwał do siebie młodziutkiego oficera, który pozostał z częścią oddziału na równinie, i zaproponował przypuścić atak do nie przełamanej dotąd linii Anglików. Oficerek zgodził się z ochotą; uszykowano szeregi, lecz porywczosć dowódcy przekroczyła niektóre niezbędne przygotowania i jazda, przyjęta morderczym ogniem piechoty, poszła w rozsypkę - Lawton i jego młodszy towarzysz spadli z koni. Szczęściem dla Wirgińczyków major Dunwoodie pojawił się znów na równinie w tej krytycznej chwili. Zobaczył bezład w szeregach, u jego stóp leżał brocząc krwią Jerzy Singleton, drogi sercu jego i ceniony dla swych niezwykłych zalet przyjaciel, a Lawton rozciągnięty na ziemi był nieprzytomny. Iskry posypały się z oczu młodego rycerza. Przejechawszy cwałem pomiędzy tym szwadronem a nieprzyjacielem, głosem który ozwał się w sercach dragonów, przywołał ich do porządku. Jego słowa i obecność odniosły magiczny skutek. Zmieszane głosy umilkły, szeregi sformowały się błyskawicznie i poprowadzeni przez swego dowódcę Wirgińczycy ruszyli niepowstrzymanym pędem i wpadli jak burza na nieprzyjaciela, siejąc śmierć i zniszczenie. Ci, co nie polegli, ratowali się ucieczką w las. Dunwoodie wycofał się zwolna z pod ognia schowanych za drzewami Anglików i rozpoczął bolesną powinność zbierania poległych i rannych.

Sierzant, któremu polecono odprowadzić Henryka Whartona na miejsce, gdzie pomoc lekarska miała mu być udzieloną, spełnił rozkaz skwapliwie, pragnąc powrócić jak najprędzej na pole walki. Gdy znaleźli się w połowie równiny, kapitan spostrzegł człowieka, którego powierzchowność i zajęcie z konieczności musiały zwrócić jego uwagę. Jegomość ten miał głowę odkrytą i łysą, ale dobrze spudrowana peruka sterczała mu z kieszeni spodni. Był bez surduta z zawiniętymi po łokcie rękawami od koszuli; zakrwawiona odzież i ręce, a nawet twarz świadczyły o jego powołaniu; w ustach trzymał cygaro, w prawej ręce narzędzia dziwaczного kształtu, a w lewej ogryzek jabłka, które raz po raz luzowało w jego ustach wyżej wspomniane cygaro. Teraz stał, przypatrując się jegrowi, który leżał przed nim bez ducha. W pewnej odległości kilku przewodników wspartych o muszkiety wyteżało wzrok w stronę walczących, a tuż przy nim stał człowiek również obryzany krwią i wyglądający na jego pomocnika.

- To jest doktor - rzekł spokojnie sierżant do Henryka - opatrz panu rękę w mgnieniu oka.

Po czym dawszy znak przewodnikom, by się zbliżyli, szepnął im kilka słów, wskazując na jeńca, i popędził galopem w stronę towarzyszy. Wharton przystąpił do dziwnego jegomościa i widząc, że ten nie zwraca na niego uwagi, chciał już zażądać jego pomocy, gdy tamten przerwał milczenie, mówiąc sam do siebie:

- Poznając teraz, że to kapitan Lawton zabił tego człowieka, jak gdybym to widział na własne oczy. A tak często pouczałem go, jak ma obezwładnić przeciwnika, nie odbierając mu życia. To okrucieństwo, tak niepotrzebnie trzebić ludzki rodzaj, a przy tym podobne cięcia czynią pomoc lekarską zbyteczną; jest to do pewnego stopnia brak poszanowania dla nauki.

- Jeżeli mogę zabrać panu chwilę czasu - rzekł Henryk Wharton - prosiłbym o opatrzenie lekkiej rany, jaką odniosłem.

- A! - zawołał tamten drgnawszy, j oglądając młodzieńca od stóp do głowy - pan przybywasz z pola walki? Jakże tam idzie robota?

- W istocie - odrzekł Henryk, któremu chirurg pomagał zdejmować surdut - ruszają się niezgorzej, mogę pana zapewnić.

- Ruszają się! - powtórzył chirurg, krzątając się koło opatrunku. - Słyszę to z przyjemnością, bo póki ruchu, póty życia, a póki życia, póty nadziei; tu oto moja wiedza jest bezsilna; wpakowałem z powrotem mózg do czaszki jednego z moich pacjentów, ale podejrzewam mocno, że musiał już nie żyć, gdy się do niego zabrałem. Bardzo ciekawy wypadek. Zaprowadzę pana, żebyś go zobaczył; to tam zaraz za płotami, gdzie tyle ciał leży. A! kula ześlizgnęła się z kości, nie uszkodziwszy jej; pańskie szczęście, iż popadłeś w ręce starego praktykanta, inaczej byłbyś mógł stracić rękę.

- Doprawdy! - rzekł Henryk z lekkim niepokojem - nie przypuszczałem, żeby rana była tak poważna.

- O! rana jest dosyć lekka, ale pan masz tak podatne członki do operacji, że taka przyjemność mogłaby skusić nowicjusza,

- Do diabła! - krzyknął kapitan - jakaż to może być przyjemność w okaleczaniu swoich bliźnich!

- Panie - rzekł chirurg z powagą - umiejętna amputacja jest bardzo piękną operacją i niewątpliwie młodszy chirurg mógłby w pośpiechu przeoczyć szczegóły takiego właśnie jak ten przypadku.

Dalszą rozmowę przerwało ukazanie się dragonów, zwolna wracających na poprzednie stanowiska, i nowe zgłaszania się lżej rannych żołnierzy, którzy nadjeżdżali, wzywając śpiesznie pomocy doktora.

Przewodnicy wzięli pomiędzy siebie Whartona, który z ciężkim sercem skierował się znów w stronę rodzicielskiego domu.

Anglicy stracili blisko trzecią część swojej piechoty, lecz reszta cofnęła się do lasu, i Dunwoodie, widząc, że zajęli pozycję zbyt silną, by ich było można zaatakować, zostawił znaczną część oddziału pod kapitanem Lawtonem, który już otrząsnął się z chwilowego oszołomienia, spowodowanego upadkiem z konia, i polecił mu dawać na nich baczenie i skorzystać z pierwszej sposobności zaatakowania ich, nimby się cofnęli ku statkom.

Major otrzymał wiadomość, że nadciąga inny oddział drogą Hudsonu, musiał więc mieć się w pogotowiu, by unicestwić zamiary i tego także przeciwnika.

Kapitan Lawton otrzymał rozkazy z zastrzeżeniem, aby się nie kwapił na wroga, póki się jakaś bardzo pomyslna sposobność nie nadarzy, po czym obaj dowódcy rozjechali się, każdy w swoją stronę.

Zwycięzeni Anglicy był to lekki oddział bez bagażu, wysłany w celu zniszczenia pewnych magazynów zawierających jakoby zapasy dla amerykańskiej armii. Teraz rozpoczęli odwrót przez las, trzymając się górskich drózek, niedostępnych dla kawalerii, i dążąc do swoich statków.

ROZDZIAŁ VIII.

*„Ogniem i mieczem zniszczony
był kraj jak długi i szeroki; i niejedna
matka rodząca i niejedno
nowonarodzone dziecko zmarły wtedy,
ale takie rzeczy, jak wam wiadomo,
muszą się zdarzać przy każdym
walnem zwycięstwie.”*

Ostatnie odgłosy walki umilkły w uszach zaniepokojonych słuchaczy w Akacji. Fanny wciąż leżała na sofie, na próżno usiłując rozróżnić coś w dolatującej ją wrzawie i zbrojąc się w męstwo na wypadek możliwej klęski rodaków. Pole bitwy znajdowało się w odległości niespełna

mili od Akacji, w przerwach salw okrzyki żołnierzy obijały się o uszy mieszkańców.

Pan Wharton po ucieczce syna poszedł do panny Peyton i Sary, i wszyscy troje oczekiwali z biciem serca na nowiny z pola. Fanny nie mogąc dłużej znieść dręczącej ją niepewności, przyłączyła się do nich, Cezara zaś wyprawiono, by śledził z ukrycia przebieg bitwy i donosił, na czyją stronę przechylało się zwycięstwo. Pan Wharton opowiedział teraz zdumionym kobietom, w jaki sposób udało się Henrykowi umknąć szczęśliwie. Te nie ochłonęły jeszcze ze zdziwienia, gdy drzwi otwały się i kapitan Wharton pod strażą dwóch przewodników, za którymi postępował murzyn, stanął przed nimi:

- Henryk!... mój syn... mój syn! - wykrzyknął przerażony ojciec, wyciągając ręce, lecz nie mogąc powstać z krzesła. - Co widzę! Znów w niewoli: znów w niebezpieczeństwie życia!

- Szczęście posłużyło buntownikom - rzekł młodzieniec z przymuszonym uśmiechem, biorąc każdą z sióstr za rękę. - Walczyłem mężnie za moją wolność, ale przewrotny duch buntu udzielił się nawet ich koniom. Ten, na którym siedziałem, poniósł mnie, zgoła wbrew mojej woli, wyznając, w sam środek ludzi Dunwoodie'go.

- I schwytano cię znowu! - jęknął ojciec, rzucając trwożne spojrzenie na uzbrojonych ludzi, którzy wraz z jego synem weszli do pokoju.

- Nie inaczej, ojcze, ten pan Lawton, który widzi tak daleko, zagarnął mnie natychmiast.

- Było się nie dać, massa Harry! - zawołał Cezar gniewnie.

- Łatwiej to powiedzieć niż zrobić, mój Cezarze - rzekł Wharton z uśmiechem - zwłaszcza że ci panowie (tu rzucił okiem na przewodników) uznali za stosowne pozbawić mnie władzy w prawej ręce.

- Tyś ranny! - wykrzyknęły obie siostry z przestraczem.

- O! lekkie zadrażnienie, ale obezwładniło mnie w najkrytyczniejszej chwili - odpowiedział brat, pokazując obandażowaną rękę na potwierdzenie prawdy tych słów. Cezar rzucił nienawistne spojrzenie na domniemanych sprawców i wyszedł z pokoju. Tymczasem kapitan Wharton opowiedział w kilku słowach to co mu było wiadome o przebiegu bitwy, wynik wydawał mu się jeszcze wątpliwym, gdyż w chwili gdy opuszczał równinę, Wirgińczycy cofali się z pola walki.

- Wytropili wiewiórkę i poszli za nią - ozwał się nagle jeden z przewodników - ale zostawili dobrego wyżła na czatach, nie bój się!

- Oho! - dodał jego towarzysz - kapitan Lawton policzy nosy tych co zostali, nim zobaczą swe wielorybie statki.

Podczas tej rozmowy Fanny stała oparta o krzesło, chłonąc w siebie każdy wyraz, a nogi drżały pod nią; bladła i rumieniła się na przemiany, wreszcie z rozpaczliwym postanowieniem zapytała:

- A czy jest jaki oficer ranny po... po... obu stronach?

- Tak - odpowiedział tamten niedbale - ci młodzi z południa są tacy zadzierzyści, że prawie w

każdej bitwie oberwać muszą. Jeden z rannych, którego opatrywał doktor, powiedział, że kapitan Singleton zabity, a major Dunwoodie...

Fanny nie słyszała nic więcej, padła bez zmysłów na krzesło. Starania ciotki i siostry wprędce przywróciły jej przytomność, a kapitan, zwracając się do przewodnika, zapytał trwożnie:

- Czyby major Dunwoodie był ranny?

- Niech pana o niego głowa nie boli - odparł przewodnik. - Powiadają, że co ma wisieć, nie utonie. Gdyby kula mogła zabić majora, dawno by już było po nim. Chciałem powiedzieć, że major okrutnie się zmartwił śmiercią kapitana, ale gdybym był wiedział, że ta panienka sobie to tak weźmie do serca, nie byłbym mówił tak otwarcie.

Fanny powstała szybko z krzesła z rumieńcem zawstydzenia na licach i z pomocą ciotki miała opuścić pokój, gdy Dunwoodie we własnej osobie stanął we drzwiach. Pierwszym wrażeniem wstrząśniętej do głębi duszy dziewczeczki było bezgraniczne, szczęście; wnet jednak cofnęła się zmrożona niezwykłym wyrazem twarzy ukochanego. Srogość bitwy mroczyła mu jeszcze czoło; wzrok miał skupiony i surowy. Tkliwy uśmiech, który tak zawsze rozpromieniał jego rysy na widok Fanny, ustąpił miejsca posepnemu zatroskaniu; jedna jakaś myśl zdawała się go pochłaniać wyłącznie, i od razu też przystąpił do rzeczy.

- Panie Wharton - zaczął z powagą - w takich czasach jak obecne, nie należy się bawić w czcze ceremonie; jeden z moich oficerów jest śmiertelnie ranny, więc licząc na pańską gościnność, kazałem go tu przynieść.

- Jestem szczęśliwy, żeś pan to uczynił - odpowiedział skwapliwie pan Wharton, pragnąc zjednać sobie przychylność wojsk amerykańskich, - Dom mój stoi zawsze otworem dla potrzebujących, a zwłaszcza gdy potrzebującym jest przyjaciel majora Dunwoodie.

- Dziękuję panu w imieniu moim i tego, który nie jest w stanie podziękować panu - odrzekł tamten prędko. - Jeżeli pan pozwoli, zaniesiemy go tam, gdzie chirurg mógłby go opatrzeć niezwłocznie.

I z tymi słowy wyszedł, nie spojrzawszy nawet na Fanny.

Miłość kobiety nie znosi żadnego współzawodnictwa. Cała tkliwość jej serca, wszystkie władze jej wyobraźni skupiają się w tej jednej pochłaniającej namiętności; więc też, dając wszystko, wiele nawzajem wymaga. Fanny przeżyła nieopisane męczarnie trwogi z powodu Dunwoodie'go, a on teraz nawet nie spojrzął na nią, nie pozdrowił. Potęga jej uczuć nie ucierpiała na tym, ale nadzieje jej osłabły. Gdy niosący ciało przyjaciela Dunwoodie'go przeszli koło niej, Fanny rzuciła okiem na tego rzekomego rywala.

Trupia bladość, zapadłe oczy i utrudniony oddech napiętnowały stygmatem śmierci młodziuchne oblicze rannego. Dunwoodie szedł przy nim, trzymając go za rękę, upominając ludzi, aby go nieśli ostrożnie, i w ogóle okazując troskliwość, na jaką tylko najczulsza przyjaźń w

podobnych okolicznościach może się zdobyć. Fanny w milczeniu poszła przodem i z odwróconą twarzą otworzyła drzwi, by im ułatwić dostęp do łóżka. Dopiero gdy wchodząc do pokoju major prawie otarł się o jej suknie, odważyła się podnieść na niego swe słodkie, błękitne oczy. Lecz on nie odwzajemnił spojrzenia, i Fanny, westchnąwszy cichutko, wymknęła się do swego pokoju.

Kapitan Wharton dobrowolnie zobowiązał się, że już nie będzie próbował uciekać, i zajął się w zastępstwie ojca pełnieniem obowiązków gospodarza. Wyszedłszy w tym celu na korytarz, spotkał chirurga, który tak zręcznie opatrzył mu rękę, idącego do pokoju, gdzie leżał ranny oficer.

- A! - zawołał ten uczeń Eskulapa - jak widzę dobrze się pan miewasz; ale poczekaj, masz pan szpilkę? Nie! no, ale ja mam. Tylko unikaj pan zaziębienia rany, bo możesz pan jeszcze dostać się pod nóż jakiego młokosa.

- Boże uchwaj! - szepnął kapitan, poprawiając bandażę, a wtem Dunwoodie ukazał się we drzwiach, wołając niecierpliwie:

- Śpiesz się, Sitgreaves, śpiesz, bo Jerzy Singleton umrze z upływu krwi.

- Co! Singleton. Wielki Boże! Więc to Jerzy? Biedny Jerzyk - wykrzyknął chirurg i z widocznym przejęciem pośpieszył do łóżka. - No, chwała Bogu, żyje jeszcze, a póki życia, póty nadziei. To pierwsza poważniejsza rana, z jaką mam dziś do czynienia, od której pacjent jeszcze nie umarł. Kapitan Lawton uczy swoich ludzi rąbać tak nieostrożnie; ale to widzę kula.

Młody oficer spojrzał na chirurga i z nikłym uśmiechem usiłował podać mu rękę. W tym ruchu i towarzyszącym mu spojrzeniu było błaganie o pomoc, które wzruszyło serce operatora. Zdjął okulary, by otrzeć oczy, które mu nagle zwilgotniały, i ostrożnie przystąpił do zbadania rany. Nie przeszkodziło mu to jednak mruczeć do siebie:

- Już jak tylko kula, to dobrze, można mieć nadzieję, że nie uszkodziła żadnego żywotnego organu; ale, Boże zmiłuj się, ci ludzie kapitana Lawtona rąbią tak nierozważnie i zawsze przetną jakąś arterię, albo dźgną w krtań, albo rozłupią czaszkę, i ranny najczęściej skona, nim mu się przyjdzie z pomocą. Raz tylko udało mi się włożyć z powrotem mózg do głowy, a dziś trzy razy próbowałem, nie mówiąc o innych wypadkach. Łatwo powiedzieć, gdzie Lawton w bitwie szarżował, jego ludzie są tak nieoględni.

Skupieni dokoła łóżka towarzysze kapitana Singletona zbyt byli oswojeni z dziwactwami swego chirurga, by zważać na jego gadaninę, i spokojnie czekali, aż przystąpi do zbadania chorego. Dunwoodie stał wpatrzony w twarz operatora, jak gdyby chciał zajrzeć mu do głębi duszy. Ranny jęknął boleśnie podczas zapuszczania sondy, a chirurg rozjaśnił oblicze i mruknął:

- No, nic tu niema...

Po czym zdjął okulary, zrzucił perukę i gorliwie zabrał się do dzieła. Dunwoodie stał wciąż jak na rozżarzonych węglach, trzymając w obu dłoniach rękę przyjaciela i wpatrując się w twarz chirurga. Wreszcie Singleton jęknął jeszcze boleśniej, a chirurg podniósł się żywo i rzekł:

- A! to jest prawdziwa przyjemność śledzić kulę, można rzec, że wędruje sobie po ciele ludzkim, omijając wszystkie żywotne organy; ale za to ludzie kapitana Lawtona...

- Mów pan - przerwał Dunwoodie - czy jest nadzieja? Znajdziesz pan kulę?

- Nietrudno znaleźć to, co się trzyma w ręku, majorze Dunwoodie - odparł chłodno chirurg, przygotowując opatrunek. - Poszła, że się tak wyrażę, okólną drogą, to jest tą, jakiej nigdy nie mają się szable ludzi kapitana Lawtona, pomimo że się tyle natrudziłem, pokazując im, jak cięć umiejtnie. Ale widziałem dziś konia z na wpół odrąbaną głową.

- To - rzekł major Dunwoodie, a czarne jego oczy poczęły znów świecić blaskiem nadziei - to była moja robota. Ja zabiłem tego konia.

- Pan! - wykrzyknął chirurg zdumiony, upuszczając opatrunek - pan! Aleś pan wiedział, że to koń?

- Miałem niejake w tym kierunku podejrzenia - odpowiedział major z uśmiechem, podając przyjacielowi rzeźwiący napój.

- Takie ciosy spadające na człowieka są zgubne - ciągnął dalej doktor, wciąż krzątając się koło opatrunku - unicestwiają dobroczynne działanie nauki i są zgoła zbędne w bitwie, bo przecież chodzi o to tylko, aby obezwładnić wroga. Przesiedziałem ja beczynn timer parę godzin, majorze Dunwoodie, podczas gdy kapitan Lawton był przy robocie, i wszystkie moje oczekiwania spełżyły na niczym: bo albo lekkie zadrażnienia, albo śmiertelne rany. Ach! szabla straszną jest bronią w nieumiejtnych rękach! Tak, majorze Dunwoodie! Dużo ja czasu straciłem na próżno, by wpoić tę prawdę w kapitana Johna Lawtona.

Major wskazał milcząco na przyjaciela i chirurg zabrał się gorliwiej do roboty.

- A! biedny Jerzy, nie wylize się tak łatwo, ale... Tu wszedł wysłaniec z wezwaniem dowódcy na pole. Dunwoodie uściśnął ostrożnie dłoń przyjaciela i pośpieszył ku drzwiom, dając znak doktorowi, by szedł za nim.

- Jak pan myślisz? - szepnął, gdy znaleźli się w korytarzu. - Będzie żył?

- Będzie!

- Chwała Bogu! - wykrzyknął młodzieniec, i zbiegł ze schodów na chwilę, do saloniku, gdzie była zgromadzona rodzina Whartonów. Pięknemu jego obliczu nie zbywało teraz na uśmiechach, gdy pośpiesznie, lecz serdecznie witał się z wszystkimi. O ucieczce i o ponownym wzięciu do niewoli Henryka Whartona nie wspomniał ani słowem, jak gdyby to wcale nie zaszło. W polu się nie spotkali. Angielski oficer w wyniosłem milczeniu cofnął się do okna, pozostawiając majorowi swobodę opowiadania zaszłych wypadków.

Obie siostry, wyczerpane doznanymi wrażeniami, milczały również, i Dunwoodie rozmawiał przeważnie z panną Peyton.

- Czy jest nadzieja, kuzynie, że twój przyjaciel wyleczy się z rany? - zapytała ta ostatnia, zwracając się do młodego krewniaka z życzliwym uśmiechem.

- Zupełnie, droga pani, zupełnie - odpowiedział oficer wesoło. - Sitgreaves powiada, że będzie żył, a jeszcze dotąd nie zawiodłem się nigdy na jego poręczeniach.

- Słyszę to z prawdziwą przyjemnością. Ktoś tak drogi majorowi Dunwoodie nie może być obojętny jego krewnym.

- Powiedz pani, ktoś tak zasłużenie drogi - odpowiedział major z zapałem. - To ulubieniec całego wojska, wszyscy go kochamy; taki szlachetny, dobry, sprawiedliwy, łagodny jak baranek i tkliwy jak gołąbka - a na polu walki istny lew!

- Mówisz o nim, majorze, z takim zachwytem, jak gdyby był panią twego serca - zauważyła z uśmiechem stara panna, spoglądając na siostrzenicę, która blada i milcząca siedziała w kąci.

- Bo kocham go nie mniej - zawołał młodzieniec z uniesieniem - ale teraz potrzeba mu będzie wielkich starań i troskliwej opieki; wszystko od tego zależy.

- Wierzę mi, kuzynie, że nie będzie mu zbywać na niczym pod tym dachem.

- Wierzę, droga pani, jesteście wszyscy uosobieniem dobroci; lecz Singleton potrzebuje starań, które wielu mężczyznom wydałyby się może nużącymi nawet. W takich to chwilach i w takich cierpieniach żołnierz przeważnie odczuwa brak kobiecej tkliwości.

Powiedziawszy to, spojrział na Fanny z wyrazem, pod którym zabiło znów silniej serce jego narzeczonej; powstała z miejsca z płonącymi policzkami i rzekła:

- Przyjaciół pański może być pewnym wszelkich starań, jakich tylko obcy człowiek doznać może.

- Ach! - zawołał major wstrząsając głową - ten wyraz obcy zabije go; jemu potrzeba tkliwości, pociechy, ukojenia.

- To dać może tylko siostra lub żona.

- Siostra - powtórzył młody oficer i krew buchnęła mu do twarzy - ależ on ma siostrę; i ta może tu być jutro o świcie.

Umilkł, pomyślał chwilę, spojrział z pewnym pomieszaniem na Fanny i szepnął:

- Singleton potrzebuje tego i mieć to musi.

Panny spoglądały na mieniącą się dziwnie twarz majora z pewnym zdziwieniem, a panna Peyton zauważyła:

- Jeżeli obecność siostry kapitana jest potrzebną, ja i moja siostrzenica powitamy ją tu chętnie.

- Tak, pani, jest potrzebna, nie może być inaczej - odparł Dunwoodie z wahaniem, które stanowiło sprzeczność z jego słowami. - Dziś jeszcze poślę po nią.

I jak gdyby pragnąc zmienić przedmiot rozmowy, zbliżył się do kapitana Whartona i rzekł miękko:

- Henryku Whartonie, honor jest mi droższy niż życie, lecz wiem, że mogę bezpiecznie złożyć go w twoje ręce. Pozostań tu na wolnej stopie, dopóki nie wyruszymy stąd, co dopiero za

kilka dni może nastąpić.

Sztywność angielskiego oficera zniknęła, ujął podaną sobie rękę i odrzekł gorąco:

- Nie nadużyję twego szlachetnego zaufania, Peytonie, choćby nawet szubienica, na której twój Washington powiesił Andre'go, czekała już tam na mnie.

- Henryku! Henryku Whartonie! - rzekł Dunwoodie z wyrzutem - nie znasz człowieka, który dowodzi naszym wojskiem, bo inaczej oszczędziłbyś mu tych niesprawiedliwych słów. Ale muszę już odejść, powołuje mnie obowiązek. Pozostawiam cię tu, gdzie sam chciałbym zostać i gdzie nie możesz czuć się całkowicie nieszczęśliwym.

Wychodząc przesłał Fanny tchnące miłością spojrzenie, które jej tak było drogim i które na jakiś czas pozwoliło jej zapomnieć o wrazeniu, jakie pierwsze jego ukazanie się po bitwie na niej wywarło.

Wśród weteranów, którzy w owych czasach porzucili dobrze zasłużony wypoczynek dla wojennych trudów, znajdował się pułkownik Singleton. Pochodził on z Georgii i od wczesnej młodości służył wojskowo. Gdy wybuchła wojna o niepodległość, pośpieszył ofiarować krajowi swe usługi, które przez szacunek dla jego charakteru przyjęto. Zdrowie jednak i wiek nie pozwalały mu brać czynnego udziału w walkach; powierzono mu tedy różne stanowiska zaufania, na których jego czujność i nieposzlakowana prawość mogły się bardzo przydać, bez szkody dla jego osoby. W ostatnim roku pułkownik Singleton wydawał przepustki w Góry i miał swoją kwaterę, w której wraz z córką przebywał, o niespełna dzień drogi ponad doliną, gdzie Dunwoodie spotkał się z nieprzyjacielem. Jedynym synem pułkownika był właśnie ów ranny oficer. Major tedy pośpieszył wyprawić posłańca z wiadomością o ciężkim stanie kapitana i z zaproszeniem od pań dla siostry w taki sposób sformułowanym, by nie mogła się zawahać z niezwłocznym przybyciem do wezłowania brata.

Spełniwszy ten obowiązek z wyraźną niechęcią, Dunwoodie udał się na pole, gdzie stały jego wojska. Ponad wierzchołkami drzew widać już było resztki angielskiej piechoty, zdążające po górskich szlakach w doskonałym ordynku i czujnie, ku swoim statkom. Oddział dragonów pod Lawtonem poruszał się w niewielkiej odległości na ich flankach, czyhając na chwilę sposobną do natarcia. W ten sposób postępując, oba wojska zniknęły wkrótce z przed oczu pozostałych.

Nieco poniżej Akacji znajdowała się wioseczka, gdzie krzyżowały się różne drogi, i skąd wskutek tego łatwy był dostęp na całą okolicę. Było to ulubione miejsce popasu dla jazdy, i amerykańskie lekkie pułki obozowały tam często podczas swoich wycieczek w nizinie. Dunwoodie pierwszy ocenił dogodności tego punktu, a ponieważ musiał pozostać w tych stronach aż do otrzymania dalszych rozkazów z góry, nie zapomniał więc o nich teraz. Tam też skierował swoje wojska wraz z rannymi, podczas gdy część oddziału spełniała smutną powinność grzebania trupów. W trakcie tych rozporządzeń nowa trudność przedstawiła się młodemu dowódcy. Jadąc polem, zobaczył pułkownika Wellmere'a, siedzącego samotnie i dumającego nad

swymi niepowodzeniami. Dunwoodie, cały pochłonięty trwogą o Singletona, zapomniał całkowicie o tym jeńcu, zbliżył się więc teraz, przepraszając za brak pamięci. Anglik chłodno przyjął te uprzejmości i zaczął się skarżyć na potłuczenie, jakiego doznał, spadłszy przypadkowo z konia, jak się wyraził. Dunwoodie, który był świadkiem jak jeden z jego ludzi przejechał się bez ceremonii po pułkowniku, uśmiechnął się z lekka i ofiarował mu pomoc chirurga, po czym obaj poszli ku domowi.

- Pułkownik Wellmere! - zawołał młody Wharton ze zdumieniem ujrzawszy ich wchodzących - więc i z panem ślepy los wojny obszedł się okrutnie! Witam pana jednakże pod dachem mego ojca, choć wołałbym, aby się to odbywało w pomyślniejszych okolicznościach.

Pan Wharton przyjął tego nowego gościa z ostrożną wstrzeźliwością właściwą jego obejściu, a Dunwoodie udał się do łóża przyjaciela. Tu wszystko zapowiadało się pomyślnie, powiedział więc doktorowi, że nowy pacjent oczekuje jego pomocy na dole. Połyszawszy to doktor chwycił narzędzia i wybiegł śpiesznie, uradowany, że nadarza mu się znów sposobność zastosowania swej umiejętności. U drzwi saloniku spotkał się z wychodzącymi paniami. Panna Peyton zatrzymała go chwilę, pytając o kapitana Singletona. Fanny, spojrzawszy na dziwaczną postać łysego doktora, uśmiechnęła się mimo woli; co się tyczy Sary, była ona nadto pod wrażeniem niespodziewanego spotkania z pułkownikiem Wellmere'm, by myśleć o czym innym. Jak już wspominaliśmy, był on dawnym. znajomym tych pań, ale nie widzieli się od tak dawna, że wspomnienie Sary zatarło się trochę w jego pamięci. Z Sarą było inaczej. Jest pewna epoka w życiu każdej kobiety, usposabiająca ją niejako do miłości. Jest to ten szczęśliwy wiek, kiedy dojrzałość wykwita z pączka dzieciństwa, kiedy niewinne serce bije oczekiwaniem tych wszystkich uroków życia, których rzeczywistość nigdy dać nie może, i kiedy wyobraźnia tworzy ideały według własnej nieskażonej modły, W tym to szczęśliwym wieku Sara opuściła New-York i uniosła ze sobą obraz przyszłości, z lekka tylko naszkicowany co prawda, ale którego kontury utrwaliła samotność i w którym postać Wellmere'a znajdowała się na pierwszym planie. Toteż jego niespodziewane zjawienie się wstrząsnęło ją do głębi i zaraz po przywitaniu wstała na znak czujnej ciotki i wyszła.

- A zatem - rzekła panna Peyton, wysłuchawszy sprawozdania doktora o stanie młodego pacjenta - możemy się spodziewać, że wyzdrowieje?

- Z wszelką pewnością, łaskawa pani - wiedział doktor, usiłując przez szacunek dla dam nałożyć perukę - z wszelką pewnością, przy odpowiednich staraniach i dobrym odżywianiu.

- Na tym mu zbywać nie będzie - rzekła stara panna uprzejmie. - Wszystko co mamy, jest do jego rozporządzenia, a major Dunwoodie wyprawił już posłańca po jego siostrę.

- Po jego siostrę! - wykrzyknął chirurg z jakimś szczególnym naciskiem. - No, jeżeli major posłał po nią, to przybędzie.

- Zapewne skłoni ją do tego względ na niebezpieczny stan brata.

- Niewątpliwie, pani - odrzekł doktor lakonicznie, i skłoniwszy się nisko, czekał aż przejdą damy.

Słowa jego, a bardziej jeszcze towarzyszący im wyraz twarzy zastanowił Fanny, wobec której żadna wzmianka o majorze Dunwoodie nie mogła ujść niepostrzeżenie.

- Panie! - zawołał doktor, wchodząc i zwracając się do jedynej czerwonej kurtki w pokoju - powiedziano mi, że pan potrzebujesz mojej pomocy. Daj Boże, żebyś pan nie miał być do czynienia z kapitanem Lawtonem, gdyż w takim razie mógłbym przyjść za późno.

- Zaszła widocznie pomyłka - rzekł Wellmere wyniośle - major Dunwoodie miał mi przysłać chirurga, a nie jakąś starą babę.

- To doktor Sitgreaves - rzekł prędko Henryk Wharton, z trudem wstrzymując się od śmiechu. - Nadmiar zajęć dzisiaj nie pozwolił mu pomyśleć o staranniejszym ubiorze.

- Przepraszam pana - rzekł Wellmere bardzo niechętnie, zdejmując mundur i ukazując to, co nazywał raną.

- Jeżeli - rzekł doktor sucho - dyplom edynburski, praktyka po londyńskich szpitalach, setki poamputowanych członków, czyste sumienie i nominacja kongresu lądowego mogą z człowieka uczynić chirurga, to ja nim jestem.

- Przepraszam pana - powtórzył pułkownik sucho. - Kapitan Wharton już wytłumaczył moją pomyłkę.

- Za co dziękuję kapitanowi Whartonowi - rzekł chirurg chłodno, rozkładając swoje narzędzia ze ścisłością, od której ciarki przeszły po pułkowniku. - Gdzie pan jesteś ranny? Co? To zadraśnięcie na ramieniu? Skąd pochodzi ta rana?

- Od cięcia pałaszem zbuntowanego dragona - rzekł pułkownik z przesadą.

- Niepodobna. Nawet łagodny Jerzy Singleton nie byłby drasnął pana tak niewinnie.

Przy tych słowach doktor wyjął z kieszeni kawałek plasterka i przykleił go na uszkodzonym miejscu.

- Tak - dodał - to w zupełności wystarczy dla pańskich celów i zapewne jest wszystkim, czym mogę panu służyć.

- Jakież to mają być te moje cele, jeżeli łaska?

- Podać się za rannego w raporcie - odpowiedział doktor spokojnie. - I możesz pan dodać, że stara baba opatrzyła pańskie rany, bo w istocie dałaby sobie z niemi radę doskonale.

- Osobliwszy sposób mówienia - mruknął Anglik.

Tu kapitan Wharton wmieszał się do rozmowy i tłumacząc doktorowi, że pomyłkę pułkownika trzeba położyć na karb fizycznego i moralnego rozdrażnienia, w jakim się znajduje, udobruchał nieco obrażonego eskulapa i skłonił go do dalszych oględzin. Były to wszystko sińce pochodzące z potłuczenia, i Sitgreaves, opatrzwszy je o ile było potrzeba, wyszedł śpiesznie.

Jazda, posiliwszy się i odpocząwszy, była gotowa do wymarszu na upatrzoną pozycję, i

major Dunwoodie musiał wreszcie zdecydować, co ma uczynić z więźniami, Sitgreaves miał zostać w domu pana Whartona, by czuwać przy kapitanie Singletonie. Henryk przyszedł prosić majora, by pułkownik Wellmere mógł także pozostać na słowo, dopóki wojska nie będą odwołane na dalsze pozycje. Dunwoodie chętnie się na to zgodził, a ponieważ reszta więźniów były to zwyczajne piechurzy, odesłano ich pod silną strażą w głąb. Dragoni wymaszerowali wprędce potem, a przewodnicy, podzieleni na małe partie z dodatkiem konnych patroli, rozproszyli się po okolicy w taki sposób, by utworzyć łańcuch wart od Soundu do Hudsonu. *

Dunwoodie pożegnawszy się pozostał jeszcze chwilę przed domem i dziwnie mu było ciężko odjeżdżać, co przypisywał troskliwosci o samego przyjaciela. Potrzeba bardzo zatwardziałego serca, aby mu wystarczyła sława, nabyta kosztem ludzkiego życia. Peyton Dunwoodie pozostawiony samemu sobie, i ochłonawszy już nieco z podniecenia, w jakim wojenny zapał trzymał go przez cały ten dzień, zaczął odczuwać, że poza surowymi prawami honoru są jeszcze inne związki, z którymi serce żołnierza musi się liczyć. Nie zachwiał się w poczuciu powinności, lecz zrozumiał, jak silną może być pokusa. Surowy wyraz jego oczu - ustępował stopniowo miejsca pewnemu rozmarzeniu, a myśl o zwycięstwie nie sprawiała mu takiego zadowolenia, które mogłoby mu wynagrodzić ofiary, jakimi je okupił. Spoglądając po raz ostatni w stronę Akacji, przypomniał sobie, że zostawia tam wszystko co mu było najdroższe na świecie. Przyjaciel jego młodości był jeńcem i to w okolicznościach zagrażających zarówno jego życiu jak honorowi. Umiłowany towarzysz wojennych trudów, który takim wdziękiem pełnym słodczy umiał otoczyć twardą żołnierską dolę, leżał zboczony krwią, wylaną na polu zwycięskiej walki. Wreszcie obraz tej pięknej dziewczyny, tylokrotnie w ciągu dnia usuwający się na drugi plan wobec innych podniet, stanął mu znów przed oczyma w takim blasku uroków, że przesłonił całkowicie rywalkę jej - sławę.

Ostatni kawalerzysta zniknął już za północnym wzgórzem, gdy major zwrócił wreszcie konia w tym samym kierunku. Fanny miotana dziwnym niepokojem, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, odważyła się wyjść na taras. Dzień był ciepły i pogodny, słońce świeciło jasno na bezchmurnym niebie. Po wrzawie, która do niedawna napełniała dolinę, nastąpiła głęboka cisza, i piękny krajobraz wyglądał tak, jak gdyby nigdy nieskażony zamętem ludzkich namiętności. Samotna chmura dymu wisiała nad polem walki, a i ta rozproszyła się wnet, nie pozostawiając śladu krwawych rozpraw ponad cichymi grobami ich ofiar. Wszystkie sprzeczne wrażenia, wszystkie burzliwe wypadki tego pamiętnego dnia zdawały się jakby marą chorej wyobraźni. Fanny odwróciła się, dostrzegła niknącą w oddali postać tego, który tak wybitną rolę odegrał na tej scenie, i złudzenie pierzchnęło. Poznała ukochanego, widok ten przywiódł jej na pamięć inne wspomnienia i wróciła do swego pokoju z sercem tak smutnym, jak smutną była w tej chwili dusza Dunwoodie'go.

ROZDZIAŁ IX.

*„Przez chwilę zapatrzył się w dal,
przez chwilę wdychał wiatr, przez
chwilę słuchał wrzasku rosnącego
w miarę jak zbliżał się pościg;
poczem gdy pierwszy wróg się ukazał,
jednym potężnym susem przesadził
chrust i pędząc wolny i niepowstrzymany
dobiegł do wrzosowisk UamVaru. „*

Walter Scott.

Oddział kapitana Lawtona śledził cofającego się ku statkom nieprzyjaciela z niesłabnącą ani na chwilę czujnością, nie mogąc jednak pochwycić najmniejszej, sprzyjającej atakowi sposobności. Doświadczony zastępca pułkownika Wellmere'a znał dobrze siłę przeciwnika i trzymał się wciąż nierównej powierzchni wzgórz, dopóki tylko było można. Trzeba jednak było wreszcie zejść w dół do rzeki. Zanim odważył się na ten krok niebezpieczny, sformował swych ludzi w zbity kwadrat, najeżony po zewnętrznych rogach bagnietami. Niecierpliwy kawalerzysta rozumiał dobrze, iż w takich warunkach i mając do czynienia z dzielnym żołnierzem, nie może liczyć na pomyślny skutek szarży, krążył więc tylko w pobliżu, patrząc z żalem, jak zwolna, lecz stale równym marszem posuwali się ku brzegowi. Niewielki dwumasztowiec, który ich tu przywiózł z miasta, czekał na nich ze zwróconymi w stronę lądu armatami. Lawton miał dosyć rozsądku by pojąć, że byłoby szaleństwem porywać się przeciwko takiemu połączeniu siły z przezornością, toteż Anglicy wsiedli na statek bez przeszkody. Dragoni pozostali na brzegu do ostatniej chwili, po czym chcąc nie chcąc rozpoczęli odwrót do własnego obozowiska.

Wieczne mgły zbierały się już w dolinie, gdy oddział Lawtona ukazał się ponownie u jej

południowego wylotu. Jazda postępowała zwolna, rozciągnięta długą linią. Na czele jechał kapitan, a obok niego porucznik, zajęci żywą rozmową, a pochód zamykał młody kornet, nucący jakąś piosenkę i marzący o rozkoszach posłania ze słomy po ciężkich całodziennych trudach.

- Więc i ciebie to uderzyło? - mówił kapitan. - Od pierwszego rzutu oka przypomniałem ją sobie; takie twarze niełatwo się zapominają. Na honor, Tomie, dziewczyna przynosi zaszczyt dobremu gustowi majora.

- Przyniosłaby zaszczyt całemu wojsku - odrzekł porucznik z zapalem. - Te błękitne oczy mogłyby skusić człowieka do porzucenia naszego twardego zawodu. Prawdę rzekłszy, ja sam, gdyby tak na mnie życzliwie spojrzęła, byłbym gotów zamienić szablę i kulbakę na igłę do cerowania i damskie siodełko.

- Ależ to czysty bunt! - zawołał tamten ze śmiechem. - Jak to! ty, Tomie Mason, odważyłbyś się współzawodniczyć w miłości ze świetnym, podziwianym i w dodatku bogatym majorem Dunwoodie! Ty, porucznik kawalerii, mający za cały majątek konia i to nie najlepszego, ty, którego kapitan jest twardy jak szczapa i pada zawsze na przednie łapy jak kot?

- To prawda - rzekł tamten, śmiejąc się także - ale szczapę da się porąbać, a kocisko może tak paść, że się nie podniesie więcej, jeżeli często będziesz szarżował tak wściekle jak dzisiaj. Toć rozciągnąłeś się jak długi na ziemi. Istny cud, że konie nie wymłóciły z ciebie życia kopytami.

- Ach, nie wspominaj mi o tym, mój kochany, głowa mnie boli na samo to wspomnienie - odrzekł tamten wzruszając ramionami. - To się nazywa zobaczyć noc przy słońcu.

- Noc śmierci?

- Nie, luby Tomie, noc, która następuje po dniu. Zobaczyłem miriady gwiazd, które przecież chowają się przed słońcem. Na honor, gdyby nie ta twarda czapka, myślę, że byłoby po mnie. Ale jak widzisz, ocalałem, na twoją pociechę.

- Bardzo jestem obowiązany czapce - odpowiedział Mason sucho - choć nie wiem, czy i twardość czaszki nie odegrała tu pewnej roli.

- No, no, Tomie, ty sobie ze wszystkiego żartować musisz, a masz w sobie coś takiego, że się na ciebie gniewać nie można - odpowiedział kapitan dobrodusznie - ale, lękam się mocno, że porucznikowi Singletonowi lepiej się opłaci dzisiejsza robota niż tobie,

- Mam nadzieję, że nam obu los oszczędzi awansu kupionego kosztem śmierci towarzysza i przyjaciela - rzekł Mason serdecznie. - Sitgreaves zaręcza podobno, że Singleton żyć będzie.

- Dałby Bóg! - wykrzyknął Lawton. - Jak na takiego młokosa, ten chłopak nie ma sobie równego w dzielności. Dziwię się jednak, że skoro obaj spadliśmy jednocześnie, nasi ludzie spisali się tak gracko.

- Mógłbym ci podziękować za ten komplement - zawołał śmiejąc się porucznik - ale skromność mi na to nie pozwala; robiłem wszystko co mogłem, by ich powstrzymać, lecz bezskutecznie.

- Powstrzymać! - wrzasnął kapitan - chciałbyś powstrzymać jazdę w pełnym ataku!

- Zdawało mi się, że szarżują w złym kierunku - odpowiedział porucznik.

- A! nasz upadek pociągnął ich na prawo.

- Nie wiem, czy to był wasz upadek, czy ich własne obawy, lecz byliśmy w ładnym rozgardiaszu, dopóki nas major nie zebrał w kupę.

- Dunwoodie! Przecież major jechał na karkach Niemców.

- Tak! Ale udało mu się przejechać się po nich; wrócił właśnie z dwoma oddziałami i jak się rzuci pomiędzy nas i nieprzyjaciela, sformował nas w mgnieniu oka. Wtedy to - dodał porucznik z ożywieniem - zagnaliśmy John Bulla w lasy. O! To była szarża; lecieliśmy jak w powietrzu, dopóki nie wpadliśmy na nich jak burza.

- Do licha! Jakiż ja widok straciłem.

- Przespałeś go.

- Tak - odparł tamten z westchnieniem - straciliśmy go obaj, ja i biedny Jerzy Singleton. Ale, Tomie, co powie siostra Jerzego na tę jasnowłosą panienkę z tego białego dworu?

- Powiesi się na własnych podwiązkach - rzekł porucznik. - Jestem z całym szacunkiem dla moich zwierzchników, ale dwie takie piękności, to doprawdy za wiele na jednego człowieka, o ile nie jest Turkiem lub Hindusem.

- Tak, tak - podchwycił żywo kapitan - major prawi zawsze kazania moralności młodszym, ale sam to z cicha pęk! Uważałeś, jak lubi tę wioszczynę nad doliną. Gdybym ja tak dwa razy wrócił na ten sam postój, wszyscy byście zaraz weszli jakąś spódnicę w powietrzu.

- Bo cię wszyscy znamy.

- No, no, Tomie, skłonność do oszczerstw jest nieuleczalną. Ale - tu podał się cały ku przodowi, jak gdyby to mu miało pomóc do rozróżnienia czegoś w ciemności - cóż to za zwierzę tam się rusza w polu na prawo?

- To człowiek - rzekł Mason, wpatrując się z natężeniem w podejrzany kształt.

- Z garbu wziąłbym go za dromadera - dodał kapitan, wciąż bystro śledząc go swym żbiczym wzrokiem.

Nagle skręcił z gościńca i wykrzyknął:

- To Harvey Birch! Brać go żywym lub umarłym! Tylko Mason i paru jadących przodem dragonów zrozumiało ten nagły wykrzyknik, usłyszano go jednak na całej linii. Dwunastu jeźdźców z porucznikiem na czele pognało za porywczym Lawtonem, a błyskawiczny ich pęd groził ściganemu prędkim zakończeniem gonitwy.

Birch przezornie siedział na skale, na której Henryk ujrzał go przelotem, dopóki ciemności wieczoru nie ogarnęły okolicy. Ze swego wyniosłego stanowiska widział wszystko, co się działo podczas dnia, jak na dłoni. Z bijącym sercem spoglądał na odjazd kawalerii pod Dunwoodie'm i z trudem hamował niecierpliwość, póki noc nie pozwoli mu bezpiecznie odzyskać swobody

ruchów. Nie uszedł jednak czwartej części drogi, wiodącej do jego domu, gdy wprawne jego oko rozróżniło tętent nadciągającej jazdy. Ufny jednak w coraz gęstsze ciemności, postanowił iść dalej. Zgiął się tylko we dwoje i na wpół pełznąć, posuwał się jak mógł najprędzej. Kapitan Lawton był tak pochłonięty rozmową, że wbrew zwyczajowi nie rozglądał się na wszystkie strony, a kramarz, zmiarkowawszy po głosach, że wróg, którego się najbardziej obawiał, już go wyminął, nie mógł pohamować niecierpliwości i wyprostował się, by iść prędzej. W tej samej chwili dostrzeżono go, i rozpoczął się pościg. Na jedno mgnienie oka Birch stanął bezradny, krew ścięła mu się w żyłach na myśl o tak bliskim niebezpieczeństwie, nogi odmówiły posłuszeństwa. Ale trwało to tylko chwilę. Rzuciwszy tobół na ziemię i instynktownie zacieśniwszy pasek, kramarz zaczął uciekać! Wiedział, że byle tylko dopadł skraju lasu, zginie goniącym go z oczu. Jakoż udało mu się to w części; wyteżał wszystkie siły, by dostać się w głąb lasu, gdy kilku kawalerzystów przejechało koło niego w niewielkiej odległości na lewo i odcięło go od tego miejsca schronienia. Kramarz padł plackiem na ziemię, i dragoni minęli go nie dojrzwawszy. Ale zwłoka mogła się stać niebezpieczną. Powstał więc znowu i wciąż trzymając się w cieniu drzew, wzdłuż których słyszał nawołujące się do bacznego głosy dragonów, pobiegł z niesłychaną szybkością, ale w przeciwnym kierunku.

Reszta ludzi Lawtona słyszała rozkaz pościgu, ale niewyraźnie, przystanęli więc nie wiedząc, co im czynić wypada. Właśnie wspomniany już kornet rozpytywał w tym względzie najbliższego jadącego dragona, gdy jakiś człowiek w pewnej odległości za nimi jednym susem przesadził drogę, a w tejże chwili stentorowy głos Lawtona rozległ się potężnym echem w dolinie.

- Harvey Birch! brać go żywym lub umarłym. Pięćdziesiąt pistoletów błysnęło w ciemnościach, i kule ze świstem jęły przelatywać nad głową wiernego kramarza. Rozpacz ścisnęła mu serce i wykrzyknął z goryczą:

- Ścigany jak dzikie zwierzę!

Na chwilę życie wydało mu się ciężarem nie do zniesienia i już prawie był gotów zaniechać dalszej ucieczki. Natura jednakże zwyciężyła. Schwytyany nie dostąpiłby zapewne zaszczytu badania i sądu, lecz najprawdopodobniej poranne słońce byłoby świadkiem jego haniebnej egzekucji, był już bowiem dawniej skazany na śmierć i tylko fortem uniknął tego losu. Względy te i zbliżający się pościg zbudziły w nim energię, i rzucił się znów do ucieczki. Na szczęście odłam parkanu, który dziwnym trafem uniknął spustoszenia wojny, zagroził mu drogę. Zaledwie zdążył przerzucić wyczerpane członki na drugą stronę, gdy około dwudziestu dragonów nadszedło pędem. Konie odmówiły skoku w ciemnościach, i kramarz, korzystając z zamętu, spowodowanego cofaniem się i wspinaniem znarowionych nagle rumaków, i wrzasku klnących na czym świat stoi dragonów, ubiegł jeszcze pewną przestrzeń i dojrzał skaliste wzgórze, którego wierzchołek mógł mu zapewnić bezpieczne schronienie. Serce Bircha zabiło znowu nadzieją, gdy nagle obił się mu o uszy głos Lawtona, krzyczący na żołnierzy, by się

rozstąpili. Rozkaz spełniono, i nieustraszony kawalerzysta, pędem dopadłszy parkanu, spiął konia ostrogami i przesadził zaporę jak wicher. Tymczasem okrzyki dragonów i tętent konia lodem ścięły krew w żyłach kramarza. Był już zupełnie wyczerpany i los jego zdawał się nie ulegać dłużej wątpliwości.

- Stój lub zginiesz! - rozległo się tuż nad jego głową.

Harvey spojrzął przez ramię i w blasku gwiazd ujrzał twarz człowieka, którego najbardziej się lękał, i podniesioną w górę szablę. Trwoga, rozpacz, wyczerpanie zwały go z nóg i padł u stóp kawalerzysty jak długi. Koń Lawtona potknął się o niego i runął na ziemię pociągając jeźdźca za sobą.

Z błyskawiczną szybkością Birch zerwał się na równe nogi z szablą oszołomionego upadkiem dragona w rękę. Zemsta jest jedną z najpotężniejszych namiętności ludzkich. Mało kto nie zaznał słodkiej pokusy odbicia swoich krzywd na ich sprawcach; są jednak tacy, którzy wiedzą, że o wiele słodsza rozkosz jest dobrem za złe odpłacić.

Wszystko zło, jakiego Birch doświadczył od tego leżącego na ziemi człowieka, stanęło mu żywo w pamięci. Przez chwilę szatan wziął górę, szabla błysnęła nad głową bezbronnego kawalerzysty, lecz wnet opadła z brzękiem przy jego boku, a kramarz zniknął w cieniu zbawczej skały.

- Na pomoc kapitanowi Lawtonowi! - wołał nadjeżdżający z kilkunastu ludźmi Mason - a kilku z was niech zsiądzie z koni i obszukać mi te skały. Łotr musiał się tu gdzieś ukryć.

- Stój! - wrzasnął kapitan, dźwigając się z trudem na nogi - jeżeli który z was zsiądzie z konia, zginął. Tomie, mój drogi, pomóż mi wdrapać się znowu na kulbakę.

Zdumiony porucznik spełnił w milczeniu żądanie kapitana, a niemniej zdumieni dragoni siedzieli jak przyrośnięci do siodeł.

- Musiałeś się bardzo potłuc - rzekł Mason z czymś w rodzaju ubolewania w głosie, gdy wjechali znów na gościniec, i rzekłszy to, odgryzł czubek cygara w braku lepszego gatunku tytoniu.

- Coś w tym rodzaju - odparł kapitan z trudem chwyając oddech. - Szkoda, że niema tu gdzie pod ręką naszego zestawiacza kości; rozejrzałby się w stanie moich żeber.

- Sitgreaves został przy kapitanie Singletonie w domu pana Whartona.

- W takim razie jadę tam na nocleg, Tomie. W dzisiejszych twardych czasach nie można się bawić w ceremonie; zresztą może pamiętasz, że stary Wharton oświadczał się z wielką czułością dla wojska. Nie mogę pominąć tak dobrego przyjaciela, nie zatrzymawszy się u niego.

- A ja poprowadzę oddział na Cztery Kąty. Jeżeli pozostaniemy tam dłużej, ogłodzimy całą okolicę.

- Nie chciałbym się znaleźć w położeniu okolicy. Myśl o doskonałych ciasteczkach tej zacnej, starej panny osłodzi mi szpitalne godziny pod ich dachem.

- O! nie umrzesz, skoro możesz myśleć o jedzeniu - zawołał śmiejąc się Mason.

- Umarłbym z pewnością, gdybym o tym nie mógł myśleć - odpowiedział kapitan z powagą.

- Kapitanie Lawton - rzekł jego ordynans podjeżdżając - mijamy teraz dom tego szpiega kramarza; czy pan rozkaże go spalić?

- Nie! - wrzasnął kapitan takim głosem, że wystraszony sierżant aż się zatrząsł na siodle. - Czyś ty podpalacz, żeby tak puszczać domy z dymem? Niech tu jedna iskra padnie, a ręka, która ją rzuci, z pewnością żadnej już więcej nie zapali.

- No, no, - mruknął zaspany kornet, kiwając się na koniu - w kapitanie dosyć jeszcze życia pozostało, pomimo że, gdyby się inny tak grzmotnął, to by już nie było co zbierać.

Lawton i Mason jechali dalej w milczeniu, a ten ostatni dumiał nad dziwną zmianą, jaka nastąpiła w kapitanie po jego upadku. Przybyli w ten sposób przed bramę wiodącą do rezydencji pana Whartona.

Dragoni pojechali dalej, a kapitan i porucznik zsiadli z koni i z wolna poszli ku domowi, a za nimi ordynans kapitana.

Pułkownik Wellmere znajdował się już w przeznaczonym dla niego pokoju; pan Wharton i jego syn zamknęli się u siebie, a panie częstowały herbatą chirurga, który, ułożywszy do snu obu swoich pacjentów, zażywał słusznie mu się należącego wytchnienia i posiłku.

Parę zapytań panny Peyton otworzyło duszę doktora; pokazało się, że znał całą jej liczną rodzinę w Wirginii, a nawet wyobrażał sobie, że ją samą kiedyś musiał spotkać, na co zacna stara panna uśmiechnęła się tylko, czując, że gdyby choć raz przedtem zobaczyła doktora, nie byłaby już nigdy mogła zapomnieć jego dziwacznej powierzchowności i niemniej dziwaczного obejścia. Jednakże zawiązana na ten temat rozmowa potoczyła się łatwiej, a raczej toczył ją prawie sam doktor, panienci bowiem milczały, a i ciotka niewiele miała do powiedzenia.

- Otóż, jak mówiłem, szkodliwe wyziewy niskich gruntów czyniły plantację brata pani niezamieszkalną, ale co się tyczy czworonogów...

- Na Boga! co to? - zawołała panna Peyton bledniejąc, gdy odgłosy strzelaniny do Bircha obiły jej się o uszy.

- Brzmi to jak wstrząśnienie atmosfery, spowodowane eksplozją broni palnej - rzekł chirurg obojętnie, popijając herbatę. - Sądziłbym, że to oddział kapitana Lawtona powraca, gdybym nie wiedział, że kapitan nigdy nie używa broni palnej, a za to straszliwie nadużywa białej.

- Miłosierne nieba! - wykrzyknęła przestraszona stara panna - przecież nikomu teraz krzywdy nie wyrządzi.

- Krzywdy! - powtórzył doktor. - Gdzie się tylko kapitan Lawton wmiesza, tam nie może być mowy o krzywdzie, lecz o pewnej śmierci. Rąbie na oślep, i żadne moje perswazje skutku nie odnoszą.

- Ależ kapitan Lawton jest oficerem, który tu był z rana, i zapewne przyjacielem pańskim -

rzekła Fanny, spostrzegłszy przestrach ciotki.

- Co się tyczy przyjaźni, nie mam mu nic do zarzucenia, i w ogóle chłop niczego, gdyby się tylko nauczył cię umiejętnie. Wszystkim rzemiosłom trzeba dać żyć, proszę pań, a na cóż się przyda chirurg, jeżeli wszyscy jego pacjenci pomrą, nim ich opatrzy.

Doktor rozwodził się w dalszym ciągu nad prawdopodobieństwem i nieprawdopodobieństwem pochodzenia wystrzałów od powracającego oddziału kapitana Lawtona, gdy silne stukanie do drzwi frontowych przestraszyło na nowo pannę Peyton i jej siostrzenice. Instynktownie kładąc rękę na małej piłce, którą cały dzień nosił przy sobie w daremnym oczekiwaniu amputacji, doktor upewnił panie, że stanie pomiędzy nimi i niebezpieczeństwem, i sam poszedł drzwi otworzyć.

- Kapitan Lawton! - wykrzyknął, ujrawszy kawalerzystę, który wsparty na poruczniku z trudem próg przestępował.

- Ach! kochany zestawiaczu kości, to pan? Bardzo szczęśliwie, że pana widzę, opatrzysz mój korpus; tylko proszę, połóż tę przeklętą piłę.

Mason w kilku słowach opowiedział przygodę kapitana, a panna Peyton ohotnie zajęła się pomieszczeniem nowego gościa. Podczas gdy przygotowywano dla niego pokój, a doktor wydawał rozkazy, zaproszono kapitana i porucznika, by sobie odpoczęli w jadalni.

Stojący na obrusie półmisek z jakąś mile woniejącą potrawą zwrócił wnet uwagę obu dragonów. Panna Peyton pomyślawszy, że prawdopodobnie poza rannym posiłkiem przy tym samym stole rycerze ci nic więcej w ustach przez cały dzień nie mieli, zaprosiła ich uprzejmie do powtórnej uczty. Oficerowie nie dali sobie powtarzać tego dwa razy i zasiadłszy wygodnie, pałaszowali aż miło; kapitan tylko krzywił się raz po raz, gdy za jakimś poruszeniem ból dawał mu się dotkliwiej we znaki. Nie przeszkodziło mu to wszelako współzawodniczyć z porucznikiem w objawach wilczego apetytu, gdy doktor powrócił, oznajmiając, że wszystko już gotowe na przyjęcie go w pokoju na górze.

- Pan jesz! - zawołał zdumiony eskulap - kapitanie Lawton, czy pan koniecznie chcesz umrzeć?!

- Nie mam szczególnego pragnienia w tym kierunku - odparł kawalerzysta, wstając od stołu i kłaniając się paniom na dobranoc - i dlatego starałem się właśnie o podtrzymanie życia w ten oto sposób.

Chirurg mruknął coś gderliwie, i wszyscy trzej wyszli z jadalni.

Każdy dom w Ameryce owymi czasy posiadał tak zwany pompatycznie najlepszy pokój, i ten pod niewidzialnym wpływem Sary oddano pułkownikowi Wellmere'owi. Puchowy becik, tak pożądany w chłodną, jesienną noc posiniaczonym członkom, okrywał łóżko angielskiego oficera; srebrny kufel, bogato herbami Whartonów przyozdobiony, zawierał napój, jakim się miał rzeźwić w nocy, podczas gdy porcelanowe kubki pełniły tą samą powinność dla obu amerykańskich

kapitanów.

Sara zapewne nie zdawała sobie sprawy z tego milczącego wyróżnienia angielskiego oficera, ale co się tyczy kapitana Lawtona, to wszystkie te dodatki, poza napojem były mu zupełnie obojętne, jako nawykłemu sypiać w ubraniu, a nierzadko na siodle.

Rozgościł się więc z zadowoleniem w małym, ale bardzo wygodnym pokoju, po czym doktor Sitgreaves przystąpił do zbadania stanu jego uszkodzeń. Ale zaledwie rozpoczął obmacywać członki pacjenta, ten wykrzyknął niecierpliwie:

- Sitgreaves, zrób mi tę łaskę i połóż tę przeklętą piłę, bo chwycę za szablę w samoobronie, sam jej widok ścina mi krew w żyłach.

- Kapitanie Lawton, jak na człowieka, który tak często narażał na szwank swoje członki i życie, strach pański przed tym tak bardzo użytecznym narzędziem jest wprost niepojęty.

- Niech mnie Bóg od jego użyteczności zachowa! - rzekł wzdrygnąwszy się kawalerzysta.

- Nie odrzuciłbyś pan jednak lekarskiej pomocy i nie wzgardził dobrodziejstwami nauki, dlatego że ta piłka mogłaby się okazać potrzebną.

- Owszem, odrzuciłbym i wzgardził.

- Doprawdy?

- Nie inaczej, nie dopuszczę nigdy, by mnie ćwiartowano jak wołu, dopóki tylko potrafię się bronić - zawołał kapitan. - Ale już jestem śpiący; czy mam jakie żebro złamane?

- Nie.

- A kości?

- Także nie.

- Tomie, podaj mi proszę ten dzbanek. Wychylił duszkiem napój i odwróciwszy się plecami do towarzyszy, rzekł dobrodusznie:

- Dobranoc Mason, dobranoc, doktorze!

Kapitan Lawton żywił głęboki szacunek dla chirurgicznej umiejętności doktora Sitgreaves'a, lecz odnosił się bardzo niedowierzająco do wszelkich wewnętrznych leków. Według niego człowiek z pełnym żołądkiem, zdrowym sercem i czystym sumieniem śmiało może stawić czoło światu i jego przeciwnościom. Natura obdarzyła go drugą z tychże zalet, i trzeba mu oddać sprawiedliwość, że gorliwie starał się o podtrzymanie pozostałych dwóch warunków. Lubił też powtarzać, że ostatnią rzeczą, jakiej się ima śmierć, są oczy, a przedostatnią szczęki, i tłumaczył to w ten sposób, iż natura wyraźnie sobie życzy, aby człowiek mógł sprawdzać wzrokiem wszystko co bierze do ust; jeżeli więc weźmie coś nieapetycznego, to już jest jego własna wina. Chirurg, dobrze świadomy tych poglądów swego pacjenta, spokojnie patrzył, jak ten odwrócił się tyłem do niego i Masona, ze wzgardliwym politowaniem schował do skórzanej szkatułki różne przyniesione ze sobą flaszeczki, triumfalnie wywinął piłką młynka w powietrzu i wyszedł, nie racząc odwzajemnić się Lawtonowi życzeniem dobrej nocy. Mason, usłyszawszy, że kapitan już

chrapać zaczyna, pośpieszył pożegnać panie, po czym dosiadł konia i galopem popędził za oddziałem.

ROZDZIAŁ X.

*„Na kochającej piersi pragnie spocząć
odlatująca dusza; gasnące oczy
proszą o parę łez żalu. Bo nawet
z grobu odzywa się głos natury,
i nawet w popiołach naszych tleją
dawne ognie. „*

Gray.

Posiadłość pana Whartona rozciągała się na dość znacznej przestrzeni po obu stronach mieszkalnego domu, a większość gruntów leżała odłogiem. Tu i ówdzie jakiś na wpół rozwalony budynek chylił się szybko do upadku, nie podtrzymany troskliwą ręką gospodarza ani nie wydzierżawiony. Bliskość wojennych zapasów kładła tamę wszelkim prawie gospodarskim zabiegom w okolicy. Po cóż było trudzić się uprawą roli i zwozić zboże do spichrza, kiedy pierwszy furazujący oddział opróżniał go doszczętnie. Siano więc i zbierano tyle tylko, ile było potrzeba na własny użytek, wyjąwszy te gospodarstwa, które leżały w zbyt bliskim sąsiedztwie nieprzyjacielskich obozów, by się mogły obawiać najścia lekkich oddziałów przeciwnej strony. Tym wojna zapewniała złote żniwo, zwłaszcza gdy właściciele ich mieli dostęp do królewskiej armii. Pan Wharton nie potrzebował trudzić się uprawą roli dla zysków, chętnie więc przyjął ostrożną taktykę bieżącej chwili i ograniczał swe gospodarskie zabiegi tylko do artykułów, potrzebnych do szybkiego, domowego użytku, lub dających się łatwo ukryć przed zaborczym okiem furazystów. Wskutek tego na gruncie, na którym toczyła się bitwa, nie było ani jednego

zamieszkanego budynku prócz sadyby Harveya Bircha. Domek ten stał mniej więcej pośrodku między miejscem spotkania kawalerii a tym, gdzie nastąpił atak na oddział Wellmere'a.

Dla Katy Haynes był to dzień, obfitujący w wypadki. Roztropna gospodyni zachowywała bezwzględna neutralność na punkcie politycznych przekonań. Rodzina jej trzymała ze stronnictwem narodowym, lecz ona sama nigdy nie traciła z uwagi tej ważnej chwili, kiedy, jak wiele innych kobiet żywiących ambitniejsze nadzieje, może być wezwaną do poświęcenia miłości ojczyzny na ołtarzu domowego szczęścia. Jednakże pomimo całej jej przezorności bywały chwile, w których doletnia ta dziewczica miewała poważne wątpliwości, na jaką szalę rzucić ciężar swej wymowy, aby być pewną, że podtrzymuje tę sprawę, której służy wędrowny kramarz Harvey Birch. Jego obejście i postępowanie było tak dwuznaczne, że często, gdy w ciszy ich domowego życia chciała wystąpić z filipiką przeciw Washingtonowi i jego stronnikom, ostrożność zamykała jej usta i podejrzenia opanowywały umysł. Krótko mówiąc, całe zachowanie się tego tajemniczego człowieka było tego rodzaju, że mogło wprowadzić w błąd o wiele bystrzejszego i szersze poglądy na ludzi i życie mającego obserwatora, niż gospodyni Birch'ów.

Bitwa na Równiach wykazała bystremu Washingtonowi całą wyższość, jaką nieprzyjaciel posiadał nad nim pod względem organizacji, broni i karności wojskowej. Były to trudności, które tylko jego własna czujność i zapobiegliwość mogła zwalczyć. Ściągnawszy wojska z gór do północnej części kraju, stawiał czoło atakom armii królewskiej, i sir William Howe musiał się cofnąć i poprzestać na wątpliwych korzyściach swych zdobyczy, jakie przedstawiało opustoszałe miasto. Nigdy już potem obie armie nie zmierzyły się ze sobą na gruncie West-Chesteru, ale rzadko kiedy minął dzień bez partyzanckich wycieczek i rzadko kiedy wstało słońce, by oczom mieszkańców nie przedstawił się obraz spustoszeń dokonanych pod osłoną nocy.

Kramarz odbywał wędrówki swe przeważnie w godzinach, w których inni spoczywali. Zachód słońca często zostawiał go w jednym końcu hrabstwa, a wschód zastawał w drugim. Tobół z towarami towarzyszył mu wszędzie, i ci którzy bacznie obserwowali go w chwilach handlu, byli głęboko przekonani, że jedynym jego celem jest zbieranie złota. Często widywano go w pobliżu gór zgiętego pod ciężarem olbrzymiej paki, to znów koło rzeki Harlem, postępującego lżejszym krokiem, z twarzą zwróconą ku zachodzącemu słońcu. Ale to zdarzało się rzadko i przelotnie. Co robił w międzyczasie, tego żadne oko wysledzić nie mogło. Przepadał przez całe miesiące bez śladu.

Wyżyn Harlemu strzegły silne oddziały, a północny kraj wyspy Manhattan jeżył się bagnietami angielskich straży, mimo to kramarz prześlizgiwał się pomiędzy nimi szczęśliwie, nie zwracając na siebie uwagi. Przybliżał się też często do amerykańskich linii, ale zazwyczaj tak ostrożnie, iż nie narażał się na pościg. Niejeden wartownik, stojący u wylotu górskich rozpadlin, mówił o jakiejś tajemniczej, obcej postaci prześlizgującej się koło niego w nocnych cieniach.

Opowieści te dochodziły do uszu oficerów, i jak już wspomnieliśmy, kramarz dwukrotnie wpadł w ręce Amerykanów. Pierwszy raz wymknął się Lawtonowi, wprędce po zaarrestowaniu; ale za drugim razem skazano go na śmierć. Jednak tego poranku, kiedy miała się odbyć egzekucja, znaleziono klatkę otwartą, a ptaszek z niej wyfrunął. Ta nadzwyczajna ucieczka odbyła się w nadzwyczaj dziwnych warunkach, gdyż pieczę nad więźniem miał jeden z ulubionych oficerów Washingtona i postawił strażę złożoną z najzaufańszych ludzi, których uważano za godnych strzec osoby samego naczelnego wodza. Przekupstwo i zdrada były w tym wypadku niedopuszczalne, i pomiędzy żołnierstwem ustaliło się mniemanie, że kramarz ma stosunki z nieczystymi siłami. Katy z oburzeniem zwalczała zawsze tę opinie, głównie dlatego, iż zastanawiając się nad wszystkim, doszła do przekonania, że zły duch złotem nie płaci. W jej pojęciu nie można też było posądzać o to Washingtona, gdyż papier i obietnice było to wszystko, czym wódz wojsk amerykańskich mógł rozporządzać.

Po przymierzu z Francją, gdy srebro napłynęło obficie, Katy nie natrafiła nigdy na oblicze króla Ludwika zamieszane pomiędzy dobrze znajome rysy Jerzego III-go w owej skórzanej sakiewce kramarza, której, jeżeli się tylko nadarzyła sposobność, ciekawa gospodyni nie omieszkała nigdy zrewidować. Krótko mówiąc, ukryte skarby Harveya świadczyły dostatecznie o angielskim pochodzeniu.

Amerykanie nachodzili różnymi czasy domek Bircha z zamiarem aresztowania go, ale zawsze bezowocnie; rzekomy szpieg miał zawsze jakieś tajne wskazówki, obracające wniwecz ich plany. Raz gdy silny oddział lądowej armii obozował przez całe lato w Czterech Kątach, sam Washington wydał rozkaz, by ani na chwilę nie spuszczano z oka drzwi domu Harveya Bircha. Zastosowano się ściśle do tego rozkazu, lecz przez cały ten długi przeciąg czasu kramarz nie pokazał się ani razu; natomiast skoro tylko oddział został odwołany, Birch wrócił następnej nocy. Ojciec Harveya miał wiele przykrości z powodu podejrzaney opinii syna. Ale pomimo najdrobiazgowszego śledztwa nie dało się wykryć nic w postępowaniu starca, co by mogło świadczyć na jego niekorzyść, a mienie jego przedstawiało zbyt małą wartość, by trzymać w naprężeniu gorliwość zawodowych patriotów. Konfiskata i kupno nie byłyby im opłaciły trudów. Wiek i troski miały mu wkrótce oszczędzić dalszych nagabywań, lampa życia dogasała szybko. Ostatnia rozłąka ojca z synem była bardzo bolesną, obaj jednak ulegli temu, co uważali za swój obowiązek. Starzec taił się ze swym beznadziejnym stanem przed sąsiadami, sądząc, iż dzięki temu dane mu będzie spędzić ostatnie chwile umilone obecnością syna. Zamęt i wrzawa bitwy, objijające się o ubogie ściany domku, i obawa że Harvey może przybyć za późno, przyspieszyły koniec, który tak pragnął odwlec jeszcze trochę. Z nadejściem nocy stan starca tak się pogorszył, że wystraszona gospodyni posłała chłopca, który schronił się do nich przed bitwą, do Akacji, prosząc, by ktokolwiek przyszedł dotrzymać jej towarzystwa. Nikt inny prócz Cezara nie mógł się ruszyć z domu, i litościwa panna Peyton wyprawiła go, obładowawszy żywnością i różnymi

lekami. Ale umierający już nic nie przyjmował, i tylko nadzieja zobaczenia syna utrzymywała go jeszcze przy życiu.

Wrzawa pościgu obiała się także o uszy mieszkańców domku, ci jednak nie zrozumieli jej przyczyny, a ponieważ murzyn i Katy wiedzieli, że oddział amerykańskiej jazdy znajduje się jeszcze w pobliżu, sądzeni przeto, że to wracający dragoni sprawiają taki hałas. Jakoż usłyszeli ich wkrótce przeciągających zwolna koło domu; Katy byłaby chętnie wyjrzała, lecz ostrożny Cezar odradził jej to skutecznie. Stary Birch zamknął oczy, i czuwający przy nim myśleli, że usnął. Domek składał się z dwóch dużych izb i tyluż małych. Jedna z tych pierwszych służyła za kuchnię i bawialnię, w drugiej leżał ojciec Bircha, zaś z mniejszych jedna była sanktuarium westalki, a w drugiej mieściły się zapasy. Wielki, kamienny komin stał pośrodku, dzieląc obie izby, a paleniska odpowiednich rozmiarów znajdowały się po obu stronach. W izbie gościnnej płonął obfity ogień, i tuż przy nim siedzieli społem Cezar i Katy. Murzyn pouczał gospodynię ostrożności, rozwodząc się nad niebezpieczeństwami, jakie za sobą pociąga próżna ciekawość.

- Lepiej nie kusić szatana - mówił Cezar przewracając oczami, których białka połyskiwały przy blasku ognia. - Ja sam mało nie stracił ucho, że zanieść mały liścik. Dużo niedobrze sprowadzać ciekawość. Gdyby nie było człowieka ciekawy zobaczyć Afryka, kolorowi ludzie siedzieliby dotąd we własny kraj. Ale byłoby dobrze, żeby Harvey wrócić.

- Bardzo to nierozważnie z jego strony być poza domem w takiej chwili - rzekła Katy. - Przypuśćmy, że ojciec jego chciałby teraz zrobić testament. Któżby się podjął spisać tę ostatnią wolę umierającego? O! tak, Harvey jest bardzo nierozważny.

- Może go zrobić wprzód?

- Nic by w tym nie było dziwnego - odrzekła gospodyni. - Po całych dniach tylko patrzy w Biblię.

- To czytać bardzo dobra książka - rzekł murzyn uroczyście. - Miss Fanny czytać ją czasem dla Dina.

- Masz słusność, Cezarze. Biblia jest najlepszą książką, a kto ją czyta tak często jak ojciec Harveya, musi mieć dobre po temu powody. To prosty rozum wskazuje.

Wstała i otworzywszy po cichu szufladę komody stojącej w pokoju chorego, wyjęła z niej dużą Biblię w ciężkiej oprawie z mocnymi mosiężnymi klamrami i powróciła z nią do drugiej izby, po czym oboje z murzynem zabrali się żywo do przeglądania stronic księgi. Katy nie była biegłą w sztuce czytania, a Cezar nie znał ani jednej litery. Czas jakiś gospodyni sylabizowała pracowicie wyraz „Mateusz”, a dokonawszy tego z triumfem, zwiastowała wynik swych usiłowań murzynowi.

- Bardzo dobrze - rzekł Cezar, zaglądając przez ramię gospodyni i trzymając długą, łożową świecę w taki sposób, by rzucała swe wątle światło na księgę - a teraz czytać.

- Tak, ale muszę zacząć od samego początku książki - odrzekła Katy i poczęła ostrożnie

przewracać kartki, aż natrafiła na stronicę całkowicie zapisaną. - Mam - zawołała, dygocąc z niecierpliwości - mam, a doprawdy chciałabym wiedzieć, komu też zapisał te duże, srebrne sprzączki do trzewików.

- Czytać - rzekł lakonicznie Cezar.

- I komodę z czarnego orzecha, bo Harveyowi nic po takim sprzęcie, dopóki się nie ożeni.

- Czemu nie, jeżeli jego ojciec to potrzebować!

- I pół tuzina srebrnych łyżek stołowych; Harvey zawsze je żelazną.

- Lepiej tyle nie mówić, a czytać - rzekł sentencjonalnie murzyn, wskazując pokrzywionym, czarnym palcem na otwartą księgę.

Ulegając tej rozsądnej radzie i powodowana własną ciekawością, Katy zaczęła czytać. Pragnąc czym prędzej dotrzeć do najbardziej interesującej ją części, wpadła od razu w sam środek treści.

- „Chester Birch, urodzony 1-szego września 1755” - przesylabizowała z powolnością nie przynoszącą zaszczytu jej wiedzy.

- No, co jeszcze zapisać?

- „Abigail Birch, urodzony 12-go lipca 1757” - czytała dalej gospodyni w ten sam sposób.

- Pewno jej zapisać te łyżki.

- „Pierwszy czerwca 1760. W ten dzień straszliwy Ręka obrażonego Boga dotknęła mój dom...”

Tu dał się słyszeć ciężki jęk z przyległego pokoju. Katy mimo woli zamknęła księgę, a Cezar zatrząsł się z trwogi. Żadne z nich jednak nie odważyło się zajrzeć do chorego, lecz utrudniony jego oddech, dochodzący do ich uszu, świadczył, że jeszcze żyje. Katy mimo to nie śmiała już otworzyć Biblii, lecz zamknąwszy starannie kłamry, położyła ją w milczeniu na stole. Cezar usiadł znów na krześle i rozejrzawszy się nieśmiało po izbie, zauważył:

- Myślałem, że już czas jego nadchodzić.

- Nie - rzekła Katy uroczyście - żyć będzie, dopóki nie nastąpi odpływ, lub dopóki pierwsze kury nie zapieją.

- Biedny człowiek - rzekł murzyn, przysuwając się bliżej do komina. - Byle tylko leżeć spokojnie, gdy już umrzeć.

- Nie dziwiłabym się, gdyby i w grobie nie zaznał spokoju, bo powiadają, jakie życie taka śmierć.

- Johnny Birch bardzo dobry człowiek. Wszyscy ludzie nie móc być ksiądz, bo gdyby tak, to kto by słuchać nabożeństwo?

- Ach, Cezarze! ten tylko jest dobry, kto czyni dobrze a czy możesz mi powiedzieć, czemu uczciwie zdobyte złoto mogłoby być schowane we wnętrzu ziemi?

- Ha! może dlatego, by go skinner nie znaleźć; jeżeli wiedzieć, gdzie jest, to czemu je nie

wykopać!

- Mogą być po temu niezrozumiałe dla ciebie powody - rzekła Katy, posuwając się z krzesłem, tak aby suknią jej przykryła kamień, pod którym leżały skarby kramarza, i nie mogąc się powstrzymać od mówienia o tym, z czym jednak nie chciała się wydać, dorzuciła:

- Bywa tak, że co szorstkie na wierzchu, to gładkie pod spodem.

Cezar rozejrzał się znów po izbie, nie mogąc pojąć ukrytego znaczenia tych słów, gdy znów zatrząśnięty ze strachu. Katy zauważyła zmianę jaka zaszła w jego twarzy, i odwróciwszy się, zobaczyła kramarza stojącego we drzwiach, - Żyje? - zapytał Birch drżącym głosem, i widocznie lękając się usłyszeć odpowiedź.

- A jakże - odpowiedziała Katy wstając szybko i usłużnie podając mu krzesło - musi żyć do świtania, lub dopóki odpływ nie nastąpi.

Ale kramarz nic nie rzekł i wszedł po cichu do izby umierającego ojca. Niezwykle silny węzeł łączył tych dwóch ludzi. Wzajemnie byli sobie wszystkim na świecie. Gdyby Katy była przeczytała kilka wierszy więcej, smutne dzieje ich nieszczęść byłyby jej się stały wiadome. Jeden straszny cios pozbawił ich mienia i rodziny, i od owej chwili aż po dziś dzień prześladowania i klęski towarzyszyły ich tułaczym krokom. Przystąpiwszy do łóżka, Harvey pochylił się nad umierającym, i ledwo dosłyszalnym głosem wyszeptał:

- Ojczel! poznajesz mnie?

Chory z trudem otworzył oczy i uśmiech zadowolenia przemknął po jego wybladłym obliczu, pozostawiając po sobie tym okropniejsze piętno śmierci. Harvey przytknął do wyschłych ust ojca trzeźwiący środek, jaki przyniósł ze sobą, i nowe siły zdawały się wstępować w zastygające już ciało starego Bircha. Zaczął mówić zwolna i z trudnością. Zaciekawiona Katy milczała; toż samo przerażony Cezar, a Harvey wstrzymywał oddech, słuchając ostatnich słów konającego.

- Mój synu - mówił on bezdźwięcznym głosem - Bóg jest równie miłosierny jak sprawiedliwy; jeżeli odtrąciłem czarę zbawienia od moich ust w młodości, On litościwie podaje mi ją teraz. Doświadczał mnie, by oczyścić, i oto teraz idę połączyć się z duchami naszej utraconej rodziny. Wkrótce, dziecko moje, sam pozostaniesz na świecie. Znam cię zbyt dobrze, by nie przewidzieć, że do końca życia będziesz pielgrzymem. Zdeptana trzcina może trwać, ale się nie podniesie. Masz w sobie to, Harveju, co cię prowadzi będzie prawą drogą. Postępuj tak dalej, jakieś zaczął, bo nie trzeba nigdy zaniedbywać obowiązków życia i...

Tu hałas jakiś w sąsiedniej izbie przerwał umierającemu, a zniecierpliwiony kramarz pośpieszył zbadać jego przyczynę, mając za sobą Katy i murzyna. Pierwszy rzut oka na stojącą we drzwiach postać powiedział Harveyowi, czego chce ów przybysz i jaki los czeka prawdopodobnie jego samego. Niepożądany gość był to człowiek młody jeszcze latami, lecz złe namiętności porały w przedwczesne bruzdy jego oblicze. Odzież jego była z najlichszych materiałów i tak połączmaniona i brudna, by nadać mu pozór sztucznego ubóstwa. Włosy

zbielały mu przedwcześnie, a zapadłe oczy patrzyły z pode łba, unikając śmiałego spojrzenia uczciwości. Było coś dziwnie niespokojnego w jego ruchach, coś co zdradzało nurtujące w nim nikczemne żądze, sprawiając nieopisanie odpychające wrażenie.

Człowiek ten był dobrze znanym hersztem jednej z owych band rozbójniczych, grasujących po hrabstwie West-Chester pod osłoną rzekomego patriotyzmu i dopuszczających się wszelkich zbrodni poczynając od prostej kradzieży, a kończąc na morderstwach. Za bandytą stało kilku innych opryszków tak samo obszarpanych, twarze ich wszelako wyrażały jedynie obojętność brutalnej nieczułości. Wszyscy byli uzbrojeni w muszkiety, bagnety i inne przybory piechotnych żołnierzy. Harvey zrozumiał, że wszelki opór na nic się nie przyda, i spokojnie poddał się ich rozkazom. W mgnieniu oka zdjęto jemu i Cezarowi ich przyzwoitą odzież i przebrano w łachmany dwóch najwstrętniejszych obszarpańców z całej bandy. Herszt kazał im następnie stanąć w dwóch przeciwległych kątach izby i podczas gdy jego towarzysze trzymali wycelowane w nich muszkiety, rozpoczął badanie.

- Gdzie jest twój toból? - zapytał przede wszystkim kramarza.

- Posłuchaj - rzekł Harvey, drżąc ze wzruszenia - tam w drugiej izbie kona mój ojciec, pozwól mi iść do niego, otrzymać jego ostatnie błogosławieństwo, zamknąć mu oczy, a oddam ci wszystko - wszystko!

- Odpowiadaj na pytania - albo ten muszkiet pośle cię dotrzymywać towarzystwa staremu niedołądze. Gdzie jest twój toból?

- Nie powiem ci nic, dopóki mi nie pozwolisz iść do ojca - odrzekł kramarz stanowczo.

Bandyta z szatańskim uśmiechem podniósł broń, by spełnić groźbę, gdy wstrzymał go jeden z towarzyszy, - Co chcesz uczynić? - rzekł. - Zapomniałeś o nagrodzie. Powiedz nam ty, psi synu, gdzie chowasz towary, a będziesz mógł iść do ojca.

Birch natychmiast spełnił żądanie. Wysłany po toból opryszek wrócił wkrótce, i rzucił go na ziemię, klnąc, że lekki jest jak piórko.

- Oho! zawołał herszt - a gdzie są pieniądze za towary? Daj nam twoje złoto, panie Birch; wiemy, że je masz, nie wywiedziesz w pole ładowców.

- Nie dotrzymujesz przyrzeczenia - rzekł Harvey.

- Daj nam złoto - krzyknął tamten, kłując go bagnetem, aż krew trysnęła obficie. W tej chwili lekki szmer dał się słyszeć w sąsiedniej izbie, a Harvey zawołał błagalnie:

- Puść mnie! puść mnie do ojca, a oddam ci wszystko.

- Przysięgam, że pójdziesz wtedy do ojca - rzekł bandyta.

- Więc masz - zawołał Birch, rzucając mu sakiewkę, którą pomimo zamiany odzieży zdołał ukryć.

Rabuś podniósł ją z ziemi, zaśmiawszy się szatańsko.

- Pójdziesz do ojca, ale na tamtym świecie.

- Potworze! nie masz ty żadnej wiary, żadnych ludzkich uczuć?

- Słuchając go, myślałby kto, że gagatek nie miał już powroza na szyi - rzekł tamten, śmiejąc się. - Nie martw się, panie Birch, jeżeli twój stary wyprzedzi cię o parę godzin, dopędzisz go jutro przed południem, bądź pewny.

Słowa te nie sprawiły żadnego wrażenia na kramarzu, który cały w słuch zamieniony, chwycił każdy szelest dolatujący z pokoju ojca. Wtem własne jego imię wymówione głuchym, grobowym głosem, obilo mu się o uszy. Birch nie mógł dłużej wytrzymać i krzyknawszy:

- Ojcze, cicho, ojcze! idę - idę! - poskoczył z kąta, lecz bagnet pilnującego go opryszka, przyszpilił go do ściany. Na szczęście szybkim ruchem uchylił się od godzącego w jego życie pchnięcia, i ostrze przebiło tylko odzież.

- Nie, panie Birch - rzekł bandyta - wiemy aż nadto dobrze, jaki z ciebie szczwany lis, by cię stracił z oczu. Złoto, mówię, dawaj złoto.

- Masz je już - rzekł kramarz, łamiąc rozpaczliwie ręce.

- E! mamy sakiewkę, ale ty masz więcej sakiewek. Król Jerzy jest dobrym płatnikiem, a tyś mu niejedną oddał usługę. Gdzie są twoje ukryte skarby? Jeżeli nie powiesz, nie zobaczysz już ojca.

- Podnieście kamień, z pod tej kobiety - zawoła kramarz bez wahania - podnieście kamień!

- On bredzi - zawołała Katy, instynktownie zmieniawszy miejsce.

Błyskawicznie wyrwano kamień i znaleziono pod nim tylko ziemię.

- On bredzi! strach pomieszał mu rozum - krzyczała gospodyni, drżąc na całym ciele. - Słyszał kto, żeby człowiek przy zdrowych zmysłach chował złoto pod kamień?

- Milcz, głupia paplo! - zawołał Harvey. - Podnieście kamień w rogu, a co znajdziecie, wystarczy, żeby zrobić z was bogaczy, a ze mnie nędzarza.

- A wtedy co ty będziesz wart! - rzekła gospodyni z goryczą. - Co wart kramarz bez towarów i pieniędzy!

- Zostanie mu jeszcze dosyć, by sobie zafundował stryczek - rzekł bandyta, który idąc za wskazówkami Harveya wprędce znalazł garnek z angielskimi gwineami.

Przesypano złoto z garnka do woreczka, pomimo zaręczeń gospodyni, że nie ma zapłaconych zasług i że z prawa dziesięć gwinei jest jej własnością.

Uszczęśliwieni łupem, przewyższającym wszelkie ich oczekiwania, rabusie zbierali się do odejścia, zamierzając wziąć ze sobą kramarza, by go wydać amerykańskiemu wojsku i otrzymać wyznaczoną za schwytanie go nagrodę.

Wszystko już było gotowe, i mieli właśnie siłą zabrać Bircha, ten bowiem dobrowolnie krokiem ruszyć się nie chciał, gdy w izbie stała postać, której widok lodem ściał krew w żyłach najodważniejszego z pomiędzy nich. Ojciec, usłyszawszy krzyki syna, zwłóknął się z łóżka i chwiejnym krokiem stanął pośrodku izby. Owinięty w białe prześcieradło z osłupiałymi oczyma i

trupio bladą twarzą, wyglądał jak widmo z tamtego świata. Nawet Katy i Cezar byli pewni, że to duch starego Bircha, i uciekli z domu, a za nimi pierzchli wystraszeni bandyci.

Harvey wziął na ręce starca, który osłabł znowu, tracąc resztki sił sztucznie wywołanych, i zaniósł go z powrotem na łóżko. Ale wysiłek ten przyspieszył koniec.

Szklisty wzrok starca tonął w twarzy syna, usta poruszały się bezdźwięcznie. Harvey pochylił się nad nim i z ostaniem tchnieniem ojca otrzymał jego błogosławieństwo. Niedostatek i krzywdy zaprawiły goryczą całą niemal przyszłość kramarza. Ale wśród cierpień i klęsk przeróżnych wspomnienie tego błogosławieństwa nie opuszczało go nigdy. Świeciło ono wciąż wskroś obrazów przeszłości i rzucało święty blask na najczarniejsze godziny jego życia, krzepiąc go myślą, że duch ojca modli się za niego u stóp Stwórcy, i niosąc słodkie przeświadczenie, że wiernie i gorliwie wypełnił do ostatka synowskie obowiązki.

Cezar i Katy byli tak wystraszeni, że uciekali, gdzie ich oczy niosły, instynktownie jednak odbili się od rozbójniczej bandy. Po pewnym czasie wszelako przystanęli, a doletnia dziewczica przemówiła uroczystym głosem:

- O! Cezarze! jakie to straszne, że wstał po śmierci, nim go do grobu złożono. To pewno pieniądze to sprawiły. Powiadają, że kapitan Kidd wciąż chodzi wedle miejsca, gdzie zakopał złoto podczas dawnej wojny.

- Ja nigdy nie myślę, że Johnny Birch mieć takie wielkie oko - rzekł murzyn, ze strachu szczękając zębami.

- Jest z czego skonać, gdy się straci tyle pieniędzy. Co się teraz stanie z Harveyem? W żebraka się obróci i tyle. Kto mu teraz będzie chciał gospodarować!

- Może widmo też zabrać i Harvey - zauważył murzyn przysuwając się bliżej do Katy. Ale tej nowa myśl przyszła do głowy. Wydało jej się rzeczą dość prawdopodobną, że bandyci zostawili swój łup w zamęcie ucieczki, i po niejakich certacjach z Cezarem, oboje postanowili wrócić, by się upewnić co do tej ważnej sprawy i zobaczyć, co się stało z kramarzem. Zwolna i z niesłychanymi ostrożnościami zaczęli się skradać ku domowi, a ponieważ przezorna gospodyni obrała tę samą drogę, którą uciekali bandyci, oglądała więc każdy kamień, każdy krzaczek, czy gdzie przypadkiem nie znajdzie porzuconego złota. Ale pomimo pośpiechu i strachu rabusie unieśli zdobycz w całości. Śmierć tylko mogła im ją była wydrzeć. Osmielona trochę panującą dokoła ciszą i spokojem, Katy weszła wreszcie do domu i zastała kramarza oddającego z ciężkim sercem, ostatnie posługi zmarłemu. Parę słów Harveya wyjaśniło gospodyni jej pomyłkę, ale Cezar do końca życia miał czym zdumiewać wieczorami swe kuchenne audytorium, opowiadając o widmach i straszonym ukazaniu się starego Bircha po śmierci.

Niebezpieczeństwo, grożące kramarzowi, zmusiło go do skrócenia i tak krótkiego czasu, w jakim według amerykańskich zwyczajów ciała muszą być pochowane. Wprędce więc przy pomocy Katy i Cezara wszystko było gotowe do pogrzebu. Cezar poszedł zamówić trumnę u

mieszkającego o parę mil stolarza, a zwłoki przybrane w zwykłą odzież i okryte starannie prześcieradłem leżały tymczasem na łóżku.

Bandyci schronili się do pobliskiego lasu i tam dopiero pod bezpiecznym cieniem jego drzew odetchnęli i nabrali otuchy.

- Co u diabła podkusiło wasze zajęcze serca! - krzyknął rozzłoszczony herszt, oddychając ciężko.

- To samo pytanie można by tobie zadać - odparł mrukliwie jeden z bandy.

- Po waszym przestradchu zmiarkowałem, że ludzie De Lancey'a naszli nas. O! Dzielni z was rycerze! Nie ma co mówić!

- Idziemy za przykładem naszego kapitana.

- W takim razie wracajcie za mną, schwytajmy tego łotra i odbierzmy nagrodę.

- Właśnie, a zanim dojdziemy, tamten czarny diabeł naprowadzi na nas tych wściekłych Wirgińczyków, a na mą duszę wolałbym się spotkać z pięćdziesięciu cow-boyami niż z jednym z nich.

- Głupcze! - krzyknął rozwścieczony herszt - nie wiesz to, że jazda Dunwoodie'go jest w Czterech Kątach, stąd o dwie mile?

- Nie dbam o to, gdzie są dragoni, ale przysięgnę, że widziałem kapitana Lawtona, wchodzącego do domu starego Whartona, kiedy tam myszkował, czatując na sposobność wyprowadzenia konia angielskiego pułkownika ze stajni.

- A choćby tak, czy to kula nie trafia tak samo dragona z południa jak ze starej Anglii?

- Dziękuję unieżenie, ale ja nie chcę wsadzać nosa w gniazdo szerszeni; tknij tylko jednego z tych Wirgińczyków, a już przepadły spokojne noce furazowania.

- Ano - mruknął herszt, gdy szli dalej w głąb lasu - ten dureń kramarz zostanie, póki starego nie pochowa, a choć nie możemy zakrzywić na niego palcem podczas pogrzebu (bo byśmy obruszyli na siebie wszystkich księży i wszystkie stare baby w całej Ameryce), to on musi przecież zająć się potem swymi ruchomościami, więc przyłapiemy go jutro niewątpliwie.

I z tą pogróżką udali się na zwykłe swe legowiska, by przeczekać dzień, aż zapadające ciemności pozwolą im znów grasować bezpiecznie po okolicy.

ROZDZIAŁ XI.

„O! biada! O nieszczęsny, nieszczęsny, nieszczęsny dniu! O najopłakańszy najnieszczęśliwszy dniu, jaki kiedykolwiek widziałem O dniu! o dniu! o dniu! O nienawistny dniu! Dniu najczarniejszy ze wszystkich dni. O! dniu nieszczęsny! O! nieszczęsny dniu!”

Szekspir.

Mieszkańcy Akacji spędzili noc, śpiąc lub czuwając, w zupełnej nieświadomości zaszłych w domku Bircha wypadków. Napady skinnerów odbywały się zawsze tak znienacka i po kryjomu, że napadnięci nie mogli liczyć nie tylko na pomoc sąsiadów, ale często i na ich późniejsze współczucie, którego okazaniu obawa o własne bezpieczeństwo stawała na przeszkodzie.

Dodatkowe zajęcia skłoniły pannę Peyton i jej siostrzenice do wcześniejszego opuszczenia łóżek, a kapitan Lawton, pomimo że potłuczony i obolały na całym ciele, wstał także, wierny zasadzie sypiania nie dłużej nad sześć godzin naraz; był to jeden z niewielu punktów pielęgnowania zdrowia, na który obaj z doktorem zgadzali się ze sobą. Doktor spędził noc przy łóżku kapitana Singletona, nie zmrzywszy oka. Od czasu do czasu zaglądał do angielskiego pułkownika, który będąc bardziej skołatany duchowo niż fizycznie, bardzo niechętnie przyjmował te odwiedziny, a raz nawet doktor, skradając się jak najciszej, podszedł do łóżka upartego kawalerzysty i już go brał za puls, gdy straszliwe przekleństwo przez sen wymamrotane ostrzegło chirurga, iż prawdę mówiono w pułku: „kapitan Lawton śpi zawsze z jednym okiem otwartym”. Panie zeszyli się w saloniku z kapitanem w chwili gdy ukazujące się ponad wschodnimi wzgórzami słońce jęło rozpraszać nagromadzone w nizinach mgły.

Panna Peyton spoglądała właśnie przez okno w kierunku sadyby kramarza, wyrażając troskę o zdrowie jego ojca, gdy osoba Katy wynurzyła się z pod całunu mgły, pierzchającej przed jasnymi promieniami słońca, i poczęła dążyć szybko w stronę Akacji. W postawie jej i ruchach było coś, co zdradzało niezwykle zatroskanie, więc litościwa panna Peyton pośpieszyła ku drzwiom z dobrotliwym zamiarem ukojenia tak wyraźnie objawiającego się bólu. Jeden rzut oka

na skrzywioną jak do płaczu twarz gospodyni utwierdził ją w tym mniemaniu, i cichym głosem, jakim zwykło się mówić o świeżo nastąpionej śmierci, choćby najobojętniejszego z bliźnich, zapytała:

- Katy! Już go niema?

- Nie, proszę pani - odpowiedziała zgryziona dziewczica z wielką goryczą - jest jeszcze, ale może już teraz iść sobie, gdzie mu się podoba, bo najgorsze stało się. Jestem mocno przekonana, że te łotry nie zostawili mu nawet tyle pieniędzy, by mógł sobie kupić jaką odzież, bo to co ma teraz na sobie, to z przeproszeniem funta kłaków niewarte.

- Jak to! - wykrzyknęła tamta zdziwiona. - Czy podobna, aby kto miał serce obdzierać człowieka w takim nieszczęściu.

- Serce! - powtórzyła Kąty, chwytając oddech - albo oni mają serce! Niech pani tylko pomyśli, panno Joanno! Pięćdziesiąt cztery gwinee w żelaznym garnku, a co ich jeszcze leżało pod spodem, co zliczyć nie mogłam, ale mówili, że na oko było tego więcej niż dwieście gwinei, prócz tego co mogło być w sakiewce. A teraz Harvey po prostu jest żebrakiem, a żebrak, proszę pani, to najobrzydliwsza istota pod słońcem.

- Bieda powinna budzić litość, a nie obrzydzenie - rzekła panna Peyton, wciąż nie mogąc się połapać w rozmiarach nieszczęścia, jakie w ciągu nocy spotkało jej sąsiadkę. - A jakże się miewa stary ojciec Bircha, czy ta strata bardzo go dotknęła?

Twarz Kąty przybrała sztucznie melancholijny wyraz. Westchnąwszy głęboko, odrzekła:

- Na szczęście troski tego świata już go osiągnąć nie mogą. Brząk pieniędzy wywabił go z łóżka i to go dobiło. Umarł na dwie godziny i dziesięć minut przed pierwszymi kurami, o ile można obliczyć w przybliżeniu.

Tu przerwał jej chirurg, który przystąpiwszy do niej, spytał z wielkim zajęciem, jakiego to rodzaju była choroba. Kąty, spojrzawszy na nowego znajomego, mimo woli obciągnęła suknię i rzekła:

- To te ciężkie niespokojne czasy i utrata majątku tak go zmarnowały; nikt w oczach, na nic się nie przydały moje starania i trudy; a teraz gdy Harvey wyszedł na żebraka, to kto mi za to wszystko zapłaci?

- Bóg wynagrodzi cię za wszystko dobre, jakie robiłaś - rzekła panna Peyton łagodnie.

- Tak - przerwała doletnia dziewczica z pobożnym przejęciem, które wnet ustąpiło miejsca bardziej ziemskiej trosce - ale ja zostawiłam przeszło trzyletnie zasługi w rękach Harveya i jakże je teraz wydobędę? Bracia mówili mi zawsze, że bym się upominała o pieniądze, ale ja sobie myślałam, że rachunki pomiędzy krewnymi nietrudne są do załatwienia.

- To jesteś krewną Bircha? - zapytała panna Peyton.

- Ano - odpowiedziała gospodyni, zawahawszy się nieco - byliśmy tak jak krewni. Ciekawam, czy mam prawo do domu i ogrodu, chociaż powiadają, że skoro teraz przeszły na

Harveya, to pewno będą skonfiskowane. Może ten pan - tu zwróciła się do Lawtona, który siedząc nieruchomo, przypatrywał jej się pilnie swymi przenikliwymi oczyma - może ten pan będzie wiedział, bo zdaje się, że słucha z zajęciem mego opowiadania.

- Pani - rzekł kawalerzysta, kłaniając się bardzo nisko - opowiadanie jej i osoba są niezmiernie interesujące - Kąty uśmiechnęła się mimo woli - ale niestety skromna moja wiedza ogranicza się do sformowania szwadronu w polu i użycia go, gdy potrzeba. Ale pozwolę sobie skierować panią do doktora Archibalda Sitgreaves'a, męża uniwersalnej wiedzy i bezgranicznej filantropii, śmietanki ludzkich uczuć i śmiertelnego wroga nieuważnego obchodzenia się z ostrymi narzędziami.

Chirurg wyprostował się i zaczął gwizdać z cicha - wpatrując się w stojące na stole ampułki, ale gospodyni dygnęła mu grzecznie i rzekła:

- Proszę pana, czy kobieta ma prawo do majątku męża, jeżeli się przedtem nie pobrali?

Zasadą doktora Sitgreaves'a było, iż żaden rodzaj wiedzy nie jest do pogardzenia, wskutek tego był empirykiem we wszystkim poza swoim fachem. Zrazu, dotknięty do żywego ironicznymi słowy kapitana, milczał, lecz nagle zmieniwszy zamiar, uśmiechnął się dobrodusznie i rzekł:

- Nie sędzę. Jeżeli śmierć wyprzedziła zaślubiny pani, tedy sędzę, że niema żadnego lekarstwa na jej srogie wyroki.

Zdanie to zabrzmiało dobrze w uszach Kąty, aczkolwiek poza „śmiercią” i „zaślubinami” nie zrozumiała nic z jego znaczenia. Ku tym więc dwom wyrazom skierowała swą odpowiedź.

- Zdaje mi się, że czekał tylko na śmierć starego, żeby się ożenić - rzekła, patrząc w dywan - ale teraz czymże on jest? Kramarzem bez domu, bez towarów i bez pieniędzy. Gdzież tam człowiekowi myśleć o żeniactwie w takim położeniu - nieprawdaż, panno Joanno?

- Nie zastanawiałam się nigdy nad tym - odrzekła panna Peyton poważnie.

Podczas tej rozmowy kapitan Lawton nie spuszczał oka z gospodyni, i w obawie, aby się ta zabawna scena nie skończyła, zapytał z udanym zajęciem:

- Więc sądzisz pani, że starość i choroba spowodowały ostatecznie śmierć staruszka?

- I niespokojne czasy, proszę pana. Niepokój strasznie człowieka marnuje, ale tak myślę, że już czas jego przyszedł, a gdy to się zdarzy, to już tam żaden doktor nie pomoże.

- Pozwól pani, że sprostuję pojęcia twoje w tym względzie - przerwał chirurg. - Wszyscy musimy umierać, to prawda, ale dozwolono nam korzystać z dobrodziejstw wiedzy w przeciwdziałaniu niebezpieczeństwom dopóki...

- Nie pomrzemy secundum artem - wpał mu w mowę kawalerzysta.

Doktor nie raczył odpowiedzieć na tę uwagę, ale uważając za konieczne dla swej zawodowej godności prowadzić rozmowę w dalszym ciągu, dodał:

- Może w danym wypadku umiejętne leczenie byłoby przedłużyło życie chorego. Kto się tym

zajmował?

- Nikt dotąd - odpowiedziała gospodyni prędko. - Ale myślę, że musiał zrobić testament.

Panie uśmiechnęły się, ale chirurg i na to nie zważając, ciągnął dalej:

- Bardzo to jest roztropną rzeczą być przygotowanym na śmierć. Ale pod czyją opieką znajdował się zmarły podczas swojej choroby?

- Pod moją - odpowiedziała Katy nieco pompatycznie - ale na psa się zdały moje trudy, bo Harvey nie wynagrodzi mi ich teraz z pewnością, ani tak ani owak.

Wzajemne niezrozumienie swych myśli nie przeszkadzało w rozmowie tym obojgu; każde z nich bowiem brało wszystko za dobrą monetę, i doktor Sitgreaves ciągnął dalej:

- A jakże pani traktowałaś chorego?

- Bardzo dobrze - możesz pan być pewien - odparła Katy szorstko.

- Doktor mówi to w znaczeniu leczniczym - rzekł kapitan Lawton, z twarzą, która przyniosłaby zaszczyt przedsiębiorcy pogrzebowemu.

- Leczyłam go przeważnie ziołami - odpowiedziała gospodyni uśmiechając się, jak gdyby poznawszy omyłkę.

- Zioła - rzekł chirurg - bezpieczniejszą są bronią w rękach niepowołanych, niż inne silniej działające lekarstwa, ale czemu nie zawezwałaś pani kompetentnej pomocy?

- E, proszę pana! ci kompetentni dosyć już napytali biedy Harveyowi. Stracił wszystko; włóczył się po okolicy jak obieżyświat, a ja przeklinam dzień, w którym nogą za próg jego domu stąpiłam.

- Doktor Sitgreaves nie ma na myśli kompetentnego żołnierza, lecz kompetentnego lekarza - rzekł kawalerzysta.

- O! - zawołała dziewczica miarkując się znowu - dla tej najlepszej przyczyny, że żadnego pod ręką nie było, więc ja go sama leczyłam. Gdyby się jaki doktor nadarzył, byłibyśmy go chętnie wzięli, bo ja tam jestem za doktorami, chociaż Harvey powiada, że zabijam się lekarstwami, ale teraz mało go to zapewne obchodzi, czy ja umrę, czy żyć będę.

- To pani mądrze powiedziałaś - rzekł chirurg, przystępując do gospodyni, która, siedząc przed kominkiem, nadstawiała dłonie i podeszwy dobroczynnemu ciepłu ognia. - Wyglądasz pani na rozsądną kobietę, i niejednen z tych, co zdawać by się mogło więcej miał sposobności nabycia trafniejszych poglądów, mógłby pozazdrościć pani poszanowania dla wiedzy i nauki.

Gospodyni i tym razem niewiele zrozumiała z tych słów, prócz że zawierały jakiś komplement dla niej, więc uśmiechając się błogo, rzekła:

- O! Już to zawsze o mnie mówili, że trzeba mi tylko sposobności, bym się wykierowała na lekarza jak się patrzy; jeszcze nim poszłam do Harveyowego ojca, nazywano mnie doktorem w spódnicy.

- Było to orzeczenie nie tyle grzeczne ile trafne, jak sędzę - odparł chirurg, coraz bardziej

zachwycony poszanowaniem Katy dla sztuki leczenia. - W braku światlejszych doradców doświadczenie rozsądnej matrony wpływa częstokroć zbawiennie na przebieg choroby; w takich warunkach, kochana pani, ciężka to rzecz mieć do czynienia z nieświadomością i uporem.

- O! Wiem to dobrze z doświadczenia! - zawołała Kąty z triumfem. - Harvey jest uparty jak kozioł, a przecież starania, jakimi otaczałam jego chorego ojca powinny go były nauczyć, jak się szanuje dobrą pielęgniarkę. Ale może kiedyś pozna, co to znaczy dbała kobieta w domu, chociaż teraz jaki on tam dom mieć może!

- Rozumiem doskonale, ile pani przejść musiałaś, mając do czynienia z kimś tak opornym - rzekł doktor spoglądając z wyrzutem na kapitana - ale powinnaś pani być wyższą nad takie poglądy i mieć litość dla nieświadomości, która je zrodziła.

Gospodyni znowu nic nie zrozumiała i zawahała się chwilę, co ma odpowiedzieć, zgadując jednak, że i te słowa zawierały komplement dla niej, rzekła wymijająco:

- O! ja często powtarzam Harveyowi, że się źle prowadzi, i wczoraj przekonał się, czyja prawda na wierzchu, ale czy to co pomoże? Taki niedowiarek zawsze przy swoim obstawać będzie. Na przykład wtedy, kiedy cisnął igłę...

- Jak to! Więc gardzi pożytecznym zastosowaniem igły? - przerwał doktor. - Ale ja codziennie mam z takimi do czynienia, co lekceważą rady wypływające ze światła wiedzy.

Tu spojrział znowu na Lawtona, a Kąty, wysłuchawszy tych słów uważnie, rzekła:

- Harvey i w przypiływy morskie nie wierzy.

- Nie wierzy w przypiływy! - powtórzył doktor zdumiony, - więc nie wierzy własnym zmysłem? Może powątpiewa raczej o wpływie księżycy?

- I jak jeszcze - zawołała Katy, uszczęśliwiona, że spotyka uczonego męża, który podziela jej zapatrywania. - Jakby go kto słyszał, to by pomyślał, że ten człowiek nie wierzy, że jest taka rzecz jak księżyc.

- To jest właśnie nieszczęście ciemnoty i niewiary, że się wzajem podniecają. Umysł, raz odrzuciwszy pożyteczne wiadomości, mimo woli skłania się ku przesądom i wnioskom na temat natury, które zarówno wyrządzają krzywdę prawdzie, jak są w niezgodzie z podstawowymi zasadami wiedzy.

Podżyła dziewczica była tak oszołomiona tą przemową, że nie mogła zdobyć się na odpowiedź, a chirurg, pomilczawszy chwilę dla okazania swej filozoficznej pogardy, ciągnął dalej:

- Że może się znaleźć człowiek przy zdrowych zmysłach, mogący wątpić we fluktuację fal morskich, to przechodzi moje wyobrażenie, ale, niestety, upór jest niebezpiecznym sprzymierzeńcem ciemności i może doprowadzić do najfatalniejszych pomyłek.

- Pan doktor myśli, że to może mieć wpływ na fluksję? - zapytała gospodyni żywo.

Panna Peyton wstała, dając znak siostrzenicom, by szły za nią do spiżarni; smagła twarz Lawtona przybrała na chwilę tak komiczny wyraz, że panie zaledwie mogły wstrzymać się od

śmiechu.

Chirurg zastanowił się chwilę, gdyż poczęły go ogarniać wątpliwości, azali rozumieją się wzajemnie, po czym uważając, że żądza wiedzy dostatecznie wynagradza pewne braki wykształcenia, odpowiedział:

- Pani ma na myśli księżyc? Czy tak? Uczeni nie mogą jeszcze ściśle określić, jak dalece oddziaływa on na fale morskie, ale według mnie nie wierzyć, że on właśnie jest przyczyną fluksu i refluksu, znaczy to samo co lekkomyślnie odrzucać światła wiedzy.

Ponieważ Katy cierpiała tylko na fluksję, a „reklus” był nieznaną jej chorobą, uznała za stosowne, milczeć, lecz pałając ciekawością dowiedzenia się, co by to były za potężne światła, o których chirurg tak często napomykał, odważyła się zapytać:

- Z przeproszeniem pana doktora, czy to są te światła, co my nazywamy północnymi?

Litując się nad jej nieświadomością, chirurg chciał już rozpocząć obszerny wykład na ten temat, ale przerwał mu wybuch śmiechu Lawtona. Kawalerzysta słuchał do tej chwili z niewzruszoną powagą, lecz nie mógł już dłużej wytrzymać i zaczął się tak śmiać, że omal nie spadł z krzesła, i łzy, których nigdy żadne inne tkliwsze uczucia wycisnąć z jego oczu nie mogły, popłynęły mu ciurkiem po twarzy. Minęła dłuższa chwila, nim obrażony chirurg zdołał skorzystać z przerwy w tym chichotaniu, by rzec:

- Może to być źródłem triumfu dla ciebie, kapitanie Lawton, że niewykształcona kobieta popełnia omyłkę w kwestii, co do której ludzkie nauki nie są dotąd w zgodzie, w każdym razie nie możesz zaprzeczyć, że ta sama matrona nie odrzuca światła - to jest nie odrzuca narzędzi, służących do naprawy uszkodzeń wyrządzonych ludzkiemu ciału. Może raczysz przypomnieć sobie, co mówiła o użyteczności igły...

- Aha! - zawołał rozweselony kawalerzysta - ale takiej, którą naprawiała spodnie kramarza.

Katy wyprostowała się urażona i chcąc dać świadectwo swym wyższym uzdolnieniom, rzekła:

- Nie do zwykłego użytku schowałam ja tę igłę, ale dla ważniejszych rzeczy.

- Wy tłumacz się, pani, jaśniej - rzekł chirurg niecierpliwie. - Niechby ten pan przekonał się, jak niewczesną była jego wesołość.

W ten sposób zawezwana Katy namyślała się chwilę, by zebrać cały zapas swej wymowy dla olśnienia słuchaczy. Ostatecznie pokazało się, że jakieś biedne dziecko, które dobroczynność publiczna oddała pod opiekę Harveya, wbiło sobie dużą igłę w nogę podczas jego nieobecności. Igłę tę po wyjęciu posmarowano obficie tłuszczem, owinięto w watę i schowano w pewien kąt komina, nogę zaś pozostawiono bez opatrunku, a to z obawy osłabienia siły czarów. Nadejście kramarza położyło kres tej nadzwyczajnej leczniczej metodzie, a Katy zakończyła opowiadanie mówiąc:

- Cóż dziwnego, że chłopak umarł potem na zapalenie płuc.

Doktor Sitgreaves zaczął wyglądać przez okno, pochłonięty podziwianiem pięknego poranku i starając się uniknąć bazyliżkowego wzroku kapitana. Ale jakaś nieprzewyciężona pokusa zmusiła go spojrzeć mu prosto w twarz. Oblicze Lawtona wyrażało najgłębsze współczucie nad losem dziecka, ale figlarny błysk w oczach dotknął uczonego męża do żywego, mruknął więc tylko coś o konieczności zajrzenia do pacjentów i wyszedł szybko.

Panna Peyton zaczęła teraz z całym współczuciem swej zacnej duszy rozpytywać o stan rzeczy w domu kramarza i wysłuchiwała cierpliwie opowiadań Katy. Ta rozwodziła się w szczególności nad ogromem pieniężnej straty, jaką poniósł Harvey, i nie mogła mu darować, że zdradził tajemnicę, którą tak łatwo mógł zachować.

- Bo, proszę pani - mówiła dalej, zamilkłszy przedtem na chwilę dla nabrania oddechu – ja bym się była dała porąbać w kawałki, nim bym parę z ust puściła. Bo cóż! byliby go najwyżej zabili, a teraz można powiedzieć, że zgubili go na ciele i duszy, lub co na jedno wychodzi, uczyniwszy go bezdomnym włóczęgą. Ciekawam, jaka kobieta teraz zechciałaby zostać jego żoną lub prowadzić mu gospodarstwo? Ja zaś zanadto dbam o swoje dobre imię, abym mieszkała dłużej pod jednym dachem z samotnym mężczyzną, choć prawdę rzekłszy, jego tak dobrze jak nigdy w domu niema. Dziś jeszcze powiem mu, że nie zostaną ani godziny po pogrzebie, i nie poszłabym też za niego, chyba żeby się ustatkował i więcej siedział w domu.

Panna Peyton pozwoliła wygadać się gospodyni, po czym zadawszy parę trafnych pytań, świadczących, że posiada więcej znajomości ludzkiego serca w sprawach miłosnych, niżby się tego można było spodziewać po starej pannie, wywnioskowała z odpowiedzi Katy, że wszelkie jej matrymonialne widoki na Harveya, zwłaszcza w obecnych warunkach, były nie do urzeczywistnienia.

Zaproponowała tedy Katarzynie Haynes, by się przeniosła do Akacji dla pomocy w zajęciach gospodarskich, w razie, gdyby kramarz nie potrzebował już jej usług. Po omówieniu niektórych szczegółów umowę zawarto; Katy nabiadawszy jeszcze trochę nad własnymi stratami i głupotą Harveya, co jej nie przeszkadzało interesować się jeszcze jego przyszłym losem, odeszła zająć się przygotowaniami do pogrzebu, mającego się odbyć jeszcze tego samego dnia.

Podczas gospodarskiej rozmowy pomiędzy obu kobietami Lawton przez delikatność wyszedł z saloniku, i powodowany niepokojem o kapitana Singletona udał się do jego pokoju. Młodzieniec ten, jak już wspomnieliśmy, był ulubieńcem wszystkich oficerów. Wyjątkowa słodycz jego charakteru tak dalece nie miała nic wspólnego z brakiem stanowczości i odwagi, że nawet ci partyzancy wojacy umieli się na niej poznać, i zamiast lekceważyć, ocenić ją należycie.

Major Dunwoodie kochał go jak brata, a uległość jaką młodziutki kapitan okazywał doktorowi Sitgreaves'owi, spełniając bez szemrania i oporu wszystkie jego wskazówki, uczyniła go wyjątkowo drogim sercu chirurga.

Prawie każdy z oficerów przyplącił wcześniej lub później swą zuchwalstwem graniczącą

odwagę, jakim lżejszym lub cięższym obrażeniem ciała, i wszyscy kolejno przechodzili, jeżeli się tak wyrazić można, przez ręce doktora. Lecz palmę pierwszeństwa pod względem uległości odnosił stale Singleton, podczas gdy kapitan Lawton otrzymywał zawsze czarną gałkę. Doktor często mawiał w niezrównanej prostocie swego ducha, że największą przyjemność sprawiało mu opatrywanie pierwszego, a o tym drugim byłby wołał nic zgoła nie wiedzieć, który to obosieczny komplement i naganę Singleton przyjmował z dobrotliwym uśmiechem, a Lawton z niskim, dziękczynnym ukłonem.

Obecnie, upokorzony w swej naukowej próżności chirurg i uszczęśliwiony kawalerzysta spotkali się w pokoju kapitana Singletona jak na wspólnym gruncie i czas jakiś obaj krzatali się zgodnie koło rannego oficera, poczym doktor odszedł do przeznaczonego na swój wyłączny użytek pokoju, a w jakieś dziesięć minut potem ujrzał ze zdziwieniem wchodzącego Lawtona. Triumf kawalerzysty był tak zupełny, iż uznał, że może okazać się wspaniałomyślnym. Zrzucił więc dobrowolnie mundur i zawołał niedbale:

- Sitgreaves, bądź tak dobry i użyż nieco światła wiedzy memu ciału.

Doktor już się chciał obrazić, ale spojrzawszy z pode łba na towarzysza, zobaczył ze zdziwieniem przygotowania, jakie tenże poczynił, i zgoła niezwykły wyraz szczerości towarzyszący tym słowom, które eskulap wziął początkowo za dalsze drwiny. Powściągnąwszy więc już mającą wybuchnąć urazę, zapytał grzecznie:

- Jakiejże to pomocy kapitan Lawton może żądać ode mnie?

- Zobacz sam, kochany doktoru - odpowiedział kawalerzysta potulnie - ja tu widzę wszystkie kolory tęczy na tym ramieniu.

- Masz zupełną słuszność, mówiąc w ten sposób - odrzekł doktor, z wielką troskliwością i znanstwem oglądając uszkodzone miejsce. - Ale na szczęście nic złamanego. To rzecz nadzwyczajna, jak ci się to udało.

- Byłem już takim szczęśliwcem od urodzenia, i byłoby źle, gdyby prosty upadek z konia miał mnie pogrążyć. Ale, Sitgreaves - dodał serdecznie - wskazując dość dużą bliznę - przypominasz ty sobie tę robótkę?

- Doskonale, Jacku, kula dzielnie otrzymana i porządnie wyjęta. Ale, jak myślisz, może bym ci przyłożył trochę maści na te sińce?

- I owszem - rzekł Lawton z niespodzianą ustępliwością.

- Ależ, drogi chłopcze - zawołał uradowany doktor, krzątając się koło tak cudownie nawróconego pacjenta - czy to nie lepiej było dać się opatrywać wczoraj na noc?

- Prawdopodobnie.

- Tak, Jacku, ale gdybyś sobie był dał puścić krew, gdym ci to wczoraj radził, byłoby ci to oddała nieocenione usługi.

- Żadnego puszczenia krwi - rzekł tamten stanowczo.

- Teraz już za późno, ale dawka oleju rycynowego doskonale też odprowadzi humory.

Kapitan nic na to nie odpowiedział, lecz zgrzytnął zębami w sposób, świadczący, że forteca jego ust gotowa jest zawsze do stawienia należytego oporu, i doświadczony chirurg zmienił przedmiot rozmowy, mówiąc:

- Szkoda jednak, Jacku, żeś nie schwytał tego łotra, naraziwszy się dlatego na tyle trudów i niebezpieczeństw.

Kapitan znowu nic nie odrzekł, a doktor, bandażując ramię, ciągnął dalej:

- Pomimo całego wstrętu, jaki żywię do niszczenia ludzkiego życia, z przyjemnością zobaczyłbym tego zdrajcę na szubienicy.

- Sądziłem, że twoją rzeczą jest leczyć, a nie zabijać - rzekł kawalerzysta sucho.

- Tak, ale on nam wyrządził tyle złego swymi donosami, że doprawdy niema takiej kary, jaka by mi się wydała za lekką dla tego szpiega.

- Nie powinieneś żyć takich mściwych uczuć względem twoich bliźnich - rzekł Lawton takim tonem, iż doktor upuścił szpilkę, którą umocowywał bandaże.

Chwilę popatrzył badawczo na pacjenta, aby się upewnić, że to istotnie jego dawny towarzysz, kapitan John Lawton mówi w ten sposób, i widząc, że nic może być żadnej w tym względzie wątpliwości, zebrał rozproszone władze i rzekł:

- Zasada twa jest słuszną i na ogół zgadzam się z nią całkowicie. Ale, kochany Johnie, powiedz mi, nie uwiera cię przypadkiem bandaż?

- Bynajmniej.

- Tak, na ogół zgadzam się z tobą, ale niema zasady bez wyjątku. Jakże się czujesz, Lawtonie?

- Bardzo dobrze!

- Jest to nie tylko rzeczą okrutną, ale częstokroć niesprawiedliwą odbierać życie człowiekowi, tam gdzie lżejsza kara może osiągnąć cel zamierzony. I tak, gdybyś ty tylko - porusz trochę ramieniem - gdybyś tylko - lżej ci teraz, mój drogi?

- Znacznie.

- Gdybyś, drogi Johnie, nauczył twoich ludzi rąbać umiejętniej, wyszłoby ci to na jedno - a mnie, taką byś tym sprawił przyjemność!

Doktor odetchnął głęboko, zrzucawszy wreszcie ciężar, który mu tak leżał na sercu, a kawalerzysta włożył z zimną krwią mundur i rzekł zwolna, wychodząc:

- Nie znam żołnierzy, którzy by rąbali umiejętnie, zazwyczaj golą od czaszki do szczęk.

Rozczarowany operator pozbierał narzędzia i z ponownie ciężkim sercem udał się do pokoju pułkownika Wellmere'a.

ROZDZIAŁ XII.

*„Ta wątła postać mieści w sobie
duszę tak potężną, jak ta, która
mieszka w ciele olbrzyma Te wątłe
członki, drżące jak osika pod tchnieniem
letniego powiewu, podtrzymują ducha,
co raz zbudzony,
wyżyn niebiosów sięgnąć może i blaski
niebios zapalić w tych błyszczących
oknach oblicza. „*

Duo.

Ilość i różnorodność gości przyczyniła wiele gospodarskich trudów panie Joannie Peyton. Pokrzepieni nocnym spoczynkiem wszyscy prawie wrócili do normalnego stanu zdrowia, wyjąwszy młodziutkiego kapitana dragonów, o którego tak bardzo troszczył się Dunwoodie. Rana tego oficera była ciężka, chociaż, jak doktor wciąż upewniał, nie przedstawiała groźnego niebezpieczeństwa. Jego kolega, jakiegoś to już widzieli, wstał był z łóżka, a Henryk Wharton przespał noc wybornie; dręczyły go tylko sny, że jakiś chirurg-nowicjusz amputuje mu rękę. Ale ponieważ okazało się to tylko snem, więc młodzieniec zbudził się znacznie pokrzepiony, i doktor Sitgreaves uspokoił go do reszty zapewniając, że za dwa tygodnie będzie już zdrow zupełnie.

Przez cały ten czas pułkownik Wellmere nie pokazywał się wcale. Zjadł śniadanie w swoim pokoju, i pomimo znaczących uśmiechów doktora oświadczył, że czuje się bardzo chorym i nie może wstać z łóżka. Zostawiwszy go więc przetrawiającego doznane upokorzenie w samotności, chirurg wrócił znów do łóżka Jerzego Singletona. Lekki rumieniec zabarwiał policzki rannego, co dostrzegłszy doktor, dał mu znak, aby nic nie mówił, i ujął go za puls, mruczając pod nosem:

- Gorączka się wzmacnia... nie, nie, mój drogi Jerzy, musisz leżeć spokojnie, pomimo że oczy

masz weselsze; a nawet spociałeś się trochę.

- Nie, kochany Sitgreaves - odrzekł młodzieniec - ja wcale nie mam gorączki - ale zobacz, proszę cię, co to takiego mam na języku?

- Nic zupełnie - odparł doktor, wsuwając łyżeczkę w usta rannego i zaglądając mu w gardło - język jest dobry, a i puls staje się wolniejszy. A! upływ krwi zrobił ci dobrze. Nie ma, jak puszczenie krwi dla południowych organizmów. Ale ten wariat Lawton uparł się i nie dał sobie puścić krwi po wczorajszym upadku z konia. Hm!.. Jerzy, coś mi się to zaczyna nie podobać - mówił dalej doktor, instynktownie zdejmując perukę - puls równy, skóra wilgotna, a oczy błyszczą nienaturalnie i takie dziwne masz rumieńce. Oho! musimy bliżej zbadać te symptomy.

- Daj pokój, drogi przyjacielu, daj pokój - rzekł młodzieńczyk, opadając na poduszki i poblądłszy trochę - wyjąłeś mi kulę, i to wszystko, czego mi było potrzeba. Upewniam cię, że nic mnie nie boli, jestem tylko osłabiony.

- Kapitanie Singleton - odpowiedział doktor żywo - jest to zarozumiałością z twojej strony mówić lekarzowi, czy cię co boli, czy nie; gdybyśmy nie mogli sami orientować się w tych rzeczach, to do czegoż by nam służyły światła wiedzy? Wstydz się, Jerzy, wstydz się, nawet ten duch przekory John Lawton nie mógłby się okazać większym uparciuchem.

Ranny uśmiechnął się, odepchnął z lekka doktora, chcącego mu rozwiązać bandażę, i z powracającym na lica rumieńcem zapytał:

- Mój złoty Archibaldzie (pieszczotliwa ta nazwa trafiała zwykle do serca operatora) powiedz mi, jaki to niebiański duch błędził tu po pokoju podczas kiedy udawałem, że śpią?

- Jeżeli ktokolwiek wtrąca się do moich pacjentów - zawołał doktor - duch czy nie duch, to ja go nauczę mieszać się w nie swoje rzeczy.

- Ależ uspokój się, mój drogi, żadnego wtrącania się, ani nawet zamiaru w tym względzie nie było. Patrz, bandażę nietkniętą, ta istota nieziemska przesuwała się koło mnie z wdziękiem czarodziejki i słodyczą anioła.

Doktor upewniwszy się, że istotnie wszystko było w porządku, usiadł na krześle, nałożył z powrotem perukę i zapytał zwięźle:

- Miała spódnice na sobie?

- Nie wiem. Widziałem tylko jej niebiańskie oczy, jej świeżość, jej majestatyczny chód, jej wdzięk - odpowiedział młodzieniec z takim zapałem, że doktor położył mu rękę na ustach, po czym zastanowiwszy się rzekł:

- Musiała to być panna Joanna Peyton, osoba bardzo dystygowana i mająca taki właśnie chód... no i... bardzo pocziwe oczy; co się tyczy świeżości... hm!... nie można powiedzieć, żeby miała zupełnie zwiędłą cerę, chociaż w porównaniu z siostrzenicami....

- Z siostrzenicami? Ona ma siostrzenice? Anioł, którego widziałem może być córką, siostrą, siostrzenicą, ale nigdy ciotką.

- Cicho, Jerzy, cicho... masz znów podniesiony puls, a musisz zachować spokój, by przygotować się na powitanie siostry, która tu będzie za godzinę.

- Co? Izabela? A kto posłał po nią?

- Major.

- Kochany Dunwoodie! jak on o wszystkim pamięta - szepnął młodzieńczyk i wyczerpany osunął się na poduszki.

Gdy kapitan Lawton pojawił się przy śniadaniu, wszyscy członkowie rodziny bardzo uprzejmie wypytywali go o zdrowie, ale jakiś niewidzialny duch czuwał nad wygodami angielskiego pułkownika. Sara nie weszła ani razu do jego pokoju, a jednak wiedziała, gdzie jaka szklanka stoi, i własnoręcznie przyrządzała jej zawartość.

W owych czasach każdy Amerykanin czuł się przez pół Anglikiem, i Sara uważała za swój obowiązek szanować instytucje tego kraju, który był ojczyzną jej przodków; istniały jednak prócz tego inne bardziej osobiste przyczyny milczącego pierwszeństwa, jakie oddawała Anglikowi. Obraz jego pierwszy wypełnił próżnię jej młodocianej wyobraźni, a był to obraz posiadający wiele z tych powabów, które mogą ujarzmić panieńskie serduszko. Sara cały ranek krążyła po domu, rzucając częste i przeciągłe spojrzenia na drzwi pokoju pułkownika Wellmere'a, pragnąc dowiedzieć się o stanie jego zdrowia, a jednak wstydząc się zapytać o to; dopiero młodsza siostra wyręczyła ją w tym względzie, zwracając się z całą swobodą niewinności do doktora Sitgreaves'a.

- Pułkownik Wellmere - odpowiedział operator z powagą - znajduje się w stanie, że tak rzeknę, dowolnym. Jest chory lub zdrow, jak mu się podoba. Stan jego przechodzi granice mojej kompetencji lekarskiej, i sądzę, że sir Henryk Clinton byłby w danym razie najlepszym doradcą, aczkolwiek major Dunwoodie utrudnił mu trochę stosunki z tym konowalem.

Fanny uśmiechnęła się, a Sara wyszła z pokoju z wdziękiem obrażonej Junony. Idąc długim korytarzem, na który wychodziły wszystkie sypialnie domu, spostrzegła, że drzwi pokoju Singletona były otwarte. Ranny młodzieniec zdawał się spać i był sam. Weszła więc pocichu i przez parę minut zajęła się porządkowaniem stołów i przygotowanego dla chorego posiłku, nie zastanawiając się nad tem co robi i wyobrażając sobie może, że spełnia te drobne kobiece posługi dla innego. Naturalną świeżość jej cery podniosło rozdrażnienie na chirurga i dodało blasku jej oczom. Usłyszawszy zbliżające się kroki Sitgreaves'a wymknęła się szybko drugimi drzwiami do pokoju Fanny. Obie siostry poszły na taras zaczerpnąć świeżego powietrza i przechadzając się pod ręce prowadziły następującą rozmowę:

- Jaki on nieprzyjemny ten chirurg Dunwoodie'go - rzekła Sara - cierpieć go nie mogę!

Fanny utkwiała roześmiane oczy w siostrze, lecz nic nie rzekła, ta zaś zrozumiawszy ich niemą wymowę, dodała śpiesznie:

- Ach, zapomniałam, że przecież on należy do twego wychwalanego wirgińskiego wojska i

że trzeba się o nim wyrażać z uszanowaniem.

- Z takim uszanowaniem jak ci się podoba, siostrzyczko, niema obawy, żebyś wpadła w przesadę.

- Tak sądzisz - odparła Sara z przekąsem - ale doprawdy pan Dunwoodie trochę zanadto korzysta z praw pokrewieństwa; zamienił dom ojca w istny szpital.

- Powinniśmy dziękować Bogu, że żaden z tych pacjentów nie jest bliskim naszemu sercu.

- Zapominasz o bracie?

- Prawda, prawda - przerwała Fanny, rumieniąc się po same białka - ale Henryk nie leży i powiada, że sownie mu się opłaciła rana, przedłużając mu pobyt w domu. Ach! - dodała drżącym głosem - gdyby nie to straszliwe podejrzenie, jakie na nim ciąży, ja sama niewiele bym sobie robiła z jego rany.

- Możesz teraz zbierać owoce buntu: brat ranny, w niewoli i zagrożony utratą życia, ojciec zrozpaczony i prawdopodobnie wyzuty z majątku, za wierność swemu królowi.

Fanny nic nie odrzekła i obie siostry chodziły czas jakiś w milczeniu po tarasie. Gdy zwracały się twarzą ku północnemu wylotowi doliny, Fanny nieodmiennie patrzyła w ten punkt, gdzie droga kryła się nagle za wzgórze, a przy każdym obrocie przystawała mimo woli, dopóki siostra nie pociągnęła jej niecierpliwie za sobą. Nareszcie jednokonny wózek ukazał się na drodze i ostrożnie wymijając gęsto rozrzucone po niej kamienie, zbliżał się ku Akacji. Fanny zbladła, a gdy powóz był już tak blisko, że mogła rozróżnić kobiecą postać siedzącą obok murzyna w liberii, nogi tak się pod nią zatrzęsły, że musiała oprzeć się o Sarę, aby nie upaść. W parę minut potem podróżni dojechali do bramy. Otworzył ją na roścież dragon, który jechał za powozem i był posłańcem wyprawionym przez majora Dunwoodie'go do pułkownika Singletona. Panna Peyton wyszła na spotkanie gościa, siostrzenice pośpieszyły za nią, lecz Fanny pomimo całej uprzejmości, na jaką się siliła, nie mogła oderwać oczu od twarzy nowoprzybyłej. Była to osoba młoda, wątła, lecz nadzwyczaj kształtna. Jej wielkie czarne oczy miały wyraz przenikliwy, a chwilami jakby nieco błędny. Obfite krucze włosy, wbrew modzie nieupudrowane, czarnością swoją podnosiły śmiertelną prawie bladość jej lic. Doktor Sitgreaves pomógł jej wysiąść z powozu, ona zaś stanąwszy na tarasie, utkwiała w chirurga wymowne spojrzenie swych czarnych oczu.

- Bratu pani nie grozi żadne niebezpieczeństwo, i pragnie panią widzieć - rzekł doktor.

Młoda osoba wybuchnęła płaczem. Fanny, przypatrująca się jej dotąd z rodzajem niechętnego zachwytu, poskoczyła teraz i objąwszy wespół z siostrzaną tkliwością powiodła do osobnego pokoju. Ruch ten był tak serdeczny i tak delikatny, że nawet panna Peyton wstrzymała się od okazania nowoprzybyłej swojego współczucia i tylko powiodła oczyma za oddalającą się parą, uśmiechając się dobrotliwie. Uczucie to udzieliło się innym obecnym, i wszyscy rozeszli się do zwykłych zajęć! Izabela uległa bez oporu łagodnemu wpływowi Fanny i znalazłszy się w

pokoju, do którego ją ta zaprowadziła, czas jakiś płakała w milczeniu, wsparta na ramieniu pocieszającej ją dziewczynki. Z początku łkała tak gwałtownie, że zważywszy na pomyślną wiadomość, jakiej jej udzielił doktor, łzy te wydały się bacznej na wszystko Fanny nieusprawiedliwione do pewnego stopnia. Wreszcie panna Singleton uspokoiła się, otarła oczy i podniósłszy je na swą towarzyszkę, z prześlicznym uśmiechem przeprosiła ją za ten nadmiar wzruszenia i wyraziła życzenie udania się do pokoju rannego.

Powitanie brata z siostrą było bardzo serdeczne, lecz zapewne dzięki zapanowaniu nad sobą Izabeli spokojniejsze, niż się tego po jej poprzednich wybuchach można było spodziewać. Izabela znalazła brata lepiej, niż to sobie we wrażliwości swej wyobrażała. Rozweseliła się więc, piękne jej oczy zajaśniały nowym blaskiem, i tak czarujące uśmiechy opromieniły drobną twarzyczkę, że Fanny, która na jej prośbę towarzyszyła jej do pokoju brata, siedziała przyglądając się tym tak uroczym i zmiennym rysom z nieprzepartym zachwytem. Młodzieńczyk spojrzawszy bacznie na Fanny, pierwsze wrażenie powitania z siostrą minęło, i coś na kształt rozczarowania odmalowało się w jego oczach. Był to zapewne pierwszy wypadek, w którym czyjeś oczy spoczęły w ten sposób na naszej bohaterce. Singleton potarł czoło jak człowiek zbudzony ze snu, pomyślał chwilę i zapytał:

- Gdzie jest Dunwoodie, Izabelo? Jaki to niezmordowany w swej troskliwości przyjaciel! Po dniu takich trudów spędził noc na wyszukaniu mi pielęgniarce, której sam widok może mnie dźwignąć z łoża.

Wyraz twarzy Izabeli zmienił się; obejrzała się dokoła tym jakimś błędnym spojrzeniem, które zdumiało i przeraziło Fanny, baczna na każdy jej ruch.

- Dunwoodie! Alboż go tu niema? Sądziłam, że zastanę go u wezłowania mego brata.

- Obowiązki wymagają jego obecności gdzie indziej; Anglicy jak mówią idą na nas Hudsonem, i nie dają chwili wytchnienia naszym lekkim oddziałom.

Gdyby nie to, z pewnością nie pozostałby tak długo z dala od rannego przyjaciela. Ale, Izabelo, ty drzysz, nie przejmuj się tak nadmiernie, siostrzyczko, ja przecież nie umieram.

Izabela nic nie odrzekła, wyciągnęła tylko rękę w stronę stolika, na którym przygotowano posiłek dla kapitana, a baczna Fanny zrozumiała natychmiast jej życzenie. Szklanka wody orzeźwiła trochę ślaniającą się dziewczynę.

- Zapewne, że to jest jego obowiązkiem - rzekła wreszcie. - Mówią, że oddział wojsk królewskich posuwa się wzdłuż brzegów rzeki, chociaż minęłam nasze wojska nie dalej niż o dwie mile stąd.

Ostatnie to zdanie wymówiła ledwo dosłyszalnym głosem i raczej do siebie samej.

- W marszu, Izabelo? - zapytał brat żywo.

- Nie, spieszono i widocznie odpoczywające - brzmiała odpowiedź.

Zdumiony dragon spojrzawszy na siostrę, siedzącą z oczami utkwionymi w dywan i pograżoną w

myślach. Nie mogąc doczekać się bliższych wyjaśnień z jej strony, ranny przeniósł wzrok na Fanny, która zaniepokojona wyrazem jego twarzy wstała pośpiesznie, pytając, czy czego nie potrzebuje.

- Przepraszam panią - rzekł młodzieńczyk, usiłując dźwignąć się na łokciu, ale prosiłbym, żeby kapitan Lawton przyszedł do mnie na chwilę.

Fanny poszła niezwłocznie sprowadzić kapitana i powodowana jakimś szczególnym uczuciem ciekawości i niepokoju, z którego nie mogła sobie zdać sprawy, wróciła do pokoju chorego i usiadła przy panie Singleton.

- Lawtonie - rzekł niecierpliwie młodzieńczyk, ujrawszy wchodzącego - są jakie wieści od majora?

Oczy siostry utkwily teraz w twarzy kawalerzysty, który uklonił jej się z żołnierską zamaszystością.

- Ordynans jego był tu dwukrotnie - rzekł - dowiedzieć się, co słycać w naszym lazarecie.

- A czemu nie on sam?

- Na to pytanie major mógłby najlepiej odpowiedzieć, ale jak ci wiadomo, czerwone kurtki wylądowały, a Dunwoodie ma dowództwo w hrabstwie. Trzeba mieć tych Anglików na oku.

- Prawda - rzekł Singleton zwolna, jak gdyby uderzony myślą - ale czemu się to dzieje, że ty próżnujesz, kiedy jest robota?

- Mam trochę nadwerżoną prawą rękę i mój Roanoke kuleje, zresztą jest jeszcze jedna przyczyna, którą wymieniłbym, gdyby nie obawa, że panna Wharton nigdy mi tego nie przebaczy.

- Mów pan, proszę, śmiało i odważnie - rzekła Fanny, odwzajemniając żartobliwy uśmiech kawalerzysty z figlarnością, właściwą jej słodkiej twarzyczce.

- A więc - zawołał Lawton - zapachy dolatujące z kuchni są tak ponętne, że nie ruszę się stąd, dopóki nie sprawdzę, jak dalece rzeczywistość odpowiada obietnicom.

- O! ciocia Joasia postara się, by pan nabrał dobrego wyobrażenia o gościnności mego ojca - rzekło rozweselone dziewczę - ale to mi przypomina, że powinnam pomóc jej w pracy, jeżeli chcę mieć udział w pochwałach.

I Fanny poszła do ciotki, zastanawiając się po drodze nad szczególną wrażliwością i charakterem swej nowej znajomej.

Ranny oficer wiódł za nią oczyma, gdy z dziecięcym prawie wdziękiem szła przez pokój, a po jej wyjściu zauważył:

- Taką ciotkę i siostrzenicę rzadko się spotyka, Jacku, ta jest uroczym zjawiskiem; ale ciotka to anioł.

- Jak widzę, nieźle się miewasz. Uwielbienie dla płci pięknej nic w tobie nie osłabło.

- Byłbym niewdzięcznym i nieczułym, gdybym nie złożył powinnego hołdu zachwycającej

urodzie panny Peyton.

- Zaczynaś, ani słowa, ale co się tyczy urody, to kwestia gustu. Ja bo uważam, że tuzin latek mniej nic by jej nie zaszkodził.

- Ależ ona nie może mieć jeszcze lat dwudziestu - rzekł tamten żywo.

- To zależy od jakiego końca się liczy. Jeżeli zaczniesz wstecz to zapewne, ale rachując zwykłym sposobem, musi mieć koło czterdziestki.

- Wzięłaś starszą siostrę za ciotkę - rzekła Izabela, kładąc rękę na ustach rannego. - Ale proszę cię, leż spokojnie. Nie powinieneś mówić tak wiele.

Wejście doktora Sitgreaves'a, który z pewnym przestachem zauważył gorączkowe objawy w swym pacjencie, poparło to zalecenie, a kapitan Lawton wyszedł odwiedzić swego wierzchowca poszwankowanego również we wczorajszej karkołomnej gonitwie. Ku wielkiemu zadowoleniu znalazł go na drodze do zupełnej rekonwalescencji i zawyrokował, że po parogodzinnym nacieraniu nadwichniętej nogi będzie zupełnie w porządku. Wydał więc stosowne rozkazy do odjazdu natychmiast po spodziewanej uczcie.

W międzyczasie Henryk Wharton wszedł do sypialni Wellmere'a, i współczucie jego poprawiło znakomicie humor pułkownika. Wstał więc z łóżka i zaczął przygotowywać się do spotkania z przeciwnikiem, którego tak lekceważył, jak się okazało, bezpodstawnie. Wharton wiedział, że niepowodzenie ich, jak nazywali swoją porażkę, spowodowała nadzwyczajna dzielność natarcia, ale powstrzymał się z wyrażeniem tego zdania, ubolewając wyłącznie nad nieszczęśliwym wypadkiem, który pozbawił wojsko angielskie dowódcy, czemu dobrotliwie przypisywał niepomyślny wynik bitwy.

- Krótko mówiąc, Whartonie - rzekł pułkownik, wysuwając jedną nogę z łóżka - można to nazwać zbiegiem fatalnych okoliczności; twój krnąbrny koń nie pozwolił ci zawieźć moich rozkazów majorowi, i w porę uderzyć z boku na nieprzyjaciela.

- To prawda - rzekł kapitan, nogą podrzucając pantofel w stronę łóżka - gdyby się nam było udało przypuścić do nich z boku dobry ogień, ci dzielni Wirgińczycy byliby poszli w rozsypkę.

- O! ażby się za nimi kurzyło - zawołał pułkownik, wysuwając z pod kołdry drugą nogę - a przy tym, uważasz, musieliśmy przetrzepać tych tam w lesie, i ta zmiana frontu nastroczyła im doskonałą sposobność do natarcia.

- Tak - odrzekł tamten, posyłając drugi pantofel za pierwszym - a major Dunwoodie nie pominie nigdy żadnej sposobności.

- Myślę, że gdyby to się mogło powtórzyć - ciągnął dalej pułkownik, wylazłszy już zupełnie z łóżka - to wszystko by poszło inaczej; chociaż właściwie głównym ich triumfem, z którego się mogą chlępić, jest wzięcie mnie do niewoli. Widziałeś, jak się ich odparło, gdy nas chcieli wyprzeć z lasu.

- To jest, byłoby się ich odparło, gdyby nas byli atakowali - rzekł kapitan, rzucając resztę

ubrania w stronę pułkownika.

- To na jedno wychodzi - odpowiedział, ubierając się pułkownik. Przybrać taką postawę, żeby onieśmielić wroga jest najwyższą sztuką wojenną, - Niewątpliwie, przy tym jeżeli pamiętasz, jeden ich atak zupełnie im się nie powiódł.

- Prawda! prawda! - zawołał pułkownik z ożywieniem - nieodżałowana szkoda, że mnie tam wtedy nie było; bylibyśmy pokazali Jankesom, jak się to odwracają karty.

I powiedziawszy to, pośpiesznie dokończył toalety, tak że wkrótce gotów był do pokazania się w towarzystwie, zupełnie już pokrzepiony na duchu, i głęboko przekonany, że niewolę swoją i porażkę winien był zbiegowi okoliczności silniejszych nad ludzką władzę.

Wiadomość, że pułkownik Wellmere zasiądzie do stołu, dodała nowego bodźca biesiadnym przygotowaniom, a Sara po przywitaniu i troskliwym wywiedzeniu się o stan zdrowia pośpieszyła osobiście udzielić rady i gustu, by ucztą wypadła jak najświetniej. Uczty takie bywały częstym zjawiskiem w ówczesnym wiejskim życiu, a i po dziś dzień gospodarcza oszczędność nie wyrugowała ich jeszcze całkowicie.

ROZDZIAŁ XIII.

„Będę ucztował wesoło, choć
wiem, że to ostatnia biesiada.”

Szekspir. *Burza*

Zapachy, które z samego rana podrażniły powonienie kapitana Lawtona, stawały się coraz wyraźniejsze, utwierdzając kawalerzystę w miłym przeświadczeniu, że węch jego, równie czujny jak wzrok, nie zawiódł go i tym razem; i aby wciągać w siebie te rozkoszne wonie, dragon usiadł w otwartym oknie, tak żeby żaden korzenny zapach, podnoszący się z podziemnego królestwa Diny i Cezara, nie ominął jego nozdrzy. Wpierw jednak pomyślał o przyozdobieniu swojej

osoby, o ile na to jego szczupła garderoba mogła pozwolić. Mundur jego pułku był zawsze najlepszą rekomendacją u najwykwintniejszych stołów; oczyścił go więc jak najstaranniej, i zauważył z przyjemnością, że, acz sfatygowany trochę wierną służbą, prezentuje się jeszcze wcale nieźle. Głowa jego, obdarzona od natury kruczą czarnością, bieliła się jak śnieg, a dłoń koścista, tak nawykła do dzierżenia szabli, wysuwała się z dziewiczą nieśmiałością z pomiędzy nastroszonych fałd koronek. Na tym skończyły się przygotowania dragona, nie mówiąc o tym, że buty jego lśniły niecodziennym blaskiem, a ostrogi błyszczały w słońcu, jak przystało na prawowite żelazo, z którego były zrobione.

Cezar uwijał się po pokojach z namaszczeniem, większym jeszcze niż to, które mu towarzyszyło w pełnieniu smutnych, rannych obrządków. Wróciwszy od stolarza, spełniał szybko i umiejętnie rozkazy swojej pani i tak był zajęty, że dorywczo tylko mógł dzielić się ze swym czarnym rodakiem, który przybył wraz z panną Singleton do Akacji, wrażeniami, jakich mu tak obfitująca w nadzwyczajne wypadki minioną noc nie poskąpiła. Zręcznie manewrując, zdążył jednak tyle naopowiadać, że tamtemu oczy wyłaziły na wierzch ze zdumienia. Czarni przepadają za nadzwyczajnościami, i panna Peyton uznała za potrzebne wdać się w tę sprawę i rozkazać Cezarowi, by odłożył koniec opowiadania do sposobniejszej pory.

- Ach! Miss Jinnett! - rzekł Cezar, wstrząsając głową z niesłychanym przejęciem - to taka straszna rzecz była patrzeć jak Johnnie Birch chodzić po śmierci.

Na tym na razie skończyła się rozmowa, lecz murzyn przyrzekł sobie w duchu, że nie omieszka powrócić do niej z nawiązką, i święcie obietnicy dotrzymał. Po usunięciu duchów na drugi plan, wszystko już szło jak z płatka, i w chwili gdy popołudniowe słońce kończyło dwugodzinną wędrówkę od swego zenitu, rozpoczęła się uroczysta procesja z kuchni do jadalni, pod przewodnictwem Cezara, który wiódł pochód, niosąc półmisk z indykiem na pomarszczonych dłoniach ze zręcznością kuglarza.

Za nim szedł ordynans kapitana Lawtona, stąpając sztywno i stawiając szeroko nogi, jak gdyby czuł pod sobą wierzchowca. Ten dźwigał cudnie woniejącą wirgińską szynkę, przyslaną pannie Peyton w podarunku przez brata. Piastun tej smakowitej misy dzierżył ją z wojskową dokładnością, ale ślinka szła mu do ust tak obficie, że ją wciąż połykać musiał.

Trzecim w szeregu był służący pułkownika Wellmere'a, niosący w jednym ręku potrawkę z kurcząt, a w drugim paszteciki z ostryg.

Tuż za nim postępował pomocnik doktora Sitgreaves'a. Ten instynktownie chwycił olbrzymią wazę, jako najpodobniejszą do naczyń, z którymi miewał do czynienia, a buchająca z niej para tak mu zmatowała okulary, że przybywszy na plac boju, musiał postawić wazę na ziemi, by móc, zdjawszy szkła, które nawiasem mówiąc nosił dla dodania sobie powagi, bo wzrok miał doskonały - zobaczyć, gdzie ma umieścić tę szacowną amforę wśród stosów zapasowej porcelany i ogrzewaczy półmisków.

W dalszym ciągu szedł kawalerzysta przeznaczony do usług kapitana Singletona. Ten, jak gdyby przystosowując apetyt do wątłego stanu zdrowia swego pana, poprzestał na przydźwiganiu dwóch pieczonych kaczek, tak smakowicie woniejących, że biedak zaczął żałować, iż tak niedawno spałaszował nie tylko własne śniadanie, lecz i to, które przygotowano dla siostry jego pana.

Biały chłopak, należący do składu domowników zamykał pochód, jęcząc pod ciężarem kopiastych salatek z jarzynami, jakimi go kucharka obładowała.

Ale to był dopiero początek przygotowań do tej sardanapalowej uczty.

Zaledwie Cezar ustawił na honorowym miejscu zapalczego ptaka, który jeszcze przed tygodniem napełniał gniewnym gulgotaniem gospodarskie obejście Akacji, i ani marzył o wątpliwym zaszczycie, jaki go miał tak niezadługo spotkać - aliści zakręcił się na pięcie i rozpoczął odwrót do kuchni. Towarzysze poszli za jego przykładem i wnet pojawiła się druga procesja, postępująca w takim samym porządku, dzięki czemu całe stada przepiórek, gołąbków, stopy ryb i dzikiego ptactwa znalazły się na stole.

Trzeci pochód dostarczył odpowiednich ilości kartofli, cebul, buraków, ryżu i innych przystawek, niezbędnie w skład wystawnego obiadu wchodzących. *

Stół ugiął się po prostu pod obfitością amerykańskiej zastawy i Cezar, raz jeszcze obejrawszy wszystko dokładnie i poprawiwszy symetrię półmisków, podążył uwiadomić panią domu, że zadanie jego pomyślnie jest spełnione.

Na więcej niż pół godziny przed rozpoczęciem wyżej opisanego, kulinarnego pochodu wszystkie panie zniknęły w ten sam niepojęty sposób, jak nikną muchy za nadejściem zimy. Ale wiosna ich powrotu nadeszła i całe towarzystwo zebrało się w sąsiadującym z jadalnią pokojem, pełniącym, ze względu na kryte cycem meble, obowiązki buduaru.

Zacna stara panna nie tylko wyjątkowymi przygotowaniami w gastronomicznym zakresie uczciła ten dzień pamiętny, lecz uznała za stosowne przybrać własną osobę w strój godny gości, których miała szczęście podejmować.

Głowę panny Peyton zdobił czepek z najdelikatniejszego muślinu, przygarniowany z przodu szeroką koronką z pękiem sztucznych kwiatów nad czołem. Barwa jej włosów niknęła pod obfitością pudru, a lekko skarbowane nioby nadawały wyraz kobiecej słodyczy jej rysom.

Suknia z ciężkiego fiołkowego jedwabiu głęboka wycięta z obcistym stanikiem uwydatniała jej kształty od ramion do pasa, rozprzestrzeniając się poniżej w obfite fałdy, świadczące dostatecznie, że oszczędność materiału nie była hasłem ówczesnej mody.

Trzewiki były z tego samego jedwabiu co suknia, a obcasy podwyższały o parę cali wzrost, którego i bez tego dodatku natura nie poskapiała pannie Peyton.

Rękawy były krótkie, obcisłe do łokcia, a stamtąd spadające w bogatych namarszczeniach, obszytych dreźnieńską koronką dokoła białej jeszcze i kształtnej ręki. Potrójny rząd dużych pereł

otaczał szyję, a koronkowa chusteczka przysłaniała tę część kształtów, które wycięcie sukni obnażyło, a której panna Peyton z taktem czterdziestoletniego doświadczenia uznała za stosowne nie wystawiać już na widok publiczny.

Tak wystrojona i wyprostowana z tym dumnym wdziękiem, jaki charakteryzował „maniery” owych czasów, doletnia panna mogła być rywalizować jeszcze z niejedną młodszą pięknoscią.

Sara była ubrana mniej więcej tak samo jak ciotka, a różnicę stanowiła jedynie barwa i materiał sukni z bladokarminowego atłasu. Ale jej dwadzieścia lat wieku nie wymagały koniecznej w czterdziestce osłony, i tylko zazdrosny rąbek przedziwnej koronki krył nieco atłasowe wycięcie. Wyższa część biustu i śliczny spadek ramion jaśniały olśniewającą białością; szyję, podobnie jak u ciotki, ozdobił potrójny rząd pereł, któremu odpowiadały także same kolczyki w uszach. Na głowie oczywiście nie było czepeczka, a szesane ku tyłowi włosy odsłaniały gładkie jak marmur i białe jak śnieg czoło. Parę krnąbrnych loków spadało wdzięcznie na kark, a bukiet sztucznych kwiatów wieńczył półokręgiem skronie.

Panna Singleton zostawiła brata pod opieką doktora, któremu powiodło się doprowadzić pacjenta do pokrzepiającego snu, po uśmierzeniu gorączkowych objawów, wywołanych poprzednią rozmową. Panna Peyton namówiła Izabelę do wzięcia udziału w obiedzie, i siostra Jerzego siedziała teraz obok Sary, niewiele różniąc się od niej powierzchownością, tylko krucze jej loki były jak zawsze nieupudrowane, a bardzo wysokie czoło, i wielkie błyszczące oczy nadawały jej twarzyczce wyraz zadumy, spotęgowany jeszcze matową bladością lic.

Ostatnią z kolei, ale nie pod względem urody, była w tej wystawie kobiecych wdzięków młodszą córką pana Whartona. Fanny, jakeśmy to już wspomnieli, opuściła New-York jeszcze podlotkiem. Niektóre samodzielniejsze umysły zaczęły się już wyłamywać z pod tych męczących przepisów mody, które tak długo krępowały swobodę płci nadobnej, i Fanny odważyła się zostawić swą pięknosc naturalnemu rozwojowi. Dnia tego jednakże postanowiła dołożyć większych starań, by przyozdobić te przyrodzone powaby, które tak mało potrzebowały przyozdobienia. Za każdym razem, gdy się do tego zabierała, patrzyła czas jakiś ku północy i za każdym razem zmieniała postanowienie.

O oznaczonej godzinie bohaterka nasza ukazała się w salonie przybrana w blado-niebieską jedwabną suknię, krojem i ozdobami zbliżoną do sukni jej siostry. Włosy jej wiły się w naturalnych puklach, których nadmierną obfitość przytrzymał na czubku głowy długi, niski grzebień z jasnego szylkretu, ledwo widoczny w złocistej gęstwinie jej loków. Obcisła, gładka suknia, tak dokładnie uwydatniała jej kształty, iż zdawać się mogło, że sprytne dziewczę dobrze jest świadome ukrytych pod nią powabów. Chusteczka z pięknej dreźnieńskiej koronki osłaniała z lekka jej kibić. Jedynym klejnotem, jaki miała na sobie, był złoty naszyjnik spięty bogatą kłamrą.

Raz tylko, gdy przechodzili do jadalni, Lawton dojrzał nóżkę obutą w błękitny jedwabny pantofelek, wysuwającą się z pomiędzy fałd sukni, i z westchnieniem pomyślał, że, chociaż nie

przysiadłaby się na nic w strzemienu, za to w menuecie byłaby najpiękniejszą ozdobą tego tańca.

Gdy murzyn ukazał się na progu pokoju i z niskim ukłonem oznajmił, że „obiad czeka”, pan Wharton przybrany w cynamonowy frak z olbrzymimi guzikami zbliżył się ceremonialnie do panny Singleton i pochyliwszy niziutko swą upudrowaną głowę, podał jej ramię.

Doktor Sitgreaves złożył tę samą czołobitność pannie Peyton, która podała mu dłoń, włożywszy wprzód rękawiczki.

Pułkownik Wellmere skłonił się przed Sarą i otrzymał wzamian czarowny uśmiech, a Fanny złożyła końce paluszków na ramieniu kapitana Lawtona z dziewiczą nieśmiałością.

Wiele czasu minęło, nim całe towarzystwo usadowiło się wreszcie dokoła stołu ku wielkiej radości Cezara, z zachowaniem wszystkich przepisów etykiety. Murzyn wiedział, że dzięki tym ceremoniom obiad stygnie, i zrozumieć nie mógł, czy to nie wszystko jedno, gdzie kto usiądzie, byle mu się najlepsze kąski dostały.

Przez pierwsze dziesięć minut wszyscy byli zupełnie zadowoleni prócz Lawtona, a i on byłby się czuł całkowicie szczęśliwym, gdyby nie nadmiar gościnności gospodarza i panny Peyton, którzy wciąż podsuwali mu półmiski z potrawami, których nie lubił, co przeszkadzało mu nakładać sobie porcje z tych, za jakimi przepadał. Nareszcie uczta zaczęła się na dobre, i ogólne milczenie było wymowniejszą pochwałą kulinarnej sztuki Diny, niż najszumniejsze dytyramby.

Następnie zaczęto wznosić toasty na cześć obecnych dam, ale ponieważ wino było doskonałe, a kieliszki pokaźnych rozmiarów, kapitan zniósł tę przerwę dość filozoficznie. Owszem, tak dalece chodziło mu o to, by żadnej z pań nie obrazić, że zaczawszy pić zdrowie tej, która przy nim siedziała, spełniał kielichy jeden za drugim tak gorliwie, że żadna z pań nie mogła mu zarzucić, by którą z nich pominął.

Na usprawiedliwienie kapitana Lawtona powiedzieć można, że od dawna jedynie fałszowane wino było dostępnym mu nektarem i że gdy mu się nadarzyła sposobność pokosztowania jak smakuje prawdziwe, nie mógł się oprzeć pokusie i kosztował nad miarę. Pan Wharton swego czasu należał do grona tych polityków w New-Yorku, których głównym zajęciem przed wojną było zbierać się i rozprawiać o sprawach Europy i Ameryki pod wpływem pewnego napoju, wyciśniętego z winogrodu, rosnącego na południowej stronie wyspy Madery, który dostawał się do koloni Północnej Ameryki drogą na Indie Zachodnie, przebywając czas jakiś na Zachodnim Archipelagu dla wypróbowania klimatu. Spory zapas tego szacownego kordiału sprowadził on ze stolicy do Akacji, i teraz część jego błyszczała w butelce przed kapitanem Lawtonem jak bursztyn, pławiąc się w promieniach słońca.

Aczkolwiek mięsiwa i jarzyny pojawiły się na stole w doskonałym porządku i symetrii, szturm jaki przypuścili do nich biesiadnicy, złamał te sprawne szyki i wprowadził wśród nich nieopisany chaos, przypominający odwrót pobitej milicji. W ślad za tym rozpoczęły się nowe procesje, dzięki którym wszelakiego rodzaju ciasta, kremy i inne słodyczne pojawiły się na stole.

Pan Wharton nalał szklanę wina siedzącej przy nim damie i puszczając w kurs butelkę, rzekł z niskim ukłonem:

- A teraz panna Singleton raczy zaszczyć nas toastem.

Aczkolwiek tego rodzaju wezwanie było rzeczą zwykłą w podobnych okolicznościach, Izabela zdrząła, zarumieniła się i zbladła znowu, po czym, gdy całe towarzystwo zaczęło patrzeć na nią z zaciekawieniem, opamiętała się trochę i z wysiłkiem, jakby na próżno starała się myśleć o kim innym, rzekła cichutko:

- Major Dunwoodie.

Wszyscy spełnili ten toast ochotnie prócz pułkownika Wellmere'a, który zaledwie zwilżył usta i zaczął kreślić zygzaki po obrusie palcem umaczanym w rozlanym winie, po czym rzekł, zwracając się do kapitana Lawtona:

- Przypuszczam, iż ten pan Dunwoodie otrzyma awans w buntowniczej armii za to, że dzięki memu nieszczęśliwemu wypadkowi udało mu się wziąć górę nad moim pułkiem.

Kawalerzysta uspokoił był już swe gastronomiczne pożądanja ku zupełnemu zadowoleniu i może, wyjąwszy Washingtona i swego bezpośredniego komendanta, nie znał śmiertelnika, o którego gniew troszczyły się w tej chwili. Naprzód więc nalał sobie wina ze stojącej przed nim butelki, a potem odrzekł z niezrównaną zimną krwią:

- Z przeproszeniem pańskim, pułkowniku Wellmere, major Dunwoodie winien posłuszeństwo Zjednoczonym Stanom Ameryki Północnej, a komu je winien, temu je składa. Taki człowiek nie jest buntownikiem. Co się tyczy awansu, to mam nadzieję, że go otrzyma naprzód dlatego, że na niego zasługuje, a po wtóre dlatego, że jestem najbliższym mu rangą w pułku. Nie wiem też, co pan nazywa nieszczęśliwym wypadkiem, o ile nie jest nim w pańskim mniemaniu spotkanie z jazdą wirgińską.

- Nie będziemy się sprzeczać o wyrażenia - rzekł pułkownik wyniośle. - Mówiłem, jak mi nakazywał obowiązek względem mego władcy. Ale czy nie uważasz pan straty dowódcy za nieszczęście dla oddziału?

- Mogłoby to być, nie przeczę - w pewnych razach - odparł kawalerzysta z naciskiem.

- Panno Peyton, a pani nie zaszczyć nas toastem? - zawołał pan domu, pragnąc przerwać tę rozmowę.

Panna Peyton skinęła głową z godnością, gdy wymieniła nazwisko „generała Montrose” i dawno niewidziany rumieniec zabarwił z lekka jej policzki.

- Nie ma elastyczniejszego określenia nad wyraz „nieszczęście” - rzekł chirurg, nie bacząc na strategiczne wybiegi pana Whartona. - Dla jednych nieszczęściem jest to, co drudzy poczytują za szczęście; nieszczęście płodzi nieszczęście; życie jest nieszczęściem, bo może być środkiem do znoszenia nieszczęść, i śmierć jest nieszczęściem, gdyż skraca uciechy życia.

- I nieszczęściem jest to, że na naszym stole nie pojawia się takie wino - przerwał

kawalerzysta.

- Zechciej więc pan spełnić nim jaki toast, skoro panu smakuje - rzekł pan Wharton.

Lawton napełnił szklanę po brzegi i wypił „Na cześć szybkiego pokoju lub wartkiej wojny”.

- Spełniam pański toast, kapitanie Lawton, choć mocno niedowierzam pańskiemu udziałowi w tej sprawie - rzekł chirurg. - Według mego skromnego zdania, kawaleria powinna być trzymana w odwodzie, by pomagać zwycięstwu, a nie wysyłana na front, by je odnosić. Takie powinno być jej przyrodzone zajęcie, jeżeli określenie to może być zastosowane w danym razie; gdyż cała historia wykazuje, że jazda wtedy tylko dokazała czegoś, gdy ją umiejętnie trzymano w rezerwie.

Przemowa ta, wypowiedziana dostatecznie dydaktycznym tonem, dała panie Peyton asumpt do opuszczenia stołu. Wstała więc, a młodsze panie poszły za jej przykładem.

Prawie równocześnie pan Wharton i jego syn przeprosili towarzystwo, że muszą odejść z powodu pogrzebu bliskiego sąsiada.

Odejście pań było sygnałem dla pojawienia się cygara chirurga, które umieszczał w kącie ust tak umiejętnie, że mu to nie przeszkadzało mówić.

- Jeżeli cośkolwiek może osłodzić niewolę i rany to myśl, że ponosi się te cierpienia w towarzystwie pań, które nas opuściły przed chwilą - zauważył z galanterią pułkownik.

- Współczucie i dobroć oddziałują na ludzki organizm - rzekł chirurg, strąsając popiół z cygara małym palcem ze zręcznością specjalisty.

- Istnieje ścisły związek pomiędzy fizycznymi i moralnymi uczuciami, wszelako, aby przeprowadzić kurację i przywrócić naturze zdrowie, które utraciła bądź to skutkiem choroby, bądź przypadku, potrzeba czegoś więcej. W takich wypadkach światła... - tu chirurg przypadkowo spojrzał na kawalerzystę, i umilkł. Zaciągnąwszy się parę razy z pośpiechem, usiłował dokończyć zdanie: - w takim razie świadomość wypływająca ze światła....

- Mówiłeś pan - rzekł pułkownik Wellmere popijając wino.

- Chciałem tylko powiedzieć - ciągnął dalej Sitgreaves, obracając się plecami do Lawtona - że kataplazm z chleba nie zestawia złamanej ręki.

- Wielka szkoda - zawołał kawalerzysta - bo poza jedzeniem, niema chyba niewinniejszego zastosowania dla pożywienia.

- Do pana, pułkowniku Wellmere - ciągnął dalej chirurg - jako do człowieka wykształconego mogę się bezpiecznie odwołać. (Pułkownik skłonił się). Musiałeś pan zauważyć straszliwe spustoszenia, jakie w pańskich szeregach sprawiali ludzie pod dowództwem tego pana (pułkownik zeszytywniał znowu) jak, gdy ciosy spadły na nich, życie bywało zawsze beznadziejnie zagrożone; jak pewne, zadawane przez nich rany były tego rodzaju, że najbiegły operator nie okazywał się wobec nich pomocnym; do pana tedy odwołuję się z triumfem, abys mi raczył powiedzieć, czy pański oddział nie byłby równie skutecznie pobity,

gdyby pańscy ludzie byli na przykład stracili prawą rękę, zamiast potracić głowy.

- Pański triumf w odwoływaniu się do mnie jest poniekąd niewczesnym - rzekł pułkownik Wellmere.

- Czy sprawa wolności zyskuje cośkolwiek na takiej niczym nieusprawiedliwionej zaciekłości... - ciągnął dalej chirurg, dosiadłszy ulubionego konika.

- Nie wiem dotychczas, czy sprawa wolności zyskuje w jakikolwiek sposób na czyimkolwiek udziale w buntowniczej armii - odparł pułkownik.

- Co pan mówisz? Wielki Boże! więc o cóż my walczymy?

- O niewolę, tak, łaskawy panie, o niewolę; stawiacie tyranie tłumy na tronie dobrego i wyrozumiałego władcy. Cóż więc jest warta ta wasza wychwalana wolność?

- Co warta? - powtórzył chirurg, rozglądając się dokoła błędnym wzrokiem, w takie osłupienie wprawiały go zarzuty stawiane sprawie, którą dotychczas poczytywał za świętą.

- Tak, panie, co warta? Kongres waszych mędrców wydał manifest, proklamujący równość praw politycznych.

- To prawda, i to bardzo szlachetne postanowienie.

- Zapewne, tylko skoro tak, to czemu nie wyzwolicie waszych niewolników?

Argument ten, który większość rodaków pułkownika uważa za rozstrzygającą odpowiedź na tysiąc wymownych faktów, posłużył i w danym razie za broń, której pułkownik Wellmere użył dla ostatecznego zmiażdżenia przeciwnika. W istocie, każdy Amerykanin czuje się upokorzonym, że musi tłumaczyć swą ojczyznę z pozornej niekonsekwencji i niesprawiedliwości wspomnianego prawa. Uczucia jego wtedy są mniej więcej podobne do uczuć ucziwego człowieka, który musi usprawiedliwiać się z hańbiącego zarzutu, chociażby wiedział, że zarzut ten jest niesłuszny. W gruncie rzeczy Sitgreaves obdarzony był sporą dozą zdrowego rozumu, i wezwał go teraz na pomoc dla obrony swojej sprawy.

- Nazywamy wolnością prawo decydującego głosu w rządzących nami ciałach prawodawczych. Krzywdą nam się wydaje podlegać władzy króla, który rządzi narodem, mieszkającym o trzy tysiące mil od nas, i nie mogącym mieć, ani nie mającym nic wspólnego z naszymi politycznymi sprawami. Nie wspominam tu o ucisku, dziecko doszło do pełnoletności i otrzymało przynależne temu wiekowi przywileje. W takich wypadkach jeden jest tylko trybunał, do którego naród może się odwołać o swoje prawa: to jest siła, i my się teraz do niej odwołujemy.

- Takie zasady mogą dogadzać obecnym waszym celom - rzekł szyderczo pułkownik - ale sprzeciwiają się poglądom i postępowaniu wszystkich cywilizowanych narodów.

- Owszem, zgadzają się z postępowaniem wszystkich narodów - rzekł chirurg, odwzajemniając uśmiech i potakujące znaki Lawtona, który cenił zdrowy rozum kolegi w równej mierze jak lekceważył to, co nazywał jego „medycznymi bredniami”; - któż chciałby być

rzządzonym, skoro sam potrafi rządzić? Więc jedynym racjonalnym gruntem, na którym stanąć można, jest ten, że każde społeczeństwo ma prawo stanowić o sobie, o ile nie pogwałca przez to praw Boskich.

- A czy trzymanie bliźnich w niewolnictwie zgadza się z tymi prawami? - zapytał pułkownik z naciskiem.

Chirurg nalał sobie szklankę wina, popił, i podjął rzuconą rękawicę.

- Niewolnictwo - rzekł - praktykowało się od najdawniejszych czasów, i o ile mi wiadomo, nie wykluczała go żadna religia ani żadna forma rządu. Wszystkie narody cywilizowanej Europy stosują lub stosowały ten rodzaj rygoru względem swoich bliźnich.

- Wyjąwszy Wielką Brytanię! - zawołał pułkownik dumnie.

- Nie, panie - rzekł chirurg z wielką pewnością siebie, czując, że przenosi teraz wojnę na grunt nieprzyjacielski - nie mogę uczynić wyjątku dla Wielkiej Brytanii. Jej to dzieci, jej okręty, jej prawa pierwsze wprowadziły ten obyczaj do naszych Stanów, i odpowiedzialność za to musi spaść na jej instytucje. Nie ma ani jednej piędzi ziemi należącej do Anglii, gdzie tylko murzyn może być użytecznym, która nie miałaby swych niewolników. Anglia sama ich nie ma, ale Anglia posiada nadmiar sił fizycznych, które musi utrzymać w karbach pauperyzmu. To samo da się powiedzieć o Francji i większości europejskich narodów.

Co zaś się nas tyczy, dopóki chcieliśmy pozostawać koloniami, nie mówiło się nic o naszym systemie domowego niewolnictwa, ale teraz, gdy postanowiliśmy pozyskać choć tyle wolności, ile nam jej wadliwy system stołecznych rządów pozostawił, wyrzucają nam to, co jest darem Anglii. Czy wasz władca wyzwoli niewolników swoich poddanych, jeżeli mu się uda zwyciężyć nowe Stany - czy też skaże białych na taką samą służalczość, na jaką tak długo patrzył przez szpary, odnośnie do czarnych? Prawda, utrzymujemy ten opłakany zwyczaj, stopniowo musi się znaleźć na to lekarstwo, i niewątpliwie w miarę rozwoju naszych swobód rozluźniać się będą więzy niewolnictwa, aż, da Bóg, nadejdzie czas, kiedy na tych pięknych obszarach nie znajdzie się ani jedna istota ludzka w położeniu, nie pozwalającej jej sądzić o dobroci Stwórcy.

Należy pamiętać, że doktor Sitgreaves mówił to przed czterdziestoma laty * i że pułkownik Wellmere nie był w możności zaprzeczyć jego proroczym twierdzeniom.

Uważając przedmiot ten za zbyt zawiły, pułkownik przeszedł do pokoju pań i usiadłszy obok Sary znalazł przyjemniejsze tematy w opowiadaniu o wypadkach towarzyskiego życia w New-Yorku i wspomnianiu dawnych wspólnych znajomych. Panna Peyton słuchała z zajęciem, krzątając się koło herbacianych przyborów, a Sara często chyliła zapłonioną twarzyczkę nad robótką, by ukryć rumieńce, jakie wywoływały na nią pochlebne uwagi towarzysza.

Poprzednia rozmowa przywróciła jak najlepsze stosunki pomiędzy chirurgiem a kapitanem Lawtonem, poczym pożegnawszy się z paniami obaj dosiedli koni, pierwszy aby odwiedzić rannych w obozie a drugi aby się połączyć ze swym oddziałem. Ale zamiarowi temu zaraz na

wstępie sprzeciwił się wypadek, który opowiemy w następującym rozdziale.

ROZDZIAŁ XIV.

*„Nie widzę już tych białych pukli
z rzadka wieńczących tę czcigodną
głowę; ani tego miękkiego rozmo-
dlonego spojrzenia, ani tej czystej
wiary, która mu dodawała siły. Lecz
on szczęśliwy, a ja się nie skarzę;
bo mądrym ten jest, co umie na
swoim poprzestać.”*

Crabbe.

Powiedzieliśmy już, że zwyczaje amerykańskie nakazują szybkie chowanie zmarłych, a konieczność pomyślenia o własnym bezpieczeństwie zmusiła kramarza do skrócenia tego i tak skąpego czasu, w którym dozwolone mu było patrzeć jeszcze na martwe oblicze ukochanego ojca. W zamieszaniu, spowodowanym wyżej opisanymi wypadkami, śmierć starego Bircha przeszła niepostrzeżenie; zebrała się jednak gromadka najbliższych sąsiadów, by oddać nieboszczykowi ostatnią posługę. Ten to zbliżający się orszak powstrzymał u bramy domu pana Whartona, kawalerzystę i chirurga. Czterech ludzi niosło ubogą trumnę, a czterech szło przodem, w pogotowiu by luzować towarzyszy. Tuż za trumną szedł kramarz, a obok niego postępowała Katy Haynes, w postawie zbolalej, za nimi szli obaj Whartonowie. Kilkoro staruszków płci obojga zamykało pochód. Kapitan Lawton siedział na siodle wyprostowany, aż żalobny kondukt zrównał się z nim. Wówczas po raz pierwszy Harvey podniósł utkwione w ziemi oczy i ujrzał wroga, którego się tak bardzo lękał, tuż przed sobą.

W pierwszej chwili chciał uciekać, ale opamiętał się wnet, utkwiał wzrok w trumnie rodzica i pewnym krokiem, acz z bijącym sercem wyminął dragona. Kawalerzysta z wolna zdjął czapkę i pozostał z obnażoną głową, póki pan Wharton i jego syn nie przeszli, wówczas w towarzystwie chirurga zwrócił konia i jechał z wolna za orszakiem w niezachwianym milczeniu.

Z suteryn Akacji wyszedł Cezar i z uroczystą twarzą przyłączył się do żałobników, trzymając się jednak w pełnej poszanowania odległości od obu jeźdźców. Stary murzyn opasał sobie rękaw powyżej łokcia serwetką niepokalanej białości, po raz pierwszy bowiem od wyjazdu z New-Yorku nadarzała mu się sposobność wystąpienia w niewolniczej żałobie. Był on wielkim miłośnikiem tak zwanego decorum, a dodawała mu też bodźca obecność czarnego przyjaciela z Georgii, któremu pragnął pokazać cały ceremoniał nowojorskiego pogrzebu. Gorliwość ta jednak, trochę za daleko posunięta, ściągnęła na niego łagodne napomnienie panny Peyton. Nie tyczyło się ono bynajmniej jego udziału w pogrzebie, lecz owej białej serwetki jako zgoła niestosownej oznaki żałobnej czci względem człowieka, który za życia sam sobie był panem i sługą.

Cmentarz znajdował się na gruntach pana Whartona, i on sam przed kilku laty otoczył go murowanym parkanem. Nie było to jednak miejsce wiecznego spoczynku dla członków jego rodziny. Wspaniałe mauzoleum znajdowało się w Nowym-Yorku, i tam mieli oni leżeć wszyscy w arystokratycznym odosobnieniu.

Gdy pochód skręcił z gościńca na polną dróżkę, wiodącą do bramy cmentarnej, kapitan Lawton uczynił taki ruch, jak gdyby chciał towarzyszyć mu dalej, lecz chirurg w porę przywołał go do porządku.

- Ze wszystkich sposobów, jakimi posługuje się człowiek w ostatecznym urządzeniu swych ziemskich szczątków, któremu oddajesz pierwszeństwo, kapitanie Lawton? - rzekł chirurg, gdy rozdzielili się z żałobnym orszakiem. - W niektórych krajach porzucają ciało na pożarcie dzikim zwierzętom, w innych zawieszają je w powietrzu, by się obróciło wniwecz drogą rozkładu; w innych palą je na stosach, w innych jeszcze grzebią we wnętrznościach ziemi. Każdy naród ma swój własny system w tym względzie. Jakież zatem przypada ci najbardziej do gustu?

- Wszystkie są rozkoszne - odpowiedział kawalerzysta przeprowadzając wzrokiem trumnę starego Bircha - ale według mnie im prędzej załatwiają się te sprawy, tym lepiej. A ty, doktorze, jakiego jesteś zwolennikiem?

- Ostatniego, stosowanego u nas, tamte bowiem nie dają pola do dysekcji, tymczasem w ostatnim wypadku trumna może spoczywać w przyzwoitym spokoju, podczas gdy zwłoki poddane są pożytecznym celom wiedzy. Ach! kapitanie Lawton! rzadko kiedy nadarza mi się sposobność tego rodzaju, niezmiernie rzadko w porównaniu z tym, czego się spodziewałem, wstępując do armii.

- I jakaż jest mniej więcej roczna suma tych przyjemności? - zapytał kapitan, odwracając

wzrok od cmentarza.

- Około tuzina, nie więcej. Najlepsze moje zniwo bywa przy oddzielnych szwadronach; bo gdy jesteśmy z główną armią, tylu tam się znajdzie amatorów, iż rzadko kiedy mogę zdobyć dobry okaz. Ci młodzi to wszystko marnotrawne jak biblijni synowie, a żarłoczne jak sępy.

- Około tuzina! - powtórzył kawalerzysta ze zdumieniem - ależ ja sam dostarczę ci tę porcję własnoręcznie.

- Ach! Jacku - odparł doktor, poruszając ten przedmiot z wielką ostrożnością - twoi pacjenci, jeżeli ich tak nazwać mogę, nie na wiele mi się przydają; straszliwie ich oszpecasz. Wierz mi, Johnie, mówię ci to po przyjacielsku; twój system jest na wskroś wadliwy, niepotrzebnie niszczysz życie, a przy tym tak uszkodzasz ciało, że staje się całkiem niepodobne do jedyne go użytku, do jakiego trup służyć może.

Kawalerzysta nic na to nie odrzekł, uważając milczenie za najlepszy sposób zachowania zgody pomiędzy nimi, a doktor, obejrawszy się za cmentarzem, który nikł im z oczu na skrócie drogi, mówił dalej ze stłumionym westchnieniem:

- Można by dostać naturalnie zwłoki dzisiejszej nocy z tego oto cmentarza, gdyby czas był i sposobność po temu. Zmarły musiał być ojcem tej kobiety, którą widzieliśmy dziś rano.

- Doktora w spódnicy! - rzekł kawalerzysta z uśmiechem, który nie bardzo się podobał chirurgowi - ależ ona nie była córką zmarłego, tylko jego pielęgniarką i lekarką, a ten Harvey, którego imię miała ciągle na ustach, to jest właśnie ów osławiony kramarz-szpieg.

- Co? ten, który zrzucił cię z konia?

- Nikt jeszcze nie zrzucił mnie z konia, doktorze Sitgreaves - rzekł dragon z powagą. - Upadłem z winy Roanoke'go. Jeździec i koń ucałowali razem matkę ziemię.

- Słodki to był uścisk, sądząc po śladach, jakie ci pozostawił. Ale jaka szkoda, że nie możesz odnaleźć kryjówki tego łotra!

- Szedł za ciałem ojca.

- I tyś mu pozwolił przejść! - krzyknął chirurg, wstrzymując konia. - Na Boga, wracajmy i bierzmy go; jutro każesz go powiesić, Jacku, a ja go pokraję!

- Zwolna, zwolna, kochany Archibaldzie; chciałbyś zaaresztować człowieka, w chwili gdy oddaje ostatnią posługę zmarłemu ojcu? Zostaw go mnie; a przyrzekam ci, że sprawiedliwości stanie się zadość.

Doktor mruknął coś z niezadowoleniem, lecz musiał zgodzić się na zwłokę z uwagi na przyzwoitość, i jechali dalej, rozmawiając o różnych kwestiach dotyczących się dobrobytu ludzkiego ciała.

Tymczasem spuszczano trumnę starego Bircha do grobu. Harvey zachowywał się z powagą i spokojem, jakie przystoją męskiemu żałobnikowi w podobnej chwili. Katy przypadła rola wykazania tkliwych uczuć płci słabszej. Bywają natury, które zdolne są do płaczu tylko w

odpowiednim towarzystwie, i podżyła dziewczyna należała do nich. Rozejrzawszy się po gromadce obecnych, gospodyni zauważyła, że oczy znajdujących się wśród nich paru kobiet zwrócone są na nią w uroczystym oczekiwaniu, i to podziałało niezwłocznie. Rozpłakała się rzewnie, co zjednało jej ogromne współczucie widzów i opinię tkliwego serca raz na zawsze. Muskulary twarzy kramarza drgnęły, a gdy pierwsze grudki ziemi padły na trumnę z tym głuchym łoskotem, który tak wymownie świadczy o doczesności człowieka, cała jego postać zatrzęsała się konwulsyjnie. Pochylił się, jak gdyby przytłoczony nadmiarem bólu, palce zwieszonych bezwładnie wzdłuż ciała rąk poruszały się nerwowo, twarz przybrała wyraz zdradzający straszliwą mękę duszy, lecz trwało to chwilę tylko. Zmógł się i stanął wyprostowany, z podniesioną głową, a na ustach jego zaigrał cień uśmiechu, jak gdyby wywołany świadomością odniesionego nad samym sobą zwycięstwa. Prędko zasypano grób; dwa duże kamienie, ułożone po obu końcach, oznaczały jego miejsce, a trochę zwiędłej darni, nędznej jak dola zmarłego, okryło ubożuchną mogiłę. Po skończonym obrzędzie sąsiedzi, którzy usłudze kwapili się w jego spełnieniu, zdjęli kapelusze i stali patrząc na Harveya, który teraz istotnie zrozumiał, że jest sam na świecie. Odkrył także głowę, zawahał się chwilę dla nabrania potrzebnych sił i przemówił:

- Przyjaciele i sąsiedzi, dziękuję wam za waszą obecność i pomoc przy pogrzebaniu zwłok mego ojca.

Nastąpiła tradycyjna cisza po tym tradycyjnym przemówieniu, i gromadka rozeszła się milcząco. Parę osób odprowadziło Harveya i Katy do ich domu, lecz z szacunkiem cofnęło się od progu. Jeden tylko człowiek wszedł za nimi do wnętrza, znany w okolicy pod wiele mówiącym mianem „spekulanta”. Katy spoglądała na niego z sercem bijącym strasznymi przecuciami, ale Harvey podał mu grzecznie krzesło i był widocznie przygotowany na te odwiedziny.

Następnie poszedł ku drzwiom, rozejrzał się bacznie po dolinie i, prędko wróciwszy, rozpoczął następującą rozmowę:

- Słońce zachodzi już za wzgórze, nie mam czasu do stracenia. Oto jest akt sprzedaży domu i gruntu, wszystko sporządzone podług prawa.

Tamten wziął dokument i zaczął przeglądać go z namysłem, pochodzącym w części z ostrożności, a w części stąd, że wykształcenie jego za lat młodzieńczych było mocno zaniedbane. Przez ten czas Harvey zbierał rzeczy, które zamierzał zabrać ze sobą, opuszczając dom na zawsze. Katy spytała go już uprzednio, czy zmarły zostawił testament, i patrzyła, jak kładł Biblię na dno nowego toboła, który mu pomogła spakować z pozorną obojętnością, ale gdy spostrzegła, że Harvey złożył obok owe sześć srebrnych łyżek, nie mogła znieść takiego marnotrawstwa własności i rzekła:

- Będzie ci brak tych łyżek, Harvey, gdy się ożenisz.

- Nie ożenię się nigdy.

- Ano, nie trzeba się nigdy zarzekać. Człowiek nie wie, co go spotkać może. Chciałabym

wiedzieć, na co się przyda tyle łyżek pojedynczemu człowiekowi; moim zdaniem, każdy mężczyzna, mający się dobrze, powinien się ożenić i stworzyć rodzinę.

W czasach gdy Katy wyrażała ten pogląd, majątek kobiety jej sfery składał się z krowy, łóżka, sutej pościeli, a w razach gdy fortuna okazała się dla niej wyjątkowo szczodra, z pół tuzina srebrnych łyżek.

Podżyła dziewczica własną pracą i oszczędnością uciułała sobie wszystkie powyższe skarby, bez tego jednego tylko; łatwo więc wyobrazić sobie, co się w niej działo, gdy zobaczyła przedmioty, które tak długo uważała za swoje, znikające w głębi olbrzymiego toboła, zwłaszcza iż oznajmienie kramarza, tyżące się postanowienia pozostania w bezżeństwie, nie pocieszyło jej bynajmniej - Harvey wszelako, nie troszcząc się o jej uczucia i poglądy, napępniał w dalszym ciągu toból, który wkrótce urósł do rozmiarów zwykłego jego pakunku.

- Nie wiem tylko, czy ten akt sprzedaży jest ważny w ogóle - rzekł nowonabywca, przesyłabizowawszy wreszcie treść dokumentu.

- A to dlaczego?

- Bo słyshałem, że dwóch sąsiadów wybiera się jutro rano do urzędu, żeby przeprowadzić konfiskatę tej nieruchomości. Ładnie bym wyglądał, gdybym zapłacił czterdzieści funtów i stracił wszystko.

- Mogą skonfiskować tylko to, co jest moje - rzekł kramarz - zapłać mi dwieście dolarów, a dom jest wasz. Znają was jako whiga i was niepokoić nie będą.

Harvey wypowiedział te słowa ze szczególną goryczą, połączoną z przebiegłą troską o sprzedaż swego mienia.

- Powiedzmy sto, a dobijemy targu - odparł tamten z grymasem, który miał być dobrodusznym uśmiechem.

- Targu! - powtórzył Harvey ze zdziwieniem - przecież to już rzecz załatwiona.

- Nic nie jest załatwione - rzekł nabywca, parsknawszy śmiechem - dopóki papiery nie są oddane, a pieniądze zapłacone na rękę.

- Wszak papier już macie.

- Ano i zachowam go, jeżeli się zgodzimy. No, dalej, powiedzmy sto pięćdziesiąt dolarów. Niech będzie moja strata. Płacę gotówką.

Kramarz spojrział w okno i zobaczył z przestraczem, że wieczór szybko się zbliża. Wiedział, że naraża życie, zostając na miejscu po zapadnięciu zmroku, nie mógł jednak pogodzić się z myślą takiego zdzierstwa po zawartej już umowie i zawahał się.

- Ha! - rzekł nabywca wstając - może przez noc znajdziesz lepszego kupca, ale coś mi się widzi, że za dnia prawa twoje szeląga nie będą warte.

- Bierz pieniądze Harveyu - rzekła Katy, niezdolna oprzeć się takiej przynęcie, bo należność, którą nabywca położył na stole, była w nowiutkich angielskich gwinejach. Głos jej zbudził

kramarza z zadumy, jakaś nowa myśl przyszła mu do głowy, - Zgadzam się na cenę - rzekł i zwróciwszy się do Katy, podał jej część pieniędzy, mówiąc: - Gdybym miał inne pieniądze na zapłacenie ci, wolałbym stracić wszystko, niżbym się dał tak bezczelnie ograbić.

- Możesz jeszcze stracić wszystko - mruknął nabywca, z szyderczym uśmiechem, gotując się do wyjścia.

- Tak - rzekła Katy, przeprowadzając go oczyma - on wie, czego ci niedostaje; myśli tak jak ja, że po śmierci ojca potrzeba ci będzie kogoś, co by miał staranie o tobie i twoim dobytku.

Kramarz kończył przygotowania do odejścia i nie zwracał uwagi na tę przymówkę, ale Katy nie dała za wygraną. Żyła lat tyle w oczekiwaniu spełnienia się jej nadziei tak odmiennych od tego, co teraz stać się miało, że myśl o rozłące zaczęła przejmować ją większym żalem, niż sama nawet przypuścić mogła, skoro chodziło o człowieka tak wyzutego z mienia i osamotnionego.

- Maszże przynajmniej jaki inny dom, gdzie byś mógł złożyć głowę? - zapytała.

- Opatrzność pomyśli o tym za mnie.

- Tak - rzekła gospodyni - ale może to, o czym Opatrzność pomyśli dla ciebie, nie będzie ci się podobało.

- Ubodzy nie mogą być wybredni.

- Jaka jestem, to jestem - zawołała Katy prędko - ale lubię, żeby wszystko odbywało się przyzwoicie i jak należy; mimo to zgodziłabym się sama stąd odejść. Nie powiem też, żeby tutejsi ludzie byli po mojej myśli.

- Dolina jest piękna - rzekł kramarz z przejściem - a ludzie są wszędzie jednacy. Ale mnie to już nic nie obchodzi; wszystkie miejsca są dla mnie jednakie, wszystkie twarze jednakowo obce.

Powiedziawszy to, upuścił trzymany w ręku przedmiot i siadł na krześle z wyrazem beznadziejnego zgnębienia.

- Nie mów tak, Harveyu - rzekła Katy, przysuwając się z krzesłem do niego. - Nie mów tak. Mnie chyba powinienes znać; moja twarz nie może ci być obcą.

Birch z wolna zwrócił oczy na jej twarz, w której po raz pierwszy, odkąd ją znał, odmalowało się jakieś szczere, nieegoistyczne uczucie, ujął łagodnie jej rękę i rzekł z pewną serdecznością:

- Tak, dobra kobieto, ty jedna nie jesteś mi obcą, ty możesz oddać mi do pewnego stopnia sprawiedliwość, i gdy inni potępiać mnie będą, znajdziesz może coś na moją obronę.

- Ani chybi, że znajdę - rzekła Katy żywo - bronić cię będę Harveyu do upadłego, niech no spróbują jeden z drugim powiedzieć co na ciebie. Masz słusność, Harveyu, jestem sprawiedliwą względem ciebie. Mniejsza z tym, że służysz królowi, podobno to w gruncie dobry człowiek, tylko w kraju tam niema religii, a ministrowie to skończone łotry, ot co!

Harvey wstał i zaczął się przechadzać po izbie, w ruchach jego malowała się godność, która silne wrażenie wywarła na gospodyni.

- Dopóki żył mój ojciec - wyszeptał Harvey, niezdolny powściągnąć wzruszenia - on czytał

w moim sercu i - o! jakaż to była pociecha wrócić do domu z tajemnych wędrówek, po przebytych niebezpieczeństwach i doznanych zniewagach i otrzymać jego błogosławieństwo i pochwałę! Ale jego już niema - dodał zatrzymując się i patrząc błędnym wzrokiem w ten kąt, w którym zwykle siadywał jego ojciec - i kto mi teraz odda sprawiedliwość?

- Ależ Harveyu! Harveyu!

- Tak, jest ktoś co mi ją odda, co musi mnie poznać, nim umrę. Och! jaka to straszna rzecz umrzeć i takie imię po sobie zostawić.

- Nic mów o śmierci, Harveyu - rzekła Katy rozglądając się bojaźliwie po izbie i dorzucając dREW na ogień.

Uniesienie kramarza minęło. Wywołały je wypadki dnia ubiegłego i bolesna świadomość oczekującej go doli. Ale ten szczególny człowiek nie pozwalał długo uczuciom brać górę nad rozsądkiem; spostrzegłszy więc, że noc zapadła już na dworze, śpiesznie zarzucił toból na plecy i ujmując zyczliwie rękę Katy:

- Ciężko mi rozstać się nawet z tobą, dobra kobieto - rzekł - ale godzina nadeszła, i muszę iść. To, co zostało ze sprzętów, jest twoje, mnie niepotrzebne, a tobie przydać się może. Żegnaj więc, spotkamy się kiedyś.

- W krainie ciemności! - zawołał głos, na którego dźwięk kramarz osunął się z rozpaczą na stołek.

- Co, już nowy toból, panie Birch? I tak dobrze wyładowany, tak prędko?

- Nie dosyć mi już złego wyrządziłeś? - zawołał kramarz, odzyskując zwykłą sprężystość i zrywając się na równe nogi. - Jeszcze ci mało, żeś zatrul ostatnie chwile umierającego, żeś mnie zubożył? Czego więcej chcesz ode mnie?

- Twojej krwi - rzekł skinner z chłodną zawziętością.

- Za pieniądze! - zawołał kramarz. - Jak Judasz wzbogacisz się ceną mojej krwi.

- Ho! piękna to cena, mój paniczu, pięćdziesiąt gwinei, prawie tyle, co zaważy twój kadłub w złocie.

- Patrz - rzekła Katy szybko - to jest piętnaście gwinei, a to łóżko i ta komoda są moje, pozwól Harveyowi odejść stąd bezpiecznie o godzinę drogi, a będą twoje.

- O godzinę? - rzekł skinner, wyszczerzając zęby i patrząc pożądliwie na pieniądze.

- Tylko o jedną godzinę. Masz, bierz.

- Stój! - zawołał Harvey - nie pokładaj wiary w tym niegodziwcu.

- Wolno jej robić z jej wiarą, co jej się podoba - rzekł skinner zjadliwie - ale ja mam pieniądze i nie oddam, a co się tyczy ciebie, panie Birch, ścierpimy twoje zuchwalstwo - dla miłości pięćdziesięciu gwinei, jakie nam zapłacą za twoją szubienicę.

- Prowadź mnie zatem - rzekł kramarz dumnie - prowadź mnie do majora Dunwoodie, ten przynajmniej może być sprawiedliwym, a nie znęcać się nad bezbronnym.

- A po co mnie iść tak daleko w tak hańbiącym towarzystwie? Gdzie ja bym szukał teraz tego pana Dunwoodie, co się za torysami ugania? Ale oddział kapitana Lawtona kwateruje w pobliżu, a za jego kwitem otrzymam tak samo nagrodę. Jak ci się uśmiecha myśl zjedzenia dziś kolacji w towarzystwie kapitana Lawtona, panie Birch?

- Oddaj mi pieniądze, albo puść Harveya wolno - zawołała Katy wystraszona.

- To za mało, coś mi dała, zacna niewiasto; chyba że znajdzie się więcej w tym łóżku.

I z tymi słowy skinner zaczął dźgać bagnetem w siennik, po czym z szatańską złośliwością porozwłóczył pościel po całej izbie.

- Jeżeli - zawołała gospodyni, tracąc poczucie osobistego niebezpieczeństwa w twórze o świeżo nabytą własność - jeżeli są jakie prawa w tym kraju, to ci to na sucho nie ujdzie.

- Prawo neutralnego gruntu jest prawem silniejszego, a mój bagnet dłuższy jest niż twój język, więc radzę ci, babo, trzymaj go za zębami, bo mogłabyś pożałować, jeżeli go rozpuścisz.

W cieniu drzwi stała jeszcze jakaś postać, jak gdyby obawiając się, że ją ktoś wśród skinnerów zobaczyć może, lecz jeden z nich rzucił jakiś sprzęt w ogień, i w blasku tym kramarz ujrzał nabywcę swego domku. Zobaczył też, iż najbliżej stojący skinner coś z nim szeptał, Harvey zrozumiał, że padł ofiarą zмовy pomiędzy tymi łotrami. Ale już było za późno, wyszedł więc za swymi prześladowcami pewnym i spokojnym krokiem, jak gdyby szedł na ucztę, a nie na szubienicę. Idąc przez podwórze, herszt bandy potknął się o kłodę drzewa i padł na ziemię jak długi. Rozwścieczony zerwał się, klnąc na czym świat stoi.

- Do krośset stu tysięcy diabłów z kłodą! - wykrzyknął - ciemno choć oko wykol, podpał tam który te szczapy, to nam będzie widniej.

- Stójcie! - wrzasnął spekulant - spalicie dom!

- Wielka rzecz! - odpowiedział tamten. - Będzie nam za to widniej.

I rzucił płonąca głownię na dach. W jednej chwili budynek stanął w płomieniach.

- Pójdźcie, chłopcy, dostańmy się na wzgórze, póki nam będzie świeciło.

- Łotrze! - wrzasnął rozwścieczony nabywca - taka to twoja przyjaźń? Taka nagroda, żem ci dopomógł schwycić kramarza!

- Trzymaj się z dala od światła, jeżeli nam chcesz wymyślać, bo będziemy widzieli za dobrze, żeby spudłować - zawołał herszt. W chwilę potem spełnił pogroźkę, lecz na szczęście chybił, a wystraszony spekulant rzucił się do ucieczki. Kąty również poszła za jego przykładem, a nazajutrz rano jedyną pozostałością z domku kramarza, był ów wielki komin, o którym wspomnieliśmy na początku.

ROZDZIAŁ XV.

„Drobnostki, lekkie jak wiatr, są dla zazdrośnika tak niezbitymi dowodami jak słowa Pisma świętego.”

Otello.

Powietrze, łagodne i czyste od czasu burzy, zmieniło się teraz z nagłością amerykańskiego klimatu. Ku wieczorowi zaczął dąć zimny wiatr od gór, a wirujące w nim płatki śniegu świadczyły, że nadszedł listopad, miesiąc, w którym temperatura przemienia się z letnich upałów w chłody zimy.

Fanny stała w oknie swego pokoju, spoglądając na zwolna postępujący żałobny orszak z tak głębokim smutkiem, że sam ten widok nie mógł go obudzić. Istotnie, było w jej duszy coś, co odpowiadało temu bolesnemu obrządkowi. Rozglądając się wokoło, widziała drzewa uginające się pod naporem wiatru, pędzącego doliną z gwałtownością, od której trzęsły się nawet ściany, a las do tak niedawna grający w słońcu wspaniałymi barwami, tracił w oczach te uroki, gdy ostre podmuchy ogołacały gałęzie z liści i gnały je przed sobą zmięte i poszarpane. Na wzgórzach tu i ówdzie widać było południowych dragonów, patrolujących drożyny wiodące do obozowiska, jak otulali się szczelnie fałdami płaszców i odwracali twarze smagane wichrem, niosącym od jezior jędrność wielkich świeżych wód.

Fanny patrzała na niknącą zwolna w głębi ziemi drewnianą trumnę ojca kramarza, i posępny ten widok przyczynił się jeszcze do gnębiącej atmosfery otoczenia. Kapitan Singleton spał pod opieką swego służącego, siostra jego zaś, ulegając namowom Fanny, poszła do jej pokoju, by tam odpocząć w ciszy i snem pokrzepić siły, wyczerpane nocną podróżą. Wewnętrzne drzwi łączyły ten pokój z pokojem zajmowanym obecnie przez obie siostry; drzwi te były na wpół uchylone, i Fanny podeszła ku nim w zamiarze zajrzenia do panny Singleton, sądząc, iż zastanie ją śpiącą; tymczasem zgoła nieoczekiwany widok przedstawił się jej oczom. Czarne warkoczki, tak gładko przylegające do głowy Izabeli podczas obiadu, były teraz rozpuszczone i hebanową falą spływały na jej ramiona i piersi; przepaściście czarne oczy, tak rażąco odbijające od matowo bladej twarzy,

tkwiły nieruchomo w portrecie, który panna Singleton trzymała w ręku. Fanny, spojrzawszy mimo woli, uczuła, że oddech zamiera jej w piersiach, i instynktownie położyła dłoń na sercu, dostrzegła bowiem, że był to portret mężczyzny w dobrze znanym mundurze południowych dragonów i że były to te same rysy, które tak głęboko wyźłobiły się w jej wyobraźni. Fanny uczuła całą niewłaściwość takiego wglądania w cudze tajemnice, lecz zbyt silne wzruszenie nie dozwoliło jej wymówić słowa; osunęła się tylko na krzesło, nie mogąc oderwać oczu od wpatrzonej w portret dziewczyny. Izabela tak była zatopiona we własnych myślach i uczuciach, że nie spostrzegła obecności Fanny. Cała drżąca z pałającymi oczyma przycisnęła portret do ust z namiętnością, która miała w sobie coś niemal dzikiego. Wyraz jej twarzy był tak zmienny, a zmiany te następowały po sobie tak szybko, że Fanny nie mogła zdać sobie sprawy z natury wrażeń, miotających duszą tej dziewczyny. To tylko dostrzec mogła, że przeważały w nich zachwyt i ból, a dowodem tego ostatniego były wielkie łzy, spadające po bledziuchnych policzkach na portret.

Nagle Izabela wstała i podeszła do okna. Fanny straciła ją z oczu i zamierzała powstać także i zbliżyć się do niej, gdy dźwięki nieopisanie przejmującej melodii przykuły ją do miejsca. Głos Izabeli był niewielki, a tony tej melodii nieco dzikie, lecz wykonanie przewyższało wszystko, co Fanny dotychczas słyszała, tak że oczarowana stanęła jak wryta, tłumiąc oddech, by nie stracić jednej nutki z tej nadzwyczajnej pieśni:

Dmie mroźny wicher ze szczytów gór
I nagi stoi na skłonach dąb.
Nie widać słońca z za szarych chmur
I tylko lodu połyskuje zrąb.
Cała natura w dorocznym śnie spoczywa,
Lecz w mojej piersi straszna się burza zrywa.

Długo nas wróg nie zdołał zmóc,
Długo mu mężnie kraj opór dał;
Aż zatknął wreszcie nasz dzielny wódz
Wolności sztandar na szczytach skał.
I już swobodniej oddycha kraj nasz cały;
Lecz usta moje uśmiechów zapomniały.

W dali, jak szereg cmentarnych mar
Bezlistne drzewa stanęły w krąg,
Lecz w mojej piersi wre uczuć żar

I pali ogniem piekielnych mąk.
Na zewnątrz wszystko w pościeli śniegów tonie,
A szał namiętny budzi się w moim łonie.

Fanny duszą całą tonęła w stłumionych dźwiękach tej melodii, aczkolwiek słowa pieśni wyrażały myśl, która w połączeniu z wypadkami obu minionych dni budziła nieznane dotąd uczucia w piersi dziewczęcia. Izabela skończywszy śpiewać odstała od okna, i po raz pierwszy wzrok jej spoczął na pobladłej twarzyczce słuchaczki. Obie jednocześnie spłonęły rumieńcem, błękitne oczy Fanny spotkały się na chwilę z czarnymi źrenicami Izabeli, i obie natychmiast przysłoniły je powiekami; postąpiły jednak ku sobie i ręce ich splotły się milczącym uściskiem.

- Ta nagła zmiana pogody, a może i stan mego brata usposobiły mnie dziwnie melancholijnie - rzekła Izabela cichym, drżącym głosem.

- Och! O brata może być pani spokojna - wymówiła Fanny w ten sam sposób - stan jego poprawia się z każdą chwilą. Gdyby go pani była widziała, gdy go tu przynieśli z rozkazu majora Dunwoodie...

Fanny umilkła, ogarnięta nagle jakimś niepojętym wstydem, i podniósłszy oczy spostrzegła, że Izabela wpatruje się w nią tak badawczo, że znowu zarumieniła się gwałtownie.

- Mówiłaś pani o majorze Dunwoodie - podjęła Izabela słabym głosem.

- Tak, był z kapitanem Singletonem.

- Pani znasz Dunwoodie'go? Widujesz go często?

I znowu Fanny i odważywszy się spojrzeć na Izabelę, ujrzała te czarne oczy utkwione w nią tak badawczo, jak gdyby ją chciały przeniknąć do głębi duszy.

- Mów pani, czy znasz majora Dunwoodie?

- To mój krewny - odrzekła Fanny, wylękłona dziwnym zachowaniem się tamtej.

- Krewny! - powtórzyła panna Singleton. - W jakim stopniu? Mów pani! zaklinam cię, mów.

- Nasi rodzice byli spokrewnieni - wyszeptała Fanny.

- A on ma być mężem pani? - zawołała tamta gwałtownie.

Fanny uczuła się dotkniętą w swej dumie przez to tak natarczywe wdzieranie się w tajniki jej serca, podniosła więc główkę z pewną urazą, lecz widok drżących ust Izabeli i jej śmiertelnie białych policzków uśmierzyły jej gniew natychmiast.

- Więc to prawda, moje przypuszczenia są trafne; powiedz mi, pani, zaklinam przez litość dla moich uczuć, powiedz, czy kochasz Dunwoodie'go?

W głosie panny Singleton dźwięczała tak żałosna skarga, że Fanny rozbrojona zupełnie osunęła się na krzesło, kryjąc płonąca twarz w dłoniach.

Izabela przeszła się parę razy po pokoju, walcząc z gwałtownością miotających ją uczuć, po czym przystąpiła do siedzącej panienki i ująwszy jej rękę, przemówiła, siląc się na spokój:

- Wybacz mi, pani, jeżeli niezdolna opanować się postąpiłam niedelikatnie, ale gdybyś wiedziała jak potężny wzgląd - jaka okrutna przyczyna...

Zawahała się, Fanny podniosła twarz, oczy ich spotkały się znowu, i obie padły sobie w objęcia. Długi to był i szczery uścisk, żadna z nich jednak nie przemówiła ani słowa; i po pewnej chwili Fanny wyszła z pokoju w milczeniu.

Gdy ta nadzwyczajna scena rozgrywała się w pokoju panny Singleton, rzeczy wielkiej doniosłości działy się w salonie. Usunięcie i schowanie resztek takiego obiadu, jak ów, któryśmy powyżej opisali, było zadaniem nie lada. Pomimo że kilka sztuk drobnej zwierzyny zniknęło w kieszeniach służącego kapitana Lawtona, i że nawet pomocnik doktora Sitgreaves'a uznał za rzecz roztropną skorzystać z tak niecodziennej sposobności zaprowiantowania się na czarną godzinę, zostało jeszcze tyle nietkniętego jedzenia, że panna Peyton nie wiedziała co z tym robić. Naradzali się więc oboje z Cezarem dosyć długo; skutkiem czego pułkownik Wellmere i Sara Wharton pozostali sami w salonie. Po wyczerpaniu wszystkich zwykłych tematów rozmowy pułkownik z pewnym zakłopotaniem napomknął o wypadkach dnia poprzedniego.

- Nie przypuszczaliśmy oboje, panno Saro, gdy po raz pierwszy zobaczył tego pana Dunwoodie w domu państwa przy ulicy Królowej, że wyrośnie z niego taki znakomity rycerz - rzekł Wellmere z przymuszonym uśmiechem.

- Tak, znakomity, zważywszy na przeciwnika, jakiego pokonał - rzekła Sara, rozumiejąc uczucia towarzysza. - Ze wszelkich względów było to istotnym nieszczęściem, że pana spotkał ten wypadek; w przeciwnym razie wojska królewskie niewątpliwie byłyby odniosły triumf jak zwykle.

- A jednak przyjemność takiego towarzystwa, jakie temu wypadkowi zawdzięczam, sownie wynagradza mi cierpienia upokorzonego ducha i ran fizycznych - rzekł pułkownik dziwnie miękkim głosem.

- Mam nadzieję, że te ostatnie są mało znaczące - rzekła Sara, pochylając się pod pozorem zdjęcia jakiejś niteczki z kolan, by ukryć gwałtowny rumieniec.

- Tak, nic nieznaczące w porównaniu z tamtymi - odpowiedział pułkownik w ten sam co poprzednio sposób. - Ach! panno Saro, w takich chwilach dopiero rozumie się w całej pełni wartość przyjaźni i współczucia.

Ci, którzy tego nie doznali, łatwo jednak wyobrazić sobie mogą szybkie postępy, jakie w ciągu półgodziny uczynić może miłość we wrażliwym panińskim serduszk, zwłaszcza, gdy grunt po temu jest już przygotowany. To naprowadzenie rozmowy na tory przyjaźni i współczucia tak przejęło Sarę, że nie mogła zdobyć się na odpowiedź. Podniosła tylko oczy na pułkownika i spostrzegła, że ten wpatruje się w jej śliczną twarzyczkę z wymowniejszym nad wszelkie słowa uwielbieniem.

Sam na sam to trwało z godzinę, a choć oficer angielski nie powiedział nic takiego, co

doświadczona w tych sprawach matrona mogłaby uznać za decydujące, przecież w tym wszystkim co mówił było tyle słodkich i znaczących niedomówień, że Sara udała się na spoczynek z sercem po raz pierwszy lżejszym od chwili wzięcia brata do niewoli.

ROZDZIAŁ XVI.

*„Zadzwońmy w puchary, klink klank!
Zadzwońmy w puchary, klank!
Bo żołnierz to zuch,
A życie to puch,
Więc złożmy mu winny dank!”*

Jago (w Otellu).

Obozowisko oddziału dragonów było, jakżeśmy to już powiedzieli, ulubionym miejscem postoju ich komendanta. Pół tuzina małych, nędznych domostw tworzyło to, co ze względu na jej położenie na skrzyżowaniu dwóch dróg nazywano wioską Czterech Kątów. Jak zwykle, jeden z najpokaźniejszych tych budynków nosił nazwę „Gościnnego domu dla ludzi i zwierząt” w języku owych czasów. Jednakże na prostej tablicy, wiszącej nad drzwiami, jaśniał napis czerwoną kredą: „Elżbieta Flanagan. Jej hotel” - koncept któregoś z żartownisiów obozowych. Niewiasta, której nazwisko wyniesiono do tak niespodziewanej godności, w zwykłym trybie rzeczy pełniła obowiązki markietanki, praczki, i - mówiąc stylem Katy Haynes - doktora wojskowego w spódnicy. Była wdową po zabitym na wojnie żołnierzu, który jak ona pochodził z dalekich stron i od wczesnej młodości próbował szczęścia w koloniach Ameryki Północnej. Wędrowała wciąż za wojskiem, i gdzie tylko rozłożono się na parę dni obozem, wnet zjawiał się wózek krzykliwej niewiasty, wyładowany przedmiotami obliczonymi na to, by obecność jej uczynić jak najpożądaną. Z nadzwyczajną zręcznością i szybkością, Betty rozgospodarowywała się na

miejscu i zaczynała handel. Czasem wózek pełnił obowiązki sklepu, czasem żołnierze klecili jej naprędce jakąś budę; obecnie zaś przywłaszczyła sobie ową opuszczoną rudę i pozatykawszy brakujące w oknach szyby brudnymi gałganami, porobiła w niej, jak to sama określała: „bardzo aliganckie pokoje”. Żołnierze mieścili się w przyległych stodołach, a oficerowie zajęli „Hotel Flanagan”, jak żartobliwie nazywali tę przygodną główną kwaterę. Betty znała dobrze każdego kawalerzystę, nazywając go po imieniu lub z przydomku, jak jej się podobało, i choć wprost nieznośna dla nie znających ją bliżej, była ogólną ulubienicą tych partyzanckich wojaków. Wadami Betty były: skłonność do trunków, bezgraniczne niechlujstwo i brak wszelkich względów na przyzwoitość wysłowienia; cnotami: ogromna miłość przybranej ojczyzny, wielka uczciwość w handlu z żołnierstwem opartym na pewnych znanych zasadach, i wrodzona dobroć serca. Dodać należy, iż Betty była wynalazczynią dobrze znanej po dziś dzień pod nazwą „cocktail’u”^{*} mieszanki; wychowanie i okoliczności specjalnie uzdolniły Elżbietę Flanagan do wszelkich trunkowych udoskonaleń, a gorliwa osobista praktyka była najlepszą rękojmą dokładności jej studiów w tym kierunku. Taką tedy była właścicielka zajazdu, która teraz, nie zważając na ostre podmuchy północnego wiatru, ukazała na progu swe kwitnące oblicze, by powitać swego ulubieńca, kapitana Lawtona, i jego towarzysza, a jej mistrza w chirurgicznych zabiegach.

- Jak pragnę awansu, luba Elżbieto, tak miłym mi jest twój widok - zawołał kawalerzysta, zeskakując z siodła - Ten wstrętny wicher z Kanady przedmuchał mnie na wskroś, ale jedno spojrzenie na twe ogniste policzki już mnie rozgrzało.

- Pan jest zawsze komplementysta, kapitanie Jacku - odrzekła markietanka, ujmując uzdę jego konia - ale wchodź żywo do izby, mój klejnocie, a znajdziesz tam coś, co ci wnet ciało i duszę pokrzepi.

- Bardzo wątpię - rzekł kapitan - miałem świeżo do czynienia z butelką ze rzniętego szkła na srebrnej podstawce, to mi na długo apetyt na twoje whisky popsuło.

- Jeżeli chodzi o srebro i złoto, to tego u mnie nie znajdziesz, a przynajmniej w takim sensie, żeby z tego pić można - rzekła Betty dobrodusznie, przy czym mrugnęła okiem - ale jest tam coś, co warto oprawić w diamenty.

- Co ona przez to rozumie, Archibaldzie? - zapytał Lawton. - Baba wygląda tak, jakby istotnie miała coś na myśli.

- Jest to zapewne bredzenie władz umysłowych, nadużyciem trunków spowodowane - zauważył chirurg, z rozmysłem przekładając lewą nogę przez kulę siodła i zsuwając się na ziemię z prawej strony konia.

- Oj! złościły doktoru! pan zawsze tak opacznie zsiada z konia - rzekła Betty z ponownym mrugnięciem na kawalerzystę - ale niech pan będzie spokojny; leczyłam tu rannych w pańskiej nieobecności, karmiąc ich, czym się dało.

- O! barbarzyńska głupoto, - zawołał przerażony doktor - opasać gorączkujących ludzi ciężkostrawnym pożywieniem; kobieto, kobieto, sam Hipokrates okazałby się wobec ciebie bezsilnym.

- Ba! - rzekła Betty z niezmaconym spokojem. - Jest też o co robić tyle hałasu. Mamy galonik whisky na całą gromadę; dałam każdemu po troszeczkę, żeby im się lepiej spało, i teraz chrapią aż się rozlega.

Lawton i jego towarzysz weszli do wnętrza, i pierwszy rzut oka wyjaśnił im znaczenie zapewnień Betty. Długi stół, uczyniony z desek powyrywanych z jakiejś przybudówki, stał pośrodku największej izby zwanej pompatycznie „salą”, a na nim widać było trochę glinianych naczyń. Zapachy potraw dolatywały z sąsiedniej kuchni, ale główną przynętę stanowił okazały gąsior zajmujący honorowe miejsce pośrodku stołu. Lawton, nie mieszkając, sprawdził, że zawiera prawdziwy bursztynowy sok winnej jagody, i że przysłano go z Akacji w upominku dla majora Dunwoodie, w upominku od jego przyjaciela kapitana Whartona z królewskiej armii.

- Prawdziwie królewski to podarunek - rzekł uśmiechnięty podoficer, który udzielił nowoprzybyłym tego objaśnienia. - Major wydaje dla nas ucztę z powodu zwycięstwa, i jak panowie widzicie, główną jej podstawę dostarczył nam nieprzyjaciel. Na honor, myślę, że gdy łyknjemy tego napitku, będziemy mogli przypuścić atak do głównej kwatery sir Henryka i uprowadzić jego samego.

Kapitan dragonów wcale się nie zmartwił perspektywą zakończenia tak przyjemnie dnia, który się tak miło zaczął. Wnet otoczyli go koledzy, rozpytując o jego przygody, doktor zaś poszedł z bijącym trochę sercem obejrzeć rannych. Olbrzymi ogień, rozpalony na kominie „sali”, zastępował świece, rzucając jasne blaski na zgromadzonych przy nim oficerów. Byli to wszystko ludzie młodzi i wytrawni żołnierze, a obejście ich i rozmowa tworzyły dziwną mieszaninę partyzanckiej szorstkości z wykwintną układnością światowców. Ubrani byli czysto i starannie choć prosto, a niewyczerpanym tematem rozmów były zalety i wady ich wierzchowców. Niektórzy próbowali drzemać po ławach podpierających ściany, inni chodzili po izbie, a inni wreszcie siedzieli zajęci poważną rozmową o głównych zadaniach ich życia. Raz po raz gdy drzwi kuchni otwarto, smakowite wonie jadła i syczenie patelni przerywały wszelkie inne zajęcia; drzemający nawet podnosili głowy i otwierali oczy, starając się węchem sprawdzić stan ponętnych przygotowań. Przez cały ten czas Dunwoodie siedział na uboczu patrząc w ogień, pogrążony w zadumie, której żaden oficer przerwać nie śmiał. Wypytał on szczegółowo doktora Sitgreaves'a o stan Singletona, w trakcie czego głębokie i pełne poszanowania milczenie panowało w „sali”; ale gdy Dunwoodie, skończywszy rozmowę z chirurgiem, usiadł na dawnym miejscu, rozległy się znów zwykłe śmiechy i wesoła wrzawa.

Pani Flanagan nie troszczyła się wielce o zastawę stołu, i Cezar byłby zgorszony, widząc

nieład, w jakim tłoczyły się półmiski i salaterki napełnione rozlicznymi potrawami, które mniej więcej były do siebie podobne. Natomiast siadając do stołu, zajmowano miejsca ściśle podług starszeństwa rangi, gdyż pomimo całej swobody towarzyskich stosunków, panujących w tych partyzanckich oddziałach, przestrzegano w nich wojskowej etykiety z czymś do religijnej czci zbliżonym.

Większość biesiadników była zbyt wygłodzoną, by zważać na różne szczegóły, mogące ostudzić ich gastronomiczny zapal, inaczej się jednak miały rzeczy z kapitanem Lawtonem. Patrzył on z odrazą na kulinarne produkcje Betty i nie mógł się powstrzymać od przelotnych uwag nad stanem noży i mętnym wyglądem talerzy. Wrodzona dobroć i osobista słabostka Betty dla winowajcy sprawiała, że czas jakiś puszczała mu płazem te przytyki, dopiero gdy Lawton, odważywszy się ponieść do ust kawał czarnego mięsiwa, zapytał z miną rozpieszczonego dzieciaka:

- Jakiego to gatunku było zwierzę za swego żywota, pani Flanagan?

- Przecie to stara krowa, kapitanie - odpowiedziała markietanka z żalem, wywołanym w części narzekaniami jej ulubieńca, a w części zgryzotą po stracie owej mieszkanki obory.

- Co! - wrzasnął kawalerzysta, wstrzymawszy się w przełknięciu już żółtego kęsa - stara Jenny!

- Do licha! - zawołał inny - ta która odbyła z nami całą kampanię?

- Ona sama - odpowiedziała właścicielka hotelu żałośnie - pocziwe bydłatko, potrafiło żyć powietrzem w razie czego. Ach! panowie, straszna to rzecz jeść takiego starego przyjaciela.

- Więc na to przyszło, tej krowinie - rzekł Lawton, wskazując nożem na opróżnione w połowie półmiski.

- Ano kapitanie - odrzekła Betty - sprzedałam dwie ćwierci twoim ludziom, ale pary z ust nie puściłam, jakiego starego przyjaciela kupili, bo się bałam, żeby im to nie popsulo apetytu.

- Do diabła - zawołał kawalerzysta z udanym gniewem - taki traktament na zdrowie im nie pójdzie; jeszcze mi się gotowi pochorować na polu bitwy.

- Nie - rzekł porucznik Mason, melancholijnie upuszczając nóż i widelec, - moje szczęki są wrażliwsze niż niektóre serca. Nie chcę w żaden sposób znęcać się nad szczątkami tak dawnej znajomej.

- Spróbujcie no, panowie, kropelkę tego - rzekła Betty na pociechę, nalewając potężną szklanicę wina i wychylając ją duszkiem niby dla pokosztowania. - Phy! nic osobliwszego, istna popłuczka po trunku jak się patrzy.

Lody jednak były przełamane. Podano kielich wina Dunwoodie'mu, który, skłoniwszy się kolegom, spełnił go wśród głębokiego milczenia.

Wzniesiono jeszcze kilka patriotycznych toastów z należnym przejęciem, ale wino zrobiło swoje, i nim zluzowano warty u drzwi, niedobory obiadu poszły w zapomnienie i zapanowała

ogólna wesołość. Doktor Sitgreaves spóźnił się we wzięciu udziału w pośmiertnej spuściźnie Jenny, ale przyszedł w sam czas, by rozkoszować się podarunkiem kapitana Whartona.

- A teraz niech nam kapitan Lawton zaśpiewa - zawołało kilku oficerów, zauważywszy, że kapitan niezupełnie dzieli ich ochotę - cisza, koledzy, kapitan Lawton będzie śpiewał.

- Panowie! - rzekł kapitan, z oczyma trochę rozmarzonymi ilością spełnionych kieliszków, lecz z głową mocną jak zawsze - nie jestem wcale słowikiem, ale skoro zaszczycacie mnie wezwaniem, więc służę.

- Słuchaj, Jacku - rzekł chirurg - przypomnij sobie tę piosenkę, której cię nauczyłem, ale poczekaj! mam tu tekst w kieszeni.

- Nie, nie, kochany doktorze - rzekł kawalerzysta, nalewając sobie szklanicę z wielkim rozmysłem - to za trudne dla mnie rymy. Panowie pozwolicie, że zaśpiewam wam piosenkę własnego układu.

- Cisza, panowie! kapitan Lawton śpiewa - wrzasnęło kilku naraz, sprawiając jeszcze większą wrzawę, kapitan zaś zanucił pełnym, pięknym głosem na dobrze znaną pijacką nutę następujące zwrotki, przy czym koledzy dopomagali mu chórem, aż się trzęsły wątle ściany rudery:

Hej! chłopcy wesoło; podnieśmy wkrąg czasze.
Niech nikt z ich spełnieniem nie zwleka;
Weselmy się społem; bo jutro nie nasze
I krótkie jest życie człowieka.
A każdy kto mężnie potyka się z wrogiem,
Ten nie wie, co czeka za progiem.

Hej! mamó Flanagan
Napełnij nam dzban,
Bo twoja rzecz dać,
A nasza rzecz brać,
Dobra Betty Flanagan!

Jeżeli wam miłe domowe pierzyny
I spokój własnego podwórza,
Porzućcie honoru skaliste ścieżyny
I mianem pocieszcicie się tchórza
Lecz komu wśród walki nie straszna śmierć blada,
Ten na koń ochotnie niech siada.

Hej! mamó i t. d.

Gdy obcy wrogowie pustoszą nam sioła,
A żony, kochanki iść każą od siebie;
Za sprawę wolności nadstawmy im czoła
I mężnie padnijmy w potrzebie.
Bo chcemy w tym kraju, co losy nam dały,
Żyć wolni, lub w polu lec chwały.

Hej! mamó i t. d.

Po każdym takim chóralnym wezwaniu Betty podchodziła do stołu i literalnie spełniała zawarte w zwrotce żądanie ku niewymownej ucieście śpiewaków i ze współudziałem na własny rachunek. Raczyła się bowiem napojem, sporządzonym przez siebie i znacznie podatniejszym dla jej nawykłego do mocnych trunków podniebienia niż łagodny upominek kapitana Whartona, i dzięki temu mogła z łatwością dotrzymać kroku rozweseleniu swoich gości. Piosenkę kapitana Lawtona przyjęto z ogólnym zapalem, nie uczestniczył w nim tylko chirurg, który zaraz po pierwszej zwrotce wstał z ławy i przechadzał się po izbie w przystępie klasycznego oburzenia. Gdy brawa i oklaski ucichły, doktor zwrócił się do śpiewaka i zawołał:

- Kapitanie Lawton, zdumiewam się, że człowiek pańskiego urodzenia i wychowania, i dzielny oficer nie może znaleźć w dzisiejszych czasach próby innego tematu dla swojej muzy niż te niemądre inwokacje obozowej wiwandjerki, osławionego brudasa, Elżbiety Flanagan. Zdaje mi się, że Bogini Wolności mogłaby dostarczyć panu szczytniejszego natchnienia, a niedoli twej ojczyzny stosowniejszych tematów.

- Ejże! - zawołała właścicielka hotelu, groźnie przystępując do niego - i któż to mnie nazywa brudasem? Pan lewatywnik, pan bańkarz

- Cicho - rzekł Dunwoodie głosem trochę tylko podniesionym, ale który wywołał ogólne milczenie - wyjdź stąd, kobieto! Doktorze Sitgreaves, siadaj pan na swoim miejscu i nie psuj porządku biesiady.

- Siadam, siadam - rzekł chirurg, przybierając postawę pełną godności. - Tuszę sobie, majorze Dunwoodie, że nie są mi obce zasady przyzwoitości ani też towarzyskie obyczaje.

Betty wykonała śpieszną choć nieco chwiejną rejteradę, wdrożona do posłuszeństwa rozkazom komenderującego oficera.

- Major Dunwoodie zechce udarować nas jaką rzewną piosenką - rzekł Lawton, kłaniając się swemu dowódcy z dworskością, którą gdy chciał, tak dobrze potrafił przybrać.

Major zawahał się na chwilę, po czym z uczuciem i wielką umiejętnością zaśpiewał następujące strofki:

Są, którzy wielbią pałace blaski słońca
I pławić się chcieliby w nich bez końca,
Że żarem tym ich własne płoną lica;
Ale są inni, których nic tak nie wzruszy
I żaden czar tak nie rozmarzy duszy
Jak w letnią noc srebrzysty blask księżyca.

Kwiat tulipanu w królewskie strojny szaty
Drogi jest tym, co wielbią barw szkarłaty
A wzroku ich, jaskrawość ta nie nuży.
Ale szczęśliwy, dla kogo wieniec splata
Kochanki dłoń, droższa nad skarby świata,
I niesie mu zapachy białej róży.

Głos Dunwoodie'go męski a rzewny poruszył serca słuchaczy, to też gdy skończył, spotkały go oklaski nie tak hałaśliwe jak te, którymi przyjęto popis kapitana Lawtona, lecz mimo to o wiele pochlebniejsze.

- Gdybyś pan - rzekł doktor dołączywszy swój objaw uznania do pochwał kolegów - gdybyś pan nauczył się kojarzyć klasyczne aluzje z twą subtelną wyobraźnią, stałbyś się niepoślednim poetą amatorem.

- Kto krytykuje, powinien sam umieć tworzyć - rzekł Dunwoodie z uśmiechem. - Proszę doktora Sitgreaves'a o próbkę stylu, którego jest zwolennikiem.

- Doktor Sitgreaves zaśpiewa! Doktor Sitgreaves zaśpiewa! - powtórzył cały stół z uciechą. - Panowie! cisza dla klasycznej ody doktora Sitgreaves'a.

Chirurg skłonił się na znak zgody, wychylił resztę wina ze szklanki, odchrząknął kilkakrotnie, co wielce uradowało siedzących na szarym końcu młodzieńskich kornetów, i ogromnie fałszywym głosem zanucił:

Jeśli cię kiedy zranił grot Amora,
Jeśli wiesz, co to czuć łzę pod powieką,
Wspominać z rana i tęsknić z wieczora
I szukać blisko tego, co daleko,
Jeżeli, luba, znasz te wszystkie rzeczy,

Znasz ból, którego Galen nie uleczy.

- Hurra! - krzyknął Lawton - Archibald zapędził muzy w kozi róg. - Rymy jego płyną jak leśny strumyk przy świetle księżyca, a melodia jego jest połączeniem słowika z sową.

- Kapitanie Lawton - zawołał rozgniewany chirurg - inną rzeczą jest lekceważyć światła klasycznej nauki, a inną być samemu lekceważonym za własne nieuctwo.

Wtem dało się słyszeć głośne stukanie do drzwi, nastąpiła raptowna cisza, a dragoni instynktownie chwycili za broń, aby być w pogotowiu na wszelki wypadek. Tymczasem drzwi się otwały i weszli skinnerzy, wlokąc za sobą kramarza, pochylonego pod ciężarem swego toboła.

- Który z panów jest kapitanem Lawtonem? - rzekł herszt bandy, rozglądając się wkoło z pewnym zdziwieniem.

- Do usług - rzekł kawalerzysta sucho.

- Oddaję w pańskie ręce skazanego zdrajcę; ta jest Harvey Birch, kramarz-szpieg.

Lawton drgnął, spojrzawszy na znaną mu twarz, i zwracając pogardliwy wzrok na skinnera, zapytał:

- A Waćpan kto jesteś, że tak lekko mówisz o swoich bliźnich? Ale - tu skłonił się Dunwoodie'mu - przepraszam pana, majorze, tu jest komendant, do niego proszę się zwrócić.

- Nie - odrzekł posepnie herszt. - Panu wydaję kramarza i od pana żądam nagrody.

- Czy jesteś Harveyem Birchem? - zapytał Dunwoodie postępując naprzód w tak nakazującej postawie, że skinner cofnął się natychmiast w najdalszy kąt izby.

- Jestem nim - rzekł Birch dumnie.

- I zdrajcą ojczyzny - ciągnął dalej major surowo. - Czy wiesz, że byłbym usprawiedliwiony, gdybym dziś jeszcze posłał cię na szubienicę?

- Nie jest wolą Bożą odwoływać tak prędko duszę ludzką przed Jego obecność - rzekł kramarz z namaszczeniem.

- Prawdę mówisz - odparł Dunwoodie - i dlatego życie będzie ci przedłużone o kilka godzin. Ale ponieważ zbrodnia twa jest tą, którą żołnierz najbardziej pogardza, więc spotka cię zemsta żołnierza. Umrzesz jutro.

- Będzie, jak Bóg zechce.

- Schwytanie tego łotra dużo mnie trudu i czasu kosztowało - rzekł skinner, wysuwając się trochę z kąta - więc spodziewam się, że pan wyda mi świadectwo, upoważniające nas do odebrania nagrody; miała być wypłacona w złocie.

- Majorze Dunwoodie - rzekł wchodząc dyżurny oficer - patrole raportują, że spalono dom w pobliżu wczorajszego pola walki.

- To chata kramarza - mruknął herszt bandy - byłbym ją już dawno puścił z dymem, ale

potrzebną mi była, by tego chytrego lisa w jego własnej jamie przycapić.

- Wielce gorliwy i pomysłowy patriota z Waćpana - rzekł Lawton. - Majorze Dunwoodie, popieram żądanie tego zacnego jegomości, i upraszam o pozwolenie wypłacenia nagrody jemu i jego towarzyszom.

- Dobrze. A ty, nędzniku, przygotuj się na los, który spotka cię niewątpliwie, nim zajdzie jutrzejsze słońce.

- Życie nie ma dla mnie żadnych ponęt - rzekł Harvey, z wolna podnosząc oczy i patrząc błędnie na otaczające go obce twarze.

- Pójdźcie, godne dzieci Ameryki - rzekł Lawton - pójdźcie i otrzymajcie zasłużoną nagrodę.

Zbóje nie dali sobie powtarzać dwa razy tego zaproszenia i wyszli śpiesznie za kapitanem. Dunwoodie pomilczał chwilę, jakby czując pewien wstręt do triumfowania nad pokonanym wrogiem, i ciągnął dalej:

- Byłeś już sądzonym, Harveyu Birch, i prawda wykazała, że jesteś zbyt niebezpiecznym wrogiem swobód Ameryki, by ci pozwolono żyć nadal.

- Prawda! - powtórzył kramarz zadrżawszy, i wyprostował się, jakby nie czuł na plecach ciężaru toboła.

- Tak, prawda. Dowiedziono ci, żeś krążył w pobliżu armii lądowej, by wyspiegowawszy jej ruchy i doniósłszy o nich nieprzyjacielowi, umożliwić mu pokrzyżowanie planów Washingtona.

- Czy Washington to powie, jak pan sądzisz?

- Niewątpliwie, nawet sprawiedliwość Washingtona potępia cię.

- Nie, nie, nie! - zawołał kramarz takim głosem i w taki sposób, że to zastanowiło Dunwoodie'go. - Washington umie patrzeć głębiej, niż sięgają poglądy rzekomych patriotów. Alboż on sam nie rzucił wszystkiego na szalę? A jeżeli szubienica stoi gotowa dla mnie; albo nie stała i dla niego? Nie, nie, nie, nie, - Washington nie powie nigdy: „Prowadźcie go na szubienicę”.

- Co cię upoważnia, nieszczęsny człowieku, mówić w ten sposób? Cóż jest takiego, co mogłoby cię ocalić od śmierci w oczach Naczelnego Wodza? - zapytał Dunwoodie, ochłonawszy ze zdumienia, w jakie go wprowadziło zachowanie się kramarza.

Birch zadrżał. Straszna walka toczyła się w jego piersi. Twarz pobladła mu trupio, ręka wydobyła małe blaszane pudełeczko, schowane za koszulą. Otworzył je, zawierało kawałek papieru. Na tym dokumencie spoczęły na chwilę jego oczy, już go podawał Dunwoodie'mu, lecz nagle cofnął dłoń i wykrzyknął:

- Nie, to umrze wraz ze mną. Znam warunki mojej służby i nie kupię życia za sprzeniewierzenie się im. To umrze ze mną.

- Oddaj mi ten papier, a może znajdziesz łaskę - zawołał Dunwoodie, sądząc, że dowie się jakiej ważnej tajemnicy, obchodzącej sprawę wolności.

- To umrze ze mną! - powtórzył Birch; przelotny rumieniec zabarwił jego pobladłą twarz i oczy błysnęły nadzwyczajnym blaskiem.

- Bierzcie zdrajcę - zawołał major - i wydrzyjcie mu z rąk tajemnicę.

Rozkaz spełniono niezwłocznie, lecz kramarz szybciej jeszcze połknął papier. Oficerowie zdumieli, a chirurg krzyknął:

- Trzymajcie go, dam mu emetyku.

- Zabraniam - rzekł Dunwoodie dając mu nakazujący znak ręką. - Jeżeli zbrodnia jego jest wielka, ciężką też będzie i kara.

- Prowadźcie mnie - zawołał kramarz, zrzucając toboł z pleców i postępując ku drzwiom krokiem niepojętej godności.

- Gdzie? - zapytał Dunwoodie zdumiony.

- Na szubienicę.

- Nie - rzekł major, wzdrygnąwszy się mimo woli. - Obowiązek nakazuje mi skazać cię na śmierć, lecz nie tak nagle. Masz czas do dziewiątej jutro rano, by się przygotować na tę straszną chwilę.

Dunwoodie szepnął słów kilka jednemu z młodszych oficerów i dał znak kramarzowi do odejścia. Ale przerwana zabawa już się nie ponowiła, i oficerowie rozeszli się na nocny spoczynek. Niebawem zaległa cisza i słychać było tylko ciężkie stapania szyldwacha, przechadzającego się po zmarzłej ziemi przed Hotelem Flanagan.

ROZDZIAŁ XVII.

*„Są, których zmienne
rysy wyrażają każde niewinne uczu-
cie, piersią poruszające; gdzie Mi-
łość, Nadzieja i Litość tkliwa od-
bijają się jak w zwierciadle. Ale
trzeźwe doświadczenie umie pokryć
te wrażenia maską obojętności,
przywdzianą z umysłu, by zniwe-
czyć chytne zamiary podłej zdrady. „*

Duo.

Oficer, któremu Dunwoodie polecił pilnować kramarza, zdał ten obowiązek na sierżanta gwardii. Upominek kapitana Whartona pozostawił swoje ślady na młodzieńskim poruczniku, i pewien taneczny ruch, jaki wszystkie otaczające go przedmioty wykonywały w jego oczach, ostrzegł go o konieczności doprowadzenia natury do porządku za pośrednictwem snu. Zapowiedziawszy więc sierżantowi, by dawał pilne baczenie na więźnia, młodzieńczyk otulił się płaszczem i wyciągnąwszy na ławce przed ogniskiem, wprędce znalazł tyle pożądanego spoczynku. Na tyłach budynku mieściła się długa, nędzna szopa, a w jednym z jej końców sklecone naprędce przepierzenie tworzyło rodzaj komórki, przeznaczonej na skład rupieci gospodarskich. W tych bezprawnych czasach wszelako kto chciał, to zabrał stamtąd wszystko, co mogło mieć jeszcze jakąś wartość, i Betty Flanagan zaraz po przybyciu uznała z właściwym jej sprytem kąt ten za najodpowiedniejszy na pomieszczenie jej ruchomości i jej własnej osoby. Złożono tam również zapasową broń i bagaże oddziału, i połączone te skarby znajdowały się pod pieczę sztyldwacha, pilnującego tyłów głównej kwatery. Drugi żołnierz, stojący w pobliżu domu na straży oficerskich koni, mógł jednocześnie mieć na oku zewnętrzną część owej komórki, pozbawionej okna i jakiegokolwiek wyjścia prócz jednych drzwi wchodowych, co sprawiło, że rozważny sierżant uznał to miejsce za najodpowiedniejsze do zamknięcia w nim więźnia, aż do chwili wykonania wyroku. Skłoniła też do tego sierżanta Hollistera i nieobecność Betty, która leżała przed ogniskiem w kuchni i chrapała w najlepsze śniąc, że nieprzyjaciel napadł na oddział, i biorąc odgłosy, dobywające się z jej własnego nosa, za dźwięki trąbki wirgińskiej jazdy, idącej do ataku.

Sierżant Hollister miał swoje własne zapatrywania na życie i śmierć, wyróżniające go z pomiędzy kolegów jako wzór świątobliwości i nieskazitelnego postępowania. Miał on już przeszło pięćdziesiąt lat i większą część tego czasu przesłużył wojskowo. Ciągłe obcowanie z nagłą śmiercią odniosło na nim wręcz przeciwny skutek, niż to bywało zazwyczaj i uczyniło go nie tylko najpoważniejszym, lecz i najgodniejszym zaufania żołnierzem w jego oddziale. Kapitan Lawton wynagrodził jego wierność, czyniąc go swoim ordynansem.

Zaprowadził tedy sierżant Bircha w milczeniu do zaimprovizowanego więzienia i otworzywszy drzwi jedną ręką, drugą podniósł latarnię, by poświecić kramarzowi. Następnie siadł na baryłce, zawierającej tak ulubiony napój Betty, i dał znak Birchowi, by zajął w ten sam sposób drugą, latarnię zaś postawił na ziemi. Co gdy się stało, popatrzył czas jakiś uważnie na kramarza i rzekł:

- Wyglądasz mi na takiego, co spotka śmierć jak na mężczyznę przystoi, przyprowadziłem cię więc tutaj, byś w spokoju i ciszy mógł zebrać myśli i pojednać się z Bogiem.

- Straszne to miejsce, aby w nim spędzić ostatnie chwile - rzekł Harvey, rozglądając się

wokoło tępym wzrokiem.

- E, to najmniejsza, gdzie się człowiek sposobi na ostatnią rewię, byle się przysposobił jak należy - odpowiedział weteran. - Mam tu książeczkę, z której zawsze coś sobie odczytuję przed bitwą, i bardzo mnie to krzepi w potrzebie.

To powiedziawszy, wyjął z kieszeni Biblię i podał ją kramarzowi. Ten przyjął ją ze zwykłymi oznakami poszanowania, ale patrzył wciąż dokoła błędnym wzrokiem, co nasunęło sierżantowi przypuszczenie, że strach bierze nad nim górę, postanowił więc pocieszyć go, o ile to było w jego mocy.

- Jeżeli ci coś cięży na duszy - rzekł - to najlepsza chwila, żeby się tego pozbyć; jeżeliś kogo skrzywdził, przyrzekam ci słowem uczciwego dragona, że pomogę ci naprawić zło wyrządzone.

- Mało jest takich, którzy sobie nic do wyrzucenia nie mają - rzekł kramarz, spoglądając znów tępym wzrokiem na towarzysza.

- To prawda - ludzką rzeczą jest grzeszyć, ale zdarza się czasem, że człowiek uczyni coś, czego potem żałuje. I nie chciałby umierać z ciężkim grzechem na sumieniu.

Harvey przez ten czas obejrzał dokładnie całe wnętrze, gdzie miał spędzić noc, i przekonał się, że o ucieczce stąd nie mogło być mowy. Ale nadzieja, to uczucie, które na ostatku opuszcza ludzkie serce, i kramarz zaczął z kolei przypatrywać się sierżantowi tak bystro, że ten mimo woli spuścił oczy przed tym dziwnym wzrokiem.

- Nauczono mnie składać ciężar moich grzechów u stóp Stwórcy - wymówił kramarz.

- Tak, wszystko to jest bardzo piękne - odparł tamten - ale sprawiedliwości powinno się stać zadość, gdy jest po temu sposobność. W tych niespokojnych czasach wielu jest takich, których pozbawiono tego, co było ich prawną własnością. Ja sam często nie mogę pogodzić należytą mi wojennej zdobyczy z moim sumieniem.

- Te ręce - rzekł kramarz, wyciągając przed siebie chude kościste palce - pracowały ciężko lata całe, lecz ani razu nie splamiły się grabieżą.

- To bardzo dobrze, skoro tak jest - odparł zacy sierżant - i z pewnością jest to teraz wielką dla ciebie pociechą. Są trzy wielkie zbrodnie, od których, jeśli człowiek potrafił się uchronić, to z pomocą Boską, może się spodziewać, że mu w niebie lustracja dobrze pójdzie: a to są - kradzież, morderstwo i dezercja.

- Dzięki Bogu - rzekł Birch z zapalem - nic odebrałem nikomu życia.

- Oczywiście, jeżeli zabija się człowieka w bitwie, to spełnia się tylko swoją powinność. Jeżeli sprawa jest złą, to wina za to spada na cały naród, i żołnierz na równi z innymi otrzymuje karę, ale morderstwo, popełnione z zimną krwią, równa się w oczach Boga zbrodni dezercji.

- Nie byłem nigdy żołnierzem, więc nie mogłem być dezertorem - rzekł Birch, opierając twarz na dłoni w melancholijnej postawie.

- Widzisz, dezercja nie tylko w wojsku się trafia, chociaż to już jest jej najgorszy rodzaj, ale

człowiek może odstąpić swój kraj w potrzebie i wtedy także będzie dezertorem, choćby nigdy broni w rękę nie miał.

Birch ukrył twarz w dłoniach i cała jego postać zatrzęsała się jakby tłumionym łkaniem. Sierżant popatrzył na niego pilnie, ale dobre uczucia wzięły w nim górę nad odrazą, jaką przejmował go ten człowiek, i mówił łagodniej:

- Ale i ten występki może dostąpić odpuszczenia, jeżeli szczerze żałuje się za niego, i mniejsza z tym gdzie i jak człowiek umrze, byle umarł jak chrześcijanin i mężczyzna. Radzę ci więc, pomódl się, a potem zaśnij, abyś mógł sił nabrać. Nie ma nadziei, aby cię ułaskawili, bo pułkownik Singleton rozesłał wszędzie najwyraźniejsze rozkazy, by cię powiesili, gdziekolwiek cię złapią. Nie - nie - nic cię nie może ocalić.

- Masz słuszość - zawołał Birch - za późno już. Zniszczyłem moją deskę ocalenia. Lecz ufam, że On odda sprawiedliwość bodaj pamięci mojej.

- Jaka deska zbawienia? - zapytał sierżant ciekawie.

- To nic - odpowiedział kramarz, odzyskując zwykły spokój i unikając badawczego wzroku swego towarzysza.

- A kto jest On?

- Nikt.

- Nie i nikt, to ci się nie na wiele przyda - rzekł sierżant wstając. - Połóż się na łóżku pani Flanagan i postaraj się zasnąć, jutro obudzę cię na czas i doprawdy, chciałbym z duszy serca dopomóc ci w czymkolwiek, bo przykro mi, gdy człowieka jak psa wieszają mają.

- Więc możesz mnie ocalić od tej haniebnej śmierci! - zawołał Birch, zrywając się z miejsca i chwytając dragona za ramię. - Och! czego ja bym ci nie dał w nagrodę!

- A to w jaki sposób? - zapytał sierżant zdziwiony.

- Patrz! - rzekł kramarz, wydobywając kilka gwinei z zanadru - to jest nic w porównaniu z tym co ci dam, jeżeli mi dopomożesz uciec.

- Gdybyś był tym, którego portret jest na tych złotych monetach, jeszcze bym cię nie usłuchał - rzekł kawalerzysta, rzucając z pogardą pieniądze na ziemię. - Idź, nędzny człowieku, pojednaj się z Bogiem, bo On tylko może ci być dziś pomocą.

Powiedziawszy to, sierżant wziął latarnię i nie spojrzawszy już na kramarza, wyszedł zdjęty oburzeniem. Birch zrozpaczony padł na posłanie Betty, a sierżant tymczasem dawał ostatnie polecenia strażom, przykazując im strzec więźnia jak oka w głowie.

- Życie twoje w tym, żeby nie uciekł. Niech nikt tu nie wejdzie ani nie wyjdzie stąd do rana.

- Kiedy bo - rzekł kawalerzysta - mam rozkaz, żeby nie bronił pracze wchodzić i wychodzić kiedy jej się będzie podobało.

- No to jej nie broń, ale pilnuj, aby ten szczywany lis nie zaplątał się w jej spódnice - rzekł sierżant i poszedł dalej, wydając te same zlecenia innym strażom.

Czas jakiś po wyjściu sierżanta głęboka cisza panowała w izdebce więźnia. Wreszcie stojący pode drzwiami dragon usłyszał jego regularny oddech świadczący, że skazaniec śpi w najlepsze. Żołnierz aż zdumiał nad taką obojętnością dla życia, która nawet na progu śmierci nie przeszkodziła naturze zażywać zwykłego spoczynku. Imię Harveya Bircha było jednak tak zniechęcające w całym wojsku, że w zdumieniu tym nie było ani cienia politowania dla nieszczęsnego więźnia. Jakoż w całym oddziale nie byłby się z pewnością znalazł drugi taki jak sierżant Hollister, który byłby okazał Birchowi tyle współczucia” natomiast każdy byłby tak samo odrzucił jego pieniądze, choć może dla mniej szlachetnych powodów. Co się tyczy szyldwacha, przechadzającego się pod drzwiami komórki, to prócz pogardy była w nim jeszcze jakaś mściwa niechęć względem człowieka, zażywającego tak smacznie snu, którego on sam był pozbawiony, i okazującego tak jawne lekceważenie najśrodszej kary, jaką wojskowy rygor mógł mu wymierzyć za zdradę sprawy Wolności i Ameryki.

Parę razy brała go chętka zakłócić w jakiś sposób ten spoczynek, którego tak kramarzowi zazdrościł, ale dyscyplina, której podlegał, i jakieś tajemne poczucie wstydu przed podobnym brutalstwem nie dozwoliły mu tego.

Wkrótce jednak wyrwało go z zadumy pojawienie się Betty Flanagan, która zataczając się wyszła drzwiami prowadzącymi z kuchni na dwór, rozwścieczona na oficerskich służących, którzy swoimi figlami zbudzili ją ze snu przed ogniem. Strażnik, zobaczywszy ją chciał się wdać z nią w rozmowę, ale Betty klnąc i mrucząc nie dała mu dojść do słowa, dał jej więc wejść do izdebki, nie uprzedziwszy, że znajdzie w niej drugiego lokatora.

Usłyszał następnie, jak padła ciężko na łóżko, aż pod nią zatrzeszczało, po czym zaległa cisza, którą wkrótce znowu przerwało głośnie sapanie Harveya, jak gdyby wejście Betty nic na ciągłość jego snu nie wpłynęło. Zaraz też zmieniono strażę. Szyldwach, wciąż mający z kramarzem na pieńku za to jego lekceważenie śmierci, rzekł na odchodnym do swego następcy:

- Będziesz mógł sobie potaćzyć przy muzyce, Johnie; szpieg już gwizdże w najlepsze, a tylko czekać aż mu Betty zawtóruje. Żartowi temu towarzyszył ogólny śmiech zmieniających się straży, a w tejże chwili Betty ukazała się we drzwiach i zataczając się dążyła na poprzednie leże.

- Stój! - zawołał kawalerzysta, chwytając ją za spódnicę. - A może ty tam masz szpiega w kieszeni.

- Czy to nie słyszysz, jak ten łotr chrapie w moim pokoju, ty łajdaku z pod ciemnej gwiazdy - wybełkotała Betty, trzęsąc się ze złości. - Tak to obchodzicie się z uczciwymi kobietami, gałgany, żeby jej jakiegoś mężczyznę pakować do pokoju.

- E! taki tam mężczyzna, co go rano powieszę. Sama mówisz, że już śpi, jutro czeka go dłuższa drzemka.

- Puszczaj, nicponiu! - zawołała Betty, pozwalając odebrać sobie buteleczkę, którą trzymała w ręku. - Czekaj, pójde ja do kapitana Jacka i dowiem się, czy to on kazał zamknąć szpiega, co

go jutro wieszać mają, w moim pokoju i nawet na moim wdowim łóżku, ty złodzieju!

- Cicho, staro czarownico! - rzekł zaśmiawszy się kawalerzysta i pociągnął spory łyk z butelki - cicho, bo zbudzisz jegomościa, a ładnie to przerywać człowiekowi jego sen ostatni.

- Pójdę obudzić kapitana Jacka, ty hultaju, i przyprowadzę go tu, żeby mi się stała sprawiedliwość, on wam dopiero pokaże, co to jest postponować uczciwą wdowę. Będzie wam ciepło, gałgany!

I z tymi słowy, na które odpowiedział nowy wybuch śmiechu szyldwacha, Betty zataczając się poszła w stronę kwatery swego ulubieńca, kapitana Jacka Lawtona. Ale ani oficer, ani praczka nie pojawili się więcej tej nocy, i nic już nie przerwało snu kramarzowi, który ku zdumieniu różnych straży chrapał w dalszym ciągu, zdając się nie dbać o oczekiwającą na niego szubienicę.

ROZDZIAŁ XVIII.

*„Daniel to przyszedł na sąd,
istny Daniel! O! mądry młody sędzio,
jakże ja czczę ciebie!”*

Kupiec Wenecki.

Skinnerzy podążyli ochoczo za kapitanem Lawtonem do jego kwatery. Kapitan dragonów okazywał zawsze tyle gorliwości dla sprawy, której służył, tak nie dbał o własne bezpieczeństwo, gdy miał do czynienia z wrogiem, a jego wzrost i postawa tak bardzo czyniły go groźnym, że wszystko to razem wzięte zjednało mu w jego pułku zgoła wyjątkową, a pod pewnymi względami niesprawiedliwą opinię. Zuchwałą jego odwagę poczytywano za krwiożerczość, a popędliwa gorliwość za wrodzone okrucieństwo. Natomiast parę wypadków, w których Dunwoodie okazał się wyrozumiałym, a raczej ściśle mówiąc bezstronnie sprawiedliwym, wystarczyło, by ci i owi pod niebiosa wynosili jego pobłażliwość i dobroć serca. Bo rzadko kiedy

ujemna lub dodatnia opinia odpowiada w równej mierze tym wadom lub zaletom które głosi.

Dopóki herszt bandy znajdował się w obecności majora, czuł to szczególne skrępowanie, jakiego występki doznaje zwykle w obliczu uznanej cnoty; lecz wyszedłszy z domu, nabrał wnet przekonania, iż dostał się pod opiekę pokrewnego ducha. W zachowaniu się Lawtona była powaga, wprowadzająca często w błąd tych, którzy go bliżej nie znali, tak dalece, iż w pułku utarło się twierdzenie, że „kiedy kapitan się śmieje, to wtedy się źle dzieje”. Przynajmniej przysunął się zatem do swego przewodnika, herszt zawiązał poufną rozmowę:

- Zawsze to dobrze, gdy człowiek wie, czy ma do czynienia z przyjacielem czy z wrogiem - rzekł w rodzaju wstępu.

Kapitan odpowiedział mruknięciem, które tamten wy tłumaczył sobie po swojej myśli.

- Major Dunwoodie cieszy się, jak sądzę, względami Washingtona - ciągnął dalej skinner tonem wyrażającym raczej wątpliwość niż pytanie.

- Są tacy, którym się tak zdaje.

- Wielu przyjaciół Kongresu w tym hrabstwie - mówił dalej tamten - życzyłoby sobie widzieć innego oficera na czele jazdy, ja zaś, gdybym tylko wiedział, że od czasu do czasu znajdzie się w wojsku ktoś, co mnie w razie potrzeby osłoni, mógłbym oddać sprawie usługi, wobec których schwywanie kramarza jest drobnostką.

- Doprawdy? I jakież to na przykład?

- Takie, z których i ów oficer mógłby w równym stopniu skorzystać - rzekł skinner ze znaczącym spojrzeniem.

- Ale w jaki sposób? - zapytał niecierpliwie Lawton, przyspieszając kroku, tak, żeby go reszta bandy słyszeć nie mogła.

- Ano, w pobliżu królewskich oddziałów nawet prawie na samej linii dałoby się niejedno uskubnąć, gdybyśmy mieli siłę, która broniłaby nas od ludzi de Lancey' a * i osłaniała nasz odwrót, by nas przypadkiem nie odcięto.

Pułkownik de Lancey należał do jednej z najwybitniejszych rodzin w koloniach amerykańskich; stryj jego umarł

- Myślałem, że „zbiegowie” sami sobie w tych rzeczach radzą.

- Po trosze. Ale muszą szukać pomocy pomiędzy swoimi. Ja urządziłem dwukrotnie takie wycieczki w zмовie z nimi; raz postąpili rzetelnie, ale za drugim razem napadli na nas, rozpedzili i przywłaszczyli sobie całą zdobycz.

- To było istotnie bardzo nieuczciwie z ich strony. Nie pojmuję, jak porządny człowiek może się wdawać z takimi hultajami.

- Ano cóż, musimy wchodzić z nimi w porozumienie, bo inaczej mogłoby być jeszcze gorzej. Jak pan sądzi, czy majorowi Dunwoodie można by zaufać?

- Niby na uczciwych warunkach?

- Oczywiście, przecież pan wie, jaką opinią cieszył się Arnold, dopóki nie schwytano angielskiego majora.

- Hm, nie sądzę, żeby Dunwoodie sprzedał swoje dowództwo, jak to chciał uczynić Arnold, i nie zdaje mi się również, żeby mu było można zawierzyć w tak drażliwej sprawie jak ta, którą poruszyliście przed chwilą.

- Otóż to - rzekł skinner tonem, świadczącym, jak bardzo był zadowolony z własnej przenikliwości.

Tymczasem przyszedli do porządniejszego folwarcznego domu, którego bardzo rozległe zabudowania znajdowały się, jak na owe czasy, w dosyć przyzwoitym stanie. Żołnierze pozajmowali stodoły, zaś konie ich mieściły się w długich szopach, zabezpieczających podwórze od zimnych północnych wiatrów. Teraz konie te - posiadłane, z uzdami na szyjach, aby w każdej chwili można ich było dosiąść, jadły sobie spokojnie. Lawton zostawił skinnera przed domem i wszedł sam do kwatery, wrócił jednak niebawem ze stajenną latarnią w ręku i poprowadził bandę ku obszernemu sadowi, z trzech stron otaczającemu budynki. Skinnerzy poszli za nim w milczeniu, sądząc, że zamiarem jego jest ułatwić dalszą rozmowę na ten interesujący temat, bez obawy że niepowołane ucho może ją podsłuchać.

Herszt przysunął się znów do Lawtona, a chcąc mu dać lepsze wyobrażenie o swojej inteligencji, rzekł:

- Jak pan sądzi, czy kolonie wezmą ostatecznie górę nad królem?

- Czy wezmą? - wykrzyknął kapitan zapalczywie, lecz opamiętawszy się wnet, dodał spokojnie:

- Oczywiście, że wezmą. Jeżeli Francja użyczy nam broni i pieniędzy, przepędzimy królewskie wojska w ciągu pół roku.

- I ja tak sądzę, a wówczas będziemy mieli rząd wolny, a ci, którzy teraz walczą za niego, otrzymają nagrodę.

- O! - zawołał Lawton - wasze prawa będą niezaprzeczone. Natomiast ci podli torysi, którzy sobie żyją w domu jak u Pana Boga za piecem, pilnując swego gospodarstwa, słusznie pójdą w poniewierkę. Wy zapewne nie macie gospodarstwa?

- Jeszcze nie, ale byłoby źle, żeby go się nic dochrapał przed zawarciem pokoju.

- Otóż kto pilnuje własnych interesów, pilnuje interesów kraju; trzeba tylko nie dać się zjeść w kaszy, a daleko się zajędzie.

- Otóż to - rzekł znowu herszt, coraz bardziej zachwycony rozmową, z której jak najpomyślniejsze wysnuwał dla siebie wnioski. - I, proszę pana, czy to nie byli wierutni głupcy, ci ludzie Pauldinga, * że nie dali uciec królewskiemu generał-adjutantowi?

- Głupcy! - zawołał Lawton, zaśmiaawszy się gorzko - to prawda, że głupcy, król Jerzy byłby im lepiej zapłacił, bo jest bogatszy. Byliby panami do końca życia - Ale, dzięki Bogu, istnieje jeszcze jakiś cudowny duch w narodzie. Ludzie, którzy nic nie mają, postępują tak, jak gdyby bogactwa Indii miały opłacić ich wierność, nie wszyscy są takimi nikczemnikami jak ty, bo w takim razie dawno byśmy już jęczeli w angielskiej niewoli.

- Co! - wykrzyknął herszt, cofając się i spuszcżając muszkiet do wysokości piersi kapitana - więc omyliłem się, pan jesteś moim wrogiem?

- Łotrze! - zagrzmiął Lawton, wytrącając mu szablę muszkiet z ręki - raz jeszcze wyceluj do mnie, a przetnę cię przez pół.

- Więc pan nam nie zapłaci, kapitanie Lawton? - zapytał skinner, dygocąc ze strachu, bo w tej samej chwili ujrzał konny oddział dragonów, w milczeniu otaczający całą bandę.

- O! zapłacę ci, zapłacę, otrzymasz nagrodę w całej pełni. Masz, to są pieniądze, przysłane przez pułkownika Singletona dla tych, co schwytają szpiega. - I pogardliwie rzucił hersztowi worek z gwineami pod nogi. - Broń na ziemię, łotry, i przeliczyć mi pieniądze, żebyście się przekonali, że są w porządku.

Wystraszona banda spełniła rozkaz, a podczas gdy oddawali się temu miłemu zajęciu, kilku ludzi Lawtona cichaczem powymowało ładunki z ich muszkietów.

- Tak, panie kapitanie - odpowiedział herszt - i z pozwoleniem pańskim pójdziemy teraz sobie.

- Stój! nie tak prędko. Skończyliśmy z nagrodą, a teraz kolej na sprawiedliwość. Płacimy wam za schwytanie szpiega, ale karzemy was za grabież, podpalenie i mord. Bierzcie ich, chłopcy, i wsypcie każdemu Mojżeszowe prawo: czterdzieści bez jednego.

Rozkaz spełniono ochoczo, w mgnieniu oka schwytano skinnerów i przywiązano każdego z osobna do rosnących w sadzie jabłoni. Błysnęły szable; jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej pospadały z drzew gałęzie, wybrano z pomiędzy nich najbardziej giętkie, i tylu dragonów, ilu było opryszków, chętnie chwyciło za tę broń. Kapitan Lawton dał znak, zalecając wykonawcom Mojżeszowego prawa, by nie przekroczyli przepisanej liczby razów, i w chwilę potem istny wrzask wieży Babel zatrzęsł sadem. Najgłośniejszy darł się herszt, zapewne dlatego, iż kapitan Lawton uprzedził jego operatora, że ma do czynienia z dowódcą i że powinien mu oddać należne honory. Wszystko odbyło się sprawnie, szybko i podług przepisu; wyjąwszy tę okoliczność, że ćwiczący zaczęli liczyć razy dopiero wtedy, gdy wypróbowali różgi jakimś tuzinem wstępnych uderzeń, by, jak sami potem mówili, znaleźć odpowiednie miejsce do bicia. Po skończonej operacji Lawton rozkazał swoim ludziom zostawić skinnerów ich losowi i dotrzeć z powrotem koni, podczas gdy zbici opryszkowie przywdziewali zdjętą im odzież.

- Widzisz, mój przyjacielu - rzekł kapitan do herszta, gdy już mieli odchodzić - że w razie potrzeby, mogę cię nie tylko osłonić, ale i odsłonić. Jeżeli się częściej spotkamy, to cały twój

korpus okryje się bliznami, które o ile niezbyt zaszczytne, o tyle zasłużone będą.

Herszt nic nie odpowiedział. Majstrował coś koło swego muszkietu, nagłąc towarzyszy do pośpiechu, po czym cała banda skierowała się ku pobliskim skałom, nad którymi jeżył się las gęsty. Księżyc wszedł właśnie i oświecił oddziałek dragonów, na miejscu pozostały. Wtem banda odwróciła się raptem i zniżywszy muszkiety, ruszyła cynglów. Żołnierze spostrzegli ten manewr, który oczywiście spełził na niczym, i odpowiedzieli nań szyderczym śmiechem, a kapitan krzyknął grzmiącym głosem:

- Ha! łotry, znam ja was i kazałem powyjmować wam ładunki.

- Trzeba było kazać wyjąć i ten z ładownicy! - zawołał herszt i z tymi słowy wystrzelił.

Kula drasnęła ucho Lawtona, który zaśmiał się, wstrząsnął głową i rzekł:

- Hultaj spudłował, jak gdyby strzelał o milę.

Jeden z dragonów dostrzegł przygotowania herszta - który został sam, podczas gdy banda po nieudanym zamachu zemsty szybko czmychnęła na skały - i spiął konia ostrogami, w chwili gdy tamten strzelił. Odległość była niewielka, i skinner w obawie, że dragon go dopędzi, porzucił worek i muszkiet i wziął nogi za pas. Żołnierz wrócił z łupem i ofiarował go kapitanowi, ale Lawton nie przyjął, mówiąc dragonowi, by zatrzymał wszystko u siebie, dopóki skinner nie zgłosi się po swoją własność. Z trudnością jednak byłoby przyszło jakimukolwiek z istniejących podówczas w nowych Stanach trybunałów zarządzić zwrot pieniędzy, tegoż samego bowiem wieczora sierżant Hollister rozdzielił je w równych częściach pomiędzy żołnierzy. Odprawiwszy patrol, kapitan zwolna wracał do kwatery z zamiarem udania się na spoczynek. Jakaś postać, przemykająca się szybko pomiędzy owocowymi drzewami w kierunku lasu, zwróciła jego uwagę; baczny dragon zbliżył się do niej natychmiast i ku wielkiemu zdziwieniu ujrzał praczkę, o tej porze i w tem miejscu.

- Cóż to, Betty, chodzisz przez sen - zawołał kawalerzysta - a nie lękasz się spotkać z widmem starej Jenny w tym miejscu jej ulubionego pastwiska?

- E! kapitanie Jacku - odpowiedziała markietanka, z właściwym jej akcentem i kiwając się tak na wszystkie strony, że kapitan nie mógł dostrzec jej twarzy - co mi tam Jenny; ja tu przyszedłam po ziółka dla rannych, co wtedy tylko dobre, kiedy się je zbiera po księżycu. Rosną tam pod skałami, i muszę śpieszyć się, bo tracą uroki.

- Głupia wariatko, lepiej byś poszła spać zamiast włóczyć się po skałach, skoro ledwo się trzymasz na nogach. Spadniesz jeszcze i połamiesz kości; zresztą skinnerzy tam się schronili, a gdybyś im wpadła w ręce, zemściliby się na tobie za porządną chłostę, jaką im właśnie sprawiłem. Wracaj oto i kładnij się: ruszamy rano.

Ale Betty, nie zważając na dobrą radę, dążyła dalej, zataczając się ku skałom. Na jedną krótką chwilę, gdy Lawton wspomniał o skinnerach, przystanęła, lecz wnet potem poszła dalej i znikła pomiędzy drzewami.

Gdy kapitan wszedł do kwatery, stojący u drzwi szyldwach zapytał, czy spotkał panią Flanagan, i dodał, że przeszła tędy, wymyślając na czym świat stoi, odgrazając się na swoich prześladowców i rozpytując o kapitana, by mu się poskarżyć. Lawton wysłuchał tego ze zdumieniem, jakaś nagła myśl uderzyła go, postąpił kilkanaście kroków w stronę sadu, zawrócił znowu; czas jakiś chodził prędko tam i na powrót przed domem, po czym szybko wszedł do wnętrza, rzucił się na łóżko w ubraniu i usnął snem głębokim.

Przez ten czas banda dotarła pomyślnie do skał i rozproszyła się po lesie. Przekonawszy się jednak, że nie są ścigani, co zresztą byłoby niemożliwością dla jazdy, herszt odważył się zwołać towarzyszy gwizdaniem. Jakoż w krótkim czasie zgromadzili się wszyscy w miejscu, gdzie najmniej mogli obawiać się nieprzyjaciela.

- Ha! - rzekł jeden z opryszków po roznieceniu ognia, bo zimno zaczęło im dokuczać - to i koniec naszego żniwa w West-Chester. Za ciasno nam tu będzie wkrótce od tej przeklętej jazdy wirgińskiej.

- Już ja się na nim zemszczę - mruknął herszt - choćbym miał głowę nałożyć.

- O! bardzoś odważny tu w lesie - zawołał tamten, zaśmiaawszy się dziko. - A czemu żeś to ty, co się tak przechwalasz celnością twego oka - nie trafił go o trzydzieści kroków?

- Bo mi ten przekłety dragon przeszkodził; gdyby nie on, byłby się kapitan Lawton - bodaj z piekła nie wyrzął - nakrył nogami. A przy tym tak zziębłem, że mi się ręka trzęsła.

- Trzęsła ci się, ale ze strachu - odrzekł towarzysz szyderczo - ja zaś, to mi aż za ciepło; plecy mnie palą, jak gdyby mnie kto żywym piekłem ogniem.

- A ty zniosłeś z pokorą taki poczęstunek. Może jeszcze ucałowałeś różgę, którą cię bito.

- Ha! Co się tyczy całowania, to byłaby trudna sprawa, bo mi ją na drobne kawałki połamano na grzbiecie; zresztą, wolę stracić kawałek skóry niż całą i uszy w dodatku. A taki będzie nasz los, jeżeli się znów nawiniemy na oczy tym z piekła rodem dragonom. Dałbym Panu Bogu połowę mego łupu na ofiarę, abym stąd mógł się tylko z resztą bezpiecznie wydostać. Gdybyś miał olej w głowie, byłbyś się trzymał majora Dunwoodie, który nie wie połowy tego, cośmy przeskrobali.

- Milcz, ośle - wrzasnął rozjuszony herszt - twoja głupia paplanina może człowieka do wściekłości doprowadzić. Nie dość, że nas zbili i obrabowali, jeszcze będziesz nam zawracał głowę swymi bredniami. Dobądź z saku żywność, jeżeli tam co jeszcze zostało, i zatkaj sobie gębę jedzeniem.

Rozkaz spełniono, i banda, postępując i krzywiąc się za każdym poruszeniem swych zbolątych grzbietów, zasiadła do skąpego posiłku. Tęgi ogień z suchych drewn palił się w zagłębieniu skały, a zacna szajka, ochłonawszy trochę z przestachu i zaspokoiwszy głód, pozdejnowała częściowo odzież dla opatrzenia ran i zaczęła obmyślać plan zemsty. Godzinę lub więcej tak spędzono i wiele nasuwało im się sposobów, ale ponieważ wszystkie były połączone z

wielkim niebezpieczeństwem, a powodzenie ich zależało od osobistego męstwa i sprawności wykonawców, odrzucono je jednomyślnie. O napadnięciu na wojsko znienacka nie było co myśleć; zbyt dobrze znana była ich czujność; nie mogło być również nadziei spotkania kapitana Lawtona gdzieś poza oddziałem, był on bowiem ciągle czynny i tak szybko przerzucał się z miejsca na miejsce, że tylko jakiś wyjątkowy traf mógł im posłużyć w tym względzie. Zresztą opryszkowie nie mieli żadnej pewności, że spotkanie tego rodzaju zakończyłoby się pomyślnie dla nich samych. Przezorność i spryt kawalerzysty były dobrze znane, a pomimo niesprzyjających warunków terenu, jakie przedstawiało hrabstwo West-Chester, wiadano, że zuchwały kawalerzysta nie baczy na żadne przeszkody, gdy idzie do ataku, i drwi sobie nawet ze ścian murowanych. Stopniowo rozmowa zesłała na inne tory, i wreszcie ułożono plan, mający jednocześnie pomścić ich i sownie trudy opłacić. Gdy już wszystkie szczegóły były dostatecznie omówione, czas oznaczony i sposób wykonania zgodnie przyjęty, dał się słyszeć głos, wołający donośnie:

- Tędy, kapitanie Jacku! Tu hultaje żerują przy ogniu, tędy; pozabijaj tych złodziei co do nogi, póki tu siedzą. Dalej, żywo! Huzia na nich!

Banda zdrętwiała z przerażenia. Wnet jednak zerwali się na równe nogi i rozproszyli po lesie. Czas jakiś słyhać było jeszcze ich wzajemne nawoływania się, po czym wszystko ucichło.

Wtedy z ciemności wynurzyła się postać Betty Flanagan i z zimną krwią wzięła w posiadanie to, co skinnerzy, uciekając w pośpiechu, zostawili na miejscu: mianowicie jedzenie i trochę różnej odzieży. Po czym usiadła przy ogniu i zaczęła posilać się z widocznym apetytem. Przez godzinę siedziała, zaspokoivszy głód, z głową opartą na rękę, pogrążona w głębokiej zadumie, wreszcie zabrała z garderoby, co się jej podobało, i poszła w las pozostawiając dogasający już ogień, by stlił się do reszty, a ciemność i cisza zaległa to miejsce, na którym do tak niedawna biwakowała hałaśliwie banda opryszków.

ROZDZIAŁ XIX.

*„I po co rozważać i dręczyć się dłużej?
Myśl pierwsza najlepsza jest zawsze;
Szaleństwem jest odejść, a śmiercią pozostać,
Więc dalej na Orra, a prędko!”*

Podczas gdy koledzy Dunwoodie'go spali głęboko, napomniawszy o przebytych niebezpieczeństwach i doznanych trudach, sen nie kleił powiek majora. Wstawszy wcześniej z twardego łoża, na które rzucił się był w ubraniu, wyszedł z izby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza w uciśnioną pierś i orzeźwić myśl, zmęczoną bezsennością. Ostatnie blaski księżycy gasły już w świetle budzącego się dnia; wiatr ustał, a podnoszące się w górę mgły zapowiadały znów jeden z tych cudnych dni jesiennych, które w tym zmiennym klimacie następują po burzy z szybkością, mającą w sobie coś czarnoksięskiego.

Nie nadeszła jeszcze godzina wymarszu; chcąc więc dać żołnierzom możliwie najwięcej czasu na wypoczynek, major nie budził nikogo i z wolna skierował się w stronę sadu, rozmyślając o swym kłopotliwym położeniu i sam nic wiedząc, jak pogodzić poczucie obowiązku z głosem serca. Aczkolwiek Dunwoodie pokładał jak najgłębsze zaufanie w czystości zamiarów kapitana Whartona, nie był wcale pewnym, czy sąd wojenny podzieli jego zapatrywania; z drugiej strony wiedział doskonale, że stracenie Henryka równało się rozwianiu wszelkich nadziei małżeństwa z jego siostrą.

Poprzedniego wieczora Dunwoodie wyprawił oficera do pułkownika Singletona, dowodzącego przednimi strażami, z raportem o pojmaniu angielskiego kapitana i - po przedłożeniu własnego przekonania o jego niewinności - z zapytaniem o rozkazy dalszego postąpienia z jeńcem. Rozkazy te mogły nadejść lada moment, i niepokój Dunwoodie'go rósł, w miarę jak zbliżała się chwila, kiedy jego przyjaciel mógł dostać się w inne ręce i być pozbawiony jego opieki. W tym stanie ducha major minął sad i sam nie wiedząc kiedy, znalazł się u stóp skał, które ułatwiły ucieczkę opryszkom. Miał już zawrócić, gdy tuż nad nim rozległ się nakazujący głos:

- Stój, lub zginiesz!

Dunwoodie spojrział w górę ze zdumieniem i zobaczył jakiegoś człowieka, stojącego na odłamie skały z wymierzonym w niego muszkietem. Ciemnawo tu jeszcze było, i Dunwoodie musiał dobrze wyteńczyć wzrok, by ku jeszcze większemu zdumieniu rozpoznać rysy kramarza. Oцениwszy w mgnieniu oka całe niebezpieczeństwo położenia i gardząc prośbą o zmiłowanie lub ucieczką, gdyby ta była możliwą, młodzieniec zawołał dumnie:

- Jeżeli mam być zamordowanym, strzelaj, bo nigdy nie stanę się twoim jeńcem.

- Nie, majorze Dunwoodie - odpowiedział kramarz, opuszczając muszkiet - nie jest moim zamiarem ani mordować ani brać w niewolę.

- Więc o cóż ci chodzi, tajemniczy człowieku? - rzekł Dunwoodie, zaledwie wierząc własnym oczom, że to co widzi, nie jest igraszką jego wyobraźni.

- O twoją dobrą opinię - odrzekł kramarz ze wzruszeniem. - Chciałbym, aby wszyscy dobrzy ludzie sądzili mnie pobłaźliwie.

- Sąd ludzi musi ci być obojętnym w tej chwili, bo ich wyroki nie mogą cię dosięgnąć.

- Bóg oszczędza życie sług swoich aż do czasu - rzekł Birch uroczyście. - Przed kilku godzinami byłem pańskim jeńcem, zagrożonym szubienicą; teraz pan jesteś moim, ale, majorze Dunwoodie, jesteś wolnym.

Są tu niedaleko może ludzie, którzy nie obeszliby się z tobą tak zyczliwie. Bo na cóż przydałaby ci się szabla wobec mojej broni i pewnej ręki? Posłuchaj rady tego, który cię nigdy nie skrzywdził i nigdy nie skrzywdzi. Nie zapuszczaj się w lasy sam i piechotą, wierzaj mi.

- Czy masz towarzyszy, którzy ci dopomogli do ucieczki i są mniej szlachetni niż ty?

- Nie - nie, jestem sam zupełnie. Nikt mnie nie zna tylko Bóg i On,

- I kto? - zapytał major z mimowolnym zaciekawieniem.

- Nikt - odrzekł kramarz, odzyskując zwykły spokój. - Ale inaczej mają się rzeczy z tobą, majorze Dunwoodie. Jesteś młody i szczęśliwy i masz takich, którzy są tobie drodzy, i ci znajdują się stąd niedaleko. Niebezpieczeństwo grozi tym, których najbardziej kochasz - niebezpieczeństwo wewnątrz i zewnątrz. Podwój czujność, wzmocnij patrole i milcz. Gdybym ci powiedział więcej, to wobec opinii, jaką masz o mnie, mógłbyś mnie podejrzewać o zasadzkę. Ale pamiętaj, strzeż tych, którzy ci są najdrożsi!

Z tymi słowy kramarz wystrzelił w powietrze i rzucił muszkiet do stóp osłupiałego słuchacza. Gdy ochłonąwszy ze zdumienia, Dunwoodie spojrział znów w górę, skała była pusta i resztki dymu unosiły się nad nią.

Tętent koni i odgłosy trąbki wyrwały majora z odrętwienia. Wystrzał zaalarmował cały oddział, i patrol nadjeżdżał galopem w to miejsce. Nie wdając się w żadne wyjaśnienia, major prędko powrócił do kwatery, gdzie zastał już cały szwadron pod bronią, niecierpliwie oczekujący ukazania się dowódcy. Oficer, mający nadzór nad tego rodzaju sprawami, odkomenderował część żołnierzy do zdjęcia ze słupa przed domem tablicy, noszącej napis „Hotel Flanagan”, i szubienica dla szpiega była już przygotowana. Dowiedziawszy się od majora, że to on sam wystrzelił z muszkietu, porzuconego prawdopodobnie przez któregoś z uciekających bandytów (Dunwoodie wiedział już o karze, jaka ich od Lawtona spotkała, lecz uznał za stosowne przemilczeć o spotkaniu z Birchem), oficerowie poddali myśl, by stracenie więźnia odbyło się przed wymarszem.

Wciąż jeszcze sam sobie nie dowierzając, że to wszystko co się stało pod skałami, nie było

snem, Dunwoodie w otoczeniu oficerów, poprzedzony przez sierżanta Hollistera, udał się na miejsce rzekomego zamknięcia kramarza.

- Cóż, zuchu - rzekł major do stojącego przed drzwiami szyldwacha - spodziewam się, że pilnowałeś więźnia jak należy.

- Śpi jeszcze - odpowiedział żołnierz - a tak chrapie, że ledwo słyszałem alarmową trąbkę.

- Otworzyć drzwi i wyprowadzić go.

Rozkaz spełniono, lecz ku najwyższemu zdumieniu uczciwego weterana, który pierwszy wszedł do komórki, znaleziono wszystko w nieładzie, wierzchnią odzież kramarza na ziemi, garderobę Betty porozrzucaną na podłodze, a ją samą śpiącą na tapczanie w ubraniu, lecz bez pewnego czarnego czepeczka, który dniem i nocą nie opuszczał jej głowy. Hałas i wykrzykniki wchodzących zbudziły kobietę.

- Co to! Śniadania chcecie? - zapytała Betty przecierając oczy. - O! wyglądacie tak, jak gdybyście mnie samą zjeść chcieli; ale cierpliwości, chłopczyki, usmażę wam taki kąsek, że palce lizać.

- Usmażysz! - wykrzyknął sierżant, tracąc swą religijną filozofię i zapominając o obecności oficerów - my cię sami usmażymy i to na wolnym ogniu, czarownico! Tyś pomogła uciec temu przekłętemu kramarzowi.

- Wymyślasz mi od czarownic i przeklętych kramarzy, panie sierżancie! - zawołała rozindyczona z kolei Betty - a co ja mam do roboty z kramarzami a ucieczkami? Mogłam być zostać żoną kramarza i chodzić w jedwabiach, zamiast włóczyć się za waszą dragońską hołotą, co nie wie, jak się należy obchodzić z uczciwą kobietą.

- Nicpoń zostawił moją Biblię - rzekł weteran, podnosząc książkę z ziemi. - Zamiast, żeby ją czytać i gotować się na śmierć jak dobry chrześcijanin, to ten wisielec ucieczkę sobie szykował.

- Właśnie! miał czekać, żebyście go powiesili jak psa - zawołała Betty, zaczynając rozumieć co się stało. - Nie każdy rodzi się na taką śmierć jak wy, panie sierżant.

- Cicho - rzekł Dunwoodie. - To należy zbadać dokładnie. Nie ma tu innego wyjścia prócz tych drzwi, a tędy wyjść musiał, chyba mu szyldwach ułatwił ucieczkę, lub zasnął na posterunku. Zaweźwać strażę.

Pokazało się, że wyjąwszy jednego, o którym już była mowa, żaden nikogo nie widział. Ów wprawdzie nie zapierał się, że Betty przechodziła koło niego, ale usprawiedliwiał się wydanymi mu w tym względzie rozkazami.

- Łżesz, ty złodzieju, łżesz - wrzasnęła Betty, która z niecierpliwością słuchała tych wyjaśnień. - Będziesz ty mi obgadywał uczciwą kobietę, żeś ją widział włóczącą się po obozie o północy. A przecie ja tu spałam calutką noc jak to nowonarodzone dziecko.

- Proszę pana majora - rzekł sierżant, zwracając się z uszanowaniem do Dunwoodiego - tu jest coś napisanego w mojej Biblii, czego przedtem nie było, bo ja bym nigdy nie dopuścił żadnej

bazgraniny w tej świętej księżce.

Jeden z oficerów przeczytał głośno: „Zaświadczam, że jeżeli uda mi się odzyskać wolność, to stanie się to jedynie z pomocą Boga, którego przenajświętszej Łasce z pokorą się polecam. Jestem zmuszony wziąć ubranie tej kobiety, ale wynagrodzenie za to jest w jej kieszeni... Własną ręką. Harvey Birch.”

- Co! - wrzasnęła Betty - to ten złodziej okradł mnie ze wszystkiego, powiesić go!... schwytać i powiesić, panie majorze, jeżeli jest jaka sprawiedliwość w tym kraju!

- Zajrzyjcie no do kieszeni - rzekł jeden z młodszych oficerów, którego cała ta scena ogromnie bawiła.

- A! prawda! - zawołała praczka, pokazując gwineę. - Ale to złoto nie kramarz! Niechże sobie żyje jak najdłużej i niech mu się szczęści; a jeżeli go kiedy powieszą, to wielu takich będzie chodziło po tej świętej ziemi, co wody za nim nosić nie warci.

Dunwoodie odwrócił się, by wyjść, i zobaczył kapitana Lawtona, stojącego ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma i przypatrującego się całej tej scenie w głębokim milczeniu. To zachowanie się, tak różne od jego zwykłej zapalczowości, uderzyło majora. - Oczy ich spotkały się, wyszli razem i kilka chwil rozmawiali na uboczu, po czym Dunwoodie wrócił i rozkazał wszystkim rozejść się niezwłocznie. Sierżant Hollister jednak pozostał z Betty, która sprawdzwszy, że nic z jej garderoby nie brakowało prócz tego, co pozostawiona gwinea sownie opłaciła, była w doskonałym humorze. Z dawna miała ona widoki na weterana, wybrawszy go sobie w myśli na następcę nieboszczyka męża. Kawalerzysta również zdawał się nie być od tego, i Betty zmiarkowawszy, że się trochę zagalopowała, postanowiła ułagodzić obrażonego wielbiciela. Pomimo całej swej gburowatości posiadała ona dość kobiecego sprytu, by wiedzieć, że chwile pojednania są chwilami władzy. Napelniła przeto szklankę swego rannego napitku i podała ją towarzyszowi jako różdżkę oliwną.

- Co tam, sierżancie! - rzekła - pomiędzy przyjaciółmi nie zważa się na takie głupstwa; ja bo najbardziej wymyślałam nieboszczykowi Michałowi, kiedy go najwięcej kochałam.

- Michał był dobrym żołnierzem i poczciwym człowiekiem - rzekł kawalerzysta, wychyliwszy szklanicę. - Nasz oddział osłaniał boki jego regimentu, kiedy padł; sam po nim przejechałem tego dnia. Biedaczysko leżał na wznak tak spokojnie, jak gdyby zmarł naturalną śmiercią, po całorocznej chorobie.

- O! Michał to sobie lubił kropnąć; co się tyczy tego, tośmy się szukali w korcu maku. Ale wy sierżancie jesteście człowiek wstrzemięzliwy i roztropny, jak raz na męża stworzony.

- Ano, pani Flanagan, chciałbym z wami pogadać o czymś, co mi leży na sercu, tylko nie wiem, czy mnie zechcecie wysłuchać.

- Wysłuchać? - powtórzyła niecierpliwa niewiasta - czemu bym nie miała wysłuchać. Niech sobie tam oficerowie palce gryzą z głodu. Ale łyknijcie sobie jeszcze kropelkę; to wam rozwiąże

język.

- Bóg zapłać, już mi więcej nie trzeba - odrzekł weteran, odsuwając szklankę. - Słuchaj, Betty, jak ci się zdaje? czy to był naprawdę kramarz-szpieg, którego tu zamknąłem tej nocy?

- A któżby inny, kochasiu?

- Zły.

- Co! Diabeł?

- Sam Belzebub, przebrany za kramarza, a ci tam niby skinnerzy to były jego diabłeta.

- Być to może, sierżancie kochany, bo że skinnerzy to wcielone diabły, to każdy wie o tym.

- Otóż to. Zły wiedział, że na nikogo nie mamy takiej chrapki jak na kramarza, więc przybrał jego postać, żeby się dostać do twego pokoju, pani Flanagan.

- A czego by diabeł chciał ode mnie? - zawołała Betty gniewnie. - Czy to nie dosyć diabłów w wojsku, żeby jeszcze taki przychodził z piekielnych otchłani, by straszyć uczciwą samotną kobietę?

- Wielkie to szczęście dla ciebie, Betty, że mu przyjść dozwolono. Widzisz, wymknął się drzwiami w twojej postaci, co jest oznaką twego przeznaczenia, o ile się nie poprawisz. O! Dobrze uważałem, jak drżał, gdy mu podawałem Biblię. Powiedz tylko sama, kochana Betty, czy jaki chrześcijanin pisałby coś podobnego w świętej księżce? Tam można tylko zapisywać daty urodzenia i śmierci i inne tego rodzaju zdarzenia. Praczka była zachwycona łagodnością obejścia swego wielbiciela, ale jego przypuszczenie oburzyło ją do żywego. Pomiarkowała się jednak i z właściwym swojej narodowości sprytem rzekła:

- A czy to diabeł zapłaciłby za ubranie, i to tak dobrze zapłacił? Jak wam się zdaje, sierżancie?

- I te pieniądze są niewiele warte - odparł sierżant, trochę zachwiany w swych domniemaniach takim dowodem uczciwości w kimś, kogo w ogóle uważał za niegodziwca w każdym calu. - I mnie kusił błyszczącą monetą, ale Bóg Najwyższy dodał mi siły, żebym mu się oparł.

- Złoto wygląda na prawdziwe, ale taki wolę je zmienić dziś jeszcze u kapitana Jacka. Ten się żadnego diabła nie boi.

- Betty, Betty! - rzekł jej towarzysz - nie mów z takim brakiem uszanowania o złym; on jest zawsze gdzieś pod ręką i może się na ciebie obrazić za takie gadanie.

- Et! Co by się miał obrażać na biedną, samotną kobietę, jeżeli ma choć odrobinę serca.

- Zły nie ma serca, bo czyżby pożerał chrześcijańskie dzieci? - odrzekł sierżant, oglądając się dokoła ze zgrozą. - Dlatego lepiej żyć z nim w zgodzie, bo niewiadomo, jak to mówią, co w trawie piszczy. Ale, Betty, mówię ci, że człowiek nie byłby mógł przejść koło wszystkich straży i nie być poznany, dlatego weź to sobie za przestrożę i...

Dalszą rozmowę przerwało wezwanie markietanki, by się zajęła śniadaniem, musieli się więc

rozejść; Betty Flanagan z tajemną nadzieją, że troskliwość, jaką jej okazał sierżant, miała bardziej ziemskie podstawy; on zaś rad, że ocalił chrześcijańską duszę od szponów złego ducha, włóczęgo się po obozie i czyhającego na ofiarę.

Podczas śniadania przybyło kilku wysłańców; jeden z nich przywiózł wiadomość o siłach i zamiarach wojsk nieprzyjacielskich, znajdujących się obecnie na Hudsonie, a drugi z rozkazem wysłania kapitana Whartona do pierwszego posterunku w górach pod eskortą oddziału dragonów. Ten ostatni rozkaz przepełnił czarę zgryzot Dunwoodie'go. Rozpacz Fanny stała mu wciąż przed oczyma i z pięćdziesiąt razy chciał wskoczyć na koń i popędzić galopem do Akacji, ale zawsze wstrzymało go jakieś nieokreślone uczucie.

Spełniając rozkaz zwierzchnika, wyprawił jednego z oficerów z małym oddziałem dragonów, by odstawili Henryka Whartona na miejsce przeznaczenia; zaś oficerowi temu polecił, by wręczył kapitanowi list, w którym zaklinał go, aby był dobrej myśli, i zapewniał o swej najgłębszej przyjaźni i usiłowaniach zrobienia wszystkiego, co będzie w jego mocy, aby go ocalić. Lawton pozostał z częścią swego oddziału na straży rannych, i wnet po posiłku zwinięto obóz, a główne siły pomaszerowały w stronę Hudsonu. Dunwoodie wielokrotnie powtórzył kapitanowi Lawtonowi swe polecenia, mając na myśli każde słowo kramarza i łamiąc sobie głowę, by odgadnąć znaczenie tych tajemniczych ostrzeżeń. Wreszcie ruszono. Dunwoodie jechał czas jakiś na tyłach kolumny, gdy nagle przypomniał sobie, że nie wydał żadnego rozporządzenia o pułkowniku Wellmere. Wówczas nie opierał się już tajemnym pragnieniom serca, zawrócił konia i popędził w stronę Akacji. Rumak Dunwoodiego szybki był jak wiatr, i wkrótce major dostrzegł z wyniosłości, z której miał się spuścić w dolinę, eskortę Henryka Whartona, defilującą wraz z nim jednym z górskich przesmyków, wiodącym do wymienionego w rozkazie posterunku. Widok ten jeszcze bardziej podniecił miotanego burzą sprzecznych uczuć młodzieńca, spiął konia i okrążywszy zbocze wzgórza, zstępującego w dolinę, znalazł się nagle wobec celu swych dążeń. Fanny postępowała w pewnej odległości za oddziałem, uprawdzającym jej brata, a gdy znikł z jej oczu, uczuła, że opuściło ją wszystko, co jej było najdroższym na świecie. Niepojęta nieobecność Dunwoodie'go, rozpaczliwe pożegnanie z Henrykiem w tak strasznych okolicznościach zmiażdżyło ją zupełnie. Osunęła się więc na przydrożny kamień z wybuchem niepohamowanego łkania - Dunwoodie zeskoczył z konia, rzucił cugle na jego szyję i w mgnieniu oka znalazł się u boku płaczącej dziewczeczki, - Fanny! najdroższa Fanny! - wykrzyknął - nie poddawaj się tak rozpaczy, zaklinam cię. Nic jeszcze straconego nie ma; skoro tylko spełnię, co mi obecnie służba nakazuje, pośpieszę do stóp Washingtona i będę go błagał o uwolnienie Henryka. Ojciec tego kraju nie odmówi tej łaski jednemu ze swych ulubieńców.

- Majorze Dunwoodie, za życzliwość względem mego brata dziękuję panu - rzekła Fanny cała drżąca, ocierając oczy i powstając z godnością - ale nie masz pan prawa przemawiać do

mnie w ten sposób.

- Nie mam prawa! Alboż nie jesteś moją, za zgodą twego ojca, ciotki, brata, a nade wszystko twoją własną, słodka moja Fanny.

- Nie chcę wdzierać się we wcześniejsze prawa, jakie inna kobieta ma do pańskich uczuć - rzekła Fanny, siląc się na spokój i stanowczość.

- Żadna inna, przysięgam na Boga, żadna inna praw do mnie rościć sobie nie może - wykrzyknął Dunwoodie z zapalem. - Ty jesteś jedyną panią mego serca, mej duszy.

- Masz pan tyle doświadczenia na tym polu i z takim spotykałeś się na nim powodzeniem, iż nie dziw, że celujesz we wprowadzaniu w błąd łatwowierności płci mojej - odrzekła Fanny, na próżno starając się uśmiechnąć, gdyż drżące usteczka odmówiły jej posłuszeństwa.

- Czyż jestem nikczemnikiem, że mówisz do mnie w ten sposób? Kiedyż to oszukałem cię, Fanny? Kto w ten sposób zatrzał twe niewinne serce?

- Dlaczegoż to major Dunwoodie nie zaszczycił w tych dniach obecnością swoją domu przyszłego teścia? Czyż zapomniał, że znajduje się tam jeden chory przyjaciel, a drugi w najokropniejszym położeniu? Czyż i to wyszło mu z pamięci, że w tym domu przebywa również jego narzeczona? A może lękał się spotkać z jedną jeszcze, mogącą rościć sobie prawo do tej nazwy? Och! Peytonie - Peytonie! jakże się na tobie zawiodłam! z jakimże młodzieńczym zaślepieniem wierzyłam, że jesteś najszlachetniejszym i najuczciwszym człowiekiem na ziemi!

- Fanny, rozumiem teraz, co cię w błąd wprowadziło - zawołał Dunwoodie, a twarz jego spłoneła szkarłatem. - Ale krzywdzisz mnie! Przysięgam na wszystko, co mi jest najdroższe na świecie, że mnie krzywdzisz.

- Nie przysięgaj, majorze Dunwoodie - rzekła Fanny z blaskiem kobiecej dumy w pięknych oczach.

- Minał czas, kiedy wierzyłam przysięgom.

- Panno Wharton, masz że mnie za fanfarona? Chcesz, abym sam sobą pogardził, straciwszy nadzieję, że potrafię odzyskać twoje dobre o mnie mniemanie?

- Nie pochlebiaj pan sobie, żeby to było łatwą rzeczą - rzekła Fanny, zaczynając iść w stronę domu.

- Rozmawiamy ze sobą sam na sam po raz ostatni, ale - zapewne - ojciec mój chętnie powita krewnego mojej matki.

- Nie, panno Wharton, nie mogę przestąpić teraz progu tego domu, ubliżyłbym tym samemu sobie. Odrącasz mnie od siebie, Fanny, zrozpaczonego. Wzywa mnie powinność tam, skąd mogę nie wrócić. Gdyby los okazał się srogim, oddaj przynajmniej sprawiedliwość moim uczuciom; pamiętaj, że ostatnie westchnienie mej duszy będzie o twoje szczęście.

Z tymi słowy kładł już nogę w strzemień, lecz Fanny spojrzała na niego takim wzrokiem, że zatrzymał się.

- Peytonie, majorze Dunwoodie - rzekła - możesz li zapomnieć, jak świętej służysz sprawie? Obowiązek względem Boga i Ojczyzny zabrania ci popełnić jakiś czyn rozpaczliwy. Ojczyzna potrzebuje twoich usług. Zresztą - tu głos jej się załamał i nie mogła mówić dalej.

- Zresztą co? - wykrzyknął młodzieniec, przystępując szybko do niej i chcąc ująć jej rękę.

Fanny jednakże, opanowawszy się, usunęła go chłodno i szła dalej ku domowi.

- Takież to jest nasze rozstanie? - zawołał Dunwoodie z rozpaczą. - Jest żem nikczemnikiem, że tak okrutnie obchodzisz się ze mną? Nie kochałaś mnie nigdy, i własną zmienność osłaniasz oskarżeniami, których wzbraniasz się udowodnić.

Fanny przystanąła nagle i spojrzała na niego tak niewinnym i pełnym uczucia wzrokiem, że skruszony Dunwoodie chciał klęknąć przed nią, błagając o przebaczenie; lecz ona, powstrzymawszy go ruchem ręki, rzekła:

- Wysłuchaj mnie po raz ostatni, majorze Dunwoodie. Bolesna to rzecz, gdy poznajemy własną niższość, a na tę właśnie otworzyły mi się oczy w tych czasach. Nie oskarżam cię, nie czynię ci żadnych wyrzutów. Ale choćby nawet było tak, jak powiadasz, choćbym nawet miała prawa do twego serca, nie czuję się godną ciebie. Nie taka słaba, bojaźliwa dziewczyna jak ja może cię uszczęśliwić. Nie, Peytonie, stworzony jesteś do wielkich czynów i sławy, i powinienes połączyć się z istotą wyższą ponad zwykłą poziomość. Ja byłabym dla ciebie tylko ciężarem, któryby cię wiązał z ziemią, ale z godną ciebie towarzyszką możesz się wznieść na szczyty ziemskiej chwały. Takiej więc ustępuję cię dobrowolnie, choć nie z lekkim sercem, i modlić się będę, O! Jak gorąco, żebyś z nią był szczęśliwy.

- Urocza entuzjastko! - zawołał Dunwoodie - nie znasz siebie i mnie. Mnie właśnie takiej jak ty kobiety potrzeba, słodkiej, cichej i lekliwej jak ty. Nie daj się unieść porywom źle zrozumianej szlachetności, które tylko unieszczęśliwić mnie mogą.

- Żegnaj, majorze Dunwoodie - wymówiło wzruszone dziewczę, przystając dla nabrania oddechu - zapomnij, żeś mnie znał kiedykolwiek; pamiętaj, coś winien twej nurzającej się we krwi ojczyźnie, i bądź szczęśliwy.

- Szczęśliwy! - powtórzył młodzieniec z goryczą, patrząc za nią, jak otworzywszy furtkę dziedzińca, znikła za otaczającymi go krzewami. - Tak, jestem teraz szczęśliwy, w istocie!

Wskoczył na siodło i wspiąwszy konia ostrogami, połączył się niezadługo ze swym szwadronem, który zwolna posuwał się po stromych górskich ścieżkach ku brzegom Hudsonu.

Ale boleść Dunwoodiego, wywołana tak niespodziewanym zakończeniem rozmowy z narzeczoną, była niczym w porównaniu z tym, co ona sama czuła w głębi duszy. Przenikliwym okiem zazdrosnej miłości dostrzegła ona wprędce uczucie, jakie Izabela Singleton żywiła względem Dunwoodie'go. Sama nieśmiała i wstydliva nie mogła przypuścić, aby taka miłość mogła się zrodzić sama przez się, niczym nie wywołana. Ileż to trzeba było zabiegów Dunwoodiego, by pozyskać jej serce, które przecież tak chętnie chyliło się ku niemu, lecz gdy

mu je oddała, było to niepodzielnie i raz na zawsze. Jednakże niezwykle wydarzenia dni ubiegłych, dziwne postępowanie Dunwoodie'go w tych właśnie chwilach, jego niepojęta obojętność względem niej, a głównie romantyczna namiętność Izabeli zbudziły nowe uczucia w piersi dziewczęcia. Wraz z obawą o wierność ukochanego zbudziła się w niej nieodłączna od prawdziwej czystej miłości niewiara we własne zalety. W chwili uniesienia wyrzeczenie się go na rzecz innej, godniejszej wydawało jej się rzeczą łatwą, ale na próżno wyobrażnia usiłuje oszukać serce. Zaledwie Dunwoodie zniknął jej z oczu, nasza bohaterka odczuła całą beznadziejność swego położenia.

Major znajdował pewną ulgę w trudach i ciężących na nim obowiązkach, Fanny natomiast nie mogła jej doznać, pomimo że troska o ojca pochłonęła całkowicie jej czas. Uwięzienie syna złamało dostatecznie pana Whartona, który nigdy nie posiadał zbyt wiele energii, i trzeba było całej tkliwości córek, by go przekonać, że ma jeszcze po co żyć na świecie i powinien do zwykłych zajęć powrócić.

ROZDZIAŁ XX.

*„Pochlebiaj i chwal, unos się nad
ich wdziękami. Mów, że mają twa-
rze anielskie, choć byłyby czarne jak
szatan. Mężczyzna mający obrotny
język, nie jest mężczyzną, jeżeli
tym językiem nie potrafi zjednać
kobiety. „*

*Szekspir.
Dwaj Panowie z Werony.*

Pozostawiając kapitana Lawtona wraz z sierżantem Hollisterem i oddziałkiem dwunastu żołnierzy na straży rannych, Dunwoodie nie tylko miał na względzie polecenia, zawarte w liście pułkownika Singletona, ale i sińce, jakimi upadek z konia tak hojnie obdarzył jego kolegę. Na próżno Lawton upewniał, iż czuje się zdolnym do najcięższej bodaj służby; na próżno dowodził, że jego ludzie nie pójdą do ataku za Tomem Masonem z tą samą sprawnością i zaufaniem, jak kiedy on ich prowadzi; Dunwoodie był nieugiętym, i kapitan musiał pogodzić się z losem. Przed odjazdem major raz jeszcze polecił mu, by dawał pilne baczenie na Akację, a zwłaszcza, jeżeli jakiejś podejrzaney natury zbiegowiska dadzą się zauważyć w okolicy, by natychmiast opuścił obecną kwaterę i wraz ze swoim oddziałem zajął posiadłość pana Whartona. Słowa kramarza zbudziły w piersi Dunwoodie'go niejasne przeczucie niebezpieczeństwa, grożące tej rodzinie, aczkolwiek nie mógł zdać sobie sprawy, na czym by właściwie to niebezpieczeństwo mogło polegać, i dlaczego należało się go obawiać.

Po odejściu wojsk kapitan czas jakiś przechadzał się przed drzwiami „Hotelu” klnąc w duszy los, skazujący go na bezczynność w chwili, gdy można się było spodziewać spotkania z nieprzyjacielem, i półgębkiem odpowiadając na pytania Betty, która z głębi domu krzykliwie rozpytywała go o różne szczegóły niezrozumiałej dla niej jeszcze ucieczki kramarza.

Wnet potem nadszedł chirurg. Ten, będąc dotychczas zajęty rannymi w oddalonym budynku, nic zgoła nie wiedział ani o tym co się stało, ani nawet o odejściu wojsk.

- Gdzie są strażę, Jacku? - zapytał rozglądając się ciekawie dokoła - i dlaczego jesteś tu sam?

- Poszli, wszyscy poszli z Dunwoodie'm na rzekę. Ty i ja zostaliśmy, aby pilnować kilku chorych i paru kobiet.

- W każdym razie chwali się to Dunwoodie'mu, że pozostawił rannych w spokoju - rzekł chirurg. - Nuże, pani Elżbieto Flanagan, nie marudź ze. śniadaniem, bo jestem głodny. Mam trupa do pokrajania i śpieszy mi się.

- Nuże, panie doktorze Archibaldzie Sitgreaves - odrzyknęła Betty, ukazując swe kwitnące oblicze w stłuczonym oknie kuchni - pan zawsze się spóźnia, nie ma nic do jedzenia prócz skóry z Jenny i tego tam pańskiego trupa.

- Kobieto! - rzekł chirurg gniewnie - jest żem ludożercą, że mówisz do mnie w ten sposób? Powtarzam, pośpiesz się i daj mi coś do zjedzenia, coś odpowiedniego dla zgłodniałego żołądka.

- Zgłodniały żołądek nie powinien być wybredny - rzekła Betty. - Ja też powtarzani panu, że nie mam nic, chyba że usmażę panu befszytk ze skóry lenny. Chłopcy objedli mnie z kretesem.

Lawton wmieszał się w rozmowę, zapewniając chirurga, że wysłał już ludzi po zapasy dla oddziału. Doktor Sitgreaves, trochę udobruchany, zapomniał o głodzie i oświadczył, że zaraz weźmie się do roboty.

- A gdzie ten trup? - zapytał Lawton.

- Ano, kramarz - odrzekł doktor, spoglądając na słup. - Zapowiedziałem Hollisterowi, by zrobił rusztowanie z umysłu tak wysoko, by się kark przy spadaniu nie uszkodził. Spreparują z niego śliczny szkielet. Uważałem, że łotr był dobrze zbudowany. Zrobię z niego arcydzieło. Dawno pragnąłem czegoś podobnego, by posłać w prezencie starej mej ciotce w Wirginii. Pocziwa starowinka, opiekowała się mną, gdy byłem malcem.

- Bój się Boga, człowieku! - zawołał Lawton. - Chcesz posyłać starej kobiecie ludzkie kości?

- A czemu by nie? - odpowiedział chirurg. - Jakiż przedmiot może być szlachetniejszy nad ludzką postać, a szkielet jest jej elementarną częścią. Ale co się stało z ciałem?

- Nie ma.

- Nie ma! ktoś się ośmielił wtrącać w moje atrybucje i przeszkadzać moim studiom?

- Diabeł - zawołała Betty. - Porwie on i pana, tylko patrzeć, i o pozwolenie pytać nie będzie.

- Cicho, jedź - rzekł Lawton, z trudem powstrzymując się od śmiechu. - Jak się ośmielasz przemawiać w ten sposób do oficera?

- A to czemu mnie nazwał brudasem? - zawołała Betty. - Ale ja mam miękkie serce i pamiętam przyjaciela przez rok, a nieprzyjaciela przez miesiąc.

Ale chirurg, nie troszcząc się zgoła o przyjaźń lub nieprzyjaźń pani Flanagan, myślał tylko o swojej stracie, i Lawton musiał mu opowiedzieć, jak się to stało.

- Szczęście to dla pana, panie doktorze - zawołała Betty, gdy kapitan skończył. - Sierżant Hollister, który go widział z bliska, powiada, że to nie żaden kramarz, ale sam Belzebub. Ładnie by pan wyglądał, gdyby pan tak pokrajał Belzebuba, jeżeliby go major powiesił. Nie byłoby mu tam wesoło pod pańskim nożem, ale i panu także.

Tak podwójnie zawiedziony Sitgreaves oświadczył nagle chęć pojechania do Akacji dla dowiedzenia się, jak się miewa kapitan Singleton. Lawton postanowił towarzyszyć mu, i obaj, dosiadłszy koni, znaleźli się wkrótce na drodze, przeprowadzeni drwinami Betty z osowiałej miny doktora. Czas jakiś jechali w milczeniu, wreszcie Lawton, chcąc jakoś pocieszyć towarzysza, rzekł:

- Śliczna to była piosenka, którą zacząłeś wczoraj wieczorem, Archibaldzie, gdy nam ta banda, co przyprowadziła kramarza, przerwała. Zwłaszcza ta aluzja do Galenusu była bardzo zręczna.

- Wiedziałem, że ci się będzie podobała, Jacku, gdy wino wyszumi ci z głowy. Poezja jest bardzo szacowną sztuką, aczkolwiek brak jej dokładności nauk ścisłych i praktycznego zastosowania fizycznych. Z punktu widzenia potrzeb życiowych uważałbym poezję za środek raczej uśmierający niż odżywczy.

- A jednak oda twoja miała mięsistość dowcipu.

- Oda nie jest właściwą nazwą dla tego utworu, ja zaś określiłbym go jako klasyczną balladę.

- Być może - odrzekł kawalerzysta - z jednej strofki trudno osądzić rodzaj, do jakiego należy

całość.

Chirurg mimo woli odchrząknął, co zauważywszy kapitan rzekł:

- Powietrze ciche, droga pusta, mógłbyś ją teraz dokończyć! Nigdy za późno na wynagrodzenie straty.

- Mój drogi Jacku, gdybym wiedział, że to poprawi cię ze złych nawyków, w jakie popadłeś, nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności.

- Zbliżamy się do skał; echo podwoi moją satysfakcję.

W ten sposób zachęcony chirurg, który miał wysokie wyobrażenie o swoim śpiewie i poetyckim darze, odchrząknął znowu, spróbował parokrotnie głosu i zaczął:

„Czyś kiedykolwiek... „

- Posłuchaj - rzekł Lawton, wstrzymując konia. Jeszcze nie skończył mówić, gdy niewielki kamień padł u jego stóp i potoczył się na drogę.

- No, to jakiś znak przyjacielski - zawołał kawalerzysta - ani broń, ani jej siła nie świadczą o złej woli.

- Uderzenie kamienia rzadko kiedy sprowadza coś więcej ponad kontuzję - rzekł chirurg, rozglądając się dokoła w daremnym poszukiwaniu ręki, z której padł ów pocisk. - Musi to być meteoryczne, prócz nas nie widać tu żywej duszy.

- Cały pułk mógłby się ukryć za tymi skałami - rzekł kapitan, zsiadając i biorąc kamień do ręki. - O! otóż i wyjaśnienie tajemnicy.

To powiedziawszy, oderwał kawałek papieru, - zręcznie przywiązany do odłamka skały, który w tak dziwny sposób padł u stóp jego, i rozwinąwszy go, przeczytał dość nieczytelnie skreślone, następujące słowa:

„Kula muszkietu niesie dalej niż kamień, i niebezpieczniejsze rzeczy niż zioła dla rannych kryją się w skalach West Chesteru. Koń może być dobry; ale czy potrafi przelecieć nad przepaścią?”

- Prawdę mówisz, obcy człowiecze - rzekł Lawton - odwaga i szybkość nie na wiele się przydadzą przeciw zasadzkom w tych skalnych zaułkach.

I dosiadłszy z powrotem konia, zawołał głośno:

- Dzięki, nieznany przyjacielu; będę pamiętał o twojej przestrodze!

Jakaś chuda ręka ukazała się na chwilę z poza zrębu skały, i znowu cisza i pustka otoczyły obu jeźdźców.

- Nadzwyczajne zdarzenie! - rzekł zdumiony Sitgreaves - i ten tajemniczy list w dodatku!

- O! To pewnie koncept jakiegoś figlarza, któremu się zdaje, że nastraszy w ten sposób dwóch Wirgińczyków - rzekł Lawton, chowając bilecik do kieszeni. - Ale pozwól sobie powiedzieć, panie Archibaldzie Sitgreaves, że miałeś ochotę pokrajać dziś niezwykle ucziwego człowieka.

- Przecież to miał być kramarz, jeden z najgorszych szpiegów na usługach nieprzyjaciela, i muszę dodać, że byłoby to zaszczytem dla takiego człowieka, być obróconym na pożytek nauki.

- Może on jest szpiegiem, jest nim zapewne - rzekł Lawton, zamyślony - ale ma serce, które umie czuć, i duszę, mogącą przynieść zaszczyt żołnierzowi.

Chirurg spojrział z osłupieniem na towarzysza, lecz ten dostrzegł znów nową grupę skał, które wysuwając się naprzód zagradzały niemal wijący się u ich stóp gościniec.

- Czego koń nie przeleci, to noga ludzka przebyć może - rzekł ostrożny partyzant. I zeskoczywszy znów z siodła, zaczął szybko piąć się po zboczu wzgórza, skąd mógł dokładnie zbadać owe skały i wszystkie w nich zagłębienia.

Zaledwie to uczynił, spostrzegł jakąś ludzką postać, chyłkiem uciekającą przed nimi i znikającą po drugiej stronie przepaści.

- Ostrogę koniowi, Sitgreaves, ostrogę! - krzyknął kawalerzysta, sam puszczając się w pogoń - i pał do tego łotra, co ucieka.

Chirurg usłuchał przynajmniej pierwszej części polecenia i w chwilę potem ujrzał człowieka uzbrojonego w muszkiet, który przebiegał w poprzek gościńca z widocznym zamiarem ukrycia się w gęstym przeciwległym lesie.

- Stój, stój, mój przyjacielu, stój! poczekaj na kapitana Lawtona - zaczął wołać chirurg, widząc, że nie dopędzi uciekającego. - Ale tamten, usłyszawszy tę zachętę, wyteżył wszystkie siły i dopadł zbawczych zarośli; po czym, już czując się bezpiecznym, odwrócił się, wypalił z muszkietu do chirurga i zniknął w gęstwinie. Zanim Lawton zdążył wybiec na gościniec i dosiąść z powrotem konia, już go nie było.

- Gdzie uciekł? - zawołał.

- Johnie - rzekł chirurg - przecież ja żołnierzem nie jestem.

- Gdzie uciekł ten infamis? - powtórzył niecierpliwie Lawton.

- Tam, gdzie go dogonić nie możesz - do lasu. Ale, powtarzam, Johnie, ja nie jestem żołnierzem.

Zawiedziony kawalerzysta, przekonawszy się, że wróg umknął mu nieodwołalnie, zwrócił roziskrzone gniewem oczy na kolegę, lecz stopniowo srogi wyraz jego rysów miękł, a na ustach pojawił się ten figlarny uśmiech, który tam tak często gościł. Chirurg siedział uroczyście na koniu, wyprostowany, z podniesioną sztywnie głową, jak ktoś, komu stała się krzywda niesłusznego zarzutu.

- Czemu pozwoliłeś mu uciec? - zapytał kapitan. - Gdybym go tylko mógł sięgnąć szablą, miałbyś, czego sobie życzyłeś przed chwilą.

- Nie mogłem temu zapobiec - odrzekł chirurg, pokazując płot, przed którym zatrzymał konia. - Łotr przeskoczył na drugą stronę i ani chciał słuchać, kiedym wołał na niego, żeby zaczekał, bo ty pragniesz się z nim rozmówić.

- Istotnie bardzo niegrzeczny jegomość. Ale czemu nie przeskoczyłeś płotu i nie zmusiłeś go, by przystanął mimo chęci. Przecież to na wpół rozwalona płocina, Betty Flanagan przesadziłaby go na swojej krowie.

Chirurg po raz pierwszy odwrócił oczy, utkwione w miejscu, gdzie znikł zbieg, i przeniósł je na towarzysza, a prostując się jeszcze sztywniej, odpowiedział:

- Śmiem sądzić, kapitanie Lawtonie, że ani pani Elżbieta Flanagan, ani jej krowa nie są przykładami do naśladowania dla doktora Archibalda Sitgreaves'a; i byłyby to bardzo wątpliwy komplement dla nauki, gdyby powiedziano, że doktor medycyny połamał obie nogi, skacząc przez płot.

Mówiąc to, chirurg podniósł wzmiankowane kończyny do horyzontalnej niemal postawy, co oczywiście czyniło go niezdolnym do wszelkich skoków, ale kawalerzysta, nie zważając na ten niezbity dowód, zawołał:

- Co to za przeszkoda, człowieku?! - Cały pluton przeskoczyłby tędy, nie zawadziwszy nawet ostrogą o te dyle. Phy! Nie takie przeszkody brało się w ataku na bagnety piechoty.

- Zechciej pamiętać, kapitanie Johnie Lawton, że nie jestem ani berajterem pułkowym, ani doboszem, ani zbikowanym kapitanem; nie, mój panie - mówię to z całym uszanowaniem dla rozporządzeń lądowego Kongresu - ani zbikowanym kapitanem, który równie mało dba o własne życie jak swoich nieprzyjaciół. Ja, łaskawy panie, jestem tylko skromnym literatem, prostym doktorem medycyny, dyplomowanym przez uniwersytet edynburski, i chirurgiem dragonów, niczym więcej, upewniam cię, kapitanie Johnie Lawton.

Z tymi słowy zawrócił konia w stronę Akacji i jechał dalej.

- Masz słuszość! - mruknął kapitan. - Gdybym miał ze sobą najgorszego bodaj jeźdźca z całego mego oddziału, byłbym schwytał hultaja, i przynajmniej o jednego łajdaka byłoby mniej na świecie. Ale, Archibaldzie, nikt nie może jeździć dobrze, kto siedzi na siodle jak kolos rodyjski. Nie pokładaj całej wiary w strzemionach, trzymaj się bardziej kolanami.

- Nie ubliżając twojemu doświadczeniu, kapitanie Lawtonie - odparł chirurg - uważam siebie za dość wykwalifikowanego do wyrokowania o muskularnej sprawności czy to w kolanach, czy w innych częściach ludzkiego kształtu. A, aczkolwiek liche jest moje wykształcenie, to nie będę się uczył teraz, że im szerszą jest podstawa, tym mocniejszy wierzchołek.

- Ale w ten sposób zajmiesz jedną parą nóg cały gościniec, którym pół tuzina jeźdźców może wygodnie jechać obok siebie. Rozstawiasz je tak jak Scytowie na kołach starożytnych kwadryg.

Ta aluzja do zwyczajów starożytnych ludów udobruchała nieco chirurga, odpowiedział więc z mniejszą wyniosłością:

- Należy mówić z szacunkiem o tych, którzy nas poprzedzili, i którzy, aczkolwiek nie biegli w naukach, zwłaszcza w chirurgii, zostawili nam wiele cennych przykładów do naśladowania. Nadmienić muszę, że Galenus niewątpliwie operował rany, zadane przez owych właśnie Scytów,

aczkolwiek nie znajdziemy potwierdzenia tego faktu u współczesnych pisarzy. Ach! musiały to być straszliwe rany, i lekarze owych czasów mieli z nimi zapewne wiele kłopotu.

- Tak, zdarzały się prawdopodobnie wypadki przecięcia ciała na dwoje, nad czym pomimo całej ich uczoności nabiedzić się musieli, żeby je znów w całość zestawić.

- Co?! zestawić dwie połowy ludzkiego ciała, przecięte ostrym narzędziem, by mogły nadal pełnić funkcje życia?

- Właśnie, a nawet służbę wojskową - odparł Lawton.

- Ależ to niemożliwe, wręcz niemożliwe! - zawołał chirurg. - Na próżno, kapitanie Lawton, umysł ludzki stara się przeciwdziałać wysiłkom natury. Pomyśl tylko, w danym wypadku przecinasz wszystkie arterie, uszkodzasz wnętrzności, niszczysz nerwy i żyły, i...

- Powiedziałeś już dosyć, doktorze Sitgreaves, żeby przekonać członka współzawodniczącej szkoły. Nic już nie skusi mnie, bym dobrowolnie poddał się takiemu niepowetowanemu poćwiartowaniu.

- A jednak, co to za wspaniała rzecz taka rana, która z natury swojej jest nieuleczalna!

- Wyobrażam sobie - rzekł Lawton sucho.

- Jak myślisz? Co jest największą przyjemnością w życiu? - zapytał nagle operator.

- To zależy od gustu.

- Bynajmniej! - wykrzyknął chirurg. - Jest nią śledzenie, a bardziej jeszcze wyczuwanie stopniowej naprawy spustoszeń, dokonanych przez chorobę, naprawy mówię, jaką światła nauki dokonywają ze współdziałaniem natury! Wyobraź sobie, raz z umysłu złamałem sobie mały palec, aby móc go zestawić i śledzić proces zrastania się owego członka. Było to oczywiście próbą na małą skalę, a jednak, powiem ci, drogi Johnie, że rozkosz, z jaką obserwowałem postępy tej kuracji i podziwiałem umiejętność ludzką, działającą zgodnie z naturą, przeszła wszystkie inne przyjemne wrażenia, jakich w życiu doświadczyłem. A teraz, przypuśćmy, że byłby to jakiś większy członek, na przykład ręka lub noga, o ileż potężniejsza jeszcze byłaby ta rozkosz!

- Albo kark - rzekł kawalerzysta.

Dalszą rozmowę przerwało im przybycie do posiadłości pana Whartona. Ponieważ nikt nie wyszedł na ich spotkanie, kapitan sam skierował się w stronę saloniku, gdzie, jak wiedział, przyjmowano zazwyczaj gości. Otworzywszy drzwi, przystanął, podziwiając obraz, jaki się oczom jego przedstawił. Pułkownik Wellmere pochylał się nad zapłonioną Sarą, i oboje byli tak sobą wzajem zajęci, że nie usłyszeli hałasu, jaki Lawton sprawił swym wejściem. Po pewnych oznakach, jakie wnet jego badawczy wzrok ogarnął, kapitan odgadł tajemnicę ich serc, i miał się już cofnąć w milczeniu, lecz w tej samej chwili chirurg, który z pewnym opóźnieniem za nim podążał, wpadł do pokoju jak bomba, niezwłocznie przyskoczywszy do Wellmere'a chwycił go za rękę i zawołał;

- Masz tobie! Puls szybki i nierówny, policzki zaognione, oczy błyszczące, silne symptomy

gorączki, z którymi niema żartów.

Z tymi słowy, doktor, mający skłonność do pośpiesznego działania, słabostka wielu lekarzy w służbie wojskowej, wy dobył lancet i niedwuznacznie zabierał się do natychmiastowego zastosowania tego ostrego narzędzia. Ale pułkownik Wellmere, ochłonawszy ze zdziwienia, powstał wyniośle i rzekł:

- Panie, w pokoju jest istotnie trochę za gorąco, I temu przypisać należy moje rumieńce. Zresztą, zbyt wiele już zawdzięczam pańskiej umiejętności, bym go miał trudzić więcej. Panna Wharton wie, że czuję się zupełnie dobrze, - i upewniam pana, że nigdy zdrowszym i szczęśliwszym nie byłem.

Ostatnią część tego przemówienia wypowiedział pułkownik Wellmere z naciskiem, który okrył znów policzki Sary szkarłatem, a doktor Sitgreaves, idąc za kierunkiem wzroku swego pacjenta, zauważył to natychmiast.

- Proszę mi podać rękę - rzekł, zbliżając się do niej z ukłonem. - Niepokój i bezsenność podziałały na pani wątły organizm, i widzę tu symptomy, których nie należy zaniedbywać.

- Przepraszam pana - rzekła Sara, opanowawszy się z kobiecą dumą - duszno tu istotnie, pójdę więc uprzedzić pannę Peyton o pańskiej obecności.

Abstrakcyjna naiwność chirurga była tak wielką, że każdy łatwo mógł go wyprowadzić w pole, lecz Sara musiała podnieść oczy, by odpowiedzieć na powitalny ukłon Lawtona, który, otwierając jej drzwi, skłonił się tak nisko, że głową prawie dotknął klamki. Jedno spojrzenie wystarczyło. Sara zapanowała nad sobą, by wyjść z pokoju z godnością, lecz znalazłszy się sama, padła na krzesło, miotana uczuciami zawstydzienia i rozkoszy.

Nieco stropiony zachowaniem się pułkownika angielskiego, Sitgraves raz jeszcze ofiarował mu swoje usługi, i ponownej doznawszy odmowy, udał się do pokoju młodego Singletona, gdzie go już Lawton wyprzedził.

ROZDZIAŁ XXI.

„O! Henryku, gdy o mnie zabiegasz, możesz oprzeć się twoim zaletom? Gdyś, o! luby, zdobył moje serce, możesz odmówić ci

ręki?”

Pustelnik z Warkworth.

Doktor zastał swego pacjenta na drodze do szybkiego wyzdrowienia; gorączka opuściła go zupełnie. Siostra jego bledsza jeszcze, jeżeli to w ogóle było możliwym, niż w chwili przyjazdu, pielęgnowała go czule, a domowe panie pomimo wszystkich swoich trosk i różnorodnych wzruszeń nie zapominały o obowiązkach gościnności. Fanny przy tym czuła jakiś nieprzeparty pociąg do tej smutnej, bladej dziewczyny. Raz złączywszy w wyobraźni losy Dunwoodie'go z losami Izabeli, sądziła w romantycznym zapale, że przysłuży się najlepiej dawnemu narzeczonemu, otaczając serdecznością jego wybrankę. Izabela wdzięcznie przyjmowała te starania, lecz żadna z nich nie napomknęła o tajemniczym źródle ich udręczeń. Spostrzegawczy zmysł panny Peyton nie sięgał poza rzeczy widome, przypisywała więc bladeść lic i załzawione oczy siostrzenicy okropnemu położeniu, w jakim znajdował się Henryk Wharton. Natomiast, pomimo że osobiście niedoświadczona w tym względzie, odgadła łatwo przyczynę, dla której Sara mniej okazywała zmartwienia niż jej siostra. Miłość dla każdej cnotliwej kobiety jest uczuciem świętym i otacza aureolą wszystko, co podlega jej wpływowi. Panna Peyton bolała szczerze nad grożącym siostrzeńcowi niebezpieczeństwem, rozumiała jednak, że czasy wojny nie sprzyjają miłości i że nie można marnować tych rzadkich chwil, jakich jej użyczy przypadek.

Kilka dni minęło, nie przynosząc żadnej zmiany w zwykłym trybie życia mieszkańców Akacji i oddziału, w Czterech Kątach. Pierwsi krzepili się wiarą w niewinność Henryka i ufnością w zabiegi Dunwoodie'go na rzecz jego, drudzy z niecierpliwością oczekiwali spodziewanej lada chwila wiadomości o starciu z nieprzyjacielem i rozkazów wymarszu.

Na próżno jednak kapitan Lawton wyglądał jednej i drugiej. Listy od majora Dunwoodie'go donosiły, że nieprzyjaciel, przekonawszy się, że oddział, z którym miał wspólnie działać, został zniesiony i odwołany, cofnął się również poza okopy fortu Washingtona, gdzie trwał w nieczynności, grożąc wciąż odwetem za doznaną porażkę. Dunwoodie raz jeszcze zalecał kapitanowi czujność i kończył wyrazami pochlebnego zaufania w jego honor, gorliwość i znane męstwo.

- Wszystko to bardzo pięknie, majorze Dunwoodie - mruknął dragon, rzucając list na stół i zaczynając chodzić po izbie dla uspokojenia ogarniającej go niecierpliwości. - Ślicznie mnie ubrałeś, nie ma co mówić. Mam zatem pilnować bezpieczeństwa tego idioty który sam nie wie,

czy trzyma naszą stronę czy nieprzyjaciela, i czterech kobiet, z których trzy są wcale niczego, ale nie dbają o moje towarzystwo, a czwarta - zacna niewiasta - przekroczyła czterdziestkę; dwoje czy troje czarnych, gadatliwą gospodynię, która nic innego nie robi, tylko plecie wciąż o złocie, żebrakach i różnych omenach, i tego biednego Jerzego Singletona. Ano, chory kolega ma prawo do opieki, więc zrobię, co będzie w mojej mocy.

Kończąc ten monolog, kawalerzysta usiadł i zaczął gwizdać, żeby wmówić w siebie, że wszystko to nic go nie obchodzi, lecz wyciągnąwszy zbyt daleko nogę przewrócił baryłkę, zawierającą cały jego zapas wódki. Podnosząc drewniane naczynie, zauważył leżący na ławce, na której postawił baryłkę, bilecik. Otworzył go i przeczytał;

„Księżyc wszędzie dopiero po północy; dogodny czas dla czynów ciemności. „

Poznał pismo, było to samo, które go ostrzegło o zasadzce, i Lawton długo dumiał nad obu tymi kartkami, nie mogąc pojąć, co skłaniało kramarza, by w podobny sposób sprzyjał nieprzejednanemu wrogowi. Że był on szpiegiem nieprzyjacielskim, o tym Lawton wiedział, w swoim czasie bowiem, gdy skazano na śmierć kramarza, dowiedziono mu niezbitie, iż udzielił naczelnemu wodzowi wojsk angielskich pewnych szczegółów o położeniu amerykańskiego oddziału, wysłanego na rekonesans. Wprawdzie uniknięto szczęśliwie skutków tej zdrady, Washington bowiem odwołał ów regiment, zanim Anglicy zdążyli go otoczyć; zbrodnia jednak pozostała tą samą.

- Może - myślał kapitan - chce on mnie sobie zjednać na wypadek ponownego schwytania; bądź co bądź, raz oszczędził mi życie, a drugi raz uratował mi je. Postaram się być równie wspaniałomyślnym względem niego, i proszę Boga, aby mi w tym powinność nie przeszkodziła.

Czy niebezpieczeństwo, wzmiankowane w obecnej kartce, groziło Akacji, czy też samemu oddziałowi w Czterech Kątach, tego kapitan nie mógł wymiarkować, przechylał się jednak ku ostatniemu przypuszczeniu, i postanowił podwoić czujność jadąc po ciemku. Dla człowieka, żyjącego w czasach spokojnych, obojętność, z jaką Lawton odnosił się do grożącego niebezpieczeństwa, byłaby wprost niepojętą, jakoż przemyślał on bardziej nad sposobami przyłapania nieprzyjaciół niż uniknięcia ich machinacji. Przybycie chirurga, wracającego z Akacji, dokąd codziennie jeździł, przerwało te rozmyślenia. Sitgreaves przywiózł zaproszenie od pani domu, by kapitan Lawton raczył zaszczyścić Akację swoją obecnością wczesnym wieczorem.

- Oho! - zawołał kawalerzysta - więc i oni musieli otrzymać list jakiś.

- Uważam to za bardzo prawdopodobne - rzekł chirurg. - Jest tam kapelan z królewskiej armii, który przybył dla wymiany rannych, i ma rozkaz od pułkownika Singletona, upoważniający do ich wydania. Także dziki pomysł, ruszać tych ludzi w takim stanie.

- Kapelan, powiadasz? Jakże on się przedstawia? Pijaczyna i żarłok, który się próżniaczy w obozie i objada go, czy też jaki porządny sługa Boży?

- Wygląda bardzo przyzwoicie, i sądząc z zewnętrznych objawów, zdaje się być człowiekiem

wstrzemięźliwym - odrzekł chirurg. - Wcale przystojnie i jak się należy odmawia dziękczynienie.

- Czy zostanie na noc?

- Zapewne, ale pośpiesz się, Johnie; nie mamy czasu do stracenia. Wpadnę tylko do rannych, puścić krew paru Anglikom, których mają zabrać jutro, żeby zapobiec zapaleniu, i zaraz będę gotów.

Galowy strój kapitana nie przyczynił mu wiele kłopotu ni mitręgi; wkrótce obaj z chirurgiem puścili się znów w drogę do Akacji. Roanokemu kilkudniowy odpoczynek posłużył równie dobrze jak jego panu, i Lawton, pędząc koło dobrze pamiętnych skał na swym dziarskim rumaku, pragnął gorąco, by ów zdradziecki wróg stanął mu teraz na drodze konno i, jak on, uzbrojony. Ale ani wróg, ani żadna inna przeszkoda nie wstrzymała jadących, i przybyli do Akacji w momencie, gdy zachodzące słońce rzucało ostatnie promienie na dolinę i złociło bezlistne drzew wierzchołki.

Lawton posiadał dar spostrzegawczy, rozwinięty w wysokim stopniu, to też zaledwie przestąpił próg domu, jeden rzut oka powiedział mu więcej niż doktorowi Sitgreaves'owi całodzienne w nim przebywanie. Panna Peyton powitała kapitana z większą niż zazwyczaj uprzejmością. Fanny snuła się po domu zapłakana i wzruszona, a pan Wharton stał, gotów na przyjęcie gości, w aksamitnym fraku, który byłby sprawił wrażenie w najwykwintniejszym salonie. Pułkownik Wellmere był w mundurze oficera gwardii królewskiej, a Izabela Singleton siedziała przybrana w szaty godowe, z twarzą, kłam im zadającą, podczas gdy brat jej, niezwykle ożywiony, nie wyglądał wcale na rekonwalescenta. Był to już trzeci dzień, jak mu wstać pozwolono, a doktor Sitgreaves, rozglądający się dokoła z osłupieniem, zapomniał zburczeć go za nierozwagę. Co się tyczy kapitana Lawtona, ten patrzył na wszystko z powagą i spokojem człowieka, którego niełatwo wytrącić z równowagi. Przywitawszy się ze wszystkimi, zbliżył się do chirurga, widząc, że ten stoi w kącie jak oszołomiony.

- Johnie - szepnął doktor z zaciekawieniem - co znaczy ta uroczystość?

- Znaczy, że twojej peruce i moim czarnym włosom byłoby się przydało trochę mąki Betty Flanagan, ale już teraz za późno i musimy stoczyć bój tak uzbrojeni jak jesteśmy.

- Patrz no, wchodzi kapelan wojskowy w pełnym stroju jak Doctor Divinitatis; co to być może?

- Zamiana - odpowiedział kawalerzysta. - Ranieni strzałami Kupidyna mają się spotkać i załatwić rachunki z tym bogiem, składając przysięgę, że więcej już od jego grotów cierpieć nie będą.

Chirurg położył palec na nosie, zaczynając się domyślać.

- Czy to nie hańba, żeby taki fircyk i wróg miał zerwać jeden z najpiękniejszych kwiatów, co wyrósł na naszej ziemi - mruknął Lawton - kwiat godny ozdobić pierś najdzielniejszego męża!

- Jeżeli będzie równie trudnym mężem jak pacjentem, Johnie, to obawiam się, że biedna

panienka będzie miała z nim ciężkie życie.

- Dobrze jej tak - rzekł oburzony kawalerzysta - wybrała z pomiędzy wrogów ojczyzny; niech się przekona, jak smakują cudzoziemskie cnoty.

Dalszą rozmowę przerwała panna Peyton, która przystąpiwszy do obu przyjaciół, uwiadomiła ich, że zostali zaproszeni na ślub jej starszej siostrzenicy z pułkownikiem Wellmere'm. Panowie skłonili się, a poczciwa ciotka z wrodzonym poczuciem taktu dodała, że państwo młodzi znali się od dawna i że wzajemna ich miłość nie była bynajmniej czymś nagłym. Na to kapitan skłonił się jeszcze ceremonialniej, ale chirurg, który nie pomijał nigdy sposobności wdania się w rozmowę ze starą panną, odpowiedział:

- Umysł ludzki różnie się w różnych jednostkach przejawia. U jednych wrażenia są żywe i przelotne, u drugich głębokie i trwałe. Są nawet filozofowie, którzy usiłują przeprowadzić paralelę pomiędzy fizycznymi a umysłowymi władzami człowieka; ja zaś sądzę, że przyzwyczajenie i otoczenie mają wpływ na jedno, drugie zaś podlegają właściwym prawom natury.

Panna Peyton z kolei skłoniła się milcząco i z godnością, po czym wyszła, aby wprowadzić pannę młodą. Ujrawszy ją wchodzącą, Wellmere poskoczył, aby ująć dłoń, którą z odwróconą twarzą wyciągała ku niemu i niezawodnie dopiero w tej chwili pułkownik angielski zdał sobie dokładnie sprawę z ważnej roli, jaką miał w zbliżającej się uroczystości odegrać. Dotychczas wydawał się roztargnionym i jakby zakłopotanym, lecz na widok uroczego zjawiska wszystkie inne względy pierzchnęły mu z przed oczu i pozostała jedynie pewność bliskiego szczęścia. Wszyscy powstali z miejsc, i kapelan otworzył już świętą księgę, gdy zauważono nieobecność Fanny. Panna Peyton udała się na poszukiwanie młodszej siostrzenicy i znalazła ją w jej własnym pokoju, tonącą we łzach.

- Pójdź, kochanie - rzekła ciotka, obejmując kibić dziewczęcia. - Staraj się uspokoić i w odpowiedni sposób uczcić wybór siostry.

- Och! czyż on jest jej godny?

- Jakżeby mogło być inaczej? - odparła panna Peyton - alboż nie jest szlachcicem? Dzielnym, choć nieszczęśliwym żołnierzem? I w ogóle człowiekiem posiadającym wszelkie warunki, mogące zapewnić szczęście każdej kobiecie.

Fanny otarła oczy i opanowawszy się całą siłą woli, poszła za ciotką. Przez ten czas duchowny, aby zapełnić czymś nieco kłopotliwą zwłokę, zadawał różne pytania panu młodemu; na jedno wszelako nie otrzymał zadowalającej odpowiedzi. Wellmere zmuszony był przyznać, że nie zaopatrzył się w obrączkę, a bez obrączki ceremonia ślubna nie mógł się odbyć. Tak przynajmniej zaopiniował duchowny, opierając się na przepisach kanonicznych. Zwrócono się wszelako do pana Whartona z zapytaniem, jakie jest jego zdanie w tym względzie, on jednak od czasu uwięzienia syna był w stanie takiej apatii, że jak łatwo zgodził się na tak szybkie

małżeństwo Sary z Wellmere'm, tak również łatwo oświadczył się teraz przeciw dopełnieniu ślubnego aktu bez obrączki. Panna Peyton i Fanny weszły na tę chwilę. Chirurg dragonów zbliżył się do pierwszej i podając jej krzesło zauważył:

- Pokazuje się, łaskawa pani, że zewnętrzne okoliczności nie pozwoliły pułkownikowi Wellmere'owi zaopatrzyć się we wszystkie przybory, jakie obyczaje, tradycja i prawa kościelne uznały za nieodzowne do wejścia w święte związki małżeństwa.

Panna Peyton spojrzała spokojnie na zakłopotanego oblubieńca, a przekonawszy się, że był przybrany z całą, możliwą w tak wyjątkowych okolicznościach świetnością, przeniosła wzrok na mówiącego, jakby pytając o wyjaśnienie.

Chirurg rozumiał, o co jej chodzi, i pośpieszył zadośćuczynić niememu wezwaniu.

- Istnieje przeważające mniemanie - rzekł - iż ponieważ serce leży po lewej stronie ciała, związek pomiędzy owym, że się tak wyrażę, siedliskiem życia a członkami owej strony ściślejszy jest niż ze stroną przeciwległą. Ale jest to mniemanie błędne, wypływające z nieświadomości wewnętrznego układu ludzkiego organizmu. Zgodnie wszelako z nim czwarty palec u lewej ręki uważany bywa za szczególnie uprzywilejowany, i zazwyczaj opasuje się go podczas obrządku ślubnego obrączką, jak gdyby dla tym ściślejszego utrwalenia związku pomiędzy serdecznymi uczuciami a stanem małżeńskim, czego zresztą o wiele skuteczniej mogą dokazać wdzięki i przymioty płci pięknej właściwe.

Z tymi słowy operator położył wymownie rękę na sercu i skłonił się prawie do ziemi.

- Niezupełnie dobrze rozumiem znaczenie słów pańskich - rzekła panna Peyton, któremu to brakowi pojętności z jej strony nie można się było dziwić.

- Brak obrączki, łaskawa pani...

Zacna ciotka natychmiast oceniła całą kłopotliwość położenia. Spojrzała na siostrzenice i w oczach młodszej dostrzegła błysk radości, który jej się nie podobał, zaś twarzyczka Sary płonęła zrozumiałym wstydem. Wszystkim tym trzem paniom przypomniało się, że ślubna obrączka zmarłej ich matki i siostry spoczywała wraz z innymi kosztownościami, dawniej jeszcze schowanymi nocą w tajemnej kryjówce, dla zabezpieczenia ich przeciw chciwości band rozbójniczych, włóczących się po okolicy. Ale było to od niepamiętnych czasów przyjętym zwyczajem, że pan młody dostarczał tego niezbędnego przy ślubie szczegółu, a panna Peyton za nic na świecie nie byłaby uczyniła nic takiego, co by w jej pojęciu sprzeciwiało się kobiecej godności; a w każdym razie nie wcześniej, niż przewina spotkałaby się z dostateczną karą, w postaci kłopotu i niepokoju. Żadna więc z pań nie wspomniała o owej obrączce: ciotka ze względu na przyzwoitość, panna młoda ze wstydu, a Fanny z tajemnego zadowolenia, że jakaś przeszkoda, mniejsza jaka, odwlecze zaślubiny jej siostry. Kłopotliwe milczenie przerwał doktor Sitgreaves:

- Jeżeli, szanowna pani, prosta obrączka, należąca niegdyś do mojej siostry - tu zamilkł i

odchrząknął, - jeżeli, jednym słowem, tego rodzaju pierścień może dostąpić zaszczytu o który chodzi, znajduje się on na mojej kwaterze w Czterech Kątach i jak sądzę, nada się doskonale na palec obecnej oblubienicy. Istnieje wielkie podobieństwo pomiędzy - hm! - moją nieboszczką siostrą, a panną Wharton w postawie i anatomicznej kształcie, a zazwyczaj u normalnych jednostek proporcje bywają ściśle zachowane w całym ustroju fizycznym.

Wzrok panny Peyton przypomniał pułkownikowi Wellmere'owi, co mu należy uczynić, zerwał się więc oblubieniec z krzesła i zapewnił chirurga, że ten niczym bardziej nie zobowiąże go, jak posyłając po ów pierścionek. Doktor Sitgreaves skłonił się z pewną wyniosłością i wyszedł oświadczając, że idzie wyprawić posłańca w tym celu. Za ledwie jednak drzwi się za nim zamknęły, panna Peyton pomyślała, iż nie należy wtajemniczać jakiegoś obcego człowieka w tego rodzaju domowe sprawy, wyszła więc śpiesznie za doktorem prosić go, by zamiast swego służącego wyprawił Cezara, Doktor oczywiście nie miał nic przeciwko temu, i Katy Haynes z polecenia panny Peyton udała się, aby sprowadzić murzyna do pustego pokoju, gdzie go tamci dwoje oczekiwali.

Pan Wharton udzielił zezwolenia na to nagłe małżeństwo Sary z Wellmere'm w warunkach, tak że wszecmiar niesprzyjających weselnej uroczystości - że wspomnimy tylko o groźącym niebezpieczeństwie życia jednemu z członków rodziny - biorąc pod uwagę niespokojne czasy, mogące uniemożliwić zakochanej parze ponowne spotkanie, a także i pod wpływem tajemnej obawy, że śmierć syna przyspieszyć może jego własny zgon, i że wtedy córki jego pozostaną bez męskiej opieki.

Jednakże, chociaż panna Peyton, ulegając życzeniu szwagra, zgodziła się skorzystać z przypadkowej obecności duchownego, nie uważała za właściwe rozgłaszać w sąsiedztwie, choćby i czas nawet był po temu, o zaślubinach siostrzenicy, zdawało jej się zatem, że obwieszcza głęboką tajemnicę gospodyni i murzynowi. - Cezarze - zaczęła z uśmiechem - masz wiedzieć, że twoja młoda pani, panna Sara, zaślubia dziś wieczorem pułkownika Wellmere'a.

- Ja to dawno wiedzieć - rzekł Cezar z łobuzerskim grymasem - stary kolorowy człowiek wiedzieć, kiedy młoda pani mieć się do kogoś.

- Doprawdy, Cezarze, nie podejrzewałam cię o tyle domyślności, ale skoro już wiesz, o co chodzi, słuchaj, co ci ten pan powie i zastosuj się ściśle do jego wskazówek.

Murzyn zwrócił się posłusznie do chirurga, który zaczął jak następuje:

- Cezarze, pani twoja uwiadomiła cię już, jak ważny obrządek ma się odbyć w obrębie tego domu, brak jednak pierścienia czyli obrączki, mającej opasać palec panny młodej; zwyczaj to starożytny, przechowywany przy zawieraniu ślubów małżeńskich w wielu odłamach kościoła chrześcijańskiego, a który nawet jako symbol duchownych zaślubin stosuje się przy instalacji prałatów, jak ci to zapewne wiadomo.

- Może massa powtórzyć mi to jeszcze - przerwał stary murzyn, którego pamięć zaczęła

zawodzić, właśnie w chwili, gdy chirurg z taką ufnością powołał się na jego władze umysłowe. - To ja wtedy nauczyć się na pamięć.

- Niepodobieństwem jest wycisnąć miód ze skały, Cezarze, dlatego będę się streszczał. Jedź do Czterech Kątów i oddaj ten list sierzantowi Hollisterowi lub pani Elżbiecie Flanagan, a jedno z nich wręczy ci ów symbol małżeńskiej miłości, i wracaj co prędzej.

List, który chirurg powierzył w ręce Cezara, brzmiał jak następuje:

„Jeżeli gorączka opuściła Kindera, daj mu pożywienie. Puścić jeszcze trzy uncje krwi Watsonowi. Uważaj, aby niewiasta nazwiskiem Flanagan nie zostawiła jakiego naczynia z alkoholem w szpitalu.

Zmień opatrunek Johnsonowi i odkomenderować Smitha na służbę. Przesłać obrączkę, wiszącą przy łańcuszku od zegarka, który zostawiłem, dla pilnowania się godzin lekarstw”.

Archibald Sitgreaves, D. M.

Chirurg Dragonów.

- Cezarze - rzekła Katy, zostawszy sama z murzynem - gdy ci oddadzą obrączkę, włóż ją do lewej kieszeni, bo ta jest najbliższą serca, i nie waż się przymierzać ją na palec; to przynosi nieszczęście.

- Przymierzać na palec? - powtórzył murzyn, wyciągając swe kościste knykcie. - Czy to pierścionek miss Sally wejść na palec Cezara?

- Nie chodzi o to, czy wejdzie czy nie - rzekła gospodyni - ale to zły znak przymierzać czyjąś obrączkę po ślubie, więc może być niebezpieczne i przedtem.

- Ani mi się to śnić!

- Jedź więc, Cezarze, i nie zapomnij o lewej kieszeni, a gdy będziesz przejeżdżał koło cmentarza, zdejm kapelusze. A śpiesz się, bo chyba nie ma nic przykrzejszego dla panny młodej jak czekać na ślub, kiedy jej pilno.

Zaopatrzony w te przestrogi Cezar opuścił dom i wkrótce potem siedział na siodle. Od młodości był on, jak wszyscy murzyni, dzielnym jeźdźcem, ale sześćdziesiątka ostudziła nieco upały jego krwi afrykańskiej. Noc była ciemna i listopadowy wiatr świstał w dolinie. Przejeżdżając koło cmentarza, Cezar odkrył osiwiałą głowę z przesadną trwogą i zaczął rozglądać się dokoła, azali nie ujrzy jakiego nadludzkiego zjawiska. Jakoż ujrzął, ale ludzką postać, wychodzącą z pomiędzy grobów i kierującą się w stronę gościńca. Na próżno rozum i filozofia chciałyby walczyć z wrażeniami, a biedny Cezar pozbawiony był nawet i tych wątpliwych sojuszników. Siedział jednak na dobrym, zaprzęgowym koniu pana Whartona, więc tylko przyłgnął instynktownie do grzbietu swego wierzchowca i zdał się na jego łaskę i niełaskę. Wzgórza, lasy, skały, parkany i domy migały mu przed oczyma z błyskawiczną szybkością, i właśnie zaczął przypominać sobie, w jakim właściwie celu pędzi w ten sposób, gdy dopadł

rozstaju dróg i „Hotel Flanagan” stanął przed nim w całej swej rozpadającej się prostocie. Widok wesoło płonącego ognia powiadomił murzyna, że znajduje się wobec zamieszkałego przez ludzi domostwa, a wraz z tą świadomością zbudził się w nim lęk przed krwiożerczymi Wirgińczykami, nie było jednak rady. Zsiadł więc z siodła i uwiązawszy spienionego konia u płotu, zbliżył się ostrożnie do okna na rekonesans.

Sierżant Hollister i Betty Flanagan siedzieli przed sutym ogniem, racząc się sownie napitkiem.

- Mówię wam, kochany sierżancie - rzekła Betty, odejmując kubek od ust - czy to ma choć trochę sensu myśleć, że to nie był kramarz we własnej osobie. Bo gdzie się podział zapach siarki, gdzie skrzydła, gdzie racice? Zresztą, sierżancie, to nie wypada wmawiać w uczciwą kobietę, że spała na jednym łóżku z Belzebubem.

- Mniejsza z tym, pani Flanagan, byles na tamtym świecie uniknęła jego szponów - odparł weteran, zakropiwszy tę uwagę potężnym łykiem.

Cezar usłyszał dosyć, by upewnić się, że żadne niebezpieczeństwo nie grozi mu od tych dwojga. Przy tym zaczął już dzwonić zębami z zimna i widok ciepłej, zacisznej izby dodał mu jeszcze bodźca. Poszedł więc do drzwi i zapukał z nadzwyczajną pokorą. Ukazanie się Hollistera z dobytą szablą, ostro pytającego: kto idzie? nie przysporzyło Cezarowi otuchy, ale sam strach rozwiązał mu język.

- Zbliź się - rzekł sierżant, bacznie oglądając murzyna - zbliź się i oddaj depeszę; czy znasz hasło?

- Ja nie wiedzieć, co to jest - odrzekł murzyn, pod którym dygotały nogi - masz dać mi różne rzeczy, ale ja nie wiedzieć.

- Kto, powiadasz, przysłał cię tutaj?

- Ano doktor, więc ja tu lecieć galopem, jak zawsze, kiedy doktor posłać.

- Tak, to doktor; on sam nigdy hasła nie wie. Kapitan Lawton nie byłby przysłał cię tu bez hasła tak blisko straży, bo łatwo mogłeś dostać kulka w łeb, a to byłoby bardzo nieprzyjemnie dla ciebie, bo chociaż jesteś czarny, ja nie należę do tych, co mówią, że murzyni nie mają duszy.

- Co jej nie mają mieć! - rzekła Betty. - Przystąp bliżej, stary, i ogrzej się przy ogniu, bo trzęsiesz się jak osika. Murzyn z Gwinei musi lubić ciepło, jak żołnierz lubi kieliszek.

Cezar usłuchał w milczeniu, a sierżant wysłał śpiącego na ławce w izbie małego mulacika z listem chirurga do budynku, gdzie leżeli ranni.

- Masz - rzekła praczka, podając Cezarowi kubek z ulubionym swym trunkiem - łyknij sobie kropelkę, niebożę, to ci rozgrzeje twoją czarną duszę i pokrzepi na drogę z powrotem.

- Mówię ci, Elżbieto - rzekł sierżant, że dusze czarnych są takie same jak nasze; często słyszałem, jak dobry pan Whitfield powtarzał, że w niebie niema różnicy kolorów. Stąd słusznie wnioskować należy, że dusza tego tu murzyna jest tak samo biała jak moja, albo nawet majora

Dunwoodie.

- Z pewnością że jest - zawołał Cezar, któremu „łyk” pani Flanagan przywrócił odwagę.

- Dobra to dusza ten major - rzekła praczka - poczciwa dusza i dzielna dusza też, sam to musisz przyznać, sierżancie.

- Co się tyczy tego - odparł weteran - to jest ktoś wyższy nawet nad samego Washingtona i ten dusze ludzkie sądzić będzie. Ja tylko powiem, że major Dunwoodie to taki pan, który nigdy nie powie: „Idźcie chłopcy”, ale zawsze powiada „Pójdźcie, chłopcy”, a jeżeli biedny człowiek zgubi ostrogę, albo fasulec mu się przetrze, zawsze znajdą się pieniądze na pokrycie straty i to z kieszeni majora.

- Więc dlaczego siedzicie tu beczynni, gdy ci, co mu najdrożsi, są w niebezpieczeństwie - krzyknął nagle jakiś głos. - Na koń! na koń! i do kapitana; do broni i na koń, i to natychmiast, bo może być za późno.

Ta niespodziewana przerwa wywołała niesłychane zamieszanie wśród pijących. Cezar skoczył na komin i pozostał tam pomimo gorąca, przy którym biały byłby się upiekł z pewnością; sierżant Hollister błysnął dobytą szablą, lecz spostrzegłszy, że przybysz był to we własnej osobie kramarz, stojący przy otwartych tylnych drzwiach, zaczął cofać się w stronę zajętego przez murzyna stanowiska z wojskową intuicją, nakazującą mu koncentrację sił. Betty sama została na miejscu obok stołu. Z oczyma rozmarzonymi trunkiem z czułością nalała pełny kubek i podając go kramarzowi zawołała do brodu:

- Jak się masz, panie kramarz, czy panie Birch, czy panie Belzebub, czy jak się tam zwiesz! Tak czy owak uczciwy z ciebie diabeł i spodziewam się, że ci moje spódnice posłużyły. Zbliź się do ognia, sierżant Hollister nic ci złego nie zrobi z obawy, abyś mu jakiego figla na tamtym świecie nie spletał.

- Uchodź, bezbożniku! - wykrzyknął sierżant, wciąż przysuwając się bliżej Cezara, ale przestępując z nogi na nogę, bo mu już podeszwy skwierczeć zaczęły od ognia - uchodź w pokoju. Nie ma tu nic dla ciebie, i na próżno pożadasz tej kobiety. Jest miłosierdzie, które ocali ją od twych szponów.

Tu sierżant przestał mówić głośno, ale usta jego poruszały się, i słychać było szept modlitewny. W umyśle Betty panował taki chaos, że nie rozumiała jasno znaczenia słów swego wielbiciela, lecz jakby olśniona nową myślą zawołała:

- Jeżeli mu o mnie chodzi, to co komu do tego? Jestem wdową i rozporządzam sobą. Mówisz o opiece, sierżancie, ale ja jej dotąd nie widzę, i pan Belzebub może wypowiedzieć swoje zamiary, jeżeli mu się podoba. Ja go rada wysłuchać.

- Kobieto - rzekł kramarz - bądź cicho; a ty, głupi człowiecze, chwyć za broń i leć na pomoc swemu oficerowi, jeżeli godny jesteś sprawy, której służysz, i nie chcesz zhańbić munduru, który nosisz.

Z tymi słowy kramarz znikł z przed oczu oszołomionej trójki tak szybko, że żadne z nich nie mogło sobie zdać sprawy, jak się to stało.

Usłyszawszy głos dawnego znajomego, Cezar wylał z kąta i śmiało zbliżył się do miejsca, gdzie Betty stała wciąż jak przygwożdżona.

- Niechby Harvey zostać - rzekł murzyn - ja woleć z nim jechać, Johnny Birch nie zrobić nic złego własny syn.

- Głupcze! - wykrzyknął sierżant, odzyskując głos - i ty myślisz, że to był człowiek z ciała i krwi?

- Harvey nie mieć dużo ciała - odpowiedział murzyn - ale to bardzo mądry człowiek.

- Ech! kochany sierżancie! - zawołała Betty - przyjdźże raz do rozumu, i zważ na to, co ci ten mądry powiedział; zwołaj chłopców i pojedź do kapitana Jacka, pamiętaj, kochanie, że on ci dziś jeszcze mówił, żeby być w pogotowiu na każde zawezwanie.

- Tak, ale nie na takie. Niech kapitan Lawton, albo porucznik Mason, albo kornet Skipwit powie słowo, a kto prędzej skoczy na siodło niż ja?

- A widzisz, sierżancie, a jakieś to się przechwalał, że wojska samego diabła się nie boją.

- Tak, ale w bojowym szyku i przy dziennym świetle, lecz w taką noc jak dzisiejsza nie trzeba kusić szatana. Słyszysz, jak wiatr świszczę w drzewach; O! To złe duchy tak wyją.

- Ja go widzieć - rzekł Cezar, wytrzeszczając oczy, że omal nie wyskoczyły mu z orbit.

- Gdzie? - przerwał sierżant, instynktownie kładąc dłoń na rękojeści szabli.

- Nie, nie - rzekł murzyn - ja widzieć Johnny Birch jak wychodzić z grobu, Johnny chodzić po śmierci.

- No, to musiał źle życie pędzić - rzekł Hollister - błogosławieni w duchu leżą spokojnie, czekając na ostatni apel, ale grzeszna dusza przeszkadza sobie i drugim zarówno w tym życiu jak w przyszłym.

- A co się stanie z kapitanem Jackiem? - zawołała Betty gniewnie. - Czy tak słuchasz przestrogi, którą ci dano? Skoro tak, to ja zaprzęgam do wózka i jadę tam i powiem mu, że sierżant Hollister boi się umarłego i Belzebuba, i że żadnej pomocy od niego spodziewać się nie można, a wtedy zobaczymy, co na to rzeknie kapitan.

- Nie, Betty, nie - rzekł sierżant, poufale kładąc jej dłoń na ramieniu - jeśli się ma jechać dzisiejszej nocy, to niech jedzie ten, czym obowiązkiem jest zwołać ludzi i dać im przykład. Ale zmiłuj się, Panie Boże, i ześlij nam wrogów z ciała i krwi.

Jeszcze jedna szklanica umocniła sierżanta w powziętym postanowieniu i wyszedł zwołać dwunastu żołnierzy, zostających pod jego rozkazami. Tymczasem nadbiegł chłopak z obrączką. Cezar schował ją starannie do kieszonki od kamizelki tuż przy sercu, i dosiadłszy konia, zamknął oczy, chwycił rumaka za grzywę i jechał tak w stanie względnego odrętwienia, dopóki wierzchowiec nie stanął przed drzwiami ciepłej stajni, z której wyruszył.

Dragoni podążali znacznie wolniej, Hollister bowiem zalecił im jechać stępa i dawać pilne baczenie, by zły duch we własnej osobie nie zastąpił im drogi.

ROZDZIAŁ XXII.

*„Niech język twój nie będzie
głosicielem twojej własnej hańby.
Wyglądaj słodko, mów pięknie,
przystrój nieuczciwość. Niechaj
występek przybierze postać gońca
cnoty.”*

Szekspir. Komedia Omyłek.

Dosyć kłopotliwe było położenie zebranego w domu pana Whartona towarzystwa podczas godziny, jaką trwała nieobecność Cezara, taką bowiem zdumiewającą szybkość biegu rozwinął jego wierzchowiec, że nie tylko przebył cztery mile drogi w trakcie tego czasu, ale zostawił go jeszcze dostatecznie na powyżej opisane wydarzenia. Oczywiście panowie starali się uprzyjemnić paniom chwile męczącego oczekiwania, ale naprzód obmyślane szczęście nie należy do najweselszych. Państwo młodzi od niepamiętnych czasów mają przywilej milczenia, a w danym wypadku wszyscy prawie obecni byli skłonni do pójścia w ich ślady. Angielski pułkownik siedział z twarzą odpowiednio rozpromienioną obok Sary, która zdawała się korzystać ze zwłoki, by uzbroić się w potrzebną moc ducha do czekającej ją uroczystej chwili. Wśród tej kłopotliwej ciszy, doktor Sitgreaves, usiadłszy obok panny Peyton, przemówił do niej w te słowa:

- Małżeństwo, łaskawa pani, jest stanem szanownym w oczach Boga i ludzi, i można powiedzieć, że w czasach obecnych przystosowało się do praw natury i rozsądku. Starożytni, sankcjonując wielożeństwo, nie brali pod uwagę usprawiedliwionych wymagań natury i

skazywali tysiące istot ludzkich na niedolę; lecz z rozwojem nauki rozwinęły się i mądre zarządzenia społeczne, nakazujące mężczyźnie, aby miał jedną tylko żonę.

Wellmere spojrział z niesmakiem na chirurga, i widoczne było, że gadanina doktora nudzi go i niecierpliwi w wysokim stopniu, zaś panna Peyton z lekkim wahaniem, jakby lękając się potrącać o zabronione tematy, odrzekła:

- Sądziłam, panie doktorze, iż moralne nasze pojęcia w tym względzie zawdzięczamy religii chrześcijańskiej.

- Prawda, łaskawa pani, przepisy apostołskie ustanowiły równość obu płci w instytucji małżeństwa. Ale w jakim stopniu wielożeństwo mogło oddziaływać ujemnie na świętobliwość życia? Prawdopodobnie rozumne to zarządzenie było dziełem Pawła, który był uczonym człowiekiem i prawdopodobnie porozumiewał się w tej ważnej sprawie z Łukaszem; ten zaś, jak wszyscy wiemy, poświęcał się medycynie.

Trudno przewidzieć, jak daleko upodobanie w rozprawach byłoby zawiodło doktora Sitgreaves'a, gdyby Lawton, który w milczeniu lecz bacznie obserwował wszystko co się działo, nie przerwał mu nagle:

- Przepraszam, pułkowniku Wellmere, ale jaka jest kara w Anglii na dwużeństwo?

Pan młody drgnął i usta mu pobladły. Ale opanowawszy się natychmiast, odpowiedział słodko, jak przystało na tak szczęśliwego człowieka:

- Śmierć, jak na to podobny występki zasługuje.

- Śmierć i dysekcja - dodał operator. - Prawo rzadko kiedy pomija sposobność spożytkowania, że się tak wyrażę, przestępcy. A dwużeństwo jest wstrętną zbrodnią.

- Wstrętniejszą niż celibat? - zapytał Lawton..

- O wiele wstrętniejszą - odpowiedział chirurg z niezmaconą naiwnością. - Kto pozostaje bezżennym, może poświęcić się nauce i rozszerzyć zakres wiedzy, ale nikczemnik, korzystający z wrodzonej uczuciowości i łatwowierności płci niewieściej, popełnia czyn występny sam przez się, spotęgowany jeszcze podłością oszustwa.

- Panie muszą być nieskończenie obowiązane panu za ten sąd pochlebny o ich umysłowych władzach - zauważył Lawton. - Łatwowierność bowiem jest rodzoną siostrą głupoty.

- Kapitanie Lawton, fizyczny ustrój mężczyzny szlachetniej jest ukonstytuowany niżeli kobiety. Nerwy są mniej wrażliwe, cały organizm mniej giętki i ustępliwy; cóż więc dziwnego, że skłonność do polegania na dobrej wierze współmałżonka bardziej jest rozwinięta w kobiecie niż w mężczyźnie?

Wellmere, jakby niezdolny słuchać dłużej cierpliwie tych niewczesnych wywodów, zerwał się z miejsca i zaczął chodzić gorączkowo po salonie. Duchowny, widząc jego wzburzenie, ulitował się nad nim i zmienił przedmiot rozmowy, a wkrótce też zjawił się i Cezar. Wręczył on doktorowi Sitgreaves'owi kartkę z odpowiedzią, panna Peyton bowiem zaleciła mu wyraźnie,

aby pod żadnym pozorem nie mieszał jej w sprawę, dla której był wysłany. Kartka zawierała treściwą odpowiedź na różne wskazówki chirurga i donosiła, że obrączkę wręczono murzynowi. Podał on ją natychmiast doktorowi, ten zaś popatrzył na nią w milczeniu z melancholijnym wyrazem twarzy, a zapominając, gdzie się znajduje i po co tę pamiątkę przyniesiono tutaj, przemówił głośno sam do siebie:

- Biedna Anno! Wesołą byłaś, jak tylko młodość i niewinność wesołą być może, kiedy opaska ta miała stać się widomym symbolem twych zaślubin; ale nim godzina ta nadeszła, Bóg zabrał cię do siebie. Lata minęły, siostró moja, ale pamięć towarzyski mego dzieciństwa pozostała na zawsze.

Rzekłszy to, zbliżył się do Sary, i na nic nie zważając, ciągnął dalej:

- Ta, dla której pierścień ten był przeznaczony, z dawna spoczywa w grobie, a młodzian, który go jej ofiarował, wkrótce za jej świetlanym duchem podążył; weź to, pani, i oby Bóg dał ci szczęście, na jakie zasługujesz.

Dziwny chłód zmroził serce Sary przy tych słowach chirurga, ale Wellmere podał jej rękę, i ceremonia rozpoczęła się. Głębokie milczenie zaległo pokój, gdy duchowny, zwróciwszy się z uroczystą przemową do państwa młodych, wezwał ich do złożenia przysięgi. Przez nieuwagę obrączka pozostała na palcu Sary tak, jak ją włożył chirurg; okoliczność ta spowodowała krótką przerwę, po czym duchowny miał przystąpić w dalszym ciągu do ceremonii ślubu, gdy pojawienie się nowej osoby w salonie wstrzymało cały obrządek. Osobą tą był kramarz. Ironia i gorzyc malowały się na jego twarzy, a podniesiony w górę palec miał w tym ruchu coś nakazującego.

- Jak może pułkownik Wellmere tracić te cenne chwile, gdy żona jego przebyła ocean, aby się z nim połączyć! Noc jest długa, a księżyc jasno świeci, za kilka godzin można już być w mieście.

Przerazony nagłością tej dziwnej odezwy pułkownik Wellmere stracił na chwilę władzę i stał jak osłupiały. Sara nie przestraszyła się pojawieniem Bircha, lecz ochłonawszy z pierwszego zdziwienia, spojrzała z pewnym niepokojem na człowieka, któremu przed chwilą przysięgła wiarę. Wyraz jego twarzy zdradzał niewątpliwe potwierdzenie tego, co powiedział był kramarz. Pokój zakreślił się wraz z Sarą, i padła bez zmysłów w objęcia ciotki. Kobiety mają w sobie pewną wrodzoną delikatność, biorącą górę nad wszystkimi innymi wrażeniami; przeniesiono też natychmiast zemdloną pannę młodą do innego pokoju, a w salonie pozostali sami mężczyźni.

Kramarz skorzystał z ogólnego zamieszania i ulotnił się szybko, a Wellmere, czując utkwione w sobie oczy wszystkich obecnych, stał jak przygwożdżony do miejsca.

- To fałsz! - wykrzyknął wreszcie, uderzając się w czoło - nikczemny fałsz! Nigdy nie uznawałam jej za żonę, i prawa mego kraju nie zmuszą mnie do tego.

- A pańskie sumienie i prawa Boskie co na to powiedzą? - zapytał Lawton.

- Dość tego, mój panie - rzekł Wellmere wyniośle, zmierzając ku drzwiom - położenie moje jest panu tarczą, ale przyjdzie może czas...

Miał już wyjść, gdy uczył, że ktoś lekko dotknął jego ramienia. Odwrócił głowę. Kapitan Lawton stał za nim ze znaczącym uśmiechem i dał mu znak, by mu towarzyszył. Pułkownik Wellmere znajdował się w takim stanie ducha, że byłby chętnie poszedł wszędzie, byle zejść z oczu tym, którzy patrzyli na niego z takim wstrętem i nienawiścią. W milczeniu doszli do stajen, wówczas kawalerzysta zawołał:

- Przyrowadź Roanoke'go.

Stajenny zjawił się z osiodłanym, koniem. Lawton z zimną krwią zarzucił cugle na szyję rumaka, wyjął z olster parę pistoletów i rzekł:

- Oto jest broń, która służyła dobrej sprawie i w dzielnych rękach. To są pistolety mego ojca, pułkownika Wellmere; używał ich chwalebnie w wojnach z Francją i dał mi je, abym walczył nimi w obronie praw mego kraju. Jakże lepiej mogę się mu przysłużyć, jak zgładzając ze świata nikczemnika, który był gotów pohańbić jedną z najpiękniejszych jego córek.

- To ubliżające postępowanie spotka się z zasłużoną zapłatą - zawołał tamten, chwytając podaną broń. - Krew niech spadnie na głowę tego, kto jej szukał.

- Amen. Ale jeszcze jedno. Jesteś pan teraz wolny, masz w kieszeni paszporty Washingtona, daję panu pierwszeństwo strzału; jeżeli padnę, oto koń, który cię uchroni przed pościgiem; a radzę ci nie zwlekać z ucieczką, bo nawet Archibald Sitgreaves wystąpiłby do walki, by mnie pomścić, ani też strażę w górach nie przepuściłyby cię tak łatwo.

- Jesteś pan gotów? - zapytał Wellmere, zgrzytając zębami.

- Poświeć nam, Tomie. Tak, a teraz - ognia! Wellmere wystrzelił, i kula zerwała „buljon” z epoletów kawalerzysty.

- A teraz kolej na mnie - rzekł Lawton z wolna, zniżając pistolet.

- I na mnie! - krzyknął jakiś głos, i wytracona z ręki kapitana broń upadła na ziemię. - Do wszystkich diabłów, to ten wściekły Wirgińczyk. Bierzcie go chłopcy, nie spodziewaliśmy się takiej gratki.

Pomimo że rozbrojony i zdumiony, Lawton nie stracił przytomności umysłu. Zrozumiał, że wpadł w ręce tych, od których nie może spodziewać się miłosierdzia, i gdy czterech skinnerów rzuciło się na niego, zebrał wszystkie swe olbrzymie siły, postanawiając bronić się do upadłego. Trzech z bandy schwyciło go za kark i ręce, by go obezwładnić i skępować powrozami. Pierwszego odrzucił z taką gwałtownością, że tamten zatoczył się na ścianę stajni i padł ogłuszony. Ale tymczasem czwarty poderwał mu nogi, i kawalerzysta, niezdolny stawić oporu, zwałił się na ziemię, pociągając za sobą wszystkich napastników. Walka była krótka, lecz straszna. Skinnerzy klęli okropnie, wrzeszcząc na towarzyszy, by im śpieszyli z pomocą, lecz ci stali zgrozą zdjęci, przypatrując się beczynnie tym nadzwyczajnym zapasom. Wreszcie dało się

słyszeć rżenie któregoś z walczących, i w ślad za tym jeden dźwignął się z ziemi, strząsając z siebie dwóch pozostałych. Zarówno Wellmere jak służący Lawtona uciekli, pierwszy do stajni, a drugi by wszcząć alarm, pozostawiając wszystko w ciemności. Ten, który powstał z ziemi, wskoczył błyskawicznie na siodło, skry posypały się z pod kopyt rumaka, i w świetle ich ukazał się kapitan, pędzący jak wichra w stronę gościńca.

- Na wszystkie moce piekielne! Uciekł - wykrzyknął herszt, ochryłym z wściekłości i wyczerpania głosem. - Ognia! Ognia do niego! Bo będzie za późno.

Spełniono rozkaz i nastąpiła chwila oczekiwania, w daremnej nadziei, że olbrzymia postać Lawtona zwali się na ziemię.

- Nie spadłby, choćbyś go i zabił - mruknął jeden z opryszków. - Ci Wirgińczycy to diabły wcielone. Widziałem takich, co siedzieli na koniu, mając po parę kul w ciele, nawet kiedy już było po nich.

- Konie ich są tak wyuczone, że zawsze stają, kiedy jeździec spadnie - zauważył inny.

- A więc ocalał! - wykrzyknął herszt, uderzając z wściekłością muszkietem o ziemię. - Do roboty, żywo! Za pół godziny sierżant i reszta tamtych wpadną tu na nas. Prędko, każdy niech się swego ima. Podpaść dom ze środka; płonące ruiny są dobro do pokrycia złych czynów.

- A co zrobić z tym? - zawołał inny, potrącając nogą bezwładne ciało towarzysza. - Gdyby go się trochę potarło, to by wrócił do życia.

- Niech leży - odpowiedział herszt ze złością. - Gdyby nie był mazgajem, ten przeklęty dragon znajdowałby się w mojej mocy. Dalej do domu, mówię, i podpaść pokoje. Tu się porządnie obłowimy, a i zemście stanie się zadość. Srebra i pieniędzy jest tu w bród.

Takiej pokusie żaden opryszek oprzeć się nie mógł. Pozostawiwszy więc towarzysza, który zaczął dawać słabe oznaki życia, rzucili się tłumnie ku domowi. Wellmere skorzystał z tego i wymknąwszy się ze stajni na własnym koniu, popędził na gościniec. Przez chwilę zawahał się, czy jechać tam, gdzie stały strażę, i po ratunek dla zagrożonej rodziny Whartonów, czy też korzystając z zamiany, jaką uskutecznił” duchowny, wrócić do królewskiej armii. Poczucie wstydu i winy przechyliło szalę na tę ostatnią stronę i zawrócił więc ku New-Yorkowi, lękając się jedynie spotkania się z rozwścieczoną kobietą, którą poślubił był podczas ostatniej bytności w Anglii, ale do której zniechęcił się prędko i opuścił.

Tymczasem w domu, wśród ogólnego zamieszania nie zauważono zniknięcia Lawtona i Wellmerea. Pan Wharton znajdował się w takim stanie, że pomoc chirurga i pociecha duchownego były mu zarówno potrzebne. Huk wystrzałów ostrzegł rodzinę o nowym niebezpieczeństwie, i w chwilę potem herszt bandy wraz z drugim bandytą wpadli do pokoju.

- Poddajcie się, słudzy króla Jerzego! - wykrzyknął herszt, przykładając muszkiet do piersi Sitgreaves'a - bo inaczej upuszczę wam trochę waszej torysowskiej krwi.

- Zwolna, zwolna, mój przyjacielu - rzekł chirurg - bieglejszym mi się wydajesz w

zadawaniu ran, niż w ich leczeniu; broń, którą tak nieostrożnie trzymasz, jest nadzwyczaj niebezpieczną dla ludzkiego życia.

- Poddaj się, lub przyjmij jej zawartość.

- Po co i dlaczego miałbym się poddawać? Nie jestem żołnierzem. Warunki kapitulacji muszą być omówione z kapitanem Johnem Lawtonem, aczkolwiek, co się tyczy poddania się, nie sądzę, aby wam z nim poszło łatwo.

Herszt tymczasem rozejrzał się po obecnych, i widząc, że nie grozi mu od nich niebezpieczeństwo oporu, rzucił na ziemię muszkiet i z pomocą swoich ludzi jął pakować, co mu kosztowniejszego w ręce wpadło, do worków. Wnętrze domu przedstawiało teraz szczególny widok: w jednym z pokojów, do którego nie wpadli jeszcze rabusie, wszystkie panie krzątały się koło Sary, wciąż dotąd nieprzytomnej. Pan Wharton siedział w stanie zupełnego oglupienia, słuchając bez zdawania sobie sprawy, czego słucha, słów zdawkowej pociechy, płynących z ust duchownego. Singleton leżał na sofie, drżący z wycieńczenia, a chirurg udzielał środków uspokajających i oglądał opatrunki z najdoskonalszą zimną krwią, jak gdyby nic w ogóle nie zaszło. Cezar i pomocnik doktora uciekli do lasu za domem, a Katy biegała po domu, wiążąc co cenniejsze manatki, i ze skrupulatną uczciwością odrzucając wszystko co nie było jej własnością.

Wróćmy teraz do oddziału w Czterech Kątach. Gdy weteran zebrał już swoich ludzi w bojowym orydku, markietankę ogarnęła chęć wzięcia udziału w chwale i niebezpieczeństwach tej wyprawy. Czy skłaniała ją do tego obawa pozostania samą, czy chęć pośpieszenia osobiście na pomoc ulubieńcowi, nie śmiemy przesądzać, ale gdy Hollister dawał już rozkaz wymarszu, rozległ się krzykliwy głos Betty:

- Poczekaj krzyżo, sierżancie kochany, tylko dwóch chłopców wytoczy mi wózek, a ja pojedę z wami. Nie obejdzie się bez tego, żeby nie było rannych, to ich się do domu przywiezie.

Aczkolwiek zadowolony w duszy z każdej zwłoki w tej wyprawie, tak bardzo mu nie na rękę, Hollister zaczął sarkać dla zachowania decorum.

- Chyba kula armatnia ruszy którego z moich chłopców z siodła - rzekł - a nie widzi mi się, żeby nas czekała jaka strzelanina tam, gdzie zły bierze udział w potyczce. To też, Elżbieto, możesz jechać, jeżeli ci się podoba, ale wózek nie będzie potrzebny.

- A widzisz, że łiesz, sierżancie kochany - rzekła Betty, mająca porządnie w czubku - a czy to kapitan Singleton nie był ranny nie dalej niż przed dziesięcioma dniami, a sam kapitan Jack czy nie zleciał z konia i nie leżał na ziemi na wznak jak martwy, a chłopcy myśleli, że zabity i czmychnęli przed regularnymi, aż się kurzyło?

- Ty sama łiesz - zawołał sierżant gniewnie - i łże każdy, kto powie, żeśmy nie odnieśli zwycięstwa - tego dnia!

- To też ja nie powiadam, żeście nie zwyciężyli - odrzekła praczka - ale taki zmykaliście, tylko was major Dunwoodie zawrócił, i wtedy poliznęliście regularnych. Ale kapitan też spadł z

konia, a przecie niema lepszego jeźdźca nad niego, więc, sierzancie, wózek się przyda. Hej, wy tam, jeden z drugim, zaprząćcie mi kobyłę, a nie zabraknie wam whisky jutro. Włóżcie też kawałek zadu Jenny pod siedzenie, nic zawadzi pomyśleć o wszystkim, pośpiech na nic się nie zdał w tych ciężkich czasach.

Sierżant Hollister udzielił zezwolenia, i wózek Betty wnet był gotów do drogi.

- Ponieważ nie wiemy, czy będziemy zaatakowani z przodu czy z tyłu - rzekł Hollister - pięciu z was pojedzie naprzód, a reszta osłaniać będzie cofanie się nasze ku kwaterom, gdyby nas nadto przycisnęli. Ciężka to rzecz dla człowieka małego wykształcenia dowodzić w takim zdarzeniu, Elżbieto, i wołałbym, żeby który z oficerów był tutaj; ale ufam w miłosierdzie Boże.

- Et, nie pleć, sierzancie, i dalej w drogę - rzekła praczka, sadowiąc się wygodnie. - Diabeł czy nie diabeł, a niema co marudzić, bo niewielką pociechę kapitan Jack będzie miał z twojej pomocy.

- Aczkolwiek nie jestem uczony i nie wiem, jak się trzeba obchodzić z duchami lub umarłymi, pani Flanagan - rzekł weteran - nie na próżno służyłem przez całą starą wojnę i pięć lat teraz, żeby nie wiedzieć, jak osłaniać tabor. Czy Washington nie osłania zawsze taboru? Obozowy ciura nie będzie mnie uczył moich obowiązków. Zrobić, jak kazałem, i marsz.

- O! to! to! - zawołała Betty niecierpliwie. - Murzyn już tam jest na miejscu, a tu się marudzi i marudzi.

- Czy to tylko był murzyn naprawdę? - rzekł sierżant, wjeżdżając w środek plutonu, gdzie mógł rozmawiać z Betty i w razie potrzeby poprowadzić atak lub rejteradę.

- Alboż ja wiem, sierzancie kochany? Ale czemu to chłopcy nie pośpieszą trochę? Kobyła się niecierpliwi, i psie zimno w tej przeklętej dolinie, a my się wlecemy jak za pogrzebem.

- Powoli, i ostrożnie, pani Flanagan. Dobry oficer nigdy się nie śpieszy. Jeżeli mamy się spotkać z duchami, to pewnością zaskoczą nas znienacka; jazda po ciemku niewiele zdziałać potrafi, a ja tu mogę stracić reputację, dobra kobieto.

- Riputacie? A czy kapitan Jack nie ma także życia i riputaci do stracenia?

- Stój! - krzyknął sierżant - co się tam czai pod skałą na lewo?

- Pewno nic, albo dusza kapitana Jacka, która przychodzi nastraszyć cię, żeś prędzej z pomocą nie nadszedł.

- Betty, takie kpiny są nie na miejscu w podobnej wyprawie. Dalej, jeden z was niech mi zreknoskuje miejsce; dobyć szable, ścieśnić szeregi!

- E! - zawołała Betty - albo z ciebie wielki głupiec, albo wielki tchórz! Ustąpcie no z drogi, chłopcy, a ja w mig dotrę tam z moją kobyłą. Nie mnie brać na duchy.

Tymczasem żołnierz wrócił z oznajmieniem, że nic nie stoi na przeszkodzie dalszej drodze; oddział ruszył znów stępa z wielką ostrożnością.

- Odwaga i rozwaga są to dwa klejnoty żołnierza, pani Flanagan - rzekł sierżant - ale jedna

bez drugiej niewiele są warte.

- Niby rozważa bez odwagi? I ja tak samo myślę, sierżancie. Ale ta bestia kobyła tak się znarowiła, że rady sobie dać z nią nie mogę.

- Cierpliwości, dobra kobieto. Cyt! Co to takiego? - zawołał Hollister, nadstawiając uszu na odgłos strzału Wellmere'a. - Przysięgłbym, że to ludzki pistolet i z naszego pułku w dodatku. - Formuj się! Naprzód! Pani Flanagan, muszę cię tu zostawić.

I z tymi słowy, odzyskawszy całą przytomność umysłu, z chwilą kiedy usłyszał jakiś zrozumiały odgłos, sierżant Hollister wyjechał na czoło oddziału z wojskową dumą, której Betty na skutek ciemności dostrzec nie mogła. Strzały muszkietów rozdarły powietrze, a weteran zawołał:

- Naprzód! Marsz!

W chwilę potem Zatełniło gwałtownie na gościńcu. Hollister znów wstrzymał oddział a sam wysunął się przed front na spotkanie jeźdźca.

- Stój! Kto idzie? - krzyknął.

- Ha! Hollister, to ty! - zawołał Lawton. - Zawsze w pogotowiu i na stanowisku, ale gdzie straż?

- Tu za mną, panie kapitanie, gotowe skoczyć za panem kapitanem, bodaj w ogień - odrzekł weteran, rad że został jednocześnie zwolniony z odpowiedzialności i że się zanosi na starcie z nieprzyjacielem.

- To dobrze - rzekł kawalerzysta, po czym, zbliżywszy się do żołnierzy, przemówił do nich kilku słowami zachęty i pędem powiodł ich za sobą doliną. Licha szkapina markietanki wkrótce została w tyle, a Betty, zjechawszy z gościńca, zauważyła:

- Otóż to; zaraz można poznać, że kapitan Jack jest z nimi; lecą jak ten wiatr co świszcze; ano uwiążę ją kobyłkę u tego płotka, a sama pójde piechotą i popatrzę, co się święci. Po co mam wystawiać bydlatko na szwank?

A tymczasem ludzie Lawlona pędzili za nim bez bojaźni i bez zastanowienia. Czy mieli się spotkać z partią zbiegów, czy z oddziałem królewskiej armii, to im było obojętne, wiedzieli tylko, że prowadzący ich oficer słynie z męstwa i osobistej dzielności, a cnoty te mają zawsze nieprzeparty urok dla żołnierstwa.

Podjechawszy niedaleko furtki Akacji, Lawton zatrzymał oddział i poczynił przygotowania do ataku. Zsiadł z konia, rozkazał ośmiu ludziom, by poszli za jego przykładem, i zwracając się do Hollistera, rzekł:

- Ty zostań tu i pilnuj koni. Gdyby ktokolwiek chciał przejść tędy, zatrzymaj lub odetnij drogę i...

W tej chwili przez okna i cedrowy dach domu buchnęły płomienie i jaskrawe światło rozdarło nocne ciemności.

- Za mną! - zawołał kawalerzysta - za mną! nie dawać pardonu, póki sprawiedliwości nie stanie się zadość.

Głos kapitana brzmiał tak potężnie, że usłyszano go w głębi domu pomimo panującej tam wrzawy. Herszt skinnerów upuścił łup i przez chwilę stał jak skamieniały ze strachu, po czym skoczył do okna i otworzył je w chwili, gdy Lawton z szablą w ręku wpadł do pokoju.

- Giń, złoczyńco! - krzyknął kawalerzysta, wymierzając straszliwy cios jednemu z opryszków, ale herszt wyskoczył przez okno i uniknął zemsty. Okrzyki kobiet przywróciły Lawtonowi jego zwykłą przytomność umysłu, i prośby duchownego skłoniły go do zajęcia się bezpieczeństwem rodziny. Jeden jeszcze z bandy padł trupem, reszta ratowała się ucieczką. Całkowicie oddane trzeźwieniu Sary, ani domowe panie, ani Izabela Singleton nie zauważyły wejścia skinnerów, pomimo że płomienie ogarnęły już cały budynek. Krzyki Katy i Cezara w połączeniu z panującą w sąsiednim pokoju wrzawą ostrzegły wreszcie pannę Peyton i Izabelę o grożącym im niebezpieczeństwie.

- Miłosierne nieba! - zawołała wystraszona ciotka - co to za hałas w domu! Przyjdzie jeszcze do rozlewu krwi z powodu tej nieszczęsnej historii.

- Któżby się bił? - odrzekła Izabela z twarzą bladą jak płótno. - Doktor Sitgreaves jest bardzo spokojnego usposobienia, a kapitan Lawton nie posunie się chyba tak daleko.

- Południowcy są bardzo zapalczywi i gwałtowni - mówiła dalej panna Peyton - i brat pani pomimo osłabienia, tak zdawał się być rozdrażnionym.

- Ach! Boże! - zawołała Izabela, ledwo trzymając się na nogach - on z natury łagodny jest jak baranek, ale gdy go coś podnieci, lew mu nie dorówna. Musimy wdać się w tę sprawę, nasza obecność uśmierzy hałas, a może uratuje życie ludzkie.

I panna Peyton, ożywiona poczuciem obowiązku godnego jej płci i charakteru, skierowała się ku drzwiom z godnością obrażonej kobiecości. Za nią szła Izabela. Pokój, do którego przeniesiono Sarę, znajdował się w skrzydle budynku, a długi ciemny korytarz łączył go z frontowym przedsionkiem. Widno tu teraz było i w głębi poruszały się jakieś ludzkie postacie tak szybko, że nie można było rozróżnić, czym są zajęte.

- Pójdźmy - rzekła panna Peyton ze stanowczością, której kłam zadawała jej twarz pobladła - muszą przecież uszanować płęć naszą.

- I uszanują - zawołała Izabela, wysuwając się naprzód.

Fanny została sama z siostrą. Kilka chwil minęło w milczeniu, gdy w pokojach na górze rozległ się trzask, a przez otwarte drzwi zajaśniało światło tak żywe, że w pokoju uczyniło się widno jak w dzień. Sara uniosła się na łóżku, potoczyła błędnym wzrokiem dokoła i przyciskając obie dłonie do czoła, usiłowała zebrać myśli.

- Więc to jest - niebo - a ty... ty jesteś jednym z jego świetlnych duchów! O! jak wspaniała jest jego jasność... Tak... wiedziałam, że szczęście moje było zbyt wielkim dla mnie. Ale

spotkamy się jeszcze - tak - tak - spotkamy się jeszcze.

- Saro! Saro! - wykrzyknęła przerażona Fanny - siostrzo najdroższa - jedyna. Och! nie uśmiechaj się tak strasznie. Spójrz na mnie; poznaj, że to ja, bo mi serce pęknie.

- Cyt! - rzekła Sara, podnosząc rękę ostrzegawczym ruchem - nie mąć mu spokoju. On przecież pójdzie za mną do grobu! Jak myślisz, czy mogą być w grobie dwie żony? Nie - nie - nie - jedna - jedna - jedna - tylko jedna!

Fanny pochyliła głowę na łono siostry i rozplakała się boleśnie.

- Ronisz łyzy, słodki aniele - ciągnęła dalej Sara kojąco - zatem i niebo nie jest wolne od cierpień. Ale gdzie jest Henryk? Stracono go, więc musi być tu także, może przyjdą razem. O! jakież to radosne będzie spotkanie!

Fanny zerwała się i zaczęła chodzić po pokoju. Oczy Sary śledziły za nią z dziecięcym zachwytem.

- Wyglądasz jak moja siostra. Ale wszystkie dobre i piękne duchy są do siebie podobne. Powiedz mi, czy byłaś kiedy zamężna? Czy dopuściłaś, aby obcy człowiek zabrał ci przywiązanie do ojca, brata, siostry? Jeżeli nie, żałuję cię, biedaczko, pomimo że jesteś w niebie.

- Saro, cicho, przestań, zaklinam cię, przestań, - wykrzyknęła Fanny, podbiegając do łóżka - bo padnę trupem u twych stóp.

Ponowny, straszliwy trzask wstrząsnął budynkiem. Dach zapadł się i płomienie buchnęły ze wszystkich stron, oświetlając całą przestrzeń przed domem. Fanny skoczyła do okna i ujrzała gromadę ludzi na dziedzińcu. Pomiędzy tymi szybko poruszającymi się postaciami rozróżniła ciotkę i Izabelę, rozpaczliwie wyciągające ręce ku płonącemu budynkowi i widocznie błagające dragonów o ratunek. Po raz pierwszy Fanny zrozumiała grożące jej i siostrze niebezpieczeństwo. Z przeraźliwym krzykiem, nie zdając sobie sprawy co czyni, wybiegła na korytarz.

Gęste kłęby dymu zatamowały jej drogę. Przystanęła, aby odetchnąć, a w tejże chwili ktoś chwycił ją i na wół zemdloną wyniósł poprzez padające dokoła główne na świeże powietrze. To ocuciło ją momentalnie. Otworzyła oczy i poznała, że życie zawdzięcza Lawtonowi. Rzucając się przed nim na kolana, krzyknęła:

- Sara! Sara! Sara! Ocal pan moją siostrę i niech ci to Bóg nagrodzi.

Po czym padła na murawę bez przytomności. Kawalerzysta, przywoławszy Katy, w milczeniu wskazał na zemdloną postać i raz jeszcze rzucił się ku płonącemu budynkowi. Ogień objął już drewniane filary tarasu i futryny okien, a dym kłębił się dokoła. Było to jednakże jedyne możliwe wejście do środka, i nawet odważny do szaleństwa Lawton zawahał się chwilę. Ale tylko chwilę. Jednym skokiem wpadł w gorejącą otchłań dymów, nie mógł znaleźć wejścia, szukał go parę minut i wydobył się znów na otwartą przestrzeń. Zaczerpnąwszy świeżego powietrza w piersi poskoczył znowu i znowu na próżno. Za trzecim razem natknął się na człowieka zgiętego pod ciężarem ludzkiego ciała. Nie było to miejsce ani czas na pytania, porwał

więc obu w swe potężne ramiona i wyniósł z pożaru, Ale jakież było zdumienie jego, gdy spostrzegł, że ocalił chirurga i trupa jednego z opryszków.

- Archibaldzie - wykrzyknął - czemu na miłość Boską chciałeś ocalić tego łotra? Czyny jego wołają o pomstę do nieba.

Chirurg, który cudem prawie uniknął śmierci, był tak oszołomiony, że zrazu nie mógł się zdobyć na odpowiedź. Otarł tylko pot z czoła i oczyściwszy płuca potężnym chrząknięciem, rzekł żałośnie:

- Już po nim! Gdybym był zdążył zatamować krew, płynącą z gardła, można by go było uratować; ale gorąco spowodowało krwotok i śmierć. Ano, cóż począć! Są tam jeszcze ranni?

Na pytanie to nie było komu odpowiedzieć, zemdloną Fanny przeniesiono bowiem w drugi koniec dziedzińca, gdzie znajdowała się reszta jej rodziny, a Lawton raz jeszcze zniknął w kłębach dymu.

Przez ten czas jednak płomienie rozproszyły dławiące opary, i kawalerzysta dostrzegł wreszcie drzwi wchodowe, a w nich postać męską, niosącą bezwładną Sarę. Lawton skoczył mu na pomoc i zaledwie wydostali się na dziedziniec, cały budynek stanął w płomieniach.

- Bogu niech będą dzięki! - zawołał wybawca Sary. - Strasznie byłoby umierać taką śmiercią!

Lawton, który zapatrzył się na rozlane szeroko morze płomieni, spojrział teraz na mówiącego i ku najwyższemu zdumieniu, zamiast jednego ze swoich ludzi zobaczył kramarza.

- Ha! szpieg! - wykrzyknął. - Na Boga! zachodzisz mi drogę jak upiór.

- Kapitanie Lawtonie - rzekł Birch, opierając się o parkan, pod który schronili się tymczasem - jestem znów w pańskiej mocy, bo nie mogę ani uciekać, ani się bronić.

- Sprawa Ameryki drogą mi jest jak życie - rzekł kawalerzysta - ale i Ameryka nie może żądać od swych dzieci, by zapominały o wdzięczności i honorze. Uciekaj, nieszczęsny człowiecze, póki cię nie zobaczą, bo nie będzie w mojej mocy ocalić cię wtedy.

- Oby ci to Bóg nagroził i dał ci zwycięstwo nad nieprzyjaciółmi - rzekł Birch, ściskając dłoń dragona z żelazną siłą, której powierzchowność jego nie znamionowała.

- Stój! - zawołał Lawton - jedno słowo! - Jesteś tym, czym się być wydajesz? Czy podobna, żebyś był...

- Królewskim szpiegiem - przerwał Birch, odwracając twarz i usiłując wyrwać rękę.

- Idź więc, nieszczęsny - rzekł kawalerzysta, odtrącając go - chciwość czy obłąd zawiodły szlachetne serce na manowce.

Blask płomieni zataczał wielki krąg dokoła zgliszczy, ale zaledwie Lawton wypowiedział te słowa, chuda postać kramarza przemknęła jak cień po oświetlonej przestrzeni i znikła w ciemnościach.

Lawton patrzył chwilę w to miejsce, gdzie widział tego niepojętego człowieka, po czym, schyliwszy się nad bezprzytomną wciąż Sarą, wziął ją na ręce i zaniósł jak uśpione dziecko, by

oddać zrozpaczonej rodzinie.

ROZDZIAŁ XXIII.

*„A teraz wdzięki jej więdną
szybko; wesolość opuściła ją. Nie-
stety! taka piękność długo trwać
nie może Najwonnejszy kwiat naj-
prędzej przechodzi. Jakże smutno
płyną lata! Jak zmieniło się wszystko,
co ją otaczało! Gdzież są jej tkliwi
wielbiciel? Niestety! nie znaj-
dziez się nikt, na kim dusza jej
oprzeć by się mogła?”*

Grób Cyntji.

Z pięknego wiejskiego pałacyku pana Whartona pozostały tylko poczerniałe od dymu mury, a ogołoczone z tarasów i ozdób sterczały ponuro niby jedyne wspomnienie bezpieczeństwa, dostatku i zadowolenia, jakie do tak niedawna panowały w ich wnętrzu. Dach z resztą drewnianych wiązań zapadł się w piwnice, a blade migotliwe światło, podnoszące się ze zgliszczy, połyskiwało przez okna. Wczesna ucieczka opryszków pozwoliła dragonom ocalić sporo sprzętów, które leżały stosami na dziedzińcu, potęgując wrażenie ogólnego zniszczenia. Gdy silniejszy snop światła buchnął w górę, widać było w głębi spokojne postacie sierżanta Hollistera i jego towarzyszy, wyprostowanych po wojskowemu na siodłach, a tuż przy nich wózek i szkapinę pani Flanagan, szczypiącą przydrożną trawę. Betty zaś przysunęła się do sierżanta i z niezmaconym spokojem przyglądała się wszystkiemu. Kilkakrotnie napomknęła towarzyszowi, że skoro już bitwa się skończyła, to nadszedł czas na rabunek, ale sierżant pozostał niewzruszony, powołując się na otrzymane rozkazy, aż wreszcie zniecierpliwiona praczka, spostrzegłszy kapitana wychodzącego z za węgła domu z Sarą na rękach, wmieszała się pomiędzy żołnierzy. Kapitan złożywszy Sarę na sofie, którą dwóch jego ludzi wyniosło z budynku, oddał ją w opiekę pannie Peyton i Fanny, a sam odszedł. Obie kobiety, uszczęśliwione

widokiem ocalonej, zapomniali o wszystkim i rzuciły się ku niej, obsypując pocałunkami i najtkliwszymi słowy.

- Saro! dziecko moje najdroższe! - mówiła ciotka, tuląc ją w objęciach - ty żyjesz! O! Niech Bóg ześle wszystkie swe błogosławieństwa na tego, który cię uratował.

- Patrz - rzekła Sara, zlekka usuwając ją i wskazując na płonące zgliszczu - iluminowano okna na moje przyjęcie. U nich tak zawsze przyjmują pannę młodą, sam mi powiedział; posłuchaj, a usłyszysz dzwony.

- Tu nie ma panny młodej, nie ma wesela, jest tylko niedola! - zawołała Fanny z równym prawie jak u siostry obłędem. - O! Oby nieba powróciły cię nam! Biedna! Ukochano Saro!

- Cicho, niemądre stworzenie! - rzekła Sara z uśmiechem politowania. - Wszyscy nie mogą być jednocześnie szczęśliwi; może nie masz brata ani męża, któryby cię pocieszył, ale jesteś piękną, więc go znajdziesz, tylko - tu głos zniżyła do szeptu - bacz, aby nie miał innej żony; straszna rzecz pomyśleć, coby się stało, gdyby się dwa razy ożenił.

- Ten cios pomieszał jej zmysły - zawołała panna Peyton. - Moja dziecina, moja ukochana Sara zwariowała.

- Nie! Nie! - zawołała Fanny - to gorączka; ona majaczy. Ale to przejdzie, to przejść musi.

Ciotka uchwyciła się tej myśli i wyprawiła Katy po doktora Sitgreaves'a. Chirurg znajdował się pomiędzy żołnierzami, oglądając różne sińce i zadrapania, z których oni niewiele sobie robili, i przyznawali się do nich głównie, aby mu zrobić przyjemność. Usłyszawszy, że pomoc jego jest potrzebną, chirurg niezwłocznie pośpieszył zadośćuczynić wezwaniu panny Peyton.

- Melancholijny to koniec tak wesoło zaczętego wieczora, łaskawa pani - rzekł pocieszająco - ale wojna pociąga za sobą nieodzowne klęski, aczkolwiek z drugiej strony często popiera sprawę wolności i rozwija chirurgiczną wiedzę.

Panna Peyton nic nie odrzekła, tylko z rozpaczą wskazała na siostrzenicę.

- Ma gorączkę - objaśniła Fanny - patrz pan, jak jej oczy błyszczą i jaką ma twarz rozpaloną.

Chirurg stał przez chwilę, uważnie badając zewnętrzne symptomy pacjentki, po czym w milczeniu ujął jej rękę. Rzadko kiedy twarde i roztargnione oblicze Sitgreaves'a zdradzało jakieś silniejsze wrażenie; wszystkie jego uczucia były niejako podporządkowane jednej przewodniej myśli, pomimo że w gruncie miał zacne i miękkie serce. W danym wypadku jednak utkwione w nim oczy ciotki i siostrzenicy prędko odgadły, co się w jego duszy działo. Potrzymawszy chwilę palce na pulsie Sary, doktor puścił piękną, obnażoną do łokcia i połyskującą klejnotami rękę, i szybko dłoń po oczach przesunawszy, odstąpił ze smutkiem.

- Droga pani - rzekł - tu nie ma gorączki, tu tylko czas i tkliwa opieka mogą z pomocą Bożą przynieść wyzdrowienie.

- A gdzież jest nędznik, który to sprawił? - zawołał Singleton, usiłując podnieść się z krzesła, na którym go posadzono. - I po cóż zwyciężać nieprzyjaciół, jeżeli zwyciężeni mogą jeszcze

takie rany zadawać!

- A cóż ty myślisz, niemądry chłopcze - rzekł Lawton z gorzkim uśmiechem - że w koloniach ludzie mają serce? Czymże jest Ameryka, jak tylko satelitą Anglii; jej obowiązkiem iść w ślad za nią, tańczyć jak ona zagra i błyszczeć, by Wielka Brytania tym większej od niej nabrała świetności. Zapomniałeś chyba, że dość zaszczytu dla kolonisty, jeżeli go spotka nieszczęście z ręki dziecka Anglii.

- Nie zapominam, że mam szablę - odpowiedział Singleton, osuwając się na krzesło wyczerpany. - Ale czy podobna, aby nie znalazło się ramię gotowe pomścić krzywdę tej pięknej dziewczyny, zniewagę tego osiwiatego ojca?

- I ramię i serce by się znalazło - rzekł Lawton - ale los często sprzyja niegodziwcom. Przebóg! oddałbym mego Roanoke'go, by się spotkać w czystym polu z tym nikczemnikiem.

- No, kapitanie kochany, nie oddawaj konia za żadne pieniądze - wtrąciła się do rozmowy Betty - drugiego takiego nie znajdziesz; pewny w nogach i skacze jak wiewiórka.

- Kobieto! Pięćdziesiąt koni i to najlepszych, jakie się pasły kiedykolwiek na brzegach Potomaku, byłyby nędzną zapłatą za zgładzenie tego łotra.

- Jacku - rzekł chirurg - nocne powietrze zaszkodzić może Jerzemu i tym paniom; musimy więc koniecznie pomyśleć o jakimś schronieniu dla nich, gdzie by mogli znaleźć pomoc lekarską i posiłek.

Nie można było nic zarzucić tej rozsądnej propozycji, i Lawton wydał odpowiednie rozkazy celem przewiezienia tego towarzystwa do Czterech Kątów.

W czasach, kiedy to piszemy, Ameryka prawie że nie posiadała fabryk powozów, i wszystkie wykwintniejsze ekwipaże były wyrobem londyńskich mechaników. Gdy pan Wharton opuszczał New-York, był jednym z niewielu właścicieli powozu, a panna Peyton i jego córki pojechały do Akacji w ciężkiej karecie, która niegdyś tak wspaniale toczyła się po ulicy Królowej.

Ekwipaż ten stał nieporuszony tam, gdzie go umieszczono po przyjeździe, i tylko sędziwy wiek cugantów ochronił tych faworytów Cezara od sekwestracji wojsk walczących w okolicy. Z ciężkim też sercemabrał się teraz murzyn przy pomocy dwóch dragonów do przygotowania go na przyjęcie pań. Był to już dobrze podniszczony wehikuł, a spłowiałe obicie i wytarte skórzane fartuchy świadczyły jedynie o minionej świetności. „Le lion couchant” herbu Whartonów spoczywał na dawniejszych oznakach rodowych jakiegoś księcia Kościoła, a mitra, zaczynająca przeświecać już poprzez amerykańską maskę, była symbolem stanowiska pierwotnego właściciela. Faetonik, którym przyjechała panna Singleton, ocalał również, bo stajnie i inne zabudowania pozostały nietknięte. Oczywiście rabusie mieli zamiar obłowić się całym, znajdującym się w nich dobytkiem gospodarskim, lecz nagłość ataku Lawtona pokrzyżowała im nie tylko te plany, ale i wiele innych. Pozostawiono na miejscu strażę pod dowództwem Hollistera, który przekonawszy się, że ma do czynienia z wrogiem ziemskim, wziął się do rzeczy

z całą zimną krwią i umiejętnością, aby się zabezpieczyć przeciw możliwej napaści. Ustawił więc swój oddziałek w takiej odległości od zgliszczy, że skrył go zupełnie w ciemnościach a jednocześnie sam mógł mieć oko na każdego, kto by się chciał zbliżyć do ruin w celu rabunku.

Zadowolony z tych roztropnych zarządzeń kapitan Lawton zajął się przygotowaniami do odjazdu. Pannę Peyton, jej dwie siostrzenice i Izabelę usadowiono w powozie, zaś wózek pani Flanagan, obficie wymoszczony pościelą, dostąpił zaszczytu zabrania kapitana Singletona. Doktor Sitgreaves wsiadł do faetonu wraz z panem Whartonem. Co się stało z resztą domowników podczas tej pamiętnej nocy, niewiadomo, na razie bowiem znalazł się jeden tylko Cezar.

W ten sposób umieściwszy wszystkich, Lawton dał znak do odjazdu. Sam pozostał jeszcze czas jakiś na dziedzińcu, zbierając co dostrzegł ze sreber i innych kosztowności, które mogłyby skusić pożądlivość jego własnych ludzi, po czym wskoczył na siodło, by dogonić orszak i dać mu arjergardę z własnej osoby.

- Stój! Stój! - krzyknął głos kobiecy - to ja mam zostać tu sama, żeby mnie zamordowali? Łyżka musiała się stopić, bo jej nigdzie znaleźć nie mogę, ale ja tego nie daruję; muszę dostać odszkodowanie, jeżeli jest sprawiedliwość w tym kraju.

Lawton spojrzął w stronę, skąd głos pochodził i zobaczył postać kobiecą, wychodzącą z pomiędzy zgliszczy z pakunkiem, który kształtem i rozmiarami przypominał toból kramarza.

- Kogóż tu mamy, powstającego jak feniks z popiołów? - rzekł kawalerzysta. - O! na duszę Hipokratesa, wszak to doktor w spódnicy we własnej osobie, sławny historią o igle. - No, dobra kobieto, co znaczą te wrzaski?

- Wrzaski?! - powtórzyła Katy zadyszana. - Czy to nie dość stracić srebrną łyżkę? jeszcze mam zostać sama w tym przeklętym miejscu, żeby mnie ograbili a może i zamordowali! Harvey tak by ze mną nie postąpił; gdy mieszkałam z Harveyem, obchodzono się zawsze ze mną przyzwoicie, nie mogę powiedzieć. Harvey był zawsze kryjak i marnotrawca, ale to rzecz inna.

- Zatem, pani należałaś do domowników pana Harveya Bircha?

- Nie miałam do czego należeć, bo nikogo prócz mnie i ich dwóch nie było - odrzekła Katy. - Może pan znałeś starego Bircha?

- Nie miałem tego szczęścia. A jak długo mieszkałaś pani u nich?

- Dobrze nie pamiętam, ale musi być coś około lat dziewięciu, i co mi się z tego zawiązało?

- Zapewne niewiele - o ile mogę wywnioskować. Ale powiedz mi, pani, czy nie zauważyłaś czego niezwykłego w postępowaniu Bircha.

- Co to niezwykłego - odrzekła Katy, zniżając głos i rozglądając się wkoło. - To był po prostu niesamowity człowiek; dbał tyle o gwinee, co ja o ziarno zboża. Pomóż mi pan wydostać się stąd, a opowiem panu cuda o Harveyu i jego sprawkach.

- Czy tak? - wykrzyknął kawalerzysta. - W takim razie pójdź w moje objęcia.

I rzekłszy to, zakręcił gospodynią tak nagle, że ta chwilowo straciła przytomność, a gdy ją odzyskała, siedziała już bezpiecznie, jeżeli nie zbyt wygodnie na siodle z tyłu za Lawtonem.

- No, kochana pani, masz teraz pociechę, że siedzisz na takim koniu, że sam Washington lepszego nie ma. Podjezdek pewny w nogach, a skacze jak pantera.

- Puść mnie pan! - zawołała Katy, usiłując wydrzeć się z żelaznego ujęcia kawalerzysty. - Kto słyszał, żeby kobieta siedziała w ten sposób na koniu! Ja nie umiem jeździć inaczej tylko na damskim siodle.

- Zwolna, kochana pani, zwolna - rzekł Lawton - bo chociaż Roanoke nie pada nigdy na przednie nogi, ale za to potrafi zadrzeć tylne. Nie jest przyzwyczajony, żeby mu tak walono piętami po bokach, jak dobosz w bęben na paradę; jedno dotknięcie ostrogą wystarczy mu na tydzień, ostrzegam cię więc, nadobna niewiasto, że nieroztropnie czynisz, wierzgając stopkami w ten sposób, bo jemu to się może nie podobać.

- Puść mnie pan! - wrzeszczała Katy. - Spadnę i zabiję się. Czymże się będę trzymała, kiedy mam ręce pełne tobołków.

- To prawda - odrzekł kawalerzysta, teraz dopiero spostrzegłszy, że porwał ją z ziemi wraz ze wszystkimi manatkami. - Widzę, że należysz do taboru. Ale mój pas od szabli obejmie zarówno twoją wiotką kibić jak moją własną.

Katy, udobruchana komplementem, nie stawiała oporu, i Lawton przytwierdził ją rzemieniem do swych herkulesowych kształtów; po czym spiął rumaka ostrogą, i popędził gościńcem jak wicher. Wprędce też dogнали wózek Betty, ostrożnie i zwolna ze względu na rany kapitana Singletona toczący się po kamienistej drodze. Po silnym podnieceniu, wywołanym wypadkami ubiegłego wieczora, młodzieniec zapadł w stan odrętwienia i leżał starannie otulony kołdrami, niezdolny do rozmowy, lecz głęboko rozmyślający o przeszłości. Lawton i jego towarzyszką nie zamienili ze sobą ani dwóch słów podczas szalonej jazdy, teraz jednak gdy zwolnili biegu, kawalerzysta nawiązał gawędę:

- Tedy mieszkałaś pani pod jednym dachem z Harveyem Birchem?

- Więcej niż przez dziewięć lat - odrzekła Katy, łapiąc z trudnością oddech, lecz uradowana, że jada śpępa.

Basowy głos Lawtona obił się o uszy praczki, która siedziała na przedzie wózka, powodując kobyłą. Odwróciła więc głowę i wmieszała się do rozmowy:

- W takim razie, moja pani, musicie wiedzieć, czy jest spokrewniony z Belzebubem, czy nie - rzekła żywo. - Sierżant Hollister powiada, że jest, a sierżant to niegłupi człowiek.

- Co to za niegodziwe oszczerstwo! - zawołała Katy z zapalem. - Nie ma uczciwszej duszy na świecie, a gdy chodziło o jaką spódnicę lub fartuch dla mnie, to i szeląga nigdy nie wziął. Belzebub! akurat! A po cóżby czytywał Biblię, gdyby miał do czynienia ze złym?

- W każdym razie uczciwy z niego diabeł, mówiłam to już; gwinea była prawdziwa! Ale

sierżant powiada, że on jest czegoś nierychtyg, a na uczciwości panu Hollisterowi nie zbywa.

- Głupi jest - odpowiedziała Katy szorstko. - Harvey mógłby być zamożnym człowiekiem, gdyby nie jego marnotrawstwo i nieoględność. Ile to razy mówiłam mu, że gdyby się tylko zajmował kramarstwem i to co zarobi obracał na jakiś użytek, a zwłaszcza żeby się ożenił i miał kogoś w domu, co by mu dobytku pilnował, i żeby przestał zadawać się z regularnymi, to wkrótce byłby z niego pan całą gębą. Sierżant Hollister nie byłby wart wody za nim nosić! Ot, co!

- Eeee! - rzekła Betty, z właściwą jej filozofią - zapominasz, moja pani, że pan Hollister jest oficerem i w wojsku idzie tuż za kornetem. Ale co prawda, to prawda, i gdyby ten kramarz nie był nas ostrzegł w porę, to kapitan Jack nie byłby sobie może poradził bez posiłków.

- Co mówisz, Betty? - zawołał kawalerzysta, pochylając się na siodle - to Birch dał znać o grożącym niebezpieczeństwie?

- Jakbyś słyszał, kochasiu; a ja jeszcze piliłam chłopców, żeby nie marudzili, chociaż wiedziałam, że kapitan Jack sam sobie da radę z cow-boyami. Tym bardziej skoro diabeł był po waszej stronie. Tylko myślę, że jak na sprawę z pomocą Belzebuba, to żadnego łupu nie było.

- Wdzięczny ci jestem za pomoc, chociaż teraz wiem, co cię do tego skłoniło.

- Niby łup? Ej! nie. Wcale o tym nie myślałam. Dopiero jak zobaczyłam to wszystko leżące na ziemi, połamane, popalone, a pomiędzy tym niektóre rzeczy jak nowe, co by się akurat przydały, nie przymierzając piernaty puchowe!

- Na Boga! W porę nadeszła ta pomoc. Gdyby Roanoke nie był szybszy niż ich kule, byłbym padł. Koń wart tyle złota co zaważy.

- Ano, ładowa szkapa, kochasiu. Ale co się tyczy złota, tego tam wiele w Stanach nie uświadczy. Gdyby murzyn nie był nastraszył sierżanta swoją gadaniną o duchach, to bylibyśmy zdążyli na czas, żeby wszystkich pozabijać, a resztę wziąć do niewoli.

- I tak jest dobrze, jak jest, Betty - rzekł Lawton - przyjdzie dzień, kiedy tym łotrom dostanie się zasłużona nagroda, jeżeli nie w karze doraźnej, to w opinii rodaków. Musi nadejść czas, kiedy Ameryka nauczy się rozróżniać rabusia od patrioty.

- Mów pan ciszej - rzekła Katy. - Są tacy, co dużo o sobie trzymają, a zaś ze skinnerami wchodzą w konszachty.

- W takim razie więcej o sobie trzymają, niż inni o nich - zawołała Betty. - Złodziej jest zawsze złodziejem, czy okrada króla Jerzego, czy Kongres.

- Wiedziałam, że coś złego się stanie - rzekła Katy - słońce zaszło dziś za czarną chmurę, a pies domowy wył, chociaż mu dałam jeść własnymi rękoma, a przy tym nie ma jeszcze tygodnia, jak mi się śniło tysiąc jarzących świec i spalone w piecu ciastka.

- Mnie się tam rzadko kiedy co śni - zawołała Betty. - Cała rzecz w tym, żeby mieć czyste sumienie i pełny żołądek, a wtedy śpi się jak nowonarodzone dziecko. Ostatni raz śniło mi się

coś, kiedy mi chłopcy bodjaków pod kołdrę nakładli. Myślałam precz, że to mnie człowiek kapitana Jacka ściąga z łóżka, a to mnie tak kłuł ten oset.

- Także coś - rzekła Katy, prostując się z taką dumą, że aż pociągnęła Lawtona w tył na siodle – mnie by tam żaden mężczyzna nie ośmielił się niepokoić w łóżku; to jest nieprzyzwoite i lekceważące.

- Eee - rzekła Betty - gdy się żyje w obozie, to się tam na żarty nie zważa; a cóżby się stało ze Stanami i Wolnością, gdyby nie było kogo, co by chłopcom uprał koszule i pomyślał, żeby się mieli czym pokrzepić. Zapytaj kapitana Jacka, pani Belzebubowo czyby chcieli się bić, gdyby nie mieli czystej koszuli na grzbiecie.

- Jestem niezamężną i nazywam się Haynes - i proszę w rozmowie ze mną nie używać nieprzyzwoitych wyrażen.

- Trzeba wybaczyć pani Flanagan pewną swobodę języka - rzekł kawalerzysta. - Nabrała jej, obcując z żołnierzami.

- Et! kapitanie - zawołała Betty - co jej tam będziesz tłumaczył. Oto właśnie dojeżdżamy do miejsca, gdzie sierżant Hollister zatrzymał oddział, bo mu się zdawało, że nam diabli zachodzą drogę. To ciemności dopiero! Chmury są takie czarne jak serce Arnolda i ani jednej gwiazdeczki na niebie nie uświadczy. Ale to nic, kobyła zwyczajna nocnych marszów, węszy drogę jak wyżeł.

- Niedługo księżyc wzejdzie - rzekł Lawton. Przywołał jednego przodem dragona, wydał mu rozkazy dotyczące się wygody i bezpieczeństwa kapitana Singletona, powiedział parę pocieszających słów przyjacielowi i spiąwszy konia ostrogą, przeleciał koło wózka z szybkością, która znów przepędziła na cztery wiatry wszelką filozofię Katarzyny Haynes.

- Szczęśliwej drogi! - krzyknęła za nim praczka. - Jeżeli pan spotka pana Belzebuba, to zawróć konia i pokaż mu jego małżonkę, co ci siedzi z tyłu, a myślę, że da nura, aż się będzie za nim kurzyło. Ano, uratowaliśmy mu życie; sam to powiedział, tylko że niewiele się nam z tego zawiązało.

Kapitan Lawton był tak przyzwyczajony do wykrzykników Betty Flanagan, że nie zważając na nie, gnał dalej. Pomimo że Roanoke niósł niezwykle ciężar, nic to nie wpłynęło na jego lotność i przebył przestrzeń, dzielącą wózek od karety, w sposób, który aczkolwiek odpowiadał zamiarom kawalerzysty, nie umiłił podróży jego towarzysze. Spotkanie z paniami nastąpiło już w pobliżu kwatery Lawtona, a w tejże chwili księżyc wyłonił się z poza ciężkich chmur i oblał światłem otaczające przedmioty.

W porównaniu z wykwintną elegancją Akacji „Hotel Flanagan” przedstawiał się opłakanie. Zamiast dywanów na posadzkach i firanek u okien widać było tylko nagie, spróchniałe deski niedbale skleconego budynku, a więcej niż połowę brakujących szyb z zielonego szkła zastępował z powodzeniem papier. Zrobiono tu jednak wszystko, co się dało zrobić w podobnych warunkach, dzięki troskliwości Lawtona; suty ogień płonął we wszystkich izbach. Dragoni,

którzy go rozpalili, przywieźli także trochę najniezbędniejszych sprzętów, i panna Peyton oraz jej towarzyszki znalazły jako tako urządzone na ich przyjęcie mieszkanie. Sara wciąż majaczyła, z właściwą obłąkanym uporczywością przystosowując każdą okoliczność do tej jednej myśli, która pochłonęła wszystkie jej władze.

- Trudno się dziwić, że podobny cios tak ją złamał - rzekł Lawton do Izabeli Singleton. - Tylko czas i miłosierdzie Boże mogą ją uleczyć; ale trzeba pomyśleć, żeby tu wszystkim jako tako wygodnie być mogło. Jesteś córką żołnierza, i życie zahartowało cię na podobne widoki, pomóż mi więc opatrzeć te okna.

Panna Singleton chętnie zadośćuczyniła temu wezwaniu, i podczas gdy Lawton podpierał z zewnątrz odstające futryny, Izabela urządziła wewnątrz coś w rodzaju firanek.

- Słyszę już wózek - rzekł kawalerzysta w odpowiedzi na jakieś jej pytanie. - Betty to w gruncie złote serce, wierz mi, Jerzy znajdzie tu nie tylko bezpieczeństwo, ale i wygodę.

- Niech jej Bóg wynagrodzi troskliwość i wam wszystkim - rzekła Izabela ze wzruszeniem. - Doktor Sitgreaves poszedł już na jego spotkanie - ale co to tam błyszczą w świetle księżycy?

Na wprost okna, przy którym stali, mieściły się gospodarskie zabudowania, i bystre oko Lawtona w jednej chwili rozpoznało przedmiot, o jakim mówiła Izabela.

- To błyszczą broń palna - rzekł kawalerzysta i skoczył od okna ku rumakowi, który nie rozsiodłany jeszcze stał przed domem. Ale nim zdążył postąpić jeden krok, huknął strzał, i kula świsnęła mu koło uszu. Głośny krzyk rozległ się w głębi budynku, ale kapitan siedział już na siodle; wszystko to było dziełem jednej chwili.

- Na koń! Na koń! Za mną! - wołał kawalerzysta i zanim zdumieni jego ludzie zdolali zrozumieć powód alarmu, Roanoke jednym susem przesadził płot, leżący pomiędzy kapitanem a jego przeciwnikiem. Był to pościg na śmierć i życie, ale skały stanęły znów na przeszkodzie i zawiedziony Lawton ujrzał swą domniemaną ofiarę znikającą wśród rozpadlin, gdzie on sam zapuścić się nie mógł.

- Na życie Washingtona - mruknął Lawton, chowając do pochwy szablę - byłbym go przeciął na dwoje, gdyby łotr nie był tak chybki w nogach; ale czas jeszcze przyjdzie.

I rzekłszy to, powrócił do kwatery z obojętnością człowieka, który wie, że życie jego należy do ojczyzny i że każdej chwili może mu przyjść złożyć je w ofierze. Już z daleka usłyszał jakąś nadzwyczajną wrzawę w domu; ruszył więc z kopyta, a gdy stanął przed drzwiami, wystraszona Katy powiedziała mu, że kula, przeznaczona dla niego, ugodziła pannę Singleton...

ROZDZIAŁ XXIV.

*„Umilkły na zawsze usta jego
Gertrudy! lecz wciąż ich piękny,
słodki wyraz mówił o miłości, która
umrzeć nie mogła; i wciąż obie jej
dłonie przyciskały rękę jego do
serca, które już nie czuło.”*

Gertruda z Wyoming.

Dragoni przygotowali naprędce dwie izby na przyjęcie pań, łączące się ze sobą, a jedną z nich przeznaczono na sypialnię. Przeniesiono więc do niej natychmiast Izabelę i złożono na łóżku obok nieprzytomnej Sary. Gdy Fanny i panna Peyton nadbiegły z pomocą, zastały ją z uśmiechem na pobladłych ustach i twarzą tak spokojną, iż w pierwszej chwili sądziły, że jej się nic nie stało.

- Chwała Bogu! - wykrzyknęła drżąca ciotka. - Tak się przeleżałam, usłyszawszy strzał i twój upadek. Przynajmniej tego nieszczęścia los nam oszczędził.

Izabela przycisnęła rękę do łona, uśmiechając się wciąż, ale w sposób, który ściał krew w żyłach Fanny.

- Czy Jerzy jeszcze daleko? - zapytała. - Niech mu znać dadzą i niech się śpieszy... chciałabym jeszcze raz zobaczyć brata.

- O Boże! - zawołała panna Peyton - czyżbym się omyliła? Ale ty się uśmiechasz. To niepodobna, abyś była ranną. Co ci jest?

- Nic... jestem zupełnie szczęśliwa - szepnęła Izabela - to jest lekarstwo na wszelkie cierpienia.

Sara dźwignęła się z leżącej postawy i popatrzyła błędnie na towarzyszkę. Wyciągnawszy rękę, podniosła dłoń Izabeli, spoczywającą na jej łonie. Dłoń ta była zboczona krwią.

- Patrz! - rzekła Sara - ale czy ta krew nie zmyje miłości? Idź za męża, młoda kobieto, a wtedy nikt nie wyrwie go z twego serca, chyba - dodała szeptem, pochylając się nad tamtą - chyba, że

znajdziesz drugą przed tobą, a wtedy umrzyj i idź do nieba; w niebie żon nie ma.

Powiedziawszy to, ukryła twarz w poduszki i pozostała tak przez resztę nocy. W tej samej chwili wszedł Lawton. Aczkolwiek oswojony z wszelkiego rodzaju okropnościami partyzanckiej wojny, kawalerzysta nie mógł obojętnie patrzeć na ten rozdzierający widok. Pochylił się nad wątlą postacią Izabeli, a posepny wzrok jego zdradzał wewnętrzne zmaganie się tej zahartowanej w ciągłych niebezpieczeństwach duszy.

- Izabelo - przemówił wreszcie - wiem, że posiadasz wyjątkową u kobiety odwagę.

- Mów - rzekła poważnie - jeżeli masz co do powiedzenia, mów śmiało.

Kawalerzysta odwrócił twarz i rzekł:

- Nikt jeszcze nie przeżył kuli otrzymanej tutaj.

- Nie lękam się śmierci, Lawtonie - odparła Izabela. - Dziękuję ci, żeś nie zwątpił o mnie. Uczułam to od pierwszej chwili.

- Nie dla takich istot jak ty są podobne przejścia - dodał kawalerzysta. - Dość chyba, że Anglia młodzież naszą wytepia w polu, ale gdy taka piękność staje się ofiarą wojny, przeklinam moje rzemiosło.

- Posłuchaj mnie, kapitanie Lawtonie - rzekła Izabela, podnosząc się z trudem, lecz odrzucając pomoc - od wczesnej młodości aż po dziś dzień żyłam w obozach i garnizonach. Żyłam, by umilać wolne chwile mego starego ojca i czy sądzisz, że zamieniłabym te dni niebezpieczeństw i trudów na największe wygody i przyjemności? Nie. W chwilach konania pociechą mi jest myśl, że uczyniłam wszystko, co tylko dla takiej sprawy kobieta może uczynić.

- Któżby mógł pozostać odszczepieńcem wobec takiego jak twój umysłu? Widziałem setki wojowników broczących we krwi, ale mężniejszej duszy wśród nich nie widziałem.

- Niestety, tylko duszy - odparła Izabela. - Płeć moja i brak fizycznych sił odmówiły mi najdroższego przywileju walczenia za mój kraj. Ale dla ciebie, kapitanie Lawtonie, losy były łaskawsze, ty masz ramię i serce, które możesz poświęcić dla świętej sprawy, i wiem, że ramię to i serce pozostaną jej wierne do ostatka. I Jerzy także, i...

Umilkła, usta jej zadrżały, i spuściła oczy.

- I Dunwoodie - dokończył kawalerzysta. - Czy miałaś na myśli Dunwoodie'go?

- Nie wspominaj o nim - rzekła Izabela, osuwając się na poduszki i kryjąc twarz w fałdach swych szat. - Zostaw mnie, Lawtonie; przygotuj biednego Jerzego na ten cios niespodziany.

Kawalerzysta stał jeszcze chwilę, spoglądając melancholijnie na konwulsyjne drgania tej wątlej postaci, widoczne z pod lekkiej odzieży, po czym wyszedł na spotkanie kolegi. Izabela wybuchnęła płaczem, ujrawszy brata, który zmiażdżony tą nową klęską, ledwo mógł utrzymać się na nogach; ale jakby czując, że chwile jej były policzone, pierwsza opanowała wzruszenie. Na jej wyraźne żądanie pozostawiono ją samą z kapitanem i Fanny. Na próżno chirurg ofiarowywał jej się z pomocą lekarską; odrzuciła ją stanowczo, i acz niechętnie, musiał opuścić pokój.

- Podnieś mnie, droga - rzekła umierająca - niech popatrzę jeszcze na umiłowane oblicze.

Fanny w milczeniu spełniła to życzenie, i oczy Izabeli z siostrzanym przywiązaniem spoczęły na twarzy Jerzego.

- Nie martw się, mój bracie - rzekła tkliwie - za parę godzin wszystko się skończy...
Widocznie tak być musiało.

- Izabelo! Siostrzo moja jedyna, żyj! - Zawołał młodzieniec z wybuchem bólu, którego nie mógł pohamować. - Och! Ojciec! nasz biedny ojciec!...

- Tak, w tym tkwi żądło śmierci; ale on jest żołnierzem i chrześcijaninem. Panno Wharton, chcę mówić o tym, co panią obchodzi, dopóki jeszcze mam siłę po temu.

- Nie - rzekła Fanny tkliwie - uspokój się, myśl tylko o tym, aby nie pogorszyć niczym swego stanu. Życie twoje jest tak cenne dla... dla... tyłu.

Słowa uwięzły jej w gardle, bo Izabela dotknęła bolesnej struny w jej sercu.

- Biedne, wrażliwe dziewczę - rzekła Izabela, spoglądając na nią czule - ale cały świat jeszcze leży przed tobą, czemuż więc miałabym zamącić ci tę odrobinę szczęścia, jakie on dać może! Śnij dalej, uroczą istotę, i oby Bóg oddalił od ciebie zły dzień świadomości.

- Och! niewiele mi już zostało, czym bym się radować mogła - rzekła Fanny, kryjąc twarz w dłoniach. - Los dotknął mnie we wszystkim, co mi było najdroższym.

- Nie - przerwała Izabela - pozostał ci jeden urok w życiu, najsilniejszy, jaki może owładnąć sercem kobiety. To słodka uluda, którą śmierć tylko rozwiązać jest zdolna.

Umilkła wyczerpana, a tamtych dwoje czekało, wstrzymując oddech, aż odzyskawszy nieco siły, położyła dłoń na rękę Fanny i mówiła dalej łagodnie:

- Panno Wharton, jeżeli istnieje na świecie pokrewna Dunwoodie'mu dusza i godna jego miłości, to jest nią twoja.

Ognisty rumieniec wytrysnął na twarzyczkę Fanny; podniosła błyszczące niepohamowanym uszczęśliwieniem oczy na Izabelę, ale widok umierającej stłumił jej samolubne uczucia i znowu opuściła głowę na posłanie.

Izabela spoglądała na nią z mieszaniną litości i zachwyty.

- Tak - ponowiła - wierz mi, panno Wharton, Dunwoodie twoim jest wyłącznie.

- Bądź sprawiedliwą dla siebie, siostrzo - wykrzyknął Jerzy. - Nie daj się unosić romantycznej wspaniałomyślności i nie zapominaj o sobie.

Popatrzyła na niego z czułością, lecz z wolna wstrząsnąwszy głową, odrzekła:

- Nie romantyczność mówi przeze mnie, ale prawda. Och! Ileż ja przeżyłam w ciągu jednej godziny! Panno Wharton - wiedz, że urodziłam się pod palącym słońcem, i uczucia moje wchłonęły żar jego. Żyłam jedynie namiętnością.

- Nie mów tego! Nie mów, błagam cię - zawołał brat z uniesieniem. - Pomyśl, jak tkliwym przywiązaniem otaczałaś naszego sędziwego ojca, jak dobrą i kochającą byłaś dla mnie siostrą.

- Tak - rzekła Izabela, i uśmiech słodkiego zadowolenia opromienił jej lica - to wspomnienie mogę przynajmniej zabrać do grobu.

Zamyśliła się znowu; i znowu brat jej i Fanny nic śmieli przerwać milczenia, które trwało czas jakiś, aż wreszcie Izabela, ocknąwszy się nagle, ciągnęła dalej:

- Nawet w ostatniej chwili jestem egoistką i myślę tylko o sobie. Tak, panno Wharton, Ameryka i jej wolność była najwcześniejszym ideałem mego serca i...

Tu urwała znowu, i Fanny sądziła przez chwilę, że to śmierć już upomina się o swoje prawa; lecz Izabela opanowała się wnet i mówiła dalej:

- Czemuż miałabym się wahać na krawędzi grobu? Dunwoodie był drugim i ostatnim, ale - tu ukryła twarz w dłoniach - była to nieodwzajemniona miłość.

- Izabelo! - wykrzyknął jej brat, i zerwawszy się z łóżka zaczął chodzić po pokoju silnie wzburzony.

- Patrz - rzekła Izabela do Fanny - jak bardzo podlegamy ziemskiej próżności. Oto Jerzy nie może znieść myśli, że ta, którą kocha, nie potrafiła wznieść się do uczuć wyższych ponad jej naturę i wychowanie.

- Przestań - szepnęła Fanny - nie mów już nic więcej, zaklinam cię, zadajesz ból nam obojgu.

- Muszę mówić, gdyż to się Dunwoodie'mu słusznie należy, i dla tej samej przyczyny musisz mnie wysłuchać, mój bracie. Nigdy, ani jednym słowem ani jednym czynem Dunwoodie nie dał mi do poznania, że widzi we mnie więcej niż przyjaciółkę; przeciwnie, w ostatnich czasach, zdawało mi się - ze wstydem wyznać to muszę - że unikał mojej obecności.

- Niechby śmiał! - wykrzyknął Singleton dziko.

- Cicho, mój bracie, i słuchaj - mówiła dalej Izabela, dźwignąwszy się z ostatecznym wysiłkiem - oto jest niewinna i usprawiedliwiająca go przyczyna. Obie nie mamy matek, ale tu ciotka, ta uważająca, taktowna, łagodna ciotka, tobie Fanny, zapewniła zwycięstwo. O! Jak wiele traci ta, która traci przewodniczkę swej niedoświadczonej młodości. Ja okazywałam jawnie uczucia, które ciebie nauczono ukrywać. Czyż po tym mogę jeszcze pragnąć żyć?

- Izabelo, moja biedna Izabelo, umysł ci się pobłąkał.

- Jeszcze słowo tylko, bo czuję, że krew, która zawsze zbyt szybko krążyła w mych żyłach, uchodzi mnie. Kobieta, aby była cenioną, musi być poszukiwaną; jej życie jest pasmem tajonych uczuć; szczęśliwe te, które z dzieciństwa nauczyły się czynić to bez obłudy, bo tylko takie mogą być szczęśliwe z takimi mężczyznami jak... jak Dunwoodie.

Głos jej się załamał, opadła na poduszki w milczeniu. Na krzyk Singletona zbiegli się wszyscy u jej wezglowia, ale już śmierć wzięła ją w posiadanie; ostatkiem sił przycisnęła rękę brata do piersi, po czym palce jej rozwiódły się, lekki dreszcz wstrząsnął jej postacią, i skoła.

Fanny Wharton była głęboko przekonaną do tej chwili, że największą jej zgryzotą było niebezpieczeństwo, grożące bratu, i obłęd siostry, ale ulga jakiej doznała, usłyszawszy wyznanie

konającej Izabeli, dowiodła jej, że inna jeszcze troska kamieniem leżała jej na sercu. W mgnieniu oka ogarnęła całą prawdę, zrozumiała męską delikatność postępowania Dunwoodie'go; wszystko składało się na to, by go wywyżżyć w jej oczach i zwiększyć żal, że powodowana poczuciem obowiązku i dumą, sama odtrąciła go od siebie zbolełego, jeżeli nie zrozpaczonego. Ale rozpacz nie leży w naturze młodości, i pomimo całego zgnębienia Fanny odczuła skrytą radość, która nowego uroku dodała jej życiu.

Nazajutrz po tej nocy niedoli słońce zajaśniało nieskażonym blaskiem, zdającym się drwić z marnych udręczeń tych, na których spływały jego promienie. Lawton rozkazał, aby mu osiodłano konia równo z świtem, i wydawszy niektóre rozporządzenia, w milczeniu dosiadł ulubionego wierzchowca i z wolna skierował się w stronę doliny, rzuciwszy rozżalone spojrzenie na owe skały, które ułatwiły ucieczkę skinnerowi.

Milczenie śmierci panowało na gościńcu; najlżejszy ślad wczorajszych krwawych wydarzeń nie kaził promiennej pogody uroczego poranku. Uderzony przeciwieństwem pomiędzy człowiekiem a naturą, nieustraszony kawalerzysta mijał najniebezpieczniejsze miejsca, nie dbając o to, co się może przytrafić, i zbudził się ze smutnej zadumy wtedy dopiero, gdy szlachetny rumak, węsząc ranne powietrze, powitał rzeniem konie straży, pozostawionej pod dowództwem sierżanta Hollistera.

Tu smutne ślady nocnej walki spotkać się dawały na każdym kroku, ale kawalerzysta popatrzył na nie z obojętnością człowieka oswojonego z podobnymi widokami. Nie tracąc czasu na próżne żale, przystąpił od razu do rzeczy.

- Widzieliście co? - zapytał Hollistera.

- Nie, panie kapitanie - odpowiedział sierżant - raz tylko zaalarmował nas odgłos dalekiego wystrzału.

- To dobrze - rzekł Lawton pośpiesznie. - Ach! Hollisterze, dałbym tego konia, żebym choć ciebie jednego miał pomiędzy tym łotrem, który wtedy pociągnął za cyngiel, a tymi bezużytecznymi skałami, które zastępują drogę na każdym kroku, jak gdyby jej zazdrościły kopytom.

- Przy świetle dziennym i mając przed sobą człowieka z krwi i kości, może się tam i na co przydam, ale nie mogę powiedzieć, żebym szedł ochotnie na tych, których się ani stał, ani ołów nie ima.

- Czy ty sobie nabiłeś głowę, Hollislerze?

- Panie kapitanie, nie podoba mi się ten czarny kształt, który od świtu krąży na skraju lasu i dwukrotnie podczas nocy ukazywał się tu w pobliżu pogorzeliiska, niewątpliwie ze złymi zamiarami,

- Czy mówisz o tym czarnym punkcie tam u stóp skały? To prawda, porusza się.

- Ale nie w sposób ludzki - rzekł sierżant, spoglądając w tamtą stronę z zabobonną czcią. -

Sunie jak upiór, ale nóg mu nie widać.

- Nie ujdzie mi, choćby miał skrzydła - zawołał Lawton: - Miej się w pogotowiu i czekaj, aż go dogonię.

Z tymi słowy gnał już równiną jak wicher.

- Przeklęte skały! - wykrzyknął kawalerzysta, widząc że przedmiot pościgu zbliża się do ich podnóża; ale czy ze strachu, czy z braku orientacji postać owa minęła to tak widoczne schronienie i zaczęła uciekać otwartym polem.

- Mam cię, człowieku, czy szatanie! - wykrzyknął Lawton, dobywając szabli z pochwy. - Stój i poddaj się!

Na dźwięk jego potężnego głosu postać padła na ziemię i leżała czarną, nieruchomą bryłą.

- Cóż to takiego? - zawołał Lawton podjeżdżając - jakaś godowa szata tej zacnej dziewczycy Joanny Peyton, wędrująca dokoła miejsca swego urodzenia, w daremnym poszukiwaniu swojej pani?

Z tymi słowy pochylił się w strzemionach i końcem szabli uniósłszy jedwabne draperie, odsłonił część osoby wielebnego męża, który poprzedniego wieczoru uciekł z Akacji w obrzędowych szatach.

- W istocie, Hollister miał pewne powody obawiać się, i kapelan wojskowy jest w każdym razie przedmiotem postrachu dla oddziału kawalerii.

Tymczasem duchowny ochłonął trochę z przerażenia, widząc nad sobą znajomą twarz, i zawstydzony poniekąd trwogą, jaką okazał, i śmiesznym położeniem, w jakim go znaleziono, powstał z ziemi i próbował się tłumaczyć. Lawton przyjął te usprawiedliwienia dość wesoło, i po zamianie kilku słów o stanie doliny zsiadł grzecznie z konia, po czym obaj skierowali się w stronę straży.

- Tak mało jestem obznajomiony z buntowniczym umundurowaniem - rzekł nie dość zręcznie duchowny - iż istotnie nie mogłem rozróżnić, czy ci ludzie, o których pan powiadasz, że są pańscy, nie należą do bandy maruderów.

- Zbyteczne są usprawiedliwienia pańskie - rzekł kawalerzysta, przygryzając wargi - jako sługa Boży, nie jesteś pan obowiązany znać się na umundurowaniu. Zresztą my wszyscy przyjęliśmy tę formę, której pan służysz.

- Ja służę pod sztandarem Jego Królewskiej Mości Jerzego III-go - odrzekł ksiądz, ocierając pot z czoła - ale myśl, że się może być oskalpowanym, wystarczy dla takiego jak ja nowicjusza, żeby mu rozum odebrać.

- Oskalpowany! - zawołał Lawton, zatrzymując się nagle; po czym ochłonawszy, dodał spokojnie: Jeżeli pan masz na myśli oddział lekkiej kawalerii wirgińskiej pod wodzą Dunwoodie'go, to muszę pana objaśnić, że mają oni zwyczaj odłupywać kawałek czaszki przy zdzieraniu skóry.

- O! Tu przecież nie może być mowy o panu i pańskich kolegach - rzekł duchowny z uśmiechem. - Miałem na myśli krajowców.

- Krajowców! Mam zaszczyt należeć do nich, upewniam pana.

- Ależ zechciej mnie pan zrozumieć, tu chodzi o Indian, a ci nie robią nic innego, tylko mordują, grabią, palą.

- I skalpują!

- Tak, panie, i skalpują także - ciągnął dalej duchowny, patrząc na Lawtona z pewną podejrzliwością - dzicy, miedzianoskórzy Indianie.

- A pan spodziewałeś się spotkać z tymi obywatelami o przekłutych nosach na neutralnym gruncie?

- Oczywiście, w Anglii utrzymuje się mniemanie, że całe wnętrze Ameryki roi się od nich.

- I pan to nazywasz wnętrzem Ameryki? - zawołał Lawton, zatrzymując się znowu i patrząc na towarzysza z tak szczerym zdziwieniem, że nie mogło być udane.

- Nie inaczej. Sądzę, że znajduję się we wnętrzu.

- Posłuchaj pan - rzekł Lawton, wskazując ku wschodowi - widzisz pan tę olbrzymią przestrzeń wodną, której oko ogarnąć nie zdoła. Tam poza nią znajduje się ta Anglia, którą uważacie za godną, aby była władczynią połowy świata. Czy widzisz pan swój kraj ojczysty?

- Niepodobieństwem jest widzieć coś w odległości trzech tysięcy mil - wykrzyknął zdumiony kapłan, powziąwszy pewne wątpliwości o równowadze władz umysłowych swego towarzysza.

- Nie? Jaka szkoda, że fizyczne władze człowieka nie mogą dorównać jego ambicji. A teraz zwróć pan oczy na zachód i patrz na tę olbrzymią przestrzeń wód, toczących się pomiędzy brzegami Ameryki i Chin

- Widzę tylko ziemię - rzekł kapłan, cały drżący - nie ma tu żadnej wody.

- Niepodobieństwem jest widzieć coś w odległości trzech tysięcy mil - powtórzył Lawton, idąc znów dalej. - Jeżeli pan lęka się dzikich Indian, szukaj ich w szeregach swego władcy. Rum i złoto zachowały mu ich lojalność.

- Najprawdopodobniej wprowadzono mnie w błąd - rzekł duchowny, zerkając ukradkiem na kolosalną postawę i wąsate oblicze towarzysza - ale zasłyszane w kraju wieści i obawa spotkania się z takim jak pan wrogiem skłoniły mnie do ucieczki

- I postąpiłeś pan bardzo nieroztropnie - rzekł kawalerzysta - bo, pomijając że Roanoke byłby cię dopędził w mgnieniu oka, ale uciekając przed Scyllą, mogłeś bardzo łatwo wpaść w Charybdę. Te lasy i skały kryją tych właśnie wrogów, których się obawiasz.

- Dzikich! - wykrzyknął duchowny, instynktownie chowając się za kawalerzystę.

- Gorzej niż dzikich, - ludzi, którzy pod pokrywką, patriotyzmu grasują po okolicy, a których żądza grabieży jest nienasyconą a okrucieństwo przewyższa krwiożerczość Indian. Osobniki, których usta pełne są wolności i równości, a serca przesycone chciwością i jadem; krótko

mówiąc, panowie znani pod nazwą skinnerów.

- Słyszałem o nich w naszej armii - rzekł przerażony kapłan - ale sądziłem, że to są właśnie tubylcy.

- Skrzywdziłeś pan dzikich tym przypuszczeniem.

Zbliżyli się teraz do placówki Hollistera, który ze zdziwieniem stwierdził wręcz przeciwnie szatańskim mocom powołanie jeńca swego kapitana. Lawton wydał rozkazy; dragoni zaczęli natychmiast gromadzić i zabierać cenniejsze sprzęty, a kapitan i jego wielbny towarzysz wrócili obaj już konno do dragońskiej kwatery.

Singleton wyraził życzenie, aby zwłoki jego siostry przewieziono na posterunek, którym dowodził ojciec jego, i zaczęto czynić odpowiednie po temu przygotowania. Rannych Anglików powierzono pieczy kapitana, i około południa Lawton, patrząc na będące w toku zabiegi, mógł się spodziewać, że za parę godzin on i rodzina Whartonów zostaną niepodzielnymi posiadaczami Czterech Kątów.

Stał właśnie oparty o futrynę drzwi, spoglądając w zamyśleniu na otaczający go krajobraz, gdy ucho jego pochwyciło tętent kopyt, i w chwilę potem ukazał się na drodze dragon z jego pułku, pędzący co koń wyskoczy. Rumak okryty był pianą, a jeździec wyglądał, jak gdyby przez dzień cały nie zaznał odpoczynku. W milczeniu wręczył Lawtonowi list i odprowadził konia do stajni. Kawalerzysta poznał pismo majora i przeczytał co następuje:

„Donoszę, że z rozkazu Washingtona, rodzina Whartonów ma być przewieziona w Góry, w charakterze świadków w sprawie kapitana Whartona, który też niezwłocznie po ich przybyciu będzie sądzony. Zakomunikuj im ten rozkaz możliwie najogólniej. Anglicy postępują w górę rzeki. Skoro tylko odstawisz Whartonów, wyruszaj, aby się połączyć z wojskiem. Znosi się na porządną robotę, gdyż podobno sir Henryk wyznaczył jakiegoś wytrawnego wodza na miejsce pułkownika Wellmere'a. Raporty należy składać komendantowi w Peekskill, gdyż pułkownik Singleton odwołany został do głównej kwatery dla przewodniczenia sądowi nad biednym Whartonem. Wydano nowe rozkazy, aby powiesić kramarza, o ile da go się schwytać, nie pochodzą one jednak od Naczelnego Wodza. Wypraw część oddziału z paniami, a sam dosiadaj konia jak będziesz mógł najprędzej.

Szczerze oddany Peyton Dunwoodie”.

List ten zmienił całkowicie dotychczasowe postanowienia. Nie było powodu przewozić ciała Izabeli, skoro ojciec jej już nie znajdował się na czele posterunku, i Singleton, acz niechętnie, zgodził się na niezwłoczny pogrzeb. Wybrano piękne zaciszne miejsce u stóp skał sąsiednich i poczyniono naprędce stosowne przygotowania. Ciekawość zgromadziła garść mieszkańców z sąsiedztwa, a panna Peyton i Fanny zapłakały szczerze na grobie biednej Izabeli. Smutnego

obrzędki dopełnił ten sam duchowny, który tak niedawno zgoła odmienną odprawiać miał uroczystość, a Lawton pochylił głowę i przesunął ręką po czole, gdy usłyszał słowa, towarzyszące wbijaniu pierwszego gwoźdźca.

Wiadomość, zawarta w liście Dunwoodie'go, dodała nowego bodźca całej rodzinie Whartonów, i Cezar zakrzętnął się znów około swoich koni i karety. Pieczę nad spaloną posiadłością i ocalonymi resztkami dobytku powierzono jednemu z zaufanych sąsiadów; wsadzono nieprzytomną wciąż Sarę do powozu, czterech dragonów otoczyło go, zabrano też wszystkich amerykańskich rannych, i cała ta kawalkada ruszyła w drogę. Wkrótce potem odjechał angielski kapelan, uwożąc swych rodaków, konwojowany aż na brzeg rzeki, gdzie już oczekiwał na nich okręt. Lawton z radością spoglądał na tę całą krzątanicę, i gdy już wszystkich wyprawił, kazał zatrąbić na wymarsz. W mgnieniu oka wszystko było gotowe. Zaprzężono znów kobyłkę pani Flanagan, doktor Sitgreaves wwindował swe chude kształty na siodło, a uszczęśliwiony kawalerzysta dosiadł wiernego rumaka.

Raz jeszcze spojrzął z posępną zawziętością na miejsce kryjówki skinnera; melancholijnym wzrokiem obrzucił grób Izabeli i ruszył przodem, mając obok siebie chirurga, podczas gdy sierżant Hollister zamykał pochód, i w kilka minut potem już tylko świeży, południowy wiatr świstał przez otwarte drzwi i powytłukiwane szyby „Hotelu Flanagan”, w którym do tak niedawna rozlegały się śmiechy i żarty zawadiackich partyzantów, i łzy i westchnienia strapionych mieszkańców Akacji.

ROZDZIAŁ XXV.

*„Wiosenne kwiaty nie stroją skał
drętwych; majowe łono chłodzi ociąg-
gająca się z odejściem zima; lekkie
zefiry nie pieszczą czoła gór, a tylko
błyskawice rozdierają czarną pierś
chmur posępnych „*

Goldsmith.

Drogi West-Chesteru są po dziś dzień poniżej wszelkiej krytyki. Wspomnieliśmy już, w jakim znajdowały się stanie za czasów niniejszej powieści, łatwo więc wyobrazić sobie może czytelnik, jak ciężkie do spełnienia zadanie miał Cezar, aby krętymi szlakami przewieźć karocę ongiś angielskiego prałata, na jeden z najmniej uczęszczanych punktów Hudsonskich wzgórz.

Podczas gdy wierny murzyn borykał się z przewyciężeniem tych trudności, podróżni nasi byli zbyt przejęci własnymi troskami, aby na to zwracać uwagę. Sara przestała bredzić, ale w miarę jak umysł jej odzyskiwał świadomość, ogarniała ją bezbrzeżna melancholia. Bywały chwile, że tym przebłyskom przytomności towarzyszył taki wyraz bólu i rozpacz, iż otaczający ją pragnęli niemal, aby raczej na zawsze już przestała prawidłowo myśleć i czuć. Podróż odbywała się przeważnie w milczeniu; nocleg znaleziono w jakimś przydrożnym folwarku.

Nazajutrz wczesnym rankiem rozpierchła się cała kawalkada. Rannych skierowano w stronę rzeki, by przewieźć ich w Peekskill do szpitali amerykańskiej armii po drugiej stronie Hudsonu. Lektyka z Singletonem udała się w góry, gdzie znajdowała się kwatera jego ojca, i gdzie młodzieniec miał pozostać do zupełnego wyleczenia się; wreszcie karetą pana Whartona i towarzyszący jej wóz, w którym jechała gospodyni na stosie ocalonych podręcznych ruchomości, podążyła w dalszą drogę ku miejscu, gdzie Henryk Wharton oczekiwał przybycia rodziny, aby być stawionym przed sąd.

Okolice, leżąca pomiędzy wodami Hudsonu a Long-Island-Sound, składa się na przestrzeni pierwszych czterdziestu mil z samych wzgórz i dolin. Potem stopniowo powierzchnia gruntu wygładza się i ostatecznie przechodzi w cudne równiny i łąki Connecticutu. Ale w miarę zbliżania się do Hudsonu wzrasta dzikość położenia, aż wreszcie potężne pasmo gór całkowicie zagradza dalszą drogę. Tu też kończył się grunt neutralny. Dwa południowe punkty, prowadzące od rzeki w góry, znajdowały się w posiadaniu armii królewskiej, lecz wszystkie inne przesmyki strzeżone były przez Amerykanów.

Wspominaliśmy już, że pikiety armii lądowej zapuszczały się nieraz daleko w głąb okolicy, i że wioski Białych Równi od czasu do czasu bywały zajęte przez oddziały tychże wojsk. Zdarzało się jednak, że odwoływano je ku północnym krańcom hrabstwa, i wówczas cała ta przestrzeń stawała się pastwą rozbójniczych band, grasujących pomiędzy obu armiami i żadnej z nich nie służących.

Droga, którą jechali nasi podróżni, nie była traktem łączącym oba główne miasta stanu, lecz bocznym nieuczęszczanym i po dziś dzień mało znanym szlakiem, który zagłębiając się w góry tuż koło wschodnich granic, wiedzie aż na wyższe równiny o wiele, wiele mil od Hudsonu.

Zmęczone cuganty pana Whartona nie byłyby nigdy wydzwigały ciężkiej karocy na leżące przed nimi strome zbocza; przydano im więc parę miejscowych koni, których z niewielką ochotą właściciele ich musieli użyczyć dwom towarzyszącym wciąż powozowi dragonom, i z ich pomocą Cezar pomału i uciążliwie posuwał się w głąb górskiego pasma. Zaraz na wstępie Fanny wysiadła, po części by ulżyć koniom ciężaru, a po części by odetchnąć świeżym powietrzem i przynieść tym sposobem ulgę uciśnionej piersi. Katy uczyniła to samo. Słońce chyliło się już ku zachodowi, a dragoni powiedzieli im, że z wierzchołka góry będzie już można dojrzeć kres podróży. Fanny szła szybko, elastycznym krokiem młodości, za nią podążała gospodyni, i wprędce obie straciły z oczu karete, wlokącą się zwolna pod górę i zatrzymującą się często dla dania wytchnienia zmordowanym koniom.

- Ach! panno Fanny, cóż to za straszne czasy - rzekła Katy, gdy i one przystanęły trochę, aby odpocząć. - Wiedziałam, że stanie się nieszczęście, skoro tylko zobaczyłam smugę krwi w chmurach.

- Dosyć jest krwi na ziemi, Katy, ale w chmurach jej nie ma.

- Nie ma krwi w chmurach! - powtórzyła gospodyni. - O! Jej, i jeszcze ile! A komety z ognistymi ogonami także nic nie znaczą? Czy to ludzie nie widywali wojska na niebie tego roku, co się zaczęła wojna? A w wigilię bitwy na Równiach czy nie grzmiało, jakby sto armat waliło? Ach! panno Fanny, nic dobrego nie wyniknie z buntu przeciw pomazańcowi Bożemu.

- Straszne to są wszystko rzeczy, niewątpliwie - odparła Fanny - i najtwardsze serce musi im się uzalić. Ale cóż na to począć, Katy? Dzielni i niezależni ludzie nie chcą się poddać uciskowi, a wojna nie może się obejść bez ofiar.

- Gdybym tylko mogła wiedzieć, o co się tu biją - rzekła Katy, gdy obie puściły się w dalszą drogę - byłoby przynajmniej pół biedy. Raz mówiono, że król chce zabrać wszystką herbatę dla swojej rodziny, to znów, że chce, aby kolonie płaciły mu wszystkie swoje zarobki. To już jest powód dostateczny, żeby się bić, bo nikt na świecie, choćby był lordem lub królem, nie ma prawa do czyichś w pocie czoła zapracowanych pieniędzy. A potem znowu mówiono, że to wszystko nieprawda, a inni znowu powiadali, że Washington sam chce zostać królem, i koniec końcem niewiadomo, czego się trzymać.

- Ani jednego, ani drugiego, bo ani jedno, ani drugie nie jest prawdą. Nie rozumiem się dobrze sama na wszystkich przyczynach tej wojny, ale wydaje mi się czymś potwornym, aby takim krajem jak ten rządził kraj inny i tak odległy jak Anglia.

- To samo akurat mawiał Harvey swemu nieboszczykowi ojcu, co w grobie spoczywa - rzekła Katy, przysuwając się do swojej młodej pani i zniżając głos. - Nie raz i nie dwa słuchałam, jak rozmawiali, kiedy całe sąsiedztwo spało; a jakie to były rozmowy, to panienka pojęcia o tym mieć nie może. Ano, prawdę rzekłszy, dziwny to był człowiek, Harvey, jak ten wiatr, co to nikt nie wie, skąd się wziął i dokąd leci.

Fanny spojrzała na towarzyszkę pytającym wzrokiem.

- Krążą różne pogłoski o charakterze Harveya - rzekła - i to takie, którym wolałabym nie wierzyć.

- To są potwarze - zawołała zaperzona Katy. - Harvey tyle akurat ma do czynienia z Belzebubem, co panienka albo ja. Przecie gdyby Harvey zaprzedał diabłu duszę, to przynajmniej zrobiłby to za dobre pieniądze, chociaż prawdę rzekłszy, był to zawsze lekkoduch i marnotrawca.

- Nie, nie - odrzekła Fanny z uśmiechem - nie mam takich ubliżających mu podejrzeń, ale czyż nie zaprzedał się ziemskiemu władcy, który zbyt wiele ma przywiązania do wyspy ojczystej, aby móc być zawsze sprawiedliwym dla tego kraju?

- Panienka myśli o Najjaśniejszym Panu? - rzekła Katy. - Ale, proszę panienki, albo to brat panienki nie służy także królowi Jerzemu?

- To prawda - rzekła Fanny - ale nie po kryjomu, służy jawnie, mężnie i uczciwie.

- Powiadają, że jest szpiegiem, a szpieg szpiegowi równy.

- To nieprawda, brat mój nie byłby zdolny do zdrady, ani do żadnego czynu dla tak niskich powodów jak awans lub zysk.

- E! proszę panienki - rzekła Katy przestraszona nieco uniesieniem swej młodej pani - jeżeli kto pracuje, to słuszna, aby za to otrzymał zapłatę. A Harvey wcale o to nie dba, i jestem pewna, że gdyby przyszło do rachunków, to by się pokazało, że król Jerzy winien mu jeszcze sporo pieniędzy.

- Więc przyznajesz, że utrzymywał stosunki z armią angielską? - rzekła Fanny. - Wyznaję, że bywały chwile, kiedy myślałam inaczej.

- Panie Święty! Albo to można co pewnego o takim człowieku jak Harvey powiedzieć? Ja oto żyłam z nim pod jednym dachem, a żeby mnie kto zastrzelił, tak nie wiem, czy należy do górnych, czy do dolnych *. Kiedy to wzięli Burgoyne'a, przyszedł do domu i ciągle o czymś obaj z ojcem gadali i naradzali się; ale czy to z radości, czy ze zmartwienia, to też tego nie powiem. A potem znów kiedy ten generał angielski... jakże on się nazywa... bo w tych wszystkich nieszczęściach straciłam pamięć...

- André - rzekła Fanny.

- Właśnie, Andry; otóż kiedy jego powiesili, to stary mało nie skisł z udręki i po nocach nie sypiał, dopóki Harvey nie wrócił. No, i to także prawda, że co miał pieniędzy, to były przeważnie złote gwinee; cóż kiedy skinnerzy wszystko zabrali, i teraz jest żebrakiem, lub co na jedno wychodzi, w poniewierce u ludzi dla swego ubóstwa.

Fanny nic na to nie odpowiedziała i szła dalej pod górę zatopiona w myślach. Wzmianka o André'm przypomniała jej położenie jej własnego brata.

Wkrótce wydostały się na szczyt wzgórza i Fanny usiadła na skale, aby odpocząć i nasycić oczy roztaczającym się przed nią widokiem. Tuż u jej stóp leżała głęboka, dzika dolina, nurzająca

się już w cieniach listopadowego zachodu słońca. Po drugiej stronie, w niewielkiej odległości wznosiło się takie samo wzgórze jak to, na którym siedziała Fanny, a jego chropowate, skaliste zbocza porastały gdzie niegdzie karłowate dęby, świadczące o jałowości gruntu.

Aby ocenić całe piękno Hudsonskich gór trzeba je widzieć późną jesienią, kiedy już liście opadną. Wówczas ani skąpa roślinność, jakiej im lato użycza, ani śniegi zimy nie kryją prześlicznych zarysów tej nagiej, pustej, a w swej nagości i pustce pełnej niewysłowionego czaru scenerii.

Dzień był posepny i chłodny; rude chmurzyska bałwanily się na horyzoncie, przesłaniając ostatnie blaski zachodzącego słońca. Nagle jakiś samotny promień padł u stóp wzgórza, na które spoglądała Fanny, wdzięcznie wspiął się po jego zboczu i dosięgłszy wierzchołka, zatrzymał się tam na chwilę, tworząc świetlaną aureolę nad tym posepnym szczytem. Jasność ta była tak silna, że wszystkie, niewyraźne dotąd szczegóły krajobrazu zarysowały się na jej tle jak najdokładniej. Z rodzajem wewnętrznego skupienia patrzyła Fanny na te odsłaniające się przed nią tajemnice tego pustkowiec, aż po pewnej chwili dostrzegła wśród fantastycznych skał i porozrzucanych tu i ówdzie drzew coś w rodzaju szałas. Był niski i szary, i gdyby nie dach i odbicie światła w okienku, trudno byłoby go dojrzeć! Jeszcze Fanny nie ochłonęła ze zdziwienia, na widok ludzkiej sadyby w takim miejscu, gdy oczy jej dostrzegły coś, co jeszcze powiększyło jej zdumienie. Była to widocznie postać ludzka, ale jakiegoś osobliwego kształtu. Stała ona na zrębie skały nieco ponad szałasem i patrzyła na wspinającą się mozolnie pod górę karocę i wóz jej towarzyszący. Odległość była jednak zbyt wielka, aby można to było dojrzeć wyraźnie. Już Fanny, wyęzająca wzrok ze wszystkich sił, dochodziła do przekonania, że padła ofiarą optycznego złudzenia, i że to na co patrzyła było tylko odłamkiem skały, gdy postać owa poruszyła się i zstąpiwszy prędko ze zrębu znikła w szałasie, kładąc od razu kres wszelkim wątpliwościom co do natury obu przedmiotów. Nie dość na tym, czy to wskutek świeżej rozmowy z Katy, czy dzięki jakiemś nieujętemu podobieństwu Fanny wyobraziła sobie, że ową postacią jest Birch, zgięty pod ciężarem swego toboła. Jak urzeczona patrzyła wciąż na ową tajemniczą chatkę, gdy nagle promień światła zgasł, a jednocześnie rozległy się dźwięki trąbki, objijając się nieskończonym echem o ściany i rozpadliny skał. Przestraszona dziewczyna zerwała się z miejsca; uszu jej doleciał tętent kopyt i w ślad za tym oddział jeźdźców w dobrze jej znanych mundurach Wirgińczyków okrążył podnóże pobliskiej skały i popędził dalej doliną. Znowu rozległy się różne dźwięki trąbki, i nim oszołomiona Fanny zdążyła zebrać myśli, Dunwoodie wyminał oddział dragonów, zeskoczył z konia i zbliżył się do niej.

Zachowanie się jego było poważne i przyjazne, ale jakby z lekka zakłopotane. W kilku słowach objaśnił, że odkomenderowano go z częścią oddziału Lawtona, aby w nieobecności kapitana stawiał się na sąd nad Henrykiem, mający się odbyć nazajutrz i że zaniepokojony o podróżnych w tych niebezpiecznych górskich szlakach, wyjechał parę mil na ich spotkanie.

Fanny nawzajem wytłumaczyła mu drżącym głosem przyczynę swojej obecności na skale, dodając, że za chwilę i tamci nadjadą. Ale zakłopotanie Dunwoodie'go udzieliło się mimo woli i jej samej, tak że ukazanie się karocy sprawiło ulgę obojgu. Major pomógł jej wsiąść, powiedział kilka pocieszających słów panu Whartonowi i pannie Peyton, i wskoczywszy znów na siodło, pojechał przodem ku równinie Fishkill, która na zakręcie skały ukazała się nagle oczom podróżnych, niby dotknięciem różdżki czarnoksiężskiej wywołana. W niespełna półgodziny potem karoca stanęła przed wiejskim domkiem, gdzie już z polecenia Dunwoodie'go wszystko było gotowe na przyjęcie gości, i gdzie kapitan Wharton niecierpliwie oczekiwał ich przybycia.

ROZDZIAŁ XXVI.

*„Trudy żołnierskie zahartowały
te członki, a bladość trwogi nie
okryła nigdy tych policzków. Ale po-
wieść twoja porusza we mnie wszyst-
kie człowiecze uczucia. Dreszcz
wstrząsa moją postacią, a lzy dzie-
cięcego bólu płyną po wyżłobio-
nych przez rany bruzdach. „*

Duo.

Rodzina Henryka Whartona była tak mocno przekonana o jego niewinności, że to poniekąd zamykało jej oczy na grożące mu niebezpieczeństwo. W miarę jednak jak zbliżała się chwila stanowcza, wzrastał niepokój samego obwinionego. Spędziwszy znaczną część nocy ze stroskaną rodziną, zbudził się rankiem z krótkiego przerywanego snu z jaśniejszym poczuciem położenia i

warunków, składających się obciążająco przeciwko niemu. Wysokie stanowisko André'go, doniosłość spisku, jaki knował w połączeniu z potężnymi wpływami, jakie poruszono na rzecz jego, wszystko to wyodrębniło jego sprawę i stracenie z koła zwykłych wydarzeń wojennych. Ale poza tym aresztowania szpiegów zdarzały się niemal codziennie, a sąd doraźny nad nimi był również rzeczą codzienną. Zarówno Dunwoodie jak więźni wiedzieli o tym dobrze, to też obecnie przygotowania wydały się zastraszającymi ich doświadczonym oczom. Pomimo jednak nurtujących w nich obaw umieli je tak dobrze ukryć, że ani panna Peyton, ani Fanny nie domyślały się, jak bardzo były one poważne. Przed domem, w którym umieszczono więźnia, stały silne straże i wszystkie przejścia wiodące do niego pilnie były strzeżone. U drzwi pokoju oficera angielskiego postawiono również wartę. Wyznaczony dla zbadania sprawy sąd już się ukonstytuował, i los Henryka zawisł od jego wyroku.

Nadeszła wreszcie stanowcza chwila, i wszyscy biorący udział w posiedzeniu zgromadzili się w wyznaczonej na ten cel izbie. Fanny doznała dziwnie dławiącego uczucia, gdy usiadłszy pomiędzy ojcem a panną Peyton powiodła wzrokiem po obecnych. Sędziowie w liczbie trzech, przyodziani w szaty urzędowe, siedzieli osobno z powagą, przynależną ich stanowisku i chwili. Środkowe miejsce zajmował mężczyzna lat podeszłych, z postawą noszącą piętno długoletnich wojskowych trudów i przyzwyczajień. Był to przewodniczący sądu, i Fanny, pobieżnie i z przykrym wrażeniem spojrzawszy na jego towarzyszy, utkwiała wzrok w dobrotliwej twarzy weterana, której łagodny i pociągający wyraz stanowił przeciwieństwo ze sztywną surowością tamtych. Ubrany był ściśle podług obowiązujących przepisów, tylko palce jego bezwiednym, konwulsyjnym ruchem szarpały kawałek krepy, obwiązującej rękajeść szabli, na której się opierał, i który, tak jak cała jego postać, zdawał się być zabytkiem przeszłości. Było w nim coś, co zdradzało wewnętrzną mękę udręczonej duszy, a czemu kłam zadawała postawa wojskowa i marsowe oblicze. Towarzysze jego byli oficerami wybranymi z pomiędzy pułków wschodnich, którymi obsadzone były fortece West-Point'u i przyległe do nich przesmyki. Byli to ludzie lat średnich, i oko na próżno szukałoby w ich skupionych, nieruchomych rysach śladów jakiegoś wrażenia lub przyrodzonych naturze ludzkiej ułomności. Postawa ich była poważna i wstrzemięźliwa. Nie było w niej ani okrucieństwa ani srogości, ale nie było również współczucia i żywszego zainteresowania. Byli to ludzie, którzy z dawna podporządkowali wszystkie swoje uczucia rozsądkowi i trzeźwemu sądowi.

Przed takich to arbitrów wprowadzono Henryka Whartona pod zbrojną strażą. Głębokie, uroczyste milczenie zapanowało przy jego wejściu, i Fanny uczuła krew ścinającą się lodem w żyłach. Nie było żadnej pompy w tych przygotowaniach, która mogłaby podziałać na jej wyobraźnię; ale ta właśnie prostota i wstrzemięźliwość, cechująca całe zachowanie się sądu, świadczyły wymownie, że dzieć się tu będą rzeczy rozstrzygające o życiu i śmierci. Dwaj sędziowie spoglądali badawczo na więźnia, ale przewodniczący wodził dokoła niespokojnym

wzrokiem, a drżenie mięśni jego twarzy zdradzało niepokój nie liczący z jego wiekiem i powołaniem. Był to pułkownik Singleton, który dopiero poprzedniego dnia dowiedział się o losie Izabeli, ale który pomimo żałoby nie uchylił się od spełnienia powierzonego obowiązku. Milczenie i wyraz oczekiwania, malujący się w utkwionych w nim spojrzeniach, przywołały go wreszcie do rzeczywistości; opanował się i przemówił nawykłym do rozkazywania głosem:

- Przeprowadzić bliżej więźnia.

Pochyliły się bagnety w stronę sędziów, i Henryk Wharton pewnym krokiem wystąpił na środek izby. Niepokój i ciekawość odmalowały się w twarzach obecnych. Fanny spojrzała przelotem z wdzięcznością w stronę Dunwoodie'go, usłyszawszy jego przyspieszony, ciężki oddech; lecz wnet myśl o bracie pochłonęła wszystkie jej władze. W głębi zgromadzili się członkowie rodziny właściciela folwarku; a za nimi widać było szereg hebanowych, ciekawością połyskujących twarzy, wśród których wyróżniało się zwiędłe, strapione oblicze Cezara Thompsona.

- Podsądny - ozwał się znów przewodniczący - głos opinii twierdzi, że jesteś Henrykiem Whartonem, kapitanem sześćdziesiątego pułku piechoty armii angielskiej.

- Jestem nim.

- Podoba mi się pańska szczerość; przystoi ona żołnierzowi i niechybnie życzliwie usposobi dla ciebie sędziów.

- Należałoby - rzekł jeden z towarzyszy przewodniczącego - objaśnić więźnia, że obowiązany jest odpowiadać tylko na to, co uzna za potrzebne; aczkolwiek jesteśmy sądem wojennym, szanujemy w tym względzie zasady wszelkich wolnych rządów.

Drugi sędzia milczącym skinieniem głowy wyraził zgodę na tę uwagę, a przewodniczący ciągnął dalej badanie z wielką ostrożnością, spoglądając na trzymane w ręku notatki.

- Jesteś pan oskarżony, że będąc oficerem wojsk nieprzyjacielskich, przeszedłeś pikiety armii amerykańskiej na Białych Równiach, w przebraniu, co ściąga na ciebie podejrzenie o wrogie względem Ameryki zamiary i poddaje cię karze stosowanej do szpiegów.

Łagodny ale pewny głos przewodniczącego, gdy zwolna wygłaszał to oskarżenie, pełen był nakazującej powagi. Oskarżenie było tak wyraźne, fakty tak ograniczone, dowody tak niezbita, a kara tak ściśle określona, że wszelkie usprawiedliwienie się zdawało się jakby wykluczone. Henryk jednak odpowiedział z godnością:

- Prawda, że przeszedłem pikiety w przebraniu, ale...

- Dosyć - przerwał przewodniczący. - Prawa wojenne są same w sobie surowe; nie potrzebujesz pan pomagać im własnym potępiającym zeznaniem.

- Obwiniony może cofnąć to zeznanie, jeżeli chce - zauważył jeden z sędziów - wciągnięcie go bowiem do protokołu jest samo przez się potwierdzeniem oskarżenia.

- Nic cofam niczego, co jest prawdą - odparł dumnie Henryk.

Obaj sędziowie wysłuchali tych słów z milczącym spokojem, przewodniczący jednak popatrzył na niego z rozbudzoną na nowo życzliwością.

- Uczucia pańskie są szlachetne - rzekł - i wypada mi żałować, że tak młody oficer dał się tak unieść błędnym zrozumieniem lojalności, by się aż uciekać do oszukaństwa.

- Oszukaństwa! - powtórzył Wharton - uważałem za rzecz rozsądną zabezpieczyć się przeciwko pojmaniu przez nieprzyjaciół.

- Żołnierz, kapitanie Whartonie, nie powinien nigdy inaczej iść na spotkanie nieprzyjaciela jak jawnie i z bronią w ręku. Służyłem dwom królom Anglii, jak teraz służę memu krajowi, ale nigdy nie zbliżałem się do wroga inaczej, jak przy świetle dziennym i w dobrej wierze żołnierskiej.

- Służy panu prawo wyjaśnienia celów, dla których wszedłeś w obręb zajętych przez nasze wojska placówek w przebraniu - rzekł drugi sędzia, a kąciki ust jego zadrżały lekko.

- Jestem synem tego starca, który tu siedzi przed wami, panowie sędziowie - rzekł Henryk - i dla odwiedzenia go naraziłem się na niebezpieczeństwo. Zresztą wojska wasze rzadko kiedy zajmują tę miejscowość, a sama jej nazwa daje prawo obu stronom swobodnego w niej przebywania.

- Prawo nie uznaje nazwy neutralnego gruntu; jest to nazwa dowolna, z położenia danej miejscowości wypływająca. Ale gdziekolwiek znajduje się armia, przenosi wraz z sobą swoje prawa, a pierwszym z nich jest czuwanie nad własnym bezpieczeństwem.

- Nie jestem kazuistą, panie przewodniczący - odparł młodzieniec - ale czuję, że mój ojciec ma prawo do mego przywiązania i naraziłbym się na większe jeszcze niebezpieczeństwo, aby mu go dowieść.

- Bardzo chwalebne uczucie - zawołał weteran - panowie, sprawa zaczyna się wyjaśniać. Wyznaję, że z początku przedstawiała się bardzo niekorzystnie, ale nikt nie ma prawa potępiać tego młodzieńca za chęć odwiedzenia rodziny.

- A czy może udowodnić, że takie tylko, a nie inne były jego zamiary?

- Tak, mogę - rzekł Henryk, chwytając się promyka nadziei, tu jest mój ojciec, moja siostra, major Dunwoodie; wszyscy mogą potwierdzić prawdę słów moich.

- W takim razie - rzekł niewzruszony sędzia, może się da uratować pana. Należałoby, panie przewodniczący, rozpatrzyć się bliżej w tej sprawie.

- Bez wątpienia - rzekł przewodniczący skwapliwie. - Niech starszy pan Wharton zbliży się i złoży przysięgę.

Ojciec Henryka zebrał wszystkie siły i postąpiwszy chwiejnym krokiem, dopełnił wymaganej formalności.

- Jesteś pan ojcem obwinionego? - zapytał pułkownik Singleton, poczekawszy chwilę, aby mu dać czas do uspokojenia się.

- To jest mój jedyny syn.
- A co pan wiesz o jego bytności w pańskim domu 29 października bieżącego roku?
- Przybył, jak to już powiedział, aby odwiedzić mnie i swoje siostry.
- Czy był w przebraniu? - zapytał drugi sędzia.
- Nie, był w mundurze swego pułku.
- I siostry - powtórzył przewodniczący z wielkim wzruszeniem. - Pan masz córki?
- Mam dwie; obie są tutaj.
- Czy był w peruce? - zapytał znów drugi sędzia.
- Miał coś w tym rodzaju na głowie.
- A jak dawno nie widziałeś go pan? - zapytał przewodniczący.
- Rok i dwa miesiące.
- Czy miał na sobie luźny płaszcz z grubego materiału? - zapytał oficer, zaglądając do aktu oskarżenia,
 - Tak był w płaszczu.
 - I sądzisz pan, że jedynym powodem jego przybycia była chęć odwiedzenia pana?
 - Mnie i moich córek.
 - Uczciwy chłopak - szepnął przewodniczący milczącemu towarzyszowi. - Nie widzę nic zdrożnego w takim postępku; był nierozważny, ale poczciwy.
- A nie wiesz pan, czy syn pański nie miał żadnego polecenia od sir Henryka Clintona i czy odwiedziny jego nie były tylko płaszczykiem innych celów?
 - Skądże ja to wiedzieć mogę? - odpowiedział pan Wharton przestraszony. - Czyż sir Henryk wtajemniczałby mnie w takie sprawy?
 - A wiesz pan co o tym papierze? - zapytał sędzia, pokazując paszport, który Dunwoodie odebrał Henrykowi.
 - Nic nie wiem, na honor nic nie wiem - zawołał pan Wharton, cofając się jak przed ukąszeniem żmii.
 - Pod przysięgą?
 - Nić nie wiem. Przysięgam.
 - Masz pan innych świadków? Zeznanie ojca pańskiego nie na wiele ci się przyda, kapitanie Whartonie. Ujęto cię w okolicznościach zagrażających twemu życiu. W twoich rękach spoczywa los twój, a raczej udowodnienie twojej niewinności, co na jedno wychodzi. Nie śpiesz się, zbierz myśli.

Było coś przerażającego w spokoju tego sędziego i coś co dreszczem przejęło więźnia. Współczucie pułkownika Singletona napępiało go otuchą, ale chłód i zaciętość tamtych źle wróżyły o jego losie. Milczał więc, spoglądając tylko błagalnie na przyjaciela. Dunwoodie zrozumiał niemą wymowę tych spojrzeń i ofiarował się na świadka. Zaprzysiężono go, i

zażądano, by opowiedział, co mu było wiadomo. Zeznania jego nie miały właściwie znaczenia dla sprawy, i on sam czuł to dobrze. Osobiście wiedział niewiele, a to niewiele świadczyło raczej przeciw Henrykowi niż za nim. Wysłuchano go w milczeniu, tylko znaczące wstrząśnienie głową sędziego, który się wcale nie odzywał, świadczyło aż nadto wyraźnie o wrażeniu, jakie sprawił.

- Jednak pan sądzisz, że więzień nie miał innego celu nad ten, do którego się przyznał? - zapytał przewodniczący, gdy tamten skończył.

- Żadnego innego, życie dałbym za to - zawołał major z zapalem.

- Przysięgniesz pan na to? - zapytał niewzruszony sędzia.

- Jakże mogę przysiąc? Bóg jedynie czyta w sercach. Ale znam więźnia od dzieciństwa; zdrada i oszustwo nie leżą w jego naturze; wyższym jest nad te podłości.

- Mówisz pan, że uciekł i że ujęto go ponownie z bronią w ręku - rzekł przewodniczący.

- Tak, otrzymał ranę w bitwie. Teraz jeszcze z trudem porusza ręką. Czy pan sądzi, panie przewodniczący, że narażałby się na ponowne schwytanie, gdyby nie był pewny swojej niewinności?

- A czy Andre byłby uciekł z pola walki, majorze Dunwoodie, gdyby go coś podobnego spotkało w pobliżu Tarry-town? - zapytał sędzia. - Nie jestże to rzeczą naturalną, że młodzieniec szuka chwały?

- Pan to nazywa chwałą? - wykrzyknął major. - Haniebna śmierć i splamione imię?

- Majorze Dunwoodie - odpowiedział tamten z nieubłaganą powagą - postąpiłeś pan szlachetnie; miałeś twardy i ciężki obowiązek do spełnienia, ale spełniłeś go wiernie i uczciwie, my również musimy to samo o sobie powiedzieć.

Podczas tego badania słuchacze znajdowali się w stanie najwyższego napięcia nerwów. Z nieokreślonych powodów zdawało im się, że jeżeli Dunwoodie nie zdoła przemówić do serc sędziów, nikt inny tego uczynić nie potrafi. Cezar cały podał się ku przodowi, a na twarzy jego malowała się taka wyrazista gra uczuć, że milczący sędzia zwrócił na to uwagę i po raz pierwszy przemówił.

- Przeprowadzić murzyna.

Za późno już było na ucieczkę, i Cezar, zanim zdążył opamiętać się, już stał przed obliczem buntowniczych oficerów. Przewodniczący i drugi sędzia ustąpili głosu temu, który zażądał wezwania Cezara, i rozpoczęło się badanie.

- Znasz więźnia?

- Jeszcze by go nie znać - odpowiedział murzyn z powagą przystosowaną do powagi badającego.

- Czy oddał ci perukę, gdy ją zdjął?

- Co mnie po peruka? - mruknął Cezar - ja mieć własne, dobre włosy.

- Czy nosiłeś jakie listy lub zlecenia, kiedy kapitan Wharton znajdował się w domu twego

pana?

- Ja robić, co mnie massa kazać - odpowiedział murzyn.

- Ale co ci kazał robić?

- Czasem to, czasem drugie.

- Dosyć - rzekł pułkownik Singleton z powagą. - Mamy zeznanie samego obwinionego; czegoż więcej możemy spodziewać się od niewolnika? Kapitanie Whartonie, widzisz pan niekorzystne wrażenie przeciwko sobie? Czy masz jeszcze co do przytoczenia na swoją obronę?

Henryk utracił już prawie wszelką nadzieję, i ufność, jaką pokładał w czystości własnej sprawy, opuszczała go szybko, jednakże z jakimś nieokreślonym oczekiwaniem pomocy od siostry utkwiał wymowny wzrok w jej pobladłej ślicznej twarzyczce. Fanny powstała i chwiejnym krokiem postąpiła ku sędziom, lecz nagle ognisty rumieniec wytrysnął na jej policzki, chód odzyskała elastyczność, i stanęła przed nimi, odrzucając z gładkiego czoła bujne loki, w całym blasku swej niewinnej, twardsze nawet serca mogącej poruszyć piękności. Przewodniczący przesłonił ręką oczy, jak gdyby te wyraziste dziewczęce rysy przywiodły mu na pamięć obraz tamtej; opanował się jednak natychmiast i z przejęciem, zdradzającym tajemne jego życzenia, zapytał:

- Więc brat doniósł pani poprzednio o zamiarze odwiedzenia rodziny po kryjomu?

- Nie - nie - odpowiedziała Fanny, przyciskając ręką czoło, jak gdyby dla zebrania myśli - nic mi nie doniósł, nie wiedzieliśmy o niczym, ale czyż potrzebuję tłumaczyć panom, że syn mógł narazić się na niebezpieczeństwo, by odwiedzić ukochanego ojca i to w takich czasach jak obecnie i w takim jak nasze położeniu?

- Ale czy to się zdarzyło po raz pierwszy? Czy nigdy przedtem nie było o tym mowy? - zapytał pułkownik, pochylając się ku niej z ojcowską dobrocią.

- O! tak! tak! - zawołała Fanny, chwytając się jak deski zbawienia tego pocziwego wyrazu jego twarzy. - Odwiedził nas teraz po raz czwarty.

- Byłem tego pewny - wykrzyknął weteran, zacierając ręce z zadowoleniem. - Kochający syn, zacny chłopiec, a w polu zapewne odważny i zapalczywy żołnierz. A w jakimże przebraniu przychodził?

- W żadnym, bo żadnego nie było potrzeba. Wojska królewskie zajmowały wtedy okolice i dawały mu wolne przejście.

- Więc po raz pierwszy przybył w ten sposób, po cywilnemu? - zapytał pułkownik znużonym głosem, unikając przenikliwych spojrzeń towarzyszy.

- O! tak! - wykrzyknęła Fanny z żywością - pierwszy raz popełnił to przestępstwo, jeżeli to w ogóle przestępstwem być może.

- Ale pani zapewne pisywała do niego, żeby przybył; przecież musiałaś pragnąć zobaczyć brata? - dodał niecierpliwie pułkownik.

- Och! pragnęliśmy tego, modliliśmy się o to wszyscy gorąco, ale znoszenie się z królewską armią mogło narazić naszego ojca - więc nie śmieliśmy pisać.

- Czy wychodził z domu, dopóki go nie zaarrestowano, czy widywał się z kim poza domownikami?

- Z nikim - z nikim, wyjąwszy naszego sąsiada, kramarza Bircha.

- Kogo? - wykrzyknął pułkownik, poblądłszy i wzdrygnąwszy się jakby za dotknięciem gadziny.

Dunwoodie jęknął głucho, uderzył się dłonią w czoło, krzyknął rozziewającym głosem: „Zgubiony!” i wybiegł z izby.

- Harveya Bircha - powtórzyła Fanny, patrząc błędnie na drzwi, za którymi zniknął jej ukochany.

- Harveya Bircha - powtórzyli wszyscy sędziowie; dwaj towarzysze przewodniczącego zamienili pomiędzy sobą znaczące spojrzenia, po czym zwrócili je bystro na więźnia.

- Panowie - rzekł Henryk, występując znów na środek - nie może być wam tajnym, że Harvey Birch podejrzany jest o sprzyjanie królewskiej sprawie, wasze sądy bowiem wydały już na niego wyrok, który mnie oczekuje teraz. Muszę przeto wyjaśnić, że on to dostarczył mi przebrania i ułatwił przejście pikiet, ale do ostatniego tchnienia zapewniać nie przestanę, że zamiary moje były jak najczystsze.

- Kapitanie Wharton - rzekł przewodniczący uroczyście - wrogowie swobód Ameryki chwytały się wszelkich możliwych sposobów, by nas zgnać. A nie mamy niebezpieczniejszego wroga, względnie do jego środków i stanowiska, nad tego kramarza z West-Chesteru. Jest to szpieg, zręczny, obrotny, przenikliwy, przewyższający tymi zdolnościami wszystkich innych. Sir Henryk nie mógł postąpić trafniej, jak przydając go do pomocy oficerowi w swoich machinacjach. On byłby ocalił Andre'go. Istotnie, młodzieńcze, ta znajomość może się stać dla ciebie fatalną.

Twarz sędziwego wojownika płonąła szczerym oburzeniem, które w zupełności podzielali jego towarzysze.

- Zgubiłam go! - wykrzyknęła Fanny, rozpaczliwie łamiąc ręce - i pan nas opuszcza!... Ach! to już niema dla niego ratunku.

- Przestań, niewinne dziewczę, przestań - rzekł pułkownik, silnie wzruszony - nie gubisz nikogo, ale udręczasz nas wszystkich.

- Także to zbrodnia żywić uczucia rodzinne! - zawołała Fanny z uniesieniem. - Czyż Washington, szlachetny, prawy, bezstronny Washington, osądziłby go tak srogo? Poczekajcie, panowie, aż go wysłucha Washington.

- To niemożliwe - rzekł przewodniczący, przesłaniając ręką oczy, jakby niezdolny patrzeć dłużej na tę cudną dziewczęcą postać.

- Niemożliwe! Och! panowie, wstrzymajcie się z wyrokiem, chociaż na tydzień. Na kolanach błagam was o to; jeżeli sami pragniecie miłosierdzia Boskiego nad sobą, tam gdzie ludzka potęga pomóc wam nie zdoła, dajcie mu choć jeden dzień zwłoki.

- To niemożliwe - powtórzył pułkownik zdławionym głosem - mamy stanowcze rozkazy; już i tak przeciąga się to za długo.

Odwrócił się od klęczącej, ale nie mógł, czy nie chciał uwolnić ręki, którą rozpaczliwie trzymała w obu dłoniach.

- Odprowadzić więźnia - rzekł jeden z sędziów do oficera, mającego straż nad Henrykiem. - Pułkowniku Singleton, czy mamy się cofnąć na naradę?

- Singleton! Singleton! - powtórzyła Fanny. - Więc pan jesteś ojcem; więc wiesz, co to jest ból ojcowskiego serca. O! Pan nie możesz, pan nie zranisz śmiertelnie serca, które już i tak krwią opływa. Wysłuchaj mnie, pułkowniku Singletonie, jak pragniesz, by Bóg wysłuchał cię w ostatniej godzinie; wysłuchaj mnie i oszczędź mego brata!

- Zabierzcie ją! - rzekł pułkownik, łagodnie usiłując uwolnić rękę z rozpaczliwego uścisku jej dłoni. Ale Fanny jej nie puszczała, a nikt się nie ruszył, by spełnić rozkaz pułkownika.

- Pułkowniku Singleton! jakże niedawno syn twój był w niebezpieczeństwie życia i cierpiał. Pod dachem mego ojca znalazł opiekę i ratunek. O! pomyśl o tym synu ukochanym, o tej chlubie twojej starości, postaw go na miejscu mego brata, i wydaj na niego wyrok, jeżeli potrafisz.

- Jakiem prawem Heath robi ze mnie kata! - zawołał weteran z uniesieniem, powstając z napęczniałymi na czole żyłami i twarzą całą w ogniu. - Ale zapominam się. Pójdźmy, panowie, musimy dopełnić bolesnego obowiązku.

- Nie, nie - krzyknęła Fanny. - Jak możecie z taką zimną krwią wydzierać syna ojcu, brata siostrze? Toż jest sprawa, którą tak gorąco ukochałam? Toż są ludzie, których mnie czcić nauczono? - Ale pan jesteś wzruszony... pan się ulitujesz i przebacysz!

- Pójdźmy, panowie! - rzekł pułkownik, prostując się z wojskową dumą, w daremnej chęci uśmierzenia miotających nim uczuć - pójdźmy! - i skierował się ku drzwiom.

- Jeszcze chwilę! - zawołała Fanny, konwulsyjnie ściskając jego dłoń. - Wysłuchaj mnie pan, zaklinam. Pułkowniku Singletonie, jesteś pan ojcem... Litości, miłosierdzia - miłosierdzia dla syna! Miłosierdzia dla córki! Tak, pan miałeś córkę. Na tej piersi wydała ostatnie tchnienie, te ręce zamknęły jej oczy! Te same ręce, które teraz błagalnie wyciągają się do ciebie. Czyż za to wydasz wyrok śmierci na mego brata, mego biednego, niewinnego brata?

Głuchy jęk wydarł się z piersi weterana i wstrząsnął jego postacią. Próbował jednak walczyć jeszcze z przemożnym wzruszeniem; potoczył nawet oczyma dokoła, jakby już pewny zwycięstwa, lecz w tej samej chwili nowy przypływ bólu złamał hart tej żołnierskiej duszy. Głowa jego, ubielona śniegiem siedemdziesięciu zim opadła na ramię klęczącej dziewczyny, szabla towarzyska tyłu krwawych bitw wysunęła się z bezwładnej ręki.

- Niechaj Bóg ci to wynagrodzi! - zawołał i rozplakał się w głos.

Raz puściwszy wodze żalowi, długo nie mógł się uspokoić biedny ojciec. Wreszcie pohamował ból, oddał zemdloną Fanny ciotce, a sam zwracając się do towarzyszy, rzekł z mocą:

- Panowie, musimy spełnić swój obowiązek jako żołnierze; uczuciom naszym jako ludzie możemy potem dać folgę. Co postanowiliście z więźniem?

Jeden z sędziów podał mu papier, na którym w porozumieniu z kolegą napisał wyrok, kiedy pułkownik zajęty był nieszczęsną Fanny.

Wyrok ten opiewał krótko, że Henryk Wharton ujęty był po przejściu bojowej linii armii amerykańskiej w przebraniu jako szpieg. Że, stosownie do praw wojennych, podlegał za to przestępstwo karze śmierci, i że sąd skazał go na nią, rozkazując, aby powieszono go nazajutrz przed godziną dziewiątą z rana.

Zwyczajem było, że przy wymierzaniu kary śmierci nawet na wrogów odnoszono się o zatwierdzenie wyroku do Naczelnego Wodza, a w razie jego nieobecności do oficera, pełniącego zastępczo te obowiązki. Ale ponieważ główna kwatera Washingtona znajdowała się w New-Windsor na zachodnim brzegu Hudsonu, czasu jeszcze było dosyć na otrzymanie odpowiedzi.

- Za krótki to termin - rzekł weteran, trzymając pióro w ręku, w jakimś bezwiednym zawieszeniu - niecały dzień dla tak młodego życia na przygotowanie się do wieczności.

- Królewscy oficerowie dali Hale'mu * tylko godzinę - odpowiedział jeden z sędziów - my oznaczyliśmy czas przyjęty w takich razach. Ale Washingtonowi służy prawo przedłużyć go, albo ułaskawić przestępcę.

- A więc udam się do Washingtona - zawołał pułkownik, kładąc swój podpis - a jeżeli tylo letnia służba takiego starca jak ja, lub zacnego dzielnego chłopca znajdzie posłuch u wodza, to uratuję tego młodzieńca.

Z tymi słowy odjechał pełen najlepszych chęci dla Henryka Whartona.

O wyroku powiadomiono więźnia z należytą oględnością, poczym, wydawszy jeszcze niektóre rozporządzenia dyżurnemu oficerowi i wyprawiwszy kuriera z raportem do głównej kwatery, dwaj pozostali sędziowie dosiedli koni z tą samą niewzruszoną powagą na zewnątrz i wewnętrznym poczuciem sumiennie i bezstronnie spełnionego obowiązku.

Andre był stracony wśród łez swoich wrogów, Hale'mu w ostatniej chwili towarzyszyły słowa potępienia, a jednak pierwszy padł ofiarą własnej ambicji, drugi - poświęcenia dla ojczyzny. Potomność odda im sprawiedliwość.

ROZDZIAŁ XXVII.

*„Czy nie ma jeszcze odwołania
wyroku dla Klaudia? Więc musi
umrzeć jutro?”*

Szekspir. Miarka za miarkę.

Po wysłuchaniu wyroku więzień spędził kilka godzin na łonie rodziny. Pan Wharton płakał jak dziecko nad nieszczęsnym losem syna, a Fanny, odzyskawszy przytomność, wpadła w tak straszną rozpacz, że w porównaniu z nią śmierć sama mogła się wydawać znośną. Jedna panna Peyton zachowała jeszcze odrobinę przytomności, by myśleć o tym, co należało czynić w danych okolicznościach. Względny spokój zacnej ciotki nie wpływał bynajmniej z braku przejęcia się losem siostrzeńca, lecz gruntował się na pewnym instynktownym zaufaniu w szlachetność charakteru Washingtona. Pochodził on z tej samej co ona kolonii, a chociaż tak się złożyło, że się nigdy nie spotkali, panna Peyton nasłuchiwała się dosyć o jego domowych cnotach i wiedziała, że surowa nieugiętość, cechująca jego publiczne czyny, nie licowała bynajmniej z przypisywaną mu w prywatnym życiu dobrotliwością. Słynął w Wirginii jako sprawiedliwy i wyrozumiały pan dla swoich domowników, i panna Peyton z pewną dumą myślała o tym, że ten właśnie jej rodak stał na czele wojsk i w znacznej mierze kierował losami Ameryki. Wiedziała też, że Henryk nie był winien zbrodni, za jaką miał śmierć ponieść, i po prostu pojąć nie mogła, aby prawo karało za niepopelnione winy. Ale i tej iskierce nadziei, tlejącej w jej sercu, sądzone było zgasnąć niezadługo. Około południa pułk milicji, konsystującej na brzegach rzeki, ukazał się na wprost domu, w którym przebywała nasza bohaterka i jej rodzina, i rozbił spokojnie namioty z widocznym zamiarem pozostania tu aż do następnego rana, aby obecnością swoją dodać niejako znaczenia i powagi stracenia angielskiego szpiega.

Dunwoodie spełnił wszystko, co miał sobie polecone, i mógł połączyć się ze swoim szwadronem, oczekującym niecierpliwie jego przybycia, aby wyruszyć na wroga, o którym wiadomo było, że zwolna posuwa się wzdłuż brzegów rzeki, by osłonić tył furazującego oddziału. Z Dunwoodie'm przybył tu także mały oddziałek Lawtonowych dragonów z

porucznikiem Masonem jako komendantem, a to dla świadczenia w sprawie kapitana Whartona. Okazało się to jednak zbyt cenne, ponieważ Wharton nie zapierał się popełnionego czynu. Major, nie mając odwagi patrzeć na rozpacz rodziny Henryka i lękając się ulec sam wpływowi tego bólu, spędził parę godzin na samotnej przechadzce w pobliżu domu. Jak panna Peyton pokładał on niejaką wiarę w miłosierdzie Washingtona, co nie przeszkadzało, że raz po raz oddawał się najczarniejszym myślom i zwątpieniu. Zresztą nawykł on widzieć w swoim generale raczej najwyższego wodza niż prywatnego człowieka i miał w pamięci świeży przykład nieugiętości Washingtona, tam gdzie w grę wchodziła sprawa wolności Ameryki. Gdy tak chodził po sadzie, miotany naprzemian nadzieją i zwątpieniem, zbliżył się do niego Mason całkowicie przybrany jak do drogi.

- Myśląc, że pan major zapomniał o otrzymanych dziś z rana nowinach, pozwoliłem sobie sprawić oddział do wymarszu - rzekł porucznik, ścinając pochwą szabli przydrożne korzonki.

- O jakich nowinach? - zapytał major, jakby budząc się ze snu.

- Tylko o tych, że John Bull grasuje po West-Chesterze z całą czeredą furgonów, a jeżeli mu się uda naładować, my będziemy zmuszeni cofnąć się przez te przekłete wzgórza w poszukiwaniu obroku. Ci zgłodniaли Anglicy tak się wyposzczą na York Island, że skoro raz odważą się wytknąć nos poza wyspę, to jednego kłaczka słomy nie zostawią po sobie.

- A gdzie ich nasi wywiadowcy zostawili? Zupełnie o tym zapomniałem.

- Na wzgórzach ponad Sing Sing - odpowiedział porucznik z niemałym zdziwieniem. - Droga tam wygląda, jakby kto stóg siana rozrzucił, a wszystkie świny kwiczą żałośnie, gdy przewożą koło nich zboże do Kingsbridge. Ordynans Jerzego Singletona, który przywiózł tę wiadomość, powiada, że nasze konie miały wielką ochotę pozbyć się jeźdźców i popaść się gruntownie, bo wielkie pytanie, czy im się znowu zdarzy po temu sposobność. Jeżeli pozwolimy tym łupieżcom wywieźć to wszystko, to na Boże Narodzenie nie znajdziemy ani jednego wieprza, bo wszystkie pozdychają z głodu.

- Nic mnie to nie obchodzi, co mówi ordynans Singletona, panie Mason - zawołał niecierpliwie Dunwoodie - powiedz mu pan, aby się nauczył czekać na rozkazy starszych.

- Przepraszam w jego imieniu, majorze Dunwoodie - rzekł porucznik - ale, jak ja, był w błędzie. Obaj myśleliśmy, że z rozkazu generała Heath'a mamy niepokoić i ścigać nieprzyjaciela, skoro tylko wychyli się z gniazda.

- Opamiętaj się, poruczniku Masonie - rzekł major - albo będę zmuszony pouczyć pana, że masz pan słuchać tylko tych rozkazów, które przechodzą przeze mnie.

- Wiem o tym, majorze Dunwoodie, wiem o tym, i przykro mi, że pan nie raczysz pamiętać, iż nie zawałem się nigdy w ich spełnieniu,

- Przebacz mi Masonie - zawołał Dunwoodie, ujmując obie ręce młodzieńca. - Wiem, że jesteś dzielny i posłusznym żołnierzem. Nie zważaj na moje zdenerwowanie. Ale ta sprawa...

Miałeś kiedy przyjaciela?

- Nie! nie! - przerwał porucznik - to pan przebacz mi moją gorliwość. Wiedziałem o rozkazach i lękałem się, by mój zwierzchnik nie spotkał się z przyganą. Ale zostań pan, i niech kto piśnie jedno słowo przeciwko tobie, a wszystkie szable same wyskoczą z pochew. Zresztą oni tam jeszcze tkwią, a z Croton do Kingsbridge droga długa. Cokolwiek bądź się stanie, nie wątpię, że im jeszcze nastąpimy na pięty, zanim zemkną do nory.

- Och! gdyby ten kurier z głównej kwatery powrócił! - wykrzyknął Dunwoodie. - Ten stan niepewności jest nie do zniesienia.

- Spełniło się pańskie życzenie - zawołał Mason - bo otóż i on; jedzie, jak gdyby z dobrą nowiną. Daj Boże, aby tak było, bo i ja nie chciałbym patrzeć na takiego dzielnego młodzieńca, tańczącego w powietrzu.

Dunwoodie nie słyszał już tych słów, bo przeskoczył parkan i stanął przed posłańcem.

- Jakie nowiny? - zawołał, skoro tylko żołnierz osadził konia.

- Dobrze! - odpowiedział tamten, i bez wahania wręczył papier Dunwoodie'mu, dodając: - Pan major wreszcie sam się o tym może przekonać!

Dunwoodie nie czytał, ale z szybkością strzały popędził do izby więźnia. Straże znały go i przepuściły bez pytania.

- Och! Peytonie! - zawołała Fanny, ujrawszy go wchodzącego - wyglądasz jak poseł z nieba! Czy przynosisz ułaskawienie?

- Patrz, Fanny! patrz, Henryku! patrz, droga kuzynko Joasiu! - zawołał młodzieniec, drżącymi rękoma łamiąc pieczęć! - Tu jest list, zaadresowany do dyżurnego kapitana. Ale posłuchajcie...

Wszyscy wlepili w niego oczy z najwyższym niepokojem, i ból niewysłowiony przeszył ich serca, gdy zobaczyli blask uszczęśliwienia, jakim jaśniała twarz majora, ustępujący wyrazowi zgrozy i rozpaczy. Koperta zawierała wyrok sądu z tym krótkim dopiskiem:

„Zatwierdzono. Jerzy Washington”.

- Zgubiony! Zgubiony! - krzyknęła Fanny, padając w objęcia ciotki.

- Mój syn! Mój syn! - jęknął ojciec. - Jeżeli na ziemi nie ma miłosierdzia, to w niebie jest ono z pewnością. Oby Washington nigdy nie potrzebował tego miłosierdzia, którego odmawia memu niewinnemu dziecku.

- Washington! - powtórzył Dunwoodie, błędnie patrząc dokoła - tak, to podpis Washingtona, jego nazwisko widnieje tu, by uprawomocnić ten czyn straszliwy.

- Okrutny, okrutny Washington! - zawołała panna Peyton. - Takie ciągłe obcowanie z krwią zmieniło jego naturę.

- Nie potępiaj go, kuzynko - rzekł Dunwoodie - to generał tak postąpił, a nie człowiek. Życie dałbym za to, że głęboko odczuł cios, który zmuszony był wymierzyć.

- O! jakżem się na nim zawiodła! - wykrzyknęła Fanny. - To nie zbawca ojczyzny ale zimny, bezlitosny tyran. O! Peytonie! Peytonie! Jakżeś mnie omamił co do jego charakteru.

- Przestań! droga Fanny, przestań na miłość Boską; nie mów w ten sposób. On jest tylko stróżem prawa.

- Prawdę mówisz, majorze Dunwoodie - rzekł Henryk, ochłonawszy z wrażenia, jakie na nim zgaśnięcie tej ostatniej iskry nadziei wywarło, i zbliżając się do ojca: - Ja, który mam paść ofiarą jego postanowienia, nie potępiam go. Postąpiono ze mną z całą oględnością, jakiej miałem prawo żądać. Na krawędzi grobu nie mogę być niesprawiedliwym. W takiej chwili, z tak jaskrawym, niedawnym przykładem niebezpieczeństwa, na jakie zdrada mogła narazić waszą sprawę, nie dziwię się nieugiętej sprawiedliwości Washingtona. Pozostaje mi więc tylko przygotować się na los, który mnie niezadługo oczekuje. Do ciebie, majorze Dunwoodie, zwracam się z pierwszą prośbą.

- Wymień ją - rzekł major zdławionym głosem. Henryk odwrócił się i wskazując na płaczącą gromadkę, ciągnął dalej:

- Bądź synem temu starcowi, wspieraj jego bezsilność, osłaniaj go od prześladowań, jakie rzucona na mnie hańba ściągnąć by na niego mogła. Nie ma on wielu przyjaciół wśród kierowników tego kraju, niech twoje potężne imię znajdzie się pomiędzy nimi.

- Tak będzie.

- A ta biedaczka - mówił dalej Henryk, wskazując na Sarę, która siedziała w zupełnej nieświadomości tego, co się dokoła niej działo. - Sądziłem, że znajde może sposobność pomszczenia jej krzywd - tu przelotny rumieniec zabarwił mu lica - ale to są zdrożne myśli, czuję to. Pod twoją opieką, Dunwoodie, niech znajdzie współczucie i schronienie.

- Znajdzie je - szepnął Dunwoodie.

- Ta dobra ciotka nasza ma już prawa do twojej życzliwości, więc ci jej nie polecam, ale ta - tu ujął rękę Fanny, patrząc na nią z braterskim przywiązaniem - to jest najcenniejszy dar ze wszystkich. Przygarnij ją do twojej piersi, i kochaj, jakbyś kochał niewinność i cnotę.

Major nie mógł powściągnąć skwapliwości, z jaką wyciągnął rękę po ten dar upragniony; ale Fanny, unikając jego dotknięcia, ukryła twarz na łonie ciotki.

- Nie, nie, nie - szepnęła - nie może stać się dla mnie czymś ktoś, co się przyczynił do zguby mego brata.

Henryk spoglądał na nią tkliwie chwil kilka, po czym ponowił:

- Omyliłem się tedy. Sądziłem Peytonie, że twoja wartość, twoje szlachetne oddanie się sprawie, którą cię czcić nauczono, że dobroć, jaką okazywałaś naszemu ojcu, gdy był więziony, twoja przyjaźń dla mnie, twój charakter, że to wszystko znajdzie uznanie w oczach mojej siostry.

- I znalazło - szepnęła Fanny, głębiej jeszcze kryjąc twarz na piersiach ciotki.

- Drogi Henryku - rzekł Dunwoodie - jest to sprawa, której lepiej nie poruszać teraz.

- Zapominasz - rzekł więzień z bladym uśmiechem - jak dużo mam do zrobienia i jak mało czasu mi zostaje.

- Obawiam się - rzekł major z twarzą w ogniu - iż panna Wharton powzięła o mnie pewne przekonanie, które spełnienie twego życzenia uczyniłoby jej zbyt trudnym - przekonanie, które zmienić jest już teraz za późno.

- Nie, nie, nie - zawołała Fanny z żywością - mylisz się, Peytonie, umierając rozwiała moje wątpliwości.

- Szlachetna Izabela - szepnął Dunwoodie. - Jednakże, Henryku, nie nalegaj teraz na siostrę; powiem więcej, nie nalegaj nawet na mnie.

- Mówię przez wzgląd na samego siebie - rzekł Henryk, łagodnie odciągając Fanny z objęć ciotki. - Czyż mogę zostawić w dzisiejszych czasach takie dwie urocze istoty bez męskiej opieki? Dom ich spalony, a nieszczęście wkrótce pozbawi ich jedyne go przyjaciela; - tu spojrzął na ojca - czy mogę umrzeć spokojnie z myślą o niebezpieczeństwach, na jakie mogą być narażone?

- Zapominasz o mnie - rzekła panna Peyton, wzdrygając się w duszy na myśl o zaślubinach w takiej chwili.

- Nie, droga ciotko, nie zapominam o tobie, i nie zapomnę, dopóki tylko nie przestanę pamiętać, ale ty sama zapominasz o czasach i niebezpieczeństwach. Ta zacna kobieta, w której domu mieszkamy, wyprawiła już posłańca po sługę Bożego, by mi na tamten świat ułatwił przejście. Fanny, jeżeli chcesz, abym umarł spokojnie, żebym mógł wszystkie swoje myśli zwrócić ku niebu, zgodzisz się na to, aby ten duchowny połączył cię z Dunwoodie'm.

Fanny wstrząsnęła głową, ale milczała.

- Nie żądam żadnych objawów szczęścia, którego nie będziesz mogła przez całe długie jeszcze miesiące odczuwać, ale chcę, abyś miała prawo do jego nazwiska, aby miał niezaprzeczony tytuł do opieki nad tobą.

Fanny znowu przecząco wstrząsnęła głową.

- Przez wzgląd na tę nieświadomą biedaczkę - tu wskazał na Sarę - przez wzgląd na ciebie samą - na mnie - zaklinam cię, siostrzo moja.

- Przestań, Henryku, bo mi serce pęknie - zawołała wzruszona dziewczę - za nic na świecie nie wzięłabym ślubu w takiej chwili: unieszczęśliwiłoby mnie to na całe życie.

- Nie kochasz go! - rzekł Henryk z wyrzutem. - Przestaję więc męczyć cię naleganiami, przeciwnymi twoim skłonnościom.

Fanny jedną ręką przysłoniła twarz, a drugą wyciągając ku Dunwoodie'mu, rzekła poważnie:

- Teraz jesteś niesprawiedliwy dla mnie; przedtem byłeś niesprawiedliwy dla siebie.

- Przyrzeknij mi zatem - rzekł Henryk, pomyślawszy chwilę w milczeniu, - że skoro tylko czas złagodzi wspomnienie mojej doli, oddasz rękę memu przyjacielowi, a poprzestanę na tym.

- Przyrzekam - rzekła Fanny, cofając rękę, którą Dunwoodie delikatnie puścił, nie

podniósłszy jej do ust nawet.

- A teraz, droga ciociu, - ciągnął dalej Henryk - zostawcie mnie na jakiś czas samego z Dunwoodie'm. Mam mu parę smutnych zleceń do zakomunikowania i chcę oszczędzić tobie i siostrze mojej bólu ich słyszenia.

- Jest jeszcze czas odwołać się do Washingtona - rzekła panna Peyton idąc ku drzwiom, po czym z nadzwyczajną godnością mówiła dalej:

- Udam się do niego sama; wysłucha chyba rodaczki z jego strony; jesteśmy nawet do pewnego stopnia spowinowaceni z jego rodziną.

- A gdyby zwrócić się do pana Harpera? - rzekła Fanny, po raz pierwszy przypominając sobie jego słowa, wypowiedziane na odjeździe.

- Do Harpera! - powtórzył Dunwoodie, błyskawicznie zwracając się ku niej. - Skąd ta myśl? Czy go znasz?

- To na próżno - rzekł Henryk, odciągając go na bok. - Fanny jako przywiązana siostra czepia się każdej nadziei. Odejdź, kochanie, zostaw mnie z nim sam na sam.

Ale Fanny dostrzegła w oczach Dunwoodie'go wyraz, który ją przykuł do miejsca. Przewyciężywszy wzruszenie, rzekła:

- Był u nas dwa dni; był u nas, kiedy zaaresztowano Henryka.

- I... i... znaliście go?

- Nie - mówiła dalej Fanny, widząc nagłe ożywienie narzeczonego - nie znaliśmy go; przybył do nas wieczorem jako nieznajomy i pozostał przez dwa dni podczas burzy, ale okazywał wiele życzliwości Henrykowi, przyrzekł mu swoją przyjaźń.

- Jak to! - wykrzyknął młodzieniec ze zdumieniem - więc znał twego brata?

- Ależ tak. Na jego życzenie Henryk odrzucił przebranie.

- Ale - rzekł Dunwoodie, poblądłszy z silnego wzruszenia - czy wiedział, że Henryk jest oficerem armii angielskiej?

- Wiedział! - zawołała panna Peyton i nawet ostrzegł nas o tym niebezpieczeństwie.

Dunwoodie porwał fatalny papier leżący wciąż, tak jak wypadł z rąk jego, i z natężeniem wpatrywał się w podpis. Widoczne było, że dzieje się z nim coś niepojętego. Przeciągnął ręką po czole, a oni spoglądali na niego w straszliwym oczekiwaniu, lękając się dać znów dostępu nadziejom, które doznały tak bolesnego rozczarowania.

- Więc co mówił? Co obiecał? - zapytał wreszcie Dunwoodie z gorączkową niecierpliwością.

- Polecił Henrykowi, aby odwołał się do niego w niebezpieczeństwie; obiecał wywzajemnić się synowi za gościnność ojca.

- I powiedział to, wiedząc że Henryk jest oficerem angielskim?

- Niewątpliwie, i właśnie z myślą o tym niebezpieczeństwie.

- W takim razie - wykrzyknął młodzieniec, puszczając wodze radosnemu uniesieniu -

jesteście ocaleni; w takim razie uratuję go, bo Harper nigdy nie zapomina danego słowa.

- Ale czyż to będzie w jego mocy? - rzekła Fanny. - Czy on może zmienić niezłomne postanowienie Washingtona?

- Czy on może? Jeżeli on nie może - wykrzyknął Dunwoodie - to któż będzie mógł? Greene, Heath i młody Hamilton są niczym w porównaniu z tym Harperem! Ale - tu porwał ręce Fanny i ścisnął je konwulsyjnie - ale powtórz mi... powiadasz, że macie jego obietnicę?

- Ależ tak, Peytonie, uroczystą, daną ze świadomością wszystkich okoliczności obietnicę.

Więc bądź spokojna - zawołał Dunwoodie, przyciskając ją na chwilę do piersi - bądź spokojna, bo Henryk jest ocalony.

I nic więcej nie rzekłszy, wybiegł z pokoju, pozostawiając całą rodzinę w osłupieniu. Dopiero tętent jego konia, z szybkością strzały wypadającego na drogę, wyrwał ich z tego stanu.

Zaczęli teraz rozważać i zastanawiać się nad przyczynami tego nagłego odjazdu i nad prawdopodobieństwem powodzenia jego usiłowań. Jego otucha udzieliła się i im po części. Każde z nich czuło, że położenie Henryka poprawiło się; on sam najmniej pokładał w to wiary, i to tylko wiedział, że ten stan zawieszenia gorszym był od samej pewności nieszczęścia. Fanny natomiast była jak odrodzona. Nie zaprzętała sobie głowy wątpliwościami, jakich nie mogła rozwiązać, a ufając, iż narzeczony jej potrafi dokonać wszystkiego, co tylko leży w ludzkiej mocy, i pomnąc na dobroć Harpera, oddała się niepodzielnie szczęściu zbudzonej na nowo nadziei.

Panna Peyton wstrzemięźliwszą była w okazywaniu swej radości i kilkakrotnie strofowała siostrzenicę za ten nadmiar pustoty, skoro nie było jeszcze pewności, że oczekiwania ich zostaną urzeczywistnione. Ale uśmiech, błąkający się na ustach starej panny, zadawał kłam temu rozsądnemu umiarkowaniu.

- Ależ, cioteczko najdroższa - rzekła Fanny żartobliwie - dlaczego chcesz powściągać moją radość z uwolnienia Henryka, skoro ty sama tylokrotnie twierdziłaś, iż niepodobieństwem jest, aby tacy ludzie, jacy stoją na czele naszego kraju, mogli skazać niewinnego człowieka.

- I twierdzą to i teraz, moje dziecko, ale trzeba umieć panować zarówno nad swoim szczęściem jak i nad żalnością.

Fanny przypomniała sobie słowa umierającej Izabeli i spoglądając ze łzami wdzięczności na zacną ciotkę, rzekła:

- Prawda, ciociu, ale są uczucia, których opanować niepodobna. Ach! To są te potwory, które przybyły tu patrzeć na śmierć bliźniego. Kręcą się po tym polu, jak gdyby życie było dla nich jakimś wojskowym widowiskiem.

- Bo też i jest czymś niewiele więcej dla najemnego żołnierza - rzekł Henryk, usiłując zapomnieć o dręczącej go niepewności.

- Patrzysz tak, kochanie, jakby cię istotnie ten widok zajmował - zauważyła panna Peyton,

spostregłszy, że siostrzenica jej wygląda przez okno z natężeniem. Ale Fanny nic nie odrzekła.

Z okna, przy którym stała, widać było ów górski przesmyk, którym przejechali, a góra, mająca na szczycie ów tajemniczy szaleń, znajdowała się naprzeciw. Jej chropowate, skaliste ściany przeświecały poprzez rozrzucone tu i ówdzie i ogołocone z liści dęby. Góra ta wznosiła się w odległości mniej więcej pół mili od domu, a przedmiotem, który zwrócił uwagę Fanny, była postać ludzka, wychylająca się z poza szczególnego kształtu skały i zaraz potem znikająca. Powtórzyło się to kilkakrotnie, jak gdyby ów zbieg (bo na takiego wyglądał) chciał zdać sobie sprawę z tego, co się działo na równinie. Pomimo znacznej odległości Fanny natychmiast powzięła przekonanie, że to był Birch. Może wrażenie to wywołane było w części jakimś niepojętym podobieństwem sylwety, ale przeważnie zrodziło je przypuszczenie, powzięte już poprzednio, skoro tylko Fanny spostrzegła ową postać na szczycie góry. Był to ten sam człowiek, tego była pewną, aczkolwiek obecnie nie miał na plecach toboła. W wyobraźni Fanny, Harvey tak zespolił się z tajemniczą osobą Harpera, że w każdym razie, nawet w mniej wstrząsających warunkach niż te, jakie nią miotają od chwili przyjazdu, byłaby zachowała te spostrzeżenia dla siebie. Siedziała więc w milczeniu rozmyślając nad tym ponownym ukazaniem się domniemanego Harveya i usiłując odgadnąć, jaki możliwy związek ten osobliwszy człowiek mógł mieć z losami jej rodziny. Wszakże do pewnego stopnia uratował Sarę od grożącego jej ciosu i w żadnym wypadku nie zdradzał srogiego im wszystkim usposobienia.

Popatrzawszy jeszcze czas jakiś w to miejsce, gdzie pojawiała się owa postać, i widząc, że nie ukazuje się już, odwróciła się do siedzących w izbie członków rodziny Panna Peyton siedziała obok Sary, dającej pewne znaki zainteresowania się tym, co ją otaczało, ale wciąż w jakiś mętny, oderwany sposób.

- Myślę, kochanie, że już napatrzyłaś się dowoli na manewry pułkowe - rzekła panna Peyton.

- W każdym razie przydać ci się to może, jako żonie żołnierza.

- Nie jestem jeszcze żoną - odparła Fanny, czerwieniąc się po białka oczu - i doprawdy nie mamy tak bardzo powodu życzyć sobie drugiego ślubu w rodzinie.

- Fanny! - wykrzyknął brat jej, zrywając się z miejsca i chodząc po izbie w nagłym wzburzeniu - proszę cię, nie dotykaj tej struny. Dopóki jestem w takiej niepewności, chciałbym być w zgodzie ze wszystkimi ludźmi.

- Więc niech się skończy ta niepewność - zawołała Fanny, zrywając się z miejsca - bo oto wraca Peyton z radosną wieścią o twym uwolnieniu.

Zaledwie słów tych dokończyła, drzwi otwarły się i wszedł major. Oblicze jego nie mówiło ani o powodzeniu, ani o porażce, malowało się w nim tylko wielkie rozdrażnienie. Wziął rękę, którą Fanny w porywie serca wyciągnęła ku niemu, lecz puścił ją wnet i padł na krzesło z widocznym zmęczeniem.

- Nie udało ci się! - rzekł Henryk z pozornym spokojem choć serce rzucało mu się w

piersiach.

- Widziałeś Harpera? - spytała Fanny, blednąc.

- Nie, nie widziałem. Przejechałem łódką na drugą stronę rzeki, on zaś musiał przeprowić się inną na ten brzeg. Wróciłem niezwłocznie i pojechałem za nim kilka mil w góry na zachód, lecz tu w niepojęty sposób straciłem ślad jego. Wróciłem więc, aby was uspokoić, lecz zobaczę go jeszcze tej nocy i przywiozę ułaskawienie Henryka.

- A widziałeś Washingtona? - zapytała panna Peyton.

Dunwoodie popatrzył na nią przez chwilę, jakby zaskoczony tym pytaniem, po czym odrzekł z pewną powściągliwością:

- Naczelnny wódz opuścił swoją kwaterę.

- Ależ, Peytonie - zawołała Fanny z ogarniającą ją znów trwogą - jeżeli się nie zobaczą, to może być za późno. Sam Harper nie wystarczy.

Dunwoodie obrócił z wolna na nią oczy, wciąż pochłonięty jakąś myślą ukrytą, i rzekł:

- Powiadasz, że obiecał pomóc Henrykowi?

- Z wszelką pewnością; z własnej woli, jako wywzajemnienie się za gościnność.

Dunwoodie wstrząsnął głową i spowaźniał.

- Nie podoba mi się ten wyraz „gościnność”. To dźwięk pusty. Harper nie byłby się powodował takim jedynie błahym względem. Obawiam się jakiejś pomyłki. Powtórz mi dokładnie, jak się to wszystko odbyło.

Pośpiesznie a z przejęciem spełniła Fanny jego żądanie. Opowiedziała szczegółowo przyjazd jego do Akacji, przyjęcie jakiego doznał i wszystkie wypadki, jakie zaszły podczas jego pobytu. Gdy wspomniała o rozmowie pomiędzy nim a ojcem, major uśmiechnął się, ale milczał. Następnie zdała dokładne sprawozdanie o przybyciu Henryka, o tym co nastąpiło nazajutrz. Ze szczególnym naciskiem powtórzyła, co powiedział Harper, gdy zażądał, aby Henryk zrzucił przebranie, i jakie uwagi czynił o niebezpieczeństwie kroku, na jaki się brat jej ważył. Przypomniała sobie nawet jego szczególne wyrażenie się, że „Henryk bezpieczniejszy jest na skutek tego, że on wie o nim, niż bez tego”. Nadmieniła również z młodzieńczym zachwytem o dobrotliwym zachowaniu się Harpera względem niej i drobniawo opowiedziała pożegnanie się jego z całą rodziną.

Dunwoodie słuchał z początku z poważnym skupieniem, a w miarę jak mówiła, twarz jego rozjaśniała się coraz bardziej. Gdy wspomniała o swoim zachowaniu się względem gościa, uśmiechnął się z zadowoleniem, a gdy skończyła, wykrzyknął radośnie:

- Jesteśmy ocaleni! Jesteśmy ocaleni!

Ale w tej chwili przerwano mu, jak się to w następującym rozdziale okaże.

ROZDZIAŁ XXVIII.

„Sowa lubi ciemności nocne, skowronek wita dzień, trwoźna gołąbka grucha pod ręką, lecz sępy wlatują w przestworza.”

Duo.

W kraju tak urządzonym jak Stany amerykańskie, których mieszkańcy porzucili ojczyznę i ukochane domowe ogniska, jako ofiary przekonań i religijnego zapału, wszystkie obrządki towarzyszące śmierci chrześcijanina bywają przestrzegane, o ile tylko okoliczności pozwalają na to. Właścicielka domu, w którym przebywał więzień i jego rodzina, była gorliwą zwolenniczką wszystkich form kościoła, do którego należała, a wysłuchując w należytym skupieniu i ze skruchą kazań duchownego sąsiedniej parafii, święcie wierzyła” że tylko jego nauki i modły dopomogą Henrykowi Whartonowi do zbawienia. Skoro więc tylko dowiedziała się o wydanym na niego wyroku śmierci, wyprawiła Cezara na najlepszym koniu swego męża, aby sprowadził tego nieodzownego przewodnika na drogę wieczności. Uczyniła to nie porozumiewszy się ani z Henrykiem, ani z jego rodziną, i dopiero gdy wezwano Cezara do jakiejś domowej posługi, wyjaśniła przyczynę jego nieobecności. Młodzieniec przyjął zrazu tę wiadomość z pewną niechęcią; byłby sobie bowiem życzył innego duchownego doradcę, ale w miarę jak życie zaczyna tracić znaczenie, błędą i nasze uprzedzenia i przyzwyczajenia; skończyło się więc na grzecznej podziękę pocziwej kobiecie za jej dobre: chęci.

Murzyn powrócił wcześniej i o ile można było wymiarkować z jego dość chaotycznego opowiadania, sługa Boży miał przybyć w ciągu dnia. Przerwę, o której wspomnieliśmy na końcu poprzedniego rozdziału, spowodowało wejście gospodyni. Za wstawiennictwem Dunwoodie’go rozkazano straży, pilnującej drzwi pokoju Henryka, by rodzina więźnia każdej chwili miała do niego wolny przystęp, nie wyłączając Cezara, jako mogącego być potrzebnym do jakiegoś

zlecenia; skoro jednak chodziło o inne osoby, podlegały one ścisłemu badaniu i rewizji. Major Dunwoodie podał się również za członka rodziny i w imieniu wszystkich zaręczył, że żadne próby ucieczki nie będą przedsięwzięte. Teraz tedy dała się słyszeć krótka rozmowa pomiędzy gospodynią a dyżurnym kapralem przed drzwiami, które stojący na straży żołnierz otworzył już w oczekiwaniu postanowienia swego komendanta.

- Jak to? odmawiałbyś pan pociechy religijnej bliźniemu w przeddzień śmierci? - mówiła gospodyni żarliwie. - Chciałbyś pogрузić chrześcijańską duszę w ogień piekielny, kiedy tu właśnie stoi sługa Boży, mogący ją przeprowadzić wąską a prostą ścieżką?

- Posłuchaj no, dobra kobieto - rzekł kapral, odsuwając ją łagodnie. - Ja tam wcale nie mam ochoty, żeby mój grzbiet stał się gościńcem, prowadzącym do nieba. Ładnie bym wyglądał stojąc na pikiecie, gdybym nie słuchał rozkazów. Udajcie się do porucznika Masona, a jeżeli on pozwoli, to niech sobie cała kongregacja tu wchodzi. Zluzowaliśmy dopiero przed godziną piechotę, i nie życzę sobie, żeby mówiono, że my znamy się mniej na obowiązkach niż milicja.

- Wpuścić tę kobietę - rzekł Dunwoodie surowo, teraz dopiero spostrzegłszy, że jeden z jego ludzi był na posterunku.

Kapral podniósł rękę do czapki i cofnął się w milczeniu; żołnierz stanął w pozycji i gospodyni weszła.

- Proszę państwa, przybył wielbny sługa Boży, aby pocieszyć żegnającą się ze światem duszę, w zastępstwie naszego duchownego, który ma inne bardzo ważne zajęcie; właśnie wypadł mu pogrzeb starego pana...

- Niech wejdzie - przerwał Henryk z gorączkową niecierpliwością.

- Ale czy go straż przepuści? Nie chciałabym, żeby przyjaciel naszego duchownego, przez niego tu przysłany, doznał jakiej przykrości. W dodatku człowiek obcy...

Wszystkie oczy zwróciły się teraz na Dunwoodie'go, który spojrzawszy na zegarek, zamienił kilka słów po cichu z Henrykiem i wyszedł z pokoju, a za nim Fanny. Przedmiotem cichej rozmowy obu młodych ludzi była prośba Henryka o duchownego jego własnego wyznania i obietnica majora, że mu przyśle takowego z miasteczka Fishkill, przez które miał przejeżdżać, udając się do przewozu, aby tam czekać spodziewanego powrotu Harpera. Wkrótce potem zjawił się Mason, a na skutek udzielonego przez niego pozwolenia wprowadzono duchownego, którego poprzedzał Cezar, a za którym postępowała gospodyni.

Duchowny ów był człowiekiem już niemłodym, więcej niż lat średnich i dosyć wysokiego wzrostu, a niezmierna chudość czyniła go jeszcze wyższym. Rysy miał ostre i surowe, brwi ciemne, obwisłe i ściągnięte jakby nienawiścią występków ludzkości. Olbrzymie zielone okulary zasłaniały mu oczy, patrzące przez szkła ze złością, zapowiadającą bliski dzień straszliwego sądu. Cała jego postać tchnęła fanatyzmem i bezwzględnością. Długie szpakowate włosy opadały mu po obu bokach twarzy, przesłaniając ją poniekąd; na głowie miał duży trójgraniasty kapelusz,

głęboko na czoło wciśnięty. Odzież miał czarną, podniszczoną, obuwie zakurzone z dużymi posrebrzanymi klamrami.

Wszedł dumnym krokiem do pokoju, sztywno skłonił się obecnym, usiadł na podanym mu krześle w uroczystym milczeniu. Przez kilka minut nikt tego milczenia nie przerwał. Henryk powziął nieprzeparty wstręt do tego gościa, a przybysz wydawał głuche jęki i westchnienia, jak gdyby jego eteryczna dusza miała lada chwila rozstać się ze swą niepowabną powłoką. Podczas tych złowrogich przygotowań pan Wharton wyprowadził Sarę z uczuciem zbliżonym do tego, jakiego doznawał syn jego. Duchowny zauważył to z rodzajem pogardliwego lekceważenia i zaczął nucić popularny psalm, nadając mu owo nosowe brzmienie, charakteryzujące wschodnie* kościelne pienia.

- Cezarze - rzekła panna Peyton - podaj panu coś pokrzepiającego. Musi być zmęczony po drodze.

- Moja siła nie leży w rzeczach tego świata - rzekł, duchowny głuchym, grobowym głosem. - Trzykrotnie wzywano mnie dziś na służbę Pana mego i nie zemdlałem; jednakże rozsądną jest rzeczą dopomóc tej kruchej ziemskiej powłoce, gdyż powiedziane jest, że „robotnik wart jest zapłaty”.

Powiedziawszy to, otworzył szerokie jak wrota usta i połknął sporą ilość podanego mu koniaku z tą łatwością, z jaką człowiek skłonny jest do grzechu.

- Lękam się zatem - rzekła panna Peyton - że zmęczenie nie pozwoli panu spełnić obowiązków, których się uprzejmie podjąłeś.

- Niewiasto! - wykrzyknął nieznajomy z energią - kiedyż słyszano, abym cofnął się przed spełnieniem powinności mojej! Ale „nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni”, a ty niewiasto, nie wyobrażaj sobie, że śmiertelne oczy przeniknąć mogą zamiary Bóstwa.

- Nie - odrzekła łagodnie panna Peyton, aczkolwiek całe zachowanie się nowoprzybyłego odpychające wywarło na niej wrażenie. - Nie sądzę nigdy czynów i zamiarów moich bliźnich, a tym mniej Wszchemogącego Stwórcy.

- To dobrze, niewiasto, to dobrze - zawołał duchowny, pogardliwie kiwając głową. - Pokora przystoi płci twojej i potępionemu stanowi, słabość bowiem zawiodła cię na bezdroża jak gdyby, „w samo jądro zatracenia”.

Zdumiona tą szczególną mową, lecz ulegając przyzwyczajeniu, które skłania nas do mówienia ze czcią rzeczach uświęconych, wtedy nawet kiedy może byłoby lepiej, żebyśmy milczeli, panna Peyton odpowiedziała łagodnie:

- Jest Potęga nad nami, która nam dopomoże wszystkim i utrzyma na dobrej drodze, jeżeli szczerze i z pokorą odwołamy się do Niej.

Nieznajomy popatrzył na mówiącą chmurnie, po czym przybrawszy skruszoną postawę, mówił dalej tym samym, odstręczającym tonem:

- Nie każdy, kto wzywa miłosierdzia, wysłuchanym będzie. Drogi Opatrzności zakryte są dla oczu ludzkich. „Wielu jest powołanych, ale mało wybranych”. Łatwiej mówić o pokorze niż ją czuć! Jesteś tak pokornym, nędzny robaku, żeby chcieć uczyć Boga własnym potępieniem? Jeżeli nie, precz z tobą, celniku i faryzeuszu!

Taki ślepy i zacięty fanatyzm był czymś niezwykłym w Ameryce; panna Peyton zaczęła podejrzewać, że gość jej ma niedobrze w głowie, lecz przypomniawszy sobie, że przysłał go dobrze znany i ceniony duchowny, odrzuciła tę myśl i rzekła pobłaźliwie:

- Może się mylę mniemając, że miłosierdzie dostępne jest dla wszystkich, ale jest to myśl tak pocieszająca, że niechętnie bym się z nią rozstała.

- Miłosierdzie jest tylko dla wybranych - wykrzyknął duchowny z niepojętą zapalczywością - a ty znajdujesz się na „dolinie cieniów śmierci”! Alboż nie jesteś wyznawczynią czczych obrządków, przynależnych temu próżnością tchnącemu kościołowi, który tyrani nasi pragnęliby tu zaprowadzić wraz ze stemplowymi aktami i prawem o herbacie? Odpowiedz mi na to, niewiasto, i pamiętaj, że Niebo słyszy twoją odpowiedź: Czy nie należysz do tego bałwochwalczego zgromadzenia?

- Modłę się u ołtarzy moich ojców - rzekła panna Peyton, dając znak Henrykowi, aby milczał - ale...

- Tak, tak, mam cię, zrozumiała papistko, hołdowniczko form i słuchaczko kazań książkowych; czy ty sobie wyobrażasz, niewiasto, że święty Paweł trzyma w ręku zapiski, aby głosić słowo Boże wierzącym?

- Obecność moja wyprowadza pana z równowagi - rzekła panna Peyton wstając - zostawię więc pana z moim siostrzeńcem i osobno wzniosę te modły do Pana, które chciałam połączyć z waszymi.

To powiedziawszy wyszła, a za nią gospodyni, zdziwiona, poniekąd zgorszona niepohamowaną gorliwością przybysza; bo aczkolwiek pocziwa kobiecina wierzyła święcie, że panna Peyton i cały jej kościół znajdują się na drodze do zagłady, nie była jednak przyzwyczajoną słyszeć tak bezwzględnych i potępiających przepowiedni ich losów.

Henryk z trudem hamował oburzenie na tę niczym nie wywołaną napaść na jego łagodną i pojednawczą ciotkę, ale skoro drzwi zamknęły się za nią puścił mu wodze.

- Wyznać muszę, panie! - zawołał z gniewem - że przyjmując służbę Bożego, sądziłem, że przyjmuję chrześcijanina i to takiego, który czując własne słabości, umie litować się nad ułomnościami drugich. Zraniłeś pan tkliwą duszę najzaciejszej w świecie kobiety, a ja nie mam bynajmniej ochoty modlić się pospołu z takim niewyrozumiałym człowiekiem.

Duchowny stał wyprostowany z powagą, śledząc oczyma z rodzajem pogardliwej litości za odchodzącymi kobietami, i pozwolił Henrykowi dać ujście rozgoryczeniu, jak gdyby wybuch ten niegodny był jego uwagi. Tymczasem dał się słyszeć jakiś trzeci głos mówiący:

- Dawka była dosyć silna, ale odpowiedziała celowi.

- Kto to mówi? - zawołał więzień, zdumiony rozglądając się dokoła.

- To ja, kapitanie Whartonie - rzekł Harvey Birch, zdejmując okulary i odsłaniając swe przenikliwe oczy, błyszczące pod fałszywymi brwiami.

- Wielkie nieba - Harvey!

- Milcz pan - rzekł kramarz uroczyście. - Imienia tego wymawiać nie należy, a zwłaszcza tu, w samym sercu armii amerykańskiej.

Birch umilkł i rozejrzał się dokoła ze wzruszeniem, dalekim od niskiej trwogi, i ciągnął dalej ponuro:

- Tysiąc stryczków mieści w sobie to imię, i nie pozostałaby mi już nadzieja ucieczki, gdyby mnie znowu ujęto. Ważę się na krok straszliwie niebezpieczny; ale nie mógłbym spać spokojnie wiedząc, że niewinny człowiek zginie jak pies, skoro go mogę uratować.

- Nie - rzekł Henryk z ogniem szlachetnego zapału - jeżeli tak bardzo się narażasz, odejdz jak przyszedłeś i zostaw mnie memu losowi. Dunwoodie przedsięwziął teraz ważne kroki na moją korzyść i jeżeli uda mu się zobaczyć z panem Harperem w ciągu; nocy, moje uwolnienie jest rzeczą pewną.

- Z Harperem! - powtórzył kramarz, a ręce, którymi nakładał ponownie okulary, zawisły mu w powietrzu. - Co pan wiesz o Harperze, i skąd ta pewność, że wyświadczy ci przysługę?

- Mam jego obietnicę. Pamiętasz to nasze spotkanie się w domu mego ojca? Dobrowolnie przyrzekł mi wtedy swoją pomoc.

- Tak, ale co pan wiesz o nim? To jest, dlaczego sądzisz, że będzie to w jego mocy, i skąd przypuszczenie, że będzie o tej obietnicy pamiętał?

- Stąd, że nie spotkałem człowieka, na którego twarzy malowałoby się tyle dobroci i szlachetności - rzekł Henryk. - Zresztą Dunwoodie ma potężnych przyjaciół w buntowniczej armii; lepiej będzie, jeżeli zaufam jemu i Harperowi, niż żebym miał cię narażać na pewną śmierć w razie schwytania.

- Kapitanie Whartonie - rzekł Birch, rozglądając się ostrożnie dokoła i mówiąc z przejmującą powagą - jeżeli ja cię zawiodę, wszystko cię zawiedzie. Ani Harper, ani Dunwoodie nie mogą ocalić ci życia, jeżeli nie wyjdiesz stąd ze mną i to natychmiast. Skonasz jutro na szubienicy jak złoczyńca. Tak, takie są prawa. Ten który walczy, zabija, grabi, jest czczony, ale ten, który służy krajowi jako szpieg, choćby jak najwierniej, choćby najuczciwiej, żyje w pogardzie i umiera jak najnikczemniejszy zbrodniarz.

- Zapominasz, panie Birch - rzekł młodzieniec z niejakim oburzeniem - że ja nie jestem podłym, chytrym szpiegiem, który oszukuje, aby zdradzić, lecz zgoła niewinnym zbrodni, jaką mi zarzucają.

Krew buchnęła do bladej twarzy kramarza, aż twarz ta stanęła cała w ogniu, ale trwało to

jedną chwilę, on zaś rzekł:

- Powiedziałem panu prawdę. Cezar spotkał mnie, jadąc dziś rano po księdza; z nim ułożyłem plan, który - wykonany po mojej myśli - uratuje cię, inaczej, powtarzam, jesteś zgubiony, i żadna moc ludzka, nawet sam Washington ocalić cię nie zdoła.

- Ustępuję - rzekł więzień, w którym na nowo zaczęła się budzić obawa. Kramarz dał mu znak, żeby milczał i podszedłszy do drzwi otworzył je z tą samą sztywną, urzędową postawą z jaką wszedł do izby.

- Przyjacielu - rzekł do stojącego na straży żołnierza - niech tu nikt nie wchodzi. Będziemy się modlili i chcemy być sami.

- A kto by wam tam chciał przeszkadzać! - odparł żołnierz, z łobuzerskim mrugnięciem oka.
- Ale gdyby komu z rodziny przyszła ta chęć, to ja ich zatrzymać nie mogę; takie mam rozkazy i muszę ich pilnować, czy Anglik pójdzie przez to do nieba, czy nie.

- Zuchwały grzeszniku - rzekł rzekomy duchowny - czyż tak dalece nie lękasz się Boga? Mówię ci, jeżeli nie chcesz ściągnąć na siebie kary w dniu sądu ostatecznego, abyś nie wpuszczał tu nikogo z tych bałwochwalców, gdyby chcieli przeszkodzić modłom sprawiedliwych.

- Fiu! fiu! fiu! jaki z jegomości kaznodzieja! Zapędziłbyś sierżanta Hollistera w kozi róg. Ale radzę ci, nie krzycz tak, bo który z naszych chłopców gotów się zakrztusić grogiem, myśląc, że to trąby grają larum. Jeżeli chcecie być sami, to nie masz to noża, żeby wetknąć go w klamkę zamiast zatyczki? Zaraz ci cały oddział dragonów trzeba sprowadzić, żeby ci drzwi pilnował!

Kramarz skorzystał ze wskazówki i natychmiast zamknął drzwi tak, jak mu radził dragon.

- Przesadzasz swą rolę - rzekł młody Wharton, dręczony obawą odkrycia - twoja gorliwość jest zbyt niepomamowana.

- Mogłoby to być dla piechura i tych ze wschodniej milicji - rzekł Harvey wytrząsając worek, który mu podał Cezar - ale dragoni to ludzie, z którymi tylko w ten sposób postępować trzeba. Bojaźliwością nic by się tu nie wskórało. Ale oto czarna osłona na pańską twarz piękną - mówił dalej, biorąc pergaminową maskę i wkładając ją Henrykowi. Pan i sługa muszą czasowo zamienić się na role.

- Ja wcale tak nie wyglądać - rzekł Cezar, spoglądając z niesmakiem na metamorfozę swego młodego pana.

- Poczekaj chwilę, Cezarze - rzekł kramarz, z cechującą go czasem utajoną filuternością - niech tylko włożymy perukę.

- Teraz jeszcze gorzej - zawołał niezadowolony murzyn. - Kolorowy człowiek nie być owca. I ja nigdy nie mieć takie usta, Harveyu, to cała kiełbasa.

Przygotowanie poszczególnych części przebrania kapitana Whartona kosztowało wiele zachodu, teraz zaś umiejętnie zastosowane zręcznymi rękoma kramarza, złożyło się ono na całość, mogącą omylić każde przeciętne oko.

Maska była doskonałym naśladownictwem afrykańskiego oblicza, a peruka z kędzierzawej czarno-białej wełny w niczym prawie nie różniła się od uwłosienia głowy Cezara, co nawet on sam zmuszony był przyznać.

- Jest tylko jeden człowiek w armii amerykańskiej, którego by to nie wyprowadziło w pole - rzekł kramarz, przyglądając się z zadowoleniem swojemu dziełu - ale na szczęście niema go teraz tutaj.

- Któż to taki?

- Ten, kto pana pojmał. On by dojrzał pańską białą skórę poprzez grubość muru. Ale teraz trzeba jeszcze prędko przebrać się wam obu od stóp do głów.

Cezar, któremu kramarz wszystko jak najdokładniej z rana rozpowiedział, natychmiast zaczął zdejmować z siebie swą grubą odzież, którą młody Wharton wdział na siebie nie bez pewnej odrazy.

Kramarz zachowywał się w tym wszystkim z osobliwą mieszaniną troski i dobrego humoru; pierwsza wyływała z doskonałej świadomości niebezpieczeństwa, w jakim się znajdowali, i sposobów, jakich należało się chwycić, aby go uniknąć, a w dobry humor wprawiała go niezaprzeczoną śmieszność położenia, którą oswojenie się z podobnymi scenami pozwalało mu w pełni ocenić.

- No, kapitanie - mówił, biorąc trochę waty i zaczynając wypychać nią pończochy Cezara, które więzień miał już na nogach - trzeba nam się trochę zająć twymi kończynami. Będziesz zmuszony pokazać je na koniu, a południowi dragoni są tak przyzwyczajeni do pokracznych łydek, że gdyby tylko zauważyli twoje kształtne nogi poznaliby zaraz, że nie mogą należeć do murzyna.

- Ojej! - rzekł Cezar, otwierając usta od ucha do ucha z wielką uciechą - portki massy Harry leżeć na mnie jak potrzeba.

- Tylko ty się w nich sprawiaj jak potrzeba - rzekł kramarz, wciąż krzątając się koło przebrania Henryka. - A teraz włóż pan na to wszystko ten surdut. Słowo daję, że wyglądałbyś pan doskonale na pierwszorzędnej maskaradzie. A teraz ty, Cezarze, włóż tę upudrowaną perukę na swoją czuprynę; a pamiętaj skoro się drzwi otworzą, wyglądaj przez okno i nie odzywaj się pod żadnym pozorem, bo byś wszystko zdradził.

- Harvey to myśleć, że kolorowy człowiek nie mieć język jak inni ludzie - zamruczał murzyn, siadając jak mu wskazano.

Wszystko już było gotowe i Harvey z wszelką przytomnością umysłu udzielił ostatecznych wskazówek obu aktorom w tym tak bardzo niebezpiecznym dramacie życiowym, nie zapominając o najdrobniejszych szczegółach. Kapitanowi zalecił, żeby swe sprężyste wojskowe ruchy zmienił na pokorny chód murzyna, a Cezarowi przykazał, by możliwie najdłużej milczał i wytrwał w przybranej roli. Następnie otworzył drzwi i zawołał głośno na strażnika, który odszedł

w najdalszy kąt korytarza, by uniknąć duchowych napomnień żarliwego kapłana, które w jego mniemaniu należały się wyłącznie więźniowi.

- Niech tu przyjdzie gospodni - rzekł Harvey uroczystym głosem - i niech przyjdzie sama. Więzień jest w błogim stanie pobożnego rozmyślenia i nie trzeba mu przeszkadzać.

Cezar ukrył twarz w dłoniach, a gdy żołnierz zajrzał do pokoju, zobaczył tylko jego plecy i pochyloną na splecione ręce głowę. Spojrzał więc tylko pogardliwie na duchownego i przywołał gospodynię. Ta pośpieszyła skwapliwie z tajemną nadzieją, że uda jej się być obecną przedśmiertelnemu kajaniu się więźnia.

- Siostro! - rzekł duchowny nakazującym tonem - czy masz w domu „Ostatnie Chwile Chrześcijańskiego Skazańca” czyli „Myśli o Wieczności dla tych, którzy mają umrzeć śmiercią gwałtowną”?

- Nigdy nie słyszałam o takiej książce - odpowiedziała zdumiona niewiasta.

- Bardzo możliwe, jest wiele książek, o których nie słyszałaś. Ale więzień nie zazna potrzebnego spokoju ducha bez tego szacownego dzieła. Jedna godzina tego czytania więcej warta niż wszystkie kazania na świecie.

- Dobry Boże! Cóż to za skarb taka książka! Ale gdzie ją wydrukowali?

- Wydrukowali ją naprzód w Genewie po grecku, a potem przetłumaczono ją w Bostonie. Książka ta, niewiasto, powinna się znajdować w rękach wszystkich chrześcijan, zwłaszcza tych, którzy umierają na szubienicy. Każ natychmiast osiodłać konia dla tego murzyna. Pojedzie ze mną i jeszcze na czas przywiezie książkę. Bracie! Uspokój się, znajdujesz się teraz na wąskiej ścieżynie, ku wiekuistej chwale wiodącej.

Cezar poruszył się z lekka na krześle, ale miał dość przytomności umysłu, by kryć wciąż twarz w rękach, które z kolei były okryte rękawiczkami. Gospodyni odeszła, by spełnić to bardzo rozsądne zlecenie, a trzech spiskowcy zostali znowu sami.

- Dotąd idzie dobrze - rzekł kramarz. - Najtrudniejsza rzecz zmylić czujność służbowego oficera - to porucznik Lawtona, i nabrał pewnej bystrości w tych rzeczach od swego kapitana. Pamiętaj, kapitanie Whartonie - dodał z pewną dumą - że teraz wszystko zawisło od naszej zimnej krwi.

- Los mój mało co gorszym już być może, niż obecnie - rzekł Henryk - ale przez wzgląd na ciebie, poczciwy człowieku, zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy.

- A gdzież, kiedyż mogę być bardziej opuszczonym i prześladowanym niż teraz? - rzekł kramarz, z tą pewną niesamowitością, która czasem objawiała się w jego zachowaniu. - Ale przyrzekłem komuś, że pana ocale, a jeszcze nigdy nie złamałem słowa.

- Któż to jest? - zapytał Henryk z zajęciem.

- Nikt.

Wtem nadeszła gospodyni oznajmiając, że konie już gotowe. Harvey raz jeszcze spojrzął

znacząco na kapitana i poszedł przodem, zapowiedziawszy wprzód gospodyni, żeby zostawiła więźnia samego, aby mógł spokojnie przetrwać duchowy obrok, jakim go nakarmiono.

Wśród żołnierzy rozeszła się pogłoska o dziwnym postępowaniu rzekomego kapłana, tak że gdy Harvey i Wharton wyszli przed dom, zastali tam około tuzina dragonów, którzy zebrali się tu, aby się trochę poprzekomarzać z fanatykiem, a teraz stanęli przy koniach w udanych nad nimi zachwytach.

- Piękny wierzchowiec! - rzekł przywódca gromadki żartownisiów - trochę przychudy, ale zapewne spracował się w pańskiej służbie.

- Moja służba może być ciężką dla mnie i dla tego wiernego bydłęcia, ale dzień rozrachunku już bliski, a wtedy spotka mnie nagroda za wszystkie moje trudy - rzekł Birch, wkładając nogę w strzemię.

- To wielebna osoba pracuje dla zapłaty, jak my się dla niej bijemy - zawołał drugi.

- Właśnie: „alboż najemnik nie jest wart swojej zapłaty?”

- No, skoro tak, to niech nam wielebna osoba palnie kazanko na poczekaniu; mamy chwilę wolnego czasu, a kto wie, ile dobrego mogą bogobojne słowa wyświadczyć gromadzie takich nicponiów jak my. Dalej, włącz pan na ten pieniek i gadaj, co ci ślina do gęby przyniesie.

Wszyscy teraz zaczęli się cisnąć dokoła kramarza, ten zaś spojrzął znacząco na kapitana, któremu pozwolono wsiąść bez przeszkody, i odrzekł:

- Niewątpliwie, bo to jest mój obowiązek. Ale ty, Cezarze, jedź przodem i oddaj list; nieszczęsny więzień czeka na książkę, a godziny jego są policzone.

- To, to - jedź Cezarze i przywieź książkę - krzyknęło naraz kilkanaście głosów, a na wszystkich twarzach malowała się uciecha ze spodziewanej zabawy.

Kramarz lękał się, że się zaczną nadto tłoczywać, kapelusz i peruka mogą mu się przekrzywić lub zgoła spaść, a wtedy byłoby po wszystkim; uznał więc za właściwe nie sprzeciwiać się ich żądaniu. Wlazł tedy na pieniek, odchrząknął raz i drugi, spojrzął na Henryka, który nie ruszył się z miejsca, i zaczął jak następuje:

- Zwróć waszą uwagę, bracia moi, na ten ustęp Pisma świętego, który znajdziecie w drugiej księdze Samuelowej, a który napisany jest następującymi słowami: „I król płakał nad Abnerem i rzekł: Zali Abner umarł, jak umiera głupiec? Ręce twoje nie były związane i nóg twych nie włożono w kajdany, a jak człowiek pada przed złymi ludźmi, tak padłeś ty. I naród cały płakał znów nad nim”. Cezarze, jedź naprzód, powtarzam, i przywieź książkę, jak ci poleciłem; twój pan łaknie jej i wyczekuje z utęsknieniem.

- Doskonały początek - zawołał dragoni. - Dalej, dalej, wielebna osobo, a murzyn niech zostanie i słuca ku swemu zbudowaniu.

- Co wy tu robicie, hultaje? - zawołał porucznik Mason, wracając z przechadzki, którą odbył, by popatrzeć z drwinami na wieczorny capstryk pułku milicji - precz mi stąd do kwater, a niech

mi tylko który koń będzie nie obrządzony jak należy, gdy tam przyjdę!

Głos oficera podziałął piorunująco; słuchacze rzekomego kaznodziei rozpierzchli się w mgnieniu oka, z czego tenże skorzystał i dosiadł swego chudego wierzchowca, wciąż z tą samą uroczystą powagą, bo kilkanaście dragońskich koni, posiadanych i gotowych na przyjęcie jeźdźców, stało w pobliżu i groziło pogonią na każde skinienie.

- I cóż, okiełznałeś tam pan tego biedaka - rzekł Mason - żeby mógł odbyć swą ostatnią przejażdżkę w bogobojnym rymsztunku?

- Świętokradzkie są słowa twoje, bluźnierco! - zawołał duchowny, podnosząc ze zgrozą obie ręce do nieba - przeto odjadę od ciebie nietknięty, jak Daniel został wyswobodzony z jaskini lwów.

- A jedź na złamanie karku, psalmy zawodzący hipokryto - rzekł Mason pogardliwie. - Na życie Washingtona! Aż przykro patrzeć na takie żarłoczne szakale, włóczące się po kraju, za który on krew przelewa. Gdybym cię miał choć kwadrans na plantacji w Wirginii, nauczyłbym cię gryźć tytoń pospołu z indykami.

- Odjeżdżam, otrząsając proch z obuwia mego, by żaden pył z tego gniazda zepsucia nie splugawił szat sprawiedliwego.

- Jedź, powtarzam, bo ja cię przetrzepię porządnie. On tu będzie prawil kazania moim ludziom! Już i tak Hollister dość im naprzewracał w głowach swymi morałami; dojdzie do tego, że hultaje będą się oglądali, żeby komu przypadkiem nie zadrasnąć skóry. Ale stój! A ty po co tam jedziesz, czarny diable w tak świątobliwym towarzystwie?

- Jedzie - odpowiedział pośpiesznie rzekomy duchowny za rzekomego murzyna - aby wrócić z bogobojną i pocieszającą księgą dla tego grzesznego młodzieńca, którego dusza wybieleje wkrótce na słońcu skruchy. Chciał byś pan pozbawić umierającego człowieka pociechy religijnej?

- Nie, nie, biedaczysko; los jego jest dostatecznie opłakany. A takie wyborne śniadanie dała nam ta jego pocziwa ciotka! No, mniejsza z tym. Jedźcie sobie z Bogiem, ale pan, panie psalmisto, posłuchaj dobrej rady i nie szwendaj mi się tu więcej, bo ci to nie pójdzie na zdrowie.

- Psie głosy nie idą pod niebiosy - rzekł Birch, wyjeżdżając z wolna na drogę z zachowaniem swej całej kapłańskiej godności. - Zostawiam cię i tych, którzy cię potępia i odwrócą się od ciebie, jak na to zasługujesz.

- Niech go diabli porwą - mruknął kawalerzysta - a siedzi to na koniu jak pies na płocie. Ej! gdybym go tak spotkał gdzieś w innej okolicy, gdzie się tak ściśle nie przestrzega prawa... to...

- Kapralu dyżurny! kapralu dyżurny! - zawołał żołnierz, stojący na straży w korytarzu - kapralu dyżurny, kapralu dyżurny!

Mason wbiegł na wąskie schody, wiodące do pokoju więźnia, i zapytał, co znaczą te wrzaski. Żołnierz stał w otwartych drzwiach pokoju i przyglądał się podejrzliwie mniemanemu

angielskiemu oficerowi. Ujrawszy swego porucznika, cofnął się z uszanowaniem i powiedział zakłopotany:

- Nie wiem, panie poruczniku, ale więzień wydał mi się czegoś taki dziwny. Odkąd ten pała wyszedł, coś się w nim odmieniło, ale - tu spojrzął przez ramię oficera - przecież to musi być on. Ta sama pudrowana głowa, i cera w mundurze, tam gdzie był ranny w ostatniej potyczce z nieprzyjacielem.

- I to dlatego narobiłeś tyle hałasu, głupcze? A któżby to mógł być inny u diabła?

- Nie wiem, panie poruczniku - odpowiedział żołnierz posepnie - ale stał się jakiś niższy i tęszy, i - o niech pan porucznik spojrzysz, trzęsie się jak liść osiki.

Było to aż nadto prawdą. Cezar słuchał tej krótkiej rozmowy z panicznym strachem i choć uradowany z ucieczki młodego pana, zaczął mimo woli zastanawiać się nad jej możliwymi skutkami dla siebie samego. Chwila milczenia, jaka nastąpiła po tej ostatniej uwadze żołnierza, nie dodała mu bynajmniej otuchy. Porucznik Mason przyglądał się pilnie podejrzanemu osobie murzyna, i Cezar spostrzegł to, rzuciwszy ukradkiem spojrzenie przez szparkę pod ręką, jaką sobie umyślnie dla rekonesansu zostawił. Kapitan Lawton byłby w mgnieniu oka zobaczył podstęp, ale Mason nie był tak bystry jak jego komendant. Odwrócił się więc pogardliwie do żołnierza i zauważył półgłosem:

- Ten przekłety metodysta, anabaptysta, psalmista, czy ki diabeł przestraszył biednego chłopca swoją gadaniną o piekle i wiecznym ogniu. Wejść i pogawędzę z nim trochę po ludzku.

- Słyszałem, że człowiek blednie ze strachu - rzekł żołnierz, cofając się i wytrzeszczając oczy, jakby mu miały wyskoczyć z orbit - ale królewski kapitan poczerniał z kretelem.

Widocznie Cezar, chcąc usłyszeć co mówił Mason, i już dostatecznie wystraszony tym co zaszło, nieuważnie odsunął trochę perukę z jednego ucha, niepomny, że tym sposobem cała ta maskarada może się wydać. Jakoż żołnierz, który nie spuszczał oka z więźnia, dostrzegł to natychmiast. Mason, zdziwiony jego słowami, spojrzął i zauważył to także i zapominając o wszelkich względach, należnych bratu oficerowi w tak ciężkim położeniu, a raczej pomny tylko nagany, jaką oddział jego mógł ściągnąć na siebie, skoczył i chwycił wystraszonego murzyna za gardło, bo Cezar, usłyszawszy, co powiedział żołnierz, pewnym już był, że wszystko się wyda; nim więc Mason zdążył wpaść do pokoju, zerwał się z miejsca i zasunął w kąt najciemniejszy.

- Kto jesteś? - wrzasnął Mason, tłukąc głową biedaka o ścianę, za każdym pytaniem - kto jesteś u diabła i gdzie jest Anglik? Gadaj, ty oczajduszo! Odpowiadaj huncwocie, bo cię powieszę na szubienicy szpiega.

Cezar trzymał się dzielnie. Ani groźby, ani kuksańce nie wydołyły z niego odpowiedzi, i byłoby to potrwało może jeszcze chwilę, gdyby porucznik” zmieniając formę ataku, nie był trafił swym ciężkim butem w najdrażliwszą część ciała murzyna, to jest w jego łydkę. Tego już Cezarowi było za wiele, więc wrzasnął:

- O jej! massa! Czy to ja kamień!

- Na Boga! - wykrzyknął porucznik - to murzyn! Łotrze, gdzie jest twój pan i kto był ten kapłan?

Z tymi słowy podniósł znów groźnie nogę, ale Cezar zaczął wołać głośno o litość, przyrzekając powiedzieć wszystko co wie.

- Kto był ten kapłan? - powtórzył dragon, cofnąwszy potężny but, lecz trzymając go w groźnym zawieszeniu.

- Harvey! Harvey! - zawołał Cezar, skacząc z jednej nogi na drugą w panicznej trwodze o swoje, tak bardzo czułe kończyny.

- Co za Harvey, ty murzyńska mordko? - krzyknął porucznik niecierpliwie i kopnął biedaka z całej siły.

- Birch! - zaskomlał Cezar padając na kolana, a łzy wielkimi kroplami potoczyły się po jego błyszczącej twarzy.

- Harvey Birch! - powtórzył kawalerzysta i odrąciwszy murzyna wypadł z pokoju jak z procy. - Do broni! Do broni! Pięćdziesiąt gwinei za życie kramarza-szpiega. Nie dawać pardonu żadnemu. Do broni! Na koń!

Powstał nieopisany zamęt, dragoni hurmem rzucili się do koni, a Cezar, pozostawiony własnemu losowi, powstał z ziemi i zaczął oglądać doznane uszkodzenia. Szczęściem padł był na głowę, więc mu się nic nie stało.

ROZDZIAŁ XXIX.

„Precz poszedł Gilpin, głową na dół; precz poszła peruka i kapełusz. Nie przypuszczał ruszając z miejsca, że w taki udaje się pościg.”

Cowper.

Droga, jaką kramarz i kapitan angielski musieli odbyć, aby dostać się do zbawczych skał, oddalonych o pół mili od domostwa, które do tak niedawna było więzieniem tego ostatniego, biegła otwartą równiną, ciągnącą się do samego podnóża gór, co wznosiły się tu prawie prostopadle, potem skręcała na prawo i wiła się dalej węzłem wskroś ich wnętrza.

Dla zachowania rzekomej różnicy stanów Harvey jechał przodem w pewnej odległości od towarzysza, zachowując uroczystego i wstrzemięźliwego stępa, jak przystało jego duchownemu powołaniu. Po prawej stronie drogi wspomniany już pułk piechoty obozował w namiotach, i widać było strażę ich, przechadzającą się miarowym krokiem tuż pod samymi skałami.

Ulegając pierwszemu popędowi, Henryk chciał wypuścić konia w cwał i nie tylko jak najprędzej dokonać ucieczki, lecz zarazem uwolnić się od tego dręczącego stanu niepewności, jaki stawał mu się nie do zniesienia. Lecz kramarz, spostrzegłszy jego zamiar, zapobiegł mu w porę.

- Zwolna - zawołał, zajeżdżając mu zręcznie drogę - chcesz pan zgubić nas obu. Trzymaj się na stanowisku murzyna, jadącego za swoim panem. Widziałeś ich rasowe rumaki, posiadłane i stojące w pogotowiu przed domem. Jak długo, myślisz pan, dotrzymałbyś pola na tym lichym stępaku pościgowi Wirgińczyków? Każdy krok, jaki zyskujemy, nie budząc podejrzania, to jeden dzień więcej w naszym życiu. Jedź pan spokojnie za mną i pod żadnym pozorem nie oglądaj się. To szczwane lisy, a chciwe krwi jak wilki.

Henryk niechętnie powściągnął niecierpliwość i zastosował się do wskazówek kramarza. Ciągłe jednak wydawało mu się, że już słyszy pościg za sobą chociaż Birch, który raz po raz odwracał się pod pozorem rozmowy z towarzyszem, upewniał go, że wszystko jest dotychczas w porządku.

- Ale - rzekł Henryk - czy podobna, aby to długo potrwało? Lada chwila zobaczą Cezara i wszystko się wyda. Więc, czy nie lepiej wypuścić konie w cwał, a zanim się zorientują, dlaczego uciekamy, będziemy mogli dopaść lasu.

- Ach! nie znasz ich pan, kapitanie Whartonie - odparł kramarz. - Widzę w tej chwili sierżanta, jak patrzy za nami, jak gdyby odgadywał, że się coś święci; bestia wierci mnie czasami jak tygrys, gotujący się do skoku. Gdym stał na pieńku, już mi się coś zanadto przyglądał. Nie, musimy jechać stępa, bo oto kładzie rękę na kłębie siodła. Jeżeli wsiądzie, zginęliśmy. Piechotni żołnierze ustrzelą nas z muszkietów.

- A co robi teraz? - zapytał Henryk, wstrzymując konia, lecz jednocześnie ściskając mu boki piętami, by być w pogotowiu do skoku.

- Odwrócił się i patrzy w inną stronę. Teraz popędź pan trochę konia - nie tak prędko - nie tak prędko... Uważaj pan na straż tam w polu przed nami - patrzy na nas przenikliwie...

- Mniejsza o niego - rzekł Henryk niecierpliwie - ten może nas tylko zastrzelić, a ci dragoni mogą znów wziąć w niewolę. Harveyu! Mnie się zdaje, że tam za nami słychać tętent. Czy nie widzisz nic szczególnego?

- Hm! - Wymówił kramarz - widać istotnie coś szczególnego tam pod laskiem na lewo. Obróć pan trochę głowę, a możesz zobaczyć i skorzystać.

Henryk skwapliwie uchwycił się tego pozwolenia. Krew ścięła mu się w żyłach, gdy zobaczył szubienicę, niewątpliwie dla niego przygotowaną. Ze zgrozą odwrócił twarz od tego widoku.

- To jest ostrzeżenie, żeby być ostrożnym - rzekł kramarz sentencjonalnie, jak to bywało czasem jego zwyczajem.

- Straszny widok, istotnie - rzekł Henryk, przesłaniając na chwilę oczy ręką.

Kramarz obrócił się ku niemu i przemówił z ponurą energią i goryczą:

- A przecież, kapitanie Whartonie, widzisz ją, gdy słońce w pełni świeci nad tobą, gdy oddychasz czystym powietrzem, idącym z gór, co ci dadzą schronienie. Każdy krok oddala cię od tej nienawistnej szubienicy, a każda rozpadlina w skale stać się może kryjówką. Ale ja widziałem ten szafot tam, gdzie żadnego schronienia dla mnie nie było. Dwukrotnie pochowano mnie żywcem w więziennej celi, gdzie zakuty w kajdany spędzałem bezsenne, męczeńskie noce, oczekując świtu, który miał mi dzień haniebnej śmierci zwiastować. Pot oblewał mi zdrętwiałe członki, a jeżeli spojrzałem przez okratowany otwór, aby dojrzeć choć jeden promyczek słońca, jakie z woli Bożej świeci dla najnędzniejszych z Jego stworzeń, szubienica stawała mi przed oczyma, jak złe sumienie, dręczące duszę konającego. Cztery razy byłem w ich mocy, ale dwukrotnie zdawało mi się, że już moja ostatnia godzina nadeszła. Ciężka to rzecz umierać w najlepszym razie, kapitanie Whartonie, ale spędzić ostatnie chwile samemu, bez słowa pociechy, wiedzieć, że nikt z tych co są blisko nie zatroszczy się o ciebie, myśleć, że za parę godzin wyprowadzą cię z tej ciemnej celi, która w porównaniu z tym, co czeka poza nią, niemal drogą się staje... że, mówię, wyprowadzą cię na światło dzienne i że tam ujrzysz oczy wszystkich utkwione w tobie, jak gdybyś był dzikiem zwierzęciem, i stracić świadomość wszystkiego wśród naigrawań i obelg twoich bliźnich, to kapitanie Whartonie, nazywa się istotnie umierać.

Henryk słuchał w zdumieniu tych słów, wypowiedzianych z niewysłowioną goryczą i mocą; obaj zdawali się zapominać o swym przebraniu i grożącym im niebezpieczeństwie.

- Jak to! Byłeś już tak bliski śmierci!

- Od trzech lat tropią mnie po tych górach jak dzikie zwierzę - ciągnął dalej Harvey - a raz stałem już pod szubienicą, i tylko nagły alarm, że idą wojska królewskie, mnie ocalił. Gdyby się byli spóźnili o kwadrans, byłbym wisiał. Tak; postawili mnie tam, wśród obojętnych mężczyzn i gapiących się kobiet i dzieci jak potwora na urągowisko i złorzeczenia. Gdy chciałem się modlić, o moje uszy obijały się wyliczania moich zbrodni; a gdym szukał w tym tłumie choć jednej

litościwej twarzy, nie znalazłem żadnej; nie - wszyscy przeklinali mnie jak niegodziwca, który za złoto zaprzedałby swoją ojczyznę. Słońce świeciło cudnie, cudniej niż kiedykolwiek, a ja miałem patrzeć na nie po raz ostatni. Wszystko dokoła było jasne, wesołe, jak gdyby świat ten był rodzajem nieba. O! Jakie słodkie wydawało mi się życie w owej chwili! Straszna to była godzina, kapitanie Whartonie, taka, jakiej ty nigdy nie zaznałeś. Ty masz rodzinę, która z tobą współczuła, a ja miałem tylko ojca, by opłakiwał moją stratę, gdy się o niej dowie; ale przy mnie nie było nikogo, żadnej pociechy, żadnej litości. Wszystko mnie opuściło. Zdawało mi się, nawet, że i On zapomniał o mnie.

- Jak to! Zdawało ci się, że sam Bóg opuścił cię, Harveyu?

- Bóg nigdy nie opuszcza sług swoich - odrzekł Birch ze czcią, która tym razem nie była udaną.

- Więc któż był ów On?

Kramarz wyprostował się sztywno na siodle w sposób odpowiadający jego wyglądowni. Blask zapalu, jaki na krótko płonął w jego rysach, zgasł, ustępując miejsca wyrazowi uroczystej, nieubłaganej, tępej powagi. Takim tonem, jak gdyby przemawiał do murzyna, odpowiedział:

- W niebie niema różnicy kolorów, mój bracie; masz przeto do spełnienia ważną powinność, z której tam w górze będziesz musiał zdać rachunek.

Tu, niższy głos, dodał:

- Mijamy teraz ostatnią straż blisko drogi; nie oglądaj się pan, jeżeli ci życie miłe.

Henryk przypomniał sobie swoje położenie i natychmiast przybrał pokorną postawę niewolnika” a w ślad za tym wróciło mu poczucie bezpośredniego niebezpieczeństwa, o którym chwilowo zapomniał.

- Co tam widzisz, Haryeyu? - zawołał, spostrzegłszy, że kramarz patrzy za siebie z natężeniem - co widzisz przed domem?

- Coś, co nam nic dobrego nie wróży - odpowiedział rzekomy ksiądz. Zrzuć pan maskę i perukę, za chwilę będziesz potrzebował całej swobody ruchów; rzuć je na drogę; przed nami nikogo już nie potrzebujemy się obawiać, ale ci co są za nami, wnet nas ścigać zaczną.

- A zatem - zawołał kapitan, rzucając przybory, o których wspomniał Harvey, na drogę - wypuśćmy konie w skok. Kwadrans drogi dzieli nas od zakrętu, więc czemu nie skorzystać z każdej chwili.

- Nie trać pan zimnej krwi; są zaalarmowani, ale nie dosiędą koni bez oficera, chyba gdyby spostrzegli, że uciekamy. Otóż i on; zmierza do stajen, jedź pan prędzej; dwunastu wsiadło na koń, ale oficer przystanął, aby zacieśnić popręgi; już jest na siodle; teraz kapitanie Whartonie, pędź co koń wyskoczy i trzymaj się mnie. Gdybyś mnie stracił z oczu, zginąłeś.

Henrykowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać! Skoro tylko Harvey wypuścił konia, kapitan dopędził go, nagłąc lichego podjezdka do pośpiechu. Birch sam sobie wybierał

wierzchowca, i ten, choć nie dorównujący rasowym i doskonale żywionym rumakom dragonów, przecież przewyższał znakomicie szkapinę, którą uznano za aż nadto dobrą dla Cezara Thompsona. Zaledwie ujechali kawałek drogi, gdy kapitan ujrzał, że towarzysz wyprzedza go znacznie, a obejrawszy się trwożnie poza siebie, dostrzegł, że ścigający zbliżają się szybko. Z tym instynktownym lękiem osamotnienia, podwajającym każde nieszczęście, Henryk zaczął głośno wołać na kramarza, aby go nie opuszczał. Harvey natychmiast wstrzymał konia i czekał, aż go Henryk dopędzi. Trójgraniasty kapeluszyk i peruka spadły mu z głowy od szybkiego pędu. Dostrzegli to dragoni i głośnym okrzykiem powitali to spostrzeżenie; a uciekającym wydało się, że krzyknęli im w same uszy, tak krótką była odległość pomiędzy nimi, a okrzyk tak donośny.

- Czy nie byłoby lepiej zsiąść z koni - rzekł Henryk - i polami biec do skał; płot zatrzyma pościg.

- To byłaby droga na szubienicę - odpowiedział kramarz - a dragoni tyle sobie robią z płotów, co my z tych korzonków. Ale już niedaleko do zakrętu, a zaraz za łaskiem są dwie drogi. Mogą się zatrzymać trochę, nie wiedząc, którą wybrać, a to nam pozwoli zyskać nieco na czasie.

- Ależ ta marna szkapa już pada - zawołał Henryk, bijąc cugłami konia, podczas gdy Harvey ściągnął go swoją ciężką szpicrutą - i kwadransa dłużej nie pójdzie.

- Kwadrans wystarczy, kwadrans wystarczy - rzekł kramarz - jeden kwadrans ocali nas, jeżeli pan będzie mnie słuchał.

Nieco pokrzepiony zimną krwią i pewnością siebie Harveya, Henryk w milczeniu podążał za nim. Po kilku minutach dopadli zakrętu, a gdy okrążali niskie zarośla, spostrzegli rozrzuconych wzdłuż gościńca ścigających ich dragonów. Mason i sierzant, siedzący na najlepszych koniach, byli już znacznie bliżej, niż nawet kramarz przypuszczał.

U stóp gór na pewnej przestrzeni wijącej się pomiędzy niemi ciemnej doliny rósł gęsty zagajnik sosnowy, którego większe drzewa wycięto na opał. Ujrawszy tę gęstwinę, Henryk znowu zaczął nalegać na kramarza, by zsiadli i zapuścili się w las, lecz tamten wstrząsnął tylko głową przecząco. Obie drogi, o których wspominał, spotykały się tu pod bardzo ostrym kątem, niedaleko zakrętu i obie były wężowate, tak że tylko mały kawałek każdej z nich widocznym był od razu. Kramarz obrał drogę wiodącą na lewo, lecz tylko na chwilę, gdyż napotkawszy częściowe przerzedzenie się gąszczy, wpadł przez nie na drogę po prawej ręce i zaczął pięć się po stromym tuż przed nimi leżącym zboczu. Ten manewr ich uratował. Dragoni, dotarłszy do rozwidlenia, pojechali dalej śladem kopyt i minęli miejsce, któredyś zbiegowie przesunęli się na inną drogę. Po pewnej chwili dopiero spostrzegłszy, że ślad stracili, zaczęli się głośno nawoływać, krzycząc na towarzyszy jadących w tyle, aby się brali na prawo. Kapitan znowu zaproponował, aby zsiąść z koni i rzucić się w las.

- Jeszcze nie! jeszcze nie! - odpowiedział Birch pocichu - droga idzie w dół z wierzchołka tego wzgórza, tak samo jak pod górę; naprzód dostaniemy się na wierzchołek.

Co gdy się stało, obaj zeskoczyli z koni; Henryk natychmiast wpadł w gąszcz, zarastający zbocza góry, Harvey zaś ściągnął jeszcze kilkakrotnie wierzchowce szpicrutą, że jak szalone popędziły drogą na dół, po czym dopiero poszedł za przykładem towarzysza, czyniąc to możliwie najostrożniej i najciszej. Zaledwie zniknął w zaroślach, jeden z dragonów dopadł wierzchołka i krzyknął:

- Widziałem jednego z koni jak zbiegał w dół przed chwilą.

- Dalej, chłopcy, ostro! - zawołał Mason - Anglika brać żywcem, ale kramarzowi nie dawać pardonu i raz z nim zrobić koniec.

Henryk uczuł, jak towarzysz mocno ścisnął go za rękę a w chwilę potem, dwanaście koni dragońskich przeleciało drogę z błyskawiczną szybkością, która dała do poznania, jak mało mogli liczyć obaj na swoje pomęczzone szkapy.

- Teraz - rzekł kramarz, powstając z za krzaków, gdzie leżeli przyczajeni - teraz każdy krok jest naszym zyskiem; bo kiedy my pójdziemy w górę, oni jadą na dół. Więc żywo naprzód.

- A jeżeli, okrążywszy górę, podążą za nami? - rzekł Henryk, powstawszy również i szybko idąc za towarzyszem - pamiętaj, że mają również dobre nogi jak konie, a w każdym razie pomrzemy z głodu w tych górach.

- Nie bój się niczego, kapitanie Whartonie - odparł kramarz z wielką pewnością siebie - nie na tej górze chciałbym być w tej chwili, ale konieczność nauczyła mnie radzić sobie tutaj jak u siebie. Zaprowadzę pana tam, gdzie nikt nie poważyłby się nas ścigać. Patrz pan, słońce chowa się już za tymi zachodnimi szczytami i miną dwie godziny, nim księżyc wzejdzie. Jak się panu zdaje, kto zapuści się w listopadową noc pomiędzy te skały i przepaści?

- Słuchaj! - zawołał Henryk - dragoni nawołują się; już wiedzą, żeśmy im uszli.

- Pójdź pan tu na tę krawędź skały, a zobaczysz ich - rzekł kramarz siadając spokojnie, by odpocząć. I oni nas też mogą dostrzec. Jako żywo! Pokazują nas sobie palcami. Ot! jeden wystrzelił z pistoletu; ale odległość jest za wielka nawet dla muszkietowej kuli.

- Na Boga! chodźmy prędzej - zawołał niecierpliwie Henryk - będą nas ścigali.

- Ani im to postanie w głowie - odparł kramarz, zrywając borówki rosnące na jałowym gruncie, na którym siedzieli, i rozważnie żując je dla odświeżenia ust. - Daleko by zaszli w swych ciężkich butach, ostrogach i z tymi długimi szabłami. Nie, nie, mogą wrócić i okrążyć skałę, ale jazda trzyma się siodła, póki może, i nie bardzo własnym nogom dowierza w tych zakamarkach. Pójdź, kapitanie Whartonie, uciążliwą drogę mamy przed sobą, ale zaprowadzę cię tam, gdzie nikt nie poważyłby się zapuścić nocą.

To powiedziawszy wstał. Henryk za nim i wkrótce obaj zniknęli wśród skał i rozpadlin.

Przypuszczenia kramarza były trafne. Mason i jego ludzie pędzili w dół skłonem wzgórza, w pogoni, jak sądzili, za swymi ofiarami, lecz znalazłszy się na równinie, zastali tylko porzucone konie zbiegów. Czas jakiś szedł im na przetrząsaniu pobliskich zarośli i wyszukiwaniu ścieżki,

po której mogliby się konno zapuścić w góry, gdy jeden z dragonów spostrzegł Henryka i kramarza, siedzących na skale.

- Drapnął! - mruknął Mason, spoglądając na Harveya z wściekłością - drapnął, a my najemy się wstydu. Na Boga, Washington nigdy już nam nie powierzy straży nad podejrzanym torysem, skoro pozwalamy temu łotrowi tak sobie drwić z wojska, a obok niego siedzi Anglik i spogląda na nas z pobłażliwym uśmiechem, jakbym to widział. Dobrze, dobrze, mój chłopcze, siedzisz sobie wygodnie, przyznaję, ale jeszcze nie jesteś na zachodnim brzegu Harlemu, a ja już się postaram nie dopuścić, żebyś opowiedział sir Henrykowi, coś tu widział, jakim żołnierz!

- Panie poruczniku! Strzelę i wystraszę kramarza - rzekł jeden z dragonów, wyciągając pistolet z olster.

- Dobrze, spłosz ptaki z grzędy; zobaczymy jak fruwią.

Dragon strzelił, a Mason ciągnął dalej:

- Na honor, jakbym widział, że łotry śmieją się z nas. Dalej, do domu, albo zaczną nam ciskać kamienie na głowy, a potem królewskie gazety będą rozpisywać się o dwóch rojalistach, którzy cały pułk buntowniczy wystrychnęli na dudka. Większych jeszcze kłamstw dopuszczają się ciągle.

Dragoni ruszyli posępnie za oficerem, ten zaś wracając do kwatery rozmyślał, co mu dalej czynić wypada. Zmierzchało się już, gdy oddział Masona przybył przed dom, gdzie zastali gromadę oficerów i żołnierzy opowiadających sobie wzajemnie o ucieczce szpiega. Skwaszeni i zawstydzeni dragoni dołączyli do tych opowiadań i swoje niepokojące nowiny, i oficerowie skupiwszy się dokoła Masona, zaczęli radzić nad dalszym postępowaniem. Panna Peyton i Fanny, na które nikt nie zwracał uwagi, słuchały z zapartym oddechem tych narad z okna znajdującego się tuż nad głowami oficerów.

- Coś trzeba przedsięwziąć i to niezwłocznie - zauważył komendant pułku, obozującego przed domem, - ten oficer angielski jest niewątpliwie narzędziem wielkiej klęski, jaką w ostatnich czasach zadał nam nieprzyjaciel, zresztą nasz honor zaangażowany jest w tej ucieczce.

- Przetrząšnjmy lasy! - zawołało kilka głosów naraz - do rana schwytamy ich obu.

- Zwolna, zwolna, panowie - odpowiedział pułkownik - tylko ktoś doskonale obznajmiony z tutejszymi wzgórzami może się odważyć na szukanie po ciemku. Zresztą tylko konnica może przedsięwziąć pościg, a mniemam, iż porucznik Mason nie uczyni tego bez rozkazu swego majora.

- Oczywiście, że nie uczynią tego - odparł porucznik, wstrząsając głową - chyba, że pan pułkownik weźmie odpowiedzialność tego kroku na siebie; ale major Dunwoodie wróci za parę godzin, i jeszcze przed świtem możemy rozesłać wiadomości na wszystkie strony, w ten sposób, że rozstawiwszy patrole od rzeki do rzeki i naznaczywszy nagrodę wieśniakom za schwytanie zbiegów, uniemożliwimy im ucieczkę, chyba że uda im się połączyć z oddziałem, który jakoby

znajduje się na Hudsonie.

- To plan bardzo dobry - zawołał pułkownik - i musi się powieść, ale trzeba wyprawić posłańca do Dunwoodie'go, bo może tam czekać u przewozu, aż będzie za późno, choć z drugiej strony uciekinierzy z pewnością przenocują gdzieś w górach.

Mason zgodził się na propozycję; posłano kuriera do majora z ważną wieścią o ucieczce Henryka i wiadomością, że obecność jego konieczną jest dla zarządzenia pościgu. Po czym oficerowie rozeszli się.

Panna Peyton i jej siostrzenica zaledwie mogły wierzyć własnym uszom, gdy usłyszały o ucieczce Henryka. Obie wierzyły tak niezachwianie w powodzenie usiłowań Dunwoodie'go, że czyn Henryka wydał im się nadzwyczaj nieroztropnym, ale za późno już było to zło naprawić. Rozmowa oficerów otworzyła im oczy na pogorszenie położenia Henryka, gdyby go ponownie ujęto, i drżały na myśl o tym wszystkim, co będą robili, aby dopiąć tego celu. Panna Peyton pocieszała siebie i siostrzenicę przypuszczeniem, że zbiegowie nie spoczną, dopóki nic wydostaną się na grunt neutralny, wpraw nim wiadomość o ich ucieczce rozejdzie się po okolicy. Nieobecność Dunwoodie'go grała w tym ważną rolę, i zacna kobieta łamała sobie głowę, w jaki sposób można by ją było przedłużyć. Ale Fanny inaczej zapatrywała się na to. Nie mogła dłużej wątpić, że postacią, jaką widziała na wzgórzu, był Birch, i była pewną, że zamiast uciekać niezwłocznie i schronić się pod opiekę wojsk przyjaznych, obaj z Henrykiem przenocują w owej tajemniczej chatce.

Dość długo potem obie z ciotką naradzały się nad czymś z ożywieniem; ciotka sprzeciwiała się zrazu, wreszcie uległa i uściskawszy gorąco i pobłogosławiwszy siostrzenicy, pozwoliła jej iść i spełnić czyn siostrzanej miłości.

ROZDZIAŁ XXX.

*„I oto błędę wyczerpany
Bez przewodnika i bez stróża,
A tej przestrzeni szlak nieznanym,
W miarę gdy idę, się wydłuża. „*

Goldsmith.

Noc była chłodna i ciemna, gdy Fanny Wharton z bijącym sercem, lecz lekkim krokiem wymknęła się przez leżący w tyle domu ogródek i poszła w stronę góry, na której widziała postać domniemanego kramarza. Było jeszcze wcześniej, ale ciemności listopadowego wieczora i dzikość otaczającej ją natury byłyby ją w każdej innej chwili skłoniły do natychmiastowego powrotu pod ciepły dach bezpieczny. Nie dając sobie jednak czasu do namysłu, dzielna bohaterka nasza biegła szybko i dopiero znalazłszy się na pół drogi do owej skały, gdzie dziś jeszcze z rana widziała Bircha, przystanęła, by odpocząć.

Dobre obchodzenie się z kobietami jest najpewniejszym dowodem cywilizacji danego kraju, a nie ma narodu, któryby pod tym względem przewyższył Amerykanów. Fanny nie czuła żadnego lęku, mijając spokojne i w ryzach trzymane wojsko, wieczerzające wzdłuż drogi na wprost pola, którym biegła. Byli to jej rodacy i wiedziała, że wschodnia milicja, składająca ten pułk, jej płęć uszanuje, ale lekkomyślny i burzliwy temperament południowej konnicy nie budził w niej takiego zaufania. Wprawdzie niezmiernie rzadki to był wypadek, aby prawdziwy żołnierz amerykański dopuścić się jakiego wybryku; ale Fanny z wrodzoną delikatnością uczuć drżała na samą myśl bodaj pozorów zniewagi. To też usłyszawszy stąpanie konia na drodze, cofnęła się bojaźliwie za krzaki nad źródłem, sączącym się w pobliżu u zbocza skały. Była to wideta, i żołnierz przejechał tuż obok niej, nie spostrzegłszy jej postaci, otulonej w ciemny płaszczyk, nucąc coś z cicha, zapewne marząc o jakiejś innej piękności, którą zostawił nad brzegami Potomaku. Fanny wsłuchiwała się z niepokojem w oddalające się stąpanie konia i gdy już zupełnie ucichło, wyszła z ukrycia i podążyła dalej polem, aż przerażona coraz większą ciemnością i pustką przystanęła, aby się namyślić. Odrzuciwszy kapturek kardynałki, oparła się o drzewo i wpatrzyła w szczyt góry, będącej celem jej wyprawy. Góra ta wyrastała z równiny w kształcie piramidy, a ostry jej wierzchołek słabo rysował się na tle chmur, wśród których gdzie niegdzie przebłyskiwały gwiazdy; lecz wkrótce przesłoniła go mgła, podmuchem wiatru napędzona i coraz bardziej gęstniejąca. Fanny uczuła, że serce w niej zamiera, że ogarnia ją niepewność. Co czynić? co czynić? Jeżeli wróci Henryk i kramarz, niewątpliwie spędzą noc w rzekomym bezpieczeństwie na tym właśnie wzgórzu, ku któremu wyteęzała wzrok w próżnej nadziei, iż dojrzy tam jakieś światełko, co by jej dodało odwagi do dalszej drogi. Rozważny i, o ile się zdawać mogło, niechybny plan oficera schwywania zbiegów wciąż dźwięczał jej w uszach i pchał naprzód, ale ta straszliwa pustka, ciemności, niebezpieczeństwo takiej wędrówki po nocy wśród skał i rozpadlin, niepewność czy znajdzie szafas, lub co gorsza, że znajdzie w nim zupełnie

innych, i to najgorszego rodzaju mieszkańców, wszystko to, razem wzięte, nagliło do powrotu. A ciemność wzrastała z każdą chwilą i coraz posępniejsze chmury zbierały się nad wierzchołkiem, aż zakryły go zupełnie. Fanny obu rękoma odrzuciła obfite loki ze skroni, wytyżając ze wszystkich sił wzrok w kierunku, gdzie, jak jej się zdawało, stał ów szałas. Wreszcie dostrzegła coś jakby migotliwy blask, lecz trwało to krótką chwilę; po czym horyzont wyjaśnił się znowu i gwiazda wieczorna wybłysła z poza chmury, jak gdyby po ciężkiej stoczonej z nią walce. Teraz Fanny ujrzała wyraźnie szczyt góry, na lewo od owej planety, i nagle smuga łagodnego światła oblała fantastycznie rozrzucone po wierzchołku, karłowate dęby, stopniowo osunęła się po skłonie, aż cała góra stanęła w blaskach wschodzącego księżyca. Gdyby nie to przyjazne światło, dalsza droga byłaby fizycznym niepodobieństwem dla naszej bohaterki, ale i teraz nie czuła się do niej zdolną. Bo ujrzawszy cel swoich dążeń, ujrzała również połączone z dopięciem go trudności.

Miotana tą okrutną niepewnością, to cofając się z właściwą jej płci i wiekowi bojaźnią przed tym, tak bardzo niebezpiecznym przedsięwzięciem, to znów postanawiając ratować brata za wszelką cenę, zwróciła wzrok ku wschodowi, gdzie znów gromadziły się chmury, grożąc ponownie zgaszeniem zbawczego światła. I nagle jak pod ukąszeniem żmii skoczyła w bok, po raz pierwszy spostrzegłszy, o co była oparta, i co w pierwszej chwili brała za pień drzewa. Dwa proste słupy i poprzeczna nad nimi belka z niewielką platformą u dołu aż nazbyt wyraźnie powiedziały jej swą nazwę i przeznaczenie; powróż nawet zarzucony w górze chwiał się z lekka, kołysany nocnym powiewem. Fanny nie wahała się dłużej. Pędem strzały przebiegła łąkę i znalazła się u stóp skały, gdzie miała nadzieję odnaleźć jakąś ścieżkę, która by ją zaprowadziła na szczyt. Jakoż przystanąwszy dla nabrania oddechu, dostrzegła wijącą się wskroś drzew i skalnych obrywów dróżkę pastuszą i raz jeszcze trwożnie poza siebie spojrzawszy, wstąpiła na nią bez wahania. Młoda, silna, podtrzymywana szlachetnym dążeniem, szybko pięła się pod górę i wkrótce wyszła na otwartą, płaskawą przestrzeń, widocznie wykarczowaną w celu uprawy. Ale czy wojna, czy jałowość gruntu zniechęciła przedsiębiorczego pracownika do prób dalszych, i krzaki poczynają kiełkować na nowo, jak gdyby pług nie przeorał nigdy ziemi, która je żywiła.

Te ślady pracy ludzkiej w tym pustkowiu pokrzepiły Fanny, szła dalej z rozbudzoną na nowo nadzieją powodzenia. Ścieżka wiła się teraz w tak różnych kierunkach, że porzuciwszy ją na pierwszym zakręcie, Fanny zaczęła piąć się wprost przed siebie najkrótszą, jak sądziła, drogą do wierzchołka. Wprędce minęła wytrzebioną przestrzeń, a zarośla i obrywy skalne, czepiające się przepastnych zboczy, tamowały jej znów przejście. Raz po raz trafiała na ścieżkę, przebiegającą w poprzek bardziej otwarte miejsca i ginącą znów wśród traw i chwastów, ale nigdzie nie dostrzegła, aby prowadziła wyżej. Strzępy wełny, zwieszające się z kolczastych krzaków, objaśniały dostatecznie pochodzenie tych drózek i Fanny słusznie wywnioskowała, że przy schodzeniu z góry mogą jej znacznie ułatwić to zadanie. Usiadłszy na kamieniu, zmęczona

dziewczyna zaczęła znowu zastanawiać się nad swoim położeniem. Księżyc rozpędził chmury, i cały krajobraz leżał u jej stóp, skąpany w jego czarodziejskim świetle.

Tuż pod nią w regularnych szeregach ciągnęły się białe namioty milicji. W oknie pokoju panny Peyton świeciło się, i Fanny odgadywała z łatwością, że ciotka spogląda tam w stronę góry, nurtowana niepokojem o nią. Koło stajen migały latarnie; zapewne czyniono przygotowania do nocnego wymarszu, i Fanny, tknięta tą myślą, zerwała się na równe nogi.

Miała już za sobą dwie trzecie wysokości góry, ale jeszcze pozostawało jej przeszło ćwierć mili do wierzchołka. Szczęściem miał on kształt ostrokągu jak większość gór w tym paśmie; Fanny wiedziała przeto, że idąc wciąż pod górę, musi nareszcie dojść do owego szafasu, który jak zapamiętała, leżał na samym szczycie. Blisko godzinę walczyła z licznymi trudnościami, kilkakrotnie omal nie spadła w przepaść, lecz nareszcie udało jej się wydostać na niewielką płaszczyznę, tworzącą czubek szczytu.

Wyczerpana i bliska omdlenia, osunęła się na skałę dla nabrania sił i męstwa do czekającej ją przeprawy. Teraz należało tylko odnaleźć szafas. Księżyc oświetlał jasno wszystkie sąsiednie wzgórza i Fanny ze swego miejsca widziała dokładnie trakt, wiodący z równin w góry. Idąc za nim oczyma, odnalazła wprędce punkt, z którego zobaczyła ów tajemniczy szafas, wiedziała więc, że musi on się znajdować dokładnie na wprost tego punktu.

Chłodny powiew wzdychał wśród bezlistnych gałęzi karłowatych dębów, gdy Fanny, krokiem tak lekkim, że prawie nie sprawiającym szelestu wśród suchych liści, po których stąpała, ruszyła na poszukiwanie owej samotnej chatynki, nie mogła jednak dostrzec nic, co by w najmniejszym stopniu przypominało siedzibę ludzką. Na próżno oglądała każde zagłębienie w skałach i chodziła po całym wierzchołku; nigdzie nie natrafiła nie tylko na żaden szafas, czy chatę, lecz nawet na ślad czyjegoś pobytu w tym miejscu. Bezgraniczna pustka wiała zewsząd i mroziła jej serce. Wystraszona i bliska rozpaczyci podeszła na krawędź stromej skały i pochyliła się, by spojrzeć w dolinę, by się nieco widokiem sąsiedztwa ludzi pokrzepić, gdy nagle promień światła olśnił jej oczy, a ciepły prąd powietrza owiał całą jej postać. Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, spojrzała trochę niżej i zobaczyła, że stoi tuż nad celem swoich poszukiwań. Przez otwór w dachu uchodził dym, a gdy go wiatr rozproszył, oczom Fanny ukazał się wielki jasny ogień, trzaskający na kamiennym palenisku. Kręta ścieżka, wijąca się dokoła skalnej wyniosłości, na której stała Fanny, wiodła do drzwi chatki, i Fanny ostrożnie zeszła tą ścieżką.

Poukładane, jeden na drugim kłocę drzewa tworzyły trzy ściany tej osobliwszej budowli, jeżeli to tak nazwać było można, czwartą stanowiła skała, do której była przyparta. Dach uczyniony był z kory drzewnej, długimi pasami poukładanej na podstrzeszu. Szpary pomiędzy kłocami pozalepiane były gliną, która w wielu miejscach odpadła i którą zastąpiono suchymi liśćmi dla zabezpieczenia od wiatru. Jedno jedyne okienko o czterech szybach, umieszczone we frontowej ścianie, osłonięte było starannie deskami, by nie dopuścić blasku światła, czy ognia na

zewnątrz. Obejrzawszy tę osobliwszą kryjówkę na wszystkie strony, Fanny przytknęła oko do szpary, by zobaczyć co się dzieje w środku. Nie paliła się tam ani lampa, ani świeca, ale ogień płonął dość jasno, by można było czytać przy nim. W jednym kącie mieściło się posłanie ze słomy, a na nim parę niedbale porzuconych kołder. Na ścianach i na skale wisiła na kołkach różna odzież męska i kobieca wszelakiego rodzaju. Angielskie i amerykańskie mundury tuliły się przyjacielsko do siebie; na jednym z kołków, na którym jaśniała perkalowa kobieca suknia w paski, zwykły strój okolicznych wieśniaczek, mieściła się również obficie upudrowana peruka; jednym słowem był to istny skład garderoby stosownej dla każdego wieku i każdego stanu.

W kącie, dotykającym skały, na wprost ogniska płonącego w drugim, stała otwarta szafka, a w niej parę talerzy, kubek i resztki mięsiwa. Przed ogniskiem znajdował się stół z prostych, nieheblowanych desek” takież stołek i trochę naczyń kuchennych dopełniało umeblowania. Zamknięta książka, kształtem i wielkością przypominająca Biblię, leżała na stole. Lecz uwagę Fanny pochłonął przede wszystkim mieszkaniec owej chaty. Był nim mężczyzna, siedzący przy stole, z głową opartą na dłoni w taki sposób, że zasłaniał nią twarz, pilnie zajęty przeglądaniem różnych papierów. Na stole obok leżała para przedziwnej roboty kawaleryjskich pistoletów, a rękojeść rapiera, również bogato i delikatnie cyzelowana, wysuwała się z pomiędzy nóg owego mężczyzny, niedbale opierającego na niej drugą rękę. Atletyczna budowa i wyniosły wzrost nieznajomego na pierwszy rzut oka przekonały Fanny, że nie był to ani jej brat, ani Harvey, o czym zresztą w dalszym ciągu jeszcze wyraźniej zaświadczył jego ubiór. Obcisły, pod samą szyję zapięty surdut rozchyłał się u kolan, ukazując bawole rajtuzy i wojskowe buty z ostrogami. Włosy miał zaczesane w tył i stosownie do panującej mody obficie upudrowane. Okrągły kapelusz leżał na kamieniach, którymi wybrukowana była podłoga chaty, widocznie, aby nie zajmować miejsca na stole, gdzie wśród innych papierów leżała rozpostarta wielka mapa.

Widok ten zaskoczył całkowicie naszą bohaterkę. Była tak pewną, że kramarz, a nie kto inny był ową dwukrotnie widzianą na owej górze postacią, iż dowiedziawszy się o jego uczestnictwie w ucieczce brata, nie wątpiła ani na chwilę, że znajdzie ich obu tu, gdzie teraz spostrzegła nieznajomego. Stała więc, wciąż patrząc przez szparę i sama nie wiedząc, czy cofnąć się, czy czekać możliwego przyjscia Henryka, gdy nieznajomy odjął rękę od oczu i podniósł głęboko zadumaną twarz, w której Fanny poznała natychmiast wyraziste, a tak dziwnie dobrotliwe oblicze Harpera.

Wszystko co Dunwoodie powiedział jej o jego potędze i znaczeniu, wszystko co sam przyrzekł jej bratu, zaufanie, jakie wzbudziło w niej pełne godności i wprost ojcowskie obejście jego, wszystko to błyskawicznie przemknęło przez umysł Fanny. Otworzyła drzwi i padłszy mu do nóg, objęła jego kolana, wołając:

- Uratuj go, panie, uratuj mego brata, przypomnij sobie twoją obietnicę i uratuj go.

Na skrzyp otwierających się drzwi Harper powstał i mimo woli sięgnął ręką ku pistoletom,

lecz wzrok jego powstrzymał ten ruch. Podniósł kaptur kardynałki, który opadł na twarz Fanny, i zawołał z pewnym niepokojem:

- Panno Wharton! Kto panią tu przyprowadził?

- Nikt, nikogo tu nie ma prócz pana i Boga, i na Jego święte Imię zaklinam pana, abyś pomny swojej obietnicy uratował brata mego.

Harper łagodnie podniósł ją z klęczek i posadził na stołku, prosząc aby się uspokoiła i opowiedziała mu, co ją tu sprowadza. Fanny niezwłocznie spełniła to życzenie, wtajemniczając go pokrótce w powody, jakie skłoniły ją do przyjscia samej o tak spóźnionej porze w to odludne miejsce.

Harper był człowiekiem powściągliwym do najwyższego stopnia, umiejącym panować nad swymi wrażeniami tak dalece, że najbystrzejsze oko nie potrafiłoby dostrzec tego, co się działo w jego duszy; jednakże, gdy słuchał pośpiesznego opowiadania Fanny, myślące jego oko zabłysło, a muskuły ust drgnęły kilkakrotnie. Ucieczka Henryka obudziła w nim wielkie zajęcie; widocznym było, że udzielił mu się niepokój Fanny i obawa, by jednak nie zapóźnił się w górach, bo gdy skończyła, przeszedł się parę razy po szalasię w milczącej zadumie.

Tymczasem Fanny pragnęła jeszcze coś dodać, ale to coś nie chciało jej przejść przez gardło. Kilkakrotnie otwierała usta i zamykała je, gorący rumieniec oblał jej bledziuchną przed chwilą twarzyczkę, dłoń bezwiednie spoczęła na rękojeści pistoletu i cofnęła się natychmiast, wreszcie wciąż zapłoniona zdobyła się na odwagę i rzekła:

- Możemy bardzo polegać na przyjaźni majora Dunwoodie, ale jest on tak drażliwy na punkcie swego honoru, że... że... pomimo całej chęci przysłużenia się nam, pomimo tego co... co... może czuć, będzie uważał za swój obowiązek pojmać znów brata mego. Tym bardziej, iż nie będzie widział w tym żadnego niebezpieczeństwa dla niego; liczy bowiem bardzo na pańskie wstawiennictwo.

- Na moje! - rzekł Harper, podnosząc oczy ze zdziwieniem.

- Tak, na pańskie. Gdyśmy mu powiedzieli o pańskiej dobroci, upewniał nas wszystkich, że leży w pańskiej mocy uzyskać ułaskawienie Henryka i że skoro pan obiecał, to pan z pewnością dotrzyma słowa.

- Czy powiedział co więcej? - zapytał Harper, lekko zaniepokojony.

- Nie, ale kilkakrotnie zaręczał nam, że możemy być pewni ocalenia Henryka, i teraz nawet poszukuje pana.

- Panno Wharton! - przemówił Harper - nie będę zaprzeczał, iż pełnię niepoślednią rolę w tej nieszczęsnej walce pomiędzy Anglią a Ameryką. Dzisiejszą ucieczkę brata zawdzięczasz pani memu przeświadczeniu o jego niewinności i pamięci danego słowa. Major Dunwoodie myli się, gdy mówi, że mógłbym jawnie uzyskać jego ułaskawienie. Teraz, istotnie, mogę mieć wpływ na jego losy i daję pani słowo, które nie jest bez znaczenia u Washingtona, że będą przedsięwzięte

środki, aby zapobiec jego ponownemu pojmaniu. Ale nawzajem żądam od pani słowa, że to spotkanie nasze i wszystko, co zaszło pomiędzy nami, pozostanie najgłębszą tajemnicą, aż do chwili, kiedy pozwolę pani mówić o tym przedmiocie.

Fanny skwapliwie dała żądane zapewnienie, on zaś mówił dalej:

- Kramarz i brat pani wkrótce tu przybędą, ale oficer królewski nie powinien mnie widzieć, gdyż narazić by to mogło Bircha na utratę życia.

- Przenigdy! - zawołała Fanny z zapałem - Henryk nie mógłby być tak nikczemnym, żeby zdradzić człowieka, który go ocalił.

- Panno Wharton! To co czynimy obecnie, nie jest dziecinną igraszką. Życie i losy ludzkie wiszą na bardzo cienkich nitkach, i niczego nie należy zostawiać przypadkowi, przeciw czemu można się zabezpieczyć. Gdyby sir Henryk Clinton wiedział, że kramarz znosi się ze mną i to w takich okolicznościach, śmierć tego nieszczęśliwego człowieka byłaby nieuchronną; przeto jeżeli cenisz pani krew ludzką i pamiętasz o ocaleniu brata, bądź ostrożną i milcz. Powiedz im obu, co wiesz, i nalegaj, by natychmiast puścili się w dalszą drogę. Jeżeli zdążą przejść ostatnie pikiety naszej armii przed świtem, moją rzeczą będzie, aby ich nikt nie zatrzymał. Będzie lepsza robota dla majora Dunwoodie niż nastawanie na życie przyjaciela.

Powiedziawszy to, Harper starannie zwinął mapę, którą przedtem rozpatrywał, i schował ją wraz z innymi papierami do kieszeni. Zaledwie skończył, głos kramarza, niezwykle głośno mówiący, dał się słyszeć nad ich głowami.

- Spójrz pan w tę stronę, kapitanie Whartonie, a zobaczysz ich namioty przy blasku księżyca. Ale niech wsiadają na koń i jadą, mam tu gniazdko, które starczy dla nas obu; zaraz się do niego dostaniemy.

- Gdzież to gniazdko? Wyznam szczerze, że w ciągu ostatnich dwóch dni prawie nic nie jadłem i chętnie bym co przekąsił.

- Hm! - rzekł kramarz, podnosząc głos jeszcze bardziej - hm! Ta mgła nabawiła mnie chrypki; ale idź pan ostrożnie i uważaj, abyś nie spadł, bo mógłbyś się nadziać na bagnet strażnika na równinie. Ciężko się tu wdrapać, ale zsunąć się w dół bardzo łatwo.

Harper położył palec na ustach, aby przypomnieć Fanny o danej obietnicy, i zabrawszy kapelusz i pistolety, tak że nie został żaden ślad jego bytności, rozsunał parę sztuk odzieży w najdalszym kącie chaty i wszedł do rodzaju wydrążenia w skale, opuściwszy tę zaimprovizowaną kotarę za sobą. Gdy wchodził, Fanny przy silnym blasku ognia spostrzegła, że w owej naturalnej alkwie nie było nic prócz paru sprzętów domowego użytku. Łatwo sobie wyobrazić zdumienie Henryka i kramarza, gdy wszedłszy zastali Fanny w szafasie. Nie wdając się w żadne tłumaczenia i pytania, kochającą dziewczę rzuciło się w objęcia brata i wybuchnęło płaczem. Ale kramarz był jakby innymi zgoła uczuciami przejęty. Pierwsze jego spojrzenie padło na ogień, świeżo podsycony paliwem; następnie otworzył szufladę stołu i zaniepokoił się trochę,

ujrzawszy ją pustą.

- Czy pani tu jest sama, panno Fanny? - zapytał żywo - pani tu przyszła sama?

- Jak mnie pan widzisz, panie Birch - rzekła Fanny, wysuwając się z objęć brata i rzucając w stronę alkowy wymowne spojrzenie, które kramarz zrozumiał natychmiast.

- Ale dlaczego i jakim sposobem jesteś tutaj? - zawołał zdumiony Henryk - jakim sposobem dowiedział się o tej kryjówce?

Fanny opowiedziała mu pokrótce wszystko, co zaszło w domu po jego ucieczce i co ją skłoniło do ich wyszukania.

- Ale - rzekł kramarz - dlaczego pani przyszła tutaj, skoro dragoni widzieli nas na przeciwległym wzgórzu?

Fanny opowiedziała mu, jak w drodze przez góry spostrzegła ten szalas i kramarza, jak ponownie zobaczyła go dzisiaj i jak wywnioskowała natychmiast, że zbiegowie szukać tu będą schronienia na noc. Birch wpatrywał się w nią uważnie, gdy szczerze i z prostotą mówiła, w jaki sposób stała się panią jego tajemnicy, po czym przyskoczył do okienka i trzymanym w ręku kijem stłukł je od jednego zamachu.

- Mało ja w życiu zaznałem przyjemności i wygody - rzekł - ale nawet tej odrobiny spokojnie zażywać nie mogę. Panno Wharton - ciągnął dalej, zbliżając się do Fanny i mówiąc z właściwą mu gorzką melancholią - ścigają mnie wszędzie jak dzikie zwierzę; ale ilekroć zmęczony pracą i wyczerpany trudami chronię się do tej nędznej kryjówki, mogę przynajmniej bezpiecznie pędzić tu swoje samotne noce. Czy przyczynisz się pani do tego, by jeszcze cięższym uczynić życie nieszczęśliwego człowieka?

- Nigdy! - zawołała Fanny z zapalem - tajemnica twoja jest dla mnie świętą!

- Major Dunwoodie - rzekł kramarz z wolna, spoglądając na nią, jak gdyby chciał zajrzeć w głąb jej duszy.

Fanny zwiesiła głowę na piersi w dziewiczym zawstydzeniu, lecz wnet podniósłszy zapłonioną twarzą, wykrzyknęła z uniesieniem:

- Nigdy, przenigdy, Harveyu, jak pragnę, by Bóg wysłuchał moich modłów!

Kramarz poprzestał na tym, a skorzystawszy z chwili, gdy Henryk zajęty był siostrą, wsunął się do alkowy.

Fanny i brat jej, który spostrzegłszy po chwili nieobecność kramarza, sądził, że tenże wyszedł drzwiami, rozmawiali jeszcze czas jakiś o położeniu w jakim się, Henryk znajdował. Fanny nalegała gorąco, by nie zwlekał z dalszą ucieczką, dla wyprzedzenia Dunwoodie'go, o którego niezłomnym poczuciu obowiązku dobrze wiedzieli oboje. Kapitan wyjął z kieszeni notesik, napisał słów kilka ołówkiem, po czym złożył wydartą kartkę i podał ją siostrze.

- Fanny - rzekł - dowiedział się dziś, że jesteś niezrównaną kobietą. Jeżeli mnie kochasz, oddaj to nie czytając Dunwoodie'mu i pamiętaj, że dwie godziny zwłoki mogą ocalić mi życie.

- Dobrze, oddam, ale ty nie ociągaj się: uciekaj korzystaj z tych chwil cennych.

- Siostra pana dobrze mówi - zawołał Harvey, który wszedł niepostrzeżenie - musimy wyruszyć niezwłocznie. Oto żywność, będziemy jedli w drodze.

- Ale kto odprowadzi tę uroczą istotę? - zawołał kapitan. - Nie mogę zostawić mojej siostry samej w takim miejscu.

- Zostaw mnie! Zostaw! - rzekła Fanny - zejść, jak przyszedłem. Nie troszcz się o mnie. Nie znasz, mojej odwagi i sił moich.

- Nie znałem cię dotąd, najmilsza, to prawda; ale teraz, gdy oceniłem wartość twoją, czyż mogę cię opuścić? Nigdy! Nigdy!

- Kapitanie Whartonie - rzekł Birch, otwierając drzwi - może pan masz jakie zbędne życie w zapasie i możesz nim igrać; ale ja mam tylko jedno i strzec go muszę. Czy mam sam odejść?

- Idź, idź! drogi Henryku - rzekła Fanny, całując go - idź i pamiętaj o ojcu, pamiętaj o Sarze.

Nie czekając odpowiedzi, popchnęła go lekko ku drzwiom, i zamknęła je za nim własnoręcznie.

Chwilę jeszcze słyhać było żwawą utarczkę słów pomiędzy Henrykiem a kramarzem, ale ten ostatni zwyciężył, i Fanny, wyczekująca z zapartym oddechem pode drzwiami, usłyszała jak schodzili szybko z boczem góry.

Zaledwie ucichły ich kroki, wszedł Harper. W milczeniu ujął rękę Fanny i wyprowadził ją z szafasu. Widocznie znał dobrze tę drogę, bo wydostawszy się na sam szczyt, powiódł swą towarzyszkę dalej troskliwie, ostrzegając ją o trudniejszych przejściach i chroniąc od uszkodzeń. Fanny, idąc obok tego nadzwyczajnego człowieka, czuła, że czuwa nad nią moc nieprzeciętna. Jego pewny i spokojny krok świadczył o stanowczości i rozwadze umysłu. Okrążywszy wzgórze od tyłu, schodzili szybko i z niewielkim niebezpieczeństwem. To co kosztowało Fanny godzinę mozolnej drogi, nie zajęło im teraz więcej nad dziesięć minut, po których upływie znaleźli się na wspomnianej już, wytrzebionej przestrzeni. Harper skręcił w jedną z pastuszych ścieżyn; przebywszy ją szybko, ujrzeli nagle wierzchowca, przybranego w bogaty czaprak jak dla jeźdźca niepośledniego znaczenia. Szlachetny rumak, ujrawszy pana, zaczął parskać i grzebać kopytem ziemię, podczas gdy ten wkładał pistolety w olstra. Następnie Harper zwrócił się do Fanny, ujął jej rękę i rzekł:

- Ocaliłaś pani brata, panno Wharton. Nie mogę wdawać się w objaśnienia, dlaczego są pewne granice, których moja władza nie może przekroczyć; ale jeżeli potrafisz pani wstrzymać jazdę przez dwie godziny, bezpieczeństwo jego jest zapewnione. Po tym co pani już uczyniłaś, ufam, że dokażesz tego. Bóg odmówił mi dzieci, ale gdyby nie był odmówił mi tego błogosławieństwa, byłbym pragnął, aby mnie takim jak ty obdarzył skarbem. Lecz wszak ty jesteś moim dzieckiem; wszyscy, którzy żyją w tym rozległym kraju, są moimi dziećmi; przyjmij więc błogosławieństwo tego, który ma nadzieję spotkać się jeszcze z tobą w dniach

szczęśliwszych.

Mówiąc to z powagą, która przejęła Fanny do głębi serca, położył uroczyście rękę na jej głowie. Niewinne dziewczę podniosło ku niemu swą śliczną twarzyczkę, skąpaną w księżycowych blaskach. Kapturek zsunął się jej znów na plecy, odsłaniając jej cudne rysy. Dwie łzy błyszcząły na jej liliowych policzkach, a słodkie błękitne oczy spoglądały ze czcią na Harpera. Ten pochylił się, złożył ojcowski pocałunek na jej czole i mówił dalej:

- Każda z tych pastuszych ścieżyn zaprowadzi cię na równinę. Ale tu musimy się rozstać. Mam dużo do czynienia i muszę jechać daleko. Pamiętaj o mnie jedynie w twoich modlitwach.

Dosiadł konia i uchyliwszy kapelusza, pojechał ku tylnemu zboczcu góry i wkrótce znikł wśród drzew. Fanny poskoczyła z lekkim sercem naprzód i pierwszą wiodącą w dół ścieżką zeszła bezpiecznie na dół. Gdy szybko dążyła przez łąkę ku domowi, tętent zbliżających się koni przestraszył ją i pojęła, jak w pewnych okolicznościach o wiele bardziej trzeba się lękać ludzi niż samotności. Przyczaiwszy się pod płotem w pobliżu drogi, czekała. Mały oddział dragonów, innego umundurowania niż Wirgińczycy, minął ją szybkim kłusem. W ślad za nim podążał jeździec w obszernym płaszczu, w którym natychmiast poznała Harpera.

Za nim jechał murzyn w liberii, a dwóch młodzieńców w uniformach tworzyło straż tylną. Zamiast wjechać na drogę, wiodącą do obozu, skręcili na lewo i znikli wśród gór.

Na próżno łamiąc sobie głowę, kim mógłby być ten potężny przyjaciel jej brata, Fanny poszła dalej polem i z nadzwyczajną ostrożnością przeniknąwszy się koło domu, niepostrzeżona dostała się do wnętrza.

ROZDZIAŁ XXXI.

*„Precz, kunsztowny wstydzicie!
Kieruj mną prosta, święta niewinności.
Jestem twoją żoną, jeżeli chcesz
się ze mną ożenić!”*

Szekspir. Burza.

Wszedłszy do pokoju panny Peyton, Fanny dowiedziała się, że Dunwoodie jeszcze nie wrócił, lecz że, stosownie do życzenia Henryka, prosił bardzo szanownego duchownego ich własnego wyznania, by przybył mu z religijną pociechą. Ten przybył już i od półgodziny prowadził z panną Peyton uprzejmą rozmowę, nic potrącając ani słowem o jej sprawy rodzinne.

Zarzucona gorączkowymi pytaniami ciotki, Fanny odpowiadała tylko tyle, że musi milczeć, i zaleciła to samo zacnej starej panie. Ale uśmiech igrający na pięknych ustach dziewczeczki, gdy to mówiła, uspokoił ciotkę, napełniając ją błogim przeświadczeniem, że wszystko jest, jak być powinno. Właśnie namawiała siostrzenicę, by się trochę posiliła, gdy tętent przed domem oznajmił powrót majora. Kurier, wyprawiony przez Masona, znalazł go u przewozu niecierpliwie oczekującego na powrót Harpera. Dunwoodie dowiedziawszy się wrócił natychmiast do domu, dręczony tysiącem sprzecznych obaw. Serce zatłukło się w piersiach Fanny na odgłos jego kroków. Brakowało jeszcze godziny do czasu, jaki nazaczył kramarz jako najkrótszy dla urzeczywistnienia ucieczki. Nawet Harper, tak potężny i życzliwie usposobiony, jak sam to przyznawał, kładł wielki nacisk na potrzebę zatrzymania pościgu Wirgińczyków przez tę właśnie godzinę. Fanny nie zdążyła jeszcze zebrać myśli, gdy Dunwoodie wszedł do pokoju, a panna Peyton z taktem kobiecym wymknęła się drugimi.

Twarz majora silnie zapłoniona zdradzała rozdrażnienie i rozczarowanie.

- A! To było w najwyższym stopniu nieroztropne; więcej powiem, to było złe - zawołał rzucając się na krzesło - uciekać właśnie w chwili, gdy zapewniłem go, że jest ocalony. Doprawdy, Fanny, zaczynam myśleć, że stwarzacie rozmyślnie sprzeczności pomiędzy naszymi uczuciami i obowiązkami.

- Nasze obowiązki mogą być sprzeczne - odparła Fanny, zbliżając się i opierając swą wiotką postać o ścianę - ale nie nasze uczucia, Peytonie. Musisz chyba cieszyć się w duszy z ucieczki Henryka.

- Nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. Miał obietnicę Harpera, a w jego słowo nigdy wątpić nie można! Ach! Fanny! Fanny! gdybyś znała tego człowieka, wierzyłybyś ślepo jego zapewnieniom i nie narażałabyś mnie na tę straszliwą konieczność.

- Jaką konieczność? - zapytała Fanny, użalając się w duszy nad nim, ale korzystając z każdej okoliczności, mogącej przedłużyć rozmowę.

- Jaką konieczność! Czyż nie jestem zmuszony spędzić tę noc na siodle, żeby schwytać znów twego brata, kiedy sądziłem, że położę się spać szczęśliwy, z przeświadczeniem, że przyczyniłem się do jego uwolnienia. Zmuszacie mnie do tego, bym postępował z wami jak wróg, ja który ohotnie ostatnią kroplę krwi wylałbym za was. Powtarzam, Fanny, to było nieroztropnie, to było

źle, to był wielki, wielki błąd.

Pochyliła się ku niemu i nieśmiało ujęła jego rękę, a drugą łagodnie odgarnęła mu kędziory z płonącego czoła.

- Ale po co masz to czynić, drogi Peytonie? - spytała. - Uczyniłeś już dużo dla ojczyzny. Ta nie może wymagać od ciebie takiego poświęcenia.

- Fanny! - wykrzyknął młodzieniec, zrywając się z miejsca z ogniem na smagłym obliczu i oczami roziskrzonymi poczuciem dotkniętej prawości. - Nie moja ojczyzna, lecz mój honor domaga się tego poświęcenia. Alboż nie uciekł z pod straży moich własnych ludzi? Gdyby nie to, byłbym mógł oszczędzić sobie tego ciosu. Ale jeżeli oczy Wirgińczyków ślepe są na oszukaństwo, konie ich są szybkie, a szable ostre. Zobaczymy, nim słońce wzejdzie jutro, kto ośmieli się powiedzieć, że piękność siostry stała się parawanem dla brata. Tak, tak - dodał, śmiejąc się gorzko - chciałbym nawet w tej chwili usłyszeć niegodziwca, który poważyłby się zarzucić mi podobne przewierstwo.

- Peytonie! drogi Peytonie - rzekła Fanny, cofając się przed jego roziskrzonym gniewnie wzrokiem - Krew mi ścinasz w żyłach! czyżbyś chciał zabić mego brata?

- Życie dałbym za niego! - wykrzyknął Dunwoodie, zwracając się do niej łagodniej. - Wiesz o tym dobrze, ale jestem zrozpaczony okrutnym położeniem, w jakim mnie postawił krok Henryka. Co pomyśli o mnie Washington, gdy się dowie kiedyś, że zostałem twoim mężem?

- Jeżeli ten wzgląd tylko nakazuje ci taką srogość względem mego brata - rzekła Fanny z lekkim drżeniem w głosie - to niech się to nigdy nie stanie.

- I to ma mi być pociechą, Fanny?

- Nie, drogi Peytonie, nie chciałam cię dotknąć ani sprawić ci przykrości. Ale czy nie przeceniasz trochę znaczenia nas obojga w oczach Washingtona?

- Tuszę sobie, że nazwisko moje nie jest zupełnie obce Naczelnemu Wodzowi - odrzekł major z pewną dumą - ani ty nie jesteś tak nic nieznacząca, jak to w swojej skromności mniemasz. Wierzę ci, Fanny, gdy mówisz, że się nade mną litujesz, i muszę w dalszym ciągu być godnym tego uczucia. Ale tracę tu drogocenne chwile. Musimy zaraz wyruszyć w góry by jutro z rana być w pogotowiu. Mason czeka już na moje rozkazy, Fanny; odjeżdżam, z ciężkim sercem, pocałuj mnie, ale nie lękaj się o brata; musi znów zostać więźniem, ale włos mu z głowy nie spadnie.

- Poczekaj, Peytonie, zaklinam cię! - zawołała Fanny, z trudem chwytną oddech i widząc, że sporo jeszcze czasu brakuje do owej upragnionej godziny - zanim pojedziesz spełnić ten nieszczęsny obowiązek, przeczytaj tę kartkę, którą Henryk zostawił dla ciebie i którą niewątpliwie pisał w mniemaniu, że pisze do przyjaciela młodości.

- Fanny! Wybaczam ci te słowa; przyjdzie czas, kiedy oddasz mi sprawiedliwość.

- Ten czas już przyszedł - odpowiedziała, wyciągając rękę, niezdolna udawać dłużej żalu,

którego nie czuła.

- Skąd dostałaś tę kartkę? - zawołał młodzieniec, przebiegłszy ją oczyma. - Biedny, drogi Henryku, tyś jest naprawdę moim przyjacielem! Jeżeli kto życzy mi szczęścia, to ty.

- O! Tak! tak! - zawołała Fanny skwapliwie - z całej duszy życzy ci szczęścia. Wierz wszystkiemu, co ci pisze. Każde słowo jest prawdą.

- Wierzę mu, najmilsza, i on właśnie odsyła mnie do ciebie po potwierdzenie tych słów. Obym mógł tak samo wierzyć w twoją miłość.

- Możesz, Peytonie - rzekła Fanny, podnosząc na niego oczy z niewinną ufnością.

- Więc przeczytaj sama i daj świadectwo tym słowom - przerwał Dunwoodie, wręczając jej kartkę.

Fanny wzięła ją ze zdziwieniem i przeczytała, co następuje:

„Życie zbyt jest cenne, aby je powierzać niepewnościom. Zostawiam Cię, Peytonie, bez wiedzy wszystkich, prócz Cezara, którego twemu miłosierdziu i łasce polecam. Ale wielka troska przygniata mnie do ziemi. Spójrz na mego wiekowego i niedołęznego ojca. Spójrz na te biedne siostry moje, pozbawione opiekuna. Daj mi dowód, że kochasz nas wszystkich. Niech ten duchowny, którego sprowadzisz, połączy cię dzisiaj z Fanny; a ty stań się od razu bratem, synem i mężem”. Kartka wypadła z rąk Fanny. Chciała spojrzeć na Dunwoodie’go, lecz zawstydzona utkwiała wzrok w ziemię.

- Jestem godny tego zaufania? Czy pošlesz mnie dzisiaj na spotkanie brata, czy też tylko oficer Kongresu uda się na poszukiwanie angielskiego oficera?

- A czy mniej gorliwie spełnisz swój obowiązek dlatego, że zostanę żoną twoją, majorze Dunwoodie? W jakim stopniu oddziała to na polepszenie doli Henryka?

- Henrykowi, powtarzam, nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Słowo Harpera jest tego rękojmią, a ja pokażę światu oblubieńca - ciągnął dalej młodzieniec, sam siebie łudząc poniekąd, - który spełnił swój obowiązek, aresztując brata swej oblubienicy!

- Alboż świat zrozumie to należycie i oceni? - rzekła Fanny w zadumaniu i z takim wyrazem twarzy, że zbudził najśłodsze nadzieje w sercu młodzieńca.

Istotnie pokusa była niezwykle silna. Zdawało się, iż nie ma innego sposobu zatrzymania Dunwoodie’go, póki owa fatalna godzina nie minie. Słowa samego Harpera, który tak niedawno powiedział jej, że otwarcie nie może ocalić Henryka i że wszystko zależało od zyskania na czasie, dźwięczały w uszach Fanny. Być może również, iż tkwiła w niej niejasna obawa wiecznej rozłąki z narzeczonym, gdyby mu się udało pochwycić brata i gdyby ten odcierpiał karę. Rzeczą zawsze jest trudną określić ludzkie wrażenia, zwłaszcza gdy chodzi o serce kobiety, w którym rodzą się i przez które przechodzą z szybkością błyskawicy.

- Czemu się wahasz, Fanny droga? - zawołał Dunwoodie, śledząc pilnie grę uczuć malujących się na jej twarzy. - Kilka minut może mi dać prawo mężowskiej opieki nad tobą.

Fanny czuła, że jej się kręci w głowie. Spojrzała na zegar. Wskazówka posuwała się tak wolno, jak gdyby dla umyślnego jej udrczenia.

- Mów, Fanny - szepnął Dunwoodie - czy mogę przywołać moją dobrą kuzynkę? Czas nagli. Postanów.

Chciała przemówić, lecz zaledwie wybełkotała coś niezrozumiałego, w czym jednak Dunwoodie, przywilejem od niepamiętnych czasów przysługującym kochankom, domyślił się zgody. Poskoczył ku drzwiom, lecz ona głos odzyskała.

- Stój, Peytonie, nie mogę złożyć tak uroczystej przysięgi z podstępem na sumieniu. Widziałam Henryka już po jego ucieczce, i czas jest wszystkim dla niego. Oto moja ręka. Jeżeli ze świadomością skutków, jakie zwłoka pociągnąć za sobą może, nie odrzucisz jej, ręka ta jest twoją.

- Ja miałbym ją odrzucić! - wykrzyknął uszczęśliwiony młodzieniec - biorę ją jak najcenniejszy dar nieba. Czasu mamy dosyć na wszystko, Za dwie godziny przejadę góry, a jutro około południa wrócę z ułaskawieniem Washingtona dla twego brata, i Henryk będzie się śmiał na naszym weselu.

- Więc czekaj tu na mnie za dziesięć minut - rzekła Fanny, czując, że wielki ciężar spadł jej z serca i będąc już prawie pewną ocalenia Henryka - a wrócę i złożę przysięgę, która mnie z tobą połączy na zawsze.

Dunwoodie przycisnął ją do serca i pobiegł uwiadomić księdza.

Z wielkim zdziwieniem, a poniekąd i niezadowoleniem wysłuchiwała panna Peyton nowiny, jaką jej siostrzenica przyniosła. Taki pośpiech i bezceremonialność gwałciły jej pojęcia o należnych takiej uroczystości względach. Ale Fanny skromnie lecz stanowczo oświadczyła, że postanowienie jej jest nieodwołalne; że od dawna już posiada zezwolenie rodziny i że tylko od niej zależało, by ślub odbył się był znacznie dawniej. Przyrzekła teraz Dunwoodie'mu i chce obietnicy dotrzymać! Więcej nie śmiała powiedzieć, lękając się wchodzić w objaśnienia, mogące narazić Bircha albo Harpera, albo obu. Panna Peyton nienawykła do sprzeczek i szczerze przywiązana do krewnego, ustąpiła wobec stanowczości siostrzenicy. Pan Wharton był już tak pozbawiony wszelkiej energii, że nawet przez myśl mu nie przeszło stawiać jakieś trudności prośbie oficera tego znaczenia w buntowniczej armii co Dunwoodie, więc w oznaczonym czasie Fanny wróciła do pokoju, gdzie Dunwoodie i duchowny już czekali na nią w towarzystwie ojca i ciotki. Fanny w milczeniu i bez udanej wstydlivosti podała kapłanowi ślubną obrączkę matki, pan Wharton i panna Peyton ustawili się za młodą parą, i zaczął się święty obrządek.

Zegar stał tuż przed oczyma Fanny. Spoglądała na niego z niepokojem, lecz uroczyste słowa kapłana wnet pochłonięły jej uwagę i skupiły wszystkie jej władze na przysięgę, jaką składała. Ślub odbył się prędko, i gdy duchowny domawiał słów błogosławieństwa, zegar wybił dziewiątą. Godzinę tę oznaczył Harper, i Fanny uczuła znów, że jeszcze większy ciężar spadł jej z piersi.

Dunwoodie wziął ją w objęcia, kilkakrotnie ucałował dobrą ciotkę i uściskał ręce pana Whartona i duchownego. Wtem zapukano do drzwi i wszedł Mason.

- Jesteśmy gotowi - rzekł porucznik - i z pozwoleniem pańskim poprowadzę oddział: pan ma tak świetnego wierzchowca, że z łatwością dopędzić nas może.

- Tak, tak, kochany chłopcze, ruszajcie - zawołał Dunwoodie skwapliwie, chwytając się każdej zwłoki - dopędzę was na pierwszym popasie.

Porucznik wyszedł, a za nim pan Wharton i duchowny.

- Teraz, Peytorii - rzekła Fanny - jedziesz istotnie na poszukiwanie brata, nie potrzebuję polecać ci go, gdybyś go na nieszczęście odnalazł.

- Powiedz na szczęście - zawołał - bo postanowiłem sobie, że będzie tańczył na naszym weselu. Och! gdybym mógł zjednać go dla naszej sprawy! to sprawa jego ojczyzny; o ileż ochotniej walczyłbym, mając go przy swoim boku.

- Och! nie mów tego! Straszliwe wzbudzasz wspomnienia.

- Nie będę - odrzekł jej mąż. - Ale teraz muszę cię opuścić. Lecz im prędzej odjadę, Fanny, tym prędzej wrócę.

Zatętniło przed domem i Dunwoodie żegnał się jeszcze z panną młodą i ciotką, gdy służący jego wprowadził jakiegoś oficera do pokoju. Miał on na sobie ubiór adiutanta, i major poznał go od razu jako należącego do przybocznej straży Washingtona.

- Majorze Dunwoodie - rzekł nowoprzybyły, skłoniwszy się paniom. - Naczelnny Wódz polecił mi wręczyć panu ten rozkaz.

Co uskuteczniwszy, pożegnał się natychmiast.

- Doprawdy! - zawołał major - to coś całkiem nieoczekiwanego. Ale rozumiem. Harper otrzymał mój list; czujemy już jego wpływ.

- Czy otrzymałeś jakie wiadomości o Henryku? - wykrzyknęła Fanny, przyskakując do niego.

- Posłuchaj a osądzisz.

„Panie!

Po otrzymaniu niniejszego zbierzesz pan swój szwadron, aby stawić czoło oddziałowi, który nieprzyjaciel wysłał dla osłony swoich furazystów i o dziesiątej jutro z rana stawisz się pan na wzgórzach Crotonu, gdzie znajdziesz oczekujące cię posiłki piechoty.

Doniesiono mi o ucieczce angielskiego szpiega, ale schwywanie go jest rzeczą mało ważną w porównaniu z zadaniem, jakie panu obecnie naznaczam. Odwołasz pan przeto ludzi, jeżeliby już byli wysłani z pościęciem, i postarasz się zmusić nieprzyjaciela do odwrotu.

Powolny sługa Jerzy Washington”.

- Dzięki Ci, Boże! - zawołał Dunwoodie - mogę umyć ręce od schwywania Henryka i spełnić z honorem naznaczoną mi powinność.

- I z rozwagą również, drogi Peytonie - rzekła Fanny, poblądłszy śmiertelnie. - Pamiętaj, że zostawiasz tu nowe prawa do twego życia.

Młodzieniec popatrzył z zachwytem w jej pobladłą twarzyczkę i tuląc ją do serca wykrzyknął:

- Będę pamiętał, najdroższa.

Fanny rozplakała się w jego objęciach; on zaś, ucałowawszy ją najczulej, wybiegł z pokoju.

Przed udaniem się na spoczynek panna Peyton uznała za właściwe udzielić siostrzenicy pewnych rad i wskazówek o obowiązkach małżeńskich. Nauki te zostały przyjęte skromnie, choć może nie dość skutecznie przetrawione. Żałujemy bardzo, iż historia nie przekazała nam tej cennej rozprawy, ale wszelkie poszukiwania nasze celem odszukania jej spełzły na niczym. Pozostawimy teraz te panie, a powrócimy do kapitana Whartona i Harveya Bircha.

ROZDZIAŁ XXXII.

*„Nie dopuść mu pożegnalnego słowa.
Krótka niech będzie spowiedź, a po-
wróż mocny. „*

W. Scott. Rokeby.

Kramarz i jego towarzyszy szybko zeszli w dolinę, a zatrzymawszy się chwilę, żeby posłuchać, i upewniwszy się, że nikt ich nie goni, weszli na gościniec. Obznajomiony z każdą piędzią drogi, wiodącą wskroś gór, i nawykły do pieszych wędrówek Birch szedł przodem, wielkimi krokami, właściwymi jego zawodowi, brak mu było tylko toboła, by wyglądał jak zwykle, gdy odbywał swe kramarskie wędrówki.

Ilekróć zbliżali się do małych amerykańskich posterunków, tak licznych w tych górach, zbaczał z gościńca i bez wahania zapuszczał się w gąszcz, lub wdrapywał na skały, na wygląd

niedostępne. Lecz on znał doskonale wszystkie zakamarki tej uciążliwej i trudnej drogi, wiedział, gdzie można przedrzeć się wąwozem, lub przejść strumień w bród. Parę razy Henrykowi wydało się, że nie postąpią dalej ani kroku; ale spryt i obrotność przewodnika zwyciężała wszelkie trudności.

Po trzech godzinach śpiesznego marszu zeszli nagle z gościńca, odchylającego się ku wschodowi, i podążyli wprost wzgórzami, kierując się na południe.

Kramarz objaśnił towarzysza, że uczynił to, aby uniknąć oddziałów nieustannie patrolujących u południowego podnóża gór, a także by skrócić drogę idąc w prostej linii. Gdy znaleźli się na szczycie pagórka, Harvey usiadł przy maleńkim potoczku i otworzywszy torbę, jaką sobie zarzucił na plecy zamiast toboła, zaprosił towarzysza, by zabrał się z nim do skromnego posiłku.

Henryk dotrzymywał kroku kramarzowi, podniecany wewnętrznym niepokojem, tak łatwo zrozumiałym w jego położeniu. Mając wciąż na myśli możliwość pościgu, byłby szedł i szedł bez przerwy, by wyprzedzić jazdę, mogącą zagrozić im ucieczkę przez grunt neutralny. Podzielił się więc tą obawą z towarzyszem, nalegając, by poniechali odpoczynku i posiłku.

- Pójdź pan za moim przykładem, kapitanie Whartonie - rzekł kramarz, zabierając się do jedzenia. - Jeżeli jazda już wyruszyła, to wszelkie nasze usiłowania wyprzedzenia jej na nic się nie zdadzą; a jeżeli nie, to już się tam dla nich szykuje robota, która im wszelką myśl o panu i o mnie wypędzi z głowy.

- Ale sam mówiłeś, że dwie godziny zwłoki są dla nas nadzwyczaj ważne; a jeżeli tu marudzić będziemy, to na cóż się nam przyda to, cośmy już zyskali na czasie?

- Ten czas już minął, i major Dunwoodie ani myśli ścigać dwóch ludzi, gdy setki czekają na niego nad brzegiem rzeki.

- Słuchaj! - przerwał Henryk - otóż i dragoni. Przejeżdżają w tej chwili u stóp wzgórza. Słyszę nawet, jak się śmieją i rozmawiają. Cyt! To głos samego Dunwoodie'go. Mówi coś do kolegi w sposób zgoła wesoły. Zdawałoby się, że położenie przyjaciela powinno by go trochę zmartwić. Chyba Fanny nie zdążyła oddać mu kartki.

Na dźwięk pierwszych słów kapitana Birch powstał i zbliżywszy się na krawędź wzgórza, tak aby go znikąd dostrzec nie było można, pilnie rozpatrywał oddział przejeżdżających dragonów. Słuchał, dopóki szybki tętent ich wierzchowców nie ucichł w oddali, po czym wrócił na dawne miejsce i z niezrównaną zimną krwią zabrał się znów do jedzenia.

- Masz pan przed sobą długą i uciążliwą drogę; pójdź lepiej za moim przykładem. Mówiłeś pan, że jesteś głodny, gdyśmy byli w szałasie nad Fishkillem; ale widocznie wędrówka odebrała ci apetyt.

- Myślałem wtedy, że jestem ocalony; ale to co mi powiedziała siostra, napełnia mnie obawą i nie mogę jeść.

- Mniej masz pan powodu do obaw niż kiedykolwiek od chwili, gdyś odrzucił moją radę i chęć odprowadzenia cię w bezpieczne miejsce - odparł kramarz. - Major Dunwoodie nie jest człowiekiem, któryby się śmiał i weselił, kiedy jego przyjacielowi grozi niebezpieczeństwo. Bądź więc pan dobrej myśli i jedz, bo żadna jazda nie zastąpi nam drogi, jeżeli nogi posłużą nam jeszcze przez cztery godziny, a słońce nie wzejdzie wcześniej niż zazwyczaj.

Było tyle pewności siebie w zachowaniu się kramarza, że dodało to otuchy jego towarzyszowi; zresztą raz postanowiwszy zdać się na jego wolę, wziął się do jedzenia i zaspokoił głód w zupełności, jeżeli nie jakościowo, to przynajmniej ilościowo. Gdy skończyli wieczerzę, kramarz puścił się w dalszą drogę.

Henryk szedł za nim ze ślełą ufnością. Przez dwie godziny zmagali się z trudnościami i niebezpieczeństwami górskich przesmyków, bez wytkniętej drogi i przewodnika prócz księżyca, który wędrował po niebie to świecąc jasno to kryjąc się w chmurach. Wreszcie doszli do miejsca, gdzie pasmo gór zniżало się, przechodząc w nierówne i postrzępione pagórki, i z jałowej nagości rozpadlin wydobyli się na jako tako uprawne pola „neutralnego gruntu”.

Kramarz stał się teraz ostrożniejszym i dawał pilne baczenie, by się nie natknąć na ruchome oddziały amerykańskie. Ze stałymi posterunkami tak był obznajomiony, że z tej strony nie groziło mu niebezpieczeństwo nagłego spotkania. Przemykał się więc wskroś pagórków i dolin, to trzymając się gościńców, to schodząc na boki z jakąś instynktowną dokładnością. Chód jego nie miał w sobie nic zgoła elastycznego; pomykał jednak olbrzymimi krokami, nieco ku przodowi podany, bez śladu zmęczenia i wysiłku.

Księżyc zaszedł i błądy pasek światła zaczął ukazywać się na wschodzie. Kapitan Wharton, czując ogarniające go coraz większe zmęczenie, zapytał, czy nie znajdują się jeszcze w tej części okolicy, gdzie bezpiecznie mogliby zapukać do jakiego domu i wypocząć.

- Patrz pan - rzekł kramarz, wskazując na wzgórek w niewielkiej poza nimi odległości - widzisz człowieka chodzącego tam i na powrót po skale. Obróć się pan do światła... tak; widzisz, porusza się i zdaje się przypatrywać uważnie czemuś na wschodzie. To straż królewska; dwustu regularnego wojska leży na tym pagórku i zapewne śpi na broni.

- W takim razie - zawołał Henryk - połączmy się z nimi i będziemy poza niebezpieczeństwem.

- Zwolna, zwolna, kapitanie Whartonie - rzekł kramarz sucho - byłeś już raz pomiędzy trzystu i znalazł się taki, co cię pojmał. Widzisz pan tamten ciemny punkt na zboczu przeciwległego pagórka, tuż ponad rzyskiem. Tam są zbuntowani (skoro tak my lojalni poddani mamy ich nazywać) i czekają, rychło dzień zaświta, by się przekonać, kto będzie panem placu.

- A więc - wykrzyknął zapalczywy młodzian - przyłączę się do wojsk mego króla i podzielę ich los zły czy dobry.

- Zapominasz pan, że walczyłyś ze stryczkiem na szyi. Nie, nie, przyrzekłem temu, komu

zawodu zrobić nie mogę, że przeprowadzę cię bezpiecznie, i o ile pan nie zechcesz zapomnieć tego, co już zrobiłem i na co się dla ciebie naraziłem; zawrócisz i pójdziesz ze mną do Harlemu.

Na tego rodzaju powiedzenie młodzieniec, acz niechętnie, musiał ustąpić. Szli więc dalej w kierunku miasta. Wkrótce potem dotarli do brzegów Hudsonu.

Poszukawszy czasu jakiś pod brzegiem, kramarz wynalazł łódkę, widocznie dobrze mu znaną, wsiadł w nią wraz z towarzyszem i wylądował na południowej stronie Crotonu. Tutaj oświadczył, że są już bezpieczni, gdyż wojska królewskie, będące w znacznej sile, trzymały łądownców w szachu, ci bowiem nie śmieli się tu zapuszczać, nie rozporządzając na razie znaczniejszymi oddziałami.

Przez cały czas, jaki trwała ucieczka, kramarz okazywał niezmaconą przytomność umysłu i zimną krew. Zdawać się mogło, że właściwe fizycznemu ustrojowi człowieka ułomności nie mają do niego dostępu, a wszystkie władze wydoskonalone są ponad zwykłą miarę. Henryk szedł za nim jak dziecko na paskach i teraz otrzymał nagrodę tego ślepego posłuszeństwa, usłyszawszy, że już żadne nie grozi mu niebezpieczeństwo.

Stromą i uciążliwą dróżką wydostali się na wzgórze, tworzące w tym miejscu wschodni brzeg Hudsonu. Cofnąwszy się nieco z gościńca pod cień cedrowego lasku, kramarz rzucił się na płaską skałę i oświadczył towarzyszowi, że godzina wypoczynku i posiłku nadeszła wreszcie. Dzień się już uczynił, i można było widzieć wszystko wyraźnie w znacznej odległości. Tuż pod nimi leżał Hudson, płynąc w prostej linii na południe, jak okiem dało się sięgnąć. Z północnej strony oderwane fragmenty górskiego pasma wznosiły swe dumne szczyty ponad oponę mgły, wiszącej nad rzeką, która wrzynała się w łono gór, bezładnie piętrzących swe wierzchołki, jakby w olbrzymim, a bezskutecznym wysiłku wstrzymania biegu wód. Wydobywszy się z pośród tej płataniny, piękna rzeka, jakby uradowana odzyskaną swobodą, rozlewała się szeroką zatoką, gdzieniegdzie po brzegach bujną roślinnością umajoną. Z przeciwległej, czyli zachodniej strony skały Jersey skupione w prostym szeregu, który im pozyskał miano palisad, jeżyły swe ostre szczyty, jak gdyby osłaniając leżącą za nimi żyzną i bogatą krainę, od najścia zdobywcy, lecz rzeka, gardząc takim wrogiem, opływała dumnie ich stopy, dążąc wytkniętą, prostą drogą ku oceanowi.

Nagle promień wschodzącego słońca rozdarł lekką chmurkę, wiszącą ponad spokojną rzeką, i naraz cały krajobraz ożył, przybierając coraz nowe kształty i z każdą chwilą coraz nowe odsłaniając widoki. W dzisiejszych czasach, po podniesieniu się tej wielkiej kurtyny natury, oko spostrzega mnóstwo białych żagli i statków, sunących rzeką z pośpiechem i ożywieniem, wskazującym sąsiedztwo stolicy wielkiego i kwitnącego państwa, ale Henryk i kramarz zobaczyli tylko kwadratowe reje i wysokie maszty wojennego okrętu, płynącego o mil parę przed nimi. Zanim mgła się podniosła, widać było tylko czubki tych masztów i zwieszającą się z jednego z nich długą banderę, lecz gdy lekki wiatr zwiął te opary, czarny kadłub i ciężka płatanina rei i

sznurów zaczęły się ukazywać kolejno.

- Tam, kapitanie Whartonie - rzekł kramarz - tam jest bezpieczne schronienie dla pana, i Ameryka już cię nie osiągnie, jeżeli dostaniesz się na pokład tego okrętu. Przybył on tu, aby osłaniać furazystów i posiłkować wojska. Regularni oficerowie lubią słuchać huku armat z okrętów.

Nie raczywszy odpowiedzieć na te sarkastyczne słowa, a może nawet ich nie zauważywszy, Henryk ochoczo zgodził się na propozycję kramarza, by skoro tylko posił się i wypoczną trochę, on sam spróbował dostać się na pokład okrętu.

Jedli jeszcze w najlepsze, gdy o uszy ich odbił się odgłos dalekich strzałów. Zrazu były to tylko pojedyncze, bezładne wystrzały, po nich nastąpił długi i ożywiony huk muszkietów, a potem jeszcze szybkie, ciężkie salwy.

- Sprawdziła się twoja przepowiednia - zawołał oficer angielski zrywając się z miejsca. - Nasze wojska starły się z buntowniczymi oddziałami; dałbym swój półroczny żołd, żebym to mógł widzieć.

- Hm - rzekł kramarz, nie przestając jeść - bardzo to dobrze wygląda z daleka, ale ja wolę towarzystwo tej wędzonki, chociaż zimna, niż żeby mnie miał prażyć ogień łądownców.

- Ogień, zdaje się, jest silny jak na tak szczupłe siły, tylko bardzo nieregularny.

- To milicja Connecticutu strzela w ten sposób - rzekł Harvey, podnosząc głowę i nadsłuchując - uwijają się dzielnie, nie ma co mówić, a oko mają celne. Te salwy pochodzą od regularnych, którzy, jak pan wie, strzelają bez przerwy, póki tylko mogą.

- Nie podoba mi się ta milicja - rzekł kapitan z pewnym niepokojem. - To już nie jakaś bezładna strzelanina, ale jakby nieustanny warkot bębna.

- Ano - odparł kramarz, przestawszy jeść i przyklękając na jedno kolano - póki stoją, lepszych i w królewskiej armii nie znajdzie. Każdy żołnierz strzela jak na obstalunek i nie mają zwyczaju posyłać kul w chmury zamiast zabijać ludzi na ziemi.

- Tak mówisz i wyglądasz, jak gdybyś im życzył powodzenia - rzekł Henryk surowo.

- Życzę powodzenia jedynie dobrej sprawie, kapitanie Whartonie. Sądziłem, że pan mnie zna zbyt dobrze, by mieć wątpliwości, czyją trzymam stronę.

- O! Masz opinię lojalisty, panie Birch; ale otóż i salwy ustały.

- Biją się na bagnety - rzekł kramarz. - Regularni poszli na bagnety i zbuntowani związali się z nimi.

- Nie ma jak bagnety! - zawołał Henryk - angielski żołnierz przepada za bagnetem.

- O ile wiem - rzekł kramarz - to niema się znów czym tak bardzo rozkoszować. Nienawidzę tej strasznej broni. A i milicja podziela moje zdanie, bo rzadko który z nich nosi to szkaradzieństwo. Ach! Boże! Boże! gdybyś pan, panie kapitanie, znalazł się kiedy w buntowniczym obozie i posłuchał, co oni tam wygadują o Bunkner Hill i Burgyne'm, to byś

myślał, że im smakuje bagnet jak dobry obiad.

Kramarz wyrzekł to z jakąś miną niewiniątka, która podrażniła Henryka, nie raczył więc odpowiedzieć.

Ogień teraz stał się dorywczy, raz po raz mieszając się z potężnymi salwami. Obaj zbiegowie stali nad słuchując z niepokojem, gdy na skraju cedrowych zarośli, częściowo pokrywających wzgórze, ukazał się człowiek uzbrojony w muszkiet i począł skradać się ku nim. Henryk spostrzegł go pierwszy i natychmiast wskazał towarzyszowi, Birch drgnął i uczynił taki ruch, jakby chciał uciekać; ale opamiętał się natychmiast i stał w ponurym milczeniu, czekając aż tamten się zbliży.

- Jak się pan miewa, panie Birch - rzekł nieznajomy opuszczając broń, ale trzymając się przezornie w pewnym oddaleniu. Ja tu bez złych zamiarów, proszę mi wierzyć.

- Ruszaj lepiej w swoją drogę - rzekł Birch. - Regularni są tuż, a Dunwoodie i jego jazda daleko; więc ci dziś dużo za mnie nie zapłacą.

- Niech diabli porwą majora Dunwoodie'go i jego jazdę - zawołał herszt skinnerów (bo on to był). - Boże, błogosław króla Jerzego! i ześlij szybki koniec zbuntowanym, powiadam. Jeżeli mi pan pokażesz bezpieczną drogę do zbiegów *, zapłacę ci dobrze, a w dodatku będę zawsze twoim przyjacielem.

- Droga leży otworem zarówno dla mnie jak dla ciebie - rzekł Birch odwracając się ze wstrętem - jeżeli chcesz znaleźć „zbiegów”, wiesz dobrze, gdzie ich szukać!

- Kiedy się boję trochę iść do nich sam; a pan znasz ich dobrze i co ci to szkodzi, jeżeli mi pozwolisz iść razem?

Tu Henryk wmieszał się do rozmowy i po krótkiej wymianie słów zawarł ze skinnerem układ, że pod warunkiem oddania broni, będzie mu wolno przyłączyć się do towarzystwa. Bandyta zgodził się na to bez wahania, zaś Birch przyjął muszkiet skwapliwie i zarzucił go na ramię, obejrawszy wpierw starannie panewkę i upewniwszy się ku wielkiemu swemu zadowoleniu, że zawiera dobry, suchy ładunek. Po czym wszyscy trzej puścili się w dalszą drogę.

Szli brzegiem niedostrzeżeni przez nikogo, aż znaleźli się na wprost fregaty; ktoś z załogi ujrzał sygnał i spuszczone łódź. Sporo czasu zeszło i wiele ostrożności przedsięwzięto, zanim marynarze odważyli się wylądować. W końcu jednak udało się Henrykowi przekonać oficera, dowodzącego załogą, o prawdzie swych słów i skłonić, aby go zabrał na pokład. Żegnając się z Birchem, kapitan wręczył mu sakiewkę dobrze wypchaną jak na owe czasy. Kramarz przyjął ją i niepostrzeżenie wsunął w zanadrze. Łódź odbiła od brzegu, a Birch odetchnawszy głęboko, jak gdyby mu wielki ciężar spadł z piersi, zawrócił i właściwymi mu sążnistymi krokami poszedł ku wzgórzom. Skinner postępował za nim i obaj odbywali tę wspólną drogę, rzucając często podejrzliwe na siebie spojrzenia i zachowując jak najgłębsze milczenie.

Wzdłuż rzeki widać było jadące furgony, konwojowane przez przygodne oddziały jazdy.

Kramarz jednak miał swoje własne widoki i raczej unikał natknięcia się na te patrole, niż szukał ich opieki. Uszedł w ten sposób mil kilka, trzymając się wciąż brzegów rzeki, i pomimo prób zawiązania rozmowy ze strony skinnera, trwając w nieprzerwanym milczeniu, po czym raptem skręcił na gościniec z zamiarem przecięcia gór i udania się do Harlemu. W tej samej chwili jednak oddziałek jazdy ukazał się na pewnej wyniosłości i zrównał się z nimi, zanim Birch go spostrzegł. Za późno już było cofać się, zresztą Birch, obejrzawszy ów oddział, ucieszył się ze spotkania, jako mogącego uwolnić go od niepożądanego towarzysza. Jeźdźców było około dwudziestu, przybranych dragońską modą, ale wygląd ich nie świadczył, by byli wdrozeni do dyscypliny wojskowej. Na czele ich jechał krępy, lat średnich mężczyzna, którego twarz wyrażała tyleż właśnie zwierzęcej odwagi co tępości. Miał na sobie oficcerski mundur, ale nosił go bez tej elegancji i wdzięku w ruchach, jakimi zazwyczaj odznaczali się królewscy wojskowi. Budowę miał silną i siedział na siodle z wielką pewnością siebie; ale najlichszy jeździec z pomiędzy Wirgińczyków byłby go wyśmiał za sposób powodowania koniem. Jak się tego kramarz spodziewał, kawalerzysta ów, ujrzawszy go, zaczepił natychmiast, wołając głosem równie mało zachęcającym jak jego powierzchowność:

- Hej, panowie! Gdzie tak śpieszno? Czy to Washington wysłał was na przespiegi?

- Jestem spokojny kramarz - rzekł Harvey potulnie i właśnie idę do miasta po nowy zapas towarów.

- A jakże się tam myślisz dostać, mój spokojny kramarzu? Czy sądzisz, że po to trzymamy załogę w Kingsbridge, by osłaniała takich kramarskich nicponiów jak ty w ich wędrówkach?

- Mam tu papier, za którym myślę, że mnie przepuszczą - rzekł kramarz - podając mu go z wielką obojętnością.

Oficer przeczytał go, po czym spojrzał na Harveya z wielką ciekawością i zdziwieniem. Następnie zwróciwszy się do paru swoich ludzi, którzy usłużnie zastąpili drogę, krzyknął:

- Czemu zatrzymujecie człowieka? Puśćcie go, niech przejdzie spokojnie. Ale kogo tu jeszcze mamy? Twoje nazwisko, mój panie, nie jest wymienione w paszporcie.

- Nie, wielmożny panie oficerze - rzekł skinner zdejmując z wielką uniżonością kapelusz - jestem biednym zbłąkanym człowiekiem, który służył w buntowniczej armii, ale dzięki Najwyższemu przejrzałem i przychodzę złożyć dowody skruchy i zaciągnąć się pod sztandary pomazańca Bożego.

- Hm! Dezerter-skinner, przysięgłbym na to, chcący przedzierzgnąć się w cow-boya. W ostatniej utarczce z tymi hultajami ledwo mogłem odróżnić moich ludzi od nieprzyjaciół. Nie obfitujemy w przyrodziwek, a z twarzy ich trudno rozpoznać, bo zmieniają skórę jak węże. Ale mniejsza z tym, wędruj a może wcześniej lub później przydasz nam się na co.

Skinner był tak uszczęśliwiony z pozwolenia, aczkolwiek niezbyt uprzejmie danego, że skorzystał zeń skwapliwie i podążył za oddziałem ku miastu. Tymczasem żołnierz, pełniący

obowiązek sierżanta w tym przygodnym wojsku, podjechał do swego komendanta i zaczął z nim jakąś poufną rozmowę. Mówili cicho i rzucali częste i badawcze spojrzenia na skinnera, aż ten zauważył to wreszcie, lecz nie zaniepokoił się owszem nabrał otuchy, widząc uśmiech zadowolenia, igrający na ustach kapitana. W ten sposób minęli jakiś wąwóz i wjechali na drugie wzgórze. Tu kapitan i sierżant zsiadli z koni, rozkazując oddziałowi stać na miejscu. Obaj partyzanci wydobyli pistolety z olster co również nie wzbudziło podejrzenia ni obawy, gdyż była to ogólnie przestrzegana ostrożność, i skinęli na kramarza i opryszka, aby szli za nimi. Wkrótce znaleźli się w miejscu, gdzie wzgórze prostopadle prawie zwieszało się nad rzeką. Na krawędzi tej wyniosłości stała na wpół rozwalona stodoła. Pokrycie dachu zdarte było w wielu miejscach, a wielkie wrota leżały jedne na przedzie budynku, a drugie nad samą przepaścią, widocznie przez wiatr wyrwane i tam porzucone. Wszedłszy do wnętrza, oficer wyjął z kieszeni krótką fajeczkę, która na skutek długiego używania nabrała nie tylko barwy, ale i połysku hebanu, kapciuch z tytoniem, krzesiwo i hubkę. Przy pomocy tych narzędzi wnet dostarczył swym ustom towarzystwa, które widocznie stało mu się niezbędnym w chwilach namysłu. Wypuściwszy pierwsze kłęby dymu, kapitan wyciągnął znacząco rękę do sierżanta, ten zaś wyjął z kieszeni kawał powroza i podał swemu dowódcy. Cow-boy otoczył się znów chmurą dymu, że ledwie go było z poza niej widać, i zaczął rozglądać się po stodole. Nareszcie wyjął z ust fajkę, zaczerpnął świeżego powietrza w piersi i od razu zabrał się do dzieła. Ciężka belka spoczywała na podcieniu stodoły, niedaleko drzwi wywartych od południa, przez które widać było rzekę, ciągnącą się w dół aż do zatoki NewYorku. Cow-boy przerzucił jeden koniec powroza przez tę belkę i ściągnąwszy go złączył oba końce w rękę. Na podłodze w głębi leżała mała baryłka bez dna, o mocno rozklekotanych klepkach. Na dany przez oficera znak sierżant postawił ją pod belką. Wszystkie te przygotowania odbywały się z niewzruszonym spokojem i ku widocznemu zadowoleniu oficera.

- Chodź! - rzekł tenże chłodno do skinnera, który milcząc przypatrywał się całej tej procedurze, i dopiero gdy mu zdjęto chustkę z szyi i zrzuciono kapelusz, przestraszył się nieco. Sam wszakże tak często uciekał się do podobnego manewru, aby wymusić zeznanie lub łup, że przestraszony ten był znacznie mniejszy, niżby go był doznał mniej doświadczony człowiek na jego miejscu.

Tymczasem założono mu powróż na szyję z tym samym spokojem, jaki charakteryzował wszystkie te przygotowania, baryłkę przykryto kawałkiem deski i kazano mu wejść na nią.

- Ale ona spaść może - rzekł skinner, zadrżawszy po raz pierwszy. - Powiem wam wszystko bez tego zachodu, nawet jak zajść nasz własny oddział w Pond, którym mój brat dowodzi.

- Nie potrzeba mi żadnych zeznań - odpowiedział oprawca (bo takim się teraz wydawał), okręciwszy kilkakrotnie belkę powrozem, po uprzednim zaciśnięciu go na szyi skinnera w taki sposób, żeby mógł oddychać, lecz żeby mu się zrobiło trochę nieprzyjemnie, po czym rzucił

drugi koniec daleko od siebie, aby go nikt nie mógł osiągnąć.

- Ejże! dosyć tych żartów - rzekł skinner tonem perswazji, unosząc się na palcach w daremnej nadziei wysunięcia głowy z pętli. Ale przezorność i doświadczenie dowódcy „zbiegów” zapobiegło temu.

- Co zrobiłeś z koniem, któregoś mi ukradł, łotrze? - rzekł ten ostatni, wypuszczając nowe kłęby dymu w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Padł w pościgu - odrzekł skinner prędko - ale powiem panu, gdzie możesz znaleźć drugiego, który wart trzech tamtych.

- Kłamco! Sam go znajdę, gdy mi będzie potrzebny. A ty lepiej wezwij swego Boga na pomoc, bo chwile twoje są krótkie. - To rzekłszy, kopnął gwałtownie ciężkim swym butem baryłkę, że słabe klepki rozsypały się na wszystkie strony, a skinner zakręcił się w powietrzu. Ponieważ miał ręce wolne, podniósł je w górę i uchwycił się nimi belki.

- No, kapitanie - rzekł prosząco, lekko już ochryplym głosem, a kolana poczęły mu się trząść ze strachu - skończ te żarty, wszystko dobre w miarę, ręce mi już mdleją, nie utrzymam się dłużej.

- Słuchaj, panie kramarzu - rzekł dowódca cow-boyów, tonem nie cierpiącym oporu - nie potrzebuję twego towarzystwa. Ruszaj więc w swoją drogę, a poważ się dotknąć tego psa, będziesz wisiał na jego miejscu, choćby dwudziestu sir Henryków potrzebowało usług twoich.

To powiedziawszy wyszedł z sierżantem ze stodoły, podczas gdy kramarz ulotnił się szybko przeciwnymi wrotami.

Ale zaledwie zniknął w pobliskich zaroślach, gdy ogarnęła go nieprzeparta chęć zobaczenia, jak się to wszystko skończy.

Zostawszy sam, skinner jął rozglądać się trwożliwie dokoła, by dojrzeć, gdzie się jego dręczyciele ukryli. Po raz pierwszy przeleciała mu przez głowę straszliwa myśl, że cow-boye nie żartują. Zaczął wołać błagalnie, aby go puścili, czyniąc bezładne obietnice ważnych zeznań, wciąż udając, że nie bierze tego wszystkiego na serio. Ale gdy usłyszał tętent oddalających się koni, a dokoła nie widział ludzkiej duszy, gwałtowne drżenie chwyciło jego członki, a oczy niemal nie wylazły z głowy. Rozpaczliwym wysiłkiem spróbował wydzwignąć się na belkę, ale wyczerpany uprzednim miotaniem się, chwycił tylko powróż zębami, by go przegryźć, i ręce mu opadły. Tu krzyki jego zmieniły się w nieludzkie wrzaski:

- Pomocy! Odetnijcie powróż! Kapitanie! Birch! Dobry kramarzu! Precz z Kongresem! Sierzancie! na miłość Boską, pomocy! Niech żyje król! O! Boże! O Boże!... łaski!... łaski... łaski...

Głos mu się załamał w krtani: udało mu się wsunąć jedną rękę pomiędzy szyję a powróż, ale druga opadła dygocząc wzdłuż ciała. Konwulsyjne drżenie wstrząsnęło jego postacią, po czym zawisł bezwładnie.

Birch patrzył na to jak urzeczony. Wreszcie zatknął uszy rękoma i popędził w stronę gościńca. Ale błagalne krzyki wisielca dźwięczały mu w mózgu, I wiele tygodni minęło, nim wspomnienie tego ohydneho zdarzenia zatarło się w jego pamięci. Cow-boye pojechali dalej, jak gdyby nic nie zaszło, a trup skinnera pozostał, kołysząc się na wietrze, póki przypadek nie skierował kroków jakiegoś włóczęgi w tę stronę.

ROZDZIAŁ XXXIII.

*„Zamknęła się murawa nad tobą,
przyjacielu mych lepszych dni. Kto
cię znał, kochać cię musiał; a kto
cię wspomniał, to tylko z pochwałą. „*

Halleck.

Podczas gdy się to wszystko działo, cośmy opisali, kapitan Lawton prowadził swój oddziałek powolnym i uciążliwym marszem z Czterech Kątów na front nieprzyjacielski, gdzie czas jakiś manewrował w ten sposób, że wymykał się zawsze w porę, nie zdradzając szczupłości swych własnych sił i nękając wroga ciągłym oczekiwaniem napadu ze strony Amerykanów. Postępował tak na skutek wyraźnego rozkazu swego dowódcy. Gdy Dunwoodie opuścił swój szwadron, wiedziano już, że nieprzyjaciel zbliża się z wolna, polecił więc Lawtonowi, by go trzymał w szachu aż do swego powrotu i przybycia piechotnych posiłków.

Kawalerzysta wypełnił ten rozkaz co do joty, pomimo że wrzała w nim niecierpliwość, jak zwykle gdy nie mógł zetrzeć się wręcz z nieprzyjacielem.

Przez cały ten czas wózek Betty Flanagan towarzyszył niezmordowanie dragonom; ona zaś sama skracala sobie żmudne chwile, to rozprawiając z sierżantem Hollisterem o złych duchach, to kłócąc się z chirurgiem o metody praktyczne doraźnego leczenia rannych.

Nadeszła wreszcie chwila, mająca rozstrzygnąć, kto zostanie tymczasowym panem placu. Oddział wschodniej milicji wyruszył z fortów i posunął się ku nieprzyjacielowi.

Spotkanie Lawtona z posiłkami nastąpiło o północy i natychmiast obaj dowódcy naradzili się ze sobą. Wysłuchawszy sprawozdania partyzanta, który lekcewał sobie sprawność i siły nieprzyjaciela, komendant piechoty postanowił zaatakować Anglików, nie czekając na Dunwoodiego i jego jazdę, skoro tylko świt pozwoli mu rozejrzeć się w ich pozycjach. Po czym Lawton wyszedł z domku, w którym odbywała się narada, i podążył do swoich.

Oddziałek kawalerzysty rozstasował się na nocleg w pobliżu stogu siana, a w pewnej odległości od jeźdźców i koni. Doktor Sitgreaves, sierżant Hollister i Betty Flanagan zasiedli razem na rozpostartych na twardej powierzchni skały derkach. Lawton rzucił się na nie obok chirurga i owinąwszy się płaszczem, wsparł głowę na rękę i spoglądał w głębokiej zadumie na wędrujący po niebie księżyc. Sierżant siedział wyprostowany z należnym chirurgowi uszanowaniem, a praczka raz po raz podnosiła głowę, by wygłosić jaką ulubioną maksymę, to znów opierała ją o beczułkę dzinu, w daremnym zamiarze uśnięcia.

- Tak, sierżancie - mówił doktor Sitgreaves, prowadząc dalej zaczętą rozmowę, - jeżeli ciąż będziesz z dołu, cios, tracąc dodatkową siłę twego ciężaru, będzie mniej morderczy, a jednocześnie odpowiesz celom wojny, obezwładniając nieprzyjaciela.

- E!! sierżancie kochany - rzekła praczka - nie zawracaj też sobie głowy: Cóż to szkodzi odebrać życie nieprzyjacielowi w bitwie? Czy to regularni są takimi dobrodziejami? Zapytaj kapitana Jacka, czy kraj uzyskałby wolność, gdyby chłopcy nie machali szablą ze wszystkich sił? Dobrze bić i dobrze pić, w tym grunt.

- Nie można się dziwić, że niewiasta tak ograniczona jak ty, pani Flanagan - odparł chirurg ze spokojem, który potęgował tylko pogardliwość słów jego - nie rozumie się na subtelnościach chirurgicznej wiedzy, a i władanie szablą jest ci obce; tak więc rozmowa z tobą o sprawiedliwym posługiwaniu się tą bronią nie może doprowadzić do żadnego rezultatu ani w teorii, ani w praktyce.

- Wiele ja tam o to dbam; ale bitwa to nie zabawka; i żołnierz nie powinien troszczyć się o to, jak bije i kogo bije, byle bił dobrze i kwita.

- Czy zanosz się na dzień gorący, kapitanie Lawtonie?

- Bardzo prawdopodobne - odparł kawalerzysta. - Milicja zawsze doprowadza do wielkiego rozlewu krwi, albo przez swoje tchórzostwo albo przez głupotę, a prawdziwy żołnierz musi cierpieć za ich postępowanie.

- Czyś ty chory, Johnie? - zapytał chirurg, przesuwał dłoń po przedramieniu kapitana i zatrzymując ją instynktownie na pulsie; lecz jego równe silne tętno nie zdradzało ani fizycznego, ani duchowego niedomagania.

- Serce mnie boli, Archibaldzie, gdy myślę o zaślepieniu naszych dowódców, którym się

zdaje, że mogą walczyć i odnosić zwycięstwo ludzie, którzy trzymają muszkiet jak cepy, mrugają oczami, pociągając za cyngiel, a formują linię w pałąk. Zaufanie, jakie pokładamy w tych fuszerach, zmarnuje najlepszą krew w kraju.

Chirurg słuchał ze zdumieniem. Nie tyle słowa, ile sposób wypowiedzenia ich był tego przyczyną. Zwykle przed bitwą Lawton bywał ogromnie podniecony, w przeciwieństwie do cechującej go w codziennych warunkach zimnej krwi. Ale teraz była jakaś szczególna apatia w jego głosie i zniechęcenie w wyrazie jego twarzy. Chirurg zawahał się przez chwilę, rozmyślając, w jaki sposób mógłby wykorzystać tę zmianę dla swej ulubionej teorii, i mówił dalej:

- Roztropnie byłoby, Johnnie, poradzić pułkownikowi, by trzymał się na odległość dalekiego strzału; pozbawiona pierwszego impetu kula może obezwładnić.

- Nie - przerwał Lawton porywczo - niech sobie osmałą wąsy o lufy angielskich muszkietów, jeżeli uda się ruszyć ich z miejsca; ale dość już o nich, Archibaldzie; jak sądzisz, czy księżyc jest takim światem jak nasz i czy są na nim istoty do ludzi zbliżone?

- Nic bardziej prawdopodobnego, drogi Johnnie. Znamy jego rozmiary i wpływająca stąd analogia łatwo może doprowadzić do takiego wniosku. Czy mieszkańcy tamtejsi dosięgli tej doskonałości w naukach jaka jest naszym udziałem, zależy to może w znacznym stopniu od ich społecznego, a poniekąd i fizycznego ustroju.

- Nie chodzi mi o ich uczoność, Archibaldzie; myślę o tej potędze nadzwyczajnej, która stwarza takie światy i kieruje nimi w ich wędrówkach. Nie wiem dlaczego ogarnia mnie dziwna melancholia, gdy patrzę na tę tarczę świetlną, poprzerywaną ciemnymi plamami, które jakoby mają przedstawiać lądy i morza. I wydaje mi się, że tam właśnie przebywają duchy zmarłych tu na ziemi.

- Łyknij sobie kropelkę, kochasiu - rzekła Betty, podnosząc znów głowę i podając mu własną flaszkę. - To ta wilgoć nocna tak krew studzi; a przy tym gadanie z tą przeklętą milicją nikomu nie może pójść na zdrowie. Łyknij kropelkę, kochasiu, i będziesz spał smacznie do rana. Sama nakarmiłam Roanoke'go, bo myślałam, że i jego czeka jutro praca niezgorsza.

- Jak wspaniale przedstawia się niebo - ciągnął dalej kawalerzysta tym samym tonem, nie zważając na propozycję Betty - i aż litość bierze pomyśleć, że takie nędzne robaki jak ludzie psują Boże dzieło swymi marnymi zatargami.

- Mówisz prawdę, Johnnie, miejsca jest dosyć na świecie dla wszystkich, by żyli w spokoju i szczęśliwości. Jednakże wojna ma swoje dobre strony, rozwija specjalnie chirurgiczną sztukę i...

- Oto tam gwiazda - mówił dalej Lawton, wciąż idąc za biegiem swych myśli - stara się błysnąć przez zasłaniające ją chmurki; może i ona także jest światem i może na niej żyją również istoty obdarzone rozumem, jak my; jak sądzisz, czy i tam także toczą się wojny i krew się leje?

- Gdybym był tak śmiały - rzekł sierżant Hollister, machinalnie podnosząc rękę do czapki - ale w księdze świętej napisano jest, że Pan kazał słońcu stanąć, kiedy Jozue prowadził pułk na

nieprzyjaciela; zapewne dlatego, jak przypuszczam, by mieli światło dzienne do odwrotu lub jakiego innego manewru. Otóż, jeżeli sam Bóg użył im pomocy, to wojna nie może być rzeczą grzeszną. Wprawdzie nie może mi się pomieścić w głowie, dlaczego oni używali tych wozów zamiast ciężkiej kawalerii, która lepiej przecież potrafi złamać szyki piechoty, dostać im się na tyły i narobić większego zamętu niż wszystkie wozy na świecie.

- Mówisz tak, sierżancie Hollisterze, bo nieznana ci jest budowa tych starożytnych wehikułów - rzekł chirurg. - Posiadały one ostrą broń, sterczącą z pośród kół i cięły niemi kolumny piechoty na sieczkę. Nie wątpię, że gdyby zastosować podobne przyrządy do wózka pani Flanagan, to dziś jeszcze narobiłby on nie lada popłochu w nieprzyjacielskich szeregach.

- Tylko, że kobyłka nie byłaby taka głupia, żeby iść w ogień - mruknęła Betty z pod derki. - Gdyśmy jechali ostatni raz ze zdobyczą z Jersey, to myślałam, że ją zatłukę na śmierć, wcale z miejsca ruszyć nie chciała, taka strachliwa na strzały. Roanoke i kapitan Jack wystarczą dla tych czerwonych kurtek. Nie potrzeba tam mego wózka.

Przeciągły warkot bębna ze wzgórza, zajętego przez Anglików, oznajmił, że nieprzyjaciel gotuje się do boju, i takiż sam sygnał dał się wnet słyszeć ze strony Amerykan. Trąbka Wirgińczyków zagrała pobudkę i w jednej chwili oba wzgórza zakwitły uzbrojonymi ludźmi. Dzień już świtał, i oba wojska przygotowywały się do ataku i obrony. Siły amerykańskie miały przewagę liczebną, ale pod względem dyscypliny i moderunku wyższość była całkowicie po stronie wrogów. Przygotowania do bitwy były zresztą krótkie, i ze wschodem słońca milicja ruszyła do ataku.

Teren nie dopuszczał udziału jazdy, jedynym zatem obowiązkiem dragonów było wyczekiwać chwili zwycięstwa i wtedy starać się poprzeć je ze wszystkich sił. Lawton uszykował swój oddział, a zostawiwszy go pieczy Hollistera, podjechał sam ku linii piechoty rozmaicie umundurowanej i niedostatecznie uzbrojonej. Pogardliwy uśmiezek igrał na ustach kawalerzysty, zręcznie kierował Roanoke'm wskroś ich szeregów, a gdy ruszyły z miejsca, podążył tuż za nimi.

Aby zbliżyć się do nieprzyjaciela, Amerykanie musieli zejść w dolinkę a potem starać się wydostać na przeciwległe wzgórze. Zrazu szło dosyć dobrze, aż gdy już znajdowali się u stóp wzgórza, królewskie wojska rozwinęły się wspaniałą linią, mając boki osłonięte właściwościami terenu. Na widok Anglików milicja dała ognia i celność jej strzałów zmieszała chwilowo regularnych. Lecz wnet oficerowie przywrócili porządek, i salwy szły za salwami z wielką akuratnością, po czym Anglicy ruszyli z nastawionymi bagnetami. Milicja nie była dostatecznie wyćwiczoną, by wytrzymać ten atak. Linia jej zachwiała się, wygięła do środka i ostatecznie rozproszyła się w pojedyncze gromadki, podtrzymując równocześnie dorywczy ogień.

Lawton spoglądał na to w milczeniu i nie otworzył ust, dopóki pole nie zaroilo się od uciekających Amerykan. Wówczas, jak gdyby tknięty do żywego hańbą, spadającą na wojska

jego kraju, spieszył Roanokego ostrogami i zabiegłszy drogę uciekającym, począł wołać na nich swym potężnym głosem, wskazując nieprzyjaciela i zapewniając ich, że nie plecy ale twarz powinni mu pokazywać. Tyle było ironii i chłodu w tych jego nawoływaniach, że niektórzy przystanęli zdziwieni, inni poszli za ich przykładem i podnieceni zapałem Lawtona, zaczęli wołać, aby ich prowadził na wroga.

- Naprzód tedy, dzielni przyjaciele! - wykrzyknął kawalerzysta, zwracając konia ku linii angielskiej, gdy jedno skrzydło nieprzyjacielskie było już bardzo blisko - naprzód! ognia do nich, aż im się brwi osmałą. Żołnierze podskoczyli żwawo i biegli czas jakiś, nie dając ognia ani go nie przyjmując, aż znaleźli się w bardzo niewielkiej odległości od nieprzyjaciela. Angielski sierżant, ukryty za skałą, rozwścieczony zuchwalstwem oficera, który tak się zdawał urągać ich siłom, wypadł z kryjówek i zbliżywszy się o kilka kroków do kawalerzysty, zniżył muszkiet.

- Pal i giń! - krzyknął Lawton, spinając ostrogą rumaka, który wnet dał olbrzymiego susa. Ruch ten i głos tak wstrząsnęły nerwami Anglika, że niepewną ręką pociągnął za cyngiel. Roanoke wyskoczył w górę wszystkimi czterema nogami i wierzgnąwszy konwulsyjnie, zwałił się bez życia u stóp swego mordercy. Lawton porwał się z ziemi błyskawicznie i stanął twarzą w twarz z przeciwnikiem. Ten nadstawił bagnet mierząc w serce kawalerzysty. Skry posypały się, gdy stał uderzyła o stal, i bagnet wyleciał w powietrze, a w chwilę potem właściciel jego leżał w przedśmiertnych drgawkach na ziemi.

- Naprzód! - krzyknął Lawton, gdy oddział Anglików ukazał się na skale, i dał z bliska ognia. - Naprzód! - powtórzył i błysnął szablą w powietrze. Po czym olbrzymia jego postać pochyliła się w tył, jak majestatyczna sosna pod ciosem siekiery, ale padając zwolna wciąż jeszcze wymachiwał szablą i raz jeszcze basowy głos jego rozległ się: - Naprzód!

Następujący Amerykanie stanęli w przerażeniu, po czym zawróciwszy, zostawili pole wojskom królewskim.

Ale dowódca angielski nie miał bynajmniej zamiaru korzystać ze zwycięstwa; wiedział bowiem dobrze, że silne posiłki amerykańskie wprędce nadejdą, pozbierał więc tylko swoich rannych i sformowałszy kwadrat, rozpoczął odwrót ku okrętowi. Nie upłynęło dwudziestu minut od upadku Lawtona, a na polu bitwy nie pozostał nikt, zarówno ze strony Anglików jak Amerykanów.

Gdy mieszkańcy kraju bywali powoływani pod broń, obsługę chirurgiczną pełnili przy nich miejscowi, nader miernie wykwalifikowani lekarze. Doktor Sitgreaves żywił prawie taką samą pogardę dla tych medyków milicji, jak kapitan Lawton dla samych oddziałów milicyjnych. Chodził zatem po polu, spoglądając krytycznym okiem na ich dokonywane tu i ówdzie mało znaczące operacje, lecz gdy wśród uciekających wojsk nie dostrzegł przyjaciela i kolegi, wrócił śpiesznie do miejsca, gdzie stał Hollister z oddziałem, by się dowiedzieć, czy wrócił Lawton. Oczywiście usłyszał odpowiedź przeczącą. Zaniepokojony, nie bacząc na mogące mu grozić

niebezpieczeństwo, szybkim krokiem pośpieszył tam, gdzie, jak wiedział, rozegrały się ostatecznie losy bitwy. Raz już przedtem w podobnych okolicznościach ocalił przyjaciela od śmierci i doznał tajemnej radości, płynącej z przeświadczenia o swej sumiennej wiedzy, gdy zobaczył Betty Flanagan, siedzącą na ziemi i trzymającą na kolanach głowę żołnierza, w którym natychmiast po wzroście i ubiorze poznał Lawtona. Ale gdy się zbliżył, widok praczki go przeraził. Czarny czepeczek spadł jej z głowy, a potargane, siwizną już przyprószone włosy zwieszały się beładnie dokoła twarzy.

- Johnie! Drogi Johnie! - rzekł doktor tkliwie i pochyliwszy się, ujął bezwładną rękę kawalerzysty, której dotknięcie przejęło go dreszczem. - Johnie! Drogi Johnie! Gdzie jesteś ranny? Powiedz.

- Mówisz pan do martwej gliny - rzekła Betty, kołysząc się w tył i naprzód i bezwiednie przesuwając dłoń po kruczych kędziorach kawalerzysty.

- Już on pana nie usłyszy i nic mu leki pańskie nie pomogą. O! Boże! Boże! Cóż się teraz stanie z wolnością! Kto będzie walczył i wygrywał bitwy! O! Boże! Boże!

- Johnie! - Powtórzył chirurg, nie chcąc jeszcze uwierzyć świadectwu własnych oczu - drogi Johnie! odezwij się! Powiedz co chcesz, tylko przemów. Wielkie nieba! Nie żyje! O! Bodajbym umarł z nim razem!

- Na co się zdało teraz żyć i walczyć - rzekła Betty - obaj polegli; patrz pan: tu leży to biedne zwierzę, a tu jego pan. Sama nakarmiłam konia wczoraj, a i to co on zjadł ostatnie, było mego gotowania. O! Boże! Boże! Na to mu przyszło, by go regularni zabili.

- Johnie, drogi mój Johnie! - Wymówił chirurg wśród konwulsyjnych łkań - przyszła, więc twoja godzina; wielu rozważniejszych przeżyło cię, ale nie przeżył cię nikt lepszy ani męźniejszy. O! Johnie! Tyś był mi drogim przyjacielem; wiem, że łyzy na nic się nie zdadzą, ale muszę płakać po tobie, bo serce pęka mi z bólu.

Doktor ukrył twarz w dłoniach i siedział tak czas jakiś, oddając się niepokohamowanej żałości; a Betty, wciąż kołysząc się w tył i naprzód, zawodziła jęklwym głosem:

- Któż teraz będzie dodawał chłopcom odwagi? Och! Kapitanie Jacku! Kapitanie Jacku! Tyś był duszą wojska; z tobą byliśmy bezpieczni. Och! Nigdy ty biednej wdowie marnego słowa nie rzekł o przypalone mięso, albo o śniadanie, jeżeli go nie było w porę. Łyknij kropelkę, kochasiu, może cię to ożywi. Och! Nie łyknie on już, nie łyknie; a tu doktor, pocziwina, z którym się zawsze przekomarzałeś, płacze, jak gdyby duszę miał wypłakać, biedaczysko. Och! Nie ma go już! Nie ma! I wolność z nim razem zginęła.

Tu rozległ się ogłuszający tętent, i w ślad za tym cały szwadron Wirgińczyków wypadł na równinę z Dunwoodie'm na czele. Wiedział już o losie kapitana, bo skoro tylko zobaczył ciało, wstrzymał oddział, zsiadł z konia i przystąpił do leżącego. Twarz Lawtona była spokojna, tylko gniewne ściągnięcie brwi, towarzyszące mu podczas bitwy, pozostało. Wyglądał, jak gdyby spał.

Dunwoodie ujął jego rękę i popatrzył nań chwilę w milczeniu. Ciemne jego oczy zaiskrzyły się, a na blade policzki wystąpił krwisty rumieniec.

- Twoją własną szablą pomszczę cię - zawołał, usiłując wyjąć broń z ręki Lawtona, ale na próżno.

- A więc pochowamy go z nią - dodał po chwili. - Sitgreavesie, czuwaj nad naszym przyjacielem, a ja pośpieszę pomścić śmierć jego!

Dosiadł rumaka i puścił się w pogoń za nieprzyjacielem, a za nim dążył cały szwadron, podobnie jak ich dowódca, pałający zemstą. Lawton był ulubieńcem całego wojska; widok jego trupa wzburzył je do najwyższego stopnia; ani oficerowie, ani żołnierze nie posiadali w tej chwili tej zimnej krwi, tak koniecznej w każdym wojennym przedsięwzięciu; parla ich wyłącznie ślepa żądza odwetu.

Anglicy, sformowawszy czworobok, pośrodku którego znajdowali się ich dość zresztą nieliczni ranni, postępowali miarowo po nierównym gruncie. Dunwoodie uderzył na nich kolumną, pragnąc przedrzeć się do środka i rozproszyć ich od jednego zamachu. Ale nieprzyjaciel znał zbyt dobrze swoje własne siły i wykonawszy szybki zwrot, nadstawił szarżującym bagnety. Konie Wirgińczyków cofnęły się, a tymczasem tylne szeregi angielskiej piechoty dały ognia z bliska, i major wraz z kilku innymi spadli z koni. Anglicy, odparłszy atak, w dalszym ciągu wykonywali odwrót, a major, ciężko lecz nie niebezpiecznie ranny, odwołał swoich ludzi, gdyż dalsza podróż po tym skalistym gruncie była bezowocną.

Pozostał teraz smutny obowiązek do spełnienia. Dragoni z wolna cofnęli się przez wzgórza, unosząc swego rannego dowódcę i ciało Lawtona. To ostatnie złożono pod wałami jednego z górskich fortów, a majora oddano tkliwym staraniom jego zasmuconej oblubienicy.

Wiele tygodni minęło, nim Dunwoodie odzyskał do tyle siły, by go można było przewieźć w inne miejsce. Przez cały ten czas błogosławił wciąż chwilę, która dała mu prawo do opieki jego pięknej pielęgniarki. Fanny czuwała nad nim dniem i nocą; własnymi rękoma podawała mu lekarstwa i spełniała wszystkie zalecenia niezmordowanego Sitgreaves'a, z każdą chwilą jednajac sobie coraz większą miłość i szacunek męża. Rozkaz Washingtona odesłał wojska na leże zimowe, i Dunwoodie, już w randze pułkownika-lejtnanta, otrzymał pozwolenie udania się na własną plantację dla zupełnego odzyskania zdrowia. Kapitan Singleton towarzyszył mu również, i cała rodzina usunęła się z czynnej widowni wojny w ciszę i dostatek posiadłości Dunwoodie'go. Jeszcze przed wyjazdem z Fishkill, listy przesłane niewiadomą ręką doniosły im o bezpieczeństwie i dobrym zdrowiu Henryka, a także i o tym, że pułkownik Wellmere opuścił Amerykę i wrócił do Anglii, straciwszy szacunek wszystkich ucziwych ludzi w królewskiej armii.

Szczęśliwa to była zima dla Dunwoodie'go; uśmiech zaigrał znów na pięknych usteczkach Fanny.

ROZDZIAŁ XXXIV.

*„Wśród futer, jedwabi i klejnotów
stał w swym prostym lincolnskim
stroju; cel spojrzeń całego tego świe-
tnego koła. I oto rycerz Snowdonu
jest królem Szkocji. „*

W. Scott. Pani Jeziora.

Początek następnego roku zszedł ze strony Amerykan na wielkich przygotowaniach łącznie ze sprzymierzeńcami, by wreszcie położyć kres wojnie. Na południu Greene i Rawdon odbyli krwawą kampanię nader zaszczytną dla wojsk tego ostatniego, ale która, zakończywszy się zupełnym zwycięstwem Greene'a, dowiodła, że jednak on był lepszym generałem niż rycerski Rawdon.

Sprzymierzone armie zagrażały New-Yorkowi, i Washington, trzymając wciąż stolicę w szachu, nie dopuszczał przysłania posiłków dla Cornwallisa.

Nareszcie z nadejściem jesieni wszystko zdawało się wskazywać, że nadeszła rozstrzygająca chwila.

Siły francuskie przeszedłszy „grunt neutralny” przysunęły się do królewskiego frontu i groziły atakiem na Kingsbridge, a znaczne oddziały wojsk amerykańskich dopomagały im na swoją rękę. Krążąc dokoła posterunków angielskich i podchodząc pod Jerseys, niepokoiły wojska królewskie i z tej strony. Ale sir Henryk Clinton, będąc w posiadaniu przejętych listów Washingtona, trzymał się bezpiecznie w obrębie linii swoich i puszczał mimo uszu wzywania o pomoc Cornwallisa.

Na schyłku burzliwego dnia wrześniowego znaczna liczba oficerów zgromadziła się w

pobliżu budynku, znajdującego się w samym sercu amerykańskich wojsk, które zajmowały Jerseys. Ubiór, wiek i postawa większości tych wojowników świadczyły, że są to wszystko oficerowie wyższej rangi; znajdował się pomiędzy nimi wszelako jeden, któremu świadczone honory wskazywały, że jest pierwszym wśród pierwszych. Prosty ubiór jego posiadał zwykłe wojskowe odznaki dowództwa. Siedział na pysznym, ciemnokasztanowatej maści rumaku, w otoczeniu świty, złożonej z młodzieńców świetnie przybranych i bacnych na każde jego skinienie. Niejeden kapelusz unosił się z głowy, podczas gdy jego właściciel rozmawiał z tym oficerem, a gdy on sam przemówił, słuchano go z najgłębszym skupieniem i uszanowaniem. Nareszcie generał uchylił kapelusza i skłonił się z powagą wszystkim otaczającym. Po odwzajemnieniu tego ukłonu zgromadzeni rozjechali się, pozostawiając generała jedynie ze służbą i przybocznym adiutantem. Generał zsiadł i odstąpiwszy parę kroków, obejrzał troskliwie konia, po czym rzuciwszy wymowne spojrzenie na adiutanta, wszedł do budynku, a za nim ów oficer.

Znalazłszy się w pokoju, widocznie przygotowanym na jego przyjęcie, usiadł na krześle i czas jakiś pozostał tak zadumany, jak ktoś nawykły do częstego przebywania z własnymi myślami. W trakcie tego milczenia adiutant stał, czekając na rozkazy. Wreszcie generał podniósł oczy i przemówił niskim, spokojnym głosem, który jakby był mu właściwy.

- Czy przybył człowiek, którego chciałem widzieć?
- Oczekuje na wezwanie Waszej Eksceleencji.
- Sam go przyjmę tutaj.

Adiutant skłonił się i wyszedł. W parę minut potem drzwi otwarły się znowu i postać jakaś, wsunawszy się przez nie bez szelestu, stanęła milcząc w pewnej odległości od generała. Ten nie zauważył tego i siedział, patrząc w ogień, wciąż w głębokiej zadumie pogrążony. Kilka minut przeszło w ten sposób, aż generał przemówił sam do siebie półgłosem:

- Jutro musimy podnieść zasłonę i ujawnić nasze plany. Oby mi Nieba sprzyjały!

Na lekki ruch nieznanego odwrócił głowę i spostrzegł, że nie jest sam. Milcząco wskazał na ogień, ku któremu przystąpiła postać, tak okutana w mnóstwo odzieży, że mogło jej być raczej za ciepło niż przeciwnie. Drugim grzecznym, łagodnym ruchem generał wskazał proste krzesło, lecz nieznanomy odmówił, skłoniwszy się skromnie z podziękowaniem. Nareszcie generał wstał i otwarłszy stojącą na stole szkatułkę, wydobyl mały, ale widocznie ciężki woreczek.

- Harveyu Birch - przemówił, zwracając się do przybysza - nadszedł czas, kiedy nasze stosunki muszą ustać; od tej chwili i na zawsze musimy być sobie obcy.

Kramarz odrzucił kaptur fałdzistego płaszcza, zasłaniający mu twarz, i przez chwilę patrzył w oblicze mówiącego, po czym zwiesiwszy głowę na piersi, rzekł potulnie:

- Skoro takie jest życzenie Waszej Eksceleencji.
- To konieczność. Odkąd zająłem stanowisko, które dzierzę obecnie, stało się moim

obowiązkiem znać wielu ludzi, którzy jak ty byli moimi wywiadowczymi narzędziami. Z pomiędzy nich wszystkich w tobie największe pokładałem zaufanie; od razu dostrzegłem w tobie cześć dla prawdy i zasad i z przyjemnością to zaznaczam, nie zawiodłem się na niej nigdy; ty jeden znasz moich tajnych agentów w stolicy i od twojej wierności zależy nie tylko ich mienie, ale i życie.

Umilkł, jak gdyby zastanawiając się, w jaki sposób oddać pełną sprawiedliwość kramarzowi, po czym mówił dalej:

- Jesteś jednym z niewielu tych moich tajnych wywiadowców, którzy pozostali wierni naszej sprawie, i uchodząc za nieprzyjacielskiego szpiega, nie udzieliłeś nigdy wrogom wiadomości, jakich nie było ci dozwolone ujawniać. Ja tylko jeden na całym świecie wiem, że postępowałeś zawsze z jak najszczerszym przywiązaniem do swobód Ameryki.

Podczas tej przemowy Harvey stopniowo podnosił głowę, aż wyprostował ją całkiem; lekki rumieniec zabarwił mu chude policzki, a gdy generał skończył całą twarz rozpromieniła mu się nieopisaną błogością; stał tak napełniony dumą wezbranych uczuć; lecz oczy jego wciąż tkwiły skromnie u stóp mówiącego.

- Obowiązkiem moim jest teraz zapłacić ci za twoje usługi - ciągnął dalej generał. - Dotychczas odkładałeś zawsze przyjęcie nagrody i dług urósł znacznie. Nie chcę niedoceniać twoich trudów i niebezpieczeństw; oto jest sto dublonów, pamiętaj o ubóstwie naszego kraju i jemu przypisz to skromne wynagrodzenie.

Kramarz podniósł oczy na mówiącego, ale gdy ten podał mu pieniądze, cofnął się, jakby nie chcąc przyjąć woreczka.

- Bardzo to mało zważywszy na zasługi, jakie oddałeś, i niebezpieczeństwa, na jakie narażałeś życie - ciągnął dalej generał - ale to wszystko, czym rozporządzam; po skończonej kampanii może zdołam powiększyć tę sumę.

- Czy Wasza Ekscelencja myśli, że narażałem życie i hańbiłem dobre imię dla pieniędzy?

- Jeżeli nie dla pieniędzy, więc dlaczego?

- A co zaprowadziło Waszą Ekscelencję na pole walki? Dlaczego Wasza Ekscelencja naraża co dzień swoje cenne życie na śmierć w bitwie lub na stryczek? Cóż mówić o mnie, gdy tacy ludzie jak Wasza Ekscelencja oddają wszystko na usługi naszej ojczyzny. Nie, nie, nie - nie dotknę tego złota; biedna Ameryka potrzebuje go.

Woreczek wysunął się z ręki generała i padł u nóg kramarza, gdzie pozostał do końca rozmowy.

Generał popatrzył z powagą na twarz Bircha i mówił dalej:

- Istnieje wiele nieznanych ci powodów, które mogą mną rządzić. Nasze położenie różni się także. Ja jestem znany jako naczelny wódz armii, a ty musisz zstąpić do grobu z opinią wroga rodzinnego kraju. Pamiętaj, że zasłona, pod którą się kryje twój prawdziwy charakter, nie

podniesie się przez długie lata - może nigdy.

Birch znowu opuścił głowę na piersi, ale nie był to ruch ustępstwa.

- Niezadługo będziesz starym, młodość twoja minęła. Z czegoż żyć będziesz?

- Z tego - rzekł kramarz, wyciągając przed siebie spracowane ręce.

- Ale i one mogą cię zawieść. Weź tyle, żeby sobie zapewnić jakikolwiek byt na starość.

Pomnij na trudy i niebezpieczeństwa, jakie ponosiłeś. Powiedziałem ci już, że opinia najbardziej szanowanych ludzi zawisła od twojej dyskrekcji. Jakaż rękojmię twego milczenia dać im mogę?

- Niech Wasza Ekscelencja powie im - rzekł Birch, postępując krokiem naprzód i bezwiednie stawiając nogę na woreczku - niech im Wasza Ekscelencja powie, że nie chciałem przyjąć złota.

Spokojną twarz generała rozjaśnił dobrotliwy uśmiech; ujął rękę kramarza i uściśnął ją silnie.

- Teraz dopiero poznaję cię naprawdę - rzekł - a choć te same przyczyny, które skłaniały mnie do narażania twego cennego życia, istnieją dotąd i nie pozwalają mi oddać ci jawnie sprawiedliwości, prywatnie będę zawsze twoim przyjacielem; jeżeli będziesz w potrzebie i w niedoli, pamiętaj odwołać się do mnie, a póki mnie samemu starczy, podzielę się zawsze z człowiekiem, który czuje tak szlachetnie i postępuje tak uczciwie. Jeżeli cię dotknie choroba lub niedostatek, a pokój znowu uśmiechnie się naszemu krajowi, zapukaj do drzwi tego, którego tak często widywałeś jako Harpera, a nie powstydy się on z pewnością twojej znajomości pod swoim własnym nazwiskiem.

- Mało ja w życiu potrzebuję - rzekł Harvey - i póki Bóg daje mi zdrowie i uczciwy zarobek, nie zaznam nigdy braku w tym kraju, ale myśl, że Wasza Ekscelencja jest moim przyjacielem to skarb, cenniejszy dla mnie nad wszystko złoto Anglii.

Generał stał przez chwilę pogrążony w głębokiej zadumie. Wreszcie przysunął sobie pulpit, napisał kilka wierszy na kawałku papieru i wręczył go kramarzowi.

- Muszę uwierzyć, że Opatrzność przeznacza ten kraj do wielkich i chwalebnych celów, gdy widzę taki patriotyzm w jego najlichszych mieszkańcach, - rzekł uroczyście. Straszna to musi być rzecz dla takiego jak ty człowieka, zejść do grobu z piętnem wroga ojczyzny na czole; ale nie ma na to rady, bo wiesz, jakich ludzi należałoby poświęcić, gdyby się twój rzeczywisty ujawnił charakter. Nie mogę w żaden sposób oddać ci teraz sprawiedliwości, ale bez obawy powierzam ci to świadectwo; gdybyśmy się już nigdy spotkać nie mieli, przydać się ono może twoim dzieciom.

- Dzieciom! - wykrzyknął kramarz - czyż ja mogę przekazać rodzinie hańbę mego nazwiska?

Generał popatrzył z bólem na wzruszoną do głębi twarz Bircha i znów mimo woli sięgnął po złoto; ale błagalny ruch Harveya wstrzymał go, on zaś sam mówił dalej spokojnie:

- Wasza Ekscelencja powierza mi skarb prawdziwy i powierza go w pewne ręce. Są ludzie, którzy mogliby zaświadczyć, że życie było dla mnie niczym, gdy chodziło o tajemnice Waszej Ekscelencji. Tamten papier, o którym mówiłem, zem go zgubił, połknąłem, gdy mnie Wirgińczycy schwytali. Pierwszy to i ostatni raz oszukałem Waszą Ekscelencję; tak, to istotnie

będzie moim całym skarbem; może - ciągnął dalej z melancholijnym uśmiechem - ludzie dowiedzą się, kto był moim przyjacielem; a jeżeli nie, - nie zostawię nikogo, co by mnie opłakiwał.

- Pamiętaj - rzekł generał głęboko wzruszony - że we mnie będziesz miał zawsze tajemnego przyjaciela, chociaż jawnie nie mogę cię znać.

- Wiem to, wiem - rzekł Birch - wiedziałem o tym, gdym rozpoczął moją służbę. Zapewne po raz ostatni widzę Waszą Ekscelencję. Niech Bóg zsyła wszystkie Swe błogosławieństwa na głowę Waszej Ekscelencji.

Umilkł i postąpił ku drzwiom. Generał powiódł za nim oczyma z wyrazem szczerzej życzliwości. Kramarz odwrócił się raz jeszcze, popatrzył na spokojne, ale nakazujące oblicze generała z żalem i czcią, i skłoniwszy się nisko, wyszedł.

Połączone armie Francji i Ameryki poszły na Cornwallisa pod wodzą Washingtona, i zupełny triumf zakończył kampanię, rozpoczętą wśród tylu trudności. Wielkiej Brytanii wojna sprzykrzyła się wkrótce i ogłoszono niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Z biegiem lat wielu z pomiędzy biorących udział w wojnie i ich potomkowie chlubili się swym poświęceniem dla sprawy, która tyle dobrodziejstw sprowadziła na ich kraj; ale imię Harveya Bircha zginęło wśród mnóstwa innych agentów, o których myślano, że działali skrycie na szkodę swych rodaków. Obraz jego wszelako często jawił się przed oczyma potężnego Wodza, który sam jeden znał jego prawdziwy charakter; niejednokrotnie wywiadywał się tajemnie o jego losie, zawsze prawie bezowocnie. Raz tylko doszła go wiadomość, że kramarz o podobnej powierzchowności, lecz innego nazwiska wędrował po zaludniających się na nowo okolicach, i że walczył ze zbliżającą się słabością i ubóstwem. Śmierć położyła kres dalszym poszukiwaniom generała, i wiele lat minęło, nim usłyszano znów o kramarzu.

ROZDZIAŁ XXXV.

*„Może jakiś wiejski Hampden,
który nieustraszoną pierś nadsta-
wiał tyranowi swych pól; może
jakiś nieznany, niemy Milton tu
spoczywa. Może jaki Cromwell,*

krwią swej ojczyzny niesplamiony. „

Gray.

Trzydzieści trzy lat minęło od opisanych powyżej wypadków i amerykańskie wojska stanęły znów przeciwko armii angielskiej, tylko teatr wojny przeniósł się z nad brzegów Hudsonu na brzegi Niagary.

Ciało Washingtona od dawna już rozsypało się w proch w grobie, ale w miarę jak czas zacierał drobne polityczne zawiści i osobiste uprzedzenia, imię jego coraz większego nabierało blasku, a jego wartość i nieskalaność charakteru stawała się coraz widoczniejszą, nie tylko w oczach jego rodaków, ale całego świata. Uznano go już powszechnie za bohatera wieku rozumu i prawdy, i niejedno młode serce pośród tych, którzy stanowili chlubę naszej armii w 1814 r. płonęło wspomnieniem tego wielkiego imienia w Ameryce i biło tajemną żądzą dorównania choć w pewnym stopniu jego sławie. W żadnej piersi szlachetna ta nadzieja nie jaśniała czystszyim płomieniem niż w łonie młodego oficera, który 25 lipca tego krwawego roku stał na skalistym płaskowzgórzu, przyglądając się wielkiemu wodospadowi. Postać tego młodzieńca była smukła i wysoka, znamionująca doskonale ustosunkowanie siły fizycznej i dzielności ducha; czarne, głębokie oczy jaśniały przenikliwym i olśniewającym blaskiem. Chwilami gdy patrzył na fale, burzliwie kłębiące się u stóp jego, w oczach tych jawił się dumny, zuchwały wyraz, zdradzając zapalczywą duszę entuzjasty. Ale dumne to spojrzenie łagodziły miękkie zarysy ust, na których igrał uśmiech figlarny, pełen kobiecego niemal wdzięku. Włosy jego błyszczwały w słońcu jak złoto, gdy powiew wodny poruszał z lekka bujne kędziory wieńczące mu czoło, którego białość była aż rażąca przy smagłości opalonych i zdrowiem kwitnących lic.

Obok tego pięknego młodzieńca stał drugi oficer, i obaj, sądząc po głębokim wrażeniu, jakie malowało się na ich twarzy, po raz pierwszy widocznie spoglądali na to cudo natury zachodniego świata. Obaj milczeli; wreszcie towarzysz oficera, któregośmy opisali, drgnął nagle i wskazując szablą leżącą pod nimi otchłań wodną, zawołał:

- Patrz, Whartonie! jakiś człowiek płynie tuż prawie pod wodospadem w maleńkiej łodzi, istnej łupinie orzecha.

- Ma na plecach tornister; to zapewne żołnierz, - odpowiedział tamten. - Pójdźmy do przystani, Masonie, może się czego od niego dowiemy.

Minęło sporo czasu, nim obaj młodzieńcy doszli do miejsca, gdzie śmiały żeglarz

wylądował. Wbrew ich przypuszczeniom okazało się, że był to człowiek w podeszłym wieku i widocznie nic wspólnego z żołnierką nie mający. Mógł mieć około siedemdziesięciu lat; aczkolwiek cała jego postawa, poza srebrną białością rzadkich włosów, ocieniających pomarszczone skronie, nie zdradzała niedołęstwa starości. Chudy był i pochylony, ale jakby z przyzwyczajenia, bo mięśnie miał jeszcze silne, sprężyste. Odziany był ubogo, a wielka ilość łąt i cer świadczyła o oszczędności właściciela. Na plecach miał niewielki tobół, który z daleka stał się przyczyną pomyłki o jego zawodzie. Obaj młodzieńcy powitali go, wyrażając zdziwienie, iż człowiek tak sędziwy odważył się na tak niebezpieczną przeprawę; po czym nieznajomy, drżącym już nieco ze starości głosem zapytał o nowiny z pola walki.

- Przetrzepaliśmy skórę czerwonym kurtkom, na równinach Chippewa - rzekł ten, którego towarzysz nazwał Masonem - a potem graliśmy w ciuciubabkę z okrętami; ale teraz wracamy na dawne pozycje i bardzo nam to nie w smak.

- Może masz pan syna w wojsku - przemówił drugi, widocznie łagodniejszego usposobienia - jeżeli tak, powiedz mi jego nazwisko i pułk, w którym służy, a zabiorę cię do niego.

Starzec wstrząsnął głową i przesunawszy ręką po srebrnych włosach odpowiedział z cichą rezygnacją.

- Nie, jestem sam na świecie.

- Powinieneś być dodać: o ile go znajdziesz, kapitanie Dunwoodie - zawołał tamten - bo prawie połowa naszej armii jest w drodze, i może w tej chwili znajdować się już pod murami fortu Jerzego.

Starzec przystanął nagle i popatrzył badawczo na obu młodzieńców, co oni zauważywszy, zatrzymali się również.

- Czy ja dobrze słyszałem - wymówił nieznajomy, ręką osłaniając oczy przed blaskiem słońca - jak on pana nazwał?

- Nazywam się Wharton-Dunwoodie - odpowiedział młodzieniec z uśmiechem.

Nieznajomy w milczeniu dał mu znak, żeby zdjął kapelusz, a gdy młodzian spełnił to żądanie, jasne jego włosy rozwiały się jak jedwabna przędza odsłaniając w zupełności piękne, szlachetne oblicze.

- Podobny! - wykrzyknął starzec z zapałem - podobny do obojga!... Bóg pobłogosławił im, jak naszej ojczyźnie.

- No, co tak patrzysz, poruczniku Masonie? - zawołał kapitan Dunwoodie ze śmiechem - wydajesz się jakby bardziej zdziwiony, niż kiedy zobaczyłeś wodospad.

- Och! wodospad! To widok dobry do oglądania przy księżycu dla twojej ciotki Sary i tego wesołego starego kawalera pułkownika Singletona; ale ludzie jak ja nie dziwią się niczemu, chyba gdy ujrzą coś w tym rodzaju.

I wzrokiem wskazał na jakby wniebowziętą twarz starca. Ten jednak uspokoił się raptem i

jakby przygał w sobie; a Dunwoodie odrzekł z pewną powagą:

- No, no, Tomie, tylko bez żarcików na temat mojej zacnej ciotki; proszę, jest ona uosobieniem dobroci, a słyszałem, że nie była szczęśliwą w młodości.

- O! Rzekł Mason - a ja znowu słyszałem, że pułkownik Singleton oświadcza jej się rok rocznie na świętego Walentego, i że twoja cioteczna babka bardzo popiera jego konkury.

- Babcia Joasia! - rzekł Dunwoodie, śmiejąc się - kochana babcia; ale sądzę, że od śmierci doktora Sitgreaves'a żadne małżeństwo jej nie w głowie. Tak, mówiono coś o tym dawniej; ale skończyło się na niczym i według mnie pogłoskom tym dała pole dawna zażyłość mego ojca z pułkownikiem Singletonem. Wiesz przecież, że służyli razem w kawalerii, jak zresztą i twój ojciec.

- Wiem to wszystko, oczywiście, ale nie wmówisz we mnie, że ten stary dziwak bywa tak często u generała Dunwoodie'go tylko dlatego, by z twoim ojcem gawędzić o dawnych czasach. Za ostatnią moją bytnością u was, stara gospodyni waszej matki powiedziała mi w tajemnicy, że pułkownik Singleton nie jest partią do pogardzenia, jak się wyraziła, i że sprzedaż plantacji w Georgii przyniosła mu Bóg wie ile pieniędzy.

- Zapewne - odpowiedział kapitan. - Katy Haynes to doskonały rachmistrz, Przystanęli podczas tej rozmowy, nic wiedząc, czy pożegnać swego przygodnego towarzysza, czy iść z nim dalej.

Starzec słuchał każdego słowa z natężoną uwagą, a przy wzmiance o Katy Haynes coś na kształt uśmiechu przemknęło po jego zwiędłych ustach. Wstrząsnął głową i przesunął ręką po czole jakby myślał o dawnych czasach.

Mason nie uważał na to i mówił dalej:

- Dla mnie to wcielenie sobkostwa.

- Jej sobkostwo nikomu szkody nie wyrządza - odparł Dunwoodie. - Największą jej wadą, to wstręt do murzynów. Powiada, że znała tylko jednego, którego lubiła.

- A któż to był taki?

- Nazywał się Cezar, był domownikiem mego dziadka Whartona. Nie pamiętasz go zapewne, umarł tego samego roku, co jego pan, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi. Katy modli się zawsze za niego w rocznicę jego śmierci i doprawdy zasługiwał on na to. Słyszałem, że dopomógł memu angielskiemu wujowi, jak nazywamy generała Whartona, w jakiejś ciężkiej chwili podczas dawnej wojny. Moja matka mówi zawsze o nim z wielkim przywiązaniem. Gdy wyszła za mąż zabrała ich oboje, Cezara i Katy, do Wirginii. Moja matka była...

- Aniołem! - przerwał starzec, głosem, który zastanowił obu młodzieńców swą energią i nagłością.

- Znałeś ją pan? - zawołał jej syn, mile zdziwiony.

Odpowiedź starca przerwały nagle ciężkie wybuchy artylerii, po których nastąpiły szybkie

salwy ręcznej broni, i w ciągu paru minut powietrze napełniło się wrzawą gorącej walki.

Obaj oficerowie pośpieszyli ku obozowi w towarzystwie nowego znajomego. Podniecenie i niepokój, spowodowane zbliżającą się walką, stanęły na przeszkodzie wznowieniu rozmowy, i wszyscy trzej szli prędko, czyniąc dorywcze przypuszczenia o powodach tej strzelaniny i prawdopodobieństwie walnej utarczki. Kapitan Dunwoodie spoglądał jednak raz po raz przyjaźnie na starca, który szedł ze zdumiewającą na jego lata sprężystością, a tym pełnym zachwytu wykrzyknikiem o uwielbianej przez młodzieńca matce zyskał sobie jego gorące serce. Wkrótce doszli do pułku, do którego należeli obaj oficerowie, a kapitan, uściskawszy dłoń nieznanego, prosił go usilnie, aby nazajutrz rozpytał się o niego i odwiedził go w jego namiocie. I tak się rozstali.

W amerykańskim obozie wszystko gotowało się do walki. Huk armat i ogień karabinowy, dochodzący z odległości paru mil, rozlegał się wyraźnie i przygłuszał szum wodospadu. Wkrótce wojska ruszyły, śpiesząc na pomoc już walczącym oddziałom. Noc już zapadła, nim rezerwy te doszły do stóp Lundy Lane'u, drogi idącej od rzeki tuż koło dość wyniosłego wzgórza w niewielkiej odległości od gościńca Niagary. Szczyt tego wzgórza wieńczyły armaty angielskie, a na równinie u jego podnóża stały resztki rycerskiej brygady Scotta, podtrzymującej od dłuższego czasu nierówną walkę z niepospolitym męstwem. Wnet sformowała się nowa linia i jedna kolumna amerykańska ruszyła do ataku na wzgórze równoległe do drogi. Kolumna ta uderzyła na Anglików z boku i wykłuwszy bagnietami artylerzystów, zdobyła armaty. Natychmiast przyłączyły się do niej inne oddziały, i nieprzyjaciel musiał ustąpić ze wzgórza. Ale znaczne posiłki pośpieszyły Anglikom z pomocą, a były to zbyt dzielne wojska, by się łatwo pogodzić z porażką. Nastąpiły tedy kilkakrotne i krwawe ataki w celu odzyskania armat, wszystkie jednak zwycięsko odparto. Podczas ostatniej z tych utarczek młodzieńczy kapitan Dunwoodie zapędził się dość daleko wraz ze swymi ludźmi, by rozproszyć nacierający śmiało oddział nieprzyjacielski. Powiodło mu się to; ale wracając na linię, zauważył brak swego porucznika na stanowisku, jakie powinien był zajmować. Wnet potem dano rozkazy, ściągając wojska z powrotem do obozu. Anglików nigdzie nie było widać, zaczęto więc zbierać rannych. Wharton-Dunwoodie, powodowany przywiązaniem do przyjaciela, chwycił pochodnię i z dwoma ludźmi udał się sam na poszukiwania jego ciała, tam gdzie przypuszczalnie paść musiał. Jakoż znalazł go siedzącego spokojnie na zboczu wzgórza, ale nie mogącego się ruszyć z powodu złamanej nogi. Dunwoodie poskoczył ku niemu wołając:

- Ach! drogi Tomie! - Wiedziałem, że cię znajdę najbliżej nieprzyjaciela.

- Zwolna, zwolna, bierzcie mnie ostrożnie - odparł porucznik - nie, jest tu jakiś dzielny człowiek, który był ich jeszcze bliżej; ale kto to taki, nie wiem. Wypadł z naszego dymu tuż koło mego plutonu, by pojmać jakiegoś jeńca, czy coś w tym rodzaju; ale biedak już nie wrócił. Leży tam na wzgórzu. Odzywałem się do niego kilka razy, ale myślę, że już nikomu nie odpowie.

Dunwoodie poszedł na wskazane miejsce i ku wielkiemu zdziwieniu ujrzał sędziwego przybysza.

- To ten starzec, który znał moją matkę - zawołał. - Dla jej miłości sprawię mu pogrzeb uczciwy. Podnieście go i zabierzcie. Kości jego spoczną na ojczystej ziemi.

Ludzie zbliżyli się, by spełnić rozkaz. Nieznajomy leżał na wznak, twarzą zwrócony ku światłu pochodni. Oczy miał zamknięte jak we śnie. Zapadłe usta były lekko rozchylone jakby uśmiechem. Wystrzelony muszkiet leżał w pobliżu. Ręce miał przyciśnięte do piersi; a w jednej z nich trzymał jakiś połyskujący niby srebro przedmiot. Dunwoodie pochylił się i rozsunąwszy ręce ujrzał miejsce, któredy kula trafiła do serca. Przeszła ona przez małe blaszane pudełeczko, ukryte na piersiach i starzec konając musiał je widocznie wydobyć z tego schowania. Dunwoodie otworzył je; znalazł w nim jakiś złożony w kilkoro papier i ku najwyższemu zdumieniu przeczytał co następuje:

„Okoliczności politycznego znaczenia, stanowiące o losach i życiu wielu ludzi, trzymały dotychczas w tajemnicy to, co ten papier obecnie ujawnia. Harvey Birch był przez szeregi lat wiernym i bezinteresownym sługą swego kraju. Skoro człowiek nie może, niechaj Bóg wynagrodzi mu jego postępowanie.

Jerzy Washington”.

Był to więc szpieg „Neutralnego Gruntu” i umarł, jak żył, w poświęceniu swojej ojczyźnie i męczennikiem jej swobód.

Koniec

Przypisy

* Część nazwiska: Fenimore pochodzi od nazwiska matki, Zuzanny Fenimore; przybrał ją sam pisarz, już po pierwszych swoich dziełach, dla odróżnienia się w tłumie angielskich Cooper'ów.

* Ponieważ każdy ze Zjednoczonych Stanów Ameryki ma swoje własne hrabstwa, zdarza się często, że po kilka noszą tę samą nazwę. Miejszem niniejszej powieści jest New-York, którego hrabstwo West-Chester znajduje się w najbliższym sąsiedztwie tegoż miasta.

* Miasto New-York leży na wysepce zwanej Manhattan, w pewnym punkcie wszelako, od hrabstwa West-Chester dzieli je tylko wąski na parę stóp „crik”. Most na tym criku nazywa się King-Bridge. Odbywały się na nim liczne utarczki w czasie wojny i niniejsza powieść wspomina o nim.

* Ulepszeniami nazywają Amerykanie wszelkie zmiany dokonane w przetwarzaniu dziewiczych gruntów w uprawne pola. W tym znaczeniu ulepszeniem nazywa się wycinanie drzew, i ocenia się je przypuszczalną wysokością kosztu.

* Podczas rewolucji Amerykanie pozmieniali nazwy miast i ulic.

* Wysepka mająca przeszło czterdzieści mil (francuskich) długości, przeciwległa brzegom Yorku i Connecticutu. Ramię morza, dzielące ją od lądu, nazywa się Sound, a w tej części kraju specjalnie The Sound. Ten szmat wody posiada różną szerokość, od pięciu do trzydziestu mil (morskich).

* Regularnymi nazywano wtedy wojska angielskie. (Przyp. tłum.)

* W kilka lat potem umarł w Bedford, West-Chester ziemianin nazwiskiem Elizeusz H. Człowiek ten był jednym z najzaufańszych szpiegów Washingtona. Na mocy zawartego pomiędzy nimi układu H - nie porozumiewał się nigdy z osobami trzecimi, ze względu na ogromne niebezpieczeństwo jego położenia. Pozwolono mu również wejść w służbę sir Henryka Clintona, a Washington pokładał takie zaufanie w jego miłości kraju i dyskrecji, że często powiadał go o mniej ważnych wojennych krokach, by donosząc o nich angielskiemu generałowi, zyskiwał sobie tym większe jego zaufanie. W taki sposób H. służył czas długi, gdy przypadkiem znalazł się w mieście (zajętym wówczas przez Anglików) w chwili, gdy szykowałą się tam wycieczka przeciw małemu oddziałowi konsystującemu w Bedford, rodzinnej wiosce H-, gdzie Amerykanie mieli skład zapasów żywności. H. z łatwością dowiedział się o sile i przeznaczeniu owej wycieczki, ale nie miał pojęcia, w jaki sposób donieść o tym oficerowi dowodzącemu oddziałem, nie zdradzając swego istotnego charakteru osobie trzeciej. Nie było już czasu porozumieć się z Washingtonem; postanowił, więc ostatecznie posłać kartkę amerykańskiemu dowódcy z doniesieniem o grożącym niebezpieczeństwie i z oznaczeniem czasu, w jakim można się było spodziewać napadu. Kartkę tę opatrzył nawet inicjałami E. H;

zmieniwszy charakter pisma, a to w tym mniemaniu, że ponieważ podejrzewano go w okolicy, o czym wiedział, podpis ten mógł nadać większego znaczenia przestrodze. Ponieważ rodzina jego mieszkała w Bedford, kartka z łatwością i w porę doszła na miejsce, zaś H. sam pozostał w New-Yorku.

Amerykański komendant uczynił to, co w podobnym wypadku byłby uczynił każdy rozsądny oficer. Posłał Washingtonowi kartkę z prośbą o rozkazy; sam zaś przedsięwziął wszelkie środki obrony, jakie były w jego mocy. Główna kwatera amerykańskiej armii znajdowała się podówczas w górach.

Na szczęście posłaniec spotkał Washingtona w drodze i doręczył mu kartkę; on zaś przeczytał ją, siedząc na koniu i dopisał ołówkiem: „Wierzyć wszystkim doniesieniom” E. H. Jerzy Washington”. Po czym kazał kurierowi pędzić z powrotem co koń wyskoczy.

Kurier przybył do Bedford już po ataku Anglików. Komendant przeczytał kartkę i włożył ją do kieszeni. Amerykanie ponieśli porażkę, a dowódca ich został zabity. Kartkę H - z dopiskiem Washingtona znaleziono na zwłokach.

Następnego dnia sir Henryk Clinton zawezwał do siebie H -. Zadawszy mu kilka ogólnikowych pytań, pokazał mu nagle kartkę, pytając czy zna to pismo, i kto to jest taki ów E. H. „To Eljasz Hadden szpieg powieszony wczoraj w Powles Hook”. Ta bezzwłoczna odpowiedź w połączeniu z tą okolicznością, że istotnie poprzedniego dnia powieszono szpiega noszącego te same inicjały, a nade wszystko zimna krew H - ocaliły go Sir Henryk pozwolił mu odejść spokojnie, i od tej pory nigdy go już więcej nie oglądał.

* Akcja niniejszej powieści toczy się pomiędzy tymi dwoma rzekami, które tylko o parę mil oddalone są jedna od drugiej.

* Według angielskiego zwyczaju, który przedostał się do Ameryki wszystkie obiadowe dania, wyjąwszy legumin i deseru, stawiają się od razu na stole. (Przyp. tłum.).

* Oczywiście owe czterdzieści lat odnoszą się do daty, w której Cooper pisał swoją powieść. (Przyp, tłum.)

* Napój, sporządzony z ubitego na pianę żółtka, whisky lub rumu, xeresu i odrobiny wody, dosłownie znaczy: „Koguci ogon”. (Przyp, tłum.)

* Partyzanckie oddziały, zwane cow-boyami w miejscowej gwarze, znajdowały się pod dowództwem pułkownika de Lancey'a. Człowiek ten wysokiego rodu i wykształcenia, będący w szczególnej nienawiści u Amerykanów, uchodził za okrutnika, aczkolwiek nie dowiedziono mu żadnego czynu, któryby przekraczał zwykłą miarę praktykowaną w tego rodzaju wojowaniu jako rządowy gubernator hrabstwa New-Yorku. Nie należy go mieszać z innymi członkami jego rodziny tegoż imienia, z których wielu służyło w armii królewskiej. Krewny jego pułkownik Oliver de Lancey był w czasie, kiedy się toczy nasza powieść, generał-adiutantem angielskich wojsk w Ameryce, mianowanym na miejsce nieszczęsnego Andre'go. Cow-bojów nazywano też

często zbiegami, a to z przyczyny, że chronili się pod opiekę korony.

* Autor czyni tu aluzję zbyt lokalną dla przeciętnego czytelnika, Andre'go jak powszechnie wiadomo, schwytało trzech Amerykanów, wysłanych na poszukiwanie nieprzyjacielskich band rozbójniczych. Nazwisko dowódcy tej partii było Paulding. Bezinteresowność, z jaką ludzie ci odrzucili pieniądze propozycje schwytanego, jest kwestią historii.

* Stronnictwo amerykańskie nazywano „górnym”, zaś angielskie „dolnym”. Nazwy te odnosiły się do biegu rzeki Hudsonu.

* Oficer amerykański tego nazwiska schwytyany został w obrębie angielskiej linii bojowej w przebraniu, w którym przekradł się dla zasięgnięcia wojskowych informacji. Stawiono go przed sądem i stracono niezwłocznie. Gdy przyprowadzono go pod szubienicę, jeden z oficerów angielskich rzekł: „Zhańbiłeś pan swoją rangę. Oficer nie powinien umierać taką śmiercią”. Na co Hale miał odpowiedzieć: „Panowie, każda śmierć jest zaszczytna, gdy się umiera za taką sprawę, jak wolność Ameryki”.

* Wschodnimi nazywają się Stany Nowej Anglii, które będąc pierwotnie założone przez purytanów, zachowują jeszcze wiele wybitnych cech tej sekty.

* Tak nazywano ochotnicze oddziały cow-boyów.